







*Własność fundacji*

# Dzieje 1863 roku

PRZEZ

AUTORA „HISTORII DWÓCH LAT”

— — —

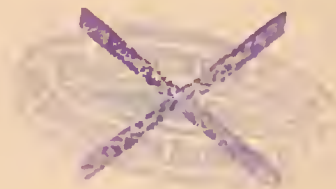
TOM PIERWSZY



KRAKÓW

NAKLAD I DRUK W. L. ASZCZYCA I SPÓŁKI

1897



# DZIEJE 1863 ROKU





924

Z. L. S.

# Dzieje 1863 roku

~~924/1~~

PRZEZ

9/438)

AUTORA „HISTORYI DWÓCH LAT“

TOM PIERWSZY



KRAKÓW

NAKLAD I DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

1897



Rewolucya ma to do siebie, że się zatrzymać nie może; jeżeli jej przywódcy nie chcą iść tak daleko jak ona, to ich wywróci, a innych postawi.

*Ks. Waleryan Kalinka.*

Jest się o co frasować i bać, iż ludzie młodzi, nieświadomi, nie-  
ćwiczeni, w Rzeczypospolitej rządy czynią; drugim mędrszym i ćwicze-  
nym i starszym, także na szkodę Korony przeszkody czynią.

*Ks. Piotr Skarga.*



2513  
MIEJSKA  
BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
w Radomiu

4274 943.8.071

## PRZEDMOWA.

Praca niniejsza jest dalszym ciągiem pięciotomowego dzieła p. t. „Historya dwóch lat“, ukończonego w roku zeszłym. Mimo to stanowi ona odrębną, w sobie zamkniętą całość, obejmującą dzieje opłakanych wypadków 1863 roku. Nie mieliśmy na tem polu żadnych w literaturze polskiej poprzedników, gdyż dwutomowe dzieło B. Limanowskiego („Historya ruchu narodowego od 1863 do 1864 r.“ Lwów, Księgarnia polska, 1882 r.), jest zbyt pobieżnem i przepełnionem błędami. Wielka, pod wielu względami, znakomita praca p. Stan. Koźmiana („Rzecz o roku 1863“ Kraków, 1894 r.), nie jest właściwie historyą, ale raczej pismem przygodnem historyczno-politycznem. Dwie najważniejsze książki w języku rosyjskim: Gesket-Puzyrewskiego („Wo-jennyya deystwiya w Carstwie Polskom w 1863 godu“, Warszawa, 1894) i Mikołaja Berga („Zapiski o polskich zago-worach i wozstaniach“, Poznań, 1884 r.) odznaczają się obok ciekawych szczegółów mnóstwem błędów i podań fałszywych, oraz jednostronnem oświeceniem. Dość liczne pamiętniki, tak w języku polskim jak i rosyjskim, doty-czące tej epoki, przedstawiają z natury rzeczy tylko ma-teryał historyczny, którego jednak bardzo ostrożnie używać należy.



Z tych wszystkich powodów sami musieliśmy się przekopywać, że tak powiemy, przez góry nieobrobionej rudy, przez stosy kłamstw i podejrzanych relacji. Praca była trudną i nużącą, i w dziele niniejszem niewątpliwie znajdować się muszą i znajdują błędy, które światła krytyka, albo odkrycie nowych materiałów kiedyś wyjaśni. Obraz zresztą tej posępnej walki, toczonej na ogromnych stosunkowo przestrzeniach, w głębi lasów, w mrocznych cieniach tajemniczości, gdzie trudno było notować dla historii szczegóły, nigdy nie może być dokładnym i wyczerpującym. A przytem była to walka o wyjątkowym charakterze; tak nieprzyjaciele jak i swoi, w usprawiedliwionej obawie o życie własne i innych, niszczyli materiały i dokumenta historyczne, zakopywali je w ziemi, gdzie ginęły niepowrotnie, chowali po skrytkach, gdzie myszy i mole je jadły. Dla tego też, powtarzamy, odtworzenie dokładnego i szczegółowego obrazu, dziś i zawsze będzie trudnem, prawie niemożliwem.

I zresztą w historii nie o to wcale idzie, nie o szczegóły i drobiazgi, ale o całość obrazu. Tę całość staraliśmy się namalować, o ile sił naszych starczyło; okazać czytającej potomności polskiej lekkomyślność przedsięwzięcia u tych, którzy stali na czele, heroizm i poświęcenie tych, którzy nie oglądając się na nie, poszli ledz swem ciałem za niepodległość ojczyzny. Stąd w opowiadaniu o wojnie pominęliśmy mnóstwo drobniejszych utarczek, bez głębszego znaczenia historycznego i politycznego, a mówimy tylko o takich, które na przebieg wypadków i na losy kraju wpływ miały.

O materiałach drukowanych, użytych do napisania tego dzieła, wspominamy w tekście we właściwem miejscu. Wypada nam wszelako kilka słów powiedzieć o materiałach rękopiśmiennych, z których korzystaliśmy. Posiadaliśmy więc cały szereg drobnych relacji o nocy wybuchu, spisanych w większej części na nasze żądanie przez uczestników napadu na posterunki rosyjskie; mieliśmy obszerny acz niedokończony „Pamiętnik o kampanii Padlewskiego“,

skreślony dla rodziny przez anonima i łaskawie nam użyczony; mieliśmy „Pamiętniki Romana Rogińskiego“, o wiele obszerniejsze od tych, jakie ukazały się w r. 1896 w „Przeglądzie poznańskim“; mieliśmy i inne pamiętniki, wyciągi z akt i raportów urzędowych, o których jednak, z łatwo zrozumiałych powodów obszerniej rozpisywać się nie możemy, a za dostarczenie których dziękujemy tutaj naszym przyjaciółom w Krakowie, Lwowie, Warszawie, Wilnie i Petersburgu. Wreszcie mieliśmy mnóstwo relacji i notatek rękopiśmiennych, których wyliczenie do niczegoby nie doprowadziło. Nie wspominamy o drukach, odezwach, dziennikach ówczesnych, bo zużytkowanie ich należało do elementarnych, że tak powiemy, obowiązków naszego zadania.

Staraliśmy się przytem zasięgnąć informacji od różnych osób, dziś jeszcze żyjących, o których widzieliśmy, że miały pośredni lub bezpośredni udział w danym wypadku. Przyznać musimy z wielką pociechą, że z małym bardzo wyjątkiem, znajdowaliśmy wszędzie uprzedzającą gotowość w niesieniu nam pomocy. Wiele osób, zasłyszawszy, że pracujemy nad historią tego okropnego roku, same z własnej woli pośpieszyły z udzieleniem nam ustnych lub piśmiennych relacji. Otrzymywaliśmy także serdeczne słowa zachęty, gorące życzenia, by Bóg nam dozwolił napisać dzieło o wypadkach, których następstwa dziś jeszcze najznaczniejsza część kraju naszego odczuwa boleśnie na sobie, a których dzieje mogą być bardzo pouczającą kartą dla obecnych pokoleń. Wielu uczestników samego powstania zaklinało nas, byśmy podnieśli niezaprzeczone bohaterstwo ludzi, którzy szli na bój nierówny, a których swoi i obcy oszkalowali później bez litości.

Wszakże w sądach naszych o ludziach i rzeczach staraliśmy się zachować bezstronność; podnosimy to, co zasługuje na podniesienie, potępiamy to, co wedle sumienia naszego, godnem jest potępienia. Obojętni jesteśmy na oszczerstwa i pełne prywaty napaści, jakich staliśmy się ofiarą z powodu napisania „Historii dwóch lat“ ze strony ludzi, którzy niczego się przez ćwierć wieku nie nauczyli,

i zapominając, że czas bieży niepowrotnie, skamienieli niejako w tych pojęciach, jakie wynieśli z burzy 1863 r. Dla nas pociągą było to, że pomimo tych napaści stronnicych, krytyk nieuzasadnionych, ogół polski przyjął nasze dzieło z uznaniem. To było największą zachętą dla nas w żmudnej, wyczerpującej i bolesnej pracy; nie kierowały nami przy pisaniu tych dziejów żadne inne względy, tylko myśl o pożytku dla własnego społeczeństwa.

Książkę naszą zaopatrzyliśmy w mapy i plany ważniejszych marszów i potyczek, co ze stanowiska wojkowego może być nie bez korzyści. Jednem słowem usiłowaliśmy zrobić wszystko, co w naszej leżało mocy, by historia ta była możliwie dokładną i prawdziwą.

Zakopane, w 65-ą rocznicę powrotu Dembińskiego z Litwy.

## ROZDZIAŁ I.

### Noc z 22-go na 23-go Stycznia.

Położenie kraju w początkach 1863 r. Przyjęcia noworoczne. Komisja broni w Paryżu. Aresztowanie jej członków. Wrażenie tego faktu. Wniosek Popiela w Dyrekcyi Białych. Misya A. Wrotnowskiego. Jego pobyt w Krakowie i we Lwowie. Komitet centralny. Zjazd komisarzy wojewódzkich w Głuchówku. Projekt w Komitecie oddania się w ręce rządu. Rząd oznacza termin branki na 15 stycznia. Zjazd komisarzy wojewódzkich do Warszawy. Włodzimierz Lempke. Wyjście spisowych z Warszawy do puszczy Kampinoskiej. Życie w obozowiskach. Decyzja zapadła na radzie u W. księcia. Branka d. 15 stycznia. Narady w Komitecie Centralnym. Komitet nakazuje powstanie. Ostateczne przygotowania. Uchwały Komitetu. Oddanie dyktatury Mierosławskiemu. Wyprawa Bremsena do puszczy Kampinoskiej. Padlewski przechodzi Wisłę pod Secyminem. Starcie pod Ciołkowem. Artykuł „Dziennika powszechnego“. Powrót Bremsena. Rogiński w Warszawie. Projekt zamachu na W. księcia. Leon Frankowski. Rozpadnięcie się Komitetu Centralnego. Plan powstania. Siły polskie. Nabycie koni kozackich. Dowódcy. Bończa-Błaszczyński. Lewandowski. Kurowski. Maryan Langiewicz, jego przeszłość i charakterystyka. Armia rosyjska, jej liczebność i wartość. Manifest Komitetu Centralnego. Dekrety o uwłaszczeniu. Napad na Płock. Niepowodzenie zupełne. Obustronne straty. Napad na Płońsk. Stan organizacji w woj. Augustowskiem. Utarczka pod Jeżewem. Napad na Wysokie Mazowieckie, Mężenin i Surąż. Organizacya powstańcza na Podlasiu. Siły rosyjskie. Plan powstania. Napad na Stok Lacki i Łuków. Atak Międzyrzecza nie przychodzi do skutku. Plan napadu na Białą. Zdrada Suchodolskiego i Zalewskiego. Postępek ks. Reformatów. Rogiński opuszcza Białą. Napad na Radzyń. Plan ataku.



Nieudany napad Pyrkosza i jego śmierć. Atak Deskura. Jeneral Kannabich ciężko ranny. Atak na Lomazy i Kodeń. Ogólne uwagi. Siły obustronne w Lubelskiem. Napad na Lubartów. Utarczka w Małej Bukowej. Utarczka pod Błędowem i Żychlinem. Plan powstania w Piotrkowskiem. Uchwała napadu na Radomsk. Zdrada Sobaczynskiego. Sandomierskie. Napad na Jedlnię i Szydłowic. Wojew. krakowskie i siły w niem rosyjskie. Czengiery. Zamierzony atak na Kielce nie przychodzi do skutku. Atak na Bodzentyn. Sytuacja w niasteczku. Śmierć porucznika Rappa. Żołnierz Zielenko. Koznow cofa się z Bodzentyna. Spotkanie na drodze do Kielc. Napad na Michałowice, Ogólne uwagi. Zakończenie.

**J**ak ciężkiej, dusznej i przesyczonej elektrycznością atmosfery, jaka się unosiła nad Polską w początkach 1863 r. dzieje nasze nie przedstawiają przykładu. Złowróżbna cisza zdawała się być i była w istocie zapowiedzią strasznej, ponurej w swym przebiegu, oplakanej w swych skutkach, burzy. Głośno od kilku miesięcy zapowiadana branka, była tem tlejącem się zarzewiem, które, nagromadzone od dwóch lat materye wybuchowe miało zapalić i wywołać jeden z najgroźniejszych, najbardziej niszczących pożarów, jakie historia kiedykolwiek w rocznikach swoich zanotować miała. Kraj cały był w nastroju nerwowego podrażnienia, w niepokoju oczekiwał jutra, niepewny co mu to jutro przyniesie. Jeden tylko Wielopolski był jak najlepszych nadziei; przekonany, że zamach, który przygotowywał, niewątpliwie się uda, udać się musi, spodziewał się po nim skutków dodatnich i w niczem nie zmienił swej postawy tak względem kraju, jak i przeciwnych sobie i skrycie z nim walczących, stronnictw. Zwłaszcza względem partii wojskowej i jej naczelnika Ramsaya okazywał ciągle dumę i lekceważenie, które tych panów nadzwyczajnie gniewało. Kiedy w d. 13 stycznia, w Nowy rok wedle starego stylu, zebrali się na pokojach zamkowych, w przepysznej błękitnej sali, zwanej hetmańskiej, władze cywilne i wojskowe dla złożenia życzeń W. księciu namiestnikowi, i gdy Wielopolski nagle ukazał się

we drzwiach od apartamentu, w którym oczekiwał Konstanty, to między jeneralicją rosyjską zrobił się ruch, gdyż przyzwyczajoną ona była, że zawsze i wszędzie w Warszawie pierwszy krok miała. Ale margrabia podniósł rękę i głosem donośnym zawołał: „najprzód Rada stanu!“ co oczywiście jenerałów doprowadzić musiało do tłumionego, tem przeto silniejszego gniewu. Ostatni też prawie poszli składać swe życzenia, i zgodnie z monarszym obyczajem, wprowadzonym teraz na dwór warszawski, ostatni całować rękę W. księżny Aleksandry Józefówny. Wszystko to rozdrażniało ich mocno; wielu z nich, jakoby udając bystry zmysł spostrzegawczy, przepowiadało głośno, że lada chwila wybuchnie rokosz zbrojny, i wtedy na nich, na wojsko spadnie cały ciężar walki może krwawej i strasznej, której polskie rządy Wielopolskiego zapobiedz nie są i nie będą nigdy w stanie. Ramsay opowiadał swym zaufanym, niby pod sekretem, a w rzeczy samej dość głośno, by wszyscy to słyszeć mogli, że stronnictwo wojskowe dopóty nie spocznie i dopóty nie przestanie wyzykiwać swego wpływu w Petersburgu, dopóki W. książę i margrabia nie zostaną obalen<sup>1)</sup>.

Przepowiednie o bliskości powstania zbrojnego, jenerałów rosyjskich, którzy się potem szczycili swoją mniemaną przenikliwością, nie były wcale trudnemi. Każdy kto umiał patrzeć, widział wielkie wzburzenie w kraju, a rząd miał mnóstwo dowodów w rękę, że z chwilą branki przyjdzie prawdopodobnie do starcia krwawego. Aresztowanie w Paryżu w końcu grudnia 1862 r. w mieszkaniu niejakiego Ludwika Brzozowskiego, przez policją francuską agentów Komitetu Centralnego: Cwierczakiewicza i Milowicza, a w hotelu Corneille: Franciszka Godlewskiego, którym zabrano papiery i pieniądze, a Budberg poseł rosyjski, kopie tych papierów przesłał do Warszawy, przekonało rząd, że stronnictwo rewolucyjne na seryo myśli

<sup>1)</sup> *Verstorbene Diplomat.* Die polnische Revolution vom J. 1863 (Deutsche Revue z r. 1892 p. 348).

o blizkiem powstaniu, skoro znaczne stosunkowo sumy wysyła zagranicę po zakupno broni. Właściwie z rzeczonych papierów rząd warszawski się dowiedział, że nie Komitet chce powstania, ale że jest popychany do tego fatalnego kroku najprzód przez komisarzy wojewódzkich, w większej części wychowalców szkoły wojskowej w Cuneo, a potem przez wszystkich należących do organizacji powstańczej i zagrożonych branką. W Komitecie Centralnym bowiem, jeszcze w grudniu 1862 r. zapadła uchwała, że pomimo poboru powstania nie będzie <sup>1)</sup>, ale inna rzecz uchwały, a inna czy organizacja, bezpośrednio zagrożona w swem istnieniu, ich posłucha. Jakoż, gdy Komitet zajmował się zbieraniem pieniędzy, które zresztą bardzo leniwie płynęły, gdy bawił się w umizgi wszeteczne do partii rewolucyjnej rosyjskiej, gdy z Padlewskim wiele sobie obiecywał z rzekomego spisku wojskowego, a o bezpośrednich przygotowaniach do powstania nie myślał, z natury rzeczy inicjatywa w tym względzie przejść musiała do rewolucyjnie usposobionej organizacji prowincjonalnej. Pierwszy krok w tym kierunku zrobił komisarz wojewódzki płocki, Edward Rolski <sup>2)</sup>, niegdyś, w 1862 r. chwilowy rewolucyjny Naczelnik miasta Warszawy. Zebrał on trochę pieniędzy <sup>3)</sup>, i na własną rękę, poza plecami Komitetu centralnego, udał się do Leodyum (Liège), i tam w jakiejś fabryce zamówił 15 tysięcy karabinów, dał na nie zadatek, obowiązując się resztę sumy zapłacić w dniu 1 stycznia 1863 r. Fabryka ze swej strony zaręczyła, że broń dostawi do granicy Królestwa polskiego. Dowiedziawszy się o tem Komitet centralny, do którego odniesiono się, by był przygotowany do wypłacenia w oznaczonym terminie reszty

<sup>1)</sup> Agaton Giller, Al. hr. Wielopolski, 120.

<sup>2)</sup> Roman Rogiński, Pamiętniki (rękopism). Korzystamy tutaj z kompletnego rękopismu, sporządzonego w wierzytelnej kopii z oryginału. Oryginał ten, o ile wiemy, został zniszczony w r. 1896. Nasza więc kopia jest unikatem.

<sup>3)</sup> Według Dra J. Łukaszewskiego (Zabór pruski w czasie powstania styczniowego, 272) Rolski zebrał 15.000 franków.

sumy za broń zamówioną, nie chcąc z jednej strony traścić zadatku, z drugiej widząc, że nie będzie w stanie powstrzymać wybuchu, wreszcie pragnąc uchwycić w ręce inicjatywę, która mu się wymykała dzięki samowolnym działaniom komisarzy wojewódzkich, postanowił nadać całej tej akcji z bronią pewną formę legalną. W tym celu, na wniosek Padlewskiego, ustanowiono w Paryżu Komisję broni, złożoną z generała Józefa Wysockiego, Ćwierczakiewicza, Włodzimierza Milowicza i Maryana Langiewicza, niedawnego profesora w Cuneo, a który w blizkiej przyszłości miał zajaśnić meteorycznym blaskiem na chmurze i krwawem niebie polskiem. Skład Komisji nie był szczęśliwie dobrany. Wysocki, oficer z kampanii 1831 r., zyskał sobie pewne imię w wojnie węgierskiej i był człowiekiem najzacniejszym, niewątpliwie gorącym patryotą, ale już starym, niedołężnym, chorym na astmę, której dość częste ataki czyniły go niezdatnym do niczego. Ćwierczakiewicz, niegdyś urzędnik w Warszawie, miał wielką fantazję, mnóstwo pomysłów, ale był człowiekiem niepraktycznym. Milowicz był rzutki, przedsiębiorczy, ale roztrzepany i nieakuratny. Wszyscy oni zresztą nie mieli pojęcia o cenach broni, o jej handlu, nie wiedzieli jak się wziąć do tego, gdzie kupować i jakimi drogami sprowadzać do kraju. Komisja ta otrzymała od Komitetu centralnego 500 tysięcy złp. na ręce Ćwierczakiewicza, który udał się do Londynu, a Langiewicza wysłano do Włoch. Umówiono się, że ponieważ pierwsi powstańcy w ogromnej swej większości strzelać nie będą umieli, trzeba więc zakupić karabiny najprostszej konstrukcyi, a przytem najtańsze, czyli niegwintowane i z gładkimi lufami. Ćwierczakiewicz z Londynu donosił Komitetowi, że może kupić 8000 karabinów, domagał się pieniędzy i pisywał sążniste memoriały, jakim sposobem broń tę dostawiać należy do kraju, memoriały w najwyższym stopniu niepraktyczne. Komitet, który nie myślał o powstaniu, który chciał tylko broń zakupioną złożyć w pewnych miejscach, aż do dal-



szego swego rozkazu<sup>1)</sup>, uzbrojenia na wielką skalę nie pragnął, przytem pieniędzy nie miał, odrzekł, że dość będzie gdy Ćwierczakiewicz kupi 4000 karabinów, a na resztę da zadatek. Zakupno więc to nie przyszło do skutku, i rzecz skończyła się na tem, że znacznie później Ćwierczakiewicz zakupił w Londynie 1000 karabinów Enfielda. Ze swej strony Langiewicz nabył w Genui około 5000 starych karabinów pruskich, płacąc za sztukę od 12 do 13 franków, co wszystko wraz z Ćwierczakiewiczem nabytkiem miało kosztować 108.000 franków<sup>2)</sup>. Ale pieniędzy brakowało; więc Komitet zebrawszy jeszcze trochę grosza, wysłał z nim do Paryża, członka swego Franciszka Godlewskiego, którego zaopatrzono także w list do Mazziniego. Już wtedy zjechała się do Paryża cała Komisyja, prócz Langiewiczza, a gdy stosunki Godlewskiego i Ćwierczakiewicza z Mazzinim okazały się policyi francuskiej podejrzanymi, przyaresztowała ich i papiery zabrała.

Wiadomość o tem, przywieziona do Warszawy przez Zygmunta Sierakowskiego, który ze swej misji urzędowej wracał, śpiesząc do chorej żony do Wilna, zrobiła wielkie wrażenie na członków Komitetu i na razie zdawała się kłaść koniec wszelkim marzeniom o powstaniu zbrojnym. Pominawszy już stratę pieniędzy, zwłokę w dostawie broni, to fakt aresztowania agentów polskich przez władze francuskie, świadczył wymownie o nieprzyjaznem dla powstania usposobieniu rządu napoleońskiego, podkopywał jedyną nadzieję na pomoc Francyi, na którą wszystkie powstania polskie tak wiele zawsze, a tak zawsze zawodnie liczyły. Potwierdzał te smutne wnioski artykuł pomieszczony w dzienniku „La France“, niewątpliwie z urzędowego źródła płynący, w którym, głoszący w tych czasach publicysta francuski, p. De la Guerroniere, zapewniał, że aresztowani nie zostali wypuszczeni na wolność, jak to niektóre ga-

<sup>1)</sup> A. Giller, Al. hr. Wielopolski, 120.

<sup>2)</sup> Wsiepoddanniejszy otczet o diejstwiach uprawnienia general-policijmejstera w Carstwie Polskom za 1864 god, p. 109.

zety donosiły, że śledztwo prowadzi się energicznie i utrzymywał, że „większość kraju odrzuca z oburzeniem knowania propagandy rewolucyjnej w Europie“. Artykuł ten skwapliwie przedrukował „Dziennik powszechny“, a za nim inne gazety warszawskie jak gdyby dla odebrania reszty otuchy tym, którzy jeszcze mogli wierzyć w powstanie zbrojne. Wielopolski znowu, w poufnych zwierzeniach prawie radość okazywał z powodu zamierzonego powstania; był przekonany, że po śniegu łatwo wytropi powstańców, że tym sposobem raz na zawsze zgniecie stronnictwo rewolucyjne i będzie mógł rządzić spokojnie i Polskę do wysnionej przez siebie szczęśliwości doprowadzić.

Jednakże nie wszyscy mieli tak różowe nadzieje i taki pogląd na położenie kraju, drgającego w konwulsjach gorączki. Przedewszystkiem pełną najczarniejszych myśli i przeczuć była Dyrekcyja Białych; czy to w skutek lepszej znajomości swego społeczeństwa, czy może bezpośredniejszego stykania się z różnemi jego warstwami, przekonana ona była, że powstanie gdy raz wybuchnie, tak łatwo pokonać się nie da, jak to oświadczał Margrabia, a potem, że najgorsze, najopłakańsze dla kraju sprowadzi następstwa. Zwłaszcza bankier Leopold Kronenberg, umysł bystry i przenikliwy, rozpaczliwie się patrzył na rzeczy, i zachęcał swych kolegów w Dyrekcyi do przeciwdziałania grożącej wybuchem burzy. Dyrekcyja odbywała teraz bardzo częste narady, i w chęci zapobieżenia nieszczęściu, jak nazywano powstanie, najrozmaitsze podawano projekta. Pan Paweł Popieł, bogaty ziemianin z Kurozwęk w Sandomierskiem, sąsiad Margrabiego, mający z nim ciągle stosunki, posiadający rozległe wpływy tak w Królestwie, jak i w Galicyi, radził, może nie bez insynuacyi ze strony Naczelnika rządu cywilnego, ażeby obywatele ziemscy, w razie wybuchu powstania, najkategoryczniej przeciw niemu się oświadczyli, a nawet, przechodząc od słów do czynu, aby przy pomocy włościan ubezwładnili pierwszy wybuch, odstawiając biegnących do lasu, władzom rosyj-

skim<sup>1)</sup>. Wniosek ten był dyskutowany na posiedzeniach Dyrekcyi i stanowczo odrzucony został; pomijając bowiem już wstręt do takiego kroku, wstręt bardzo naturalny, wydawania rządowi swych braci, rządowi obcemu i w gruncie rzeczy przez wszystkich zniechędzonego, upatrywano nie bez słuszności w takim postąpieniu, może roztropnem, ale w swej roztropności za zbyt heroicznem, zarzewie wojny domowej. Utrzymywano, że wojna domowa będzie stokroć gorszą od następstw samego powstania, które to następstwa pesymiści zanadto przesadzają, gdyż wobec postawy W. ks. Konstantego nie mogą one być zbyt wielkie i zbyt zgubne. Zresztą wątpiono czy tego rodzaju krok mógłby się udać, przepowiadano, że zaledwie bardzo szczupła garstka odważniejszych obywateli zdobyłaby się na niego, w czym niewątpliwie miano racya, jak mieli racya ci także, którzy twierdzili, że wszelkie narady i działania Dyrekcyi są spóźnione, gdyż zbliżającej się burzy nic już zażegnać nie zdoła.

Mimo to, większość członków Dyrekcyi nie sądziła, by wolno jej było w tak opłakanem położeniu ojczyzny, ręce założyć i być niemyym widzem rozgrywającego się dramatu. Postanowiono więc działać o ile się tylko da, ale działanie to, jak wszystkie kroki tego ciała, chorego na niemoc czynu, miało charakter bezpłodności i połowiczności. Przewidując, że przyszłe powstanie z natury rzeczy liczyć wiele musi na pomoc zaborów, zwłaszcza austriackiego, zdecydowała Dyrekcyja wysłanie kogoś do Galicyi z misją namówienia wybitniejszych ludzi tej prowincyi, do odmówienia wszelkiego poparcia tak moralnego jak i materialnego zbrojnemu ruchowi w Królestwie. Do misyi tej, bardzo trudnej i bardzo delikatnej, wybrano Antoniego Wrotnowskiego, głośnego w tej dobie mecenasa, człowieka zdolnego i inteligentnego, który z czasem miał nawet w literaturze politycznej polskiej zająć wybitne stanowisko<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Źródła rękopiśmienne.

<sup>2)</sup> Jest on autorem znakomitej książki p. t. „Porozbiorowe

Polecono mu, aby niezwłocznie udał się do Krakowa, do redakcyi „Czasu“, i starał się nakłonić ten wpływowy w tym czasie i bardzo czytany dziennik, do oblewania zimną wodą zbyt rozgorączkowanych umysłów w Królestwie. Z Krakowa Wrotnowski miał jechać do Lwowa, gdzie zapowiedziane posiedzenia sejmowe zgromadziły znaczną ilość najwybitniejszych mężów Galicyi, i starał się zbadać, czy wpływ ich i usiłowania nie mogłyby zapobiedz ruchowi zbrojnemu, i żeby w imię miłości ojczyzny zachęcił ich do najgorliwszego działania w tym kierunku. Wrotnowski misyi tej się podjął i mniej więcej koło d. 10 stycznia 1863 r. udał się do Krakowa, gdzie zabawił dwa dni, spędzając je na konferencyach z redaktorami i właścicielem „Czasu“, bankierem Kirchmayerem. Członkowie redakcyi po wysłuchaniu w czyjem imieniu, w jakim celu poseł z Warszawy do nich przybył, nie zdołali ukryć swego zdziwienia, że w ogóle takie projekta mogą istnieć i że tego rodzaju żądania do nich zanoszą. W każdym razie okazali niechęć do takiego wystąpienia, a w końcu przyparci do muru oświadczyli, że sprawa ta wyłącznie jest zależną od właściciela „Czasu“ Kirchmayera, okazując przez to, że wyłącznie względami materialnymi kierowano się w tak doniosłych rzeczach. Wrotnowski więc musiał się udać do owego Kirchmayera. Jeden z redaktorów zaprowadził go do niego i był obecnym przy nader ożywionej dyskusyi, trwającej blisko cztery godziny. Kirchmayer na wszystkie argumenta, stawiane przez posła warszawskiego, ciągle powtarzał, że tak szczytnego patriotyzmu, jaki panuje w Królestwie, gasić nie chce; że więc nigdy nie zezwoli na zmianę kierunku, w jakim „Czas“ o sprawach polskich pisze<sup>1)</sup>.

Z uczuciem głębokiego smutku, z wrażeniem że jedynie przyczyny materialne kierują Kirchmayerem, w czem

aspiracje polityczne narodu polskiego“, wydrukowanej w Krakowie w r. 1883.

<sup>1)</sup> Relacya piśmienna tegoż Wrotnowskiego.



redakcyja dziennika była tylko narzędziem doskonale świadomem celów swego wydawcy, Wrotnowski opuścił Kraków i udał się do Lwowa. Tutaj rozpoczynająca się kadencyja sejmowa zgromadziła oprócz posłów, znaczną liczbę najwybitniejszych mężów Galicyi i sposobność była bardzo szczęśliwa, by użyć ich wpływu dla stłumienia gotującego się pożaru. Byli więc tutaj Adam i Alfred hr. Potoccy, był Grocholski, Zyblikiewicz, marszałek ks. Sapieha i jego syn Adam, Ziemiałkowski, Smolka, Henryk Wodzicki, Dzie duszycki i wielu innych. Wrotnowski zabawił we Lwowie około dziesięciu dni i przez ten czas znosił się ze wszystkimi tymi panami bądź z osobna, bądź na poufnych zebraniach, złożonych z kilku osób. Wszyscy oni bez wyjątku, jak najkategoryczniej potępiali zamiary Komitetu centralnego i zbrojne powstanie nazywali szaleństwem. Przewidywali oni i głośno to mówili, że następstwa wybuchu będą bardzo szkodliwe dla narodowej sprawy polskiej, jednakże z niemocą, charakteryzującą całą szlachtę i wszystkich rozumniejszych ludzi tej epoki, oświadcza li, że nic zrobić nie są w stanie, że na rozegzaltowaną młodzież i na stronnictwo ruchu już żadnego wpływu nie mają i mieć nie mogą. Nawet Ziemiałkowski, odznaczający się między posłami sejmowemi pewną czerwonością przekonań, powiedział Wrotnowskiemu, że radził przewodnikom ruchu, aby z powstaniem poczekali do chwili, w którejby Rosya była wpłataną w jaką wojnę, toczącą się u granic polskich, ale że rad jego słuchać nawet nie chciano. Adam ks. Sapieha twierdził, że już jest zapóźno oddziaływać przeciw powstaniu, które niechybnie branka, naznaczona przez Margrabiego, wywoła, i oświadczył, że zdecydowany jest ze swymi przyjaciółmi politycznemi nadać ruchowi charakter protestu zbrojnego przeciw rekrutacyi, nic więcej <sup>1)</sup>. Jednem słowem wszyscy ci panowie, cała kwintesencya polskiego rozumu stanu, gorzko ubolewali nad opłakaną sytuacją kraju, ale czuli się wobec niej bezsilni i bez wpływu

<sup>1)</sup> Relacya piśmienna ks. A. Sapiehy.<sup>1</sup>

politycznego na rozgorączkowane masy, pragnące co rychlej „dosiąść owdowiałego siodła”. Pocieszali się tylko tem, jeżeli to za pociechę uważać można, że powstanie zbrojne nie uda się wcale, że wojsko rosyjskie w ciągu kilku dni rozniesie je na cztery wiatry, że kraj zapewne ciężko to odpokutuje, ale otrzeźwi się na długo <sup>1)</sup>. Misya więc Wrotnowskiego zupełnie się nie powiodła; owszem wracał on z pewnem zniechęceniem rozpaczliwem w duszy, z uczuciem, że straszne niebezpieczeństwo jest widocznem, a zapobiedz mu nie podobna, i to zniechęcenie przelać musiał w członków Dyrekcyi Białej. Wrócił do Królestwa d. 22 stycznia, to jest w przeddzień burzy, której już głuche pomruki słyszeć się dawały.

Ale jeżeli Dyrekcyja takie nieudolne przedsiębrała usiłowania dla powstrzymania klęski i w tragicznej niemocy patrzeć na nią musiała, niemniej bolesne sceny rozgrywały się w łonie tego ciała, które nosiło nazwę Komitetu centralnego, a które zuchwale podjęło się kierowania losami narodu po rozkołysanych falach dziejowego żywota. Rok 1863 zastał ten sam skład Komitetu, jaki był dotąd, t. j. stanowili go: Oskar Aweyde, Agaton Giller, Zygmunt Padlewski współcześnie Naczelnik miasta i Stefan Bobrowski. Wobec ważności gotujących się wypadków, d. 3 stycznia weszli doń w charakterze zastępców <sup>2)</sup>: Józef Janowski budowniczy. Jan Majkowski urzędnik Komisyi skarbu, i ks. Karol Mikoszewski, znany w organizacyi pod pseudonimem Sykstusa. Powodem, o ile się zdaje, tego zwiększenia ciała komitetowego, było osobliwsze zdarzenie, świadczące jak dalece Komitet nie był panem położenia, i ulegając losowi wszystkich zbyt rozgałęzionych spisków, stawał się powoli narzędziem w rękę podwładnej mu organizacyi.

Jeszcze w roku zeszłym, Komitet, widząc niebezpieczeństwo zbytecznego rozszerzania organizacyi, werbowa-

<sup>1)</sup> Relacya Wrotnowskiego.

<sup>2)</sup> A. Giller, *Historya powstania narodu polskiego* I, 222.



nia do niej ludzi, o których niezawsze miano dokładne wiadomości, a tym sposobem narażania spisku na zdradę, jak tego zresztą pojedyncze wypadki tu i owdzie się zdarzały, wydał był rozporządzenie do wszystkich komisarzy wojewódzkich, aby powstrzymali rozszerzanie spisku, by przyjmowali doń tylko ludzi pewnych i znanych. Może jednym z powodów tego rozporządzenia było to także, żeby ścieśnić bardziej spisek i łatwiej trzymać jego nici w ręku. Prócz tego Komitet w obawie, by Komisarze za jego plecami, jak tego dał dowód komisarz płocki Rolski, nie kupowali broni i tym sposobem, wbrew uchwale grudniowej o dyslokacji spisowych, nie wywołali przedwczesnego powstania, rozporządzeniem owem zakazywał jak najsurowiej komisarzom sprowadzania broni. Rozporządzenie to większości komisarzy nadzwyczajnie się nie podobało. Po między nimi znajdował się człowiek niezwykle, do szaleństwa prawie dochodzącego zapału, patriota ultra-czerwony, który brał udział we wszystkich dotychczasowych manifestacjach, Leon Frankowski. Był on komisarzem województwa Lubelskiego. Młody ten, dwudziestoletni zaledwie chłopiec, okazywał niewyczerpaną energią w rozgąłęzianiu spisku, porywał się na rzeczy niemożliwe i był jak najzarliwszym, najniebezpieczniejszym zwolennikiem prędkiego wybuchu. Uchwała o dyslokacji spisowych, zakaz rozszerzania organizacji i sprowadzania broni, wyraźne wreszcie zapowiadanie Komitetu, że nie myśli o rychłym powstaniu, oburzało Frankowskiego do głębi, i, jak większość młodzieży tej doby, anarchicznie usposobiony, postanowił się temu oprzeć i działać na własną rękę. W tym celu zaprosił on wszystkich komisarzy wojewódzkich na walny zjazd do Warszawy, dla przedyskutowania, jak pisał, najważniejszych i niecierpiących zwłoki spraw krajowych. Jakoż większość komisarzy usłuchała tego wezwania i w ostatnich dniach grudnia 1862 r. zjechali się oni do stolicy w liczbie siedmiu<sup>1)</sup>, a mianowicie był tam najprzód

<sup>1)</sup> Relacja jednego z uczestników tego zjazdu.

inicyator tego spisku przeciw spiskowi: Leon Frankowski, był znany nam już komisarz płocki Edward Rolski, komisarz podlaski Roman Rogiński, augustowski Józef Piotrowski, mazowiecki Stanisław Frankowski, kaliski Gustaw Wasilewski, i na koniec Józef Oksiński, wychowaniec szkoły wojskowej w Cuneo, późniejszy dowódca w powstaniu, teraz jednak żadnego charakteru urzędowego nie mający<sup>1)</sup>. Narady z początku odbywały się w mieszkaniu Leona Frankowskiego, w hotelu Polskim na ulicy Długiej, wśród których przyszło zaproszenie od niejakiego Władysława Stojnowskiego, by zjazd przeniósł się do niego na wieś. Zapraszający, znany był w kołach rewolucyjnych jako gorący patriota, bardzo czerwono usposobiony choć tytułował się hrabią i przez swe stanowisko społeczne należeć był winien do stronnictwa umiarkowanego. Rodem z Podola, wyszedłszy z wojska rosyjskiego, w którym jakiś czas służył, nabył on w okolicach Rawy Mazowieckiej, o parę zaledwie wiorst od tego miasta, wieś Głuchówek, i tam teraz zaprosił zebranych w Warszawie. Jakoż pojechali oni wszyscy w d. 1 stycznia 1863 r. i w ogromnej swej większości domagali się wysłania do Komitetu centralnego adresu, pewnego rodzaju ultimatum, w którym chcieli przedstawić położenie kraju, potrzebę nieograniczania i niekrępcwania przygotowań do ruchu zbrojnego, wreszcie uchwały powstania na wypadek branki, grożąc, że w przeciwnym razie, sami bez Komitetu zarządzają wy-

<sup>1)</sup> A. Giller, *Historia II*, 15 wymienia jeszcze Ignacego Maciejowskiego, komisarza sandomierskiego. Według naszych relacji Maciejowski na tym zjeździe nie był. W ogóle Giller ma bardzo niedokładne wiadomości o tej akcji. W broszurze, która ukazała się w Genewie w r. 1863, p. t. „Précis historiques sur la Pologne, rédigé sur les notes du comte Ladislas Stojnowski“ jest powiedziane, że w zjeździe brało udział 11 osób, co jednak wobec relacji naocznego świadka wydaje nam się wątpliwem, choćby z tego względu, że tylu komisarzy wojewódzkich nie było. Może być zresztą, że w Głuchówku, dokąd zjazd się przeniósł, przyjechał kto z okolicznej szlachty i wraz z gospodarzem Stojnowskim liczba spiskowców wzrosła do cyfry jedenastu.



buch zbrojny. Ponieważ dochodziły wieści, że branka naczyną została na d. 15 stycznia, więc żądali by powstanie w tym terminie wybuchło <sup>1)</sup>. Pomimo oporu Rogińskiego i Piotrowskiego, którzy wykazali całą bezsensowność prędkiego wybuchu, ultimatum takie zostało spisane i z nim Leon Frankowski pojechał do Warszawy do Komitetu centralnego <sup>2)</sup>.

Uczucie, jakiego doznać musieli rozumniejsi członkowie tego ciała odebrawszy podobne żądania, porównać chyba można do uczucia załogi okrętu, która mimo wszelkich wysiłków widzi, że statku uratować nie może i że lada chwila pochłona go otchłanie morskie. Zrazu pod wpływem głębokiego oburzenia udzielono Leonowi Frankowskiemu dymisy z komisarstwa i chciano go aresztować, ale wkrótce pod naciskiem niższej organizacyi, dymisy tę cofnąć musiano <sup>3)</sup>. Zresztą nie był to środek, któryby mógł zapobiedz nieszczęściu, bo nieszczęście było widocznem i nieuniknionem prawie. Większość członków Komitetu pomimo całej czerwoności swych przekonań, byli ludźmi uczciwymi i gorąco kochającymi tę Polskę, dla której gotowi byli nieba przychylić i choćby krwią własną

<sup>1)</sup> W cytowanej broszurze: „*Précis historiques sur la Pologne*“ p. 81, tak są sformułowane te żądania: 1) prosić Komitet Centralny by przybył (do Głuchówka) w całym swym składzie dla rozpatrzenia położenia kraju; 2) domagać się od rzezonego Komitetu by wykazał sposoby i środki powstania oraz swe zasoby pieniężne; 3) żądać od Komitetu by wyznaczył na powstanie dzień 15 stycznia, jak tego organizacya całej Polski pragnie i wymaga; 4) uwiadomić Komitet, że walka wybuchnie d. 15 stycznia, jakkolwiek tenże Komitet poweźmie decyzję.

<sup>2)</sup> R. Rogiński w swej relacyi o tym zjeździe utrzymuje, że pisał protokół posiedzenia, i doskonale pamięta, że w adresie poslanym do Warszawy, nie było wcale mowy o rychłym powstaniu, a tylko domaganie się, by nie zakazywano dalszego szerzenia organizacyi i sprowadzania broni, ale relacya ta wobec innych świadectw nie wydaje się być autentyczną. Czytaj *ks. A. Słotwińskiego: Wspomnienia z niedawnej przeszłości*, p. 187.

<sup>3)</sup> *Ks. A. Słotwiński, Wspomnienia*, 187.

utorować drogę do jej zbawienia. Ale teraz widzieli, że zamiast zbawienia, które obiecywali, zawiedli tę ubóstwianą ojczyznę, do ostatecznej zguby i ruiny. To samo narzędzie, które z takim trudem i mozołem ukuli dla ratunku kraju, pogrążało ten kraj w niedolę nieopisaną. Żadnemu bowiem z nich, chociażby najbardziej zaślepienemu nie wydawało się możliwem pokonanie potężnej Rosyi własnymi siłami. Przed oczami ich duszy rysował się obraz krwi, zniszczenia, plag wszelkiego rodzaju, grób wreszcie Polski...

Położenie niezaprzeczenie było bardzo tragiczne, tak tragiczne, jakie rzadko w dziejach spotykać się daje, i wtedy to zapewne, w rozpaczliwym usposobieniu, urodziła się wśród niektórych członków Komitetu, dziwna, heroiczna myśl, aby „organizacyą rozwiązać, wydać manifest odpowiedni z podpisami członków Komitetu, którzy sami oddadzą się rządowi, a kraj przed odpowiedzialnością zasłonią“ <sup>1)</sup>. Wniosek ten, tchnący rozpaczą, a zarazem niewątpliwem bohaterstwem i ofiarnością, postawił, o ile się zdaje, Stefan Bobrowski, najmłodszy z członków Komitetu, najidealniejsza, najbardziej poświęcająca się postać tych czasów, tak pełnych nieziszczonych ideałów i poświęceń. Poparł go Jan Majkowski, i zresztą projekt na wszystkich wielkie wywarł wrażenie i do głębi zatargał ich duszami. Radzono, by cały Komitet, tak jak stał, udał się gremialnie do Zamku, i oddając się w ręce W. ks. Konstantego, żądał odeń w zamian swego całopalenia, jedynie ratunku ginącej ojczyzny. Było coś męskiego, coś podniosłego w tym wniosku, coś przypominającego rzymską historyą i heroiczne podania starożytności, i nie należy wątpić, że nawet na wyziębioną duszę wielkiego kniazia rosyjskiego, Temistoklesowe oddanie się w ręce największego wroga, wywarłoby potężne wrażenie i mogłoby nieobliczone wywołać następstwa. Ale były w Komitecie dusze małe i poziome, umysły mierne i mieszczańskie, którym tego rodzaju

<sup>1)</sup> *Al. Szczepański, Po burzy*, 13.



myśl wydawała się śmieszną i niepraktyczną; byli ludzie tak przejęci nienawiścią do Rosyi i tak nieufający rządowi, że pewni byli, w razie dojścia do skutku projektu Bobrowskiego, zesłania na Syberya, a perspektywa ta wcale im się nie uśmiechała; byli nakoniec szaleńcy, którzy, nie oglądając się ani na skutki, ani na możebność, chcieli koniecznie jak najprędzszego powstania i ultimatum komisarzy witali z nietajoną radością. Bądź co bądź, wniosek ten wywołał gorące dyskusye w Komitecie. Twierdzono, nie bez słuszności, że manifest i zdanie się na łaskę i niełaskę rządowi najwyższego ciała rewolucyjnego, wcale powstania nie wstrzyma, ani kraju nie osłoni, a sam wybuch pozbawi przewodców, świadomych stanu rzeczy. Padlewski, jedyny wojskowy w Komitecie, stąd mający w nim znaczną przewagę, twierdził, że położenie wcale nie jest tak rozpaczliwe, jak się niektórym zdaje, że układy z partya rewolucyjną rosyjską nie są himerą, że twierdza Modlin, dzięki spiskowi oficerów, łatwo wpadnie w ręce powstańców, i dając im z jednej strony punkt oparcia, z drugiej zaopatrzy ich w broń i zapasy wojenne. Wreszcie dotknęto psychologicznej, że tak powiemy, strony Komitetu. Ofiara taka, mówiono, wyrze na kraj, na organizacyą, wpływ niesłuchanie demoralizujący. Wiadomość, że przewodcy, ów tajemniczy, uchodzący dotąd za wszechmocny Komitet centralny, okazał się bezsilnym, że nawarzył lekkomyślnie piwa, którego teraz pić nie chce i na wzór Pilata ręce umywa, wiadomość taka, powtarzali, rozprzęże organizacyą zupełnie i sprawę wyjarzemia ojczyzny na długo, może na zawsze odwlecze. Lepiej więc zginać, niż pokazać światu, że cały ruch i jego kierunek był tylko jedną zbrodniczą, niedarowaną lekkomyślnością<sup>1)</sup>.

Wszystkie te względy i uwagi zrobiły to, że Komitet odrzucił projekt Bobrowskiego, a natomiast postanowił osobiście rozmówić się z komisarzami i naczelnikami województw, którym polecił zjechać się do Warszawy na

<sup>1)</sup> Loc. cit. i materiały rękopiśmienne.

dzień 11 stycznia<sup>1)</sup>. Zjazd ten przyśpieszono i z tego także względu, że wiadomość zaznaczona w ultimatum głuchowskiem, o mającej nastąpić w d. 15 stycznia brance, okazała się prawdziwą. Na przyśpieszenie terminu poboru wpłynęła wiadomość o aresztowaniu w Paryżu wysłańców Komitetu. Rząd z papierów, im zabranych i przesłanych w kopii przez Budberga, dowiedział się, że powstanie wisi, że tak powiemy na włosku, i uprzedzając je, postanowił wcześniej, niż pierwotnie zamierzał, rekrutacyi dokonać<sup>2)</sup>. Na radzie, zwołanej w Zamku u W. księcia z powodu owych wieści, Wielopolski domagał się przyśpieszenia terminu branki, na co się zgodzono i oznaczono ją na d. 15 stycznia<sup>3)</sup>. Jakkolwiek narada ta odbywała się w ścisłem i zamkniętem kole, jakkolwiek władze warszawskie postanowiły termin poboru zachować w zupełnej tajemnicy, to jednak musiano rozesłać odpowiednie rozkazy organom podwładnym, od których Komitet centralny zaraz nazajutrz dowiedział się o wszystkim<sup>4)</sup>. Wydał on też zaraz surowe rozporządzenie do burmistrzów, wójtów gmin i wszelkich władz, które mogły brać udział w poborze, ażeby w niczem nie dopomagały do jego uskutecznienia, ale prze-

<sup>1)</sup> R. Rogiński, Pamiętniki (rkpsm.).

<sup>2)</sup> H. Łisicki, Le marquis Wielopolski II, 353, wyraźnie powiada: „le même fait (aresztowania paryzkie) paraît avoir aussi accéléré le terme de recrutement, qui fut fixé au 15 janvier“.

<sup>3)</sup> A. Giller, A. Wielopolski.

<sup>4)</sup> Loc. cit. Wł. Milowicz, (Z papierów, pozostałych po ś. p. Włodzimierzu Milowiczu. Materiały do historii powstania IV, 79) twierdzi, że „Komitetowi centralnemu dwa razy udało się dowiedzieć o dniu, w którym branka się miała odbyć, i zarządził, że wszyscy skazani na wzięcie, z domów byli usunięci. Ale i rząd rosyjski w porę dowiedział się o tem, że został zdradzony i w porę odwołał rozkaz już dany do uskutecznienia branki“. Wszystko to nie jest prawdą. Rząd nie dawał rozkazów do poboru, bo nie miał zamiaru dokonywać go tak wcześniej, zdradzony więc nie był i odwoływać nic nie potrzebował. W skutek przyczyn wymienionych w tekście, przyśpieszył termin branki i rozkazów swych wcale nie cofał. W ogóle, zaznaczyć tu musimy, relacya Milowicza, szumnie nazwana memoriałem, jest pełna fałszów, niedokładności i błędów.



ciwnie stawiały mu opór. Nakaz ten rozesłano pocztą, w czym chętnie swe usługi nieśli niektórzy urzędnicy<sup>1)</sup>, tak dalece, że Wielopolski musiał w „Dzienniku powszechnym” ostrzegać, „że urzędnicy, którzyby przy obecnym poborze do wojska, ściśle nie spełnili swych powinności, oprócz kar spadających na nich z art. 345, 352 i 450 kodeksu kar głównych i poprawczych, ulegną jeszcze odpowiedzialności za popieranie knoń, czynny i zbiorowy opór przeciw władzy na celu mających, które to przestępstwo rozpoznaniu sądów wojennych podpada”. Ze swej strony Komitet jeszcze raz wznosił się na wysokość swego obowiązku i mimo gróźb komisarzy wojewódzkich, mimo przyspieszonej branki, nie zmienił postanowienia, że powstania nie będzie i utrzymywał w swej mocy pierwotne rozporządzenie co do dyslokacji spisowych<sup>2)</sup>. Zrobiono przytem jeszcze jedno usiłowanie. Ponieważ listy proskrypcyjne znajdowały się w ratuszu warszawskim, w wydziale woj-skowym, powzięto więc w Komitecie zamiar spalenia ratusza, a z nim owych spisów. Jakkolwiek rzecz ta w rezultacie nie byłaby zapobiegła brance, ale wprowadziłaby konieczne zamieszanie i zmusiłaby rząd do jej odroczenia, do czasu przygotowania nowych spisów. W tym celu Padlewski, jako Naczelnik miasta, wydał rozkazy jednemu ze swych podwładnych, Męcarskiemu nazwiskiem, który był członkiem policji rewolucyjnej i w przeszłym roku brał udział w zabiciu Felknera, naczelnika tajnej policji warszawskiej. Współcześnie Męcarski był aplikantem w magistracie i właśnie w wydziale woj-skowym, mógł więc łatwiej niż ktokolwiek bądź, tego rodzaju zamysłu dokonać. Padlewski dał mu nawet na ten cel 400 rubli; mimo to rzecz w części zaledwie się udała. Zgorzały tylko spisy proskrypcyjne z jednego cyrkulu (jedenastego); reszta ocalała i zamiar

<sup>1)</sup> *Iawliszczew*, Siedmicy polskiego miatieża II, 13, opowiada, że niejaki Nowacki, urzędnik pocztowy w Suwałkach, rozsyłał ten rozkaz Komitetu w kopertach urzędowych i za numerem. do wszystkich burmistrzów i wójtów w okolicy.

<sup>2)</sup> *A. Güller*. *A. Wielopolski*. 121.

ten chybił w zupełności i więcej już usiłowań w tym kierunku nie robiono<sup>1)</sup>.

Wśród tego wszystkiego, wśród gorączki owładającej wszystkimi i nadzwyczajnego niepokoju, objawiającego się między niższymi słojami organizacyi, bezpośrednio zagrożonymi branką, wezwani przez Komitet centralny na dzień 11 stycznia, komisarze i naczelnicy województw, zjechali się bardzo licznie do Warszawy. Z Kijowa nawet stawił się Antoni Juryewicz, jako przedstawiciel młodzieży tamtejszej, którego wslawiły później tragiczne przygody, omal nieprawdopodobne i jakby wyjęte z romansu. Narady odbywały się zwykle w hotelu wileńskim na Tłomackiem, albo w mieszkaniu Jeskego na ulicy Widok, którego młoda i piękna żona silne wrażenie zrobiła na młodzieńczej i zapalnej duszy Padlewskiego, i u której przechowywała się kasa Komitetu. Potrafiono wytłómaczyć komisarzom, że ich ultimatum niema poprostu sensu, że niema broni, że nie niema, że Ruś i Litwa zaledwie poczęły się organizować, że zatem zbrodnia byłoby wobec ojczyzny wywoływać teraz wybuch, który rząd może w ciągu kilku dni stłumić krwawo i przywrócić dawne czasy paskiewiczowskie. Komisarze uznali słusność tych uwag i ostatecznie na wspólnej naradzie postanowiono; przygotowywać się do wybuchu na wiosnę, a tymczasem zająć się energicznie przeprowadzeniem dyslokacji spisowych i tym sposobem zamierzoną brankę unicestwić. Wszyscy komisarze otrzymali znaczną ilość blankietów pasportowych, dla wydawania ich spisowym<sup>2)</sup>, i z tem rozjechali się do swoich województw, pewni, że powstania nie będzie, że straszne nieszczęście zażegnanem zostało.

Tymczasem, jeszcze przed ich przybyciem, w Warszawie z rozkazu Komitetu, a raczej organizacyi miejskiej, a nawet samorzutnie ze strony zagrożonych branką, rozpo-

<sup>1)</sup> Materyały rękopiśmienne.

<sup>2)</sup> *R. Rogiński*, Pamiętniki. On sam otrzymał 3000 takich blankietów.

częło się wykonywanie uchwały o dyslokacji. Wieść o terminie 15 stycznia, przeniknęła wszędzie, i spisowi, oraz wszyscy młodzi ludzie, którzy czuli się winnymi względem rządu, poczęli nalegać na zwierzchników organizacji miejskiej, aby ich ratowali. Ci, nieprzygotowani do tego, na razie nie wiedzieli, co robić. Niektórzy dziesiątnicy i setnicy, nie wiedząc, co Komitet zamysła, przekonani o jego wszechmocy i rozumie, gromili surowo swych podwładnych i wołali: „siedzieć w domu, nic nie będzie, a jakby was wzięto, Komitet postara się was uwolnić“. Nie wszyscy jednak tą obietnicą się zadawalniali, i gorączka ogólna wzrastała. Padlewski jako naczelnik miasta, w głębi duszy pragnący powstania, trapiiony niepokojem serca, zranionego nieprawą i pozbawioną nadziei miłością, liczący wiele na mniemany spisek oficerów, którzy mu obiecali wydać Modlin, nakazał swemu pomocnikowi, noszącemu miano organizatora miasta, Włodzimierzowi Lempke, aby wszystkich zagrożonych branką wyprawiał w dół Wisły, w lesiste okolice, w t. z. puszcę Kampinoską, na lewym rzeki brzegu, a po jej prawym, w bory Jabłonny, Serocka i Zegrza. Prawdopodobnie projektował sobie, że, jeżeli powstanie wybuchnie, to będzie miał gotową siłę do zajęcia Modlina; rachował na 4.000 ludzi, z którymi zamierzał uderzyć na tę twierdzę i zdobyć ją przy pomocy uczniów tamtejszej szkoły podchorążych (junkierskiej), oraz oficerów garnizonu, wciągniętych do spisku <sup>1)</sup>. Lempke, znany w organizacji pod pseudonimem Ludwika, człowiek młody, obdarzony niepospolitą odwagą i pomysłowością, pochodził rodem z Kijowa, i wnosił w ruch rewolucyjny, jak wszyscy Kijowianie, dziką prawie energią, nie uznającą niepodobieństw i pewną dozę terroryzmu, który uważali za konieczny dla powodzenia sprawy. Syn zrusyfikowanego Niemca, generała wojsk rosyjskich i matki Polki, jakkolwiek chowany przez ojca w duchu rosyjskim (w domu ojciec mówił tylko tym

<sup>1)</sup> S. Gesket-Puzyrewskij, *Wojennyja dziejstwa w Carstwie Polskom*, 19.

językiem), jednakże dzięki wpływowi matki i otoczenia, stał się gorącym patryotą polskim. Przeniósłszy się do Warszawy, pełnił obowiązki mechanika przy fabrykach żelaznych na Solcu i oddawna należał do organizacji rewolucyjnej. Teraz jako organizator miasta wziął się bardzo czynnie do usuwania spisowych z Warszawy. Ta dziwna, rozpaczliwa, straszna w swych skutkach emigracja, rozpoczęła się d. 10 stycznia. Wychodzili przeważnie rzemieślnicy, młodzież zawieszona przy różnych dykasteryach rządowych, ci wszyscy jednym słowem, którzy przeczuwali, że mogą być wzięci. Działo się to jawnie na oczach policji rządowej, która zresztą nie mogła nie widzieć nadzwyczajnego ruchu młodzieży w mieście. Wielu wstępowało do kościołów, i tam przed czekającym ich nowym życiem, pełnem niebezpieczeństw i prywaty, spowiadało się i modliło <sup>1)</sup>. Wielu, zwłaszcza tych, którzy szli przez Pragę, do wskazanych im lasów Serockich, odprowadzały całe rodziny, kobiety żegnały się z nimi, płakały i głośno przeklinały Moskali. Byli tacy, którzy sprzedawali swe rzeczy publicznie, by mieć trochę grosza przy sobie. Wprawdzie niektórym organizacja miejska przez setników i dziesiątników, wypłacała po 2 do 3 złp. na drogę, ale takich nie było wielu i trudno było w tym zamęcie i niepokoju odnaleźć wszystkich, lub szukać dziesiątników. Przez cały dzień słotny i śnieżny, jakkolwiek dość ciepły, tłumy młodzieży snuły się po Pradze i Warszawie, po ulicach, wiodących do rogatek Powązkowskich i Marymonckich. Obiecywano wszystkim, że zastaną na miejscu dowódców, broń, żywność...

W rzeczy zaś samej tego wszystkiego nie było i być nie mogło. Broni, jak wiemy, nie przygotowano wcale. Wprawdzie w Warszawie, jeszcze od r. 1861, dzięki staraniom Komitetu akademickiego, założono w domku na rogu ulicy Brackiej i Jerozolimskiej, małą fabrykę broni, przeważnie siecznej, i w chwili wyjścia spisowych z War-

<sup>1)</sup> N. Berg, *Zapiski*, II. 417.



szawy, w fabryce tej na składzie znajdowało się nieco pałaszy, nieco lanc, sztyletów, rogatek żelaznych, przygotowanych na wypadek powstania w Warszawie, trochę strzelb myśliwskich i kilkaset kos. Te ostatnie, w liczbie sztuk dwustu, zabrał Lempke i zawiózł „dzieciom warszawskim“, jak poczęto zwać emigrantów, do lasów w okolicy Serocka. Co się tyczy żywności, to najprzód większa część przyszłych powstańców żywić się musiała własnym przemysłem, skupując po wsiach chleb, jaja, wódkę, lub zabierając gwałtem; następnie dzięki energii Lempkego, udało się przynajmniej dla tych, co byli w lasach Jabłonny (właściwie między Nieporętem i Michałowem) uorganizować systematyczną dostawę żywności z Warszawy. Przy pomocy organizacji miejskiej, dzięki wreszcie patryotyzmowi mieszkańców, nakazano wszystkim handlującym wiktuałami (rzeźnikom, piekarzom, młynarzom, dystylatorom i t. p.), ażeby składali żywność w naturze do domu żyda Bardyowera na Pradze, gdzie urządzony był magazyn <sup>1)</sup>. Stąd co parę dni, różni niżsi członkowie organizacji miejskiej wozili pocztą do obozu wychodźców chleb, słoninę, wędliny, okowitę i t. p. To też w obozowiskach Serockich było wesoło, o ile wobec niepewnej i chmurnej przyszłości można się było weselić. „Dzieci warszawskie“ przeważnie mieszcuchy, nie umiały się urządzać należycie w leśnym obozowisku. Nie pobudowali sobie szałasów, sypiali na śniegu, grzali się przy szeroko rozłożonych ogniskach, ale przynajmniej jeść mieli podostatkiem. Powietrze łagodne, choć to było w styczniu, dochodzące do 2 stopni Reaumura nad zero, umożliwiało to życie napół dzikie, ale dla wielu przez swą nowość, przez niepewność jutra, mające urok niepospolity i poezją niezwykłą. Gorzej za to działo się u tych,

<sup>1)</sup> Bardyower, niegdyś ulubieniec Muchanowa, był dostawcą żywności dla więźniów warszawskich. Organizacyi udało się go użyć dla ruchu; dom jego odosobniony, otoczony do koła parkanem, w pobliżu zabudowań straży ogniowej. w sam raz nadawał się do tego.

którzy zgromadzili się w puszczy Kampinoskiej. Większe oddalenie od Warszawy utrudniało dostawę żywności, i głód tu panował, a ludność miejscowa, chłopci na pół zdzieczali, zagrzebani w wielkich jeszcze pod owe czasy lasach, widząc gwałtem nieraz zabieraną sobie żywność, niechętni z natury ruchowi rewolucyjnemu, mrocznie i ponuro patrzyli na „leśników“, jak zwali wychodźców, i przy sposobności chwyтали ich i odstawiali do powiatu, do Błonia lub Sochaczewa.

Emigracya spisowych z Warszawy trwała przez trzy dni: 10, 11 i 12 stycznia, i jak powiadamy, odbywała się tak publicznie, tak jawnie i głośno, że nie mogła ująć uwagi władz rządowych. Wyjście z miasta około 1000 młodych ludzi <sup>1)</sup>, było faktem zbyt widocznym, by policya nie mogła go dostrzedz, ale nietylko nie zapobiegała temu, ale owszem, niejako starała się ułatwić ucieczkę spisowym. Jakoż w rzeczy samej, do pewnego stopnia tak było, a było to następstwem decyzji, jaką powzięto. Gdy bowiem do uszów policji doszła wieść o zamierzonym w d. 10 stycznia wyjściu spisowych z Warszawy, zwołano naradę do W. księcia, na której uznano za rzecz trudną, niebezpieczną i niemożliwą zapobiedz temu wyjściu. Sądono bowiem nie bez racji, że przy rozpaczliwym usposobieniu ludności i wychodźców, może przyjść do starcia krwawego, do zaburzeń, może nawet do powstania na ulicach Warszawy, do walki barykadowej, o której tyle stronnicy ruchu od dawna mówili. Lepiej więc będzie nie przeszkadzać wcale tej emigracyi, dozwoić na zgromadzenie się wychodźców w jednym miejscu, tam ich otoczyć wojskiem, zabrać i tryumfalnie przy odgłosie bębnow i muzyki sprowadzić do Warszawy, by pokazać ludności jak marnych ma obrońców <sup>2)</sup>. Nie wątpiono, że takie zabranie będzie rzeczą łatwą, bo wiadano, że spisowi nie mają broni i jako niewyćwiczeni wojskowo, nie wspierani przez ludność, uledz

<sup>1)</sup> Pauliszczew, Siedmicy, II. 2.

<sup>2)</sup> Relacye ustne od Rosyan.

muszą przewadze. Wskutek tego postanowienia policya przez palce patrzyła na jawne i tłumne wychodzenie młodzieży z miasta, a nawet kiedy wszystkie rogatki z mocy stanu wojennego były pilnie strzeżone i nikogo przez nie bez legitymacyi nie przepuszczano, rogatka Wolska, Powązkowska, Marymoncka, a na Pradze, Petersburska, stały otworem i kto chciał, to przez nie wychodził.

Wśród tych pierwszych seen najposępniejszego dramatu dziejowego, nadszedł nakoniec dzień 15 stycznia, wyznaczony przez rząd na dokonanie branki w Warszawie. Władze wojskowe otrzymały dość wcześnie rozkazy, aby miały wojsko w koszarach skonsygnowane i gotowe na wszelki wypadek, co świadczy, że mimo ucieczki z miasta większej części spisowych, lękano się czynnego oporu, a może nawet życzo go sobie. Przez cały dzień 15 stycznia, we czwartek, silne patrole przebiegały miasto, a wieczorem, za nastaniem zmroku wzmocniono je znacznie<sup>1)</sup>. Rozkazano przytem, aby dla pomocy policyi, która miała dokonać branki, każdy pułk garnizonu warszawskiego wysłał po kilka kompanii do cyrkulów. Pułk wołyński gwardyi naprzykład, na ten cel wyznaczył dwie kompanie (2-a i 7-a, razem 375 ludzi), z których większa część pozostała pod bronią w cyrkule, a 82 ludzi policya wzięła ze sobą dla dokonania poboru. Oddziałom takim towarzyszyło zwykle po kilkunastu kozaków dońskich albo kubańskich, zwanych pospolicie czerkiesami. Ustawiano z nich na wyłotach ulic, na których pobór się odbywał, pikiety, widocznie w tym celu, by się nikt wymknąć nie zdołał<sup>2)</sup>. Sama procedura branki miała się odbywać w ten sposób: każdy cyrkul policyjny był podzielony na kilka części między urzędników policyjnych, którym wręczono listę spisowych oraz ich adresy, i polecono udawać się do wskazanych tym sposobem mieszkań z odpowiednią liczbą żołnierzy. Pobór miał się rozpocząć między godziną 12 a 1 w nocy, a że

<sup>1)</sup> *Euganin*, Opyt istorii lejbgwardii wołyńskiego polka. II, 60.

<sup>2)</sup> *T. Żychliński*, Wspomnienia z r. 1863, p. 10.

wskutek stanu wojennego nikomu nie było wolno po godzinie 11 wychodzić na ulicę, więc spodziewano się wszystkich, to jest tych, którzy nie uciekli, zastać w domach.

Noc owa, tak pamiętna w dziejach polskich, była mglistą i dżdżystą, choć ciepłą. Wielka cisza leżała w mieście, głęboko przerażonem gotującymi się wypadkami. O naznaczonej godzinie po sennych i pustych ulicach snuć się poczęły gromadki żołnierzy, wdzierali się do domów, budzili bez ceremonii tych, których zastali, kazali im się ubierać i odprowadzali ich do cyrkulów. Gdy tym sposobem zebrało się tych nieszczęśliwych od 60 do 100, oficer dowodzący oddziałem wojskowym, wyznaczał odpowiednią komendę, która zawiodła partyą do cytadeli przy zachowaniu wszelkich ostrożności wojskowych. Szła więc najprzód straż przednia, potem partya popisowych, otoczona dokoła wojskiem, wreszcie straż tylna i patrole skrzydłowe. Oddawszy wziętych komu należy w cytadeli, komenda wracała do cyrkulów po nową ich partyą. Tak przeszła noc cała i część poranku aż do godziny 8-ej dnia następnego. Nigdzie nie stawiano najlżejszego nawet oporu; obudzony i skazany na wzięcie, w milczeniu i z wyraźną trwogą ubierał się szybko, i szedł, gdzie mu kazano. Wyrazy oburzenia i skargi prędko tłumiono i krnąbrniejszym wiązano w tył ręce<sup>1)</sup>. Dopóki było ciemno i ulice puste, odprowadzano rekrutów spokojnie; gdy się jednak rozwidniło, przed ratuszem i na stokach cytadeli zgromadził się tłum znaczny, przeważnie z kobiet złożony, matek, sióstr, żon a może i kochanek. Wśród tego zbiegowiska ruchliwego, wzburzonego i strwożonego nadzwyczajnie, rozlegały się krzyki, płacz, przeklinanie Moskali, ale na tem wszystko się kończyło. Hamletowska natura słowiańska na czyn zdobyć się nie mogła, i do czynu zdolną nie była. Każdej partyi, prowadzonej przez ożywające się coraz bardziej z nastaniem dnia, ulice, towarzyszył teraz tłum płaczących głośno kobiet i mężczyzn, krzyczących jeszcze głośniejsze

<sup>1)</sup> *Loc. cit.*



i niekiedy przy bramach cytadeli żegnał jeńców rzewliwymi łzami i błogosławieństwem. Sami konskrypci z fatalizmem tej chorej na niemoc czynu natury słowiańskiej, dość obojętnie swój los przyjmowali; niekiedy rozkołysani dwuletnim czasem manifestacyjnym, śpiewali pieśni rewolucyjne, i w ogóle, w ogromnej swej większości, w prostakiem swem usposobieniu pocieszali się brutalnymi żartami i głośnymi wybuchami śmiechu. Uskarżali się tylko, że nagle porwani, nie mogli zabrać ze sobą najpotrzebniejszych rzeczy i prosili, już w cytadeli, oficerów, by zechcieli wysłać do miasta żołnierzy po kupno papierosów, cygar i żywności. Oficerowie chętnie się na to godzili, dzielili się tem, co mieli przy sobie, a gdy jeden z nich rozdał wszystkie, jakie posiadał, papierosy, rozochocony tłum krzyknął: „wiwat pan porucznik!“<sup>1)</sup>.

Wrażenie, jakie wywarło na miasto, dokonanie przez rząd branki, było ogromne. Wszyscy ci, którzy nie chcieli powstania, którzy uważali je za największą, jaka może kraj spotkać, klęskę, uczuli jednak pewien wstyd, pewne upokorzenie, że rząd zrobił to, co zapowiedział i zrobił tak, jak chciał. Wprawdzie ukazała się odezwa „do dotkniętych proskrypcją“, wyszła niewątpliwie z obozu Białych, w której przestrzegano młodzież, by nie próbowała oporu, gdyż kraj jest bezbronny i nieprzygotowany do walki, ale umysły głębsze, którym zrazu zdawało się, że rozbudzone przez dwuletnią agitacją namiętności patryotyczne są zdolne do najszaleńszego wysiłku, spostrzegły teraz, że namiętności te potrafią wyprawiać awantury uliczne, potrafią śpiewać pieśni patryotyczne, urządzać dokuczliwe dla rządu żarty, ale do czynu nie są zdolne, i zwątpiły w ogóle w możność dokonania czegoś z takim zniewieściałym i biernym narodem. Odezwa więc powyższa była zupełnie niepotrzebna. Wielu, najumiarkowańszych nawet, spotykając nazajutrz na ulicach członków Komitetu centralnego, żałowało, że

<sup>2)</sup> *Luganin*, loc. cit. i opowiadania ustne.

z branką jednocześnie krew nie popłynęła<sup>1)</sup>, gdyż uważali oni, że tak spokojne dokonanie poboru, było policzkiem danym narodowi, było wyraźnem szyderstwem z szumnych zapowiedzi stronnictwa ruchu. Jakoż niewątpliwą było rzeczą, że Komitet centralny owego dnia utracił naraz cały swój urok w oczach wszystkich, a zwłaszcza w oczach niższych słoików organizacyi, bezpośrednio dotkniętej proskrypcją. Na razie nie umiano sobie zdać sprawy z położenia, nie widziano tego, że zamach, dokonany przez rząd, całkowicie chybił celu; z tych, których wziąć chciano, bardzo małą stosunkowo liczbę zdołano w nocy z 15 na 16 stycznia, schwycić. Ogółem wzięto 1657 ludzi, a z tej cyfry przyjęto do wojska zaledwie 559, a nazajutrz i w ciągu paru następnych dni musiano uwolnić około 949, jako zupełnie niepodlegających spisowi wojskowemu<sup>2)</sup>. W rzeczy więc samej, zamach w Warszawie się nie udał i miał tylko sukces połowiczny.

Ale w rozdrażnieniu ogólnem nie widziano tego, nie chciano widzieć i oburzenie było powszechne na Komitet centralny, że mimo najsolenniejszych obietnic dozwolił na dokonanie branki. Wrzało też jak w kotle wśród niższej organizacyi miasta; umysły się gorączkowały, atmosfera powoli przesiąkała zatrutymi miazmatami namiętności, oszłomiła mózgi i serca, i z konieczności oddziaływać musiała na sam Komitet, który wśród tej burzy, wśród jej fal, rosnących coraz bardziej, nie potrafił, może nie mógł zachować zimnej krwi i spokoju. Zgromadzono się na radę w tak zwanym domu karmelickim na ulicy Bednarskiej, mającym dwa wyjścia, jedno od ulicy rzeczonej, a drugie od Krakowskiego Przedmieścia, na radę, w której wzięło udział wielu setników i dziesiętników, radę burzliwą i straszną. Straszną dla tego, że wszyscy niemal setnicy i dziesiętnicy domagali się natychmiastowego po-

<sup>1)</sup> *A. Guller*, *Historia* II, 37.

<sup>2)</sup> Raport prezydenta miasta z d. 28 stycznia 1863 r. („Dziennik powszechny“ Nr. 23 z r. 1863).



wstania, że pragnęła tego większość członków Komitetu, że paleni fałszywym wstydem, chcieli koniecznie krwi, by zmasać hańbę, jaka według ich mniemania, padła na kraj. Wielu z nich, dygocząc febrą oburzenia, parafrazowała słowa Franciszka I, wołając, że „wszystko można stracić prócz honoru“, a więc stracić nawet ojczyznę, nawet przyszłość, nawet pokolenia następne! Stefan Bobrowski blady, znużony, w zaniedbanym ubraniu, potrącający wszystkich wskutek krótkości wzroku, był oczywistym dowodem tej okropnej, tragicznej walki, jaka się toczyła w umysłach tej młodzieży<sup>1)</sup>. Zrazu Komitet miał na tyle uczciwości i zrozumienia swych obowiązków, że stawiał opór tym żądaniom; malował szaleństwo podobnego kroku, prosił, zaklinał, wołał, że mają prawo kazać mu iść i na ulicy zabić W. ks. Konstantego, i on, choć takie żądanie uważa za nierozsądne, chętnie je jednakże spełni, bo kładłby na ofiarę tylko własne życie, a nie przyszłość ojczyzny<sup>2)</sup>. Ale Padlewski w przydłuższej mowie twierdził, że „danie rekruta jest najzupełniejszą zdradą narodu, jest obaleniem tej chorągwi narodowej, którą duch tak wysoko podniósł i tak wytrwale utrzymywał; jest to potwierdzenie, że powstać nie jesteśmy zdolni, a tymczasem nیکczemność ducha uczynić chlebem powszednim“; chciał, by młodzież, „z której Moskał dla silniejszych kajdan krew na Kaukazie wyleje“, poświęcić dla zbawienia ludu; otwarcie prawie przyznawał się, że nie wierzy w powodzenie powstania, ale sądził, że tylko tym sposobem będzie można chłopca polskiego uwłaszczyć i ostatecznie domagał się chwycenia za oręż<sup>3)</sup>. Wśród tych burzliwych narad, owego dnia nie je-

<sup>1)</sup> Antoni Jeziorański, Pamiętniki II, 144.

<sup>2)</sup> Tomasz B. Pamiętniki (rkpsm.).

<sup>3)</sup> Powyższa mowa Padlewskiego, wydrukowana najprzód w londyńskim „Głosie wolnym“ (Nr. 101 z 1866 r.) jakkolwiek w treści swej może prawdziwa, co do stylizacji jest najoczywistszym późniejszym fabrykatem. Przedewszystkiem podrobienie zdradza frazes: „przychodzimy do was komisarze całego kraju“, kiedy wtedy w Warszawie, prócz Leona Frankowskiego, ani jednego komisarza

dnak nie zdecydowano, postanowiono tylko wydać odezwę, ogłaszającą „kraj cały w stanie insurekcji“, nakazującą „wszystkim wiernym synom ojczyzny“ bronić się przed poborem do ostatka, uwalniać tych, którzy już zostali wzięci, używać pomocy i opieki tym, którzy się ukrywają; tłómaczącą Komitet, że nie przeszkodził poborowi, czemu winien był rząd francuski, który opóźnił dostawę broni; wzywającą naród, by się łączył i skupiał koło Komitetu, wreszcie wyjmującą z pod prawa Wielopolskiego ojca i jego syna, oraz „całą zbrodniczą klikę“, która miała udział w poborze w Warszawie, pozwalając każdemu, „nie narażając się na żadną odpowiedzialność przed Bogiem i ojczyzną“, pozbawić ich życia<sup>1)</sup>.

Odezwa ta, jakkolwiek z wielką siłą napisana, wzywająca do czynnego oporu, a zatem do pewnego stopnia nakazująca powstanie, nie mogła zadowolnić niższej organizacji, ani powstrzymać wzbierającego potopu namiętności. To też nazajutrz, a według innych w nocy z d. 16 na 17 stycznia<sup>2)</sup>, na posiedzeniu Komitetu powtórzyły się te same sceny co wczoraj i ostatecznie, pomimo oporu Giller i Marczewskiego<sup>3)</sup>, zapadła uchwała ogromną większo-

nie było. Właściwie więc tylko niektóre ustępy tej mowy, a raczej zasadnicza jej treść może być uważana za autentyczną.

<sup>1)</sup> Odezwę powyższą znamy tylko z francuskiego jej przekładu, przesłanego przez konsula angielskiego w Warszawie, pułkownika Stanton, hrabiemu Russel, i pomieszczonego w dziele „La Pologne et la diplomatie“, p. 18, oraz ze streszczenia, jakie w swych tygodniowych raportach do Cesarza podał Pawliszczew, (Siedmicy II, 6). Oryginału nigdzie nie zdarzyło nam się spotkać. Przypuszczać należy, że odbita w niewielkiej liczbie egzemplarzy, w zamieszaniu, jakie w pierwszych dniach wybuchu nastąpić musiało, nie została rozpowszechniona i dlatego w zbiorach z tej epoki, nam znanych, nie znajduje się wcale.

<sup>2)</sup> A. Giller, A. Wielopolski, 123.

<sup>3)</sup> Tak opowiada sam Giller, Historia I, 37, a potwierdza ten fakt szereg artykułów, pomieszczanych w „Dzienniku warszawskim“ z r. 1865 p. t. „Prawda o powstaniu polskim“, pisanych przez człowieka osobiście nieprzyjawnego Gillerowi. Wprawdzie Gesket-Puzy-



ścią, by powstanie wybuchło w nocy z d. 22 na 23 stycznia, t. j. za pięć dni zaledwie. Napróżno Giller wołał, że niema broni, że lud wiejski nie jest wcale przygotowany, że nikt w ziemie powstania nie robi; nie słuchano go wcale, zakrzyczano. Obaj więc opozycyoniści złożyli swe mandaty i z Komitetu wystąpili. Nie zważano wcale na to, może nawet niektórzy radzi temu byli, że Giller, którego arrogantnie postępowanie i chęć przewodzenia powszechnie się sprzykrzyła, opuszcza Komitet, i zabrano się zaraz do gorączkowej czynności, do ostatnich przygotowań. Trzeba było przedewszystkiem uwiadomić o terminie powstania komisarzy wojewódzkich, do których wysłano odpowiednie rozkazy albo pocztą, albo przez umyślnych gońców; nie mniej pośpieszono się z wezwaniem do wójtów i burmistrzów, aby stawali na czele swych gmin. Jan Majkowski zabrał się do pisania manifestu <sup>1)</sup>, w którym miano wezwać naród do walki za wolność i niepodległość ojczyzny. Odbywano przytem ciągle posiedzenia, i wśród zamętu, jaki na razie zapanował, wśród ogromu pracy, której trzeba było dokonać w ciągu kilku dni, wśród ostatecznych przygotowań, robionych z gorączkowym pośpiechem, powstała myśl, że przecież trzeba komuś oddać naczelne dowództwo nad powstaniem. W Komitecie zasiadał wówczas Władysław Janowski, w charakterze zastępcy brata swego Jó-

*resukij*, Wojennyja dziejstwa, 10, uważa Gillera i Padlewskiego za głównych zwolenników ruchu zbrojnego, ale wspomina o tem mimochodem i dowodów nie daje, więc świadectwo to nie jest wiarygodnem. Relacya *Koźmiana*, Rzecz II, 316 mówi o Padlewskim i jakimś Jeziorańskim. Coby to był za Jeziorański domyśleć się trudno. Znamy w r. 1863 dwóch Jeziorańskich: Antoniego, dowódcę oddziału, ale ten, jak sam pisze (Pamiętniki II. 140 i następne) nie był na posiedzeniach Komitetu, gdyż wybierał się już do oddziału w Rawskie, dokąd wyjechał d. 18 stycznia — i Jana, który w Rządzie Trauguta był dyrektorem wydziału ekspedytury, ale w tej porze należał do niższej organizacji i o powstaniu decydować nie mógł. Podanie to więc, jak większa część podań *Koźmiana*, jest niedokładne, mętne i fałszywe.

<sup>1)</sup> *A. Giller*, Historia I. 312.

zefa, wojewódzkiego krakowskiego, który jeszcze nie zdążył przybyć z Kielc <sup>1)</sup>. Był to gorący zwolennik Mierosławskiego; wreszcie z natury rzeczy, wobec braku znakomości wojskowych polskich, gdyż ci, którzy przed trzydziestu laty zajaśniali blaskiem zdolności militarnych, albo już byli starcami na pół niedołężnymi, albo nie rozumieli takiej wojny, na jaką się zanosilo, mimowoli oczy się zwracały ku „zmarłychwstałemu wodzowi“, jak zwano Mierosławskiego od chwili uwolnienia go z więzienia berlińskiego. W ostatnich czasach imię jego rozbrzmiewało szeroko; większa część młodzieży polskiej widziała w nim przyszłego zbawcę ojczyzny, a bądź co bądź nie był to człowiek bez pewnych zdolności wojskowych. Przytem on to wypracował plan przyszłego powstania polskiego, i słuszną było rzeczą, by plan ten wprowadził w wykonanie.

Mimo to, gdy Władysław Janowski przedstawił Komitetowi wniosek oddania naczelnego dowództwa i dyktatury Mierosławskiemu, znalazł opór niespodziewany. Przedewszystkiem tonem jak najbardziej stanowczym zaprotestował przeciw temu Stefan Bobrowski. Bobrowski był szlachcicem i dobrym szlachcicem, i widmo czerwonoci krowej, widmo wytępienia i zniszczenia szlachty, propagowane przez Mierosławskiego, wstręt w nim budziło. Padlewski, który jeszcze z czasów szkoły podchorążych w Genui, był nieprzejednanym przeciwnikiem „jenerała Ludwika“, poparł gorąco Bobrowskiego <sup>2)</sup>. Oskar Aweyde, wy-

<sup>1)</sup> Loc. cit. Giller poprzemieniał imiona obu braciom; tego, który został wezwany do Komitetu, nazwał Władysławem, a jego zastępcę Józefem, a tymczasem przeciwnie było.

<sup>2)</sup> *A. Giller*, loc. cit. I, 222 twierdzi, że uchwała o wezwaniu Mierosławskiego zapadła dopiero po wyjeździe Padlewskiego do puszczy Kampinoskiej, że zatem on w uchwale tej nie brał udziału. Sprzeciwia się temu list Bobrowskiego, pisany do Padlewskiego w marcu 1863 r. i ogłoszony przez *N. Berga* w jego dziele „Zapiski o polskich powstaniach“ (IV, 192). „Myśmy z tobą, czytamy w tym liście, stłumiwszy nasze osobiste przekonania, a ty nawet i przeszłe zniewagi, przyjęliśmy wtedy, chcąc tryumfu prawdy rewolucyjnej, dyktaturę p. Ludwika“.

kształcony filozoficznie, ale przez to samo może chwiejny w swych przekonaniach, nie wierzący w pomyślne rozwiązanie poczynających się wypadków, zgorzkniały i zrozpaczony, trawiony jadem pesymizmu, wahał się, ale podmówiony przez Janowskiego <sup>1)</sup>, uległ nie tyle jego wywodom, ile ponurej obojętności na wszystko, zgodził się na wniosek powierzenia Mierosławskiemu władzy najwyższej. Ks. Karol Mikoszewski, ów Sykstus rewolucyjny, ksiądz wywłoka, zawsze był stronnikiem najskrajniejszych ludzi, więc od razu na ten projekt się zgodził. Gdy zatem trzy głosy przeciw dwóm były za oddaniem Mierosławskiemu dyktatury, gdy rzecz tę popierali różni członkowie organizacji, wieszający się przy Komitecie, różni partyzanci „Boga rewolucyi“, jak go niesmacznie w swych piśmiłach nazywali, rzecz została przyjętą i uchwaloną. Postanowiono z odpowiednio zreagowanem zaproszeniem wysłać do Mierosławskiego do Paryża Władysława Janowskiego, któremu do pomocy dodano Jeskego i Daniłowskiego, niegdyś członka Komitetu, ale sromotnie zeń wypędzonego w roku zeszłym za to, że współcześnie należał do ciała rewolucyjnego, utworzonego przez Kurzynę. Uchwalono dalej, aby Komitet przybrał miano „Tymczasowego Rządu Narodowego“; wreszcie zajęto się najważniejszą bodaj rzeczą w tej chwili, to jest pomyślano o spisowych wyszłych z Warszawy, o nieszczęśliwych „dzieciach warszawskich“, które wśród śniegu i słoty tułały się po lasach, a głośnie ich skargi, narzekania i obelgi na Komitet, aż do jego uszów dochodziły. Trzeba było koniecznie do puszczy Kampinoskiej i do lasów Żegrzyńskich posłać wodza, któryby zebranych tamże poprowadził na Modlin, gdzie według zapewnień Jarosława Dąbrowskiego, który z cytadeli nieustannie komunikował się z Komitetem, według zresztą twierdzeń Padlewskiego, sprzyśiężeni pochorążowie (jun-krowie) i oficerowie otworzą powstańcom bramy, twierdząc i ogromne w niej zapasy wojenne (samych karabinów

<sup>1)</sup> A. Giller, loc. cit.

miało być 70.000) w ich ręce oddadzą <sup>1)</sup>. Dąbrowski z cytadeli nadesłał plan wzięcia tej fortecy, napisany ołówkiem na dwóch wielkich arkuszach. W planie tym Dąbrowski utrzymywał, że Modlin niezdatny jest do obrony, że ma zaledwie dwutysięczny garnizon, że wreszcie samo zuchwałstwo napadu nagłego i niespodziewanego stanowi poważną szansę na stronę powstania. Należy przytem liczyć na wciągniętych do spisku żołnierzy i podchorążych. Zapewniał, że obfite zapasy tej fortecy dadzą możność uzbrojenia choćby 50.000 armii <sup>2)</sup>. W rzeczy samej, według zapewnień pisarzy rosyjskich, Modlin, jako forteca, w owe czasy nie wiele był wart. Postanowiono więc, aby Józef Janowski niezwłocznie udał się w lasy Serockie dla zaprowadzenia ładu i porządku wśród kryjących się tamże „dzieci warszawskich“ <sup>3)</sup>, Padlewski zaś do puszczy Kampinoskiej. Ten ostatni miał tam objąć dowództwo nad spisowymi, których obliczano na 2000 głów, i wraz z 4000, których miał dostawić naczelnik powiatu plockiego Grothus, polecono mu zająć Modlin, następnie Płock, dokąd Komitet centralny miał się udać i tam jako Rząd narodowy przed społecznością polską się ujawnić. Zapewniano Padlewskiego, że różne osoby z organizacji miały dla tych ludzi przygotować w okolicach Modlina kwatery, ciepłą odzież i oficerów <sup>4)</sup>, co jak wiemy, nie było prawdą, gdyż spisowi błądzili po lasach Kampinoskich o głodzie i chłódzie. Padlewski, jak wszystkie lepsze głowy i serca tej strasznej chwili, zrozpaczony do głębi duszy, misję tę ochotnie przyjął, bo dawała mu ona sposobność albo postawienia od razu na nogach powstania, albo też zapłacenia krwią własną za lekkomyślne porwanie się do broni, i dnia 17 stycznia, wraz z Seyfridem, oficerem artylerii rosyj-

<sup>1)</sup> Tenże, loc. cit. I, 36.

<sup>2)</sup> N. Berg, Zapiski II, 397.

<sup>3)</sup> Daniłowski, Zeznania (rkpsm.).

<sup>4)</sup> N. Berg, loc. cit.



skiej, który miał pełnić przy nim obowiązki adjutanta, wyjechał z Warszawy <sup>1)</sup>).

Czas już był wielki, gdyż zaraz nazajutrz t. j. d. 18 t. m. W. ks. Konstanty przystąpił do wykonania postanowienia, zapadłego na tajnej radzie w Zamku d. 10 stycznia, t. j. otoczenia wojskiem wyszłych z Warszawy spisowych, wzięcia ich do niewoli i sprowadzenia w głośnym i błyskotliwym tryumfie do stolicy. W tym celu uorganizowano bardzo skomplikowaną akcją, która zwykle na wojnie się nie udaje, ale obmyślaną tak, by ze wszech stron osaczyć zebranych pod Zegrzem i w puszczy Kampinoskiej, i wylapać ich do nogi. Z Warszawy więc, po lewym brzegu Wisły, po szosie, miał wyruszyć podpułkownik Bremsen, karyerowicz niemiecki, brzydki typ okrutnika, który wkrótce miał się wslawić w kraju ze swych krwawych represalii i dragonad, na czele trzech kompanii pułku Połockiego piechoty i setni kozaków, ogółem mniej więcej około 700 ludzi <sup>2)</sup>. Miał on zachodząc prawem skrzydłem wepchnąć „dzieci warszawskie“, zebrane w puszczy Kampinoskiej w kąt między Bzurę i Wisłę i tam je wszystkie wziąć do niewoli. Przeciw obozującym w lasach Zegrza, Jabłonny i Nieporętu, miał wyruszyć z Warszawy, Serocka i Modlina pod wodzą pułkownika Riedeczki, oddział jazdy, złożony ze szwadronu ekatarynosławskich strzelców konnych, zwanych zwykle dragonami, setki kozaków dońskich pułku 39-go i dwóch kompanii pułku Nizowskiego piechoty, z rozkazem zachodzenia lewym skrzydłem naprzód i przyparcia popisowych ku Wiśle i doszczętnego wylapania. Współcześnie, w przewidywaniu możliwej ucieczki

<sup>1)</sup> Giller, loc. cit. I, 36.

<sup>2)</sup> „Żurnal wojennych dziejstw“ Nr. 1 (ulotne piśmko wydane przez sztab główny w Warszawie). *Gesket-Puzyrewskij* „Wojennyja dziejstwa“, 349, utrzymuje, że pod Bremsenem wysłano tylko jedną kompanię piechoty. Pierwsza relacja wydaje nam się prawdopodobniejszą, choćby z tego względu, że szło o otoczenie w obszernych lasach popisowych, obliczanych na 1000 głów, i że do tego celu potrzeba było znacznych stosunkowo sił.

jeżeli nie wszystkich, to przynajmniej części wychodźców warszawskich za Wisłę i Narew, polecono generałowi baronowi Mengdenowi, zastępującemu w obowiązkach naczelnika wojennego plockiego, bawiącego na urlopie generała Semekę, ażeby wysłał rekonesans w kierunku Wyszogrodu, gdzie przyparć do ujścia Bzury przez Bremsena powstańcy, gdyby chcieli przemknąć się za Wisłę, wpaśćby musieli w ręce rosyjskie; oraz do Płońska w tymże celu przeciw zebranym spisowym w lasach zegrzyńskich. Zgodnie z tym rozkazem Mengden, wysłał d. 18 stycznia majora Sławina z kozakami <sup>1)</sup> ku Wyszogrodowi, jak się zdaje z rozkazem dotarcia także do Płońska <sup>2)</sup>. Tym więc sposobem „dzieci warszawskie“ miały być dokoła otoczone, i w ludzkim rozumieniu rzeczy nikt nie przypuszczał, by poza żelazną zaporę bagnetów i spis kozackich mogły się przedostać. Wszystkim tym wojskom nakazano, zgodnie z uchwałą d. 10 stycznia, broni o ile możliwości nie używać, nawet karabinów nie nabijać, działać tylko samym naciskiem, w ostateczności, w razie oporu czynnego, atakować bronią białą i starać się o „wyłowienie“ zbiegłych spisowych żywcem <sup>3)</sup>. Ale w Warszawie, na pokojach zamkowych nie przypuszczano nigdy, by do jakiegokolwiek poważniejszego oporu przyjść mogło. Powracający bowiem z puszczy Kampinoskiej wychodźcy mniej wytrwali, lub mniej od innych zapalni, i oddający się sami w ręce władz rosyjskich, oprócz rozgoryczenia przeciw Komitetowi centralnemu, przynosili ze sobą wieści o oplakany stanie „dzieci warszawskich“, o braku broni, dowódców, o chłodzie, głodzie, zmęczeniu. Toteż na Zamku warszawskim wszyscy byli jak najlepszej

<sup>1)</sup> W jakiej liczbie, nie wiemy. Źródła rosyjskie nie podają cyfry.

<sup>2)</sup> Mówimy: jak się zdaje, gdyż podania rosyjskie są pod tym względem bardzo mętne i niejasne. Nawet *Gesket-Puzyrewskij* nie wiedząc o celu tych wypraw, podaje o nich nader niedokładne i po-bieżne wiadomości.

<sup>3)</sup> „Żurnal wojennych dziejstw“ Nr. 1.



myśli, a Wielopolski głośno powtarzał swój koncept o zakładach, których łatwo wytropić na śniegu.

Słodkie te nadzieje wszelako miały być srodze zawiedzione. Stronnictwo wojskowe z Ramsayem na czele, przeciwnie całej polityce W. księcia i znienawidzonego Wielopolskiego, nie myślało wcale dobywać dla nich własnymi rękami gorących kasztanów z ognia. Ramsay, dając głośno rozkazy Bremsenowi, ażeby wylapał doszczętnie spisowych, kryjących się w puszczy Kampinoskiej, pokrywom namówił go, ażeby właśnie nikogo nie złapał, żeby dozwolił „dzieciom warszawskim“ wymknąć się cało i zdrowo, żeby zawiódł tym sposobem wszystkie nadzieje W. księcia, i żeby mimo tylu przygotowań komedyi nie było. Bremsen się na to zgodził<sup>1)</sup> tem chętniej, że nie było to tak łatwym schwytanie obozowisk powstańczych. Padlewski, wyjechawszy z Warszawy nie myślał, jak się zdaje, wcale o atakowaniu Modlina, bo jako wojskowy uważał to za prosty nonsens<sup>2)</sup>. Wiedział on zapewne o zbierającej się nań wyprawie Bremsena i trzeba było użyć całej energii, by niebezpieczeństwa, grożącego spisowym z tej strony, uniknąć. Nie tracąc więc ani chwili czasu, postanowił, nim Bremsen od Warszawy a Sławin od Płocka nadciągnie, natychmiast przeprawić się przez Wisłę i forsownym marszem przemknąć się między Sławinem a Modlinem z dyrektywą ku północy. Myśl ta, niewątpliwie bardzo śmiała, wykonana została energicznie i rześko. Tegoż samego jeszcze dnia, w którym Padlewski przybył do obozowisk Kampinoskich, wyruszył on mniej więcej na czele 500 spisowych, uzbrojonych w kosy, kije i nieco strzelb myśliwskich, do wsi Secymina, leżącej tuż nad Wisłą. Na szczęście, mimo odwilży Wisła jeszcze nie puściła i przy zachowaniu pe-

<sup>1)</sup> Relacje ustne rosyjskie.

<sup>2)</sup> Twierdzenie *Gillera*, *Historia* I, 30, jakoby „rozpędzenie szkoły junkrów i powiększenie nowymi batalionami załogi modlińskiej, zniweczyło ten plan“, jest pozbawione wszelkich podstaw.

wnych ostrożności można było przejść po lodzie<sup>1)</sup>. Rozpoczęła się więc przeprawa, trwająca całą noc z 18 na 19 stycznia, przeprawa mozolna i niebezpieczna, gdyż lód topniał niejako pod nogami, i gdyby Bremsen był maszerował pośpiesznie, byłby co najmniej połowę przyszłych powstańców schwytał. Gdy jednak przybył do Secymina, Padlewski już był daleko na prawym brzegu Wisły, tak że trofeum całej wyprawy Bremsenowskiej było 19 spisowych<sup>2)</sup>, którzy prawdopodobnie sami oddali się w ręce rosyjskie<sup>3)</sup>. Podobnież rzeczy się miały w lasach Zegrzyńskich. Nim tam zdołał nadciągnąć Riedeczkin, który zapewne także otrzymał tajne instrukcje od Ramsaya, spisowi w liczbie około 500, przeprawili się przez Narew w okolicach Serocka, prawie tuż pod nosem Riedeczkiną i zagłębili się w województwo płockie. Tym więc sposobem projekta i nadzieje W. księcia rozchwiały się zupełnie, dzięki brzydkiej intrydze stronnictwa wojskowego.

Gdy tak w okolicach Warszawy bezkrwawo i niezaszczytnie dla broni rosyjskiej skończyły się wyprawy na spisowych, pod Płockiem sprawa ta przybrać miała rozmiary znacznie większe i tragiczniejsze. Ponieważ z Płocka

<sup>1)</sup> W czasie tej przeprawy spotkała Padlewskiego osobliwsza przygoda, która o mało, że całej karyery powstańczej nie zakończyła. Już nad Wisłą samą, Padlewski wpadł przypadkiem na oddział rosyjski, który stojąc we wsi nad rzeką, pilnował wszystkich przepraw i każdego pojawiającego się aresztował. Padlewski dzięki swej nadzwyczajnej przytomności zwiódł nieprzyjaciela do tego stopnia, że sami oficerowie ułatwili mu przedostanie się na drugą stronę Wisły, jako obywatelowi, udającemu się w interesie rządowym do Zakroczymia (*Anonim*, *Pamiętnik o kampanii Z. Padlewskiego w Płockiem*. Rękopism).

<sup>2)</sup> *Pawliszczew*, *Siedmicy* II, 7.

<sup>3)</sup> „Wpadli tylko w nasze ręce (brzmi raport urzędowy, połączony w „*Dzienniku powszechnym*“ Nr. 21 z 1863 r.) pojedynczo tułający się buntownicy, wszyscy bez wyjątku zbiegli z Warszawy, znużeni, głodni, obszarpani, po większej części bardzo młodzi ludzie, którzy odłączyli się od swych partyi w celu powrócenia do Warszawy, a niekiedy nawet ze stanowczym zamiarem stawienia się z uznaniem swej winy, przed prawą władzą“.



spisowi także przed branką tłumnie wyszli z miasta, więc i tam posłano rozkazy wylapania ich, co było tem pilniejsze i konieczniejsze, że do uszów władz warszawskich doszło, iż Komitet centralny zdecydował zrobić województwo plockie swą główną podstawą wojenną w przyszłej i bliskiej walce o niepodległość. W Płocku tymczasowy naczelnik wojenny Mengden, dzięki zręczności szpiega Budancowa<sup>1)</sup>, dowiedział się, że spisowi płocey i niepłocey zebrani są w pobliskich wsiach, mianowicie w Winiarach, odległych zaledwie o pół mili od miasta, we wsi Siecienie, Proboszczowicach, Ciołkowie i Woźnikach, i tym sposobem dokoła Płock otaczają. Zgodnie więc z rozkazem dnia 18 stycznia wysłał liczne rekonesanse w kierunku wymienionych wsi z poleceniem, aby starały się żywcem brać spisowych, żeby nie używały broni, a nawet żeby karabinów nie nabijały. Rekonesanse te, włączając się przez parę dni, nigdzie nie natknęły się na przyszłych powstańców, jeden tylko wysłany ku Ciołkowi pod dowództwem pułkownika Kozlaninowa, który sam prosił o oddanie mu kierunku tej wyprawy<sup>2)</sup>, złożony z kompanii pułku Muromskiego piechoty, napotkał d. 21 stycznia<sup>3)</sup> w tejże wsi popisowych, przeważnie Warszawian, zajętych spożywaniem obiadu na dziedzińcu dworskim. Ci, ujrawszy nieprzyjaciela, szybko cofnęli się do lasu Ciołkowskiego w liczbie około 100 ludzi<sup>4)</sup>, uzbrojonych tylko w dwie strzelby myśliwskie i trzydzieści kos naprędce osadzonych, a reszta w kije, pod wodzą niejakiego Rogalińskiego, byłego ofi-

<sup>1)</sup> Budancow w r. 1868 wydał w Petersburgu „Zapiski łazutczika“ (Notatki szpiega), z których parę szczegółów o starciu pod Ciołkowem zapożyczyliśmy.

<sup>2)</sup> „Żurnal wojennych dziejstw“ Nr. 1.

<sup>3)</sup> N. Berg, Zapiski II, 421 i Gesket-Puzyrewskij nie podają daty starcia Ciołkowskiego, o którym w ogóle bardzo szczupłe i niedokładne mają wiadomości.

<sup>4)</sup> Anonim, Pamiętniki o kampanii Padlewskiego. „Żurnal woj. dziejstw“ Nr. 1. twierdzi, że powstańców było 200. z czego Gesket-Puzyrewskij Wojennyja dziejstwa 293, zrobił 300 ludzi.

cera Garibaldiego<sup>1)</sup>. Kozlaninow, chcąc, zgodnie z rozkazem, wziąć żywcem popisowych, zbyt cieżko rozciągnął łańcuch żołnierzy, poczem, idąc za daną sobie instrukcją, zwrócił się do zebranych z mową, w której zachęcał ich do rozejścia się, do powrotu do domów; zapewniał uroczyście, że wprawdzie winniejsi będą wysłani do Rosyi, ale najdalej za dwa miesiące wróceni z pewnością. Zaledwie tę mowę skończył, gdy jeden z powstańców, syn rzeźnika z Warszawy, uderzył go z tyłu toporem w głowę i zabił na miejscu<sup>2)</sup>. Zaraz też na okrzyk Rogalińskiego, cała ta zbrojna w kosy i siekiery masa, rzuciła się na nieprzygotowanych i niespodziewających się napadu żołnierzy rosyjskich. Rozpoczęła się formalna rzeź. Na miejscu padło pod strasznymi ciosami kos przeszło 43 ludzi, 17 było ranionych<sup>3)</sup>, a 18 z porucznikiem Ponomarenko zdołało się ocalić szybką ucieczką ku Bielskowi, gdzie spotkali się z oddziałem, wysłanym w tym kierunku z Płocka, pod wodzą kapitana Stefanowskiego. Ten, przerażony katastrofą Ciołkowską, teraz dopiero kazał broń ostro nabić. Roga-

<sup>1)</sup> Tak Berg loc. cit. jak i Gesket-Puzyrewskij loc. cit. utrzymują, że Padlewski znajdował się przy tym oddziale, co jest fałszem. Znamy całą drogę Padlewskiego. Po przeprawie przez Wisłę, postanowił on udać się pod Płock, dla wzięcia udziału w napadzie na to miasto. Jechał na Płońsk, pod którym w lasach spotkał się z oddziałem spisowych, zamierzającym uderzyć na to miasto. Rozmówiwszy się z dowódcami, zmienił konie na poczcie w Płońsku i puścił się drogą bitą do Płocka. Na stacyi Góra nie było koni pocztowych, musiał więc wynająć furę chłopską i o milę dalej, we wsi Starożreby spotkał się z partią Rogalińskiego, która pod Ciołkowem zniosła Kozlaninowa. Było już po starciu i Padlewski udziału w niem nie brał (Anonim, Pamiętnik).

<sup>2)</sup> Jedna, bardzo zresztą niedokładna relacya polska o starciu Ciołkowskiem, jaką posiadamy w naszych zbiorach, powiada, że Kozlaninowi kosą zupełnie ucięto głowę.

<sup>3)</sup> „Żurnal wojennych dziejstw“ Nr. 1, pisze, że „43 ludzi przepadło bez wieści, 17 było ranionych, a 18 z porucznikiem Ponomarenko ocalało. Tym sposobem wiemy tylko o 78 ludziach; do 90, których liczyła owa kompania, brak jeszcze 12. którzy prawdopodobnie także poległi.



liński w tem starciu stracił oko i musiał oddział opuścić, który zmęczony i bez dowódcy nie przybył wcale pod Płock w nocy z 22 na 23 stycznia <sup>1)</sup>. Część ciężko poranionych żołnierzy, uciekając z pod Ciołkowa na furmankach, dostała się aż pod Drobin.

O tem wszystkim w Warszawie nie zaraz się dowiedziano i licząc na wyprawy Bremsena, Riedeczki i oddziałów płockich, najśłodszy oddawano się nadziejom. Wielopolski, który wiedział, że branka się nie udała, ale nie przypuszczał na razie, by zupełnie była chybiona, liczył na to, że bądź co bądź stan kraju poprawić się musi. W mieście jednak panowało to przekonanie, że zamach stanu całkowicie był dokonany, to też nazajutrz po brance, d. 16 stycznia salony pałacu Brühlowskiego, tak zwykle puste i nudne, zaroily się od mnóstwa osób, które zjechały się, by powinszować margrabiemu szczęśliwego doprowadzenia do skutku swych zamiarów <sup>2)</sup>. Ale już na drugi dzień wieści głuche poczęły obiegać po Warszawie, że cios wymierzony w organizację powstańczą, chybił; wówczas to Wielopolski wpadł na nieszczęśliwą myśl, ażeby dla zamaskowania niepowodzenia rządowego <sup>3)</sup>, ogłosić w „Dzienniku powszechnym“ komunikat, jakoby wszystko się udało jak najlepiej. Komunikat ten zredagował sam i swoim zwyczajem, dla „dania się we znaki“ stronnictwu rewolucyjnemu, przyozdobił go w dotkliwie, drażniące i w gruncie rzeczy nieprawdziwe uwagi. Twierdził więc, że pobór dokonany został „w zupełnym porządku i z zachowaniem spokojności“; że od lat trzydziestu nie było przykładu „aby popisowi okazywali tyle ochoty i dobrej woli“; że w cytadeli „dają oni widzieć najlepsze, a nawet wesołe usposobienie“; że mieli się skarżyć „na wicherzenia ludzi bezrządu i mniemanych władz tego stronnictwa, które ich z drogi pracy popchnęło do próżniactwa i jałowego roz-

<sup>1)</sup> Anonim, Pamiętnik o kampanii Padlewskiego (rkpsm.).

<sup>2)</sup> H. Lisicki, Le marquis Wielopolski II, 353.

<sup>3)</sup> Loc. cit. II, 354.

marzenia“; że okazywali radość, iż „w szkole porządku, jaką dla nich będzie służba wojskowa, będą mogli z dręczącej dla nich beczynności i bałamutnego życia wyswobodzić się“ i t. d. Artykuł ten niezręczny, niesmaczny w swej osnowie, drażniący w tonie, zachowując pozory prawdy był w istocie najzupełniej kłamliwym. Że pobór pod grozą bagnatów odbył się spokojnie, to było prawdą, ale już było obrażającym wszystkie uczucia kraju twierdzenie, jakoby porywani w nocy okazywali ochotę i dobrą wolę. Ulegali przemocy, bo musieli jej uleść, a owe, tak silnie przez margrabię zaakcentowane wesołe usposobienie, było raczej wyrazem prostackiego zachowania się rzeźmiesznika warszawskiego, pewnem uczuciem ulgi, właściwem człowiekowi, że nakoniec wiszące nad głową nieszczęście raz już się spełniło. Najlepszym wreszcie dowodem nieprawdy, zawartej w artykule margrabię, było tłumne wyjście popisowych z Warszawy do puszczy Kampinoskiej i lasów Zegrzyńskich, a na prowincyi do wsi okolicznych, tak że na 2000 blisko pomieszczonych na liście w Warszawie, wzięto zaledwie 559, to jest mniej więcej czwartą część. Gdzież więc tu być mogła mowa o „ochocie i dobrej woli?“ <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Lisicki, loc. cit. zaznacza, że owa wesołość i owe skargi popisowych na „stronnictwo bezrządu“ było prawdą; to samo twierdzi p. Zygmunt Wielopolski w liście otwartym „Do St. hr. Tarnowskiego“. Píše on (p. 20): „ponieważ osobiście prowadziłem całą proskrypcyą i całą czynność popisową w Warszawie pod moim odbyła się kierunkiem, zapewnić mogę JW. Pana, że „Dziennik powszechny w tej materii szczerą napisał prawdę. Sam byłem zdumiony, ilu to ludziom z gminu obmierzała była tyrania, nawet takim, którzy w spisku nieco wyższe zajmowali stanowiska“. Powtarzamy, jest to tylko pozorną prawdą i jeżeli zrozumieć można dla pewnych względów takie wyraźne fałszowanie faktów w r. 1863, to całkiem już pojąć niepodobna obronę tego fałszu w czasach późniejszych. Samo wreszcie przyznanie p. Lisickiego, że artykuł ten redagował margrabia „pour masquer la defaite du gouvernement“, jest najlepszym dowodem, że twierdzenia rzeczzonego komunikatu były kłamstwem.



Niefortunny ten z wielu względów i całkowicie niepotrzebny artykuł, ukazał się w „Dzienniku powszechnym” dnia 19 stycznia, to jest w chwili, gdy spodziewano się jeszcze w Warszawie jak najlepszego skutku z wyprawy Bremsena i Riedeczki. Komunikat rzeczony wywarł na ogół jak najgorsze, do najwyższego stopnia drażniące wrażenie. Nawet najumiarkowańsi, ci wszyscy, którzy uważali powstanie zbrojne za nieszczęście, za klęskę najstraszliwszą, nawet Dyrekcyja Białych sądziła, że po takim artykule krew polać się była powinna<sup>1)</sup>. Wszystkich wreszcie raziło, nadzwyczaj przykrem i dotkliwym dla dumy narodowej wydawać się musiało, że po dwóch latach manifestacji, tylokrotnie objawianej nienawiści do najazdu, tak wysoko nastrojonego patryotyzmu, Polak śmiał twierdzić, że młodzież polska z ochotą i dobrą wolą szła do wojska rosyjskiego. To też oburzenie było powszechne, a w Komitecie centralnym obudzić się musiało pewne uczucie zadowolenia, że na wyzywające słowa Wielopolskiego, na policzek dany narodowi, jak nazywano wzmiankowany artykuł, za parę dni odpowiedzą powszechnem powstaniem zbrojnym<sup>2)</sup>. Ale jeżeli dla Komitetu smutną, rzecz można, było to pociechą, niemniej i Wielopolski przekonać się miał zaraz, że zawcześnię zanucił pieśń tryumfu, i że nadzieje jego okazały się zwodniczymi, jak wszystko w tych strasznych czasach było zwodniczem i niepewnem.

Bremsen bowiem wrócił z wyprawy do puszczy Kam-

<sup>1)</sup> A. Giller, Al. hr. Wielopolski, 122.

<sup>2)</sup> A. Giller loc. cit. twierdzi, że ostatecznie artykuł ten „przepelnił kielich goryczy i obrażony honor narodowy podał rozpaczy broń w rękę”, czyli, że komunikat Wielopolskiego spowodował Komitet centralny do przyspieszenia terminu wybuchu. Jest to bardzo niezręczne kłamstwo. Komitet, jak wiemy i jak sam Giller twierdzi, zdecydował się na powstanie d. 17 stycznia (loc. cit. p. 123), a artykuł margrabiego ukazał się w „Dzienniku powszechnym” w dwa dni dopiero później, nie mógł więc być bezpośrednią przyczyną przedwczesnego ruchu zbrojnego i przepelnieniem kieliszka goryczy.

pinoskiej, nie prowadząc ze sobą swego owego spodziewanego tłumu jeńców, którzy przy odgłosie muzyki i bębnow mieli przeciągnąć w swej oplakanej i zbiedzonej postaci przez ulice Warszawy, by pokazać ludności jak smutnych i śmiesznych ma obrońców. Wrócił on cicho, skromnie, niepostrzeżenie, radując się zapewne wraz z Ramsayem w głębi ducha, że szpetna intryga tak mu się szczęśliwie powiodła, a na zewnątrz, przed W. księciem okazując smutek głęboki i rezygnacją człowieka, któremu siła wyższa niedozwoiliła osiągnąć zamierzonego celu. Dla W. księcia, dla jego marzeń ambitnych, to niepowodzenie było tak dotkliwym ciosem, że tym razem opuścił go zwykły mu chłód i spokój, i w uniesieniu w oczy Bremsenowi dwukrotnie miał powiedzieć: „to zdrada!” (eto izmiena)<sup>1)</sup>. Że to była zdrada, wątpić nie można, ale już w tej chwili nie na nią poradzić się nie dało, i zresztą nie czas było o niej myśleć, bo co godzina nieomal przychodziły nowe, hiobowe zaprawdę wieści. Miano się zaraz dowiedzieć, że Riedeczkin, tak samo jak Bremsen, wypuścił popisowych z lasów Zegrzyńskich, a wkrótce potem nadeszła nowina tragicznej katastrofy Ciołkowskiej. Wszystko się zdawało rwać, powstawał chaos uczuć i czynów, ziemia drżała pod nogami.

Takie samo uczucie niepewności, obawy, trwogi przed jutrem i przed tem, co ono przyniesie, panowało w łonie Komitetu centralnego. Na skutek rozkazów, naznaczających powstanie w nocy z 22 na 23 stycznia, zjechało się do Warszawy kilku komisarzy i kilku wojewódzkich. Najpierwszy przyleciał tu Rogiński, komisarz podlaski, i zastał Padlewskiego na wsiadaniu na bryczkę, która zawieść go miała do puszczy Kampinoskiej i gdzie rozpocząć miał szereg prawdziwie Orlandowych przygód, zakończonych tragiczną śmiercią od kul rosyjskich. Na uwagi Rogińskiego, że wybuch jest najwyższym nierozumem, że niema z czem wystąpić, bo niema broni, że sam przecież Padlewski

<sup>1)</sup> Relacye ustne rosyjskie.

w Cuneo uczył, że tylko żołnierz z dobrym karabinem zwycięża — melancholijny, niewysłowienie smutny, zaparty gdzieś w mglistą dal przyszłości, z sercem przepelnionem obrazem ubóstwianej kobiety, która do innego należała, przyszedł dowódca powstania plockiego, odrzekł: „stało się! śpiesz napowrót, może Bóg pozwoli, że zwyciężymy. Niepodobna, by Europa dała nam zginąć. Może ostatni raz się widzimy, ale pamiętaj przysięgę naszą, że się nie cofniemy, że pójdziemy naprzód!“ Ucisnął Rogińskiego i pojechał<sup>1)</sup>. Rogiński pobiegł do Aweydego i znów te same postawił zarzuty. Ale Aweyde z rezygnacją i obojętnością, właściwą tej strawionej pesymizmem duszy, odrzekł, że Padlewski przeważał i przeforsował powstanie, że niewątpliwie wybuch jest przedwczesny, ale karta rzucona. „Jeżeli nie zwyciężymy, skończył, to spotkamy się na rusztowaniu, ale iść trzeba i nie czas teraz na rozprawę“<sup>2)</sup>.

W takim to stanie ducha, byli prawie wszyscy członkowie Komitetu. Wiała z nich rozpacz głucha, bezbrzeżna, ale współcześnie przekonanie, że to, co się stało, stać się musiało, i że nie im nie pozostaje, jak iść i umrzeć na nowożytniej polskiej Golgocie. W tem beznadziejnem usposobieniu, w tem zgnębieniu serc, w posępnym cieniu, jaki już rzucało podnoszące się widmo przyszłych krwawych wypadków, w głowach tych młodzieńców chorych i zdenerwowanych rodziły się najdziwniejsze pomysły. Daniłowski radził, ażeby członkowie Komitetu rozbiegli się po mieście i na czele pojedynczych grup ludu starali się zabić kogokolwiek z wybitniejszych Rosyan lub osobistości rządowych, a przedewszystkiem obu Wielopolskich, ojca i syna<sup>3)</sup>. Stefan Bobrowski znowu, który był przeciwny powstaniu, widząc jednak, że ono ostatecznie jest zdecydowaniem, wychodząc z zasady, że skoro złe się stało,

<sup>1)</sup> R. Rogiński, Pamiętniki (rkpsm.).

<sup>2)</sup> Loc. cit.

<sup>3)</sup> Zeznania Daniłowskiego.

trzeba wszystko czynić, by jak najwięcej z niego korzyści wyciągnąć, proponował dokonanie zamachu na W. ks. Konstantego. Ponieważ w tej porze W. książę stale przejeżdżał w godzinach popołudniowych przez Krakowskie Przedmieście i Nowy świat, zwykle z jednym tylko adiutantem, radził więc Bobrowski, ażeby w przededniu powstania t. j. 22 stycznia, między pałacem Staszica a domem Andrzeja hr. Zamoyskiego, namiestnikowi przejeżdżającemu zatarasować jakim wywróconym wozem drogę i żywcem go wziąć. Z tak ważnym jeńcem co najprędzej wydostać się z Warszawy, zanieść go do puszczy Kampinoskiej, następnie udać się pod Modlin i tam zmusić go do napisania rozkazu wydania tej twierdzy w ręce polskie. Projekt ten, jakkolwiek szalony, niemożliwy do wykonania, bo nie łatwo było w dzień biały, z łona wielkiego miasta, przepelnionego wojskiem, schwycić i wywieść brata cesarskiego; i jakkolwiek nie można było przypuszczać, by rozkaz wydania Modlina, choćby podpisany przez W. księcia, był wykonany, przecież mimo to wszystko nadzwyczajnie się spodobał tym głowom, odurzonym wyziewami zbliżającej się burzy. Odrazu znalazło się dwudziestu straceńców, przeważnie Genuieńczyków, jak się sami między sobą nazywali, którzy gotowi byli zamachu dokonać i swe młode głowy na rusztowaniu położyć. Ale oparł się temu stanowczo Aweyde. Jego chłodnego umysłu nie olśniewały takie szalone pomysły; wytłómaczył więc zebranym, że projekt jest niemożliwy do wykonania, że szkoda tylko narażać na śmierć niechybną dwudziestu dzielnych serc i rąk, tak potrzebnych w tej chwili, że przed zebranymi leży daleko większe i ważniejsze zadanie porobienia ostatecznych przygotowań do powstania, niech więc śpieszą na swe miejsca a o wzięciu żywcem W. księcia nie myślą. Słowa te uznano za słuszne i projekt Bobrowskiego nie przyszedł do skutku<sup>1)</sup>. Rozjechano się więc zaraz, a Rogiński, pobiegłszy na pocztę dla zamówienia koni, spotkał tam Leona

<sup>1)</sup> Relacye ustne.



Frankowskiego, który w uniesieniu najwyższej radości wołał, że „jedzie bić Moskali, że czapkami ich zarzuci, że całe lubelskie jak jeden człowiek powstanie!“<sup>1)</sup>. Z twarzy i ruchów bił mu entuzjazm radosny, jakże głęboko się różniący od ponurej rezygnacji Padlewskiego i Aweydy! Ten młody człowiek tak upojony przedwczesnym tryumfem, nie spodziewał się niestety! że w parę tygodni potem schwytyany skona tragicznie i smutnie pod kulami wroga,

Tymczasem Komitet centralny, nieomal w przededniu wybuchu rozpadł się prawie zupełnie. Zgodnie bowiem z postanowieniem, uchwalonem d. 17 stycznia, wyruszył w d. 21 t. m. Władysław Janowski do Paryża z misją zaproszenia generała Mierosławskiego na dyktatora i naczelnego wodza powstania przyszłego. Zaopatrzono go w tym celu w odpowiedni dokument, potwierdzony pieczęcią „Komitetu centralnego jako tymczasowego Rządu narodowego“, na której obok orła i pogoni, pomieszczono także archaizację Michała, jako herb Rusi, co miało naocznie świadczyć, że powstanie myśli o rewindykacji granic 1772 r.<sup>2)</sup>. Do Janowskiego przyłączył się zapalony Mierosławczyk, Władysław Daniłowski, który w zeszłym roku poza plecami Komitetu centralnego utworzył osobny Komitet rewolucyjny, oraz bawiący w tymże czasie zagranicą Jeske, i razem we trzech udali się do Paryża. Do czasu przybycia do kraju Dyktatora, po wyjściu z Komitetu Bobrow-

<sup>1)</sup> R. Rogiński, Pamiętniki (rkpsm).

<sup>2)</sup> Zaproszenie to czytać można w pamflecie *Mierosławskiego* p. t. „Dokumenty urzędowe do dziejów organizacji jenerałnej powstania narodowego“ (Paryż, 1864). Brzmi ono tak: „Rząd tymczasowy narodowy. Wobec rozpoczętego powstania Polski, zaprasza generała Ludwika Mierosławskiego na Dyktatora i naczelnego wodza tegoż powstania“. Data 25 stycznia stąd powstała, że pierwotny dokument, Janowski przejeżdżając przez granicę, ze strachu zniszczył. Wygotowano więc nową nominację z datą 25 stycznia i wysłano ją przez Daniłowskiego. Pierwotny dokument, jak się zdaje, nosił datę 21 stycznia, gdyż w odezwie Rządu Narodowego do Mierosławskiego z d. 2 lipca 1863 r. (Dokumenty urzędowe, p. 7), wspomniane są dwa akta z d. 21 i 25 stycznia.

skiego, po wyjeździe do puszczy Kampinoskiej Padlewskiego, zostało tylko u steru władzy powstańczej czterech ludzi, t. j. ks. Mikoszewski-Sykstus, Oskar Aweyde, Jan Majkowski i наконец przybyły z Kielc Józef Janowski, brat Władysława, dążącego teraz do Paryża. Ci czterej przybrawszy miano „Tymczasowego Rządu Narodowego“, zgodnie z decyzją, aby po wzięciu Płocka tam się udać i ogłosić się rządem jawnym, w przeddzień powstania, d. 21 stycznia o godz. 9-ej wieczorem wyjechali do Kutna, w gruncie rzeczy może dla tego, by oddalić się od Warszawy, w której wszystko wrzało i w której można było się spodziewać strasznych scen, zabrawszy ze sobą kilku kuryerów, dwóch zecerów z paru drobnymi prasami drukarskimi<sup>1)</sup>. Tym więc sposobem w chwili wybuchu władzy najwyższej w stolicy kraju nie było, prócz Stefana Bobrowskiego, który jako naczelnik miasta, był na teraz jedynym reprezentantem spisku i jedynym władcą powstania.

Wśród tego wszystkiego, wśród tych scen tak głęboko dramatycznych, zbliżyła się noc z d. 22 na 23 stycznia, przeznaczona na powstanie zbrojne. Plan tego ruchu, który się miał odbyć jednocześnie w całym Królestwie Polskiem, był już oddawna nakreślony przez Mierosławskiego i wykonawcy ściśle się go trzymać zamierzeli. Polegał on na tem, ażeby popisowi i należący do organizacji, zebrali się uzbrojeni w kosy i strzelby myśliwskie w oznaczonych punktach i pod wodzą komisarzy, lub wyznaczonych z góry naczelników, napadli na wszystkie załogi rosyjskie w całym kraju i wytępilli je do nogi. Liczono na to, że jeżeli plan ten się uda, to obok znacznego osłabienia armii rosyjskiej, powstanie zyska od razu poważną ilość broni, dział, amunicji i zapasów wojennych, a prócz tego, ogołociwszy większą część kraju z nieprzyjaciela, będzie miało przed sobą co najmniej parę tygodni do uorganizowania się wojskowego. W zakres tego planu wchodziło wzięcie przez Padlewskiego Modlina i gdyby to przy-

<sup>1)</sup> N. Berg, Zapiski II, 411.

szło do skutku, zamierzono województwo płockie uczynić podstawą operacyjną przyszłej wojny. Ale już przed wybuchem wiadano, że wzięcie Modlina chybiło zupełnie; z drugiej strony nie brano w obrachunek tej okoliczności, że akcja, prowadzona jednocześnie na tak znacznej przestrzeni, wskutek nieprzewidzianych wypadków, których tyle bywa na wojnie, nie wszędzie się może udać i nie wszędzie wyda pożądane rezultaty. Wreszcie liczba powstańców, mających pierwszej nocy wziąć udział w napaści na załogi rosyjskie, nie była dokładnie znaną i stąd nie wiadano czy będzie dostateczną do pokonania żołnierza dobrze uzbrojonego i wyćwiczonego. Komitet centralny co do tej liczby miał pewne dane, acz bardzo niedokładne i nieścisłe. Według nich na chwilę napadu województwo lubelskie winno było dostawić 5000 ludzi, płockie 5000, warszawskie 4000, podlaskie 4000, kaliskie 2000, sandomierskie 2000, krakowskie 1000, augustowskie 700<sup>1)</sup>, ogółem 23 do 24 tysięcy ludzi. Siła zapewne poważna, gdyby była zorganizowana należycie, dobrze uzbrojona i dobrze prowadzona. Ale w skład tej siły wchodziły w ogromnej większości sfery miejskie, rzemieślnicy, urzędnicy, oficyaliści, drobne małopolskie miasteczkowe mieszczaństwo, szlachta chodackowa w niektórych województwach, w ogóle ludzie nie mający pojęcia o wojnie, nie mający nigdy do czynienia z bronią, nieprzywykli do trudów, mało w ogólności przedstawiający materiału na dobrego żołnierza. Długi pokój, kilkoletnie niepobieranie rekruta z kraju, brak wreszcie tradycji wojennej i rycerskiej, jaka ożywiała szlachtę, czynił z tych przyszłych powstańców gromadę całkowicie niezdadną do krwawej i wyczerpującej walki, jaka ich czekała. Przytem broni zupełnie nie było. Rachowano, że w całym kraju organizacya zdołała zgromadzić, po niedawnem rozbrojeniu Królestwa, zaledwie 600 strzelb myśliwskich; i temu brakowi starano się zapobiedz przez przygotowanie ogromnej liczby kos, wreszcie miano nadzieję zdobycia, w czasie za-

<sup>1)</sup> O. Aweyde, Zeznania III, 143.

mierzzonego nocnego ataku karabinów gwintowanych i dalekonośnych, jakie posiadała w tej porze armia rosyjska. Co się tyczy koni, tych znaczna ilość znajdowała się w kraju, dzięki odwiecznemu zamięłowaniu szlachty i chłopów polskiego w hodowli tego zwierza. Obok tego, przed samem nieomal powstaniem, zdarzył się osobliwszy wypadek, który dozwolił krajowi posiadać znaczną liczbę koni wierzchowych, dzielnych, wytrwałych i wytresowanych wojakowo.

Jeszcze w jesieni roku zeszłego władze wojskowe wydały rozporządzenie, ażeby trzy pułki kozackie (4, 9 i 11), ogółem 2400 ludzi, które wysłużyły w Polsce swój termin trzechletni, wysłać z powrotem nad Don. Chcąc jednak ulżyć skarbowi w wydatkach, polecono, ażeby kozacy posprzedawali swe konie, których utrzymanie od Warszawy do Nowoczerkaska kosztowało około 30 rubli na sztukę, a zatem oszczędzano przeszło 72 tysiące rubli, sumę bardzo poważną dla ówczesnych zrujnowanych finansów rosyjskich. Kozacy więc mieli jechać kolejną sami, bez koni, a rozkaz ten oczywiście bardzo im się podobał. To też tak się pośpieszyli, że w ciągu trzech dni wyprzedali nie tylko wszystkie swe konie (po 80 do 90 rubli za sztukę), ale i rzędy na nie, a nawet broń. Ta szybka sprzedaż, to zakupno chętne wyćwiczonych wojskowo wierzchowców, zwróciło uwagę władz warszawskich, i chciały one sprzedaż powstrzymać, ale już było zapóźno, gdyż kozacy zbyli co do jednego konia<sup>1)</sup>. Tym sposobem w kraju w przededniu wojny, zostało się przeszło 2400 koni, jak najlepiej wytresowanych dla jazdy.

Jeżeli atoli pod tym względem przyszłe powstanie nie potrzebowało obawiać się braku, to gorzej było odnośnie do oficerów wykształconych wojskowo i dowódców, którzyby potrafili umiejętnie i dzielnie poprowadzić do

<sup>1)</sup> N. Berg. Zapiski II, 479. Opowiada on przytem, że nad Donem tych pieszych jeźdźców przyjęto śmiechem i żartami, i długi czas dokuczano im z tego powodu.



boju te tłumy niekarne i nieuzbrojone, i wyrobić z nich w krótkim czasie żołnierza. Jeszcze w roku zeszłym, w grudniu, Komitet centralny odwoływał się pod tym względem do wszystkich Polaków, mających jakie takie wyrobienie militarne, ale najprzód nie wszyscy odpowiedzieli na to wezwanie, a potem, naprawdę, niewielu było takich, którzyby mieli w sztuce wojennej jakie wiadomości. Wskutek tego, że przez trzydzieści lat nie było u nas wojska narodowego, zanikła w społeczeństwie tradycja wojenna i duch rycerski, a takie usposobienie nie od razu wskrzesić się daje. Obce wojska, w których Polacy służyli, jak rosyjskie, pruskie i austriackie, dostarczyły wprawdzie pewnej liczby oficerów, ale byli to ludzie po większej części bardzo małych zdolności i lichego charakteru, z zatraconą znajomością usposobienia i ducha narodowego, i z czasem stali się oni prawdziwą zakałą i hańbą powstania. Szkoła podchorążych w Genui zbyt krótko trwała, by mogła wydać znanych oficerów, i jej wychowawcy wnosili do tej wojny wielką zarozumiałość, chęć przewodzenia, dzikie okrucieństwo, pomiatanie zasługami, niekiedy bezgraniczną głupotę i brak wszelkich pojęć o wojskowości i wojnie. Z tem wszystkim zrobiono, co można było. Cały kraj podzielono na cztery oddzielne naczelnictwa wojenne; w Płockiem, które, jak wiemy, miało najważniejsze znaczenie w oczach Komitetu centralnego, takim naczelnikiem został Konrad Błaszczyński<sup>1)</sup>, który od herbu swego przybrał pseudonim Bończy, i pod tem przezwiskiem zyskał sobie później niejaką sławę. Niegdyś kapitan czwartej brygady artylerii rosyjskiej, z której zdezerterował dla pójścia do powstania, średnich lat, był typem piękności męskiej ze swą wyrazistą twarzą, pyszną czarną brodą i okazałym wzrostem, przez co zyskiwał sobie serca kobiet i podwładnych, ale pod

<sup>1)</sup> A. Giller, *Historja* I, 36, oraz *Ustiniowicz*, *Zagowory i pokuszenia*, 125. Z. Kolumna, *Pamiętka dla rodzin polskich* II, 14, daje mu imię Kazimierz, co jest błędem. Myli się zatem *Gesket-Luzyrewskij*, *Wojennyja dziejstwa*, 19, że naczelnikiem wojennym płockim, był Tomaszewski.

względem wojskowym był bardzo miernych zdolności. Przeszłość jego nie jest znaną; melancholijnem usposobieniem swoim, troską jakąś tajemną, która go trawiła, nadawał pewien urok swej postaci, ale nic więcej. Do tak ważnej akcji, jaką było oczyszczenie z nieprzyjaciela województwa płockiego, zupełnie nie dorósł, nawet gdyby miał warunki lepsze od tych, jakie zastał. W książce tej spotkamy się z nim jeszcze kilkakrotnie.

Naczelnikiem wojennym podlaskim mianowany został Walenty Lewandowski w stopniu pułkownika. Syn drobnego mieszczanina z Łaskarzewa, koło 1846 r. wyemigrował z kraju, był w kampanii węgierskiej, a potem pełnił obowiązki nauczyciela w szkole Batiniolskiej w Paryżu. Mały, niski, chuderlawy, nie imponował ani postacią marsową, ani urokiem tajemniczości, jakim umiał otoczyć się Bończa, ani też nie okazał żadnych zdolności wojennych. Województwo krakowskie pod względem wojskowym oddano Apolinaremu Kurowskiemu rolnikowi z powołania ze wsi Tyńca w Jędrzejowskiem, którego całą szkołą wojenną była krótka kampania poznańska w 1848 r. i który był, że tak powiemy, typem nieudolności powstańczej, tak pospolitym niestety! w tym nieszczęśliwym, w tym krwawym 1863 roku!<sup>1)</sup> W Sandomierskiem nakoniec województwie naczelnictwo sił zbrojnych powierzono Maryanowi Melchiorowi Langiewiczowi, jedynej postaci w tym szarym tłumie wszelkiego rodzaju dowódców i naczelników, która wypłynęła na wierzch i skupiła na sobie nieco promieni. W pełni męskiego wieku (ur. d. 5 sierpnia 1827 r. w Krotoszynie w W. ks. Poznańskiem), bo zaledwie 36 lat liczący, miał już za sobą całą przeszłość burz i przygód wszelkiego rodzaju. Syn lekarza, Wojciecha, który w 1831 r.

<sup>1)</sup> Ks. Serafin Szulc, *Pamiętnik* (Polska w walce I, 73), powiada: „Kurowski całą duszą i sercem Polak, dla niezawisłości i dobra ojczyzny gotów poświęcić całe swoje mienie, życie i wszystko, co mu jest najdroższem, chęci okazał najlepsze, lecz nie posiadał wiadomości wojskowych i doświadczenia w bojach. O wojnie miał wyobrażenie z powstania narodowego w Poznańskiem...”

służył w szeregach wojska polskiego i matki (Eleonory z Kluczewskich), kobiety bardzo pobożnej, która przejęta czcią ku N. Pannie Częstochowskiej, imieniem Maryana syna nazwała <sup>1)</sup>, miał umysł pełen fantazyi, nieco marzycielski i ambitny, co w każdym razie było dowodem podnioslejszej duszy i szerszych jej pragnień. Mając lat 9 oddany został do szkół w Krotoszynie, a potem do gimnazjum niemieckiego w Trzemesznie, gdzie okazał niepospolite zdolności do matematyki. Dawał przytem dowody tak wielkiej bystrości w tej nauce, że kiedy raz zachorował na oczy i pracować nie mógł, to na pamięć rozwiązywał dość zawiślane zadania matematyczne. Marząc już wtedy o wielkiej karierze wojskowej, oddawał się z zamiłowaniem tej nauce, uważając ją za podstawę sztuki wojennej. Po ukończeniu nauk gimnazyalnych zapisał się na uniwersytet we Wrocławiu, gdzie od cichych studiów matematycznych odciągnęła go wielka burza, jaka się zerwała w 1848 r. Śnił wówczas o odrodzeniu się świata słowiańskiego i znalazł się na głośnym zjeździe słowiańskim w Pradze i tam po raz pierwszy spotkał się i zapoznał z przyszłym swym współzawodnikiem Mierosławskim. Po rozpędzeniu przez bagnety austriackie tego bezpłodnego zjazdu, Langiewicz wrócił do Wrocławia i dla chleba został nauczycielem prywatnym u Chłapowskich; później dzięki protekcyi rodziny Leitzmeritzów, dostał zajęcie przy jednej z bibliotek miejsowych. Był to wtedy młodzieniec chmurny i smutny, zagłębiany w książkach, które namiętnie czytywał, mało mówny, i względem dzieci, które uczył wybornie, pełen surowej powagi. Zebrawszy nieco grosza, puścił się do Berlina dla ukończenia swych studiów uniwersyteckich. Tu wskutek swego zamkniętego w sobie charakteru marzyciela, snującego przedzę wielkich zdarzeń, nie był lubiany przez kolegów; a mało mówny, zadumany, uchodził powszechnie za słabą głowę. Wszelako, wśród hulaszce, krzykliwej młodzieży polskiej, wsłuchującej się w owe czasy namiętnie

<sup>1)</sup> T. Żychliński, Wspomnienia, 19.

w filozoficzne brednie niemieckie, okazywał on niezwykłą skromność i niezwykłą siłę charakteru. Wojna włoska entuzjazmowała wszystkich i pragnieniem najgorętszem młodego studenta uniwersytetu, było zaciągnięcie się do szeregów bohatera tej doby, Garibaldiiego. Dopomagał mu trochę brat lekarz, przysyłając niekiedy pieniądze, ale sam żył chlebem i mlekiem, by na ten cel zaoszczędzić nieco grosza <sup>1)</sup>, i puścić się do Włoch, a stamtąd, „z ziemi włoskiej do Polski“, bo w ognistej jego wyobraźni lada chwila miała się rozpocząć „wielka jutrznia odrodzenia świata“. Lecz trzeba było odsłużyć rok obowiązkowy w wojsku pruskiem. Zaciągnął się więc do artyleryi gwardyi w Berlinie i przy mobilizacyi w r. 1859 pełnił służbę oficerską. Po roku wziął dymisya, gdyż pewny był, że wojna o niepodległość ojczyzny jest bliską, i puścił się do Włoch, zapoznał się z Garibaldim, należał podobno do owego tysiąca nieśmiertelnych, którzy wylądowali w Marsali. Jako adjutant generała Milbitza, odbył całą, cudowną, ozłoconą różowemi nadziejami kampanią garibaldijską i wyszedł z niej z pewnem doświadczeniem wojennem, i pełen otuchy i wiary w siebie, bo wódz sam, sam Garibaldi wróżył mu świetną i niezwykłą przyszłość. Walczył pod Catalafimi, znajdował się przy oblężeniu Palermo i otrzymał ranę w bitwie pod Milazzo. Obdarzony został krzyżem wojskowym i stopniem oficerskim w armii włoskiej. W oczekiwaniu tej przyszłości, w oczekiwaniu walki o losy ojczyzny własnej, znalazł się w szkole podchorążych polskich w Genui, gdzie wykładał matematykę i artylerya. Tutaj to po raz drugi spotkał się z Mierosławskim, i jak gdyby przeczuwając późniejsze swoje współzawodnictwo na polu stokroć obszerniejszem i w sprawie o wiele ważniejszej, nie lubili się wzajemnie, a z tej niechęci ku sobie wyrosła z czasem wyraźna nieprzyjaźń. W stosunku do młodzieży zachował on swój milczący, skryty, pogrążony w siebie charakter, to też nie miał tu przyjaciół, a parę drobnych

<sup>1)</sup> Relacye ustne.



wypadków, w których dość dziwnie się zachował, niechęć ku niemu zdwoiło <sup>1)</sup>. Uważano go tu za człowieka małych zdolności, i nikt nie przypuszczał, by ten milczący, zamknięty w sobie oficer, w kilka miesięcy później zasłynął miał w świecie całym i stanowić, bodaj czy nie jedyne, błyszczące słońce na chmurnem niebie powstania styczniowego. Po rozbiciu szkoły podchorążych, zajmował się wraz z Ćwierczakiewiczem zakupem broni, i teraz mianowany naczelnikiem sił zbrojnych województwa sandomierskiego, wśród mnóstwa niebezpieczeństw dostał się do kraju, wieziony przez komisarza tegoż województwa Ignacego Maciejowskiego, który z czasem miał zasłynąć w literaturze ojczystej pod pseudonimem „Sewera”. Langiewicz, przebiegając z miejsca na miejsce (bawił jakiś czas we wsi Długojewie pod Radomiem u Abłanowiczów, skąd w towarzystwie Tomczyńskiego i Lewkowicza, urzędników rządu gubernialnego radomskiego, przeniósł się do Hły, do rejenta Deręgowskiego, a stąd do Mirca pod Szydłowcem), czekał na bliskie wypadki, które tak wysoko podnieść go miały. Niski, szczupły, choć kształtnie zbudowany, ciemnawy blondyn, z wielkim wąsem, okiem głęboko osadzonem, mało-mówny, skupiony w sobie, przedstawiał bodaj czy nie jedyne w ostatnim powstaniu typ wodza powstańczego i rewolucyjnego (tak wstrętnie później skarykaturowany przez różnych dowódców i naczelników), typ, dla którego, według starej dewizy legionów polskich „wszyscy ludzie wolni, są sobie braćmi”. Z nim, z upadkiem jego miała zginąć w powstaniu podnioslejsza, szlachetniejsza idea walki i skończyć bez chwały i bez sławy w morzu krwi i błota.

Lecz, jeżeli wśród wodzów powstania, niezmiennie trudno dopatrzyć się po za Langiewiczem, nie już zdolnej,

<sup>1)</sup> Jeden z uczniów szkoły, Wedeman, zrobił awanturę z jakimś Włochem i wskutek tego musiał się z nim strzelać. Na zdziwienie wszystkich, Langiewicz stanął jako sekundant po stronie owego Włocha, co się ogromnie młodzieży polskiej nie podobało. Przypuszczać należy, że Langiewicz miał jakieś uzasadnione powody takiego postąpienia.

ale dodatniej chociażby postaci, to w obozie przeciwnym, w szeregach rosyjskich, w całym tym szarym tłumie różnych generałów, pułkowników i majorów, widzimy tylko, z bardzo małym wyjątkiem, szpetne postacie okrutników i rabusiów, odznaczających się przytem zdumiewającą nieudolnością i niedołęstwem. Znamy już naczelnego wodza tej armii, generała Ramsaya, który knuł brzydkie intrygi przeciw W. księciu i Wielopolskiemu, który zapowiadał głośno, że „nie da się jak w 1830 roku napaść znienacka”, a który właśnie dopuścił do tego i owszem, niewytłomaczoną trwogą przejęty, porobił mnóstwo fałszywych kroków, mogących mieć dla armii rosyjskiej jak najzgubniejsze następstwa, gdyby powstańcy byli lepiej uzbrojeni i lepiej prowadzeni. Pod nim stał cały tłum głów kiepskich, sere zdziaczałych, kierowanych najpoziomszymi instynktami, istna zakała armii. Sama ta armia, oparta o cztery fortece (cytadela warszawska, Modlin, Demblin i Zamość), zaopatrzona w doskonałą broń gwintowaną, we wszystkie potrzeby wojenne, trzymająca w swym ręku wszystkie punkta strategiczne i wszystkie komunikacje, dała dowód niezwykle małej wartości wewnętrznej, nie mogąc pokonać słabego powstania przez czternaście przeszło miesięcy. Liczba tych wojsk w styczniu 1863 r. wynosiła ogółem 111.245 ludzi, a po odtrąceniu załóg w twierdzach i parków artyleryjskich, w chwili wybuchu powstania w szeregach czynnych znajdowało się ogółem 96.471, od których odjąwszy chorych, będziemy mieli 92.260 ludzi <sup>1)</sup>. Ta bardzo poważna siła, zwłaszcza w stosunku do bezbronnego powstania, mogącego wystawić zaledwie jakieś 25.000 ludzi niewycwiczonych, niekarnych, zaopatrzonych głównie w kosy, dzieliła się na 66 batalionów piechoty, 24 szwadrony jazdy, które w końcu stycznia wzmocnione zostały jeszcze 8 szwadronami pułków gwardyackich, a więc razem 32 szwadrony

<sup>1)</sup> Pawliszew, Siedmicy, II, 384. Według Gesketa-Puzyrewskiego, Wojennyja dziejstwa 376 i następne, cyfra ta wynosiła: 99.981 ludzi, różnica więc jest niewielka.



i 60 setek kozaków. Artylerya liczyła 152 działa polowe i 24 dział artyleryi konnej, razem 176 dział<sup>1)</sup>. Tym sposobem na linii bojowej stawało 78.671 piechoty, 4539 jazdy, 7688 kozaków, 5402 artylerzystów i 171 żandarmów. Wprawdzie są pewne dane, które utrzymują, że na papierze Rosya w Królestwie miała te dziewięćdziesiąt kilka tysięcy ludzi, w rzeczywistości zaś zaledwie sześćdziesiąt, tak przynajmniej twierdził ówczesny prezes ministerium pruskiego, hr. Bismarck<sup>2)</sup>. Ale bądź co bądź, czy w Polsce stało dziewięćdziesiąt, czy sześćdziesiąt tysięcy ludzi, była to zawsze ogromna siła żołnierzy, zaprawionych do rzemiosła wojennego, siła, która z każdym miesiącem nieomal wzrastała przez przysyłkę nowych pułków i szwadronów; a jednak ta potęga ogromna nie była w stanie zgnieść za jednym zamachem nędznego, mizernego, improwizowanego rzec można powstania! Widowisko zaiste ciekawe i bezprzykładne w dziejach. Na tę niemoc tak potężnej armii, składało się wiele warunków: najprzód brak energicznego i mądrego naczelnego kierownictwa, zupełny niedostatek podrzędnych oficerów z jaką taką głową; potem rozdrobnienie tych sił na znaczne stosunkowo przestrzenie. Oprócz dywizyi gwardyi, która w komplecie stała w Warszawie, inne dywizye liniowe (4, 5, 6 i 7) rozrzucone były batalionami a nawet kompaniami po różnych miastach i miasteczkach Królestwa; jazda kwaterowała przeważnie w gubernii radomskiej, lubelskiej i kaliskiej po miasteczkach, podzielona na szwadrony. Artylerya bateriami w ten sam sposób rozrzucona była po całym kraju, nigdzie nie tworząc większej jednostki taktycznej, skupiając się tylko w znaczniejszej liczbie w gubernii płockiej, gdzie koło Modlina konsystowały parki artyleryjskie. To rozdrobnienie osłabiało bardzo armię, która nigdzie na razie w większej sile wystąpić nie mogła, zwłaszcza, że współcześnie trzeba było zajmować przynajmniej znaczniejsze miasta, gdzie

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij loc. cit. 376.

<sup>2)</sup> „La Pologne et la diplomatie“, 112.

skupiała się pewna część administracyi krajowej, lub strzedz ośrodków komunikacyjnych i punktów strategicznych<sup>1)</sup>. Trzecim nakoniec powodem i bodaj czy nie najważniejszym, było rozprzężenie ogólne wojska, charakteryzujące tę epokę. Żołnierz, oswobodzony od żelaznej karności Mikołaja, wolny od kar cielesnych i mnóstwa dawnych surowych przepisów, nie wdrożył się jeszcze w nowe porządki, i wśród przeprowadzanych reform, dawało się spostrzegać pewne rozluźnienie wiązań tego olbrzymiego cielska, które się nazywa armią. W dodatku, w wojsku konsystującym w Królestwie od czasu Arnholda i Śliwickiego, powtarzały się wśród oficerów ciągle, może nie tyle spiski, ile pewne porozumiewanie się z organizacją powstańczą polską, które wyzyskiwane niegodnie przez starszyznę, osłabiły zaufanie żołnierza do swych zwierzchników, a nadewszystko tych zwierzchników przy łada sposobności podawało w podejrzenie u żołnierzy. Wynikiem tego było, że częstokroć oficerowie formalnie bali się swych podwładnych. Ten stan wewnętrznego fermentu zwiększyć się koniecznie musiał, gdy z chwilą wybuchu powstania wielu oficerów, głównie Polaków, zbiegło z szeregów; a taki ferment żadnej armii na dobro wyjść nie może. Jednem słowem stutysięczna armia rosyjska w Królestwie w r. 1863, przedstawiała olbrzymią trawionego mnóstwem chorób i niezdolnego do czynów, do jakich z natury zdawał się być stworzonym.

Z taką to armią, wprawdzie stoczoną przez chorobę moralną, ale liczną i dobrze uzbrojoną, przyszło powstaniu walczyć w ów fatalny 1863 r. W przeddzień wybuchu, a więc d. 22 stycznia, ukazał się manifest Komitetu centralnego, jako Tymczasowego Rządu Narodowego, wzywający Polskę, Litwę i Ruś do broni. Manifest ten, jakeśmy to już wspomnieli, zredagowany przez Jana Majkowskiego odznacza się, jak wszystkie tego rodzaju dokumenta naczeln-

<sup>1)</sup> Wykaz szczegółowy tych kwater można znaleźć u Tawliszczeu, Siedmicy II, 357 i u Gesket-Puzyrewskiego, Wojennyja diejstwa, 377 i nast.



nej władzy spisku, brakiem podnioślejszych myśli i nieudolnością formy zewnętrznej. W tem ciełe, wypadkiem sklejonym w całość odrębną, jeżeli niekiedy znajdowali się dobrzy administratorowie, to nie było ani jednego talentu pisarskiego, któryby umiał przemówić do serca masy i pięknie wypowiedzianem słowem wstrząsnąć jej nerwami. Prawdziwą wzniosłość wyrażen zastępowano ciężko wysmażonym patosem, sztuczną napuszystością stylu, niesmaczną przesadą i sentymentalną romantyką. Wszystkie te wady, wszystkie te cechy nieudolności pisarskiej, występują jaszkrawo w manifestie, o którym mowa. Zaznaczywszy z początku, że „nikczemny rząd najeźdźczy“ postanowił zadać cios stanowczy Polsce, i „porwać kilkadziesiąt(?) tysięcy najdzielniejszych, najgorliwszych jej obrońców oblec w nieławistny mundur moskiewski i pognać tysiące mil na wieczną nędzę i zatracenie“, powiada, że Polska nie może poddać się „temu sromotnemu gwałtowi“, i „pod karą przedpotomnością“ powinna stawiać opór. Wskutek tego Komitet centralny, „legalny twój (narodzie) Rząd narodowy, wzywa cię na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięstwa, które ci da i przez imię Boga na niebie dać przysięga“. Tę obietnicę zwycięstwa w walce tak widocznie, tak oczywiście nierównej, manifest z bezprzykładną zaiste! śmiałością, jeszcze raz powtarza: „Komitet centralny przyrzeka ci, że siły dzielności twojej nie zmniejszą, poświęcenia nie będą stracone, bo ster, który ujmuje, silną dźwignię będzie ręką, złamie wszystkie przeszkody, roztrąci wszelkie zapory“. Po tych górnolotnych frazesach, po tych obietnicach, w których ziszczenie sami sprawcy powstania nie wierzyli, manifest przechodzi do najważniejszej swej części, do skreślenia zasadniczego programu przyszłego powstania i przyszłej Polski. Zgodnie więc z programem Towarzystwa demokratycznego na emigracji, które znowu w swych enuncyacjach politycznych opierało się na zasadach rewolucji francuskiej, manifest ogłasza: „wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju“. Wierząc następnie

w formułki Mierosławskiego, że chłop polski będzie można zachęcić do wzięcia udziału w powstaniu darowizną gruntów, oznajmia, że „ziemia, którą lud rolniczy posiadał na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością“, że dotychczasowi właściciele „wynagrodzeni będą z ogólnych funduszy państwa“; że ludność bezrolna po wstąpieniu w szeregi obrońców kraju, po ukończeniu wojny „otrzyma z dóbr narodowych dział obronionej od wrogów ziemi“. Manifest w końcu wzywa jeszcze raz lud Polski, Litwy i Rusi do broni, zaznaczając tem swe aspiracje do granic 1772 r., wreszcie kończy niesmaczną w swym przesadnym patosie apostrofą do „narodu moskiewskiego“, któremu przebacza „mord naszej ojczyzny, nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów cytadeli!“ i tak kończy: „ale, jeżeli w tej stanowczej godzinie nie uczujesz w sobie zgryzoty za przeszłość, świętszych pragnień dla przyszłości, jeżeli w zapasach z nami dasz poparcie tyranowi, który zabija nas a depcze po tobie, biada ci, bo w obliczu Boga i świata całego, przeklniemy cię na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznej niewoli, i wyzwiemy na straszny bój zagłady, bój ostatni europejskiej cywilizacji z dzikiem barbarzyństwem Azji!“<sup>1)</sup>.

W tymże samym dniu 22 stycznia, wydane zostały przez Tymczasowy Rząd Narodowy dwa dekreta, świadczące, że wiara w pociągnięcie chłopów do powstania przy pomocy uwłaszczenia, istniała wśród członków Komitetu. Dekreta te zarazem dowodzą radykalnych przekonań tychże członków, gorącej ale nieopatrznej chęci rozcięcia jednym zamachem spletanego węzła społecznego, na który Polska dotąd chorowała, w czem zresztą Komitet był tylko echem całej tej rojnej rzeszy społecznej, która oddawna widziała

<sup>1)</sup> Manifest ten oprócz osobnych druków na wielkiej ćwiartce papieru, dość pospolitych, czytać można u *Gillera*, *Historja* I, 312, oraz w dziele „Wydawnictwo materiałów do historii powstania“ I, 31.



w uwłaszczeniu jedyny środek wyjścia z opłakanej sytuacji socjalnej. Poza tem dekreta rzeczzone zdradzają wielką znajomość administracji i form prawodawczych. Pierwszy z nich zaznaczywszy, że „uwłaszczenie włościan, pomimo ogólnej chęci kraju, z powodu stawianych przez rząd najezdniczy przeszkód, dotąd do skutku nie doszło“, stanowi: że wszelka posiadłość ziemską, którą chłopci tytułem pańszczyzny, czynszu lub innym posiadali, od daty niniejszego dekretu stają się wyłączną i dziedziczną dotychczasowego posiadacza własnością ze wszystkimi zabudowaniami, ogrodami, prawami i przywilejami, bez żadnych danin, pańszczyzny lub czynszu, z warunkiem opłacania podatku krajowego. W art. 2-im dekret, zgodnie z zapowiedzią, pomieszczoną w manifestie, obiecuje dotychczasowym właścicielom „odpowiednią indemnizacyą z funduszu narodowych za pośrednictwem długu państwa“; w art. 3-im zapowiada, że zasady tej indemnizacji wskazane będą w osobnych dekretach; w art. 4-ym wreszcie oznajmia, że wszelkie ukazy, reskrypta, przez rząd najezdniczy w sprawie włościańskiej wydane, znoszą się i nikogo nie obowiązują; art. 5-y stanowi, że dekret ten stosowany być winien do wszelkiej własności prywatnej, rządowej, donacyjnej, kościelnej i innych. Drugi dekret dotyczy ludności bezrolnej: tak zwanych w różnych stronach kraju chałupników, zagrodników, komorników i „w ogóle wszystkich obywateli, z zarobku jedynie utrzymanie mających“, którym obiecuje w razie, jeżeli wezmą udział w rozpoczynającej się walce, działu gruntu po trzy morgi z dóbr narodowych<sup>1)</sup>.

Cokolwiekbyśmy powiedzieli, jeżeli z jednej strony tego rodzaju radykalne rozstrzygnięcie kwestyi włościańskiej, miało charakter zbyt rewolucyjny i naruszało odwieczne pojęcie prawa własności, to z drugiej czyniło ono

<sup>1)</sup> Oba te dekreta, wydrukowane na osobnych kartkach w różnych powiatach, są bardzo pospolite i wszędzie po zbiorach spotkać je można. Przedrukowało je „Wydawnictwo materyałów“ I, 33 i nast. U Gillera, Historia II, 400, znajduje się tylko drugi dekret o ludności bezrolnej.

zadość najgłębszym pragnieniom chłopu samego i zdobywającego ostrogi obywatelskie mieszczaństwa. Nie znaczy to jednak, i w tem się tak Mierosławski, jak i rewolucyoniści nasi mylili, by chłop w ten sposób obdarzony, czuł dla obdarzających jakąkolwiek wdzięczność, a nadewszystko by się poczuwał do obowiązku bronienia tej darowizny, a za nią i kraju przeciw obcemu najazdowi. Chłop bowiem nie wierzył w jakieś tam rewolucyjne dekreta i dary; on, jak zawsze, wierzył tylko w siłę, a że tę siłę widział po stronie najazdu, więc nie myślał wcale powstawać przeciw temu najazdowi. Dar chętnie przyjmował, zwłaszcza, że, jak to obaczymy, dzięki zabiegom agentów powstańczych, wszędzie został uwiadomiony o uwłaszczeniu, pańszczyzny nie robił, czynszów nie płacił, ale na powstańców patrzył z po-delbą i gdzie mógł to sztorcem do nich stawał. Korzyści więc bezpośredniej rewolucyoniści z dekretów tych nie osiągnęli, ale co ważniejsza nie osiągnął jej i kraj także, gdyż nihilisci moskiewscy pod wodzą Milutyna i innych, spożytkowali przykład, dany przez Komitet centralny, i w zakresie własności ziemskiej wywrócili wszystko do góry nogami.

Takie to akta poprzedziły, na zawsze pamiętną w naszych dziejach, noc z d. 22 na 23 stycznia. Noc to była ciemna i chmurna, przesycona wilgocią, ale stosunkowo ciepła, jak cała prawie zima tego strasznego roku. Uwaga Komitetu centralnego, a jak już teraz „Tymczasowego Rządu Narodowego“, zebranego w czterech swoich pozostałych członkach w Kutnie, zwróconą była przedewszystkiem na Płock, na którego wzięcie przez powstańców liczone, i w którym miała być nie tylko stworzona podstawa operacyjna przyszłej walki o niepodległość ojczyzny, ale w którym Rząd zamierzał rezydować i ujawnić się publicznie. Wiemy już, że dzięki energicznym zabiegom Edwarda Rolskiego, niegdyś członka Komitetu centralnego, a teraz komisarza rządowego w województwie płockiem, miasto rzeczzone na kilka dni przed terminem wybuchu, otoczone zostało przez liczne gromady popisowych i nale-



żące do organizacji młodzieży. Ogólne kierownictwo zamierzonego ataku, objął, wspomniany już przez nas, Bończa, który kwaterę swą główną założył we wsi Leszczynie pod Płockiem <sup>1)</sup>. Opierając się na raportach różnych naczelników organizacji, którzy systematycznie się okłamywali, przekonany był, że do napadu na Płock będzie miał pod ręką około 14.000 ludzi. Liczył on, że Lipno dostawi 5000, Sierpc 6000, Bodzanów 3000, a w ten obrachunek nie wchodziła organizacja miejska płocka i wyszogrodzka <sup>2)</sup>. W rzeczywistości zaś samej cyfra atakujących dochodziła zaledwie 1000 ludzi; z cukrowni w Głinojecku wyruszyło pod Płock 260 ludzi, z pod Wyszogrodu zaledwie 20, z pod Drobin 120, z Izabelina 200, i w tym stosunku zapewne z innych miejsc. Zdaje się, o ile można wyrozumieć z niezbyt jasnych relacji o tym napadzie, sześć oddziałów miało Płock atakować, mianowicie: Bodzanowski pod wodzą okręgowego Przybyszewskiego, właściciela wsi Bożenie, od strony rogatek warszawskich; ciołkowski pod Rogalińskim po drodze od Płońska; drobiński pod wodzą Malinowskiego, właściciela wsi Tupadła i braci Postrychów, synów rewizora tabacznego, z poza okopów, otaczających miasto; izabeliński pod wodzą Pomianowskiego od strony rogatek bielskich; dobrzyński od rogatek tejże nazwy; wreszcie z poza Wisły, z fabryki cnkru w Soczewce. Malinowski, którego partya zebrała się w Proboszczowicach, miał polecone, ażeby, wkroczywszy do miasta, uderzył na koszary kozackie, zwane Czarnym Dworem, znajdujące się niedaleko kościoła Reformatorów; Pomianowski na koszary piechoty; poprzec ich miała partya bodzanowska w połączeniu z wyszogrodzką, atakując rzeczne koszary od strony Wisły. W samym mieście nad spiskowcami objął dowództwo patron trybunału miejscowego, Wojciech Zegrzda, rewolucyjny naczelnik miasta, i niejaki Ćwirko, syn rewizora

<sup>1)</sup> „Napad na Płock“, rękopism, znajdujący się w zbiorach autora i skreślony przez uczestnika napadu.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

tabacznego w Płocku. Siódmy na koniec oddział, pod wodzą obywatela ziemskiego Kowalewskiego, u rogatki bielskiej stojący, miał tworzyć rezerwę. Plan napadu był bardzo prosty. Organizacja miejska winna była o godz. 12-jej w nocy uderzyć w dzwony na wieży farskiej i uzbrojona wypaść na ulice, powołując mieszkańców do broni; jednocześnie wszystkie partye miały uderzyć na wskazane punkta, wyciąć nieprzyjaciela do nogi i miastem ować. Plan ten ułożono i przyjęto na zjeździe ważniejszych dowódców, który się odbył d. 22 stycznia w Raciążu. Bończa tylko głośno narzekał, że za dużo oddziałów uderza na Płock, tak że nie będzie czem i kim zdobywać Pułtuską i Płońską <sup>1)</sup>. Nie miano przytem, jak się zdaje, zbyt dokładnych i szczegółowych wiadomości o sile nieprzyjaciela, kwaterującego w Płocku, kiedy wysłano tam rankiem dnia 22 stycznia, niejakiego Ostrowskiego, junkra zbiegłego z pułku smoleńskiego piechoty, ażeby okiem znawcy przejrzał rozpoznanie i liczebność wojska, oraz przekonał się czy nieprzyjaciel posiada artylerję. Ostrowski, ujrawszy w koszarach kilka armatek drewnianych, używanych do ćwiczeń żołnierskich, pewny był, że to są działa prawdziwe i uwiadomił o tem dowódców, którzy sądzili, że do Płocka nadeszła artylerja i siły w nim są znaczniejsze, niż to organizacja miejska donosiła <sup>2)</sup>.

Tymczasem w Płocku pod wodzą generała barona Mengdena, dzięki wysłaniu aż czterech oddziałów w okolice, w chwili wybuchu znajdowało się zaledwie 400 ludzi piechoty rosyjskiej, z tych 200 pułku Muromskiego i 200 inwalidów, oraz kilkunastu kozaków. Okoliczność to więc była bardzo pomyślna dla powstańców, zwłaszcza, że w d. 22 stycznia koło południa, nadbiegła do Płocka tragiczna wiadomość o wycięciu oddziału pułkownika Kozłaninowa pod Ciołkowem, i wyrzecz musiała z konieczności przy-

<sup>1)</sup> Relacye ustne.

<sup>2)</sup> *Gesket-Puzyrewskij* *Wojennyja diejstwa*, 295. *N. Berg*, *Zapiski* II, 421.

gnębiające wrażenie na dowódcę i żołnierzy, zamkniętych w mieście. O przybyciu na czas innych oddziałów, wysłanych w różnych kierunkach, niepodobna było nawet marzyć, tym więcej, że skomunikowanie się z nimi było niemożliwym, a w dodatku, ponieważ o nich nie miano żadnych wiadomości, obawiano się, czy nie spotkał ich los oddziału Kozłaninowa. Tegoż dnia przekonano się, że druty telegraficzne, łączące Płock z Warszawą, zostały przerwane; próbowano porozumieć się z Ramsayem przez Berlin, ale bezskutecznie<sup>1)</sup>. Co chwila przychodziły wiadomości o gro madzeniu się dokoła miasta licznych zbiegowisk powstań- czych, wiadomości, jak zwykle w takich razach bywa, mo- cno przesadzone i malujące położenie rzeczy w jak naj- czarniejszych barwach. W mieście, pod wieczór, zauważono niezwykle ruch, świadczący wyraźnie o porozumieniu się mieszkańców ze zbliżającymi się powstańcami. Z tem wszystkim Mengden, co mu pochwalić należy, nie stracił głowy; najprzód rozesłał liczne patrole z rozkazem areszto- wania podejrzanych osobistości, a zarazem opublikował, aby od godz. 5-ej wieczorem nigdzie w domach nie paliło się światło, aby sklepy i bramy były pozamykane, aby na- koniec nikt bez latarki nie śmiał wychodzić na ulicę, gro- żąc nieposłusznym całą surowością praw wojennych<sup>2)</sup>. Szczupłe swoje siły w ten sposób rozstawił, aby bronić dwóch placów miejskich, do których zbiegały się wszyst- kie ulice, bronić koszar i t. z. Czarnego Dworu, gdzie pułk Muromski piechoty miał swe składy i warsztaty. W tym celu na placu przed odwachem umieścił pół kompanii pie- choty; takąż siłę postawił na placu przed ratuszem; w Czar- nym Dworze bronić się kazał wszystkim ludziom pozasze- regowym, rzemieślnikom pułkowym i 10 kozakom, ogółem 50 ludziom; inwalidom w liczbie 200 polecił zamknąć się w koszarach. Z nastaniem zmroku patrole, przebiegające miasto, aresztowały wiele osób, chodzących bez latarek;

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyreuskij, loc. cit.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

przy niektórych wziętych w ten sposób, broń znajdowano. Około godz. 9-ej wieczorem, policyant, Munkierski nazwi- skiem, wysledził, że na dziedzińcu pałacu pobiskupiego, w którym mieścił się Trybunał cywilny, zebrała się znaczna liczba spiskowców; wysłany tam oddział wojska w rzeczy samej znalazł i aresztował około 40 uzbrojonych mężczyzn. Od nich, a może z innego źródła tenże Munkierski dowie- dział się, że napad ma być dokonany o godz. 12-ej w nocy, oraz o całym planie ataku i doniósł o wszystkim Meng- denowi<sup>1)</sup>.

Po aresztach dokonanych na ulicach i w pałacu po- biskupim, miasto zaległa posępna cisza. Noc była ciemna nadzwyczajnie i deszcz lał jak z cebra. Zgodnie z pier- wotnym planem, koło godziny 1-ej uderzono w dzwony z wieży Tumskiej, pomimo jednak dzwonienia, trwającego blisko kwadrans, sprzysiężeni przerażeni, wreszcie osłabieni mocno wieczornymi aresztowaniami, nie ukazywali się wcale na ulicach. W końcu odezwały się dzwony w innych ko- ściółkach, w mieście rozpoczął się ruch tajemniczy; jacyś mężczyźni biegali po ulicach, pukali do bram i okien, wo- łając: „panowie, do broni! do broni!“ Wszystko to nic nie pomogło; mieszkańcy się nie ruszali. Ale jęklivy od- głos dzwonów wiatr roznosił daleko, i Bończa, czekający na hasło na drodze Dobrzyńskiej, pojechał do miasta sam jeden na białym koniu i dostał się na plac przed odwa- chem. Wtedy dopiero zjawił się z garścią sprzysiężonych, przeważnie kleryków z seminaryum miejscowego, Zegrzda, i począł ustawiać powstańców, prowadząc jedną część na rynek przed ratusz, zwłaszcza, że i Malinowski wkroczył

<sup>1)</sup> Obiegała w owe czasy pogłoska, że napad miał być doko- nany o godz. 4-ej rano, ale Munkierski, dowiedziawszy się o tem, poradził Mengdenowi, ażeby uprzedzić naznaczoną godzinę i ude- rzyć w dzwony o godz. 1-ej w nocy, i tym sposobem oczekujących na umówione hasło spiskowych, będących w mieście pokonać wprzód. nim oddziały zewnętrzne zdążą do Płocka. Wiadomość ta jednak pozbawiona jest podstaw. Wszyscy bowiem dowódcy otrzymali rozkazy atakowania miasta o północy.



już przez okop naprzeciw Reformatów i skierował się ku Czarnemu Dworowi. Na placu przed odwachem przyszło do pierwszego starcia; z domu, stojącego naprzeciw odwachu wypadł strzał i zabił wartownika, który padając zdołał krzyknąć: „karaul won!“ (straż wychodź!)<sup>1)</sup>. Jakoż straż pod osobistym dowództwem komendanta miasta, pułkownika Poźniaka, wybiegła na plac i powitała biegnących ku niej powstańców, jednoczesnym grzmącym ale źle wymierzonym ogniem. Poźniak przytem osobiście zapalił rakietę, która z szumem, hukiem, pryskając iskrami, wzbila się w górę i wśród ciemnej nocy silne zrobiła wrażenie na niezwykłych tego powstańców. Mając ciągle w pamięci nieistniejące armaty, które junkrowi Ostrowskiemu zdawało się, że widział, sądzili, że to z dział biją, i że te ogniste i syczące smugi światła, są bombami lub śmiercionośnymi granatami. Pomimo zachęcań i osobistego męstwa Bończy<sup>2)</sup>, powstańcy nie wytrzymali ognia nieprzyjacielskiego i poczęli pierzchać w kierunku mostu na Wiśle. Tu koło koszar wojskowych Bończa zdołał powstrzymać uciekających i usiłował wdrzeć się do tychże koszar od tyłu

<sup>1)</sup> Zapiski łazutczika, 11.

<sup>2)</sup> Wiadomość, podana przez niektóre źródła rosyjskie, jakoby Padlewski brał udział w napadzie na Płock, jest pozbawioną prawdy. Jak wiemy, miał on istotnie taki zamiar, ale po spotkaniu oddziału Rogalińskiego, zwycięzcy Kozłaninowa, chłop wiozący Padlewskiego, nie chciał dalej jechać, a do Płocka było jeszcze dwie mile. Wobec tego Padlewski postanowił piechotą się tam dostać i wziawszy torbę podróżną z rzeczami, mapami i ważnymi papierami do ręki, ruszył bokiem przez manowce ku Płockowi. Uszedłszy milę, raptownie został napadnięty przez dwóch kozaków. Błąkających się po starciu Ciołkowskim. Przyaresztowali oni Padlewskiego, worek mu zabrali i poprowadzili go ku Płockowi. Na szczęście o 5 wiorst od miasta, pod karczma Białą natknęli się na partię powstańczą, śpiewającą głośno „Boże, coś Polskę“. Na dźwięk tej pieśni kozacy uciekli, rzuciwszy pod nogi torbę Padlewskiemu. on zaś znużony znalazł schronienie w najbliższym dworze, ale pod Płock już nie pojechał. (Anonim, Pamiętnik o kampanii Padlewskiego, rękopism).

i podpalić je, ale gęsta palba z okien i drzwi rozproszyła do reszty sprzysiężonych. Niemniej nie powiódł się atak Malinowskiego i braci Postrychów na Czarny Dwór. Zamknięci tam inwalidzi rzęsiwym, choć zupełnie nieszkodliwym ogniem odpędzili napadających, którzy szybko w różnych kierunkach rozbiegli się i opuścili miasto. Partya wyszogrodzka, do której jej okręgowy Przybyszewski wcale się nie stawiał i dowództwo objął młody ziemianin Gościński, błakając się wśród nadzwyczaj ciemnej nocy nad Wisłą, stopniała do liczby czterech ludzi i w walce udziału wcale nie wzięła<sup>1)</sup>. Partya, idąca od Raciąża, doszła do Bielska i stąd się cofnęła; partya ciołkowska, jak wiemy, po zwycięstwie nad Kozłaninowem i w skutek opuszczenia oddziału przez rannego Rogalińskiego, wcale pod Płock nie przyszła; partię z Dobrzynia nad Wisłą napotkali pod Sikorzem kozacy i rozpędzili; partya z Soczewki zastała most na Wiśle rozebrany i do miasta dostać się nie mogła. Oddział Kowalewskiego, oczekujący na podwodach za rogatką Bielską, mógł być jeszcze przez śmiałe wkroczenie do miasta poprawić sprawę, ale nieszczęściem jedna z rakiet, które Poźniak ciągle puszczał, wypadkiem poszła ukosem i wpadła w szeregi Kowalewskiego. To niezwykłe widowisko wywołało taki popłoch, wśród tych mieszcuchów od warsztatu lub łokcia, że, sądząc, iż to jest bomba, rozpierzchnęli się na wszystkie strony. Ledwie Kowalewski zdołał garść zgromadzić i cofając się z nią ku wsi Siecienie, spotkał się o świcie z oddziałem rosyjskim majora Radionowa, który, wysłany przed paru dniami przez Mengdena na zwiady, wracał teraz pośpiesznie do Płocka. Radionow schwytał większą część idących powstańców, oraz samego dowódcę Kowalewskiego<sup>2)</sup>.

Tymczasem w Płocku zwycięskie żołdactwo rosyjskie szalało po swojemu. Rozpalono dla oświecenia miasta olbrzymie ogniska na placach, a o świcie poczęto się wdzie-

<sup>1)</sup> „Napad na Płock“ (rkpsin.)

<sup>2)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 297.

rać do domów, dokonywano rewizyi, aresztowano winnych i niewinnych, dopuszczając się przytem licznych nadużyć. Oficer żandarmerji miejscowej wykrył, że w klasztorze Reformatów kryje się pewna ilość powstańców; jakoż aresztowano tam 36, pomiędzy którymi było wielu ranionych. Nieszczęśliwy Zegrza raniony w nocy kulą, został znaleziony w swem ukryciu po śladach krwi, którą obficie broczył, i w chwili, gdy go chciano aresztować, wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie. Rozbestwione żołdactwo, przebiegając miasto, biło przechodniów kolbami, tak, że wkrótce ulice zupełnie opustoszały, bo nikt nie śmiał się na nich pokazywać, a sklepy na głucho były zamknięte. Uczniowie nawet do szkół nie poszli, a urzędnicy do biur, tak że gubernator Dziewanowski musiał się aż oficjalnie w tej sprawie odnosić do komendanta miasta, Poźniaka. W nocnem tem starciu straty z obu stron były nieznaczące; nieprzyjaciół, jak się sam w swych urzędowych raportach przyznaje, miał 3 zabitych; powstańcy zdołali unieść swych poległych i rannych, tak że cyfra ich niewiadoma. Za to znaczna liczba, bo dochodząca podobno do 150, dostała się żywcem w ręce rosyjskie, a między nimi ów junkier Waleryan Ostrowski, który widmem drewnianych armat, taki niepokój wzbudził w napadających <sup>1)</sup>.

Tejże samej nocy, gdy zamach na Płock zupełnie się nie udał i w wynikach swoich tak tragicznie miał się zakończyć, popisowi i organizacya powstańcza dokonała napadów na miasteczko Płońsk, leżące także w gubernii płockiej. Podobnie jak pod stolicą gubernii, tak samo i pod Płońskiem, na parę dni przed wybuchem powstańcy zebrali się w okolicach tego miasta, we wsiach Zakobyle, Ciekszyń, Dolanowie i innych pod wodzą pocztbaltera Wojcie-

<sup>1)</sup> Z. Kolumna, Pamiątka dla rodzin polskich I, 115. Ostrowski został rozstrzelany w Płocku d. 27 lutego 1863 r. W komisji śledczej zapytany: w co Polacy tak ufają? miał odpowiedzieć: „najprzód w Boga sprawiedliwego, a potem we własne siły“. Patrz; „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 5.

chowskiego, obywatela ziemskiego Tytusa Sztajnkera, który później jako dowódca osobnego oddziału zginąć miał w boju, Mierzejewskiego także ziemianina, Łukasze-wicza, wreszcie Rosenthala, który w kilka dni potem poległ w utarczce pod Uniekiem, syna pastora luterskiego z Sierpca a urzędnika w Płońsku. W oddziałach tych znajdowało się wielu popisowych z Warszawy, t. zw. „dzieci warszawskich“, którzy, przemykając się z pod Zegrza i puszczy Kampinoskiej, znaleźli się tutaj <sup>1)</sup>. Ogółem obliczano ilość zebranych dokoła Płońska na 400 do 500 ludzi <sup>2)</sup>, nędznie oczywiście uzbrojonych, przeważnie w kosy, ale może dzięki żywiołom warszawskim, owym zrozpaczonym wychodźcom przed branką, walka w Płońsku przybrała o wiele energiczniejszy i zaciętszy charakter jak w Płocku. W samym Płońsku stała wówczas załoga; jedna kompania pułku Murowskiego piechoty, około 200 ludzi, pod komendą kapitana Artamonowa. W pobliżu, w osadzie miejskiej, zwanej Nowe miasto, miał swe kwatery pierwszy park pontonowy, liczący przeszło 400 ludzi <sup>3)</sup>. Na wieść o skupiających się dokoła Płońska powstańcach, z Nowego Miasta rano d. 22 stycznia wysłano kompanię pontonową na rekonesans, ale ta nie zrobiła, zmusiła tylko jeden z oddziałów do zmiany miejsca swego pobytu i ukrycia się w lesie <sup>4)</sup>. W każdym razie tak w Płońsku, jak i w Nowem mieście nabyto pewności, że powstańcy znajdują się w pobliżu, i że w nocy zamierzają atakować oba te miasta. Wskutek tego Artamonow miał się na ostrożności, i gdy o północy uderzono w miasteczku w dzwony, co miało być hasłem do napadu na Rosyan, skoncentrował on swą kompanię na rynku i sformował ją w kwadrat. Gdy więc w uliczkach, wiodących na rynek, ukazali się ze

<sup>1)</sup> N. Berg, Zapiski, II, 425.

<sup>2)</sup> Tak utrzymuje Berg loc. cit. II, 425. Gesket-Puzyrewskij loc. cit. 298 oblicza przesadnie siły powstańców na 1000 ludzi.

<sup>3)</sup> Gesket-Puzyrewskij loc. cit. 382.

<sup>4)</sup> Loc. cit. 298.



wszech stron wkraczający do miasta powstańcy, kompania rosyjska powitała ich rzesistym ogniem, na który atakujący, kryjąc się po domach i zaułkach odpowiadać poczęli. Po dość długo trwającej strzelaninie, która wyrwała z szeregów rosyjskich kilku zabitych <sup>1)</sup> i 20 rannych, powstańcy straciwszy 3 zabitych i 4 ranionych, cofnęli się z miasteczka w dość wielkim nieładzie. Znaczna ich część zatrzymała się na folwarku, należącym do proboszcza płońskiego, oddalonym od miasta o wiorstę, prawdopodobnie w zamiarze ponowienia ataku <sup>2)</sup>. Ale Artamonow po wyparciu powstańców z miasta, zwinął swą kompanię w kolumnę i puścił się za nimi w pogoń, dopadł skupiających się na folwarku, rozpędził i zabrał czterdziestu czterech do niewoli. W mieście przy rewizyi, dokonywanej po domach, schwytano 48, a między nimi jednego z dowódców, Mierzejewskiego. Zdobyli przytem Rosyanie około 253 sztuk różnej broni, strzelb, kos, pik i toporów. Wszystkich wziętych do niewoli, odesłano zaraz nazajutrz do Modlina.

Wybuch zbrojny w województwie plockiem ograniczył się tylko na wzmiankowanych dwóch miastach: Plocku i Płońsku. Czy zgodnie z planem pierwotnym, zamierzano uderzyć na inne miasteczka, nie wiemy. Załogi rosyjskie w mniejszej lub większej sile, w chwili wybuchu, zajmowały prócz Plocka, Płońska i Nowego miasta, jeszcze Dobrzyń nad Drwęcą, Rypin, Skempe, Lipno, Sierpc, Radzanów, Szreńsk, Mławę, Przasnysz, Ciechanów, Nasielsk, Zakroczym, Pomiechów, Maków, Jednoróżec, Chorzele, Krasnosielec, Ostrołękę, Pułtusk, Wyszaków i Ostrów <sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> W relacjach rosyjskich (*Żurnal wojennych dziejstwij, N. Berg, Gesket-Puzyreuskij*) jest mowa tylko o jednym, klasycznym zabitym.

<sup>2)</sup> Mówimy prawdopodobnie, gdyż relacji polskich o wypadkach nocy z 22 na 23 stycznia, bardzo niewiele posiadamy i w większej części opierać się musimy na źródłach urzędowych i rosyjskich. Starania autora, by zebrać choć nieco wiadomości, z małym wyjątkiem zupełnie się nie powiodły.

<sup>3)</sup> *Gesket-Puzyreuskij* loc. cit. 380 oraz mapa Nr. 42.

Otóż na żadną z tych załóg nie napadnięto i nie wycięto jej do nogi, jak tego plan wymagał. Pod Lipnem i Przasnyszem zebrały się znaczniejsze oddziały powstańców; pod tem ostatniem miastem dowodził Tomasz Kolbe, ziemianin, gorący zwolennik ruchu, ale napadu nie dokonał, wskutek otrzymanych jakoby w ostatniej chwili rozkazów, że powstanie zostało odwołanem <sup>1)</sup>. Pod Lipnem dowódcy mieli się pomiędzy sobą poróżnić i atak dla tego do skutku nie przyszedł <sup>2)</sup>. Zamierzony napad na Maków także chybił, najprzód wskutek tego, że okręgowy miejscowy otrzymał rozkaz powstania zaledwie na 12 godzin przed terminem. Liczono, że zdoła zebrać około stu sprzysiężonych, tymczasem w oznaczonym miejscu stawilo się ledwie 18 <sup>3)</sup>, z którymi na miasto, zajęte przez całą kompanię pułku niżegrodzkiego piechoty, uderzać niepodobna było. Bądź co bądź wybuch powszechny i jednoczesny w województwie plockiem chybił zupełnie. Plocka nie zdobyto, nieprzyjaciela nigdzie nie pokonano, owszem powstańcy ponieśli w dwóch utarczkach znaczne straty, świadczące o nieudolności dowódców z jednej strony, z drugiej o płochliwości atakujących i o braku w nich tego gorącego entuzjazmu, tej Winkelridowej ofiarności, jaką ludy powstające w imię wolności i niepodległości ojczystej okazywać winny i jakiej miano prawo oczekiwać od polskich zrozwazanych. Cały więc plan, na którym opierał się Padlewski i według którego Tymczasowy Rząd narodowy zamierzał z województwa plockiego uczynić podstawę operacyjną przyszłej wojny, ujawnić swój skład przed narodem, runął odrazu, jak wszystko runąć musi, co jest zbudowaniem na mniej więcej prawdopodobnych przypuszczeniach, wszystko co jest przedsięwzięciem lekkomyślnie, obrachowaniem na szczęśliwy przypadek. Zresztą, z chwilą, gdy wzięcie Modlina okazało się taką mrzonką, taką lekkomyślną nadzieją,

<sup>1)</sup> *Z. Kolumna*, Pamiątka, dodatek, 21.

<sup>2)</sup> *N. Berg* loc. cit. II, 426.

<sup>3)</sup> „*Dziennik warszawski*“ Nr. 158 z 1865 r.

jak wszystko w tem nieszczęśliwym powstaniu, plan uczy-nienia z Płockiego podstawy do działań dalszych, nie mógł mieć szans powodzenia i sam przez się upadł. Dość, że powstanie w nocy z d. 22 na 23 stycznia w Płockiem zupełnie się nie udało; zobaczymy zaraz, że i gdzieindziej nie powiodło się wcale.

W województwie Augustowskiem już dlatego zamy-sły powstańcze skutku pożądanego mieć nie mogły, że or-ganizacya rewolucyjna była bardzo słabo rozwinięta. W końcu 1862 r. obliczano spiskowych zaledwie na 700 głów<sup>1)</sup>, czego zapewne w części była powodem niezbyt przyjazna ruchowi ludność litewska, i duchowieństwo, prze-ważnie chłopskiego pochodzenia. Urządzeniem organizacyi tutaj, zajmował się Bronisław Szwarce, który pomimo ca-łego swego usposobienia rewolucyjnego i krzykactwa, nie tu nie zrobił<sup>2)</sup>. Nie mianowano wcale wojewódzkiego, a co większa do chwili wybuchu nieznaczono nawet ani jed-nego naczelnika powiatu, ani jednego naczelnika miasta. Tylko powiat Kalwaryjski miał okręgowego, zresztą żaden inny. Zrazu Komitet centralny chciał z gubernii Augustow-skiej utworzyć dwa województwa: augustowskie i łomżyń-skie, ale do tego nie przyszło<sup>3)</sup>, jak w ogóle zapomniano o tym oddalonym kącie Królestwa, a Szwarce umiał dużo rozprawiać, ale nie robił tego, co do niego należało. Unie-winnia go w części oddalenie tego województwa od War-szawy, nieprzyjazne usposobienie ludności i przewaga, jaką tu miało, stronnictwo Białych. W dodatku naczelnik wo-jenny augustowski, pułkownik baron Raden, który zastąpił osławionego Rudanowskiego, był człowiekiem bardzo prze-zornym i przenikliwym. Widział on, że stan powszechnego wzburzenia umysłów w kraju, doprowadzić koniecznie musi do katastrofy, i dość wcześniej wydał do wojsk sobie pod-ległych odpowiednie rozkazy i instrukcyę, jak w razie

<sup>1)</sup> O. Aweyde, Zeznania III, 143.

<sup>2)</sup> Gesket-Puzyrewskij loc. cit. 334.

<sup>3)</sup> O. Aweyde, loc. cit.

powstania zachować się mają. Dzięki tym wszystkim przy-czynom do zamierzonego, jednoczesnego napadu na załogi rosyjskie w Augustowskiem wcale nie przyszło; w jednym tylko powiecie łomżyńskim, osiadłym przez ludność ma-zurską, przeważnie drobną szlachtę zagonową, i gdzie dzięki temu organizacya była silniej rozwiniętą, zaatako-wano nieprzyjaciela w nocy z d. 22 na 23 stycznia w dwóch miejscach. W powiecie tym, którego naczelnikiem wojen-nym był pułkownik Zajcew, siły rosyjskie nie były znaczne i zajmowały punkta następujące: Tykocin, gdzie stała jedna kompania pułku Symbirskiego piechoty; w Łomży były dwie kompanie i w Zambrowie jedna tegoż pułku, ogółem cztery kompanie piechoty. Jazdę stanowili kozacy, których setka (36 pułku Dońskiego) kwaterowała w Wy-sokiem Mazowieckiem, i pół setki w Tykocinie, razem 150 koni. Zajcew w połowie stycznia wydał rozkaz do swych wojsk, ażeby w razie wybuchu szybko się koncentrowały dla jednoczesnego uderzenia na zagrożone miejsca<sup>1)</sup>.

Tak stały rzeczy w tych oddalonych dzielnicach Kró-lestwa, gdy zbliżył się termin powstania. Popisowi i człon-kowie organizacyi powstańczej, prawie wyłącznie drobna szlachta mazurska, skupili się w okolicy Łap, stacyi kolei warszawsko-petersburskiej, gdzie dowództwo nad nimi objął niejaki Cichorski, który przybrał miano Zameczka, budow-niczy kolejowy z tychże Łap, człowiek niewojskowy, pierwszy bodaj typ, tak pospolity później, nieudolnych, ale za to okrutnych i ograniczonych umysłowo dowódców powstańczych. Zdarzyło się, że w połowie stycznia Zajcew otrzymał rozkaz, ażeby sztab batalionowy pułku Symbir-skiego przeniósł z Tykocina do Łomży. Rozkaz ten posta-nowiono wykonać w d. 23 stycznia, to jest nazajutrz po wybuchu. Jakoż dowódzca batalionu, major Felkner, brat zabitego w Warszawie naczelnika policji tajnej<sup>2)</sup>, wyru-szył owego dnia na czele jednej kompanii po szosie, na

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij loc. cit. 335.

<sup>2)</sup> Rafał Błowski, Pamiętnik (Polska w walce II. 375).



Jeżewo i niedaleko od tej wsi, w lesie, powitany został strzałami powstańców Zameczka. Napad ten zmusił go do szybkiego wycofania się z lasu<sup>1)</sup>, i stanąwszy na szczyrim polu, posłał do Tykocina po pozostałych tam 50 kozaków. Z ich przybyciem Felkner nabrał nieco otuchy, rozsypał tyralierów i ruszył do lasu, skąd po dość długiej strzelaninie, zdaje się dla obu stron nieszkodliwej, Zameczek zagłębił się w bory i zniknął. Dowódzca rosyjski, wyszedłszy nakoniec z lasu, dowiedział się, że miasteczko Sokóły, będące po jego lewej, zajęte jest przez powstańców, którzy schwytali tam kilkunastu żołnierzy i kozaków. Wobec tego Felkner postanowił zatrzymać się w Jeżewie, przepędzić tu noc z 23 na 24 stycznia, uwiadomić o wszystkim Zajcewa w Łomży, i zażądać od niego posiłków. Nazajutrz przyszła wiadomość, że powstańcy owej nocy napadli na setnię kozaków dońskich, stojących w Wysokim Mazowieckiem.

Pierwotnie zamierzano uderzyć na Wyokie Mazowieckie, jak wszędzie, w nocy z d. 22 na 23 stycznia, i w tym celu spiskowcy i popisowi zebrali się pod miastem, ale dowódzca ich Zameczek, zamiast przybyć wieczorem d. 22, zjawił się z karygodnem niedbalstwem na miejscu zbornem za ledwie około godz. 5-ej rano. Napad więc odłożono na noc następną<sup>2)</sup>. Tymczasem kozacy pod wodzą esaula Pawłowa, uwiadomieni o wszystkim, opuścili dotychczasowe swe kwatery pod samem Wysokim w karczmie i przenieśli się do miasta, gdzie zajęli wielki dom murowany w rynku, oraz inne domy, i ukryci poza oknami, drzwiami i węglami, oczekiwali przybycia powstańców. Ci, o niczem nie wiedząc, wpadli w nocy do miasta i niewiadomo dla czego zapalili na rynku beczkę ze smołą, która ich doskonale oświecała. Kozacy przy tem oświeceniu gęsto strzelali, a mimo to zabili za ledwie jednego

<sup>1)</sup> Miał stracić przytem, jak zwykle, jednego tylko kozaka! (*Gesket-Puzyrewski*, 336).

<sup>2)</sup> Relacye rękopiśmienne.

powstańca. Wśród tej strzelaniny, niejaki Adolf Skarzyński, młody człowiek, były kleryk, skoczył przez otwarte okno do domu, gdzie główne siły kozackie się zebrały, i przy pomocy nadbiegłych kolegów wyparł nieprzyjaciela<sup>1)</sup>, który co prędzej opuścił miasteczko i cofnął się do Mężenina.

Wobec tych faktów położenie Felknera w Jeżewie było dość rozpaczliwe, gdyż widocznie zewsząd był otoczony, i gdyby powstańcy mieli dowódcę z głową, z trudnością by przyszło majorowi rosyjskiemu wyjść z tej sytuacji cało. Ale Zameczek nie miał takiej głowy. Pułkownik Zajcew w Łomży, otrzymawszy wiadomość o niebezpiecznem położeniu Felknera, wysłał mu natychmiast na pomoc kompanię piechoty i setkę kozaków pod wodzą kapitana Paszteliejewa. Ten postępował nadzwyczaj ostrożnie i z wielką obawą, tak że noc 24 stycznia zaskoczyła go w pewnej odległości od Mężenina, od którego oddzielał go las gęsty. Lękając się maszerować wśród zapadających ciemności przez las, zatrzymał się na nocleg u jego skraju i postanowił czekać świtu. Tymczasem Felkner ruszył d. 24 rano z Jeżewa ku Mężeninowi, dokąd przybył szczęśliwie nie atakowany wcale i połączył się z kozakami, wygnanymi z Wysokiego Mazowieckiego. Na te oddziały, nocujące w Mężeninie postanowił uderzyć w nocy z 24 na 25 stycznia, niejaki Józef Szebietowski, właściciel wsi Lisowa<sup>2)</sup>, oraz Władysław Wilkoszewski, podobno oficer z legionu Garibaldiego, drukarz z fachu. Ten ostatni był przeznaczony do uderzenia na Tykocin<sup>3)</sup>, czego nie uczynił, prawdopodobnie z powodu wymarszu stamtąd Felknera. Połączył się więc z Szebietowskim w celu atakowania Mężenina. Jakoż przypuszczono nad ranem, o godz. 4-ej dość śmiały atak. Powstańców, jeżeli wierzyć można do-

<sup>1)</sup> Z. Kolumna, Pamiątka II, 249; myli się tylko mówiąc, że się to działo w Borkach.

<sup>2)</sup> Loc. cit. II, 270.

<sup>3)</sup> Loc. cit. dodatek, 81.

niesieniom rosyjskim, miało być około 1000<sup>1)</sup>); wdarli się oni do miasta i po dwugodzinnej upartej walce, cofnęli się, zostawiwszy na placu około 50 zabitych i wodza swego Szepietowskiego<sup>2)</sup>. Nieprzyjaciół ponieść musiał także znaczne straty, a lubo przyznaje się do 4 zabitych (w ich liczbie porucznik Niepokojczycki, oczywiście Polak) i 14 rannych, wszelako wierzyć temu nie można z powodu, że zaraz nazajutrz, połączwszy się nakoniec z Panteliejewem, zamiast ruszyć na Sokoły, jak tego wymagała instrukcja, wydana przez Radena, cofnął się do Łomży, tłómacząc swój krok wielką liczbą rannych i brakiem lekarza w oddziale<sup>3)</sup>.

Taki miała przebieg straszna noc styczniowa w gubernii augustowskiej; podobnie jak w Płockiem wybuch zupełnie się tu nie udał, a dwie napaści na Wysokie Mazowieckie i Mężenin, nie przyniosły powstańcom, szczerze mówiąc, żadnych korzyści. Załogi rosyjskie ataki odparły, a choć straty poniosły, to z drugiej strony daleko cięższe zadały szkody powstańcom. I tu uderza w oczy nieudolność dowódców i mała wytrzymałość tych wojowników, wczoraj oderwanych od dratwy i igły, którzy porwali się do walki z potężnym caratem rosyjskim. Wprawdzie w Mężeninie okazano większą niż gdzieindziej uporczywość w boju, a nawet pewną waleczność, dzięki temu, że w napadzie tym brała przeważnie udział drobna szlachta mazurska, ale nieudolne kierownictwo, brak broni, nie mogły się oprzeć wyćwiczeniu wojskowemu i karabinom daleko-nośnym rosyjskim. Krew przelana w Płockiem i Łomżyńskiem, była krwią marnie przelaną, niestety! jak była nią wszędzie prawie w tem powstaniu, zrobionem bez przygotowań, bez broni i z lekkomyślnością nieprzebaczoną.

Wspomnieć tu jeszcze musimy o napadzie na miasteczko Suraz, leżące na prawym brzegu Narwi, tuż przy

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 336.

<sup>2)</sup> Z. Kolumna, loc. cit. II, 270.

<sup>3)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 337.

granicy Królestwa. Napadu tego, zdaje się dokonał Zameczek, wprzód nim wyruszył pod Wysokie Mazowieckie. W Surazu stała jedna kompania pułku Libawskiego piechoty. Napadnięta niespodzianie w nocy z d. 22 na 23 stycznia, została rozproszona, tak że dowódzca jej zdołał zaledwie zebrać 60 ludzi, na czele których cofnął się do Zabłudowa. Ze strony rosyjskiej, według raportów urzędowych, miało zginąć trzech szeregowców, a jeden oficer i jeden żołnierz „przepadli bez wieści“.

Na Podlasiu, zwłaszcza w okolicach zamieszkałych przez szlachtę chodackową, powstanie w nocy z 22 na 23 stycznia, przybrało szersze, niż gdzieindziej rozmiary, i była to jedyna dzielnica kraju, gdzie starano się wykonać ściśle plan zamierzony. Dzięki zabiegom i wytężonej działalności Romana Rogińskiego, komisarza, oraz Bronisława Deskura, wojewódzkiego, Podlasie, zwłaszcza powiaty: siedlecki, bialski, łukowski i radzyński, pokryły się siecią organizacyi bardzo spoistej i dzielnej. Obliczano, że samo Podlasie może 8000 ludzi postawić do boju, i w rzeczy samej tylu miano zamieszczonych na listach, ale właściwie sprzysiężonych miała być zaledwie połowa. Niestety! dla tej liczby powstańców miano w województwie zaledwie 300 strzelb myśliwskich. W skład organizacyi, jak wszędzie, wchodziło drobne mieszczaństwo, rzemieślnicy, niżsi urzędnicy, oficyaliści, i jak w Podlaskiem, całe zaścianki szlachty zagonowej. Bądź co bądź te siły, gdyby były dobrze uzbrojone i jako tako prowadzone, mogły przez nagły nocny atak na garnizony rosyjskie, znaczne im szkody zadać, zwłaszcza, że te garnizony niezbyt liczne, rozrzucone były po całym województwie. Oprócz załóg w dwóch twierdzach Demblinie (Iwangrodzie) i Brześciu Litewskim, leżących na skrajach województwa, wojsko rosyjskie kwaterowało: w Węgrowie, Sokołowie, Siedlcach, Stoku Łaskim, Białej Podlaskiej, Międzyrzeczu, Łomazach, Wisznicach, Włodawie, Ostrowiu, Parczewie, Radzyminie, Łukowie, Serokomli, Kocku, Żelechowie i Łaskarzewie. Siły te w przybliżeniu wynosiły około 5000 ludzi piechoty, 2000 koni



i 32 dział polowych i konnych. Były to więc siły o wiele przewyższające powstańców, nie tylko pod względem uzbrojenia i wyćwiczenia, ale nawet liczebności. O pokonaniu ich więc mowy być nie mogło, i jedynie tylko przy ataku nocnym, niespodziewanym, nagłym i energicznym, dałoby się uzyskać pewne korzyści. Naczelnym dowódcą w Podlaskiem ze strony powstańców, był jak wiemy, Walenty Lewandowski, którego całe doświadczenie wojenne ograniczało się na kampanii węgierskiej. Rogiński w początkach stycznia wywiózł go z Warszawy w Podlaskie, ale widok tego małego szczupłego blondyna, o twarzy nikłej i bez wyrazu, oczach maleńkich i nie zdradzających inteligencji, nie wzbudzał wielkiej ufności. Zamianował on zaraz naczelników wojennych po powiatach, czyli przyszłych dowódców powstania. Rogiński, młody, 19-letni chłopiec, świeżo wyszły z Cuneo, bardzo zapalony i bardzo gorliwy, pełniący dotąd obowiązki komisarza wojewódzkiego, został naczelnikiem powiatu białskiego; Deskur, obywatel ziemski z Horostyty, człowiek żonaty, dzielny, nie mający nawet najmniejszego pojęcia o wojskowości<sup>1)</sup>, został mianowany naczelnikiem powiatu radzyńskiego w stopniu majora; Teodor Jasiński, także ziemianin i także niewojakowy został jego pomocnikiem<sup>2)</sup>; Władysław Jabłonowski, niegdyś student uniwersytetu kijowskiego, kolega Rogińskiego z Cuneo, niemniej jak ten ostatni młody, zapalony, ale bez znajomości wojny, został naczelnikiem powiatu sokołowskiego; ksiądz Brzoska, już ze swego stanu nie mający nigdy nic do czynienia z wojskowością, otrzymał nominację na naczelnika łukowskiego<sup>3)</sup>; w okręgu łosickim do-

<sup>1)</sup> Sam o sobie powiada (Materiały do hist. powst. II, 145): „stopień był, ale kwalifikacji nie było; umiałem wprawdzie ekspedycje regulamin kawalerji, bo tego można się było wyuczyć z podręcznika Mierosławskiego, parę książek o taktyce i strategii przeczytałem, ale praktyki, doświadczenia żadnego“.

<sup>2)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 152.

<sup>3)</sup> R. Rogiński, Pamiętnik (rkpsm.).

wództwo dostało się Władysławowi Czarkowskiemu, doktorowi z Łosic.

Rogiński, po powrocie z Warszawy, dokąd, jak wiemy jeździł, ażeby powstrzymać wybuch, zjechał się z Lewandowskim, Deskurem, Czarkowskim i innymi, w Siedlcach, i tu uradzili, ażeby Lewandowski uderzył w nocy z d. 22 na 23 stycznia na Siedlce. Na ten cel miała być użyta najprzód organizacja tego miasta, organizacja z Sokółowa i Węgrowa, którą miał przyprowadzić Jabłonowski, organizacja okoliczna siedlecka pod dowództwem niejakiego Matlińskiego, emigranta z r. 1848, człowieka niewojakowego; wreszcie spiskowi z okręgu łosickiego, których przywieść miał wspomniany Czarkowski. Obliczono, że jeżeli wszyscy się stawia, to będzie około 2000 uzbrojonych w kosa i broń myśliwską<sup>1)</sup>. Rogiński miał uderzyć na Białą, w której wszyscy mieszczenie byli wciągnięci przez niego do spisku, a przytem nie było w powiecie ani jednego zaścianku szlacheckiego, któryby doń nie należał. Ks. Brzoska miał napaść na Łuków, gdzie także organizacja była dość rozpowszechniona, a prócz tego do sprzysiężenia wciągnięto kilkudziesięciu żołnierzy Polaków z tamtejszego garnizonu. Deskur powinien był zaatakować Radzyn, gdzie także między oficerami garnizonu rosyjskiego istniał związek tajny. Wreszcie polecono Deskurowi, ażeby zajął się urządzeniem napadów na inne miasta, w których kwaterowało wojsko rosyjskie. Na Ostrów więc miał uderzyć niejaki Rajmund Krasuski; na Międzyrzecz, Karol Krysiński, syn naczelnika tamtejszej straży tabaczej, który z czasem miał zyskać sobie pewne imię w powstaniu; na Kodeń wreszcie miał napaść niejaki Nencki, rządca tamtejszy, podoficer z batalionów orenburskich. Do celu tego użyć miał organizacyi Kodeńskiej z dwóch pobliskich zaścianków szlacheckich (Tuczna i Wizki), razem 250 ludzi; Łomazy miał atakować Czapiński, również ze szkoły podchorążych w Cuneo, z organizacją miejscową i zaściankiem

<sup>1)</sup> Loc. cit.

szlacheckim Huszcza, ogółem 250 ludzi<sup>1)</sup>. W planie ogólnym leżało, ażeby za jakąbądź cenę opanować Siedlce, Łuków, Międzyrzecz i Białą, czyli szosę brzeską, z bocznym wylotem przez Kodeń, oraz Radzyń, jako punkt najważniejszy na szosie lubelskiej. Owładnięcie tych punktów przecinało główną komunikacją Warszawy z Litwą i Ruśią, a przytem zaopatrywało biedne i bezbronne powstanie w działa, parki artyleryjskie, konie i karabiny. Lewandowski miał potem zamiar pomaszerować ze skoncentrowanymi oddziałami pod Brześć Litewski, gdzie część oficerów Polaków należała do spisku powstańczego, a część Rosyan była w związku z partią rewolucyjną rosyjską i gotowa była dopomóc do oddania twierdzy w ręce Lewandowskiego. Przyszli mu, że działa i karabiny załogi nabite będą ślepymi ładunkami, domagali się tylko, by dowódzca polski stanął przed szaniami twierdzy na czele jakich 600 do 1000 ludzi, co Lewandowskiemu nie wydawało się zbyt trudnem<sup>2)</sup>. Na wszelki jednak wypadek, gdyby plan zdobycia miasteczek na szosie warszawsko-brzeskiej, a tem samem zagarnięcia Brześcia litewskiego nie udał się, miano się w każdym razie skoncentrować, uorganizować wojskowo i ruszyć na Lublin<sup>3)</sup>. Tak ułożywszy wszystko na owej radzie w Siedlcach, powysyłano rozkazy, rozjechano się, rozwijając nadzwyczajną, gorączkową nieomal czynność. Czasu było niewiele, w powietrzu wrzała burza, ziemia paliła się pod nogami. Choć większość dowódców, sam nawet Rogiński najzapaleńszy z zapalonych, nie wierzył w możliwość tryumfu, jednakże robił wszystko, co można było, dwoił się niejako, by z pod ziemi wydobyć wojowników, kamienie ożywić w rycerzy i rzucić ich na bój zatarcenia, bój bez chwały i bez zwycięstwa.

Ten nadzwyczajny ruch w Podlaskiem, te przygotowania gorączkowe, twarze rozpalone niezwykłym rumień-

<sup>1)</sup> Rogiński, loc. cit. *Deskur*, loc. cit.

<sup>2)</sup> Lewandowski, *Zeznania* (rkpsm.).

<sup>3)</sup> Rogiński, loc. cit. *Gesket-Puzyresickij*, loc. cit. 153.

cem febry wewnętrznej, nie mogły ująć uwagi dowódców rosyjskich, do których dochodziły wieści, mętne wprawdzie, ale bądź co bądź ostrzegające, że wybuch lada dzień nastąpi. Tu i owdzie oczywiście zdrada odegrała pewną rolę; ale wszystkie te wiadomości, powtarzamy, były bardzo niepewne i bardzo niejasne, i co najważniejsza, nie oznaczały ściśle terminu samego wybuchu. Mimo to miano się na ostrożności, nakazano oddzielnym komendom pewną czujność, a ich dowódcom baczność na to, co się dookoła nich dzieje. Wśród takich to okoliczności, takiej posępnej ciszy, zapłodnionej krwawą burzą, nadeszła owa straszna, niezapomniana nigdy noc z d. 22 na 23 stycznia.

Lewandowski gotował się do uderzenia na Siedlce. Stał tam załogą cały batalion pułku Kostromskiego piechoty, pod wodzą podpułkownika Fofanowa, oraz setka kozaków dońskich pułku 24-go. Jedna kompania batalionu zajmowała wieś Stok Lacki, w odległości pół mili polskiej od miasta, strzegąc tam arsenału pułkowego i magazynów. Ogółem było około tysiąca ludzi piechoty i stu koni. Jakimi siłami rozporządzał Lewandowski, trudno ściśle określić; obliczał on, jakeśmy rzekli, że jeżeli wszyscy się stawią, będzie miał około dwóch tysięcy. Chcąc ułatwić sobie dość trudne zadanie, polecił on organizacyi siedleckiej, ażeby w nocy powstania sprosiła oficerów rosyjskich, jeżeli nie wszystkich, to przynajmniej większą ich część do jednego domu, i tam im ucztę wyprawiła. Miano ich spoić, na dane hasło rozbroić i wziąć do niewoli<sup>1)</sup>. Prócz tego zdołał on się porozumieć z oficerami i komendantem invalidów, któremu obiecał zostawić komendę, „jeżeli się grzecznie zachowa“<sup>2)</sup>. Zamierzał on siły swoje podzielić na dwie części; z jedną, większą chciał sam uderzyć na miasto; druga, mniejsza, miała pokonać odosobnioną kompanią w Stoku Lackim i zabrać tam arsenał. Zdawało się, że w takich warunkach atak udać się winien, ale nie spo-

<sup>1)</sup> Lewandowski, *Zeznania* (rkpsm.).

<sup>2)</sup> Loc. cit.



dziewał się dowódzca polski, że garnizon siedlecki był o wszystkim uwiadomiony. Zdarzyło się bowiem, że w przeddzień ataku, dwóch kozaków nocowało na stacyi pocztowej niedaleko od Białej, i tam podsłuchali rozmowę pocztylionów, którzy, nie wiedząc nic o obecności niepożądanych gości, komunikowali sobie nowiny o zamierzonym napadzie na Siedlce i Białą. Kozacy, jak tylko znalazła się po temu sposobność, wymknęli się ze stodoły i jeden z nich poleciał do Białej, drugi do Siedlec i donieśli o wszystkim komu należy<sup>1)</sup>. Mimo to, podpułkownik Fofanow w Siedlcach nie zmienił w niczem swej pozycyi i odosobnioną kompanią zostawił w Stoku Lackim; tylko już oficerowie na ucztę nie poszli.

Lewandowski, nie o tem wszystkim nie wiedząc, podstąpił z jedną częścią powstańców, paręset ludzi wynoszącą, którą z Łosic przyprowadził Czarkowski, pod Siedlce, a drugiej kazał ruszyć na Stok Lacki. Noc była ciemna, wilgotna i mglista. Lewandowski, zbliżywszy się pod miasto, zostawił oddział w niewielkiej odeń odległości pod cmentarzem, a sam puścił się na zwiady. Pełzając na czworakach, podsunął się pod koszary wojskowe. Zobaczył drzwi otwarte, wnętrze oświecone, broń w kozłach i żołnierzy śpiących w zupełnem bezpieczeństwie; warty także drzemały. Ucieszony tem, ożywiony nadzieją łatwej zdobyczy, wrócił czemprowadz do oddziału, by go poprowadzić na wroga, ale tu spotkało go pierwsze i nie ostatnie w tej wojnie improwizowanej rozczarowanie. Tam bowiem, w oddziale w czasie jego nieobecności rozeszła się pogłoska, że naczelnik jest zdrajcą, że „przeszedł do Moskali“, że wszystkich zebranych zamierza oddać w ręce nieprzyjacielskie. Nieznany nikomu, nie mogący swą małą, milejącą, niewojсковą postawą, tym tłumom oderwanym od brony lub dratwy, zaimponować, obudził podejrzenia przez swe tajemnicze oddalenie się, tak, że skoro wrócił, zastał za ledwie garstkę, gdyż reszta się rozeszła. O ataku Siedlec

<sup>1)</sup> N. Berg, Zapiski II, 443.

z kilkudziesięciu ludźmi, którzy byli mocno wstrząśnieni tem, co się stało, nie można było myśleć, więc Lewandowski zawrócił i ruszył pod Stok Lacki, by połączyć się z oddziałami, który na wieś tę miał uderzyć<sup>1)</sup>. Tu w rzeczy samej przyszło do krwawego i gorącego starcia.

Czarkowski w dniu tym rano, wybierając się na Siedlce, schwytał w Łosicach pięciu ułanów z pułku Smoleńskiego, którzy wysłani zostali dla przygotowania kwater dla oddziału swego pułku, mającego przybyć tutaj w celu dopomożenia władzom administracyjnym przy brance. Prócz tego Czarkowski oświadczył niewielkim arsenałem, znajdującym się w miasteczku, zabrał z niego broń i rozdał między ludzi swego oddziału<sup>2)</sup>. Oddział ten szczęśliwie podsunął się pod Stok Lacki około godz. 1-ej po północy, ale zamiast uderzyć po cichu, powstańcy rzucili się z wielkim krzykiem i tym sposobem ostrzegli nieprzyjaciela o swej obecności, którego tym łatwiej można było pokonać, że dowódzca kompanii kapitan Leoniewskij nie znajdował się w Stoku Lackim, gdyż z większą częścią swej komendy, udał się był do Siedlec dla pełnienia tam służby garnizownej<sup>3)</sup>. Żołnierze zbudzeni ze snu, porwali za broń i zamknawszy się w chałupach wiejskich, bronili się zacięcie przez kilka godzin, oczekując na pomoc z miasta. Powstańcy zdołali opanować arsenał, gdzie zabrali 25 starych karabinów; jeden dom spalili z trzema zamkniętymi tam żołnierzami i utrzymywali silny, acz niezbyt szkodliwy ogień. Tymczasem w Siedlcach podpułkownik Fofanow dowiedział się o tem, co się dzieje w Stoku Lackim dopiero o godz. 4-ej rano i natychmiast wyruszył na pomoc na czele dwóch kompanii piechoty i setki kozaków. Zbliżywszy się do wsi powitany został strzałami; wówczas rozwiniął tyralierów i palbą wyparł ze wsi płochliwych i niezwy- czajnych ognia powstańców. Wystąpili oni w nieładzie

<sup>1)</sup> Lewandowski, loc. cit.

<sup>2)</sup> „Dziennik powszechny“ Nr. 176 z r. 1863.

<sup>3)</sup> Raport urzędowy, („Dziennik powszechny“ Nr. 20 z r. 1863).



i większej części siedli na przygotowane podwozy w liczbie stu i odjechali nie ścigani wcale przez zadowolonych zapewne z tego nagłego odwrotu Rosyan. Raporta urzędowe utrzymują, że ci ostatni stracili 7 ludzi, ranionych 10; powstańcy 5 zabitych i tyluż ranionych zostawili na polowisku, którzy dostali się w ręce rosyjskie. Prócz tego Fofanow wziął 55 do niewoli i trzy wozy z kosami<sup>1)</sup>.

Bądź co bądź atak na Siedlce, najważniejszą z pozycyi wojennych w Podlaskiem nie powiódł się zupełnie; nie powiodły się i inne napady. Na Łuków, drugi punkt na szosie warszawsko-brzeskiej, atak przygotowywał ks. Stanisław Brzozka, wikaryusz tamtejszy, trzydzieści zaledwie w tej dobie lat liczący, syn chłopski, stąd wśród ludu okolicznego i drobnej szlachty cieszący się wielkiem zaufaniem. Patriota zapalony i gorący, naczelnik powiatu łukowskiego z ramienia Komitetu centralnego, asceta z usposobienia, miał z czasem zasłynąć szeroko w powstaniu. On to głównie uorganizował powiat łukowski przy pomocy ks. Słotwińskiego, Pijara, który pozostawił po sobie pamiętnik z tej doby, i liczył wiele na pomoc oficerów załogi miejscowej, którzy wciągnięci do spisku, obiecali, że w dzień wybuchu zgromadzą się u jednego z kolegów i dadzą się wziąć do niewoli<sup>2)</sup>. Powstańcami miał dowodzić niejaki Gustaw Zakrzewski, ziemianin z Ciechomina. Liczono, że zbierze się około 3000 ludzi, należących do organizacji, co oczywiście było przesadą. Siły rosyjskie nie były znaczne, gdyż wynosiły wszystkiego dwie kompanie pułku Kostromskiego piechoty, około 400 ludzi, pod dowództwem podporucznika Petrisowa, i w takich warunkach tylko nagły napad mógł mieć skutek pomyślny. Jakoż tak się stało; załoga rosyjska w miasteczku nic nie wiedziała o gotującej się burzy, i w chwili, gdy powstańcy w liczbie 300 pieszych i 50 konnych wkroczyli o godz. 2-iej w nocy do miasteczka, pogrążona była w śnie głębokim. Uderzono

<sup>1)</sup> „Żurnal wojennych dziejstw” Nr. 1.

<sup>2)</sup> Ks. A. Słotwiński, Wspomnienia z niedawnej przeszłości, 89.

na koszary, zniesiono wartę, wdarto się do środka i wielu żołnierzy pozabijano. Reszta przebudzona zdołała zgromadzić się na rynku i tam uformowała się w karabatalion, ale rażona gęstym ogniem z domów i z za parkanów, śpiesznie opuściła miasto, zajęła klasztor Pijarów i tam broniła się póty, póki rano nie nadbiegła jej na pomoc kompania tegoż pułku, stojąca w pobliskiej wsi Mrocзки. Ks. Brzozka i Zakrzewski wobec tego wycofali się z miasta, zdobywszy znaczną ilość karabinów i amunicyi<sup>1)</sup>. Jakkolwiek był to jeden z najpomyślniejszych i najdzielniej wykonanych napadów, nie przyniósł on, prócz zdobycia nieco broni i zadania dotkliwych zapewne strat Rosyanom, żadnej innej korzyści, gdyż Łuków choć na chwilę został wzięty, utrzymanym jednak przez powstańców być nie mógł, a tem samem strategiczna linia szosy warszawsko-brzeskiej nie dostała się w ręce polskie. Był to więc napad chybiony, jak wszystkie dotychczasowe.

Trzecim punktem na szosie rzecznej było miasteczko Międzyrzecz, niegdyś dziedzictwo ks. Adama Czartoryskiego, skonfiskowane mu po rewolucyi listopadowej. Zajęte ono było przez szwadron pułku Smoleńskiego ułanów, ogółem około 200 koni<sup>2)</sup>. Naczelnikiem powstańczym miasta był Karol Krysiński, młody człowiek, syn naczelnika straży tabacznej. Był to tęgi, zuchowaty mężczyzna, który pewną sławę zyskał sobie później, ale zarozumiał nadzwyczajnie i bez wyższego wykształcenia<sup>3)</sup>. Oczywiście o sztuce wojennej nie miał najmniejszego wyobrażenia. Według planu, nakreślonego przez Rogińskiego, Krysiński na czele mieszczan międzyrzeckich, oraz straży tabacznej, którą wciągnął był do organizacji, miał uderzyć na koszary ułanów, spać je i zabrać co się tylko da. Na pomoc miał mu przy-

<sup>1)</sup> Straty w tem starciu nie są znane; ze strony rosyjskiej jednak musiały być dość znaczne, skoro urzędowe raporta, a za nimi historycy rosyjscy, nic o nich nie wspominają.

<sup>2)</sup> Gesket-Fuzyrewskij loc. cit. 377.

<sup>3)</sup> Br. Deskur, Pamiętniki, loc. cit. II, 159.



być pobliski zaścianek t. z. bojarów, w liczbie około stu ludzi, i po dokonanych napadzie Krysiński winien był szybko opuścić Międzyrzecz i ściągnąć do głównego obozu powstańczego do Białej<sup>1)</sup>. Planu tego Krysiński nie wykonał dla przyczyn nam niewiadomych, i na ułanów w Międzyrzeczu nie napadł; zdaje się, że w nocy z d. 22 na 23 stycznia wcale go nie było w tem mieście i wskutek tego nie miał kto dowodzić atakiem<sup>2)</sup>.

Zdobycie Białej Podlaskiej, leżącej także przy szosie warszawsko-brzeskiej, zostawił sobie Roman Rogiński, komisarz wojewódzki, znany nam już dobrze zapaleniec. Niski, mały, szczupły blondynek, młodziutki, bo zaledwie 19 do 20 lat liczący, okazywał nadzwyczajną czynność i niepospolitą, nerwową energię, cechującą po większej części ludu tej epoki, spłodzonych między jednym a drugim powstaniem, między stłumionym spiskiem i nowopowstającym sprzysiężeniem. Urodzony w Warszawie, brataniec Rogińskiego dyrektora gimnazjum, uczył się w ówczesnej szkole realnej w pałacu Kazimirowskim, potem wywędrował za granicę, do Cuneo i przyniósł stamtąd tę olbrzymią dozę zarozumienia, pomiatania ludźmi i nie oglądającą się na nic bezwzględność w działaniu. Zajmował się on sam organizacją powiatu bialskiego i liczył wiele na ten powiat. Ludzi na liście spiskowych było około 3000; sama Biała miała ich 200. Do organizacyi należały przede wszystkim i przeważnie zaścianki szlacheckie, żywiące wśród pracowitego istnienia starą tradycją rycerską, heroiczne wspomnienia zdobywców wezyrskich namiotów. Rogiński spodziewał się, że gdyby nawet w chwili stanowczej wielu zabrakło odwagi do czynu tak hazardownego, jakim było powstanie, to w każdym razie stawi się choć jedna trzecia straceńców, którzy wszędzie pójdą

<sup>1)</sup> R. Rogiński, Pamiętniki (rkpsm).

<sup>2)</sup> Tak można przypuszczać z tego, że Deskur (Pamiętniki loc. cit. II, 150) jeździł do Międzyrzecza do Krysińskiego d. 21 czy 22 stycznia i wcale go tam nie zastał.

i wroga stratuja. Broni palnej było bardzo mało, za to kos znaczna ilość, oraz prochu, który żydzi zakupywali potajemnie od żołnierzy w Brześciu litewskim<sup>1)</sup>. Prócz tego Rogiński miał swe stosunki wśród oficerów i szeregowców załogi bialskiej. Dowódca baterii tam stojącej, Suchodolski, oraz jego adjutant Zalewski, obaj Polacy, byli wtajemniczeni we wszystkie roboty spiskowe i przyrzekali w danej chwili pomoc. Do sprzysiężenia wciągniętych także było 16 kanonierów tejże baterii, samych Polaków, oraz kilku żołnierzy z piechoty<sup>2)</sup>. Z takimi siłami i w takich okolicznościach Rogiński był pewny, że Białę weźmie, nieprzyjaciela wytnie doszczętnie i silną nogą stanie na szosie warszawsko-brzeskiej.

Były to oczywiście marzenia młodzieńcze. W Białej kwaterowała jedna kompania pułku Kostromskiego<sup>3)</sup> piechoty, oraz bateria artylerii konnej, wreszcie setka kozaków dońskich<sup>4)</sup>, pod ogólnem dowództwem generała majora Mamajewa. Rogiński dla zniszczenia tej załogi, wynoszącej około 500 ludzi i dział osiem, ułożył plan szczegółowy, polegający na tem, że miasto miało być zaatakowane jednocześnie ze wszystkich stron, działa wzięte, załoga rozbrojona i wybita. W tym celu spiskowcy miejscy w Białej, których obliczano na 200 głów, mieli o północy pod naczelnem dowództwem samego Rogińskiego, zaatakować garnizon, w ten sposób, że dwudziestu z Rogińskim uderza na mieszkanie Mamajewa, bierze go do niewoli, lub w razie oporu zabija; reszta napada domy, w których stała piechota<sup>4)</sup>. Z zewnątrz, po drodze od Łosic miał przybyć niejaki Baltazar Wolanin, nauczyciel szkoły powiatowej bialskiej, na czele zaścianków tamtejszych, około 200 ludzi, i uderzyć od skrzydła, od strony klasztoru Sióstr miłosierdzia, na baterię artylerii konnej, stojącą tamże na

<sup>1)</sup> R. Rogiński, loc. cit.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

<sup>3)</sup> Gesket-Puzyrewskij loc. cit. 379, 80 i 83.

<sup>4)</sup> R. Rogiński, loc. cit.

skraju miasta. Zadanie ułatwić mu miało to, że dowódzca baterii Suchodolski i jego adjutant Zalewski przyrzekli, iż na wszczęty alarm zamkną się w swem mieszkaniu i nie wyjdą, i tym sposobem zostawią baterię bez kierownictwa. Prócz tego wciągnięci do spisku kanonierzy zobowiązali się strzałami tak przestraszyć konie, że z konieczności opóźniłoby się znacznie zaprzęgnięcie dział<sup>1)</sup>. Na kozaków, stojących w osobnych koszarach, miał uderzyć oddział liczący około 250 ludzi z okolic Janowa podlaskiego, pod wodzą ks. Rozwadowskiego, proboszcza z Niemirowa nad Bugiem<sup>2)</sup>. Nakoniec od strony zachodniej miasta, od Zalesia, miał przybyć oddział stu ludzi z Kazimierzem Bogusławskim na czele i zająć się zerwaniem mostu na Krznie, dla przerwania komunikacji z Brześciem litewskim. W ogóle Rogiński obliczał, że w walce weźmie udział około 800 ludzi<sup>3)</sup>. Należy przypuszczać, według wszelkich obrachowań ludzkich, że, gdyby ten plan był w całości i energicznie wykonany, gdyby napad był nagły i niespodziewany, Biała mogła się dostać w ręce powstańców, a z nią działa, karabiny, amunicya, konie!<sup>4)</sup>.

Niestety! wiemy już, że Mamajew został ostrzeżony przez kozaka, który w karczmie wysłuchał pogawędki powstańców o napadzie na Białą. Zdaje się, podobnie jak to uczynił dowódzca siedlecki, nie bardzo on wierzył mętnej i przesadzonej zapewne relacji kozackiej, ale wkrótce miał otrzymać inne i tym razem bardzo poważne ostrzeżenie. Przed samym wieczorem d. 22 stycznia, wspomniany komendant baterii Suchodolski, z którym Rogiński widział się na kilka godzin przed wybuchem i ostatecznie wszelkie szczegóły napadu omówił i wreszcie przyrzekł mu, w razie wzięcia Białej, oddać naczelne dowództwo nad od-

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> Loc. cit. *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. 159 twierdzi, nie wiemy na jakiej podstawie, że partya tą dowodził ks. Stasiakiewicz.

<sup>3)</sup> *R. Rogiński*, loc. cit.

<sup>4)</sup> *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. 154.

działem, rozmyślił się, przeraził może następstw, może nie wierzył w możność zwycięstwa, dość, że wraz z adjutantem swym Zalewskim, udał się do Mamajewa i o wszystkim go uwiadomił<sup>1)</sup>. Prócz tego zaszła jeszcze inna, niespodziewana, niemożliwa do przewidzenia okoliczność, która sparaliżowała zupełnie atak zamierzony. Rogiński z konieczności musiał uwiadomić wszystkich sprzysiężonych w mieście, że wybuch nastąpi w nocy z d. 22 na 23 stycznia. Wiadomość ta spowodowała, że połowa mieszczan białskich rzuciła się do kościoła do spowiedzi i dla otrzymania błogosławieństwa na krwawą walkę za ojczyznę. Głównie udawano się do OO. Reformatów, którzy mieli w Białej swój klasztor. Ci przerażeni tem, zgodnie zresztą z przepisami kanonicznymi, nie chcieli spowiadającym się dawać rozgrzeszenia z tej racji, że idą zabijać ludzi; owszem posunęli się jeszcze dalej i poczęli namawiać swych penitentów, by nie brali udziału w zamierzonym wybuchu. Ktoś ze sprzysiężonych dał o tem znać Rogińskiemu, który rozdrażniony do najwyższego stopnia, wpadł do kościoła i wśród zebranego tłumu, głośno zgromił zakonników, zapowiadając że ich żywcem w klasztorze spali, jeżeli choć jednemu z przysiężonych powstańców nie dadzą rozgrzeszenia. Księża oczywiście ustąpili, ale cała ta sprawa miała taki rezultat, że w chwili danej zamiast 200 znalazło się zaledwie 80 spiskowców na probostwie, które było wyznaczane jako punkt zborny<sup>2)</sup>.

Tymczasem Mamajew, uprzedzony o mającym nastąpić napadzie, koło godz. 9 wieczorem kazał uderzyć w bębny na alarm i wyprowadził na rynek baterią konną dział i całą tam swoją załogę zgromadził. Rozpalono wielkie ogniska, które wśród ciemnej nocy zimowej ponuro rozświetliły miasteczko i okazywało, że wojsko rosyjskie gotowe jest do oporu. O napadzie nagłym więc, który jedynie mógł zapewnić powstańcom zwycięstwo, nie było co

<sup>1)</sup> *R. Rogiński*, loc. cit.

<sup>2)</sup> Loc. cit.



myśleć. Rogiński ze swymi 80 ludźmi, zebranych na probostwie, znalazł się w położeniu rozpaczliwym. W oczekiwaniu na przybycie innych partyi, uzbrojono się kosami, których znaczną posiadano liczbę, ale broni palnej było zaledwie sztuk jedenaście (7 dubeltówek i 4 pojedynki). Zbiegli wszyscy kanonierzy baterii konnej przynieśli ze sobą tylko pałasze. W ponurem, pełnem grozy milczeniu i niepokoju oczekiwano północy, o którym to czasie spodziewano się nadejścia partyi Wolanina, ks. Rozwadowskiego i Bogusławskiego; ale północ wybiła, a w mieście cisza. Rogiński z zuchwalstwem rozpaczy wysłał w różne strony trzy ekstrapocztę z rozkazami, by partye owe przyspieszyły swój pochód, aby skierowały się na drogę do Janowa podlaskiego, dokąd zamierzał ruszyć sam Rogiński, jeżeliby mu się udało szczęśliwie z miasta wydobyć. Już bowiem teraz nie myślał o napadzie na wojsko rosyjskie, o zdobyciu Białej, ale o jak najprędzem z niej wydostaniu się. Ekstrapocztę wobec stojącego na rynku w niepojętej bezczynności Mamajewa, z odgłosem trąbki pocztarskiej pędem wybiegają w trzy różne strony<sup>1)</sup>. Zdaje się, że nagłe opuszczenie baterii przez kanonierów, nieświadomość sił powstańczych była powodem tej dziwnej nieczynności Mamajewa; widocznie lękał się zdrady we własnych szeregach.

Nakoniec koło godz. 1-ej po północy, Rogiński, widząc, że dręczący niepokój jak najgorzej poczyna oddziaływać na jego podwładnych, że wreszcie oczekiwanie do niczego nie doprowadzi, postanowił z miasta wyruszyć. Uszykował więc dwójkami swych kosynierów, na czele umieścił jednego ze zbiegłych kanonierów z kosą w rękę i zawołał: „prowadź! pójdziemy przez rynek, Moskali nie zaczepiając. Zanim się opamiętają, przedostaniemy się na drogę janowską, tam spotkamy swoich, a wtedy zobaczymy, może będziemy się mogli jeszcze wrócić!”<sup>2)</sup>. Na końcu

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

swej kolumny zrozpaczonych, umieścił owych jedenastu strzelców i sam z rewolwerem w rękę wśród nich stanął, wołając, by nikt bez jego rozkazu nie strzelał, poczem z okrzykiem: „w imię Boże!” ruszono naprzód. Na rynku, gdzie błyszczało ośm dział odprzodkowanych, szereg czterystu połyskujących krwawo od krwawego ognia bagnatów i sto spis kozackich, tych ośmdziesięciu straceńców przeszło przed frontem nieprzyjaciela w milczeniu. Była taka cisza, że słychać było tylko szmer równo posuwających się kroków i nieomal bicie serca każdego... Przez ulicę Janowską powstańcy, nie zaczepieni wcale, dostali się do końca miasta. Mamajew, teraz dopiero spostrzegłszy garstkę sprzyśniętych, opamiętał się i rzucił za nimi setkę kozaków. Ci z piskiem, wyciem i krzykiem puścili się pędem, ale Rogiński kazał zatrzymać się kolumnie i swoim jedenastu strzelcom wziąć na cel. To tak poskutkowało, że kozacy bez strzału rozpierchnęli się, ale odtąd przez milę blisko, aż do wsi Rozkoszy nie przestawali uwijać się koło powstańców i strzelać, choć bez najmniejszej szkody dla polskich wojowników od pługa i dratwy. W Rozkoszy spotkał się Rogiński z oddziałem ks. Rozwadowskiego z Janowa, i Wolanina z pod Łosic, razem około 300 ludzi. Rozłożono się więc obozem, rozpalono ogniska i tak biwakowano do rana w najzupełniejszym spokoju zewnętrznym, ale w wielkiej rozterce i zniechęceniu ducha<sup>1)</sup>.

Tak więc napad na Białą i połączone z nim nadzieje na opanowanie drogą bitą warszawsko-brzeską i samym Brześciem Litewskim, rozwiały się jak mgły poranne, jak zwodnicze miraże na pustyni. O wiele lepiej, choć w gruncie rzeczy bez donioślejszych skutków, powiódł się napad na miasteczko Radzyń, leżące w południowej stronie województwa podlaskiego. Stała tam kompania strzelecka tego samego pułku Kostromskiego piechoty, który zajmował wszystkie miasteczka podlaskie, i bateria dział 5 brygady artylerii polowej, razem mniej więcej 400 ludzi, pod wo-

<sup>1)</sup> Loc. cit.

dzą generała majora Kannabicha<sup>1)</sup>. Naczelne dowództwo ataku na Radzyń, Lewandowski powierzył wojewódzkiemu podlaskiemu Bronisławowi Deskurowi, ziemianinowi ze wsi Horostyty. Plan napadu był dość niefortunnie pomyślany. Przedewszystkiem, niewiadomo dla czego, kazano naczelnikowi rewolucyjnemu Radzyna, niejakiemu Pyrkoszowi, weterynarzowi z fachu, ażeby sprzysiężonych mieszczan wyprowadził z miasta na punkt zborny do lasu na trakcie z Wochynia do Radzyna, zamiast zostawić ich w mieście, gotowych do działania wewnątrz, gdy zewnątrz atak się rozpocznie. Na ów punkt zborny miał przybyć także Teodor Jasieński, pomocnik Deskura, z ludźmi i bronią z Horostyty; dalej, niejaki Michałowski, kotlarz z profesyi, z oficyalistami, służbą i strażą leśną z dóbr Różankowskich hr. Zamoyskich; z dóbr Antopolskich i Opolskich, o sześć mil od Radzyna odległych, mieli przybyć sprzysiężeni pod wodzą ekonomów folwarcznych; nakoniec z Wochynia miał przyprowadzić mieszczan miejscowych niejaki Rzewski. Na jaką ilość powstańców w ogóle liczono, nie wiemy; prawdopodobnie dość znaczną, która jednak w chwili stanowczej, okazała się, jak wszędzie, bardzo małą i bezbronną. Podobnie jak w innych miastach, tak i w Radzynie, miano wśród załogi pewną ilość oficerów, wciągniętych do spisku, którzy obiecywali pomoc w chwili ataku, ale wobec lekkomyślności bezbronnego powstania cofnęli się i pomocy swej nie dali.

Deskur wieczorem stawiał się w oznaczonym punkcie, na polami w lesie, o dwie wiorsty oddalonym od Radzyna, gdzie pozostawił konie z furmanem, a sam w towarzystwie niejakiego Jerzmanowskiego, sybiraka, którego zabrał po drodze, udał się na gościniec, prowadzący do miasta. Był to punkt dobrze obrany, gdyż tu krzyżowały się trakty od Wochynia, Ostrowa i Radzyna. Na tych rozstajnych drogach zostawił Jerzmanowskiego z poleceniem, aby nadchodzących powstańców sprowadzał na punkt zborny,

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 379 i 382.

sam zaś poszedł na skraj lasu, aby obserwować miasto i czekać na partyę Pyrkosza. Otóż w tej chwili przytrafiło się osobliwe zdarzenie, mogące cały zamach odrazu na szwank narazić. Jerzmanowski, stojący na drogach krzyżowych usłyszał nagle pędzący cwałem wózek i trąbkę myśliwską; nie wiele myśląc, wózek ten zatrzymał, z którego rozległo się pytanie po rosyjsku: „kto ty takoj?” i Jerzmanowski na wielkie swoje przerażenie spostrzegł żołnierzy, którzy dwa razy dali doń ognia i pojechali dalej. Byli to służący oficerscy, którzy wracali z polowania. Jerzmanowski uciekł i więcej się nie pokazał, ale Deskur mógł słusznie przypuszczać, że żołnierze, zobaczywszy uzbrojonego człowieka w lesie, dadzą znać o wszystkim w mieście i cała sprawa będzie straconą<sup>1)</sup>. Na szczęście nie podobnego się nie stało, ale dwie godziny, przepędzone przez Deskura w boru, w pełnym niepokoju oczekiwaniu, zaliczał on później i słusznie do najcięższych w swem życiu. Dokoła na niebie zimowem, czarnem, czerwieniały luny, świadczące, że walka w innych miejscach się rozpoczęła. Nakoniec koło godz. 11-ej zjawił się Jasieński z partyą z Horostyty, wioząc ze sobą sto kos i 40 strzelb; potem nadjechało konno cwałem 40 parobków z Antypola i Opola, ale zupełnie bez broni, tak że Deskur musiał ich odesłać do domu, bo użytku z nimi żadnego w tej chwili zrobić nie mógł; wreszcie o samej północy nadciągnął Pyrkosz z mieszczanami radzyńskimi, trochę podchmieleony, zapewne dla dodania sobie odwagi<sup>2)</sup>. Przyprowadził ze sobą około stu ludzi, ale z gołymi rękami, bez siekier nawet, zapewniając ich, że broń w lesie dostaną. Rozdano im resztę kos, o które się bili prawie, a gdy tych zabrakło, nzbrajano się kijami, wylamywanymi w lesie. Pyrkosz domógł Deskurowi, że w Radzynie oficerowie piechoty i artylerji rosyjskiej, bawią się i piją u komendanta batalionu Borodyna; generał Kannabich zaś, podpułkownik ar-

<sup>1)</sup> Br. Deskur, Pamiętniki, loc. cit. II, 151.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

Dzieje 1863 r. tom I.



tyleryi Majbaum i proboszcz miejscowy ks. Winnicki grają w karty u kapitana żandarmeryi Chwoszczyńskiego. Postanowiono więc, aby Pyrkosz z partią mieszczan radzyńskich, uderzył na dom, w którym oficerowie pili, otoczył go i zabrał wszystkich do niewoli. „Co z nimi zrobić?” pytał Pyrkosz. „Wiadomo co, odrzekł ktoś z tłumu, wytłuc do nogi!” Ale Deskur polecił, ażeby z zabranymi postąpić według wskazówek, jakie dadzą oficerowie, należący do sprzysiężenia, którzy tam zapewne także będą. W razie gdyby ich nie było, Pyrkosz miał jeńców natychmiast wyprowadzić za miasto i czekać dalszych rozkazów. Partya Pyrkosza była najsilniejsza, gdyż ona pierwsza miała wkroczyć do Radzynia i przez zapalenie słomy, złożonej na rynku dla artyleryi, dać hasło innym do napadu<sup>1)</sup>. Drugą partią, składającą się ze straży leśnej dóbr Zamoyckiego, miał prowadzić kotlarz Michałowski. Partya ta liczyła wszystkiego 12 ludzi i miała uderzyć na dom żandarma Chwoszczyńskiego i aresztować tam jenerała Kannabicha i innych. Sam Deskur wziął na siebie atakowanie odwachu, Jasieński artyleryi. Obaj mieli razem 54 ludzi, z których tylko 14 uzbrojonych było w strzelby. W razie nieudania się napadu, powstańcy mieli się zgromadzić z drugiej strony miasta, na drodze do Łukowa<sup>2)</sup>.

Taki ułożywszy plan ataku, wyruszono na miasto. Najprzód szedł Pyrkosz, dostał się na rynek, zapalił leżącą tam słomę i skierował się ku kwaterze Borodyna, ale nie otoczył jej, tylko pilnować kazał od strony ulicy. Sam zaś, na pół prawdopodobnie nieprzytomny, wszedł z kilku powstańcami do środka i począł prawić długą perorę do zebranych tam oficerów. Borodyn, który znał się dobrze z Pyrkoszem, zaproponował mu, aby się z nim napił, a później wszyscy połączą się z powstańcami. Pyrkosz, jak dziecko, zgodził się na to, zaczął pić, a tymczasem Borodyn kazał ordynansowi swemu wyskoczyć przez okno

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

od tyłu, gdzie nikt domu nie strzegł, i sprowadzić najbliższą stojącą kompanię piechoty. Jakoż kompania ta nadbiegła, powstańców rozpędziła, a samego Pyrkosza i jego towarzyszy bagnetami zakłuła<sup>1)</sup>. Wśród tego wszystkiego na dane hasło, Deskur i Jasieński wpadli do miasta i jednocześnie uderzyli na odwach i na wartę, strzegącą parku artyleryjskiego. W jednej chwili pod strasznymi ciosami kos padło 50 żołnierzy nieprzyjacielskich na odwachu, oraz czterech żołnierzy, stojących na warcie przy działach, i powstańcy stali się panami 12 armat i jaszczyków z amunicją. Ale niepodobna ich było uprowadzić, gdyż nie było koni i zaprzęgów. Wprawdzie stajnie artyleryjskie były pod bokiem, ale żołnierze obudzeni strzałami i wrzawą, zabarykadowali się tam silnie. Drzwi dębowych, nabitych gwoździami niepodobna było wyważyć; znalazły się dwie siekiery, które Deskur drzwi owe rąbać kazał, ale siekiery wkrótce wyszczerbiły się o gwoździe. Chciano stajnię podpalić, przyniesiono słomy, rozniecono ogień z wielką trudnością, bo padał nieustannie deszcz ze śniegiem. Ale już w mieście ruch się zrobił; kompania piechoty rosyjskiej, rozbiwszy oddział Pyrkosza, biegła teraz na pomoc artyleryi i poczęła razić powstańców strzałami pod stajnią jasno oświeconych od ognia. Padło ich tu jedenastu; reszta ratowała się ucieczką<sup>2)</sup>.

Kiedy tutaj w mieście nie wiedzie się ani Pyrkosowi, ani Deskurowi, kotlarz Michałowski na czele swych 12 leśników dostaje się do domu Chwoszczyńskiego, wdiera się do środka i zastaje jenerała Kannabicha, podpułkownika Majbauma, kapitana Chwoszczyńskiego i proboszcza ks. Winnickiego przy stole od kart. Michałowski z ogromnym nożem kuchennym w ręku, oświadcza Kannabichowi, że go aresztuje i zabiera stojący przy nim pałasz. Zaplanowało chwilowe milczenie, wszyscy grający siedzą jak skamieniały przy stole, a w tem z poza okna rozlega się

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

strzał i urywa ucho Kannabichowi; upadł twarzą na stół, przeważył go, świece zgasyły. Michałowski pchnął go nożem w głowę i wybiegł ze swoimi przez ogrody za miasto<sup>1)</sup>. Na tem wszystko się skończyło i napad na Radzyń stanowczo się nie udał, choć niewątpliwie ciężkie zadał straty załodze rosyjskiej. Zabito kilkudziesięciu ludzi<sup>2)</sup>, zdobyto takąż ilość karabinów, miano działa w ręku, których nieuprowadzono dzięki tylko polskiej prawdziwie niezaradności, że, uderzając na miasto, w którym stała artylerya nie przygotowano koni i zaprzęgów. W ogóle atak był nieudolnie prowadzony i nieudolnie wykonany. Deskur nie był człowiekiem wojskowym i wina nie na nim leży, ale na tych, którzy lekkomyślnie zamianowali go wodzem. Zgromadziwszy nieco powstańców na drodze do Łukowa,

<sup>1)</sup> Loc. cit. Deskur opisał ten napad według opowiadania samego Michałowskiego. *N. Berg*, *Zapiski II*, 453, inaczej nieco wypadki te maluje. „Dowódzcy tłumy, pisze on. podszedłszy pod dom, weszli na schody z takim hałasem i mieli wygląd tak zuchwały. że gdy stanęli przed grającymi, Chwoszczyński i Majbaum odrazu zrozumieli wszystko, i niewiadomo jakim sposobem. zdołali się gdzieś schować; książdź wlaź pod stół; sam tylko Kannabich, człowiek niezwyklej siły i ogromnego wzrostu, pozostał za stołem od kart. Ktoś zaraz do niego dał ognia, ale natój urwał mu tylko lewe ucho. Widząc, że jeszcze żyje, powstańcy rzucili się nań całą gromadą, ale Kannabich powalił kilku ludzi dwoma czy trzema uderzeniami pięści i znalazł się w sieni. Tu zadano mu straszny cios pałaszem w głowę. Kannabich upadł, zalewając się krwią i uznany był za umarłego. Gdy wszyscy się oddalili. przyszedł do siebie i zawlókł się do swego mieszkania, które znajdowało się na szczęście niedaleko“. Poszliśmy za opowieścią Deskura. gdyż wydaje nam się prawdopodobniejszym, choćby z tego względu. że człowiek ranny i przerażony nagłym napadem, a jak Deskur utrzymuje porażony w kark loftkami, niepodobna by walczył i przewracał zastępujących mu drogę. Dodać tu należy, że Kannabich z ran się wyleczył, został komendantem Zamościa, potem Benderu i umarł w r. 1874.

<sup>2)</sup> Wprawdzie *Gesket-Usyrcskij*, loc. cit. idąc za raportem urzędowym, utrzymuje, że Rosyanie stracili tylko 5 zabitych i 7 rannionych, ale wiadomo, jak są pisywane wszelkie raporty urzędowe i wierzyć im niepodobna.

pomaszerował on dla połączenia się z Lewandowskim ku Siedlcem<sup>1)</sup>.

W Łomazach, nędznej mieścinie podlaskiej, stał kwatęra szwadron pułku Smoleńskiego ułanów, około 200 koni. Napadu miał dokonać niejaki Aleksander Szaniawski<sup>2)</sup>, właściciel wsi Krasówki pod Łomazami, człowiek już niemłody, około 50 lat liczący, ale pełen energii i jak najczerwieńiej usposobiony<sup>3)</sup>. Do pomocy dodany mu był Czapiński, wychowaniec szkoły podchorążych w Cuneo, i pochodzący rodem z Białej. Szaniawski miał wyruszyć na czele swej służby dworskiej i szlachty z zaścianków okolicznych, a głównie z Huszczy; w mieście mieli mu dopomódz mieszczenie. Zaściankom przewodniczył proboszcz miejscowy, ks. Nawrocki, niegdyś kapelan 2-go pułku ułanów, pełen starych wspomnień o chwale wojennej polskiej. Obliczano siły te, bez mieszczan w Łomazach, na 250 ludzi<sup>4)</sup>. Ułani niczem nieostrzeżeni, nie spodziewający się wcale napadu, zostali tak nagle wśród ciemnej i dżdżystej nocy zaatakowani, że nie zdążyli nawet posiodłać koni i oklep zebrali się na rynku. Tu mazurska szlachta chodackowa rzuciła się na nich z kosami, co taki wśród jazdy popłoch wywołało, że pędem w rozsypce wymknęli się z miasta i uciekli do Międzyrzecza. Szaniawski zabrał do niewoli wachmistrza i trzech żołnierzy, oraz rzędy na 70 koni, prócz tego znaczną ilość pałaszy i lanc. Obie strony w tem niekrwawem starciu nie utraciły ani jednego człowieka<sup>5)</sup>.

Na Kodeń nad Bugiem miał uderzyć niejaki Nencki, rządcą dóbr kodeńskich. Służył on niegdyś w batalionach Orenburskich, skąd wyszedł w stopniu podoficera. Siły jego, jakimi rozporządzał, dochodziły 250 ludzi, oprócz

<sup>1)</sup> *B. Deskur*, *Pamiętniki*, loc. cit. II, 156.

<sup>2)</sup> Loc. cit. Deskur nazywa go, zapewne przez pomyłkę: Szaniawskim.

<sup>3)</sup> *R. Rogiński*, *Pamiętnik* (rkpsm.).

<sup>4)</sup> Loc. cit.

<sup>5)</sup> Loc. cit.



mieszczan kodeńskich, którzy oczywiście mieli dopomódz. Tych 250 ludzi składało się prawie wyłącznie ze szlachty zaścianków Tucza i Wizki<sup>1)</sup>. W miasteczku stał ruchomy park artyleryjski, strzeżony przez niewielką ilość żołnierzy pod wodzą podpułkownika Kazańskiego. Spali oni najspokojniej, gdy Nencki wpadł znienacka do miasta, wystrzałem z pistoletu powalił na odwachu wartownika i szlachta z kosą w ręku rzuciła się na kordegardę i wycięła całą straż do nogi. Wśród Rosyan zapanował popłoch szalony, uciekali, jak mogli, ze swym komendantem Kazańskim, ciężko w zamieszaniu ranionym<sup>2)</sup>, zostawiając miasto i wszystko co w niem było, w rękach powstańców. Ci zdobyli około 300 karabinów, wprawdzie starych, przerebionych ze skałówek, ale zawsze lepszych od strzelb myśliwskich, mnóstwo gotowych ładunków i pistonów<sup>3)</sup>. Do niewoli wzięto 80 żołnierzy i porucznika Antonienko. Rosyanie stracili przytem 5 zabitych i 15 mieli ranionych<sup>4)</sup>.

Taką była noc styczniowa w granicach dawnego województwa podlaskiego. Jakkolwiek w porównaniu z Płockiem i Augustowskiem, pożar powstania rozlał się tu o wiele szerzej i miał nawet swe chwilowe tryumfy, jak w Łukowie, Łomazach, Kodniu; jakkolwiek walczone tu z dawną polską fantazją, co wyłącznie prawie zawdzięczać należy drobnej szlachcie podlaskiej, w starych tradycjach rycerskości wychowanej, to wszelako powstanie podlaskie należy uważać za zupełnie chybione. Przedewszystkiem nie zaatakowano wszystkich załóg rosyjskich; na 17 napadnięto zaledwie 6, co uważać trzeba za stanowcze niepowodzenie, a co przypisać należy nagłości wybuchu i brakowi odpowiednich przygotowań. Udanie się niektórych napadów świadczy, że przy lepszym przygotowaniu, przy energiczniejszym a nadewszystko umiejętniejszym działaniu,

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> „Żurnal wojennych dziejstw” Nr. 1.

<sup>3)</sup> R. Rogiński, loc. cit.

<sup>4)</sup> „Żurnal wojennych dziejstw” Nr. 1.

można było bardzo poważną i bardzo dotkliwą zadać klęskę wojskom rosyjskim, zdobyć wiele broni, dział, amunicji i innych zasobów wojennych. Nic z tego nie uczyniono, zabrano wprawdzie nieco karabinów, nabojów i pieniędzy, ale planu swego nie przeprowadzono. Zamierzone owdzięcie szosą warszawsko-brzeską, główną arterią ruchu w tych stronach nie doszło do skutku. Powstańcy odrzuceni zawisli w powietrzu i mieli rozpocząć tę dziwną walkę bez punktu oparcia, szereg istnie Rolandowych awantur, walk rozgrywanych gdzieś w cieniu lasów, bez sławy i bez nadziei zwycięstwa.

W województwie lubelskiem organizacja powstańcza zrazu była dość silnie rozwiniętą, ale w jesieni zeszłego roku dwa wypadki, mianowicie: zdrada w Chełmie niejakiego Starczewskiego, i następnie zamordowanie tegoż z rozkazu władz rewolucyjnych, wywołały śledztwo, liczne aresztowania i mocno zachwiały tą organizacją. Z tem wszystkiem sprzysiężonych było około 12.000, ale uorganizowanych w system dziesiętny około 5.000 zaledwie i na nich tylko liczyć można było. Wojewódzki lubelski, adwokat Kazimierz Gregorowicz, brat głośnego pisarza ludowego, był stanowczo przeciwny przedwczesnemu wybuchowi. Jeździł nawet w tym celu do Warszawy, gdzie miał rozmowę z Aweyda, ale wszelkie jego uwagi na nic się nie zdały. Aweyde ze swą pesymistyczną obojętnością powiedział mu, że „ponieważ pobór zniszczyłby przeprowadzoną organizację, Komitet centralny postanowił wywołać powstanie“<sup>1)</sup>. Gorącym wreszcie zwolennikiem zbrojnego ruchu był komisarz wojewódzki, Leon Frankowski, który, jak wiemy, zwołał był zjazd komisarzy do Głuchówka i groził powstaniem wbrew woli Komitetu. Obiecywano przysłać do województwa na naczelnika wojennego generała Józefa Wysockiego, ale skończyło się na obietnicy i taki naczelnik do chwili wybuchu dla Lubelskiego nie

<sup>1)</sup> K. Gregorowicz. Pogląd krytyczny na wypadki z r. 1861—63, II, 142.

był wcale mianowany. W d. 16 stycznia wreszcie zjawil się w Lublinie rozgorączkowany Frankowski i ustnie uwiadomił Gregorowicza, że powstanie naznaczone zostało na d. 22 stycznia, a na wszelkie uwagi odpowiadał swem: „czapkami zarzucimy Moskali“. Okazał przytem pismo, opatrzone pieczęciami Komitetu, powierzające mu dowództwo sił zbrojnych w Lubelskiem i losy tak poważnej części kraju złożone zostały w ręce dwudziestoletniego młodzieńca <sup>1)</sup>).

Plan powstania w Lubelskiem był taki sam, jak wszędzie. Miano niespodziewanie w nocy z d. 22 na 23 stycznia uderzyć na załogi rosyjskie, rozrzucone po całym województwie, wyciąć je do nogi, broń zabrać i organizować się wojskowo. Załogi te wskutek nakazanego poboru, rozdrobnione były nadzwyczajnie dla dania pomocy władzom administracyjnym przy brance, i tym sposobem łatwo stać się mogły pastwą energicznego napadu powstańców. Liczyły one w ogóle 8.000 piechoty (pułki: archangielski i wołogodzki, oraz batalion strzelecki), 757 koni jazdy regularnej (pułk charkowski ułanów), 800 kozaków, dział 24 z 820 obsługi, razem 10.298 ludzi. W tę cyfrę nie wchodzi załoga fortecy Zamościa, wynosząca 1268 głów, komendy inwalidów, straż pograniczna, zwana „objeszczykami“, i komendy żandarmskie. Siły w stosunku do powstańców były bardzo poważne, zasobne we wszelkie materiały wojenne, mające w swym ręku wszystkie komunikacje i punkt zborny w słabej wprowadzie, ale zawsze zdatnej do odparcia nagłego napadu twierdzy. Ogólne dowództwo nad temi wojskami miał generał Chruszczow, człowiek bardzo dobry i lubiany przez mieszkańców. Ale na razie ta znaczna stosunkowo liczba wojsk, niewielką przedstawiała oporność, z powodu, powtarzamy, rozdrobnienia nadzwyczajnego. Oprócz Lublina, gdzie stały dwa blisko bataliony pułku wołogodzkiego piechoty, reszta rozrzucona była, rzadko batalionami, po większej części ba-

<sup>1)</sup> Loc. cit. II, 143.

talionami a nawet plutonami po całym województwie. Wojska te zajmowały: Firlej, Lubartów, Końskowolę, Łęcznę, Opole, Chełm, Krasnostaw, Hrubieszów, Szczebrzeszyn, Janów Ordynacki, Biłgoraj. Ułani stali w Krasnostawie, Chełmie i Izbicy; kozacy w Lublinie, Tyszowcach, Tomaszowie Ordynackim i Nowej osadzie pod Zamościem <sup>1)</sup>. Chcąc więc wykonać ściśle plan powstania, trzeba było jednocześnie napaść na 16 miejscowości, jeżeli wyłączymy setkę kozaków, ulokowanych pod działami Zamościa. Oczywiście marzyć o tem nie można było i prócz mnóstwa zamiarów, które spełzły na niczem, dokonano zaledwie dwóch, nader niedołężnie przeprowadzonych napadów.

Jeden z nich wymierzony był na Lubartów, gdzie kwaterowała kompania pułku wołogodzkiego piechoty i baterya artylerji polowej, dział osiem, pod ogólnem dowództwem podpułkownika Łopatina. Dla napadu zebrano się z okolicznych miasteczek i wsi nieco powstańców, których liczby określić nie umiemy, pod wodzą ziemian, niejakiego Jełowickiego i Ignacego Jasińskiego, brata Teodora, który w Podlaskiem przy Deskurze był głównym organizatorem. Główny jednak kontyngens dostarczyła młodzież lubelska, która cały dzień poprzedni zbierała się w piwnicach klasztoru OO. Bonifratrów, i wyruszyła w liczbie mniej więcej 100 osób na Lubartów, pod wodzą oficera wojsk rosyjskich, Malukiewicza, Polaka. Uderzono na miasto o godzinie 4-ej rano, zabrano źle strzeżone działa, umieszczone w szopie, należącej do Adamskiego, burmistrza lubartowskiego, przyczem zabito strzegącego je żołnierza; ale podobnie jak w Radzyniu dla braku koni i uprzęży uprowadzić ich nie zdołano <sup>2)</sup>. Tymczasem szybko zebrana kompania piechoty dobrze utrzymanym ogniem odparła powstańców, którzy rozbiegli się na wszystkie strony, zostawwszy w rękach rosyjskich około 20 jeńców <sup>3)</sup>. Straty ro-

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij loc. cit. 377 i nast.

<sup>2)</sup> „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 2.

<sup>3)</sup> Z tych niejaki Barszczewski, aplikant sądowy z Lublina,



syjskie, według urzędowych raportów, były bardzo małe<sup>1)</sup>. Obaj dowódcy tak byli zniechęceni niepowodzeniem, że udali się za Bug, i stamtąd zabrawszy ze sobą Teodora Jasieńskiego, którego przebrali za lokaja, schronili się do Galicyi<sup>2)</sup>.

Drugim miastem, na które zamierzano uderzyć, był Chel'm, gdzie stał szwadron ułanów pułku charkowskiego i bateria artylerii konnej kozackiej, razem przeszło czterystu ludzi i dział osiem<sup>3)</sup>. Powstańcy zebrać się mieli we wsi Bukowej Małej, o milę na wschód od miasteczka Sawina leżącej, i będącej własnością ziemianina Artura Ciemniewskiego. W d. 22 stycznia zjechało się tam około 20 spiskowych, i dowódzca zamierzonego napadu Kazimierz Bogdanowicz, dzierżawca jednej z sąsiednich wiosek, i oczekiwano na zebranie się sprzysiężonych, co miało nastąpić o godz. 7-ej wieczorem, by po krótkim błogosławieństwie w kościele miejscowym, wyruszyć na Horodyszczę do Chel'ma. Na nieszczęście znalazł się jakiś zdrajca, który o wszystkim uwiadomił pułkownika Emanowa<sup>4)</sup>, dowodzącego załogą chel'mską, a którego imię wkrótce potem

oraz Błoński kancelista, zostali rozstrzelani w Lublinie (Pamiętka dla rodzin polskich I, 17),

<sup>1)</sup> Raniony dowódzca kompanii, oficer żandarmski i kilku żołnierzy („Żurnal woj. dziejstw” Nr. 1).

<sup>2)</sup> B. Deskur. Pamiętniki loc. cit. II, 156.

<sup>3)</sup> Gesket-Puzyrewskij, Wojennyja dziejstwa 377 i 382.

<sup>4)</sup> Według innej piśmiennej relacji, jaką mamy w naszych zbiorach, o wypadkach w Małej Bukowej, nie Emanow w Chel'mie, ale pułkownik Baumgarten w Krasnostawie, dowiedział się o zamierzonym napadzie na Chel'm i rozkazał Bidkowskiemu aresztować Bogdanowicza i zebranych w tejże wsi. Dodać tu należy, że Bidkowski nie był uprzedzony o mającym wybuchnąć powstaniu i myślał, że w Bukowej zjechało się na polowanie. Czytaj: Z. Kolumna, Pamiętka I, 21, oraz „Wiadomości z pola bitwy” Nr. 2. Gesket-Puzyrewskij, 159 nic nie mówi o tym napadzie na ułanów i odbiciu jeńców, dla tego zapewne, że nie przyniosło to zaszczytu armii rosyjskiej, choć „Żurnal wojennych dziejstw”, wyraźnie fakt ten przytacza. Szczegóły podane przez nas oparte są na relacjach świadków naocznych i uczestników w tej utarczce.

szeroko zasłynąć miało z rozbojów i okrucieństw. Uprzedzając napad, wysłał on natychmiast pod komendą porucznika Bidkowskiego, Polaka, pół szwadronu ułanów z rozkazem rozpędzenia zbiegowiska i aresztowania zebranych. Ułani zdążyli jeszcze, nim powstańcy się zgromadzili, i umieściwszy się cichaczem w alei, prowadzącej do dworu, chwytały wszystkich dążących tamże. W ten sposób przyaresztowali także Bogdanowicza. Na szczęście, spostrzegł tak operujących ułanów niejaki Wojciech Witkowski, właściciel wsi Łowczy, głośny później dowódzca w powstaniu pod pseudonimem Rembajły, pośpieszył na gościniec i wszystkich zbliżających się zatrzymywał, i tym sposobem, mając zebrany oddziałek z kilkudziesięciu ludzi i podprowadziwszy ich bokami, niespodzianie dał ognia do ułanów, zmieszał ich, dwór zajął i powiązanych jeńców, między nimi Bogdanowicza, uwolnił. Tymczasem ułani przyszedli do siebie i spieszywszy się, uderzyli na dwór, ale zostali odparci, poczem cofnęli się do Chel'ma, porąbawszy na drodze spotkanego z kosą w rękę O. Reformata, ks. Bernarda Banasa. Fakt jednak pojawienia się ułanów w Bukowej świadczył o gotowości Emanowa w Chel'mie i o napadzie na to miasto w takich warunkach myśleć nie można było, jakoż do skutku on nie doszedł.

Na tych dwóch starciach ograniczył się wybuch w województwie lubelskim, co dowodzi słabości organizacji tamtejszej i nieudolności jej kierowników. Zamierzony napad na Krasnostaw nie powiódł się, dla tego, że wyznaczony dowódzcą nieznany nam bliżej obywatel, oddział zebrany na ten cel, rozpuścił<sup>1)</sup>. Atak na Janów Ordynacki miał być zdradzony przed dowódzcą rosyjskim, konsystującym w tem miasteczku, przez rządowego naczelnika powiatu, oraz przez parę innych osób<sup>2)</sup>. Miał być także dokonany napad na Końskowolę, gdzie stała jedna kompania

<sup>1)</sup> „Wiadomości z pola bitwy” Nr. 2.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

pułku wologodzkiego piechoty i bateria dział polowych<sup>1)</sup>. W tym celu z instytutu politechnicznego w Puławach, zgromadziło się na punkt zborny 560. studentów i przeszło 100 włościan z siól okolicznych. W tej gromadzie były tylko kosy, kije, siekiery, trzy dubeltówki, jeden pałasz i dwa pistolety<sup>2)</sup>. Dowództwo objął, znany nam już zapaleniec, komisarz Leon Frankowski; ale w drodze do Końskowoli spostrzeżono liczne race wypuszczane z miasteczka przez komendanta rosyjskiego, co świadczyło o jego gotowości, i Frankowski ataku zaniechał. Dość, że powstanie w Lubelskiem stanowczo się nie powiodło. Chybiony i nieudolny napad na Lubartów, zwycięska choć nieskuteczna utarczka w Bukowej, oto wszystko, co na tak znacznej przestrzeni działo się pamiętnej nocy z d. 22 na 23 stycznia.

Na lewym brzegu Wisły powstanie także bardzo słabo się objawiło. Napad na miasteczko Grójec, gdzie kwatrowała kompania saperów, nie przyszedł do skutku. Powstańcami miał dowodzić niejaki Stanisław Urbanowski, rządcą majątku, ale, przybywszy w nocy oznaczonej na punkt zborny, nie zastał tam prawie nikogo i napad nie był dokonany. Nazajutrz dopiero, d. 23 stycznia, na oddział saperów, złożony z dwóch podoficerów i 28 szeregowców, wysłanych z Grójca do Mogilnicy, dla dania pomocy władzom tamtejszym przy brance, napadła pod Błędowem znaczna podobno liczba powstańców, niewiadomo pod czyj dowództwem, i zabiwszy oraz zraniwszy kilku ludzi, zmusiła do szybkiej ucieczki w kierunku Starej wsi, gdzie nadbiegła pomoc z Grójca powstrzymała atakujących<sup>3)</sup>. W Kutnowskiem, mającem już pod owe czasy przemysł fabryczny dość silnie rozwinięty, agitacja powstańcza znalazła wśród robotników obfite żniwo. Tutaj, już d. 21 stycz-

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, 379 i 382. Myli się więc Z. N. Krzywdą, Wspomnienia obozowe, 191, jakoby w miasteczku tem znajdowały się siły, wynoszące 700 ludzi.

<sup>2)</sup> Z. N. Krzywdą, loc. cit.

<sup>3)</sup> „Żurnal wojennych dziełstw” Nr. 1.

nia, a więc na dzień przed powstaniem, w miasteczku Żychlinie utworzył się oddział, liczący około 500 pieszych, uzbrojonych w broń myśliwską i kosy, i 150 konnych<sup>1)</sup>. Oddział ten wyłącznie prawie składał się z robotników fabrycznych, oraz z młodzieży warszawskiej, która, szukając przed branką schronienia w puszczy Kampinoskiej, w części przeszła przez Bzurę i znalazła się w Żychlinie. Kto dowodził tym oddziałem, nie wiemy. W Kutnie dowiedziano się o zbiegowisku dopiero nazajutrz, i wysłano zaraz oficera żandarmskiego w towarzystwie dwóch kozaków dla zbadania rzeczy, ale już po wysłaniu ich rozmyślono się i wyprawiono koleją żelazną warszawsko-bydgoską jeszcze pluton piechoty pod komendą porucznika Iwanowa. Nim ten zdołał przybyć, żandarm i dwaj kozacy wystawieni byli na groźne niebezpieczeństwo, i tylko szybkości swych koni zawdzięczali ocalenie. Z plutonem piechoty przyszło d. 22 stycznia do lekkiego starcia; po zamianie niewielkiej ilości strzałów, powstańcy cofnęli się do lasu, gdzie ich Iwanów ścigać nie śmiał. Nazajutrz dopiero, na wieść o tem wszystkiem dowodzący w Kutnie pułkownik Surżin wysłał jeszcze kompanię pułku ładoskiego piechoty i 18 kozaków pod wodzą majora Burhardta, który, połączwszy się z oddziałem wczorajszym, zmusił powstańców do odwrotu w lasy Gombińskie i Gostynińskie<sup>2)</sup>. Na tem skończyły się wszystkie działania powstańcze w nocy z d. 22 na 23 stycznia i nazajutrz w województwie mazowieckiem.

W województwie Kaliskiem także ograniczyły się one na jednym napadzie na miasto Radomsk, leżące przy drodze żelaznej warszawsko-wiedeńskiej. Do Piotrkowa na kilka dni przed powstaniem przybył komisarz wojewódzki Gustaw Wasilewski, młody, 25-letni człowiek, wychowaniec uniwersytetu kijowskiego i szkoły podchorążych w Cuneo, posiadający wszystkie wady słuchaczy obu tych zakła-

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 225.

<sup>2)</sup> Loc. cit.



dów, dla naradzenia się co do wybuchu. W naradzie tej oprócz naczelnika miasta Piotrkowa, Stępkowskiego, kwatermistrza miejskiego, znanego w organizacji pod pseudonimem Bazylewskiego<sup>1)</sup>, wzięło udział czterech oficerów witebskiego i połockiego pułków piechoty: Grekowicz, Francewicz, Rakowski i Udymowski, wszyscy Polacy, których umiano zyskać poprzednio jeszcze dla sprawy powstania. Otóż na radzie tej postanowiono uderzyć w terminie oznaczonym na Piotrków, wytepić załogę, zabrać stojącą tam baterię dział polowych i zaopatrzwszy się w zdobytą broń, wyruszyć na Częstochowę, zniósłszy po drodze jedną kompanię pułku witebskiego w Radomsku. Naczelnictwo nad zamierzoną operacją oddano porucznikowi Józefowi Adamowi Grekowiczowi; dowódcami pojedynczych oddziałów mianowani zostali wyżej wymienieni oficerowie. W planie tym oczywiście leżało owdzielenie kolejną warszawsko-wiedeńską w jej pasie środkowym, i przecięcie tym sposobem komunikacji z południową częścią Królestwa i zagranicą. Odpowiednio do tego planu Stępkowski-Bazylewski rozesłał rozkazy do okręgowych, aby ze swymi sprzysiężonymi zebrali się w d. 22 stycznia w miasteczku Rozprzy, oddalonem od Piotrkowa o trzy mile polskie, przy szosie z Piotrkowa do Radomska, i w niewielkiej leżącym odległości od linii kolei warszawsko-wiedeńskiej.

Wśród takich to zamiarów i planów, nadszedł dzień 22 stycznia. Rano odbyła się znowu narada wyżej wymienionych panów w Piotrkowie w celu bliższego omówienia działań, a zwłaszcza napadu na to miasto. Kwaterował tam batalion pułku połockiego piechoty, bateria dział polowych i setka kozaków dońskich, razem około 1200 ludzi i ośm armat. Wobec takiej przewagi liczebnej nieprzyjaciela, oficerowie: Grekowicz, Francewicz, Rakowski, Udymowski, oraz jeszcze jeden Rząśnicki i junkier Stawecki, uznali niemożliwość napadu na Piotrków i urządzili atak na Radomsk, gdzie o wiele więcej było szans powodzenia.

<sup>1)</sup> „Dziennik warszawski“ Nr. 49 z r. 1867.

Stała tam bowiem jedna tylko kompania strzelecka pułku witebskiego piechoty, wysłana z Częstochowy na parę dni przed powstaniem dla dokonania branki. Sądzone nie bez słuszności, że łatwiej będzie pokonać ten odosobniony oddziałek, niż cały batalion wsparty jazdą i artylerją. Jeżeliby napad się udał, a niewątpiono że się uda, proponowano uderzenie na Piotrków lub Częstochowę, stosownie do okoliczności, co teraz, ze zdobytą w Radomsku bronią, z oddziałem zaprawionym do boju, i upojonym tryumfem, uważano za rzecz możliwą. W skutek tej uchwały wysłano polecenie do oddziałów zebranych w Rozprzy, aby wyszerowały do miasteczka Kamińska, leżącego mniej więcej na połowie drogi między Piotrkowem i Radomskiem, by ukryły się w lasach okolicznych i czekały dalszych rozkazów<sup>1)</sup>. Przytem na tej naradzie ostatecznie rozdano komendę. Nad sprzysiężonymi piotrkowskimi, w  $\frac{1}{3}$  uczniami gimnazjum miejscowego, którzy nie wyruszyli do Rozprzy, gdyż według pierwotnego planu mieli czekać na atak Piotrkowa, objął komendę podporucznik Rakowski.

Wieczorem d. 22 stycznia zgromadzono się w krzakach za miastem; przybył tam komisarz Wasilewski<sup>2)</sup>, oraz Stępkowski-Bazylewski, wygłosił kilka gorących słów zachęty, przedstawił Rakowskiego i kazał maszerować do Kamińska. Noc była ciemna i dżdżysta, droga uciążliwa, i przybyto nad ranem do lasu pod tem miasteczkiem z pewnem przygnębieniem i zniechęceniem. Powoli w ciągu d. 23 stycznia zebrano się tu około 300 powstańców, nad którymi objął dowództwo Grekowicz. Wśród bardzo uroczystego ceremoniału, który wywarł wielkie wrażenie na tych ludzi, tęskniących za wolną ojczyzną, odczytano manifest Komitetu centralnego, przybito do drzewca sztandar z orłem i pogonią, i zajęto się jakim takim uorganizowaniem tego niesforne go i nierządne go tłumu. Pokazało się, że w całym oddziale jest zaledwie 40 strzelb myśliw-

<sup>1)</sup> „Dziennik warszawski“ loc. cit.

<sup>2)</sup> A. Giller, Polska w walce I, 201.

skich, reszta kosa, siekiery a nawet kije. Podzielono więc zebranych na strzelców, kosynierów i pionierów i ruszono ku linii kolei. Tu zdjęto dla przerwania komunikacji szyny na pewnej przestrzeni, zepsuto linię telegraficzną i pomaszerowano ku Radomskowi. Pod wieczór się już miało i wielkie, wilgotne mgły włożyły się po lasach i polach. W czasie marszu spotkano dymisyonowanego podoficera pułku litewskiego gwardyi, niejakiego Sabaczyńskiego, którego wprawdzie przyaresztowano, ale który, źle strzeżony, skorzystał z ciemności zapadającej nocy i uciekł i pośpieszył do Radomska dla uprzedzenia kwaterujących tam Rosyan o gotującym się na nich napadzie<sup>1)</sup>.

Tutaj w ciągu d. 23 stycznia zaszła okoliczność, która zdawała się sprzyjać zamiarom powstańców. Komendant kompanii, stojącej w Radomsku, wyjechał był w interesie służbowym do Częstochowy, zdawszy dowództwo na podporucznika Liubickiego<sup>2)</sup>; przytem umyślnie udał się do Radomska należący do spisku oficer Rzański, który znając się dobrze z Liubickim, wstąpił do niego, pił z nim herbatę i doskonale obznajomił się z rozpołożeniem w mieście kompanii. Stała ona, niczego się nie spodziewając w domu, przeznaczonym na koszary, i zdawało się, że napad udać się musi. Atoli doniesienie Sabaczyńskiego wszystko zmienić miało. Liubicki, który nie miał żadnych instrukcyi na wypadek ataku, sądząc przytem, że powstańcy są o wiele silniejsi, niż w istocie byli, mocno się przestraszył i nie chcąc bronić miasta, które, nie bez racyi przypuszczał, że weźmie czynny udział w walce, opuścił je co prędzej i jak najciszej, i stanął za miastem na cmentarzu, otoczonym dookoła murem. Współcześnie, mając przy sobie paru kozaków, wysłał ich do Częstochowy z doniesieniem o wszystkim i prośbą o pomoc i rozkazy<sup>3)</sup>. W takiej pozycyi postanowił czekać świtu. W mieście zostało się trzech

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 223.

<sup>3)</sup> „Dziennik warsz.” loc. cit.

żandarmów, kilku szeregowców z kompanii piechoty, którzy nie zdążyli się z nią połączyć i dwóch kozaków<sup>1)</sup>.

Okolo północy z d. 23 na 24 stycznia, Grekowicz wkroczył do Radomska, którego mieszkańcy, a przynajmniej znaczniejsza ich część, wiedząc na co się zanoszą, jasno oświeciła okna swych domów. Powstańcy otoczyli dookoła koszary i dali do nich ognia, co parokrotnie powtórzono, ale gdy nie było odpowiedzi, Grekowicz nie wiedział co to znaczy. Wśród tego mieszkańcy donieśli mu, że przed godziną przyszedł do magistratu jakiś człowiek i nalegając pytał się o kwaterę dowódcy kompanii. Teraz dopiero Grekowicz przypomniał sobie aresztowanie Sabaczyńskiego i jego ucieczkę i wszystko zrozumiał<sup>2)</sup>. Tymczasem powstańcy rozbiegli się po mieście, zabili wystrzałem z pistoletu piekarza wojskowego, przetrząsali domy, szukając nieprzyjaciela. Do uszu ich doszły niejasne i mętne wieści o przyczajeniu się Rosyan na cmentarzu, co budziło pewien niepokój, gdyż przypuszczać kazało zasadzkę. W takim nerwowem natężeniu ducha napadających, zdarzył się wypadek, będący z jednej strony dowodem, że żołnierz w najrozpaczliwszym położeniu nie powinien tracić odwagi i pełnić swą powinność, z drugiej, jak dalece niekarna i niewycwiczonej masa jest płochliwą i do żadnej poważniejszej akcji niezdadną. Trzej wspomniani wyżej żandarmi, z których jeden zwał się Najmowicz i był podoficerem, oraz dwaj kozacy, korzystając z ciemności i zamieszania, zdołali dostać się do gmachu magistratu miejskiego, gdzie się schronili. Widząc jednak, że powstańcy tłumnie koło ratusza się zbierają, owych pięciu śmiarków postanowiło z bronią w ręku przebić się przez nich. Z krzykiem i piskiem rzucili się naprzód z szablami w dłoni i taki swym nagłym pojawieniem się wywołali popłoch, że wśród krzyku: „wojsko idzie! wojsko idzie!” cały oddział powstańczy rozprysł się w jednej chwili i opuścił zupełnie

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit.

<sup>2)</sup> „Dziennik warszawski” loc. cit.

Dzieje 1863 r. Tom I.



miasto<sup>1)</sup>. Najmowicz jednak nie poprzestał na tem; zebrawszy trochę piechurów pozostałych w mieście, począł domy przetrząsać i aresztować wszystkich broń posiadających. Tym sposobem wziął do niewoli 27 ludzi<sup>2)</sup>. Oddział powstańczy uciekł częściami w kierunku Piotrkowa i Częstochowy<sup>3)</sup>. Wojsko rosyjskie jednak tak było przerażone tym napadem nocnym na Radomsk, że do rana biwakowało na cmentarzu, i za dnia dopiero weszło do miasta. W Częstochowie, dokąd z doniesieniem o gotującym się napadzie przypadł kozak, niepokój o kompanię był nadzwyczajny, który się dopiero nazajutrz ukoił. Najsmutniejszy był los oficerów, którzy przystali do powstania. Udy-mowski tak był zniechęcony i zrozpaczony tem, co się stało i na co patrzył, że nazajutrz powrócił do Częstochowy i sam się oddał w ręce rosyjskie. Rakowskiego także na drugi dzień aresztowano, gdy w Radomsku wsiadał na pociąg kolei, gdzie go poznali schwytani w nocy powstańczy i szpetnie zdradzili; w Częstochowie aresztowano Franciewicz. Wszyscy trzej w parę tygodni potem zostali rozstrzelani w Piotrkowie.

Taki komiczno-tragiczny przebieg miały wypadki w nocy z d. 22 na 23 stycznia w Piotrkowie, gdzie powstanie nie tylko się nie udało, ale nawet nie miało tych heroicznych błysków, jakie widzieliśmy na Mazurach lub Podlasiu. Nie zdobyto ani jednego miasta, nie wycięto żałóg rosyjskich (zabito jednego kucharza wojskowego), nie wydarto nic broni i łaniebnie przed pięciu ludźmi rozproszono się, jak stado owiec płochliwych. (Lecz na pociechę tradycyi wojennej polskiej, powiedzmy, że był to jedyny wypadek owej nocy, a to co się stało w województwie

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. Według relacji polskiej, jaką posiadamy w naszych zbiorach, relacji bardzo mętnej i niedokładnej, oddział powstańczy rozbiegł się na ogłos tententu koni podjazdu kozackiego.

<sup>2)</sup> „Dziennik warszawski“ loc. cit. powiada, że wzięto do niewoli 48 ludzi.

<sup>3)</sup> Loc. cit.

sandomierskiem, przyćmiło rozgłosem swoim niefortunne wypadki radomskie.

W województwie rzeczonem, jak wiemy, naczelnikiem sił zbrojnych został mianowany Maryan Langiewicz, jedyna jaśniejsza postać w tem tłumnym, szarem, zawsze prawie krwawem i zawsze nieudolnem zbiegowisku wodzów powstańczych. Przywieziony w początkach stycznia do województwa przez Ignacego Maciejowskiego, komisarza sandomierskiego z ramienia Komitetu centralnego, ukrywał się przez parę tygodni na wsi pod Radomiem, w Uży i w Mircu pod Szydłowcem. Siły powstańcze obliczano tu na przeszło 2000 ludzi, złożone z żywiołów o wiele dzielniejszych, jak gdziekolwiek indziej. Kraj górski i lesisty, przyroda na pół dzika jeszcze, wytwarzała tu natury chmurne i dumne, charaktery spokojne, poważne i nieugięte. Wielkie fabryki żelazne oraz kopalnie suchedniowskie, dostarczyły cały kontyngens ludzi prostych ale przejętych tym szczerem, jasnym patryotyzmem, pozbawionym wszelkich względów ubocznych, a widzących tylko jedno, że w ziemi polskiej jest najeźdźca, że najeźdźcę tego wygnać należy, położyć mu się na przelaj ciałami swemi. Cała administracya zresztą tych zakładów jak najczernerwiej usposobiona, rozwijała czynną i rześką agitacyą wśród klas roboczych. Już od listopada przygotowywano tu broń sieczną, zwłaszcza kosy w wielkiej ilości<sup>1)</sup>. Bracia Dawidowicze, dozorecy kuźnie, gorliwie się tem zajmowali. Dnia 22 stycznia broń tę zapakowano na wozy i rozesłano na wszystkie strony, a robotnicy tak tłumnie wyruszyli, że fabryki stanęły zupełnie. Tegoż samego dnia urzędnicy zabrali z kasy zakładów górniczych suchedniowskich rs. 9705 w gotówce, listach zastawnych i obligach skarbowych<sup>2)</sup>. Zanosilo się jednym słowem, że powstanie przybierze tu groźniejsze, szersze rozmiary, a nadewszystko odznaczać się będzie charakterem dzielniejszym i zaciętszym.

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit.

<sup>2)</sup> Akta Komisji Skarbu.

Siły rosyjskie jak wszędzie, tak i w Sandomierskiem, rozrzucone były po licznych miasteczkach, a przed samym wybuchem jeszcze bardziej rozdrobnione, wskutek wysyłania małych, nieraz plutonowych kolumn dla dokonania branki. W województwie stały dwa pułki piechoty: Halicki i Mohilewski, oraz część Połockiego, które zajmowały miasta: Radom, Szydłowiec, Skaryszew, Ilżę, Opoczno, Białaczew, Końskie, Sulejów, Opatów, Klimontów, Zawichost i Sandomierz. Prócz tego w Głowaczewie, Kozienicach, Ryczywole, Brzozie i Jedlni, kwaterował długi batalion saperów czwartej brygady. W Radomiu stały dwie baterie dział polowych (jedna lekka gwintowana), czyli dział 16. Z kawalerii miano dwie setki kozaków w Sandomierzu i Radomiu. Ogółem było siedem batalionów piechoty, czyli około 7000 bagnetów, dwieście koni i dział 16. Na czele tych wojsk stał generał Uszakow, stary sewastopolski żołnierz, burczymucha i krzykała, z pyszną, marsową twarzą i postawą, natura w gruncie rzeczy dobra, miękka i niezadorna. Wobec rozpołożenia sił rosyjskich /chcąc ze ścisłością wykonać plan pierwotny powstania, należałoby jednocześnie uderzyć na siedemnaście co najmniej stanowisk, uderzyć z przewagą liczebną jakich 10 do 14.000 ludzi, co wobec braku broni wcale nie jest przesadzonem. Wiemy, że w całym województwie tylu sprzysiężonych nie było, a z tych których miano na listach, z góry co najmniej połowę należało odtrącić, gdyż z pewnością można było rachować, że na punkt zborny się nie stawia. Wobec tego z konieczności ograniczono się na dwóch tylko atakach, dość jednak energicznych i stanowczych, które obok podlaskiego ocalały przynajmniej dobry honor spiskowców.

Pierwszy z tych napadów dokonany był na stanowiska batalionu saperów, rozkwaterowanych, jakśmy wspomnieli, w wielkiej jeszcze podówczas puszczy Kozienieckiej, ciągnącej się na wschód i północ od Radomia aż do Wisły i Pilicy. Batalion ten rozrzucony był kompaniami, które zajmowały Głowaczew, Ryczywół, Brzozę i Jedlnię; kompanie były gęsto obsadzone, bo blisko po 250 ludzi

liczyły (cały batalion miał 1101 ludzi<sup>1)</sup>). Jakkolwiek okolica leśna, w tej porze błotna i trudno dostępna, w sam raz nadawała się do zupełnego wytępienia saperów, którym pomoc nie prędko, z powodu okropnego stanu dróg, nadbieść mogła, jednakże z braku sił musiano się ograniczyć na samej tylko Jedlni. Stała tam 4-ta kompania pod dowództwem kapitana Witkowskiego, jak się zdaje Polaka. Żołnierze w tej wielkiej wsi, zagrzebanej w prastarym boru, w którym zdawało się brzmieć jeszcze echo trąbki Jagiellońskiej, rozrzucony byli po chałupach po dwóch, po trzech i oczywiście, niczego się nie spodziewając, z wielką łatwością mogli być wytępieni co do nogi. Jakoż wieczorem d. 22 stycznia, sprzysiężeni, przeważnie z Radomia i z samej Jedlni, w której ludność nigdy nie pełniła obowiązków pańszczyznianych, rządząca się prawami starosławiańskiego opola; zachowała ducha niepodległości i pewne uczucia patryotyczne, oraz strzelcy i leśniczowie tej wielkiej puszczy i około 20 młodzieży szlacheckiej, zebrało się na folwarku Kozłów u dzierżawcy Józefa Wolskiego, i we wsiach Sieczki i Półborze. Tam objął dowództwo niejaki Figietti, emigrant, przebywający od lat kilku w kraju, w majątku swego brata w Klwatce, niedaleko Zwolenia. Figietti poprowadził zebranych do Jedlni; zgromadzono się niedaleko kościoła i policzono. Pokazało się, że ogółem jest 150 ludzi. Tu Figietti podzielił partyą na trzy części, gdyż tyle było ulic, na których kwaterowali saperzy; jednym z tych oddziałów sam dowodził, dwa inne oddał Czarneckiemu i Malinowskiemu. Była godzina 1-sza w nocy, drobny deszcz padał i ciemności nieprzejrzone zalegały śpiącą wieś, gdy napadnięto na kwaterę dowódcy saperów, kapitana Witkowskiego; w pobliżu tej kwatery był magazyn wojskowy; straż przy nim zabito, sam kapitan ciężko poraniony, rzucony był na drodze. Zbudzono też zaraz sołtysa i pod groźbą utraty życia, zmuszono do wskazywania domów, w których spali Rosyanie. Do domów

<sup>1)</sup> Gesket-Iuzyrewskij loc. cit. 382.







czący o ich podnieceniu nerwowem, ogień. Kompania nieprzyjacielska, kwaterująca w domach dookoła rynku, zdołała się jako tako uformować około starożytnego ratusza szydlowieckiego, ale rażona ogniem ze wszęch stron, w bezładnej masie poczęła uciekać. Ridiger zdołał ją zatrzymać w odległości pół wiorsty od miasta na szosie radomskiej, i tutaj z wielkim mozolem uformował w szyk bojowy. Druga kompania, pod dowództwem Władysława Olędzkiego, Polaka i katolika, stojąca na końcu miasta od strony Kielc, w koszarach, które już wcześniej obłożono słomą, została zaatakowana przez Langiewicza, ale dość szybko się uszykowała, i po żwawym ogniu z obu stron, wycofała się także z miasta i o świcie połączyła się z Ridigerem. Powstańcy więc zostali panami miasteczka, przez dwie godziny włóczyli się po niem, pijąc po szynkach, szukając żołnierzy rosyjskich lub tych ze spiskowców szydlowieckich, którzy na punkcie zbornym się nie stawili, i tak przeszedł czas do świtu. Za to dowódzca rosyjski, mając teraz obie kompanie przy sobie, jak się tylko rozwidniło wysłał przeciw miastu gęsty łańcuch tyralierów, którzy rozpoczęli rześisty ogień, a potem z resztą swych sił uderzył wstępnym bojem na powstańców. Po krótkiej utarczce, w której Jasiński dobrze podobno podchmielony, przełaząc przez płot został wzięty przez Olędzkiego do niewoli<sup>1)</sup>, powstańcy w nieładzie opuścili Szydłowiec i na ten atak ten się zakończył. Straty polskie nie są dokładnie wiadome; nazajutrz z ulic i pół zebrano podobno 36 ciał samych mieszkańców Szydłowca<sup>2)</sup>; Ridiger miał wziąć do niewoli około 70 ludzi; Rosyanie stracili 4 zabitych, 10 rannych i tyluż „przepadłych bez wieści“, że użyjemy terminu urzędowego<sup>3)</sup>. Powstańcy zdobyli kilka karabinów, trochę naboju, i na pad ten zaliczyć należy do rzędu zupełnie chybionych, jak w ogóle w całym dawnym województwie sandomierskiem,

<sup>1)</sup> Rozstrzelano go w Radomiu d. 24 marca 1863 r.

<sup>2)</sup> „Napad na Szydłowiec“ (rkp-m.).

<sup>3)</sup> „Zurnal wojennych dziejstw“, Nr. 1.

gdyż dwa ataki na załogi rosyjskie, które w 17 miejscach stały, nie mogą być uważane za powstanie ogólne, jakiego wymagał program wybuchu, i jakie zapowiadali Czerwieńczy warszawscy. Dodać tu wypada, że Ridiger, wszedłszy z powrotem do Szydłowca, rozpoczął rabunek i mordowanie mieszkańców. Owe 36 trupów, znalezionych na ulicach i w polu, były to ofiary nie utarczki nocnej ale rzezi, dokonywanej w biały dzień. Aresztowano przytem mnóstwo osób, z którymi Ridiger nieludzko i po barbarzyńsku się obchodził.

W województwie krakowskiem dawnem, także powstanie się nie powiodło. Tutaj stosunkowo siły rosyjskie nie były wielkie i zajmowały wszystkiego dwanaście miasteczek, t. j. Kielce, Chęciny, Bodzentyn, Jędrzejów, Wodzisław, Miechów, Pińczów, Łagów, Chmielnik, Słomniki, Książ Wielki, Korczyn, Stopnicę i wieś Kąty. W czterech ostatnich miejscach kwaterował pułk noworosyjski strzelców konnych, zwanych w armii rosyjskiej dragonami, w ogóle 730 ludzi; prócz tego w Kielcach i Miechowie stało po setce kozaków dońskich. Razem więc było w Krakowskiem 930 koni. Co się tyczy piechoty, to w Kielcach stały dwie kompanie pułku Smoleńskiego piechoty, dwie w Jędrzejowie, jedna w Wodzisławiu, jedna w Bodzentynie i jedna w Chęcinach, czyli licząc na kompanię po 280 ludzi, wypadnie ogółem 1960, czyli z zaszeregowymi 2000 ludzi. Prócz tego w Miechowie, Słomnikach i Książu Wielkim stał siódmy batalion strzelecki, przecięciowo 1100 ludzi. W Kielcach była jedna bateria dział polowych, ludzi 280. Tym więc sposobem siły rosyjskie w Krakowskiem wynosiły 4480 bagnetów, 930 koni i dział 8<sup>1)</sup>. W to nie wchodzi straż pograniczna, „objeszczykami“ pospolicie zwana, i żandarmerya. Najważniejszym punktem, do którego zbiegały się wszystkie drogi województwa, były Kielce, ciche, górami otoczone miasteczko, w którym naczelną komendę dzierżył dowódzca pułku Smoleńskiego piechoty, Ksawery

<sup>1)</sup> *Geskt-Luzynskij* loc. cit. 377 i nast.



Osipowicz Czengiery, z rodziny węgierskiej podobno, katolik, narodzony na Ukrainie, syn kamerdynera u generała b. wojsk polskich Kozłowskiego. Matka była Polką; on sam ulegał wpływom swego spowiednika, proboszcza z Piekoszowa pod Kielcami. Z wspaniałą marsową postawą, był człowiekiem surowych i drapieżnych instyktów, a w powstaniu odznaczał się rabunkami na wielką skalę.

Sily sprzysiężonych w Krakowskim wynosiły zaledwie 1000 ludzi, z którymi niepodobna było atakować kilkunastu miast i miasteczek. Ale pomimo to, przez szczególny zbieg wypadków, okoliczności tak się ułożyły, że gdyby dowódcy powstańczy mieli lepsze głowy i choć trochę szczęścia, to powstanie w Krakowskim całkiem inny obrótby wzięło i na poważne mogło narazić niebezpieczeństwo rząd i kwaterujące tu wojska. Naczelnikiem sił zbrojnych województwa został mianowany, jak wiemy, Apolinary Kurowski, człowiek pod względem wojskowym zupełnie nieudolny, pozbawiony energii i znajomości elementarnych zasad rzemiosła. Wprawdzie naczelne dowództwo województwa oddano mu zastępczo, dopóki nie przybędzie wezwany przez Komitet centralny z zagranicy pułkownik Czapski<sup>1)</sup>, ale Kurowski miał dość czasu, by wszystko zepsuć, wszystkie nadzieje zawieść i z niczego nie skorzystać. Komisarzem wojewódzkim był Wojciech Biechoński, młody człowiek z genueńskiej szkoły, ale urodzony i wychowany w Kielcach, znał województwo doskonale, miał liczne konneksye i pod tym względem był prawdziwie użyteczną siłą, choć jako urzędnik rewolucyjny nie odznaczał się stanowczością i zdecydowaną postawą. Pierwotnie na wspólnych naradach zamierzono w nocy z dnia 22 na 23 stycznia atakować Kielce; wzięcie tego miasta, co nadłoby ogromne znaczenie i przewagę powstaniu w Krakowskim, było, mimo wszystko, rzeczą bardzo możliwą a nawet łatwą. Umiano bowiem wejść w nader przyjazne stosunki z wojskiem. Gdy w d. 16 stycznia, a więc na tydzień

<sup>1)</sup> Ks. Serafin Szulc, Pamiętnik (Polska w walce I, 73).

przed wybuchem, żołnierze stojący w Jędrzejowie, dawali widowisko teatralne, to zjechało się na nie mnóstwo szlachty okolicznej, zjechał i Kurowski<sup>1)</sup>, i o Czengierygo nieomal się ocierał. Nikt nie przypuszczał, że za kilka dni zobaczą się ci panowie przy dźwiękach całkiem innej, jak teatralna, orkiestry. Zamierzano powtórzyć w tymże Jędrzejowie takie samo widowisko w d. 22 stycznia, co oczywiście było bardzo na rękę Kurowskiemu, który chciał w czasie przedstawienia uderzyć na Jędrzejów i rozbawionych widowiskiem Rosyan wyrzucić do nogi... Czengiery, nie podejrzewając niczego, dał już pozwolenie na to widowisko, gdy nagle został wezwany do Radomia do generała Uszarkowa, gdzie surową otrzymał naganę i zakaz powtarzania podobnego spektaklu<sup>2)</sup>.

Otóż z tego wyjazdu sprzysiężeni zamierzali skorzystać. Postanowiono Czengierygo, o którym wiadano, że ma wracać 22 stycznia, schwycić żywcem na drodze, lub w ostateczności zabić; na Kielce, pozbawione wodza, uderzyć i zdobyć. Jak wszędzie, tak i tutaj, miano kilku oficerów w pułku smoleńskim wciągniętych do spisku; najważniejszym z nich był kapitan Stanisław Dobrogojski, znany później w powstaniu pod pseudonimem Grzmota, który obiecywał, że w razie napadu na miasto, (łudził się, jak wielu jemu podobnych), z całą swą kompanią przejdzie do powstańców<sup>3)</sup>. Nic z tego jednak nie miało przyjść do skutku, ani atak Jędrzejowa, ani schwytanie Czengierygo, ani zdobycie Kielc, ani połączenie się wojska rosyjskiego z powstańcami. Ci, którzy mieli napaść na Jędrzejów, zebrali się w liczbie 200 do 300 ludzi we wsi Groźmnik<sup>4)</sup>, niedaleko słynnego z piękności Złotego Potoku, pod kierownictwem swych bezpośrednich zwierzchników

<sup>1)</sup> N. Berg, Zapiski II, 434.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

<sup>3)</sup> Z. Kolumna, Pamiętnik II, 55, mylnie nazywa go Dobrogojskim.

<sup>4)</sup> Ks. S. Szulc, Pamiętnik loc. cit. I, 73.

w konspiracji, a mianowicie: Ignacego Dobrskiego, nadleśnego dóbr hr. Krasieńskich, oraz innych (Winnicki, Gniewosz, Groblewski i Rose), i uzbrojeni, jak wszędzie w piki, kosy i trochę dubeltówek, przeszli w nocy z d. 22 na 23 do lasów Przyrowskich, i tu, oczekując na Kurowskiego, który się nie zjawił, rozeszli się, nie dokonawszy swego <sup>1)</sup>. Nie udało się także schwytanie Czengiery. Ci, którzy mieli to spełnić, spóźnili się podobno, tak, że Czengiery zdołał zmienić konie pocztowe w Suchedniowie, w którym nadzwyczajny ruch i wzburzenie zauważył, i szczęśliwie dopadł do Kielc <sup>2)</sup>. Miasto rzeczzone uniknęło napadu również tylko wskutek niedołęstwa Kurowskiego. Zebrane staraniem komisarza Biechońskiego tłumy sprysiężonych we wsiach Dyminy i Pusłowice, pociągnęły na górę Karczówkę, oddaloną od Kielc o trzy kilometry, gdzie w klasztorze Bernardynów oczekiwały przybycia dowódcy. Kurowski obiecał stawić się o godz. 2-iej w nocy z dnia 22 na 23 stycznia i zaraz miano uderzyć na miasto. Ale Czengiery, ostrzeżony widokiem wzburzenia w Suchedniowie, doniesieniami o zbieraniu się zbrojnych tłumów na Karczówce, miał się na ostrożności. Przedewszystkiem baterią dział, stojącą za miastem pod karczmą Pocieszka bez żadnej prawie osłony, sprowadził i ustawił na rynku, ostentacyjnie rozkazawszy nabić armaty kartaczami. Obie kompanie ściągnął także na rynek i ustawił w szyku bojowym. O wszystkim tem uwiadomiono z miasta zgromadzonych na Karczówce, a gdy Kurowski nie przybył o naznaczonej porze i zjawił się dopiero o świcie, uznano atak za niemożliwy i oddziały zebrane rozeszły się w różne strony <sup>3)</sup>.

Gdy się tak wszystko w Krakowskim dzięki nieudolności Kurowskiego nie wiodło, jeden tylko napad na Bo-

<sup>1)</sup> „Dziennik powszechny“ Nr. 24 z r. 1863.

<sup>2)</sup> N. Berg loc. cit. II, 435.

<sup>3)</sup> N. Berg loc. cit. Ze wszystkich relacji, jakie mieliśmy pod ręką, okazuje się, że Kurowski miał być i pod Jędrzejowem i pod Kielcami. Ponieważ jednocześnie w dwóch miejscach znajdować się nie mógł, więc uznał za stosowne nigdzie nie być.

dzentyn przyszedł do skutku i miał się stać bodaj czy nie najgłośniejszym i najdonioślejszym w swych rezultatach. Bodzentyn małe, górskie miasteczko, niegdyś własność biskupów krakowskich, którzy tam nawet wzniesli dla siebie zamek, dziś w ruinie będący, oddalonem jest od Kielc o dwie do trzech, a od Suchedniowa około dwóch mil polskich. Ukryte wśród lasów, na północnym stoku gór Świętokrzyskich, nie było żadnym punktem strategicznym i wogóle nie miało znaczenia. Stała w niem jedna kompania strzelecka pułku Smoleńskiego piechoty, pod dowództwem kapitana Krajewicza, którego właśnie w dniu 22 stycznia wezwał do siebie do Kielc, pułkownik Czengiery. Krajewicz, wyjeżdżając otrzymał z rąk burmistrza bodzentyńskiego adres dziękczynny od mieszkańców miasteczka. W adresie tym, o który sądząc po treści sam Krajewicz się postarał, było napisane, że „Krajewicz, komendant kompanii, oraz oficerowie Kozunow i Rapp, doprowadzili kompanię do tak wzorowego stanu, że mieszkańcy nie mogą się nachwalić postępowania żołnierzy, stojących u nich na kwaterach, i zwrócili się z prośbą do burmistrza, ażeby oświadczył za to całej kompanii ich wdzięczność głęboką“. Pod adresem tym była umieszczona pieczęć magistratu bodzentyńskiego, poczem następowały podpisy burmistrza i obywateli <sup>1)</sup>. Z tym to adresem, zapewne dla pochwalenia się nim przed Czengierem, udał się Krajewicz do Kielc, zostawiając kompanię pod wodzą dwóch poruczników Kozunowa i Rappa. W mieście cały dzień 22 stycznia panowało wielkie ożywienie; mówiono o czterech weselach, które się w tym dniu miały odbyć, co oczywiście niecichego jak Bodzentyn miasteczka, było ewenementem nie-lada. Żołnierze, którzy stali tam już Q trzech miesięcy, a stąd nieomal wszystkich znali doskonale, zauważyli, że od rana jacyś obcy ludzie, po większej części poprzebierani za żebraków, kręcą się koło koszar i przepatrują je bacznie. Wszelako nie zwrócono na to pilniejszej uwagi;

<sup>1)</sup> Loc. cit.



dzień 22 stycznia przeszedł spokojnie i zbliżyła się noc, tak straszna i tak na zawsze pamiętna.

Główne siły powstańcze, mające uderzyć na Bodzentyn, składały się przeważnie z górników, robotników i urzędników suchedniowskich, pod wodzą, znanych nam przełożonych nad kuźniami, braci Dawidowiczów. Oddział ten, wynoszący 300 do 400 ludzi, wyruszył rano z Suchedniowa, zabrawszy wprzód kasę górniczą i skierował się ku Bodzentynowi, gdzie oczywiście mieli go poprzec mieszkańcy miejscowi, oraz oddziały na 500 do 600 ludzi. Licho uzbrojonych w kosy i nieco strzelb myśliwskich. W każdym razie rachowano na to, że przy napadzie nocnym i niespodziewanym uda się zupełnie pokonać odosobnioną kompanię rosyjską, co mogło mieć nie małe znaczenie — ze względu, że po za tym oddziałem, od Wąchocka aż po Opatów i Hżę, nie było ani jednego żołnierza rosyjskiego w okolicy lesistej i górskiej, i tym sposobem powstanie w tych stronach zyskiwało możność jakiego takiego uorganizowania się. Rozkwaterowanie kompanii znanem było doskonale dowódcom powstańczym. Trzy plutony stały w t. z. koszarach, mieszczących się w ośmiu chałupach miejskich; czwarty zaś pluton stał w oddzielnym domku w rynku. Prócz tego osobną miał kwaterę nieobecny teraz kapitan Krajewicz, i oddzielną obaj porucznicy: Rapp i Kozunow. Magazyn kompanii, znajdujący się na skraju miasta, strzeżony był przez ośmiu żołnierzy. W ogóle ci ostatni, mimo że zauważyli odrazu niezwykle ruch w mieście, nic o tem oficerom nie powiedzieli i spokojnie spać się położyli. Noc była, jak wszędzie w ów termin fatalny, nadzwyczajnie ciemna i dżdżysta. Zwykły patrol nocny, odbywszy swą powinność przejrzenia miasta, powrócił do koszar nie zauważywszy nic podejrzanego i położył się na spoczynek. Czuwała tylko warta w koszarach i przy magazynie, oraz obaj porucznicy. Do kwatery Kozunowa, przyszedł Rapp, i jak twierdzą raporta urzędowe zajmowali się doświadczeniami chemicznymi, które namiętnie Rapp lubił; według

innych czytali, a według innych grali w karty i popijali mocny poncz, co jest najprawdopodobniejszym<sup>1)</sup>.

Tymczasem nad tem cichem, sennem miasteczkiem zbierała się groźna burza. Oddziały powstańcze zbliżały się i zamierzono jednocześnie zaatakować koszały, magazyn, kwaterę Krajewicza i obu poruczników. Umówiono się, że napad nastąpi o godz. 1-ej po północy, a hasłem będzie uderzenie w dzwony kościelne. Jakoż o naznaczonej porze rozległ się w ciszy nocnej ponury odgłos dzwonu, a zaraz potem dała się słyszeć głucha wrzawa wkraczających pośpiesznie do miasteczka powstańców. Zgodnie z planem, podzielono się na odpowiednie oddziały, z których najsilniejszy uderzył na większe, z ośmiu domów złożone, koszały. Warta ciężko poraniona, padła pod strasznymi ciosami kos<sup>2)</sup>, i powstańcy wdarli się do wnętrza izb, gdzie oczywiście powstał popłoch i zaniepokojenie. Żołnierze pchali się ze swych legowisk i z krzykiem: *rebiata nas rżut* (dzieci, nas rżną!) poczęli chwycić za broń, odbijać czem mogli zadawane razy, wyrwać nawet kosy z rąk atakujących. W ogóle kosy zbyt długie i ciężkie<sup>3)</sup>, nie dawały możności energicznego działania w ciasnych a nadewszystko niskich izbach małomiasteczkowych chałup. Wskutek tego, jakoteż wskutek upartej obrony szeregowców rosyjskich, powstańcy zostali z izb wyparci, a ich strzały przez okna i drzwi, na chybił trafił dawane, także nie wiele pomogły. Wreszcie Rosyanie ubrali się i uzbroili, wydostali się z koszar, napadającą czerniawę gęstymi strzałami odparli, i rzucili się na pomoc oficerom i magazynowi.

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> N. Berg, loc. cit. II, 438, utrzymuje, że tylko jeden żołnierz, otrzymawszy silny cios w głowę, zaraz umarł.

<sup>3)</sup> W raporcie, złożonym Urszakovowi przez Czengierego, a wydrukowanym we wszystkich gazetach ówczesnych, znajdujemy taki opis kos powstańczych: „tłum ludzi uzbrojonych obosiecznymi nożami, długości 14 werszków a szerokości 2 1/11, obsadzonymi na rączkach (sic) do 3 arszynów długości, a około werszka średnicy mających“ i t. d.

Jednocześnie bowiem powstańcy zaatakowali wszystkie te punkta. Nie wiedząc, że kapitan Krajewicz wyjechał do Kielc, oddziałek, przeznaczony do schwytania go, wdarł się do jego mieszkania i nie zastawszy właściciela zniszczył i zrabował wszystko, a między innymi, jeżeli można wierzyć raportom urzędowym, przeszło 2000 rubli w papierach kredytowych rosyjskich<sup>1)</sup>. Atak mniejszych koszar, w których stał czwarty pluton kompanii, także się nie powiódł. Żołnierze czy ostrzeżeni, czy zbudzeni wrzawą, przyjeśli zbliżających się powstańców ogniem. Ci ostatni, nie mogąc się dostać do wnętrza, obłożyli dom dookoła słomą, którą zapalili, chcąc tym sposobem oblężonych zmusić do poddania się. Ale i tutaj energiczna i sfora obrona miała przewagę nad nieumiejętnym i bezładnym atakiem. Szeregowcy rosyjscy, dawszy kilkanaście strzałów, wyskoczyli przez okna i drzwi, zebrali tłącą się słomę na jedną kupę na środku rynku i dorzuciwszy okiennic, i sprzętów różnych, które zbierali i wyrywali z sąsiednich domów, utworzyli wielkie ognisko, które krwawym blaskiem oświetliło tę straszną scenę zniszczenia. Taki sam skutek miał atak na najważniejszy z wielu względów dla powstańców, magazyn, gdzie znajdowała się broń zapasowa, mnóstwo nabojów i innych sprzętów wojennych. Ośmiu żołnierzy, strzegących magazynu, broniło się tak uporczywie przeciw nieporządnym, chociaż nieraz niepozabawionym śmiałości atakom, że trzeba było ustąpić i magazyn zostawić w rękach rosyjskich<sup>2)</sup>.

Nieszczęśliwy los przypadł w udziale dwom porucznikom Rappowi i Kozunowi, zajętem jakoby czytaniem, czy też doświadczeniami chemicznymi. Do izby ich, wraz z rozpoczynającą się w mieście palbą, wkroczył tłum mieszkańców bodzentyńskich pod kierownictwem wikaryusza niejścowego ks. Umińskiego, i zażądał złożenia broni i wydania rozkazu do żołnierzy, by to samo uczynili dla uniknię-

<sup>1)</sup> Pawliszczew, Siedmicy, II, 377.

<sup>2)</sup> Raport Czengierego.

cia niepotrzebnego, jak mówiono, krwi rozlewu. Ponieważ obaj oficerowie, stojąc w Bodzentynie od trzech miesięcy, znali doskonale ks. Umińskiego, a przytem w tłumie, tłoczącym się w sieni i izbie, spostrzegli kilku swoich znajomych, jak np. kwatermistrza Szadkowskiego, obywatela ziemskiego z okolicy Zygarłowicza, kupca Bogdańskiego i innych, więc zrazu myśleli, że to żarty<sup>1)</sup>. Ale ktoś z tłumu ostrzegł ich, że tu niema co myśleć, tylko broń oddać, że wojsko otoczone, że koszary się palą. W rzeczy samej w okna izby biła krwawa łuna od ogniska, rozpalonego na placu. Wobec tego Rapp oświadczył, że chce się przekonać naocznie o tem, co się w mieście dzieje, zaledwie jednak przestąpił próg izby, gdy został uderzony w kark kosą, a jak inni utrzymują, przebitą przez ks. Umińskiego. Kozunow widział, jak naraz Rapp cofnął się do izby, schwycił się za serce, coś powiedział i padł<sup>2)</sup>. Zapewne taki sam los spotkałby Kozunowa, gdyby w tejże chwili, żołnierze, odparwszy ataki od koszar, nie przypomnieli sobie swych oficerów; tłumnie rzucili się ku ich kwaterze, wyważyli okna, wskoczyli do izby, rozpędzili powstańców i z krzykiem *Ociec nasz, ура!* (ojciec nasz, hura!), wynieśli go na plac przed gorejące ognisko. Tutaj trwała dalej rześista palba, ale niesforne ataki powstańców odpierane były zwycięsko przez żołnierzy karnych i jednolitych w swej akcji. Przed świtem ataki poczęły słabnąć, wreszcie ustały zupełnie i powstańcy opuścili Bodzentyn, nie nie zdziaławszy i zabiwszy nieprzyjacielowi 4 ludzi; rannych miało być 40<sup>3)</sup>. Straty te świadczą, że walka była gorąca i zacięta,

<sup>1)</sup> N. Berg, loc. cit. II, 439.

<sup>2)</sup> Raport Czengierego.

<sup>3)</sup> Raport Czengierego utrzymuje, że Kozunow o świcie naliczył 30 trupów powstańczych, co jest oczywistą przesadą. Powstańcy napadli niespodziewanie, walczyli w nocy, dobrze osłonięci domami, i wobec dwóch zabitych rosyjskich (porucznik Rapp do poległych w boju zaliczonym być nie może), wygląda ta wiadomość na śmieszne kłamstwo. To też ostrożny i uczciwy N. Berg, znając doskonale wiarogodność wszystkich urzędowych raportów rosyjskich, po-



ile że powstańcy na ulicach miasteczka zostawili dużo trupów. W tej krwawej, dzikiej walce nocnej, rozegrało się zapewne wiele najposępniejszych dramatów, na zawsze dla historii straconych, wiele scen krwawych i strasznych. Żołnierz Zielenko, stolarz kompanii, mieszkający jako żonaty osobno, napadnięty przez powstańców owej nocy, nie chciał oddać karabina i amunicji, którą zdołał ukryć pod podłogą i ciężko poraniony i pobity porzucony został jako trup; przyszedł jednak później do zdrowia i za swe bohaterstwo niewolnicze obdarzony był krzyżem wojskowym św. Jerzego <sup>1)</sup>.

O świcie, d. 23 stycznia, Kozunow dowiedział się od żydów, że powstańcy, ukryci w okolicznych lasach, cze-

wiada w cytowanym dziele p. 440: „straty powstańców niewiadome; ich zabici i ranni byli w części zabrani przez mieszkańców, a w części uniesieni przez bandę do lasu“.

<sup>1)</sup> Z tego bardzo naturalnego i zrozumiałego faktu, historycy rosyjscy ukuli straszną historią o zwierzęcości i barbarzyństwie powstańców. Raport Czengierego pierwszy rozpuścił tę kłamliwą pogłoskę. Powiada on, że „zadawane przez powstańców męczarnie doszły do najwyższego okrucieństwa, jak np. szeregowcowi Zielenko, żonatemu i mieszkającemu osobno, oderznęto język i przetrnięto gardło“. Z tego opowiadania wnioskowaćby należało, że powstańcy pastwili się nad Zielonką, urznęli mu język i przecięli gardło; tymczasem rzeczy się inaczej miały. W czasopiśmie „Wojennyj Sbornik“ (powołujemy się na źródła rosyjskie), z r. 1867, w zeszytach 10, znajduje się pamiętnik niejakiego Potto, oficera pułku Smoleńskiego piechoty, p. t. „Pochodnyja zapiski“, w którym o epizodzie z Zielonką tak opowiada: „Polacy zażądali od niego karabina i amunicji, ale Zielenko, zdoławszy schować to i tamto, odmówił żądaniu. Wówczas buntownicy zadali mu ciężkie rany: kula trafiwszy w szyję, strzaskala kość, dwie kule przebiły rękę, a uderzenie nożem przecięło język i gardło. „Z tego wynika, że nie było to chłodne pastwienie się, ale poprostu chciano zabić upartego żołnierza. Owe „uderzenie nożem“ prawdopodobnie znaczy cios, zadany kosą. W ogóle rany żołnierzy były ciężkie i przeważnie od kos pochodziły. W dziele „M. N. Katkow, 1863 god“ II, 997, opisane są szczegółowo rany niektórych żołnierzy, poniesione w starciu bodzentyńskim. Większość tych ran, zadana była w głowę i ramiona, widocznie od uderzenia kosą.

kają tylko na posiłki, by ponowić napad, co prawdopodobnie było kłamstwem, a żydom szło o to, by jak najprędzej pozbyć się z miasteczka Rosyan, którzy rozdrażnieni nadzwyczajnie, po większej części pijani, mogli się dopuścić najstraszliwszych ekscesów. Kozunow uwierzył jednak tej plotce, postanowił opuścić Bodzentyn i cofnąć się do Kielc. Ściągnięto więc całą kompanią, porozrzucane po ulicach kosy w liczbie 200 sztuk, przyczem nie znaleziono ani jednej strzelby, zebrano i połamane spalono na rynku. Wszystkich ciężko rannych, których zabrać nie można było, zostawiono pod opieką kilku rodzin żydowskich, a jeden z żołnierzy Anisim Andrejew ofiarował się zatrzymać bez broni w miasteczku, dla doglądania swych chorych towarzyszy, co dowodzi, że powstańców, ani ich mniemanego okrucieństwa, nie lękano się wcale. Kozunow ze swą kompanią, mocno przetrzebioną, wkroczywszy w lasy, dzielące Bodzentyn od Kielc, spostrzegł na drodze świeże ślady kół i plamy krwi; a przyspieszwszy kroku dopędził dwa wozy otoczone powstańcami, którzy na widok wojska uciekli. Na wozach znaleziono znaczną ilość kos, trzy strzelby myśliwskie, nieco prochu i ołowiu, rachunki kasowe suchedniowskie i pieniądze w sumie 5076 rs., które jak się zdaje, pochodziły z zaboru kasy górniczej w Suchedniowie. Wszystko to oczywiście schwytano i dostawiono do Kielc.

Taki był przebieg rozgłosnego na Bodzentyn napadu, który powstańcom przyniósł w zdobyczy nieco karabinów, wziętych w koszarach głównych, który ciężkie zadał straty kompanii, tamże kwaterującej, ale ostatecznie nie wytepił jej doszczętnie, owszem zdołała ona w porządku i z pewnego rodzaju tryumfem, a nadewszystko spokojnie wycofać się do Kielc. Władze wojskowe rosyjskie dla zohydzenia w oczach Europy powstania, rozgłosiły szczegóły napadu, przedstawiając go w skażonym świetle, a głównie wyzyskując epizod z szeregowcem Zielenką. Raport Czengierego do Uszakowa o ataku Bodzentyna, ogłoszono po dziennikach, czego nie uczyniono dla żadnego innego do-

niesienia, a choć raport ten uderza, wielu wręcz sobie przeciwnymi szczegółami i zdumiewającą nieudolnością formy, przecież publikowany usilnie, wobec tego, że strona przeciwna tak samo postąpić nie mogła, bo miała w kraju zamknięte usta, musiał zrobić wrażenie, a nawet wywołać oburzenie. Oprócz Bodzentyna, w województwie krakowskim, w nocy z d. 22 na 23 stycznia dokonano jeszcze jednego napadu na komorę celną w Michałowicach, leżącą przy drodze bitej z Kielc do Krakowa. Napad ten, jeśli wierzyć można niektórym doniesieniom<sup>1)</sup>, uorganizowany był w Krakowie. Rozpędzono straż pograniczną i zabrano z kasy celnej 8000 rubli w gotówce.

Oto w głównych zarysach historia krwawej, nigdy niezapomnianej nocy z d. 22 na 23 stycznia 1863 r., nocy, w której, jak z mitycznej puszkii Pandory, wyłonić się miały na nieszczęśliwą Polskę wszystkie plagi, klęski i upokorzenia. Rosyanie w depeszach, rozesłanych po całej Europie, nazwali tę noc „Bartolomejadą“, niby dlatego, że przypominała ona historyczną rzeź św. Bartłomieja w Paryżu. Ściśle jednak mówiąc, nazwa ta nie jest usprawiedliwioną i porównanie nieuzasadnionem. Jeżeli rzeź paryska zachwiała potęgą Hugonotów na zawsze we Francyi, to noc styczniowa nie tylko nie zachwiała potęgą Rosyi, ale stosunkowo bardzo niewielkie i prawie nie znaczące szkody jej zadała. Nietylko bowiem nie wykonano pierwotnego planu napadnięcia znienacka przeważnymi siłami na wszystkie, rozrzucone po kraju załogi rosyjskie, i wytępienia ich zupełnego, ale tam nawet, gdzie je zaatakowano, nie zdołano ich wyciąć i zniszczyć. W całości tego wykonania, uderza niesłychana lekkomyślność i nieudolność czynu. Na mniej więcej 140 posterunków rosyjskich w całym Królestwie, zaatakowano zaledwie 17, jeżeli wliczymy w to i Suraż, miasteczko, leżące już za granicami Kongresówki. Ale i w tych 17 miejscach nie zdołano nigdzie pokonać garnizonów rosyjskich, nie zdobyto broni (bo kilku-

<sup>1)</sup> „Dziennik warszawski“ z r. 1865.

dziesięciu karabinów, wziętych w całej Polsce, nie można brać w obrachunek), ani dział, ani amunicyi. Według relacji urzędowych, miano w nocy styczniowej zabić w ogóle 100 nieprzyjaciół i dwa razy tyle raniono; ale choćby ta cyfra była fałszywą i jest nią niewątpliwie<sup>1)</sup>, choćby zabito i raniono cztery, pięć razy tyle, to cóż to znaczyło dla stutysięcznej armii, konsystującej w Królestwie, i mogącej być w ciągu miesiąca wzmocnioną drugimi stu tysiącami. Inna rzecz by była, gdyby w nocy styczniowej wycięto do nogi tę armię, a choćby tylko jej połowę. Byłaby to strata najprzód trudna do powetowania, a potem sam fakt rzuciłby odcień tak wielkiej grozy, tak olbrzymiego krwi rozlewu, że wstrząsnąłby musiał wszystkimi posadami europejskiego rzeczy porządku.

Nie stało się to jednak. Kierownicy wybuchu nie umieli skorzystać z tego wyjątkowo szczęśliwego położenia, że ta pozornie olbrzymia stutysięczna armia, była rozrzucona na wielkich przestrzeniach, rozdrobniona nadzwyczajnie, a to rozdrobnienie w przeddzień nieomal powstania przybrało jeszcze większe rozmiary wskutek wysyłania drobnych, nieraz plutonowych oddziałków do różnych miejsc, dla dokonania rekrutacyi. Wszystko to nie przyniosło należytego pożytku zrywającemu się do nierównej walki powstaniu. Pomijając inne przyczyny tego niepowodzenia, najważniejszą była ta, że w ogromnej większości wypadków, powstańcy byli albo równi co do sił atakowanej załozce, albo liczebnie słabsi. Sprzysiężeni w całym kraju, o których tyle cudów umiał mówić Komitet centralny, jak wiemy, nie przechodzili cyfry 25.000 ludzi, a i z tych ledwie połowa zjawiała się na wezwanie w chwili stanowczej. Ci ludzie więc, którzy kierowali całym ruchem, porywając się na olbrzymie państwo, nawet spiskować nie umieli, bo nie zdołali tylu przynajmniej osób wciągnąć do sprzysię-

<sup>1)</sup> We wspomnianem dziele: „M. N. Katkow, 1863 god.“ II, 996 wyraźnie jest powiedziane, że cyfra stu zabitych, „nie wyraża całej straty poległych“.



zenia, ile armia nieprzyjacielska w kraju liczyła; za to odznaczyli się tak niesłychaną, tak karygodną lekkomyślnością, jakiej, zaiste, trudno w historii doszukać się przykładu. W tych województwach, których komisarze najgwałtowniej domagali się powstania, było ono najsłabszem. Różni Rolscy, Wasilewscy, Frankowscy usilnie żądali krwi i porwania się do broni, a gdy nakoniec przyszło ono do skutku, to w prowincjach im powierzonych, powstanie to okazało się nikłym i niedołężnem. Nie ulega wątpliwości, że w wielkiej części niepowodzenie pierwszego wybuchu i w ogóle całego powstania, należy przypisać jego przedwczesności, a stad nieukończonym, a nawet w wielu miejscach niezaczętym jeszcze przygotowaniom. Ale, jeżeli branka, nakazana przez Wielopolskiego, grała w tej sprawie rolę ważną, to niemniej takąż rolę odegrali różni Rolscy i Frankowscy, którzy, zamiast pełnić swój obowiązek, organizować województwa, włóczyli się po kraju, zwolrywali zjazdy, krzyczeli i przybierali na się postawę Saint-Justów lub Carnotów.

Napady, które szczegółowo wyżej opowiedzieliśmy, mają wszędzie prawie jednakową cechę. W większości wypadków tajemnica była dobrze zachowaną, i sam atak nocy dokonany zniemacka. Ale charakterystyczną jest nieudolność dowódców, którzy nie umieli poprowadzić i pokierować atakiem i brak ducha rycerskiego w sprzysiężonych. Oprócz mężnych i licznych stosunkowo napadów na Podlasiu, gdzie główny kontyngens powstańczy stanowiła drobna szlachta zaściankowa, w której żyły stare tradycje wojenne i patryotyczna ofiarność dla ojczyzny, wszędzie mieszczaństwo, porywające się do wywalczenia niepodległości polskiej, okazało mało odwagi wojskowej i jeszcze mniej patryotyzmu entuzjastycznego. Ci wszyscy mało i wielkomiastowi rycerze od igły, szydła i biurka urzędniczego, głoszący, że w mieszczaństwie, w t. z. stanie trzecim leży przyszłość świata i Polski, że ono jest jedyną zdrową i żywotną warstwą narodu, umieli doskonale urządzać manifestacje, procesje, nabożeństwa za ojczyznę, pla-

tać figle rządowi, ale gdy przyszło do orężnego czynu, do starcia krwawego, okazywali się płochliwymi i zniewieściałymi. Już pierwsza ta noc zwiastowała niejako, jak słabym, jak niedonoszonym płodem będzie powstanie, i jaki ono cień rzuci na głośną w świecie całym waleczność polską.

Ale nim przystąpimy do opisu tej krwawej i ponurej tragedji polskiej, rozgrywającej się bez chwały i bez widzów w głębi lasów, w pustynnej martwocie miasteczek, czas już wielki byśmy wyrzeli na świat szeroki i zobaczyli, jakie następstwa wytworzyła wieść o nagłym i niespodziewanym wybuchu w ciemnej i mglistej nocy z dnia 22 na 23 stycznia.

skiego. Rzeź w Tomaszowie Ordynackim i jej następstwa. Langiewicz w Wąchocku. Odezwa jego do mieszkańców województwa krakowskiego. Zjazd szlachty sandomierskiej w Mierzanowicach. Misya Karskiego i Cichewskiego. Plan ataku na Wąchock. Operacje jenerała Marka. Bentkowski rabuje Suchedniów. Zasadzka Czachowskiego. Starcie pod Parszowem. Mark pali i rabuje Wąchock. Kurowski i jego atak na Sosnowiec. Zdobyć. Powrót do Ojcowa. Jeziorański i jego atak na Rawę. Strojnowski i jego oddział. Starcie pod Grabiami. Ogólne uwagi.

## ROZDZIAŁ II.

### Węgrów i Siemiatycze.

Wrażenie, jakie wywarła wieść o wybuchu. Przywrócenie stanu wojennego. Rozkazy koncentracji wojsk rosyjskich. Sama koncentracja. Krytyka tejże. Stronnictwo Białych. Zjazd szlachty do Warszawy. Enoch i W. książę. Rada wojenna. Uchwała stronnictwa szlacheckiego. Szkoła Główna. Wrażenie powstania w Rosyi. Mowa Cesarza do oficerów pułku izmailowskiego. Rozkaz o sądach polowych. Powolny zwrot opinii rosyjskiej co do Polski. Galicya i jej Rada naczelna. „Czas“ krakowski. Odezwa Ławy lwowskiej i odezwa: „czekać“. Zachowanie się cesarza Napoleona i dziennikarstwa francuskiego wobec powstania. Artykuł „Monitora“. Wyprawa jenerała Semeki. Plany Padlewskiego. Porażka pod Uniekiem. Upadek ducha Padlewskiego. Chądzyński. Dwa rozkazy Padlewskiego. Powstanie podlaskie. Rogiński i zabójstwo Czerkasowa. Organizacja oddziału. Spotkanie z Sinielnikowem. Pobyt w Janowie. Zajęcie Białej, nabożeństwa, wybory do zarządu powiatowego. Nostitz i jego pochód. Atak Rogińskiego pod Białką. Odparty cofa się do Białej. Powstańcy w Węgrowie. Plan ataku na Węgrów. Operacje Papaafanasopuły. Utarczka nocna w Szdrutach. Bitwa Węgrowska. Odwrot Janka Sokoła. Bohaterski atak 400 kosynierów. Wrażenie tej bitwy. Marsz do Siemiatycz. Zameczek i oddział siemiatycki. Maniukin i atak Mystkowskiego na działą. Marsz Rogińskiego pod Siemiatycze. Przygody Lewandowskiego. Spotkanie się z Zameczkiem. Pozycja Siemiatycz. Rozstawienie się powstańców. Bitwa. Zameczek cofa się bezładnie z pozycji. Ogólny odwrot. Rozejście się oddziałów. Frankowski i Zdanowicz w Kazimierzu. Marsz Miednikowa. Zdanowicz przeprawia się przez Wisłę. Marsz ku Sandomierzowi. Starcie pod Słupczą. Rayski opuszcza Sandomierz. Losy Frankow-

Wieść o wybuchu wśród nocy z d. 22 na 23 stycznia, o napadach na kwatery wojsk rosyjskich, rozrzucone po różnych miasteczkach kraju, wywarła silne, acz różnorodne, stosownie do sfer, stanowisk i charakterów ludzkich, wrażenie. Jeżeli Wielopolski udawał zadowolonego, cieszył się nieomal głośno, że „wrzód pękł“, i że w ciągu paru tygodni wszystkich powstańców, jak zające, na śniegu wyłapie, i że nakoniec kraj po niewielkim stonsunkowo upuszczeniu krwi, uspokoi się i będzie można energicznie zabrać się do reform, to w Zamku warszawskim, wśród kół wojskowych nieco inaczej na wybuch patrzano, albo przynajmniej udawano, że tak lekko traktować go nie można. Sam W. książę, nie okazując niczem co się w głębi jego duszy działo i gdzie oczywiście historia zajrzeć także nie może, na zewnątrz zachowywał zwykły swój chłodny spokój i niczem niewzruszoną powagę majestatu. A w rzeczy samej nielada trzeba było mocy nad sobą, by wśród najrozmaitszych wieści, dobiegających do Warszawy w ciągu nocy powstania i dnia następnego, zachować zimną krew i rozsądek. Co chwila do Zamku nadchodziły depeche, że tu, że tam, w różnych kątach kraju napadnięto na załogę, że ją wycięto, że telegraf popsuto, że szyny na tej i tamtej kolei zerwano. Po mieście od rana samego obiegały najdziwniejsze, najfantastyczniejsze wieści, którym ci i owi chętnie wierzyli, bo albo to odpowiadało ich pragnieniom wewnętrznym, albo interesom; a wieści te dochodziły



do Zamku zawsze w skażonej i przesadzonej formie. Mówiono że ogromne, kilkudziesięcioletnie siły powstańców, doskonale uzbrojonych i obutych, przeszły pod wodzą Mierosławskiego, gdzieś koło Włocławka granicę i maszerują pośpiesznie na Warszawę<sup>1)</sup>; że słynny Czajkowski Sadyk Basza objął w Krakowskim dowództwo nad dziesiątkami tysięcy powstańców<sup>2)</sup>. Jakkolwiek wydawać się to mogło niemożliwym, przecież wobec faktu, że od Tykocina aż po Michałowice rozlał się pożar powstania, wobec rozgorączkowanej fantazyi, nerwowości jakiejś, wypełniającej atmosferę, wielu uważało to za prawdopodobne, za pewne nieomal... Mówiono, że lada chwila zerwie się powstanie na ulicach Warszawy, oznaczano dzień, godzinę nawet, rozpuszczano pogłoski, że gdzieś tam, na krańcach miasta, gromadzą się tłumy, stawiają barykady; Bóg wie, czego nie opowiadano, czego wyobraźnia chora i nastrojona do tonu najwyższego nie tworzyła!

Wszystkie te wieści dochodziły oczywiście do Zamku, obiegały z ust do ust szeptane tajemniczo do uszów, rosły niekiedy do potwornych rozmiarów. Na pokojach wielkosiążęcego mieszkania snuli się dygnitarze wojskowi, a wśród nich panowała atmosfera niezdrowej gorączki i widocznego zamętu. Wszyscy ci jenerałowie, którym rządy Wielopolskiego przycięły nieco pazurów, którzy warczeli po kątach na te rządy, którzy przepowiadali, że dwuletni peryod manifestacji musi się skończyć powstaniem, teraz tryumfowali, chodzili po pysznych salach zamkowych z mroczną fizygnomią, nadęci jak pęcherze, ruszali ramionami, pogardliwie wydymali usta, ale gdy pytano ich o radę, milczeli, bo nie wiedzieli, co powiedzieć i co zrobić należy w chwili tak ważnej i tak brzemiennej w następstwa. Zapanował istny chaos pojęć i wyobrażeń. Choć niby wszyscy spodziewali się powstania, choć Komitet centralny oddawna i głośno je zapowiadał, gdy nakoniec noszony od dwóch

<sup>1)</sup> N. Berg, Zapiski, II, 481.

<sup>2)</sup> T. Żychliński, Wspomnienia z r. 1863. p. 13.

lat potworny plód rewolucyjny wyłonił się na świat, wszyscy przerazili się jego widokiem i nie wiedzieli od czego zacząć, co robić<sup>1)</sup>. Baron Ramsay, szef sztabu głównego, który niedawno głośno się przechwalał, że teraz Polacy nie napadną znienacka na wojska rosyjskie jak w r. 1830, zobaczywszy, że tak samo się stało, całkowicie stracił głowę, a przynajmniej udawał, że ją stracił.

Przedewszystkiem w samej Warszawie wydano jak najspieszniej instrukcyę, jak się ma zachować wojsko na wypadek powstania w mieście<sup>2)</sup>. Co do prowincyi, to chwycano się środka, zwykle w takich razach praktykowanego przez wszystkie rządy, oparte na militaryzmie, środka uważanego przez nie za panaceum przeciw wszelkim burzom i zawieruchom, to jest ogłoszono a raczej przywrócono znoszony stopniowo od jesieni roku przeszłego, stan wojenny w Królestwie. Jakoż z datą 24 stycznia ukazał się odnośny dekret namiestnika, w którym to dekrete „mając na względzie nieporządku w wielu miejscach w Królestwie powstałe“, przywraca się stan wojenny „w całej jego rozciągłości“, polecając wykonanie tego dekretu „dowodzącemu wojskiem w Królestwie“. Tym sposobem oddawano znowu kraj w ręce rozmaitych drobnych i niedrobnych kacyków i baszów, przebranych za jenerałów, pułkowników i poruczników, i wstrzymywano przez to postęp reform, które Wielopolski z taką usilnością przeprowadzić się starał. Przyznać jednak należy, że tym razem wina przeważnie była po naszej stronie.

<sup>1)</sup> N. Berg, loc. cit.

<sup>2)</sup> Instrukcyja ta nakazywała: „Przy nagłym napadzie ludzie mają śpiesznie wybiegać na dziedziniec (koszar) w płaszczach i w zupełnem uzbrojeniu; broni bez rozkazu nie nabijają, ale atakują bagnetami. Dopóki kompania się nie zbierze, każde okno zewnętrzne ma bronić dwóch ludzi. Kompania, będąca na służbie, najprzód wybiega na podwórze bez tornistrów; 20 ludzi z podoficerem biegnie wprost do pokoju służbowego dla obrony sztandarów; 20 ludzi do mieszkań oficerskich, a reszta rzuca się na złoczyńców (tak!), którzy się wdarli do koszar“. (A. Markgrafski, Istoria lejbgwardyi litowskiego polka. 416).

W. książę jednak, wydając takie rozporządzenie, uważał je i nie tał się z tem wcale, jako środek tymczasowy, który wkrótce jako całkiem niepotrzebny, usunięty zostanie. Zgodnie z opinią Wielopolskiego, która to opinia odpowiadała może najskrytszym pragnieniom W. księcia, traktował on głośno powstanie jako wybuch przeciw wyjątkowej brance, jako chwilowe oburzenie przeciw środkowi tak nadzwyczajnemu, jako wreszcie rokosz tych tylko, którzy zagrożeni byli proskrypcją, i przekonany był, że cała ta zawierucha potrwa zaledwie parę tygodni i wszystko wróci do dawnego stanu <sup>1)</sup>. W tym duchu miał nawet składać do Petersburga raporta o położeniu rzeczy. Dlatego też uważał może, iż nie należy zbyt radykalnych i energicznych chwycić się środków dla gwałtownego stłumienia ruchawki, która sama w ciągu kilku dni pod wpływem zimna i głodu się rozlezie; nie sądził, by dobrze było rozlewać niepotrzebnie krew polską, o którą tak wiele szło temu ambitnemu kniaziowi. W tem widzeniu rzeczy utwierdzali go różni jenerałowie, różni Ramsaye i nie Ramsaye, którzy z bystrością dworaków rządu despotycznego, widzieli w powstaniu polskiem najlepszy środek obalenia W. księcia, Wielopolskiego i autonomii Królestwa, a w czem niestety! na nieszczęście nasze, nie mylili się wcale.

Stąd to zapewne, z tych mętnych źródeł/specyficznie rosyjskich pragnień rządzenia Polską po paskiewiczowsku, urodziła się myśl, której następstwa były jak najgorsze, jak najzgubniejsze dla kraju, myśl mająca wszystkie kształty przezorności wojskowej, a w gruncie rzeczy najnierozumniesza i niczem nieuzasadniona. Ramsay i jego poplecznicy udając przerażonych wypadkami nocy styczniowej, tłumacząc się, że dotąd niema żadnych instrukcyi, które-miby wojsko i straż pograniczna w takim niespodziewanym wypadku kierować się mogła, z zadziwiającym i wielce przez to samo podejrzany pośpiechem, już w d. 23 stycz-

<sup>1)</sup> *Verstorbene Diplomat, Die polnische Revolution im Jahre 1863 (Deutsche Revue za Styczeń 1863) p. 350.*

nia rozesłali do wszystkich naczelników oddziałów wojskowych <sup>1)</sup> rozkaz jak najprędszej koncentracji wojsk w punktach strategicznych <sup>2)</sup>. W rozkazie tym wódz naczelny rosyjski wyraźnie wypowiada obawę, że „dość znaczne wzburzenie umysłów w obecnej chwili może przybrać większe i niebezpieczniejsze rozmiary“, że wreszcie rozkwaterowanie armii, „nie odpowiada w zupełności okolicznościom chwili, przy których głównym warunkiem winna być koncentracja wojsk w takim stopniu, żeby wszędzie i zawsze mogły one stawić nietylko opór w razie napaści zbrojnych włóczęgowskich band, ale także otaczać je, brać do niewoli i wytępić“ — polecał więc, ażeby wojsko ześrodkowało się w punktach, które dany naczelnik uważa za najodpowiedniejsze, i żeby w tych punktach koniecznie znajdowały się najmniej dwa bataliony piechoty z odpowiednią liczbą jazdy i kozaków, oraz artylerji.

Przypuściwszy nawet, że rozkaz ten wywołany był pierwszemi wiadomościami o napadach na odosobnione drobne garnizony rosyjskie, i że nie wiedząc jeszcze o rezultacie tych napadów, chwycono się prostego środka ostrożności wojskowej i nakazano skupienie się w silniejsze oddziały dla stawienia skutecznego oporu powstańcom, to jednak powtórzenie tego rozkazu w d. 24 stycznia, kiedy już wiadzano, że w przeważnej części wypadków, wojska rosyjskie odparły ataki powstańcze, niczem wytłumaczyć i usprawiedliwić się nie da, jak tylko złą wolą sfer wojskowych rosyjskich, pragnieniem, by powstanie trwało dłużej jak dwa tygodnie i by przy jego pomocy wyrzucić w Polskę wszystko do góry nogami. Jeszcze raz więc Ramsay w obawie, ażeby „drobne oddziały wojska nie

<sup>1)</sup> Oddziałów takich było pięć głównych: warszawski (naczelnik jenerał Korff), lubelski (Chruszczow), radomski (Uszakow), plocki (Semeka), augustowski (Raden), i sześć mniejszych: kielecki, kaliski, siedlecki, olkuski i miechowski.

<sup>2)</sup> Rozkaz ten, jak i dwa następne, dotyczące tego przedmiotu, czytać można w całości u *Gesketa-Puzyrewskiego, Wojennyja dziejstwa, 388 i nast.*



były wytępione“, zaznacza z naciskiem, że „pierwszem i głównem staraniem wszystkich naczelników winno być możliwie największe skoncentrowanie wojska“. Nie poprzestano jednak na tych dwóch, tak wyraźnych i tak znaczących rozkazach; powtórzono je po raz trzeci w d. 27 stycznia z większym jeszcze naciskiem. „W obecnej chwili, pisał Ramsay, głównym i jedynym celem winno być stanowcze zaczepne działanie przeciw buntownikom i ich zniesienie. Osiągnąć ten cel można tylko za pośrednictwem oddziałów ruchomych i samoistnych. Gdyby dla tego trzeba było opuścić zupełnie na jakiś czas tę lub inną miejscowość okręgu kwaterunkowego danego pułku, a nawet cały powiat, nie powinno to powstrzymywać od środków, potrzebnych dla osiągnięcia celu głównego“. Twierdził dalej, że utworzenie dwóch lub trzech oddziałów przyniesie więcej korzyści, niż rozrzucona akcja drobnych; polecał przeto, ażeby w razie, gdy powstańcy osadzą się w jakim miasteczku, nie oszczędzać wcale tego ostatniego, tylko starać się przy pomocy ognia armatniego lub bagnetu, powstańców stamtąd wyrzucić.

Zgodnie z temi nagłaciami i wyraźnemi rozporządzeniami, już w parę dni po wybuchu powstania, rozpoczęła się koncentracja wojsk rosyjskich i opuszczanie przez nie tych licznych miast i miasteczek, w które tak obfitowało ówczesne Królestwo Polskie. Mniej więcej do d. 1 lutego koncentracja ta była ukończona. Tym sposobem nieprzyjaciół pozostawił w rękach powstańców znaczne przestrzenie kraju. W gubernii radomskiej na trzydzieści miasteczek, w których przed wybuchem kwaterowało wojsko rosyjskie, teraz po koncentracji zajętych było przez nie zaledwie pięć (Radom, Końskie, Kielce, Staszów i Miechów), głównie wzdłuż traktów głównych, przerzynających tę gubernię. W Lubelskiem na trzydzieści jedno miasteczko (nie zaliczamy tu dwóch fortec: Demblina i Zamościa) opuszczono zupełnie aż dwadzieścia trzy, tak że tylko osiem (Mokobody, Siedlce, Garwolin, Radzyń, Kurów, Lublin, Krasnostaw i Janów Ordynacki) pozostało w rękach rosyj-

skich. W gubernii warszawskiej na 45 miejscowości, zajętych przed wybuchem, opuszczono aż trzydzieści dwie, tak że załogi rosyjskie znajdowały się tylko w znaczniejszych miastach (Kalisz, Sieradz, Konin, Łęczyca, Kutno, Włocławek, Piotrków, Radomsk, Częstochowa, Łowicz, Skierniewice, Wieluń i Warszawa). W Płockiem na 21 miejscowości (oprócz fortecy Modlina) po skoncentrowaniu zajęło wojsko rosyjskie tylko dziewięć (Płock, Lipno, Mławę, Płońsk, Przasnysz, Pułtusk, Nasielsk, Ostrołękę, Serock). W gubernii augustowskiej na 13 miejscowości, zajmowanych przed wybuchem, zatrzymano w swym ręku zaledwie trzy (Suwałki, Augustów i Łomża); dopiero w połowie lutego zajęto jeszcze Sejny i Szczuczyn. W ogólności w pierwszych dniach lutego na całe Królestwo zaledwie trzydzieści dziewięć stanowisk było w rękach rosyjskich, a z twierdzami czterdzieści dwa. Straż pograniczną ściągnięto z nad kordonu zupełnie i cofnięto ją na drugą, a nawet trzecią t. z. linię celną, i tym sposobem granicę zupełnie odsłonięto<sup>1)</sup>. Powstańcy więc właściwie byli panami kraju. Rozkaz koncentracji był wykonany szybko, co dowodzi, jaki popłoch padł na dowódców rosyjskich, którzy, jeżeli wierzyć niektórym doniesieniom<sup>2)</sup>, spełnili go z wielkiem zadowoleniem; ale byli i tacy, którzy ociągali się z wykonaniem rozkazu, pisali nawet do Warszawy, żeby im pozwolono zostać na miejscu, gdyż sił mają dosyć i nie boją się niczego<sup>3)</sup>. Zdaje się jednak, że takich było bardzo niewiele.

Rozporządzenie o koncentracji, ze stanowiska wojskowego sądzone, najpobłażliwszej nie wytrzymuje krytyki. Dla każdego, kto umiał patrzeć, jasnem było, że główny kontyngens powstańców dostarczają mieszkańcy licznych

<sup>1)</sup> Obraz koncentracji armii rosyjskiej skreśliliśmy, o ile się dało, z dość mętnych podań i map, znajdujących się przy dziele *Gesket-Puzyrewskiego, Wojennyja dziejstwa*.

<sup>2)</sup> N. Berg, *Zapiski II*, 483.

<sup>3)</sup> Loc. cit.

miast i miasteczek, że powstanie w ogóle ma charakter wyłącznie mieszczański. Gdyby więc dowódczom rosyjskim szło istotnie o stłumienie zgubnego dla kraju ruchu, toby starali się wszelkimi siłami utrzymać przynajmniej większość miasteczek w ręku. Tymczasem opuszczają je oni szybko i nietylko miasteczka, ale nawet miasta powiatowe. Na 40 tych ostatnich, w których koncentrowały się władze pewnego rejonu kraju, skąd na ten rejon szedł ton i kierunek, Rosyanie opuścili zupełnie czternaście; w Radomskim stosunek był najbardziej uderzający, bo tam na ośm miast powiatowych porzucono aż pięć. Takie pośpieszne rzucanie stanowisk wojskowych, nieomal na drugi dzień po powstaniu, nawet na najchłodniejszych ludzi musiało wywierać wrażenie i stawało się oczywistym dowodem, że padł popłoch na nieprzyjaciela, że zatem powstanie musi być bardzo silne i bardzo liczne. A przytem władze główne w Warszawie nie dały żadnych ścisłych wskazówek, jak ma być dokonana koncentracja, prócz tej, żeby oddziały liczyły najmniej dwu do trzech batalionów. Dzięki temu w gubernii radomskiej, z 9 batalionów, jakie w niej konystowały, ściągnięto do samego Radomia aż pięć; w Lublinie skoncentrowano 13 kompanii piechoty<sup>1)</sup>. Opuścić nie nakoniec przez straż celną granicy, dawało powstaniu możność ciągnięcia z sąsiednich zaborów posiłków w ludziach, broni, pieniądzech i zapasach wszelkiego rodzaju. Wszystkie te uwagi tak proste i tak naturalne, niepodobna, żeby nie przychodziły na myśl dowódczom warszawskim, i jeżeli pomimo tego, wbrew najprostszemu interesowi kraju postępowali, to dlatego, że chcieli, by płomień powstania rozgorzał szerzej i silniej, by oni mogli samowładnie rządzić Polską, niszczyć ją doszczętnie i nakoniec obalić znienawidzonego W. księcia i Wielopolskiego. Że tak było dowodzi jeszcze fakt następujący, fakt, w którym pewną, acz pośrednią rolę, odegrało stronnictwo szlacheckie, zwane przez rewolucjonistów stronnictwem Białych.

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 367.

Jeżeli na kogo wybuch powstania zbrojnego wywarł wrażenie piorunujące, to na stronnictwo rzeczzone, które niedawno, na grudniowym zjeździe deputowanych z całej dawnej Polski, otrzymało najsolenniejsze zapewnienie, że powstania nie będzie i nikt o nim teraz nie myśli. Wprawdzie Dyrekcyja, rezydująca w Warszawie, wiedziała bardzo prędko, co się święci i, jak wiemy, słała posłów do ludzi wybitniejszych w zaborze austriackim, by przez odmowę poparcia ruchu, ruch ten ubezwładnili, ale na większość szlachty, zakopanej po swych dworach wiejskich, wieść o powstaniu spadła jak grom z chmurnego wprawdzie, ale nie zapowiadającego blizkiej burzy, nieba. Gdy na parę dni przed wybuchem proboszczowie, wójci i oficjaliści wiejscy, zwłaszcza w okolicach bliższych Warszawy, otrzymali zawiadomienie piśmienne o terminie powstania, szlachta, dowiedziawszy się o tem, pośpieszyła do stolicy z doniesieniem o tem co się dzieje, do Dyrekcyi. Ta zapytywała Komitet centralny, co to znaczy, a ten najuroczyściej wypierał się wszystkiego i twierdził ze zdumiewającą, zaiste, odwagą, że to jakaś pomyłka. Nawet w nocy z d. 22 na 23 stycznia, Bobrowski na zapytanie Dyrekcyi, przeczył tego rodzaju wiadomościom i zapewniał, że nikt o powstaniu nie myśli<sup>1)</sup>.

Bądź co bądź, wbrew tym zaprzeczeniom, powstanie stało się faktem i szlachta przerażona grozą i doniosłością wypadków, poczęła się licznie zjeżdżać do Warszawy w celu naradzenia się, co trzeba robić i jak sobie postąpić wobec strasznego nieszczęścia, zawieszonego nad krajem. Przybyło, jeżeli niektóre doniesienia są dokładne, około trzech tysięcy obywateli<sup>2)</sup>, między którymi było wielu

<sup>1)</sup> Relacye piśmienne. Pewien ziemianin z Rawskiego nocy tej przyjechał do Warszawy do Dyrekcyi i doniósł, że u niego we dworze służba gotuje się do wyruszenia do powstania. Odszukany w nocy Bobrowski zaprzeczył tej wieści.

<sup>2)</sup> *Stanisław Z. Porozbiorowe aspiracye polityczne narodu polskiego* (edycya 2-ga) p. 323.



z Księstwa Poznańskiego <sup>1)</sup>, z Litwy i Rusi. Podczas kiedy ta ogromna liczba szlachty zbierała się grupami w hotelu Europejskim i tam mowy wypowiadała, niekiedy po francusku <sup>2)</sup>, odbywano także narady w ściślejszem kole mężów, niegdyś otaczających p. Andrzeja Zamoyskiego, w których to naradach brało stale udział trzech członków Dyrekcyi Białej <sup>3)</sup>. Zgromadzano się zwykle wieczorami i jednomyślnie potępiano powstanie, które nazywano szaleństwem, nie mającem żadnej przyszłości przed sobą, i żywiono to przekonanie, że ruch zbrojny nie przetrwa nawet dwóch tygodni. Gdy jednak powstanie trwało dalej, gdy spostrzeżono, że wojsko opuściło większą część kraju i oddało ją w ręce powstańców, przerażono się naprawdę. Początkowo bowiem powzięto taki plan, aby po uśmierzeniu powstania wystąpić z jakimś krokiem poważniejszym do W. księcia, z adresem, potępiającym ruch zbrojny i obietnicą poparcia rządu. Uważano jednak, że taki krok możliwym będzie dopiero po stłumieniu powstania. Gdy się jednak na to nie zanosilo, na razie nie wiedziano, co czynić i jak się zachować w tej okropnej, rzec można, sytuacji. W takim położeniu rzeczy, zdarzyło się, że Węgleński i Aleksander Kurtz przy jakiejś rozmowie z Enochem o ówczesnych wypadkach, zwrócili mu uwagę na to, że działania wojskowe rosyjskie przeciw powstańcom, tak jak są prowadzone, stawiają wszystkich, nienależących do spisku, w położeniu bardzo trudnem, że zwłaszcza obywatele ziemscy są najbardziej zagrożonymi. Enoch skorzystał z pierwszej, jaka się przytrafiła, sposobności i treść owej rozmowy powtórzył W. ks. Konstantemu. Ten, szukając ratunku wszędzie, sam może najgłębiej przerażony rozwijającymi się wypadkami, uznał słuszość tych uwag i niezwłocznie zwołał radę wojenną, na której oprócz generała Ramsaya i kilku dygnitarzy wojskowych, znajdował się

<sup>1)</sup> T. Żychliński, Wspomnienia 13.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

<sup>3)</sup> Materiały rękopiśmienne.

także sekretarz namiestnika, Nabokow, margrabia Wielopolski i Enoch. W. książę, oświadczywszy się przeciw dokonywającej się właśnie koncentracji wojska, oznajmił, że radę zwołał dlatego, by rozpatrzyć czy energiczniejsze i śpieszniejsze prowadzenie wojny, powrót do dawnych stanowisk nie byłby lepszym i odpowiedniejszym. Za zdaniem tem oświadczył się Nabokow i Wielopolski <sup>1)</sup>, ale Ramsay poparty przez generałów, najenergiczniej się temu sprzeciwił. Twierdził, że nie zacznie działać skuteczniej, dopóki nie sformuje silnych kolumn piechoty z konnicą i artylerią, któreby wedle obmyślanego planu strategicznego zdołały z łatwością i bez większych strat każdy oddział powstańców otoczyć i zgnieść zupełnie. Gdy mu zwrócono uwagę, że taka temporyzacja, pozwalając powstańcom wzrastać liczebnie, spowoduje wielki rozlew ich krwi polskiej, odrzekł już z pewnem rozdrażnieniem, że go to nie obchodzi, że nawet lepiej będzie, gdy więcej buntowników zginie lub dostanie się do niewoli <sup>2)</sup>. Słowa te najwyraźniej świadczyły o tem, jak szkaradne zamiary żywiła jeneralicja rosyjska; że postanowiła ona użyć nierozsądnego powstania polskiego za narzędzie do wywrócenia autonomii kraju i wprowadzenia rządów militaryjnych. Tak więc nasi krótkowidzący Czerwieńcy własnymi rękami wydobywali z ognia gorące kasztany, by nimi napelnić wiecznie głodne brzuchy i kieszenie generałów rosyjskich. Przykładu takiego zaślepienia, trudno zaiste odszukać w historii!

Wobec tego, gdy wszelka akcja stronnictwa Białych w kierunku porozumienia się z rządem, wydawała się temuż stronnictwu, w tej chwili przynajmniej, niemożliwą, sądziło ono, że najlepiej będzie czekać na rozwój wypadków. Nagłe cofnięcie się wojska, szybka jego koncentracja, walki staczane z powstańcami bez żadnego rezultatu, wszystko to miało pewien wpływ na głowy rozpalone go-

<sup>1)</sup> H. Lisicki, Le marquis Wielopolski II, 356 w przypisku.

<sup>2)</sup> Relacye piśmienne.

rączką chwili i zatracające jasność widzenia wypadków w ich świetle istotnem. Powszechnie poczęto mówić, że powstanie nie jest tak słabem jak się to wydawało z początku, a kto wie co może przynieść dzień jutrzejszy? Na walnych więc sejmikach deputowanych wszystkiej szlachty, która się zjechała do Warszawy, uchwalono zająć wobec toczącej się walki postawę bierną i wyczekującą; nie dawać powstańcom pieniędzy i środków na dalsze prowadzenie wojny, ale, jeżeli do kogo na wieś przyjdzie oddział polski, to dać mu żywności w miarę swej możliwości. Podniesiono także z naciskiem wnioski, aby dla dobra kraju, każdy wśród swego otoczenia, starał się wywierać, o ile się tylko da, wpływ uspakajający, aby odwodził swych oficyalistów, służbę i ludność miejscową od brania udziału w powstaniu. W końcu uradzono, aby po stłumieniu burzy krwawej wystąpić z adresem do W. księcia <sup>1)</sup>. W tym też sensie odpowiedziano posłowi szlachty krakowskiej, grupującej się około redakcyi „Czasu“, p. Włodzimierzowi Cieleckiemu, którego umyślnie wysłano do Warszawy dla zasięgnięcia wiadomości od stronnictwa Białych, co ono myśli o powstaniu i co zamierza robić. Odpowiedziano posłowi: „nie łączyć się z powstaniem, ale uznać je za narodowe!“ <sup>2)</sup>.

Ta odpowiedź nielogiczna i uchwały powyżej przytoczone, świadczą, jak dalece zamroczone były umysły burzą, szalejącą w Polsce. Śmiesznem było zlecenie dawania żywności powstańcom, którą oni, gdyby im nie dano, sami sobie zabierali; nierozumną uchwała bierności i nadzieja, że po uspokojeniu kraju będzie można wystąpić z adresem. Tak też na te rzeczy patrzył Konstanty, który oczywiście wiedział jak najdokładniej o wszystkim, co mówiono na sejmikach szlacheckich i być może, opierał na nich jakieś nadzieje. Śmiał się więc z owej uchwały o żywności, ale okazywał gniew tłumiony z biernej postawy

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> S. Koźmian, Rzecz I, 19.

szlacheckiej wobec strasznej gry o przyszłość ojczyzny. Tak głęboko to odczuł, tak silny może zadało to cios jego tajnym pragnieniom i marzeniom, że przez kilka dni przy każdej sposobności powracał do tego przedmiotu i głośno mówił, że szlachta polska gubi kraj i siebie, gdyż po stłumieniu powstania już nie będzie dopuszczoną do głosu <sup>1)</sup>.

Niemniej przeto liczył on jeszcze na rychłe rozbitcie ruchawki, zwłaszcza że obok szlachty, która nie zdobyła się wprowadzić na krok stanowczy, ale bądź co bądź wyraźną niechęć okazywała powstaniu, zmanifestowała się w tymże kierunku, tylko bardziej stanowczo, młodzież świeżo założonej Szkoły Głównej. Już na drugi dzień po wybuchu, Wielopolski w słusznej obawie, by ta ulubiona, i że tak powiemy, wypieszczona przezeń instytucya nie rozpadła się przez to, że wszyscy studenci mogli pociągnąć do „lasu“, jak poczęto już mówić, ogłosił, „iż na teraz wydawanie urlopów na wyjazd z Warszawy wstrzymuje się“; ci zaś, którzyby szkołę samowolnie opuścili, ulegną wykreśleniu z listy studentów i „pod opieką władzy szkolnej pozostawać nie będą“. Rozporządzenie to jednak było zgola niepotrzebne, albowiem słuchacze pod wpływem dwóch swoich profesorów: Plebańskiego i Struvego, którzy nie przestawali na nich wpływać, aby nie brali udziału w powstaniu <sup>2)</sup>, zgromadzili się dla ostatecznej decyzji wieczorem d. 23 stycznia, a więc nazajutrz po wybuchu, w liczbie podobno 700 <sup>3)</sup> w prosektoryum anatomicznem przy ulicy Zgoda. Narady były gorące, trwały dość długo, a najzapaleńszym zwolennikiem wzięcia udziału w powstaniu, był medyk Sokulski. Przy głosowaniu jednak, które się odbywało w ten sposób, że ci, którzy byli za ruchem zbrojnym, mieli nakryć głowy <sup>4)</sup>, okazała się

<sup>1)</sup> Relacye piśmienne.

<sup>2)</sup> Struve nawet z tego powodu otrzymał nieco później od organizacyi powstańczej ostrzeżenie bardzo groźne

<sup>3)</sup> A. Giller, Historya II, 209.

<sup>4)</sup> Pierwszy nakrył głowę czapką baranią, niejaki Artakserkses



ogromna mniejszość tych ostatnich. Zapadła więc uchwała, aby w powstaniu nie brać udziału i na prelekcyę dalej uczęszczać; prócz tego wybrano trzech deputowanych dla zawiadomienia Komitetu centralnego za pośrednictwem Aweydy o wszystkim. Studenci ofiarowali się rozjechać po kraju do oddziałów, w celu namówienia ich do rozejścia się<sup>1)</sup>. Co na to odrzekł Aweyde, nie wiemy.

Uchwała studentów Szkoły Głównej doszła zaraz na drugi dzień do wiadomości ogółu, dzięki temu, że Miniszewski w sposób dość niezręczny pomieścił o tem notatkę przy kronice teatralnej w „Dzienniku powszechnym“<sup>2)</sup>. Pisał on mianowicie, że już po oddaniu do druku niniejszego artykułu, dowiedział się, że zamach rewolucjonistów, aby młodzież opuściła Szkołę Główną, został zwycięsko przez tę młodzież odparty. „Czystość serca i umysłu młodzieży, zwołał Miniszewski, odepchnęły obostrzone groźbą propozycyę; młodzież Szkoły Głównej została wierną najświętszym swoim obowiązkom względem ojczyzny. To dobra wróżba dla świeżo założonej nauki świątyni. Bóg sam chce, abyśmy murowali na silnym gruncie i z wybornego materiału, tę przyszłość błogosławioną, którą dotąd szaleńcy bezmyślnie chcieli wygrać, rozprawiając się o nią rzucaniem kości na stawkę, hazardując wszystko a nawet ostatnią nadzieję ratunku“. Artykuł ten, jakkolwiek w ogólnych zarysach słuszny, był niezręczny i nieprawdziwy, bo nikt z Komitetu Centralnego nacisku na młodzież nie robił, tylko ona sama się zebrała, by zdecydować o tem, jak ma postąpić i zachować się wobec strasznych wypadków krajowych; niezręczny dlatego, że rzecz, która mogła i powinna się była ukryć, nabrała rozgłosu. W Warszawie obrzucano studentów obelgami, pisano na nich zgryźliwe

Pągowski z wydziału prawnego, i pociągnął za sobą bardzo liczną grupę. Pągowski poszedł do powstania i zginął wkrótce potem w jednej z utarczek.

<sup>1)</sup> A. Giller, *Historya II*, 209.

<sup>2)</sup> Nr. 19. z r. 1863.

wiersze, a uniwersytet Jagielloński w osobach młodzieży tej, która wkrótce potem bohatercko poledz miała na uliczkach Miechowa, przysłał swym kolegom warszawskim babskie wrzeciono<sup>1)</sup>.

Rząd oczywiście o tem wszystkim wiedział i przy zręcznem, umiejętnem postępowaniu, mógł takie usposobienie szlachty i najlepszej młodzieży kraju na korzyść porządku i spokoju wyzyskać. Niestety! rząd rosyjski w Polsce do tego nigdy nie był zdolnym. Wszystko co W. książę robił, to było, że dawał poznać, iż uważa powstanie za krwawą chwilową manifestacyę przeciw brance, za rzecz zresztą małego znaczenia; tak też przedstawiał położenie w raportach, przesyłanych do Petersburga<sup>2)</sup>. Stamtąd nie przychodziły żadne wskazówki i rozkazy, i cesarz Aleksander widocznie chciał zostawić rządowi warszawskiemu tych, jak sądzono chwilowych i bez głębszej doniosłości, zaburzeń. W tymże duchu zachowywała się prasa rosyjska, która, pozbawiona wszelkich dążeń i ideałów, zawsze tylko kierowała się według prądów, panujących w rządzie. Ponieważ tam uważano powstanie za chwilowy rokosz, więc i ona tę sprawę tak samo traktowała. Nawet osławione później „Moskiewskie Wiadomości“ powtórzyły tylko w dosłownym przekładzie to, co pisał o wybuchu „Dziennik powszechny“, i nie wylewały tego trującego jadu i łez krokodylich nad zabitymi i męczonymi jakoby żołnierzami rosyjskimi, jakiego później potoki całe wytrysły z zepsutej niewolą duszy Katkowa, ich redaktora. Wśród tego wszystkiego, wśród mileżenia, panującego w Rosyi o powstaniu, nagle, prawie niespodziewanie rozległ się głos samego cesarza, głos bardzo charakterystyczny, znamionujący jak sfery rosyjskie zapatrują się na wypadki polskie.

Zwyczajem było tego monarchy, podobnie jak ojciec i dziad lubujących się w bezmyślnych paradach wojsko-

<sup>1)</sup> Aleksander Kraushar, *Siedmioletnie Szkoły Głównej*, 167.

<sup>2)</sup> *Verstorbene Diplomaten* loc. cit. 350.

wych, co niedziela, po nabożeństwie odbywać przegląd któregośkolwiek z pułków gwardyi, konsystujących w Petersburgu. Otóż w niedzielę, d. 25 stycznia, a więc w dwa dni po strasznych scenach, których widownią była Polska, cesarz, odbywszy w t. z. ujeżdżalni Michałowskiej przegląd pułku Izmailowskiego gwardyi, zwołał do siebie wszystkich oficerów i swiętą jeneralską, obecną na paradzie, wśród której znajdowali się dwaj bracia cesarscy Mikołaj i Michał, i utworzywszy z nich koło, miał krótką, ale bardzo znaczącą mowę. Siedząc na koniu, wymawiając z francuska literę r, głosem dźwięcznym, męskim, ale pełnym smutku, uwiadomił ich o wypadkach w Polsce, o których wczoraj właśnie otrzymał dokładne wiadomości, i zaznaczył, że pragnie, aby wojsko z jego ust się o tem dowiedziało<sup>1)</sup>. Opowiedziawszy, że pobór pomyślnie ukończył się w Warszawie, przeszedł zaraz do historii tworzenia się oddziałów, a jak je nazwał „band powstańczych“, po obu brzegach Wisły, o „niesłychanych okrucieństwach“, jakich dopuścili się powstańcy w czasie nocnego napadu na załogi rosyjskie; o podpaleniu kwater w Stoku Lackim, gdzie żołnierze żywcem zostali spaleni<sup>2)</sup>; o zabiciu pułkownika Kozlaninowa, „naszego dawnego towarzysza z pułku Izmailowskiego“, o ranach jenerała Kannabicha, o zabitych, których obliczył na 30, a ranionych na stu. Mowę swą zakończył słowami, że „nawet po tych okrucieństwach nie chce oskarżać całego narodu polskiego“, że w „tych smutnych wypadkach widzi dzieło stronnictwa rewolucyjnego, usiłującego wywołać w różnych krajach Europy zaburzenia, nie cofającego się nawet przed zbrodnią dla osiągnię-

<sup>1)</sup> Mowę tę, oczywiście w redakcyi urzędowej, pomieścił najajutrz oficjalny „Journal de St. Petersburg“. W naszym opowiadaniu opieramy się na tej redakcyi, oraz na sprawozdaniu przesłanem przez ambasadora angielskiego lorda Napiera do hr. Russel (patrz „La Pologne et la diplomatie“ p. 14).

<sup>2)</sup> Ta wiadomość o żywcem spalonych, w redakcyi urzędowej została opuszczona, prawdopodobnie dlatego, żeby nie wywołać rozdrażnienia.

cia swych celów“. Wreszcie, zwracając się do oficerów, wypowiedział zdanie ze wszech miar godne uwagi, że stronnictwo rewolucyjne znalazło zdrajców nawet w szeregach rosyjskich, ale fakt ten, któremu, na nieszczęście, zaprzeczyć nie można, nie zachwieje cesarskiej wiary w poświęcenie się swym obowiązkom, cechującym „wierną i sławną armię moją“; że, jeżeli wezwaną będzie do niesienia pomocy swym towarzyszom w Polsce, to „spełni swój obowiązek, jak tego wymaga honor sztandaru“<sup>1)</sup>; że on, Cesarz, zaczął swą służbę w szeregach pułku Izmailowskiego, że później „miał zaszczyt“ dowodzić nim przez kilka lat, i dlatego znane mu są ich uczucia poświęcenia, że może na nich liczyć, że zresztą nietylko pułki gwardyi, ale cała armia rosyjska posiada jego zupełne zaufanie. Wyrazy te przyjęte były przez obecnych jednogłośnie „hura!“ a wypowiedziane były tonem tak pełnym uczucia, że wielu oficerów płakało, a W. ks. Michał Ikać miał głośno<sup>2)</sup>.

Współcześnie, bo tegoż samego dnia, z tą mową łagodną i surową zarazem, oskarżającą powstańców o „niesłychane okrucieństwa“, za które winą nie pada na cały naród polski, widzącą w powstaniu dzieło stronnictwa rewolucyjnego europejskiego, ogłoszono rozkaz cesarski, polecający powstańców, schwytych z bronią w ręku, oddawać pod sąd polowy, i nadający prawo naczelnikom wojennym w Warszawie, Lublinie, Radomiu, Kaliszu i Płocku zatwierdzania i wykonywania takich wyroków. W dwa dni

<sup>1)</sup> I ten ustęp w redakcyi urzędowej został zmieniony o tyle, że wyrzucono frazes o niesieniu pomocy współtowarzyszom w Polsce, a zastąpiono go ogólnikiem o spełnieniu przez wojsko swego obowiązku.

<sup>2)</sup> „La Pologne et la diplomatie“, 15. W. ks. Konstanty przez rozkaz dzienny z d. 1 lutego 1863 r., uwiadomił wojsko o słowach cesarza; i od siebie dodał, że „miłościwe słowa i zupełna ufność Jego C. Mości do wiernych i sławnych wojsk swoich, głęboko odbijają się w ich sercach i dadzą im nowych sił do ukończenia z honorem tak chwalebnie rozpoczętą walkę za oswobodzenie kraju od występnych zamiarów band buntowniczych“ (Iawliszczew, Siedmicy II, 17).



potem, d. 27 stycznia przez rozkaz do Senatu rządzącego polecano zaprowadzić niezwłocznie stan wojenny w t. z. guberniach zachodnich, graniczących z Królestwem polskiem, a „w razie gdyby tam ukazały się bandy powstańcze“, sądzić sądem polowym tych, którzy będą wzięci z bronią w rękę. Jakkolwiek przepisy te usprawiedliwione były stanem wzburzenia, jakie panowało w Królestwie, a na Litwie poczęło się już objawiać, wszelako były one oznaką, że stronnictwo wojskowe powoli bierze górę. Przytem w sferach rządowych, lub bliskich rządu, dotąd przyjaznych Polsce, z chwilą wybuchu poczęło się objawiać pewne oziębienie, pewna niechęć do Polaków. Przedewszystkiem opinia tych sfer zwróciła się przeciw Wielopolskiemu, uważając go za przyczynę wszystkiego złego; że zresztą z Polakami trudno będzie sobie dać radę drogą ustępstw i łaski. Poza temi kołami ogół rosyjski w tej chwili mało się zajmował Polską, później dopiero z inicjatywy rządu, który uznał za potrzebne rozdmuchanie nienawiści rasowej do wszystkiego co polskie, położenie to znacznej uległo zmianie.

Podczas kiedy w Rosyi tak stała sprawa powstania, w dzielnicach polskich pod panowaniem austriackim i pruskim, wieść o wybuchu w nocy z d. 22 na 23 stycznia, wstrząsnęła, jak tego spodziewać się należało, wszystkimi do głębi. Już poprzednio wielkie wrażenie wywarła branka w Królestwie, i t. z. Rada naczelna galicyjska, kierująca organizacją, a utworzona w Krakowie w jesieni roku przeszłego z czterech osób (Alfred Szczepański, Demidowicz, Ludwik Kubala i Mąlikowski<sup>1)</sup>), wydała w d. 15 stycznia króciutką odezwę do mającego się zebrać we Lwowie sejmu galicyjskiego, „aby wobec Boga i praw ludzkości podniósł przed całym światem głos w obronie bratniej ludności pod zaborem rosyjskim, zagrożonej niesłychanem w chrześcijańskich czasach wyprowadzeniem tysięcy w od-

<sup>1)</sup> „Wydawnictwo materyałów do historyi powstania“ III, IX.

ległą na całe życie niewolę i wytępienie“<sup>1)</sup>. Nikt jednak tutaj, nie przypuszczał możliwości powstania; w styczniu jeszcze, przed samym wybuchem, Rada otrzymała od Komitetu centralnego z Warszawy zapewnienie, że o powstaniu tam nie myślą, żeby stać przy tem przekonaniu, że zatem niema potrzeby organizacyi w Galicyi przyspieszać i forsować<sup>2)</sup>. To też wieść o strasznej nocy z d. 22 na 23 stycznia padła jak piorun z jasnego nieba i Rada galicyjska na razie nie wiedziała, co robić, a podwładna jej Ława krakowska rozwiązała się bez żadnego jawnego aktu politycznego<sup>3)</sup>. Musiano więc uorganizować nową Ławę i zajęto się przedewszystkiem niesieniem pomocy powstaniu, zakupnem broni i prochu, za co, dzięki nieznajomości rzeczy, płacono nieraz bajeczne sumy (za centnar prochu 400 guldenów). „Czas“ krakowski, który teraz doszedł do apogeum swego wpływu i znaczenia, i którego redakcyja, jak już wiemy, kierowała się wyłącznie opiniami swego wydawcy, bankiera Kirchmayera, a który ze względu na swą kieszeń a może także wskutek natchnień rządu austriackiego, był bardzo czerwonym i drukował ogniste i zawsze kłamliwe listy z Warszawy Agatona Gillera pod znakiem kółka, wobec powstania zajął stanowisko nie potępienia, ale niewiary w możliwość czegoś podobnego. Twierdził więc uparcie, że to nie jest powstanie, ale wybuch rozpaczy tych, których miano wziąć do wojska; jest to opór przeciw brance, „obroną wolności przed bezprawiem“; oskarżał rząd rosyjski, że przy pomocy gwałtu chce wywołać przedwczesne powstanie, żeby zgnieść ruch patryotyczny i „ciszę śmierci“ zaprowadzić w kraju; że przed Bogiem, historią i narodem ciężko odpowiedzą ludzie, którzy pragną tej „ciszy śmierci“, że wprawdzie dotąd niema żadnych wiadomości o starciach i bojach, ale gdyby na-

<sup>1)</sup> Odezwę tę w całości czytać można w „Wydawnictwie materyałów“, III, 2.

<sup>2)</sup> A. Szczepański, Po burzy, p. 2.

<sup>3)</sup> „Wydawnictwo materyałów“ III, XI.

deszły, to redakcyja nie zdziwi się wcale, iż spisowi drogo sprzedają swe życie. Z tem wszystkim „Czas“ miał się niebawem przekonać, że było to formalne acz poronione w zaczątku swoim powstanie, o czem zresztą w Galicyi nikt nie wątpił. We Lwowie obok organizacyi, zwanej Ławą i czerwono usposobionej, sformowanej przez Jana Dobrzańskiego, redaktora „Gazety narodowej“, szlachecka mniejszość z Franciszkiem Smolką i Aleksandrem Dzieduszyckim na czele, domagała się stanowczego potępienia powstania. Oczywiście, jak zwykle w takich razach bywa, każde stronnictwo poszło swoją drogą. Ława narodowa lwowska w odezwie z d. 2 lutego donosząc o swem zawiązaniu się, wezwiała do składek „dla poparcia ochotników“, ale wstrzymywała ich wymarsz na pole walki, aż do dalszego rozkazu <sup>1)</sup>. Z drugiej strony partya szlachecka nie zgodziła się na projekt Smolki i Dzieduszyckiego i pod wpływem ks. Adama Sapiehy, wydała w d. 4 lutego odezwę, wzywającą wszystkich, „choćby najgoręcej sprawie ojczyzny służyć pragnących“, ażeby na teraz przyjęli za hasło: „czekać“. Twierdziła, że ruch obecny nie jest jeszcze powstaniem, że trzeba Kongresówce zostawić czas do zorganizowania jej sił, że Galicya nie jest przygotowaną, nie ma broni i pieniędzy, że okoliczności zewnętrzne nie sprzyjają powstaniu. „Czekanie to wszakże, niema być trupie, martwe, nieczynne, nie owe wyczekiwanie schlebiające niedoleżnej gnuśności lub brudnemu egoizmowi, ale wyczekiwanie czynne, skupiające siły i zapal, organizujące i spsobiające się w środki i zasoby“. Utrzymywano dalej, że Galicya tylko wtedy może do ruchu przystąpić, jeżeli ruch ten, „dzisiaj nie wiele jeszcze znaczący“, stanie się ogólnym, t. j. że wszystkie klasy narodu wezmą w nim udział, jeżeli wreszcie okoliczności zewnętrzne ulegną zmianie, a głównie jeżeli w Rosyi przyjdzie do ważniejszych zaburzeń, jeżeli na wiosnę wybuchnie wojna na Wschodzie i t. p.

<sup>1)</sup> Odezwa ta znajduje się w całości w „Wydawnictwie materialistów“, III, 2.

Kończono temi słowy: „...nie wzywamy do potępienia ruchu, nie żądamy, aby przeciw ruchowi występować i paraliżować go, powiadamy tylko, że jest obowiązkiem partyotów, zanim warunki wyżej przytoczone nie ziszcza się, czekać, a równocześnie rozpocząć niezwłocznie i z całą energią przygotowania, które w razie potrzeby łączenia się z ruchem w Kongresówce, umożliwią nam silne i skuteczne poparcie tego ruchu“ <sup>1)</sup>.

Tym więc sposobem Biali galicyjscy zajęli wobec zbrojnego ruchu to samo stanowisko, co ich bracia w Warszawie; nie zdobyli się na potępienie powstania, a jeżeli kazali czekać, to tylko dlatego, że sądzili, iż ono lada chwila upadnie. Gdy jednak nie upadało, owszem wzrastało ciągle, wszyscy z natury rzeczy, ponieważ nikt nie wierzył w możliwość zwycięstwa, zwrócili oczy na Francję, na cesarza Napoleona, starając się wybadać z jego postawy, czy można liczyć na jakąkolwiek z jej strony pomoc. Pod tym względem bardzo prędko miano się pozbyć wszelkich złudzeń. Napoleon III, człowiek niezaprzeczenie wyższej inteligencji i jak najlepszych dla nas chęci, znalazł się wskutek powstania polskiego w najprzykrzejszym, rzecz można, położeniu. Mozolnie nawiązywane od kongresu paryskiego dobre i przyjazne stosunki z Rosyą, mogły się teraz nie tylko zachwiać, ale nawet zupełnie rozerwać wskutek powstania nad Wisłą. Niepodobna bowiem było temu zaprzeczać, że opinia całego narodu francuskiego oświadczy się za walczącymi o niepodległość ojczyzny Polakami, a z opinią tą, taki tron jak Bonapartych liczyć się zawsze musiał. Tem więcej liczyć się był winien, że oparł ten tron i moc swego głosu w Europie na nowej zasadzie, na zasadzie narodowości, a któryż kraj miał więcej praw do niepodległości, jak Polska? A przytem osobiście, ciągnęło Napoleona serce ku tej Polsce nieszczęśliwej, za którą już przed trzydziestu laty chciał walczyć, i którą kiedyś razem z Włochami przyrzekł oswobodzić od jarzma obcego na-

<sup>1)</sup> Odezwę powyższą podał w całości Koźmian, Rzecz I. 13.



jazdu. Wszystkie te względy wytworzyły dla cesarza Francuzów jedno z najdziwniejszych i najtrudniejszych położeń, z którego mógł zwycięsko wyjść tylko charakter o wiele silniejszy, pozytywniejszy, bardziej zdecydowany, niż tego wielkiego marzyciela, miotanego różnymi prądami to serca, to rozumu i niezdolnego do poddania się zupełnego żądaniu z nich.

Zrazu wieść o powstaniu wywołała na dworze Tujlejskim zdziwienie, i nie przerażono się nią wcale. Cesarz, a za nim większa część dzienników, uważała je za krok „rozpaczy nierozważnej“, wywołanej branką, za chwilową zawieruchę, która wkrótce się uspokoi i nie przywiązywano do niej zbyt wielkiego znaczenia. Później, gdy nadeszły wieści o proklamacyach Komitetu centralnego, o jego dekrecie uwłaszczenia, Napoleon zachowując stale na zewnątrz postawę bierną, poufnie okazywał niezadowolenie i obawę, że jest to ruch rewolucyjny nie narodowy<sup>1)</sup>. W tym też duchu przemawiały półurzędowe dzienniki francuskie: „*Constitutionnel*“ i „*La France*“, które potępiały powstanie i zapowiadały blizki jego koniec. Wreszcie w d. 30 stycznia, urzędowy „*Monitor*“ wydrukował korespondencję z Warszawy, przypisywaną konsulowi francuskiemu, p. Valbezan, korespondencję bardzo przykrą dla nas, ale oświecającą doskonale stanowisko rządu francuskiego wobec powstania. List Valbezana nie potępiał branki warszawskiej, nie pochwalał powstania, owszem uważał je za gruby błąd i dowód nierozumu, oskarżał wreszcie kobiety polskie, że swym przeważnym wpływem na mężczyznę wywołały lekkomyślny ruch zbrojny. Pan Valbezan, wspominając o mowie cesarza Aleksandra do pułku Izmailowskiego gwardyi w ujeżdżalni Michałowskiej, wyprowadzał wniosek, że monarcha ten postąpi z ofiarami polskimi „z umiarkowaniem politycznym“; w końcu twierdził, nie bez słuszności niestety! że „garstka nieszczęśliwej młodzieży nie zdoła się oprzeć stutysięcznej armii, dowodzonej przez do-

<sup>1)</sup> *St. Koźmian, Rzecz, III, 7.*

świadczonych oficerów“<sup>1)</sup>. Z listu tego widocznem było, że wprowadzie rząd francuski publicznie nie chce potępić powstania, że może je w głębi duszy usprawiedliwia, ale popierać go nie myśli i uważa za krok w najwyższym stopniu nierozumny i lekkomyślny. W Warszawie p. Valbezan głośno, gdzie mógł, i poufnie ganił w sposób jak najbardziej stanowczy, polskie porwanie się do broni<sup>2)</sup>.

Gdy tak na zewnątrz dla powstania nie zarysowywały się żadne nadzieje pomocy i poparcia, gdy nikt, nawet Czerwienicy galicyjscy, nie wierzyli w dłuższą trwałość zbrojnego ruchu, ruch ten dzięki raz nabytemu pędowi i wysoko nastrojonemu patryotyzmowi, rozwijał się coraz dalej i coraz groźniej, na zdumienie wszystkich. Właśnie w tej porze powszechnie oczy zwrócone były na województwo płockie, i na los „dzieci warszawskich“, które, jak wiemy, Padlewski przeprowadził za Wisłę. W kołach rewolucyjnych warszawskich, tym większą do rozwijającego się dramatu w Płocku przywiązywano wagę, że Padlewski był w organizacyi stołecznej najwybitniejszą postacią, jedyną osobistością z wykształceniem wojskowem, i że nie kto inny, tylko on ostatecznie zdecydował powstanie. A przytem, ileż to było w Warszawie rodzin, ile żon, matek, sióstr i kochanek, które miały w tych tłumach, przemykających się po kruchym lodzie Wisły, swych synów, mężów, braci i ulubieńców! Padlewski został teraz naczelnikiem sił zbrojnych województwa płockiego, po Bończy, który po niefortunnym napadzie na Płock, oskarżony, jak to zwykle u nas bywa, o zdradę i zagrożony nawet śmiercią<sup>3)</sup>, wyniósł się całkowicie z województwa za Wisłę<sup>4)</sup>.

<sup>1)</sup> Loc. cit. I, 10.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

<sup>3)</sup> Materiały rękopiśmienne.

<sup>4)</sup> Myli się A. Giller, *Historja I, 36.* twierdząc, że Bończa wyjechał zagranicę. Mamy przed sobą własnoręczny jego kwit z lutego 1863 r. (kopia z archiwum Komisji Skarbu Królestwa), na zabrane z magazynu solnego w Nowem Mieście nad Pilicą rs. 274, „z obawy (jak powiada Bończa), aby się Moskałom, tym bestyom, w łapy nie

Właśnie z wielkim hałasem i rozgłosem przygotowywała się wyprawa generała Semeki, naczelnika wojennego płockiego, dla ostatecznego, jak mówiono w kołach rządowych, „wytępienia band płockich“, i wszyscy z natężoną uwagą oczekiwali wypadków. Semece dodano do pomocy, a właściwie w charakterze nadzorcy, pułkownika Sierżputowskiego, adjutanta W. księcia, znanego nam już dobrze z odwiezienia do Petersburga w roku zeszłym p. Andrzeja Zamoyskiego. Oddział Semeki, zgromadzony w Płońsku, liczył dwa szwadrony strzelców konnych, setkę kozaków, jedną kompanię saperów i jedną kompanię liniową pułku niższołtowskiego piechoty, ogółem 600 do 700 ludzi. Według zebranych wiadomości, powstańcy mieli obozować w lasach między wsiami Strachowem, Idzikowicami, Nowem miastem i Szychocinem, i siły ich dosięgały 2000 ludzi, co było oczywistą przesadą. Semeka podzielił swój oddział na trzy kolumny, które d. 25 stycznia wyruszyły do rzeczonych lasów, ale tam prócz kilkunastu zbiedzonych i zgłodzonych ludzi, nikogo nie znalazły <sup>1)</sup>. Wielka

dostały“. Nie wyjeżdżał więc zagranicę, a powodem pogłoski było to, że z Płockiego za Wisłę udał się przez Prusy.

<sup>1)</sup> Raport generała Semeki („Dziennik powszechny“ Nr. 21). Opowiada on między innemi, co następuje: „Jeden z oddziałów schwytał w lasach 11 ludzi, a wszystkich ujęto 18-tu. Jednakowe są wszystkich zeznania: w Warszawie namawiali ich nieznajomi im ludzie, aby szli za rogatki ku Błoniowi i Serockowi, upewniając, że tym sposobem uwolnią się od służby wojskowej, do której rząd jakoby miał zamiar brać wszystkich od 16 do 30 lat wieku; że, przyszedłszy do naznaczonego miejsca, znaleźli nowych, nieznanych im przywódców, których nazwisk nie wiedzą, dlatego, że ci panowie mówiąc do siebie, wymieniali tylko początkowe litery nazwisk. Następnie powiedli ich w lasy, oświadczając im, że oni stanowią armię narodową, obiecując im dać dobre ubranie, broń, płacę i żywność; ale wszystko to skończyło się na obietnicy; broni, mianowicie palnej bardzo mało, odzieży i płacy wcale nie dostali, a za całe pożywienie dawano im po pół bochenka chleba i po miarce wódki dziennie; wielu z nich, widząc okropne położenie i smutną przyszłość, chcieli zaraz wracać do domów, ale wtedy naczelnicy i starsi grozili im śmiercią, i ze strachu nieszczęśliwi ci szli dalej“.

więc wyprawa, z takim rozgłosem zapowiadana, skończyła się na niczem; Semeka wrócił do Płocka, a Sierżputowski został w Płońsku. Ten dopiero tutaj otrzymał nieco szczegółowszych wiadomości o losie powstańczych rzesz, które napadały na Płock, i o przygodach „dzieci warszawskich“, dowodzonych przez Padlewskiego.

Pokazało się mianowicie, że partye, które wzięły udział w ataku na Płock, nazajutrz stopniały nadzwyczajnie, i obozowały w liczbie niespełna 200 ludzi w lasach koło Bielska; w tej partyi znajdowały się „dzieci warszawskie“ pod wodzą Turkettiego; drugi oddział powstańczy kręcił się w okolicach Drobina, a trzeci w lasach Radzanowskich koło Gliniojecka; prócz tego niewielki oddziałek znajdował się pod Bodzanowem pod wodzą Przybyszewskiego, który miał polecenie czuwania nad wybrzeżami Wisły i bronienia przez nią przeprawy nieprzyjacielowi <sup>1)</sup>. Na ten oddziałek natknął się w d. 28 stycznia asawuła kozacki Krasnow, maszerujący z Wyszogrodu wzdłuż Wisły, pod wsią Słominem. Zawiazała się żwawa, ale bezskuteczna utarczka, w której z obu stron poniesiono pewne straty.

Wszystkie te oddziały były bardzo słabe, i wogóle nie przechodziły cyfry 300 do 400 ludzi. Uzbrojenie było nędzne, przeważnie z kos złożone. Padlewski, po nieszczęśliwym napadzie na Płock, założył kwaterę główną w okolicach Drobina, we wsi Dobrusku, i zamierzał ściągnąć wszystkie siły powstania płockiego w lasy przasnyskie, pod wieś Modłę <sup>2)</sup>; później jednak, mając sobie przedstawiony plan, ułożony przez Bończę, nowego ataku na Płock, zgodził się na to i odpowiednie wydano rozporządzenia. Według tego planu oddział bielski Turkettiego miał zająć Proboszczowice i Lelice i stąd na miasto uderzyć; oddział stojący w okolicach Drobina, miał atakować od wschodu i w tym celu miał pomaszerować do Ciołkowa i Blachowa. Do przybycia naczelnika nakazano unikać wszelkich starć z nie-

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij, Wojennyja diejstwa, 300.

<sup>2)</sup> Źródła rękopiśmienne.

Dzieje 1863 r. Tom 1.



przyjacielem, w razie zaś ataku tegoż, cofać się w lasy raciązkie. Padlewski planu tego nie zmienił, pisał rozkazy, jeździł, starał się wszelkimi siłami o wzmocnienie słabych oddziałów, przyczem mocno był rozgniewany na szlachtę miejscową, którą oskarżał, że umyślnie rozpędzała zbierających się powstańców<sup>1)</sup>. Z tem wszystkiem oddziały bardzo słabo rosły w liczbę, a broni ciągle brakowało. To tak dalece zniechęciło Padlewskiego, że, widząc niemożność jakiegokolwiek akcji, bardziej stanowczej z bezbronną i niekarną zbieraniną, przekonany, że powtórny napad na Płock, dokąd poczęły się ściągać większe siły rosyjskie, wprost jest niemożliwy, porzucił plan Bończy i wrócił do swego pierwotnego zamiaru zagrzebania się w wielkich puszczech Kurpiowskich za Przasnyszem i tam zorganizowania się lepszego i uzbrojenia karabinami, które, sądził, że będzie można z pobliskich Prus sprowadzić. Na nieszczęście jedyny oddział Bielski, na który można było liczyć, wynoszący przeszło 100 ludzi, uległ w tym czasie zupełnemu rozbiciu. Dowodził nim Wolski, niegdyś oficer turecki, człowiek niemłody i pijak koronny. Ubrany w fez turecki, niewiele zajmował się oddziałem. Partya ta d. 28 stycznia maszerowała ku Glinojekowi, gdy Wolski się dowiedział, że w miejscowości tej znajduje się nieprzyjaciel pod wodzą Sierzputowskiego.

Jakoż w rzeczy samej tak było. Sierzputowski, zostawiony przez Semekę w Płońsku, dowiedział się dość rychło o obozowiskach powstańczych w okolicach Drobina i wyruszył tam na czele dwóch setek kozaków i plutonu piechoty pułku Muromskiego i przybył d. 28 stycznia do Glinojcka, to jest w chwili gdy Wolski tamże maszerował. Spotkanie wypadkowe zdawało się nieuniknionem, ale Wolski dość wcześniej ostrzeżony, skręcił w bok do wsi Krajkowa i śpiesznie posuwał się naprzód. Lecz i Sierzputowski dowiedział się o marszu powstańców, wsadził piechotę swoją na podwoły gwałtem spędzone w Glinojcku i pu-

<sup>1)</sup> List Padlewskiego u *Gesketa-Puzyrewskiego*, dodatki Nr. 6 p. 399.

ścił się ku Krajkowi, gdzie już nie zastał powstańców i dopędził ich dopiero we wsi Uniecku. Rozdzieliwszy kozaków na prawo i lewo, otoczył wieś, a piechota z częścią kozactwa uderzyła od czoła. Powstańcy zamknęli się w dwóch wielkich domach i uparcie bronili się ogniem z nielicznych strzelb, jakie posiadali. Kilkakrotnie z wielką odwagą, z kosynierami na czele wypadali z domów, usiłując się przerznąć, ale witani gęstą palbą karabinową zmuszeni byli cofać się do swego schroniska. Gdy nakoniec sąsiednia stodoła się zapaliła, a z niej ogień przeskoczył na domy, w których dzielna ta garstka nieszczęśliwych strażników tak waleczny stawiała opór, wybiegli na zewnątrz i poddali się. Znalazł się jednak między nimi tak zacięty, a może zrozpaczony człowiek, że gdy Sierzputowski zbliżył się do pokonanych, dał do niego dwa razy ognia; rozjuszeni tem kozacy rzucili się na bezbronnych i mordować ich poczęli, tak że z trudnością zdołali zapobiedz oficerowie i Sierzputowski, by wszystkich nie wykłuto. Wzięto do niewoli około 75 ludzi, między nimi Postrycha i Wolskiego, których w kilka dni później rozstrzelano w Mo-dlinie<sup>1)</sup>.

Nieszczęśliwa, acz bohaterska utarczka w Uniecku do reszty rozbila zawiązki powstania płockiego. Padlewski teraz zupełnie stracił ducha. Ta młoda i wrażliwa dusza, ten umysł poetyczny, marzący przed chwilą, że na głos ginącej ojczyzny podniesie się „chmara Maćków“, jak mawiał Mierosławski i za jednym zamachem starych kos racławickich wymiecie Moskale za dziesiątą górę i dziesiątą rzekę, wobec strasznej rzeczywistości, wobec dwóch klęsk, wobec słabości i bezbronności ruchu, zachwiał się w swych nadziejach i wszystko uważał za stracone. Pod wpływem tego rozpaczliwego zniechęcenia, zreagował odezwę do swych

<sup>1)</sup> Raport Sierzputowskiego („Dziennik powszechny“ Nr. 26). *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 301. W rękopiśmiennym pamiętniku, którego kopię posiadamy, powiedziane jest, że powodem klęski pod Unieckiem była „nietrafność Wolskiego i niesłuchanie rozkazów Zygmunta“ (Padlewskiego).

towarzyszy niedoli, w której polecał im rzucenie wszystkiego i rozejście się do domów: „rzućcie, wołał, słodkie marzenia i szlachetne dążności; uciekajcie, tak, uciekajcie! Dziś może szlachta da wam jeszcze jakie schronienie, ale wkrótce, a nawet prędko nazwie was wrogami i co gorsza, odmówi wam przytułku! Bądźcie zdrowi! Kto z was szczęśliwie dostanie się do Warszawy prawdopodobnie spotka mnie tam (jeśli nie wpadnę w ręce Moskali) i wtedy wyjaśnię wam powody niniejszego rozkazu<sup>1)</sup>. Na szczęście, a może na nieszczęście, rozpaczliwy ten rozkaz, kończący powstanie w Płockiem, nigdy nie ujrzał światła dziennego. W chwili bowiem, gdy go Padlewski redagował, przybył przypadkiem Zbigniew Chądzyński, naczelnik powstańczy powiatu pułtuskiego, znany w organizacyi pod przezwiskiem Ludwika Białego, osobistość niepospolitej energii, wielkiego zapału i tego typowego, rzec można, patryotyzmu tej epoki, który uważał terroryzm za jeden z najlepszych i najsukuteczniejszych środków ratunku ginącej ojczyzny. Dowiedziawszy się o zamiarach Padlewskiego, widząc jego zupełny upadek ducha, począł go przekonywać, że się zbyt czarno na położenie zapatruje, że sprawa tak źle nie stoi, jak mu się zdaje, że kraj jeszcze setnej nawet części swych zasobów nie wyczerpał, że w innych województwach powstanie potężnie się rozwija i swą wymową, swym zapałem, energią tak podziałał na miękki i wrażliwy umysł wojewody płockiego, że ten rozpaczliwy rozkaz cofnął, a natomiast wydał inny, zachęcający do dalszej walki i grożący surowemi karami tym, którzyby w powstaniu udziału wziąć nie chcieli. Wołał, że „cała Polska dysze zemstą“, że „cuda odwagi i poświęcenia dokonywują się na całej przestrzeni ojczyzny“, że „wróg ucieka i broń rzuca“. Skarżył się, że jedno tylko województwo płockie

<sup>1)</sup> Rozkaz ten znany jest tylko w przekładzie rosyjskim *N. Berga* (Polskoje wozstanie „Russkaja starina“ z 1879 r.), gdyż oryginał polski dostał się do rąk rządowych i nigdy opublikowanym nie został. Czytać go można w całości u tegoż *Berga* i u *Gesketa Puzyrewskiego* loc. cit. 400.

wskutek apatyj powstańców i zdrady kilku szlachty, których nazwiska wymienił i oddał na hańbę publiczną, pozostało w tyle za innemi i wystawiło zaledwie oddziałek z kilkudziesięciu ludzi złożony. „Jeszcze raz, kończył, zwracam się do was, ażebyście, jak można najprędzej, spełnili wasz obowiązek i wzywam do ogólnego powstania. Obywatele! ojczyzna domaga się poświęcenia. Cały kraj nas wyprzedził i stanął pod bronią. Idźcie za jego przykładem i za trzy dni w całym województwie nie będzie ani jednego żołnierza moskiewskiego! Jeżeli zaś, pomimo tego wezwania, nie staniecie na wyznaczonych miejscach, oddziały zbrojne otrzymają rozkaz zbierania was siłą!<sup>1)</sup>. Padlewski, wydawszy takie rozporządzenie, opuścił właściwe Płockie, i udał się w kąt między Narwią i Bugiem, gdzie część oddziałów podlaskich szukała schronienia, po kłękach, jakie je w rodzinnem województwie spotkały. Z kolei więc rzeczy, trzeba nam się tam przenieść, by się przypatrzeć niemniej tragicznym i niemniej bolesnym dla serca polskiego scenom.

Tutaj, jak wiemy, powstanie w pierwszej nocy najsilniej wybuchło i najsilniejszym się też zaraz okazało. Powstańcy prawie wszędzie odparci w owym nocnym ataku, nie rozproszyli się jak w Płockiem, ale skupili się w kilka oddziałów, które zajmowały opuszczone przez garnizony rosyjskie, miasteczka, zrywały herby państwowe, proklamowały Rząd narodowy, psuły drogi i mosty, napały na pocztę. Zaraz po wybuchu siły powstańcze skoncentrowały się w pięć oddziałów: Nowakowskiego w okolicy Łomar, Kuczyka i Gustawa Zakrzewskiego pod Garwolinem, Rembowski pod Kodniem, Rogińskiego pod Janowem i Janka Białego (Matlińskiego) w okolicach Siedlec<sup>2)</sup>. Pułkownik Lewandowski, wojewoda podlaski i wódz naczelny tych wszystkich sił, po porażce pod Stokiem

<sup>1)</sup> Rozkaz ten, także tylko w przekładzie rosyjskim, znajduje się u *Gesketa-Puzyrewskiego* loc. cit.

<sup>2)</sup> *B. Deskur*, Pamiętniki (Mat. do hist. powst. II, 158).



Lackim, gdy się jego oddział rozproszył, został sam i przez kilka dni włóczył się na wózku po województwie i właściwie nikt nie wiedział, gdzie on się znajduje <sup>1)</sup>. Deskur, który po ataku na Radzyń, także odłączył się od swych ludzi, puścił się samotnie na poszukiwanie Lewandowskiego, ale go znaleźć miał nieprędko <sup>2)</sup>. Roman Rogiński, który, jak powiedzieliśmy wyżej, wystąpił z Białej prawie bez boju i przenocował we wsi Rozkoszy, uporządkowawszy tu nieco swój oddział, liczący niespełna 300 ludzi, wyruszył nazajutrz, d. 24 stycznia do wsi Zalesia, leżącej na szosie z Białej do Brześcia Litewskiego. Marsz ten wykonał w tym celu, by spotkać się z Kazimierzem Bogusławskim, który miał atakować Białą od strony Zalesia, ale wcale nie przybył; przytem szło Rogińskiemu o zasięgnięcie wiadomości, co się dzieje w kraju, i czy oprócz niego porwał się kto więcej do broni. Dręczony co do tego niepokojem, podniecony i zdenerwowany tą straszną nocą, niepowodzeniem w Białej, był nadzwyczajnie rozdrażniony i nieomal oszalał. Chcąc przeciąć komunikację między Białą a Brześciem, kazał zerwać most na rzece Krzwie i błotach tamtejszych. W chwili gdy zabierano się do tej czynności, rozległa się trąbka pocztarska i nadjechała t. z. „kuryerka“, kursująca stale między Brześciem a Warszawą. Konduktor, siedzący obok woźnicy, Zakrzewski nazwiskiem i należący do organizacyi, spostrzegłszy jadącego konno na czele oddziału Rogińskiego, począł mu dawać znaki oczami, że we wnętrzu powozu ktoś się znajduje, a współcześnie podał dowódcy listę podróżnych, w której stało wyraźnie: „Czerkasow — jedzie z Brześcia“. Rogiński Czerkasowa nie znał i zdaje się nigdy nie o nim nie słyszał, choć w Warszawie była to dość znana osobistość. Był to wyższy urzędnik kancelaryi namiestnika, zjadliwy, zły, nienawidzący szczerze Polaków, stąd niesłusznie za-

<sup>1)</sup> Relacya piśmienna. Myli się więc B. Deskur, Pamiętniki II, 158 twierdząc, że przy Lewandowskim „zostało kilkudziesięciu ludzi po napadzie pierwszej nocy“.

<sup>2)</sup> B. Deskur, loc. cit.

pewne uchodzący za szpiega. Ale, powtarzamy, Rogiński o tem nie wiedział, i byłoby się to spotkanie zapewne na niczem skończyło, gdyby nie to, że Czerkasow zapytany: „Kto jesteś?“, odrzekł: „Wiśniewski“. Kłamstwo to tak oburzyło Rogińskiego, że wydobył wielki puginał czerkieski z okrzykiem: „łżesz!“ pchnął nim w bok lewy dygnitarza rosyjskiego. Gdy ten jeszcze dawał oznaki życia, wystrzałem z rewolweru roztrzaskał mu czaszkę, tak że mózg obryzgał ściany karetki. Ten czyn krwawy opamiętał odrazu oszalałego Rogińskiego tak, że gdy siedząca w przednim przedziale kuryerki jakaś kobieta, okropnie przerażona, chciała na pół nieprzytomną uciekać, Rogiński łagodnymi słowami ją uspokoił i przeproszał „za przykrość, jaką jej sprawił“. Okropne to morderstwo, boć czynu tego inaczej nazwać niepodobna, taki postrach rzuciło na podwładnych Rogińskiego, że odtąd bali go się jak ognia <sup>1)</sup>. Przy trupie znaleziono raport komendanta Brześcia litewskiego do W. ks. Namiestnika o stanie tej twierdzy, spisy rekrutów, mających być wziętymi, rozporządzenia co do branki, i oznaczenie miejsc, dokąd popisowi mają być odstawieni. Prócz tego znaleziono przy zabitym zegarek i około tysiąca złotych pieniędzy. Wszystko to zabrano; papiery wręczono konduktorowi Zakrzewskiemu z rozkazem dostawienia ich do komitetu centralnego; zwłoki zaś Czerkasowa porzucono w dyliżansie i kazano odwieźć do Warszawy. Jakoż kuryerka, przybywszy z tym osobliwym depozytem do stolicy kraju, zatrzymała się przed ratuszem i długo tu stała z trupem, któremu gawiedź uliczna ciekawie się przypatrywała <sup>2)</sup>.

Rogiński po tej strasnej scenie, będącej dowodem, jak dalece namiętności polityczne owładają ludźmi, na czele kilkunastu koni udał się do zaścianków szlacheckich Tuczn, Wiski i Huszcza, najprzód dla zasięgnięcia języka, a potem zabrania ludzi. W Tuczn spotkał Nenckiego, wracającego

<sup>1)</sup> Rogiński, Pamiętniki (rkpsm), relacya Berga i innych.

<sup>2)</sup> N. Berg, Zapiski II, 446, oraz relacye ustne.

z pod Kodnia ze zdobyczą 300 karabinów, znacznymi zapasami naboju i 80 jeńcami; w Huszczy cała długa ulica wiejska roiała się od kos, rzędem na przyzbach domów ustawianych i na głos młodego wodza wszyscy zdolni do boju mężczyźni porwali za broń, by jeszcze raz starym szlacheckim obyczajem przelać krew za wolność ojczyzny. Zabrał tutaj także oddziałek Szaniawskiego i Czapińskiego, wracający z pod Łomaz. Rogiński, wzmocniony blisko 500 ludźmi<sup>1)</sup>, uzbrojony w karabiny, jakkolwiek skałkowe, ale zawsze lepsze od strzelb myśliwskich, zajął się teraz uorganizowaniem swego oddziału. Walery Golian, brat słynnego kaznodziei, który teraz właśnie piorunował w Warszawie z kazalnicy przeciw powstaniu, został szefem sztabu; niejaki Pawłowicz, b. oficer rosyjski adjutantem, Szaniawski dowódcą strzelców, Nencki dowódcą kosynierów<sup>2)</sup>.

Rogiński uorganizowawszy się i wzmocniwszy do 800 ludzi, wyruszył z Zalesia do Janowa podlaskiego, gdzie mieściły się stajnie rządowe. Zamierzał on tam zabrać konie, których mu brakowało i jazdy z tego powodu prawie wcale nie posiadał. Uszedłszy kilka wiorst, w lesie, już w nocy, oddział natknął się na karetę, w której jechał generał Sinielnikow, intendent wojskowy okręgu warszawskiego, wiozący ze sobą 30.000 rubli w gotówce. Za nim na wózku jechał oficer i dwóch żandarmów. Gdy karetę zatrzymano, a Sinielnikow zbudzony i bardzo strwożony wyskoczył na drogę, Rogiński zapytał go: „Jak godność pana?“ Usłyszawszy żądane nazwisko, chwilę naradzał się ze swymi towarzyszami i oznajmił Sinielnikowi, że jest wolny, że może jechać gdzie chce, że powstańcy szanują uczciwych ludzi. Towarzyszącym generałowi rosyjskim żandarmom kazał broń odebrać i także ich puścił wolno. Uczynił to wszystko pod wpływem dręczących go zgryzot, za zabójstwo Czerkasowa. Ochłonął zresztą teraz, wiedział, że nie on sam tylko porwał się do broni, że powstał cały

<sup>1)</sup> R. Rogiński, Pamiętniki.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

kraj. Fakt uwolnienia Sinielnikowa, który w rzeczy samej był bardzo uczciwym człowiekiem, miał wielki rozgłos po całej Rosyi, a nawet do uszów cesarza doszedł<sup>1)</sup>.

Rogiński do Janowa przybył d. 26 stycznia, zabrał konie, przyczem wszyscy stajenni przystali od oddziału i tym sposobem utworzyło się 70 koni wybornej kawalerii pod wodzą Radowickiego i wogóle oddział urósł tutaj, w czasie trzechdniowego pobytu do tysiąca ludzi<sup>2)</sup>. W tej młodej, zapalnej głowie, poczęły się rodzić teraz szalone pomysły. Chciał zabrać biskupa podlaskiego, ks. Benjamina Szymańskiego, trzymać go przy oddziale, by tym sposobem wyrzucić na lud, na chłopów silne wrażenie. Ale Szymański udał chorego, a wzięcie go siłą oddziałyłoby na lud bardzo źle, więc młody dowódzca porzucił ten dziwaczny zaiste zamiar<sup>3)</sup>. Zato postanowił uderzyć na Białą, by powetować swe niepowodzenie w nocy wybuchu, nie wiedząc zgola, że wskutek nakazanej przez Ramsaya koncentracji, Biała przez wojska rosyjskie została opuszczona. Dowiedział się o tem dopiero w drodze. Jakoż rzeczywiście generał Mamajew, jakkolwiek wzmocniony dwoma szwadronami ułanów pułku Smoleńskiego, oraz kompanią pułku rewelskiego piechoty, nadesłaną mu z Brześcia, na skutek rozkazu o koncentracji, z obawy by w czasie marszu przez lesistą okolicę nie postradał swych dział, wyruszył z Białej o świcie d. 30 stycznia i pociągnął ku Siedlcem<sup>4)</sup>. Tym więc sposobem Rogiński wieczorem tegoż dnia zajął Białą bez boju, przyjmowany uroczystie przez mieszkańców, wśród miasta uiluminowanego wspaniale. Żydzi bialscy zajęli odwach i utworzyli straż bezpieczeństwa, przypięwszy u czapek trójkolorowe kokardy. Rogiński stanął

<sup>1)</sup> „Istoriczeskij Wiestnik“ LVI, 216. Opowiadają tam, że cesarz Aleksander II, przyjmując w Petersburgu Sinielnikowa, rzekł do niego: „wpadłeś w ręce bandy? bardzo się cieszę, żeś się szczęśliwie wydobył. Ciebie nawet wrogowie szanują“.

<sup>2)</sup> R. Rogiński, Pamiętniki.

<sup>3)</sup> Loc. cit.

<sup>4)</sup> Gesket-Puzyrewskij loc. cit. 166.



kwaterą w tym samym domu, który rano opuścił Mamajew; oddział zajął zamek poradziwillowski na skraju miasta. Na-  
zajutrz odbyło się nabożeństwo w farze bialskiej i poświę-  
cenie sztandarów, ofiarowanych oddziałowi przez damy  
miasteczka. Po nabożeństwie odczytano uroczyste mani-  
festy komitetu centralnego o uwłaszczeniu. Żydzi także  
wyprawili w swej bożnicy nabożeństwo i zaprosili na nie  
Rogińskiego. Złożono tu przysięgę na wierność narodowi  
i Komitetowi centralnemu, a żydzi przy modłach, w czasie  
których proszono wodza powstańczego, by trzymał rękę  
na talmudzie, wykrzykiwali kilkakrotnie: „wiwat Rogiń-  
ski!“<sup>1)</sup> Wśród tego wszystkiego młody dowódzca zajął  
się, zgodnie z nadesłaną mu z Warszawy instrukcją, uorga-  
nizowaniem zarządu tymczasowego powiatowego. W zarzą-  
dzie tym mieli zasiadać: jeden chłop, jeden żyd, jeden  
mieszczanin, jeden ksiądz i trzech właścicieli ziemskich,  
razem siedm osób. Na rozesłane wezwania zjechało się bar-  
dzo wielu szlachty, ale gdy przyszło do wyborów, to ta  
ostatnia stawiała kandydatów wyłącznie z pomiędzy swych  
oficyalistów, o których wiadano, że należą do organizacyi  
powstańczej. Rogińskiemu się to oczywiście mocno nie po-  
dobało i przypisując takie postępowanie obawie o własną  
skórę, począł mocno wyrzucać szlachcie jej, jak mówił,  
tchórzostwo. Na to niejaki Łojko, ziemianin z pod Pisz-  
czaca zawołał: „Wybierajcie sami z pomiędzy siebie, my  
do partyi ruchu nie należymy. Powstanie nas nic nie ob-  
chodzi i my, szlachta, nie mamy z niem nic wspólnego!“<sup>2)</sup>  
Te śmiałe słowa, wybornie malujące stanowisko szlachty  
odnośnie do powstania, oburzyły nadzwyczajnie Rogiń-  
skiego, i już miał wydać rozkaz Radowickiemu by aresz-  
tował Łojkę, gdy nagle otrzymał wiadomość, że na Białą  
wyruszył z Brześcia litewskiego pułkownik Nostitz na czele  
siedmiu kompanii pułku rewelskiego piechoty, jednej kom-  
panii saperów, dwóch dział i pewnej liczby kozaków, ogó-

<sup>1)</sup> R. Rogiński, Pamiętniki.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

łem około 1500 ludzi<sup>1)</sup>. Wiadomość zapewniała, że Nostitz  
z Brześcia wystąpił o godz. 9-ej rano d. 1 lutego<sup>2)</sup>, i że  
wieczorem stanie z pewnością pod Białą. Rogiński odłożył  
więc na później sprawę z Łojką i zajął się przygotowa-  
niami do spotkania ze zbliżającym się nieprzyjacielem.  
Nostitz miał wiadomości bardzo przesadzone, że Rogiński  
posiada w Białej 3000 ludzi<sup>3)</sup>, co, jak wiemy, nie było  
prawdą, gdyż siły jego dochodziły ledwie tysiąca w ogół-  
ności słabo uzbrojonych. Tym wiadomościom zapewne przy-  
pisać należy, że wódz rosyjski posuwał się naprzód z wielką  
obawą i bardzo ostrożnie. Znalazłszy most na Krznie ze-  
rwanym, z trudem niemałym przeprawił działa i wojsko po  
lodzie nader słabym, wskutek panującej ciągle, niezwykle  
w tej porze łagodnej temperatury i pod wieczór, koło  
godz. 6-ej zatrzymał się i rozłożył obozem koło karczmy,  
zwanej Białką, odległej od miasta o trzy niespełna kilo-  
metry. Biwakował tu zresztą nie z całą swoją siłą, gdyż  
najprzód zostawił jedną kompanię przy moście na Krznie,  
dla przywrócenia komunikacyi z Brześciem, a potem wsku-  
tek forsownego marszu (zrobił od godz. 9-ej rano do 6-ej  
wieczorem przeszło 30 kilometrów), na drodze rozwlekło  
się wielu maruderów. Te powody, konieczność dania odpo-  
czynku znużonym żołnierzom, obawa przeważających sił

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. 167, utrzymuje, że było 15 kosa-  
ków, *Rogiński* w swych Pamiętnikach mówi o całej setce i do 7 kom-  
panii piechoty, dodaje 1 kompanię saperów. „Wiadomości z pola  
bitwy“ Nr. 3 (z d. 26 lutego) podają siły rosyjskie tak samo jak  
*Gesket-Puzyrewskij*. Z tem wszystkiem podanie *Rogińskiego* zdaje się  
jest prawdziwem o owej kompanii saperów. Źródła inne dlatego  
o niej nie wspominają, że ona nie brała udziału w utarczce pod  
Białką, gdyż ustawiona była przy moście na Krznie, o czem bliższe  
szczegóły w tekście.

<sup>2)</sup> „Wiad. z pola bitwy“ Nr. 3, podają, że stało się to d. 2 lu-  
tego, *Gesket-Puzyrewskij* że d. 19/31 stycznia, *Berg* mówi, że było to  
d. 1 lutego (20 stycznia st. st.) w czem zgadza się z urzędowym ra-  
portem Nostitza („Dzien. pow.“ Nr. 27) i z „Żurnalem wojennych  
dziejstw“ Nr. 4, za którym i my poszliśmy.

<sup>3)</sup> „Żurnal wojennych dziejstw“ Nr. 4.

polskich, niepewność ataku nocnego zmusiła ostatecznie Nostitza do odłożenia starcia na dzień jutrzejszy, zwłaszcza, że skomunikował się ze szwadronem ułanów, stojących w Międzyrzeczu, ażeby nazajutrz od strony tego miasta uderzyli na Rogińskiego<sup>1)</sup>, który wzięty w ten sposób w dwa ognie, musiałby uleść koniecznemu rozbiciu. Ale, jeżeli takie względy kierowały dowódcą rosyjskim, względy do pewnego stopnia usprawiedliwione (jakkolwiek winą jego było, że nie miał dokładnych wiadomości o liczbie powstańców), to wódz polski właśnie powinien był przyspieszyć starcie, gdyż na wojnie zawsze prawie to trzeba robić, czego nieprzyjaciół nie chce. Tak też postąpił sobie Rogiński, co dobrze świadczy o jego głowie. Postanowił on więc zaraz zaatakować Nostitza. Jakoż zostawiwszy w mieście wszystkie wozy i wszystkie ciężary, koło godz. 10-ej ciemnej nocy zimowej, wyruszył z Białej na Rosyan. Przedstawiły mu się dwa sposoby dokonania tego ataku: albo maszerować wprost gościńcem bitym do karczmy i brać byka za rogi, albo też posuwać się na Woskrzenice drogą boczną, równoległą do szosy i uderzyć na wroga od skrzydła. Karczma wznosiła się na niewielkiej polanie, od strony gościńca otoczonej lasem; od strony zaś drogi bocznej były tylko niewielkie krzaki, tak że można było stąd na znaczną odległość widzieć obozowisko rosyjskie. Z tych powodów Rogiński pomaszerował na Woskrzenice, wydostał się na polanę i podsunął się niepostrzeżenie pod samo prawie legowisko nieprzyjaciela. Ten rozłożył wielkie ognie, przy których część gotowała wieczerzę, a część spała ciężkim snem znużenia. Rogiński tak rozporządził atakiem: Szaniawski z 230 ludźmi ma wyruszyć na tyły Rosyan, na szosę od strony Brześcia i przeciąć komunikację z tą twierdzą, a głównie z pozostawioną przy moście na Krznie kompanią piechoty; Bogusławski na czele 50 strzelców ma wysunąć się przed front nieprzyjaciela, na gościniec od Białej i rozpocząć fałszywy atak dla zwrócenia uwagi Ro-

<sup>1)</sup> „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 3.

syjan w tę stronę; korzystając z tego, Rogiński z główną częścią swych sił, rdzennym atakiem od skrzydła wszyje się w środek kolumny rosyjskiej i rozmiecie wszystko przed sobą<sup>1)</sup>. Ten atak stanowczy ma prowadzić Wolanin na czele strzelców, popierać go ma Nencki z gęstą czarniawą kosynierką, wreszcie Rogiński z kawaleryą Radowickiego. Plan niewątpliwie był dobrze obmyślany i mógłby przynieść zwycięstwo powstańcom, gdyby ci byli wyćwiczni jako tako, gdyby nie byli wczoraj dopiero porwani od pługa lub łockia.

Szaniawski, zgodnie z tymi rozkazami, wyrusza na szosę od strony Brześcia i osadza się na niej bez strzału i bez zwrócenia uwagi nieprzyjaciela; Bogusławski śmiało wysuwa się ku wylotowi gościńca z lasu od strony Białej i rozpoczyna gęsty ogień; Rogiński śpiesznie maszeruje od skrzydła ku karczmie. Zbliżywszy się na 300 do 400 kroków, widzi, jak na dłoni, obozowisko rosyjskie. Przed sobą spostrzega karczmę, której okna rzęsiście są oświetlone; w tyle za karczmą i za szosą goreją wielkie ogniska nieprzyjaciela, który na huk strzałów Bogusławskiego i świst kul, zrywa się w straszliwym nieładzie, gasi ogniska i pali na oślep do lasu, skąd gęste padały strzały powstańców. Z boku, między Bogusławskim a karczmą, sterczą na szosie dwa działa, wylotami skierowane ku Brześciowi. W tejże chwili Wolanin dopada biegiem do szosy, zajmuje rów jej boczny i praży ogniem nieprzyjaciela; Nencki z kosynierką uderza na karczmę, wdziera się do niej, rani i zabija kilkunastu wrogów i bierze żywcem do niewoli dwóch oficerów. Rogiński korzysta z tego pierwszego tryumfu i rozkazuje Nenckiemu, by z kosynierką przekroczył szosę i uderzył na formującego się na polanie wroga. Nencki porywa swą rzeszę, ale w chwili, gdy wpada na szosę, dwie stojące tamże armatki dają ognia i smagają go z boku kartaczami. Kosynierka, złożona głównie z drobnej szlachty zaściankowej, pod tym gradem żelaza chwieje

<sup>1)</sup> R. Rogiński. Pamiętniki.



się, i z okrzykiem hura! cofa się z szosy pośpiesznie, utraciwszy kilkunastu ludzi. Nencki, dysząc gniewem, kląnąc i wymyślając od z k.... synów, zbiera swe zachwiane szeregi i jeszcze raz prowadzi je na gościniec, ale i teraz bezskutecznie. Powitani kartaczami, ze stratą jeszcze kilku ludzi cofają się w nieładzie i popłochu takim, że nikt i nie już nie jest w stanie obudzić w nich odwagi i pierwotnego zapału. Sam Nencki tak jest przygnębiony, że rzuca wszystko i znika z pola bitwy, by w kilka miesięcy później położyć głowę w jednej z utarczek w Lubelskiem <sup>1)</sup>. Wobec tego Rogiński przypada do jazdy Radowickiego i woła: „Adamie! <sup>2)</sup> idziemy, musimy zabrać te armaty, bo bitwę przegramy!“ Szosa w tem miejscu tworzyła szyję (défilé), zamkniętą po obu stronach budynkami gospodarskimi i opłotkami, tak że ledwie szóstkami można było po niej szarżować. Sformowano się jednak, i z Rogińskim, Radowickim i Pawłowiczem na czele ruszono z kopyta. Ale przyjęci nowym wymiotem kartaczy, mieszają się; Rogiński pada z koniem, co, widząc kawalerzyści sądzą, że wódz ich zabity i w popłochu z gościńca uciekają. Na szczęście Rogiński nie poległ, tylko zabity koń przygnoił go zupełnie, tak że z trudem z pod niego się wydobył. Dostrzegł go któryś z żołnierzy i podał mu nowego konia, ale już chwila właściwa minęła, szeregi się chwieją, zapal przygasł i powszechne zapanowało zniechęcenie. Wolanin ze strzelcami cofa się, choć daje ognia ciągle i, jak raniony dziko, chwila zatrzymuje się i pluje ogniem i żelazem. Rogiński pod zasłoną karczmy zbiera rozpraszaający się powoli oddział, szereguje go i zamierza jeszcze raz ze wszystkimi siłami uderzyć na wroga, ale w tej chwili donoszą mu, że kompania, zostawiona przy moście na Krznie, zbliża się do pola bitwy. Wprawdzie Szaniawski zastąpił jej drogę, ale po zamianie kilkudziesięciu strzałów, cofnął się

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> Z Kolumna, Pamiątka I, 128 mylnie nazywa Radowickiego: Zdzisławem.

w bok i wolne przejście zostawił. Wobec tak znacznego zwiększenia sił nieprzyjacielskich, wobec rozstroju panującego w szeregach powstańczych, Rogiński postanowił cofnąć się do Białej, co też zaraz skutecznił. Żwawe to i zrazu dzielnie prowadzone starcie, trwające wśród ciemnej nocy około dwóch godzin <sup>1)</sup>, kosztowało nas kilkudziesięciu ludzi w zabitych i ranionych <sup>2)</sup>, ale nierównie więcej takich, którzy się rozbiegli i więcej w oddziale się nie pokazali. Rogiński wszystkich rannych uwiózł do Białej, jak również dwóch oficerów, wziętych do niewoli. Straty rosyjskie nie są wiadome dokładnie <sup>3)</sup>; Nostitz dostał lekki postrzał w nogę.

Wódz rosyjski cofającego się Rogińskiego wcale nie ścigał, tak że ten spokojnie przemaszerował do Białej i zajął się przyprowadzeniem do porządku swego oddziału. Zmalał on znacznie, zwłaszcza, że Szaniawski, oderwawszy się pod Białką z 230 ludźmi, więcej się nie pokazał. Z tem wszystkiem partyzant polski nie myślał wcale opuszczać miasta i postanowił czekać tu na atak Nostitza. Ale, gdy ten do godz. 12-tej w południe następnego dnia wcale się nie pokazał, gdy prócz tego Rogiński dowiedział się, że wódz rosyjski czeka na posiłki, które w rzeczy samej w sile jednej kompanii piechoty i setki kozaków szły ku niemu z Międzyrzecza <sup>4)</sup>, widząc niemożność utrzymania się

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 167.

<sup>2)</sup> R. Rogiński, loc. cit. Nostitz w raporcie urzędowym twierdzi, że powstańcy stracili 42 ludzi zabitych; z tego Gesket-Puzyrewskij zrobił 43, a N. Berg, stu! Oto jak się pisze historia!

<sup>3)</sup> R. Rogiński, loc. cit. twierdzi, że Bazylianie pochowali na drugi dzień w Białej 140 żołnierzy i 2 oficerów rosyjskich, co oczywiście jest przesadą. Raport urzędowy Nostitza mówi o 3 zabitych i 15 rannych. O niewolnikach dyskretnie przemilcza, jak również Berg i Gesket-Puzyrewskij. „Wiad. z pola bitwy“ Nr. 4 podają, że poległo 25, a w tej liczbie jeden oficer, że 23 mieli ranionych, że 17 swych trupów pochowali Rosyanie na cmentarzu w Białej, a 8 zakopali przy szosie pod Białką. Wszystko to jednak są pogłoski na niczem nieoparte.

<sup>4)</sup> Gesket-Puzyrewskij loc. cit. 167.

ze swemi szczupłemi siłami w Białej, zabrał, co było do zabrania w magazynie rosyjskim, będącym tamże, to jest znaczną ilość ładunków, mąki i owsa, i wyruszył ku Janowu, licząc na to, że w tym kierunku spotkać się może z Szaniawskim <sup>1)</sup>. Tegoż dnia Nostitz, dowiedziawszy się o wyjściu Rogińskiego z Białej, zajął to miasto wieczorem, dokąd też nadciągnęły także posiłki międzyrzeckie <sup>2)</sup>. Rogiński, maszerując do Janowa, natknął się w rzeczy samej na Szaniawskiego i połączył się z nim; w Janowie zabawił parę dni, ćwicząc żołnierzy, szyjąc mundury dla strzelców, kawalerję swą zwiększył do stu koni, zabrawszy resztę masztelarzy stajni janowskiej, doskonałych jeźdźców. Zabrał przytem srebra, pochodzące z nagród wyścigowych i które przedstawiały wartość kilku tysięcy rubli <sup>3)</sup>, gotówką zaś z kasy półtora tysiąca rubli i 14 najpiękniejszych koni <sup>4)</sup>. Wśród tych zajęć otrzymał wiadomość o krwawem i bohaterskiem starciu pod Węgrowem.

Tego samego nieomal dnia, w którym Rogiński zajmował Białą, bił się pod nią i w końcu spokojnie ją opuścił, w północnym kącie województwa podlaskiego, stoczona została jedna z najkrwawszych bitew powstania, pod miasteczkiem Węgrowem. Główny rdzeń sił powstańczych tutaj stanowili robotnicy i oficjaliści sąsiedniej cukrowni w Sokołowie, oraz spisowi całego powiatu, którzy zdołali umknąć przed branką. Ponieważ powiat węgrowski zamieszkały jest przeważnie przez drobną szlachtę mazurską,

<sup>1)</sup> R. Rogiński, loc. cit.

<sup>2)</sup> Relacya „Wiad. z pola bitwy“ Nr. 4, jakoby Nostitz „okradł miasto, dopuścił się strasznych gwałtów, np. ściągnięcia z ambony księdza mówiącego kazanie“, nie potwierdza się w żadnych innych podaniach.

<sup>3)</sup> N. Berg, loc. cit II, 457.

<sup>4)</sup> Pawliszczer, (Siedmicy II 29, powiada, że Rogiński zabrać miał tylko 1155 rs. i 16 koni razem z rzedami na nie; że w mieszkaniach urzędników powstańcy nawet drzwiczki od pieców pozabierali; że od biskupa Szymańskiego, który ich karmił, wymogli jakąś sumę; że od żydów zażądali 15.000 rs. ale zadowolnili się pięciu tysięcy.

więc ona tworzyła wyłączny prawie kontyngens powstania tutejszego. Gdy wskutek nakazanej z Warszawy koncentracji wojska rosyjskiego, kozacy konsystujący w Węgrowie i Sokołowie, wyruszyli do Siedlec, powstańcy zajęli natychmiast te miasteczka, poczęli się zbroić i organizować. Znalazł się i dowódzca w osobie Władysława Jabłonowskiego, młodego człowieka, zaledwie 21 lat liczącego, wychowanca szkoły podchorążych w Cuneo, gdzie zwracał na siebie uwagę niezwyklei zdolnościami, Podlasiaka rodem, oraz niejakiego Matlińskiego, który przybrał pseudonim Janka Sokoła <sup>1)</sup>. Wkrótce znalazło się tutaj do 5000 ludzi <sup>2)</sup>, w ogóle słabo uzbrojonych. Strzelb najrozmaitszego gatunku, między którymi były także karabiny, zdobyte na Rosyanach, było 800. Temi siłami zajmowano oprócz Węgrowa, miasteczka: Sokołów, Mokobody i wieś Ludwinów. Życie wrzało tu, kipiało, wylewało się na zewnątrz w wielki entuzjazm i gorące pragnienie walki za ojczyznę. Powstańcy miescili się po domach, jak mogli, ćwiczyli w robieniu broni, formowali w kompanie i bataliony, a choć głód nieraz dokuczał, gdyż dostaw regularnych żywności nie było, a samo miasteczko i okolica objedzona została wkrótce doszczętnie, przecież nie martwiono się tem zbyt, radzono sobie, jak można było i wesołość, duch, podniesiony do wysokiego stopnia panował wśród tej gromady polskiej młodzieży, która śniła już o zdobyciu Siedlec, Warszawy, a niekiedy w wieczornych pogawędkach o zupełnem wygnaniu Moskala za Dniepr i Dźwinę!...

Tymczasem wieść o obozowiskach powstańczych doszła do Rosyan. Burmistrzowie Węgrowa i Sokołowa pierwsi złożyli o tem raporta pułkownikowi Czernickiemu w Siedlcach <sup>3)</sup>, dowódcy pułku Kostromskiego piechoty, który do

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 169 mylnie nazywa go Mytlińskim, a N. Berg Mystkowski. „Wiad. z pola bitwy“ Nr. 1. przekreślając jego pseudonim na Józefa Sokoła.

<sup>2)</sup> „Wiadom. z pola bitwy“ Nr. 1. Korespondent „Czasu“ krakowskiego (Nr. 34) obliczał siły powstańców na 4500 ludzi.

<sup>3)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 169.



czasu przybycia generała Dreyera, mianowanego naczelnikiem wojennym siedleckim, zastępował go w tych obowiązkach. Czernicki tegoż jeszcze d. 31 stycznia doniósł o tem do Warszawy, gdzie jego raport otrzymano d. 1 lutego. Raport ten w Zamku warszawskim wywarł nie małe wrażenie; nie przypuszczano tam bowiem, by powstańcy mogli w ciągu kilku dni tak znaczne stosunkowo wystawić siły; sądzono, że całe Podlaskie skupiło się koło Węgrowa i przypuszczano, że oni są tam o wiele silniejsi, zwłaszcza że raport Czernickiego nic stanowczego pod tym względem nie mówił. Tem większą budziło to obawę, że w Siedlcach stosunkowo nie dużo znajdowało się wojska nawet po dokonanej już koncentracji. Stało tam siedem kompanii pułku Kostromskiego piechoty, cztery szwadrony pułku Smoleńskiego ułanów, setnia kozaków dońskich, bateria artylerii polowej gwintowanej i bateria artylerii konnej, dział 16; ogółem 1800 do 2000 ludzi, czyli siły aż nadto dostateczne do rozbicia powstańców nieuzbrojonych, niewyćwiczonych, niekarnych i głodnych. Ale na dowódców rosyjskich, „Bartomelajada“ styczniowa, jak zwali wybuch w nocy z d. 22 na 23 stycznia, taki rzuciła popłoch, że wszystko dwoiło im się w oczach, wszędzie widzieli powstańców, i przypominając sobie napoleońskich gerillasów hiszpańskich, z wielką obawą patrzyli w przyszłość. Prócz tego wiadano w Warszawie, że z Siedlec ma wyruszyć trzy kompanie piechoty, bateria konna artylerii i szwadron ułanów pod wodzą generała Mamajewa, dla zajęcia Międzyrzecza, i podania pomocy Nostitzowi, bijącemu się z Rogińskim pod Białą. Drżano więc z obawy, by powstańcom węgrowskim nie przyszła ochota uderzyć na Siedlce i wymieść stamtąd wroga na cztery wiatry. Wskutek tego postanowiono bądź co bądź zgnieść obozowiska węgrowskie, a z niemi, jak sądzono, całe powstanie podlaskie i w tym celu, w sztabie warszawskim ułożono plan następujący: generał Krüdener ma wyruszyć natychmiast z Warszawy na czele trzech batalionów piechoty (batalion pułku wołyńskiego gwardyi, batalion pułku halickiego liniowego

i batalion witebskiego<sup>1)</sup>, dwóch dział artylerii gwardyi i dwóch setek kozaków<sup>2)</sup>, koleją żelazną warszawsko-petersburską do stacyi Łochów, gdzie miał wysiąść i wyruszyć od strony północnej na Węgrów. Druga kolumna miała atakować to miasteczko od południa, po drodze od Siedlec; prócz tego posłano rozkaz do Nostitza do Białej, by także ten atak ogólny poparł. Te zbyt skombinowane ruchy, odbywać się mające na znacznych przestrzeniach, po drogach złych i rozmiękłych odwilżą, przy braku telegrafów, które powstańcy popsuli, z góry można było przewidzieć, że się nie udadzą. Przytem w Warszawie nie wzięto pod uwagę, że każdy z naczelników rosyjskich miał chętkę działania samoistnie, bez oglądania się na innych i zyskania sobie tym sposobem sławy i nagród. Tak się też i tutaj stało.

Generał Dreyer, nowy naczelnik wojenny siedlecki, przybywszy do Siedlec d. 31 stycznia, dla powzięcia bliższych szczegółów o obozowiskach węgrowskich, tegoż jeszcze dnia wieczorem wysłał na podjazd dowódcę ułanów smoleńskich, pułkownika Papaafanasopuła, z dwoma szwadronami tychże ułanów, z rozkazem maszerowania na Mokobody i dotarcia jak można najbliżej do Węgrowa i powzięcia koniecznie języka. Papaafanasopuła tegoż jeszcze wieczoru doszedł do miasteczka Mokobody, w którym stało około 1000 powstańców<sup>3)</sup>, z wysuniętymi placówkami po drodze siedleckiej. Na widok zbliżającej się jazdy nieprzyjacielskiej, powstańcy, zostawiwszy dla zasłonięcia odwrotu 100 ludzi, wystąpili z miasteczka i pomaszerowali ku Węgrowi. Papaafanasopuła chciał odciąć od Węgrowa tę straż tylną, cofającą się wolno i w postawie spokojnej, i w tym celu wysłał trzy plutony ułanów z rozkazem okrą-

<sup>1)</sup> Gesket-Fuzyrewskij, loc. cit. 174, nie wie o batalionie gwardyi i w ogóle cały ten plan mętnie przedstawia, może dlatego, że nie przynosi on zaszczytu sztabowi warszawskiemu.

<sup>2)</sup> Ługanin, Opyt istorii lejbgwardii wołyńskiego polka.

<sup>3)</sup> „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 1.

zenia pędem miasteczka i zaskoczenia powstańców od czoła. Ale ci na widok ułanów, opuścili nagle drogę węgrowską i skierowali się na prawo ku Sokolowi, gdzie wkrótce las zasłonił ich od ataku nieprzyjaciela. Ten nic nie wskórał, prócz tego, że dwóch maruderów wziął do niewoli żywcem<sup>1)</sup>. Papaafanasopuło wszedł do Mokobód i tutaj od jeńców, jak również od mieszkańców miasteczka, którzy zrazu uparcie milczeli, ale zmuszeni batami uwiadomili dzikiego Ormianina w mundur ułański przybranego, że w istocie około Węgrowsa jest przeszło 4000 powstańców, uzbrojonych doskonale<sup>2)</sup>. Wobec tego Papaafanasopuło uwiadomił o wszystkim Dreyera w Siedlcach i zażądał od niego pomocy w razie, gdyby otrzymał rozkaz atakowania Węgrowsa. Noc ułani rosyjscy przepędzili w Mokobodach w wielkiej obawie i przy zachowywaniu nadzwyczajnej ostrożności. Nazajutrz o świcie, d. 1 lutego, pułkownik ułański, mocno o siebie zaniepokojony, wysłał na podjazd pół szwadronu w kierunku Węgrowsa, z rozkazem dotarcia do wsi Szaruty, leżącej wśród lasów, ciągnących się aż pod samo miasteczko. Ale ułani powitani strzałami, cofnęli się pośpiesznie, nie nie zrobiwszy. Papaafanasopuło jeszcze raz więc zaraportował do Dreyera o stanie rzeczy, nagłaco domagając się posiłków. Dreyer otrzymawszy to drugie doniesienie tegoż jeszcze d. 1 lutego wieczorem, wysłał do Mokobód na pomoc ułanom, na podwodach, na ten cel przygotowanych, dwie kompanie piechoty i pluton artylerii, t. j. dwa działa. Posiłki te napotkały ułanów na polowie drogi, we wsi Chodowie, dokąd Papaafanasopuło się cofnął, lękając się nie bez pewnej słuszności, by nie został odcięty od Siedlec przez powstańców sokolowskich. Jakoż w rzeczy samej, gdyby na czele tych ostatnich stał człowiek z głową, byłby niewątpliwie ten ruch wykonał. Z Sokolowa bowiem prowadzi bity gościniec na Wojewódki i Suchożaby, i styka się w Chodowie z gościńcem moko-

<sup>1)</sup> Gesket-Puzirewskij, loc. cit. 170.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

bódzko-siedleckim. Można więc było szybkim i energicznym marszem dopaść do Chodowa, odciąć ułanów od Siedlec i atakować ich, wziętych w taką matnię od frontu od Węgrowsa, od tyłu od Chodowa. Ale choć w Węgrowie, dzięki patryotyzmowi mieszkańców doskonale wiadano o ruchach nieprzyjaciela, nie umiano wyzyskać nadarzającej się sposobności wydarcia fortunie zwycięstwa, któreby powstaniu podlaskiemu nadało odrazu niemałą przewagę i znaczenie.

Tymczasem Papaafanasopuło rósł w siłę. Nazajutrz d. 2 lutego generał Dreyer wysłał mu o godz. 7-iej rano jeszcze jedną kompanię piechoty, baterię konną dział i szwadron ułanów z rozkazem niezwłocznego atakowania Węgrowsa. Ten rozkaz i to niezwykle wzmocnienie Papaafanasopuły pochodziło stąd zapewne, że Dreyer wiedział o planie w sztabie warszawskim powziętym i o wysyłce Krüdenera, i chciał przed jego przybyciem zyskać dla siebie wyłącznie trofea łatwego zwycięstwa, jak się to często w tej dziwnej i jedynej w swoim rodzaju wojnie, będzie powtarzało. Papaafanasopuło, otrzymawszy posiłki, ruszył naprzód z Chodowa na Mokobody, i około godz. 5-iej wieczorem<sup>1)</sup>, d. 2 lutego; przy zapadającym już mroku dnia zimowego, podsunął się pod wieś Szaruty, t. j. w tej samej chwili, w której Krüdener w Warszawie siadał z oddziałem swoim na pociąg kolei warszawsko-petersburskiej. Papaafanasopuło rzeczoną wieś Szaruty zajął i postanowił tu nocować, wysunawszy gęste placówki z obu rodzajów broni, i widety aż za las, dzielący wieś od Węgrowsa. Tak blizkie sąsiedztwo nieprzyjaciela spowodowało Jabłonowskiego, że, korzystając z nocy i z entuzjazmu, ożywiającego obozowiska polskie, postanowił zaatakować Papaafanasopułę, zwłaszcza, że doskonale był poinformowany o planach rosyjskich. Wydawało mu się, i słusznie, że wobec zamierzonego osaczenia, dobrze będzie uderzyć i znieść odosobnioną w tej chwili kolumnę rosyjską, nocującą w Sza-

<sup>1)</sup> Loc. cit. 171.



rutach, i tym sposobem rozbić cały plan, tak ciężko wysmarzony w głowach sztabowców warszawskich. Myśl była dobra, ale niebezpieczna; każdy bowiem atak nocny, nawet z żołnierzem karnym i wyćwiczonym jest niepewny, a cóż dopiero z ruchawką, wczoraj dopiero do szeregów zaciągnięta. Z tem wszystkiem wzięwszy 1000 ludzi (800 kosynierów i 200 strzelców), poprowadził ich, jak się zdaje, sam, o północy na Szaruty. Powstańcy żwawo zaatakowali przednie straże rosyjskie i znieśli je, lub zmusili do cofnięcia się, tem łatwiej, że poczęli je obchodzić, i kule polskie padały już na ulice Szarut. Strzelanina trwała jakiś czas, gdy nagle Papaafanasopuło kazał palić z dział granatami, co ostatecznie tak silne wywarło na nieprzyw-  
kłych do tego powstańców, że śpiesznie cofnęli się do miasta.

Nazajutrz, d. 3 lutego Papaafanasopuło o godz. 6 $\frac{1}{2}$  rano wyruszył na Węgrów i około godz. 9-ej zbliżył się do miasta na odległość strzału armatniego. Miasteczko to przez swoje położenie w żadnym razie nie kwalifikowało się do boju odpornego. Leży ono na prawym brzegu Liwca, a szosa siedlecka, po której maszerował nieprzyjaciół, przecina je tak, że większa część, a właściwie całe miasto leży po jej prawej. Zbudowane w parowie, dokoła otoczone jest wzgórzami, zwłaszcza od strony Siedlec, dominującymi nad niem znacznie<sup>1)</sup>. Z tych wzgórzy, zarosłych pod owe czasy lasami, już w odległości półtora kilometra, Rosyanie, maszerujący gościńcem od Mokobód, widzieli ulice i place miasteczka jak na dłoni. Panował tam ruch niezwykle; uliczki roiły się od powstańców, a na placu przed kościołem, widać było zbitą ich gęstą rzeszę z białym sztandarem. Papaafanasopuło rozkazał wyjechać na czoło dwom działom polowym i począł strzelać granatami na plac i ulice; ogień ten zapalił kilka stodół i domów, a w szeregach powstańczych wywołał pewne zamieszanie; większa część ruszyła pod wodzą Janka Sokoła ku

<sup>1)</sup> Patrz plan Nr. I.

rogatce mokobodzkiej i usadowiwszy się tutaj wśród ogrodów, opłotków i budynków, rozpoczęła gęsty, ale nieporządny i nieskuteczny ogień. Teraz wojsko rosyjskie zajęło pozycję bojową i uszykowało się na szosie w osobliwszym zaiste ordynku. Szosa ta idzie do miasteczka ukośnie i w pobliżu niego łamie się pod kątem prostym, tak że w ogólności do pozycyi Węgrowa, tworzy szeroki kąt otwarty. Otóż na tej linii ukośnej, w pobliżu wspomnianego załamania się, dowódzca rosyjski ustawił szwadron ułanów, a obok niego pluton artylerii konnej; dalej, w tyle już, zawsze na szosie stał pluton piechoty, dalej pluton artylerii polowej gwintowanej, znowu pluton piechoty. Za tem wszystkiem, ciągle na szosie, stała w rezerwie kompania piechoty i szwadron ułanów. Jedną kompanię i jeden szwadron zostawił Papaafanasopuło pod Szarutami dla strzeżenia podwód i bagaży. Ta osobliwsza linia bojowa, uparcie trzymająca się bitego gościńca, dawała możność zupełnie bezpiecznego skrzydłowego ataku, który, gdyby był dzielnie i umiejętnie poprowadzony, mógł spychać po kolei ułanów na artylerję, artylerję na piechotę i narazić Rosyan na stanowczą klęskę. Nikt jednak w obozie polskim o tem nie pomyślał; Jabłonowski ranny lekko w nogę w nocnej wyprawie na Szaruty, nie wiele działał; Janek Sokół, wyjechawszy na rekonesans pod roгатkę mokobodzka, nie widział innego ratunku jak odwrót, który, jeżeli był już konieczny, należało w nocy skutecznie, a nie narażać na ciężkie straty najwaleczniejszej młodzieży polskiej. Odwrót ten miał być dokonany na wieś Grochów do Sokołowa. Dla zasłonięcia rejterady, bardzo niebezpiecznej w dzień biały wobec licznej jazdy i artylerii nieprzyjacielskiej, Jabłonowski zajął stanowisko koło roгатki mokobodzkiej na czele 400 kosynierów, z zamiarem upartej obrony przystępu do miasta. Sokół zaś z całym oddziałem, długą bardzo kolumną wyruszył drogą do Sokołowa. Ten odwrót Papaafanasopuło, ze wzgórzy, na których stał, dostrzegł odrazu, i dla powstrzymania cofających się, wysłał cały szwadron ułanów, z rozkazem okrążenia klusem od

wschodu miasteczka, wypadnięcia na szosę sokołowską i wepchnięcia napowrót powstańców do miasta. Atak ten udał się o tyle, że część oddziału polskiego została w marszu wstrzymana i schroniła się na cmentarz i za stodoły i tu rozpoczęła ogień do ułanów; główne jednak siły powstańcze z Jankiem Sokołem pociągnęły spokojnie ku Grochowu.

Gdy się ten epizod na gościńcu sokołowskim rozgrywał, wódz rosyjski jednocześnie podsunął się ze wszystkimi swymi siłami znacznie bliżej ku miasteczku i począł razić kartaczami 400 kcsynierów, stojących gęstą kolumną w uliczce przy rogatce mokobodzkiej. Ta straż tylna, mająca zasłaniać odwrót oddziału, złożona była prawie wyłącznie z drobnej szlachty podlaskiej i z młodzieży inteligentniejszej, przejętej gorącym entuzjazmem, wspomnieniami starej chwały polskiej, tradycją ojców, którzy trawowali na Kluszyńskim pobojuwisku tłumy bojarszczyzny moskiewskiej. Teraz pod gradem kartaczy, Jabłonowski dawnym wzorem Racławickich bohaterów, postanowił uderzyć na dziesiątkujące go działa i kosą je wziąć. Przy okrzyku: „Jezus! Marya!” wysunął on się z pośrodku zabudowań na szczerze pole i gęstą acz bezładną kolumną, z wielką brawurą i fantazją, pędem ruszył na najbliższą linię wroga, t. j. na szwadron ułanów. Widok tej ciemnej masy w szarych kapotach, rwącej ze wszystkich sił naprzód z piorunowym błyskiem kos, wywiera tak silne wrażenie na ułanów, że nietylko nie myślą o ataku, ale gwałtownie i w nieładzie uciekają z pozycji<sup>1)</sup>. Dwa działa artylerii konnej są tym sposobem obnażone z asekuracji; na nie teraz wali czarniawa polska. wytrzymuje heroicznie kilka rdzennych, na blizki dystans wymierzonych wymio-

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 172 powiada, że ułani nie atakowali kcsynierów z powodu grzązkości gruntu i bródz na roli. Jest to fałsz: ułani zaledwie ujrzeli wysuwającą się naprzód kolumnę polską, odrazu pędem uciekli i nie mieli nawet czasu rozmyślać, czy szarża jest możliwą.

tów kartaczowych, pod którymi pokotem się kładzie, i dopada armat tak blisko, że oficerowie i kanonierzy biją do napadających z rewolwerów i pistoletów. Mimo to artylerzyści w nadzwyczajnym pośpiechu zdołali działa przyczepić i pędem, oganiając się przed pojedynczymi kcsynierami, uprowadzili je z pozycji. Teraz przed bohaterką garścią polską, straszliwie przetrzebioną, chociaż nie pozbawioną jeszcze pierwotnej siły rzutu, staje piechota; ale już Papaafanasopuło miał czas zejść z tą piechotą i plutonem dział polowych gwintowanych prawem ramieniem naprzód i rozpocząć na skrzydło polskie niszczący, blizki ogień kartaczowy i karabinowy, a od przodu parę plutonów ułańskich pod wodzą pułkownika Fiodorowskiego, rozsypanych we flankiery, zaczęło dojeżdżać i powstrzymywać w pędzie heroiczną kcsynierkę. Teraz dopiero jej moc męska złamaną została; 128 zaległo swemi ciałami krwawe pobojuwisko węgrowskie, reszta w nieładzie cofnęła się do miasta, szukając w niem osłony przed ścigającymi ich ułanami i deszczem kul i kartaczy.

Bitwa miała się już ku końcowi; broniono się jeszcze na cmentarzu w północno-wschodniej części Węgrowa, ale gdy Papaafanasopuło kazał granatami zapalić i tak już gorejące miasteczko, nieład wkradł się w szeregi polskie, pierwotny bohaterski ich opór złamany został i pojedynczo lub gromadami poczęli uciekać po drodze do Miedzny i w sąsiednie lasy. Artylerya rosyjska długo jeszcze, po zupełnem opuszczeniu przez powstańców Węgrowa, obsypywała go granatami, które zabiły wielu spokojnych mieszkańców i kobiet. Papaafanasopuło dopiero około godz. 2-iej po południu ośmielił się wysłać ułanów i piechotę do miasta, która wszedłszy, dopuściła się rabunku w kilku domach. Nakazano dźwi i okiennice pozamykać, a poległych powstańców obdarłszy do naga, rzucono na jeden stos na rynku, gdzie długo leżeli ci nieszczęśliwi, ci bohaterscy młodzieńcy<sup>1)</sup>. Dowódzca rosyjski wysłał liczne rozjazdy

<sup>1)</sup> „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 1.



w okolicę, żeby się dowiedzieć dokąd powstańcy pomaszerowali, ale rozjazdy te, jak zwykle, wróciły z niczem. Straty polskie w ogóle były znaczne; wszak sam atak kosynierów zostawił na pobojożywi 128 zabitych i rannych, których potem żołnierze rosyjscy z dzikiem barbarzyństwem niegodnie dobijali; straty rosyjskie, jak zawsze, są niewiadome. Według urzędowych raportów miało być pięciu tylko ranionych, a ani jednego zabitego, oraz 6 koni poniosło rany od kos<sup>1)</sup>; tę małą, trudną do uwierzenia stratę, tłumaczono nieumiejętnością strzelania powstańców. Większą część rannych ci ostatni zdołali wynieść z miasta.

Taką była ta bohaterska bitwa węgrowska, krwawy owoc entuzjazmu pierwszej chwili, którego niestety! później napotkać nam się już nie zdarzy. Dzięki też temu entuzjazmowi, dzięki heroicznemu poświęceniu się młodzieży, starcie to zyskało niezwykajny rozgłos. Wszystkie dzienniki zagraniczne podnosiły wysoko męstwo polskie; wydawane w Wiedniu pismo polskie „Postęp“, podało rysunek, przedstawiający atak kosynierów na działa rosyjskie, a stąd powoli rysunek ten przeniósł się do tygodników francuskich, niemieckich i angielskich, budząc wszędzie podziw nad walecznością polską, nie wygasła pod trzydziestoletniem jarzmem niewoli. W bardzo rozpowszechnionym miesięczniku francuskim „Przegląd dwóch światów“ (Revue des deux mondes), poeta francuski August Barbier, porównywał „dwustu szlachetnych synów Polski“, do garści Leonidasa w Termopilskim wąwozie. Sami nieprzyjaciele nasi, nie mogli odmówić uznania męstwu węgrowskiej młodzieży i wypełnienie powierzonego jej zadania, osłony cofającego się oddziału, nazwali „świetnem“<sup>2)</sup>. Urzędowy organ rosyjski „Journal de St. Petersbourg“, wyda-

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 178: „Żurnal wojennych dziejstw“, Nr. 4, mówi o utracie 4 ludzi.

<sup>2)</sup> Gesket-Puzyrewskij loc. cit. 172, powiada: „świetnie (bliznatielno) wykonali powierzone im zadanie“.

wany po francusku w stolicy caratu, nazwał tę walkę „upartą“.

Ale jeżeli powstańcy wykonali, jak mogli najlepiej, a w każdym razie po bohatersku swe zadanie, to tego nie można powiedzieć o dowódcach rosyjskich. Papaafanasopuło, wyłącznie dla zyskania sławy zwycięstwa, nie czekając na kolumnę warszawską, atakował sam jeden powstańców i pokonawszy ich, nie mógł im oczywiście zagrozić odwrotu i tym sposobem zamiast ich zniszczyć doszczętnie, pozwolił im się wymknąć, i był na tyle niedołężny, że już w parę godzin po bitwie nie wiedział dokąd poszli i co się z nimi stało. Oddział warszawski Krüdenera przemaszerował do Węgrowa w dzień starcia, t. j. d. 3 lutego około godz. 8-ej wieczorem, kiedy już wszystko oddawna było skończone, a Papaafanasopuło tłumaczył się, zapewne kłamliwie, że wiadomość o pochodzie Krüdenera odebrał tegoż dnia o godz. 5-ej po południu, t. j. po rozbiciu już powstańców<sup>1)</sup>. Bądź co bądź ci ostatni, stoczywszy bohaterską bitwę, wyszli z niej cało i zniknęli z oczów rosyjskich. Bitwa węgrowska odtąd stanie się klasycznym nieomal wzorem postępowania wszystkich dowódców rosyjskich w powstaniu, wzorem działania na własną rękę, niezważania na rozkazy i plany władz wyższych, staczania utarczek bez rezultatów i bez trofeów. Już wtedy, zaraz po bitwie węgrowskiej dla każdego, co umiał jasno patrzeć na rzeczy, było widocznem to zachowanie się dowódców rosyjskich. Konsul angielski w Warszawie, pułkownik Stanton, pisał o tem do swego rządu: „Powstańcy, których liczba nie jest wiadomą, cofnęli się do lasów okolicznych. Niestety dla rządu, jedna tylko kolumna wojska na trzy, przybyła na pole bitwy i powstańcy tym sposobem uniknęli zupełnego wytępienia“<sup>1)</sup>. Wobec tego nadzieje Wielopolskiego i stronnictwa Białych na rychłe stłumienie bezbronnej ruchawki, stawały się niestety! nieziszczonem

<sup>1)</sup> Loc. cit. 174.

<sup>2)</sup> „La Pologne et la diplomatie“ 49.

marzeniem, a kraj, dzięki rozprężeniu, panującemu w armii rosyjskiej i jej niekarności, ponosić miał wszystkie klęski i wszystkie cierpienia.

Powstańcy po bitwie węgrowskiej, wcale nie ścigani przez Papaafanasopulę, który, mając trzy szwadrony jazdy z łatwością mógł im na pięty następować, ruszyli na Miedznę i Kossów, w zamiarze przejścia Bugu i dostania się w Łomżyńskie; ale w marszu dowiedziano się, że w Nurze, Myśliborzu i Gąsiorowie stoi znaczny oddział rosyjski pułkownika Kemeckiego, oraz że Krüdener z pod Węgrowa puścił się za nimi w pogoń, więc z Kossowa skręcili do Sterdyni i, przeprawiwszy się przez Bug u Krzemienia i Grannego, pociągnęli ku Siemiatyczom, gdzie począły gromadzić się znowu większe siły powstańcze.

Dowodził tutaj, znany nam już ze swych potyczek w okolicach Tykocina, Cichorski-Zameczek, budowniczy kolejowy z Łap (stacya drogi żel. warszawsko-petersburskiej), człowiek bez żadnego wykształcenia wojskowego, zarozumiały niezwykle i samolubny. Z oddziałem swym, rosnącym ciągle w liczbę, wyniósł on się z Łomżyńskiego, przeszedł Narew i stanął w Siemiatyczach, gdzie od kilku dni obozował spokojnie. Marsz ten wykonał on nie dla tego, by uważał Siemiatycze za punkt strategiczny, jakim w rzeczy samej miasteczko to nie było, ale zdawało mu się, że tutaj Rosyanie napastować go nie będą. Jakoż przez kilka dni z rzędu nic nie zakłócało spokojnego odpoczynku Zameczka, a oddział rósł jak na drożdżach. Wkrótce znalazło się tu około 3.000 ludzi; samej kawalerii miał mieć 900 koni<sup>1)</sup>, ale nie wiele się zajmował oddziałem. Sam ustrojony w ciemno-zielony mundur z czerwonym kołnierzem, w białej czapce z amarantowym lampasem i ogromną wstęgą niebieską przez piersi, dbał tylko i starał się o to, żeby swą kawalerję ubrać w kurtki ulańskie i dla zabezpieczenia jej od strzałów, kazał dla niej robić pancerze z blachy, obszyte ceratą. Otoczył się gromadą młodzieży,

<sup>1)</sup> R. Roguński, Pamiętniki.

którą nazwał sztabem, mianował mnóstwo oficerów, nie mających pojęcia o służbie wojskowej, nie wystawiał placówek ani pikiet, ani podjazdów żadnych nie wysyłał, jak gdyby żył wśród pokoju zupełnego, a nieprzyjaciół znajdował się o setki mil odległości. To też nie miał żadnych wiadomości o tem, że w d. 6 lutego wyruszył z Bielska, na czele dość poważnych sił i dział czterech<sup>1)</sup>, na obóz siemiatycki generał Maniukin, niedawno należący do rzędu oficerów, z którymi organizacya powstańcza polska była w związku, a którzy w powstaniu przez nadzwyczajną gorliwość i okrucieństwo, chcieli wobec władzy zatrzeć swe pierwotne postępowanie. Maniukin, nazywany przez naszych pisarzy z tego powodu „renegatem“<sup>2)</sup>, około godz. 4-ej po południu niespodzianie wkroczył do miasta, a kozacy dotarli aż do rynku. Ale dzięki wysoko nastrojonemu entuzjazmowi pierwszej chwili, to nagle pojawienie się nieprzyjaciela nie wywołało wcale wśród powstańców popłochu, przeciwnie rozpoczęto z domów gęsty ogień, który wyparł Rosyan z miasta. Tymczasem noc zapadła i powstańcy na wzór węgrowskich bohaterów, postanowili uderzyć na działa, które zaczęły ostrzeliwać miasteczko granatami. Kolumna kosynierów, przeważnie złożona z „dzieci warszawskich“, którzy z pod Serocka pociągnęli do Zameczka, wyrusza śmiało, a towarzyszy jej na białym koniu ksiądz jakiś z krzyżem w jednej, a szablą w drugiej ręce. Wysunawszy się z miasteczka gęstą rzeszą, przy odgłosie starego mazurka o nieginącej Polsce, żwawo i rześko ruszyli naprzód, witani kartaczami, przed którymi zgodnie ze szkołą kosynierki, padali na ziemię i zrywając się, znowu biegli dalej. Atak ten, którego siłę potęgowała ciemność nocna, wywołuje popłoch wśród Rosyan; Maniukin wołał do blizkich, że „przyjdzie tu głowę położyć“, zwłaszcza, że jazda jego i piechota pomieszane razem, począły uciekać.

<sup>1)</sup> Jakie siły miał Maniukin, nie zdarzyło nam się ani w polskich, ani w rosyjskich źródłach znaleźć wiadomości.

<sup>2)</sup> A. Giller, Historia 1, 177.



Tylko kanonierzy dotrwali przy działach, prążąc z nich nieustannie atakujących, których siła zapędu dość wcześnie pękła i główna kolumna cofnęła się w popłochu, acz pojedyczo śmielsi dopadli do dział i kosami rąbali kanonierów. Na poboju zostało 20 zabitych i 17 ranionych<sup>1)</sup>. Ale zuchwałość tego ataku, ogólne zachwianie się szeregów rosyjskich, spowodowało, że kanonierzy odbiegli dwóch dział, które przewróciły się w bagnistym gruncie<sup>2)</sup> i do świtu leżały tak, zostawione same sobie, o czym oczywiście Zameczek wcale nie wiedział. Rosyanie w tem nocnem starciu, według raportów urzędowych, stracili w zabitych i ranionych 12 ludzi, między którymi było sześciu oficerów. Maniukin cofnął się do wsi Czertajewa, gdzie przywracał porządek, lizał się z ran tej krótkiej ale żwawej potyczki, wzywał na wszystkie strony pomocy, która w rzeczywistości samej miała mu przybyć w nocy z Ciechanowca<sup>3)</sup>.

Ale i Zameczkowi znaczne na pomoc dążyły posiłki. Jabłonowski po bitwie węgrowskiej, na czele niespełna 800 ludzi, tak zmałał jego oddział po tem krwawem starciu, przeszedł Bug i stał od Siemiatycz w odległości niecałej mili polskiej; mógł więc przybyć na plac boju w ciągu godziny. Rogiński, który zorganizowawszy się w Janowie Biskupim, zabrawszy pieniądze, srebra i konie ze stajni rządowych, na wieść o koncentracji oddziałów powstańczych za Bugiem, postanowił tam także wyruszyć, zwłaszcza że miał podobno rozkaz, iż, gdyby nie mógł się utrzymać na szosy warszawsko-brzeskiej, aby wymaszerował za Bug i tam rozwijał powstanie. Miał zamiar dokonać przeprawy pod Niemirowem. W chwili, gdy z Janowa wychodził, podjazd wysłany przezeń ku Białej doniósł mu, że generał Nostitz zbliża się do niego. Odległość do miejsca przeprawy, do Niemirowa, wynosiła dobrą milę polską, i Rogiński maszerował w szyku bojowym, gotowy każdej

<sup>1)</sup> „Wiad. z pola bitwy“ Nr. 3.

<sup>2)</sup> Loc. cit. *Rogiński*, Pamiętniki.

<sup>3)</sup> „Wiad. z pola bitwy“ Nr 3.

chwili do pokazania zębów następującemu na pięty nieprzyjacielowi. Kozacy pierwsi dopadli powstańców i wieszając się koło nich, widocznie chcieli Rogińskiego zatrzymać, by piechota rosyjska mogła zdążyć i zaatakować oddział polski na szczerem polu. Ale dowódca polski odgadł ten zamiar i, nie zważając na kozaków, maszerował krokiem podwójnym, licząc na to, że nad Bugiem samym jest dobra pozycja i w ostateczności tam bitwę przyjmie. Jakoż, odstrzeliwując się ciągle kozakom, przybył tu szczęśliwie. Pozycja nie była osobliwsza. Niemirow ciągnie się wzdłuż obu brzegów rzeki, dość płaskich, zarosłych łożyną; przed wsią wznosiło się kilka wzgórz. Przyjmować bitwę z rzeką w tyle i nieprzyjacielem wywiczonym i dobrze uzbrojonym, było prostem szaleństwem, które tylko w takiej głowie młodej i zarozumiałej jak Rogińskiego mogło się pomieścić. W dodatku na rzece był tylko jeden prom, a przeprawa tem stawała się trudniejszą, że dowódca polski włożył za sobą około stu wozów, naładowanych przeszło 2.000 kos, amunicją, ubranie i wszelkiego rodzaju sprzętami. Przedewszystkiem więc to ciężkie, wielkie, nieruchome obozowisko począł przeprowadzać, a oddział rozwinął na wzgórzu przed wsią, czołem do nadciągającego nieprzyjaciela. Lewe skrzydło tworzyła jazda Radowickiego, środek strzelcy Wolanina, prawe skrzydło strzelcy Szaniawskiego, rezerwę kosynierzy Goliana. W tym szyku cofał się wolno i sprawnie eszelonami ku Bugowi. Gdy jednak kozacy poczęli zbyt natarczywie naciskać cofających się, Radowicki otrzymał rozkaz uderzenia na nich. Sformował się szóstkami i ruszył z kopyta, ale kozacy dotrzymali placu, utworzyli szyk tatarski, półksiężycowy. Obie jednak linie dopadły do siebie, zatrzymały się jak wryte; dopiero, gdy Radowicki wyskoczył naprzód i dał ognia z pistoletu, jazda powstańcza śmiało rzuciła się na kozaków i zabiwszy kilkunastu, oraz ich esaulę, rozpędziła doszczętnie, zdobyła 30 koni i tym sposobem dała możność przeprowadzenia się za Bug piechocie. Dzielnym ten, rycerski atak, ocalił Rogińskiego; Nostitz z piechotą nadciągnął wtedy



dopiero, gdy cały oddział powstańczy był na przeciwnym brzegu, gdzie ostatnia, rzecz można, błędna kula trafiła Wolanina w czoło i zabiła na miejscu<sup>1)</sup>. Rogiński dotarł tego dnia do Wysokiego litewskiego i nocował we wsi za tem miasteczkiem<sup>2)</sup>. Tu dowiedział się, że w Siemiatyczach obozuje znaczny oddział powstańczy. Nie wiedząc kto tam dowodzi wysłał do Siemiatycz wezwanie, by dowódzca partyi tamtejszej niezwłocznie przybył do niego „dla wspólnego dalszego działania“. Miał zamiar z tak zwiększoną siłą rzucić się w puszcę Białowieżką. Ale na wezwanie swe otrzymał odpowiedź tej treści: „Naczelnny wódz armii podlaskiej, niniejszem wzywa naczelnika oddziału podlaskiego, Romana Rogińskiego, aby niezwłocznie zjawił się do Siemiatycz, do głównej kwatery, do wspólnego dalszego działania“. Rogiński po krótkim namyśle postanowił pomaszerować do Siemiatycz w tej nadziei, że mu się uda tam zagarnąć władzę naczelną<sup>3)</sup>. Ale ze swem ciężkiem, nieruchawem obozowiskiem nie mógł przebiec jednego dnia blisko pięciu mil polskich drogami rozmokłemi przez odwilż i na noc zatrzymał się o dziesięć kilometrów od rzezonego miasteczka, w karczynie przy gościńcu stojącej, tegoż samego dnia 6 lutego, w którym Maniukin zaatakował Zameczka. Ledwie począł się rozkładać obozem, gdy usłyszał huk dział; z całym oddziałem, zmęczonym marszami, niepodobna było pośpieszyć na plac boju, wysłał więc tylko

<sup>1)</sup> Rogiński, loc. cit. Już w Nr 22 „Dziennika powszechnego“, Komisya oświecenia dała dymisy Wolaninowi „dla dobra służby“.

<sup>2)</sup> Od ks. Sapiehy, właściciela Wysokiego otrzymał w darze 6 koni, 2 dubeltówki i 250 rubli gotówką. Rogiński chciał koniecznie namówić ks. Sapiehę do objęcia dowództwa, w tem przekonaniu, że „na jego jedno odezwanie się cała Litwa powstanie“, ale Sapieha odmówił.

<sup>3)</sup> Tak o tem mówi w swych pamiętnikach: „Wahałem się, mogłem korzystać z praw swoich, jako komisarz rządowy, iść tam, gdziebym chciał, ale miłując kraj i sprawę, nie o tytuły mi chodziło; liczyłem na swój oddział, rzeczywiście mi posłuszny, że będę miał przewagę w tej masie zebranej, poszedłem do Siemiatycz“.

na pomoc jazdę Radowickiego, która przybyła już po ukończeniu potyczki.

Tym więc sposobem Zameczek był uwiadomiony o zbliżaniu się Rogińskiego i o blizkiem sąsiedztwie Jabłonowskiego; o jednym tylko nie wiedział, to jest, że do Siemiatycz dążył także Walenty Lewandowski, naczelnik sił zbrojnych województwa podlaskiego. Ten po nieudanym napadzie na Siedlce, błąkał się jakiś czas po Podlasiu, wreszcie, dowiedziawszy się, że w historycznych Maciejowicach zbiera się oddział powstańczy, postanowił się tam udać. W rzeczy samej miasteczko to zastał nadzwyczajnie ożywionem. Na kuźniach, zaimprovizowanych naprędce, osadzano kosy, okuwano lance, rekwirowano z okolicy konie, a nad tem wszystkim naczelnikował jakiś aptekarzyk z Warszawy. Lewandowski nad zebranymi powstańcami zaraz objął dowództwo i starał się jaki taki ład wojskowy wśród nich zaprowadzić. W czasie tych zajęć dowiedział się, że w pobliskiej wsi Rowy pod Łaskarzewem, ma się odbyć wielki zjazd szlachty, która, obawiać się należało, oświadczy się, jak wszędzie, przeciw powstaniu. Lewandowski tym większe miał powody do takiego przypuszczenia, że w czasie swej kilkudniowej po województwie włóczęgi, przekonał się osobiście, jak szlachta jest niechętną powstaniu, jak kwaśno przyjmuje powstańców, a niekiedy nawet wprost żywności im odmawia. Chcąc więc zapobiedz jakiemu „kompromitującemu“, jak się wyrażał, aktowi, udał się na ów zjazd do Rowów i znalazł to, co spodziewał się znaleźć. Zebrana szlachta piorunowała przeciw „półgłówkom, którzy nic nie mają do stracenia i kraj w nieszczęście wtrącają“, głośno oświadczała wojewodzie podlaskiemu, że nic nie da, ani pieniędzy, ani koni, ani żywności, że „niech sobie piją piwo ci, którzy je nawarzyli“. Lewandowski wysłuchawszy tego, powstał na zebranych z wielką energią, skrzyczał ich ostro, zagroził surowemi karami i wszystkim młodym, obecnym tamże, rozkazał nazajutrz stawić się w obozie maciejowickim, lub koło kaplicy św. Onufrego w lesie za Łaskarzewem. Jakoż taka była roz-



terka w duszach i sercach tych ludzi, patrzących na rzeczy niewątpliwie zdrowo i rozumnie, taka obawa, by jakimkolwiek krokiem nie zaszkodzić ubóstwianej ojczyźnie, taka niepewność co do tego, co jest korzystnem a co zgubnem dla kraju, że wszyscy w milczeniu wysłuchali surowych napomnień Lewandowskiego, rozjechali się, nie nie uradziwszy, a zazajatrz synów swych wysłali do obozu <sup>1)</sup>.

Wojewoda podlaski, uorganizowawszy się jako tako, zamierzył uderzyć na kompanię piechoty rosyjskiej, kwaterującą w Łaskarzewie. Ale atak się nie udał wskutek zdrady. Żona jednego z żołnierzy rosyjskich, stojących w Łaskarzewie, będąc w Maciejowicach dowiedziała się o wszystkim i męża o tem uwiadomiła. Skoro Lewandowski zbliżył się do celu swego ataku, zastał oddział rosyjski za miastem, zagradzający mu drogę. Ponieważ część młodzieży szlacheckiej, zmonitowanej w Rowach, miała się zebrać w lesie koło kaplicy św. Onufrego, z drugiej strony Łaskarzewa, więc Lewandowski okrążył miasto, połączył się z nimi i usiłował wtargnąć w ulice, ale Rosyanie już go tu uprzedzili i kilka strzałów, danych przez nich, rozproszyły większą część partyi powstańczej <sup>2)</sup>. Z garścią jakichś kilkudziesięciu ludzi, wojewoda podlaski pomaszerował do Białej, gdyż doszły go wiadomości, że tam Rogiński się znajduje. W miasteczku tem Rogińskiego już nie zastał, a małe oddziały, który doprowadził tu z Maciejowic, wymówił wojewodzie posłuszeństwo. Niepowodzenia stale towarzyszące Lewandowskiemu, jego mała, drobna, nie imponująca niczem figurka, głos cichy i jakby stłumiony, brak wszelkiej fantazyi rycerskiej, tak porywającej zawsze żołnierzy a zwłaszcza polskich, spowodował, że niechętnie na wojewodę patrzano i w końcu słuchać go nie chcieli. Ludzie w Białej po prostu grupami się rozchodzili, więc Lewandowski z kilkunastu sobie wiernymi, na

<sup>1)</sup> W. Lewandowski, Zeznania (rkpsm).

<sup>2)</sup> Loc. cit.

wieść o wielkich obozowiskach siemiatyckich, pomaszerował do tego miasteczka <sup>1)</sup>. Nad Bugiem spotkał się z oddziałem Ignacego Mystkowskiego, pochodzącego z drobnej szlachty łomżyńskiej, swego kolegi z legionów polskich w kampanii węgierskiej, który maszerował do Siemiatycz, oraz z oddziałem Dra Czerkawskiego z Łosic, który po ataku na Siedlce, włączył się po Podlasiu, a teraz ciągnął za wszystkimi pod Siemiatycze. Nad tymi oddziałami, mogącymi liczyć koło 400 ludzi, przeważnie w kossy uzbrojonych, Lewandowski objął dowództwo i poprowadził na ów ogólny punkt zborny powstania podlaskiego <sup>2)</sup>.

Zameczek, mimo tak znacznego nagromadzenia się sił powstańczych dokoła Siemiatycz, sił, które w przybliżeniu należy obliczać na cztery do pięciu tysięcy ludzi, przerażony napadem nocnym Maniukina, postanowił wycofać się i przerzucić znowu za Bug. W tym celu, przed świtem jeszcze, cały tabor i wozy z amunicją, oraz wszystką kawalerją, wynoszącą, jakśmy wspomnieli, około 900 koni, wysłał do Drohiczyna, pod dowództwem niejakiego Plucińskiego, niegdyś zawiadowcy stacyi Praskiej na drodze żelaznej warszawsko-petersburskiej <sup>3)</sup>. Zameczek rozkazał Plucińskiemu przygotować wszystko do przeprawy przez Bug, obiecując, że sam z piechotą niebawem wyruszy. Tymczasem o godz. 8-ej rano nadciągnął Rogiński <sup>4)</sup> i zajął ogromne drewniane lazarety, złożone z kilku pawilonów, stojące przy drodze od Wysokiego Litewskiego, skąd przyszedł. Rogiński strzelcom swoim rozdaje wszystkie, jakie posiada, ładunki i rusza do miasta. Tutaj napotyka Janka Sokoła (Matlińskiego) znanego nam z bitwy węgrowskiej, który na czele kilkunastu koni przybył z doniesie-

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

<sup>3)</sup> R. Rogiński, loc. cit. „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 3.

<sup>4)</sup> Rogiński, loc. cit. W innej relacyi rękopiśmiennej tegoż Rogińskiego, jaką posiadamy w naszych zbiorach, jest powiedziane, że przybył on do Siemiatycz o godz. 6-ej rano.

niem, że Jabłonowski stoi ze swym oddziałem o milę niecałą od Siemiatycz. Rogiński, który w swej godności komisarza rządowego, dzięki wreszcie swej młodzieńczej, nerwowej energii, uważał się wszędzie na Podlasiu za główną osobę, daje rozkaz Sokołowi, aby natychmiast wracał do Jabłonowskiego i żeby ten niezwłocznie przybywał pod Siemiatycze i atakował nieprzyjaciela, jeżeli już bój zastanie, od tyłu, po drodze Drohiczyńskiej<sup>1)</sup>. Rogiński, jadąc dalej spotyka się z wchodzącym do miasta Lewandowskim i już razem, otoczeni plutonem jazdy Radowickiego, ruszają do wielkiej murowanej karczmy na rynku, gdzie była kwatera główna Zameczka. W izbie karczemnej, przepelnionej dymem tytoniowym, zastają około 50 młodzieży, jaskrawo ubranej z owemi blachami na piersiach, które tak usilnie tu robiono, wreszcie w głębi Zameczka, mężczyznę czterdziestoletniego, z piękną, czarną brodą i w teatralnym stroju. Rogiński zgniewany tem gwarem zbiegowskim, zapytuje: „Co to za tłum?“ a gdy mu odpowiadają, że to „sztab generała“, rozkazuje Radowickiemu oczyścić natychmiast izbę ze sztabowców i wyprawić ich do szeregu. Na te groźne słowa izba opustoszała, ale Zameczek głośno woła: „Kto tu śmie rozkazywać?“ Wtedy Rogiński oświadcza, że jest komisarzem rządowym, że tu obok niego stojący Lewandowski jest naczelnikiem sił zbrojnych województwa, naznaczonym na tę godność przez Komitet centralny, że zatem wszyscy obowiązani mu są bezwarunkowe posłuszeństwo. Zameczek z widoczną niechęcią uległ energicznemu wystąpieniu Rogińskiego i wszyscy trzech siedli na koń, by rozpatrzyć pozycję i naradzić się nad obroną<sup>2)</sup>.

Siemiatycze, donacya Fenshawów, leżą między Wysokiem Litewskiem a Drohiczyinem, na prawym brzegu niewielkiej rzeczki, rozlewającej się w szerokie bagniska. Idąc od pierwszego z tych miasteczek, trzeba te błota i rzeczkę

<sup>1)</sup> Rogiński, loc. cit.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

przechodzić przez most, prowadzący wprost na rynek. Od rynku na lewo ciągnie się piękna aleja, wysadzana starymi grabami, na końcu której znajduje się obszerny pałac książąt Jabłonowskich, niegdyś dziedziców dóbr Siemiatyckich, a w chwili powstania zajęty na fabrykę sukna; poza pałacem biegnie gościniec do Drohiczyzna i Bugu. Na prawo od rynku wznosił się kościół katolicki i cerkiew prawosławna, dwa główne budynki miasteczka; prócz tego na tymże rynku znajdowała się, wspomniana już przez nas, wielka karczma murowana, zajęta na kwaterę główną Zameczka, i w danym razie mogąca stanowić mocny punkt oparcia dla obrony. Za kościołem, na krańcach miasta, mieściły się dwa cmentarze, otoczone niskim murem, przytykające do drogi od Bielska. Od strony Wysokiego Litewskiego, przed mostem i błotami, stało kilka pawilonów drewnianych lazaretu, które zajął oddział Rogińskiego. Atak nocny Maniukina, jakśmy poprzednio zaznaczyli, był prowadzony po drodze od Bielska i teraz z tejże strony należało się go spodziewać. Położenie to samo przez się wskazywało plan obrony, która polegała przedewszystkiem na silnem obsadzeniu cmentarzy, rynku i pałacu. Zgodnie z tem, Zameczek ma zająć ze swym oddziałem oba cmentarze i wyloty miasta od strony Bielska, z silną rezerwą kosynierów za cmentarzami; środka miasta, t. j. rynku ma bronić Lewandowski; Rogiński alei i pałacu. Spodziewane jest przybycie Jabłonowskiego od Drohiczyzna, który tym sposobem weźmie nieprzyjaciela od skrzydła i może go wrzucić na bagna i rzeczkę. Planowano sobie, że, jeżeli atak rosyjski uda się od miasta odeprzeć, to wtedy miano z całą siłą kosynierów wystąpić z Siemiatycz i uderzyć wstępny bojem na zachwiane szeregi wroga. Naczelnie dowództwo pozostaje z urzędu przy Lewandowskim. Takie postanowienie zapadło na radzie trzech dowódców, którzy wyjechali konno za miasto i przez lunetę widzieli ciągnące w dali czarne kolumny rosyjskie. Maniukin prowadził ze sobą dwa szwadrony ułanów, setkę kozaków, dwa ba-



taliony piechoty i cztery armaty <sup>1)</sup>, czyli mniej więcej około 2500 ludzi, to jest siły bardzo poważne ze względu na swe uzbrojenie i wyowiczenie wojskowe odnośnie do powstańców, wprawdzie liczebnie mocniejszych, ale nie dorównywujących dobrze uorganizowanemu wojsku.

Stosownie do powziętego planu, Zameczek osadza się w części miasta, leżącej przy drodze od Bielska, oraz zajmuje cmentarze z rezerwą kosynierów za nimi; Lewandowski w środku miasta obiecuje uparcie się bronić, a Rogiński biegnie do swoich za rzekę, by ich sprowadzić do pałacu, powierzonego jego obronie. Golian maszeruje więc na czele kosynierów, Szaniawski strzelców, Radowski jazdy. Biegają krokiem gimnastycznym, powitani na rynku miasteczka przez Lewandowskiego i jego ludzi, grzmiejąc: „niech żyją!“ Szaniawski ze strzelcami osadza część miasta od strony pałacu, Radowski z kawalerią staje w alei grabowej, sam Rogiński z resztą strzelców zajmuje pałac, za którym Golian szykuje w ściśniętą kolumnę swych kosynierów. W takiej pozycji czekają Maniukina, który zbliża się dość wolno i ostrożnie, a odgłos trąbek wojskowych rosyjskich brzmi daleko i szeroko w sennej ciszy poranku zimowego. Kolumny rosyjskie rozwijają gęste łańcuchy tyralierskie, którym starają się okolicę miasteczko; armaty wysuwają się na pozycje i rozpoczynają zasypywać Siemiatycze i pałac granatami; współcześnie tyralierzy nieprzyjacielscy ze swych karabinów dalekonośnych, ze znacznej odległości prażą kulami powstańców, którzy w niemem milczeniu czekać muszą, aż wróg tak się zbliży, by można go razić z nędznej broni myśliwskiej. Po gęstej palbie która walczących owinęła, niby zasłoną, chmurą dymu, Maniukin rzuca do ataku na dwa skrzydła polskie, na Zameczka i Rogińskiego, prawie połowę całej swej piechoty. Dwie kompanie biegną ku cmentarzom, co Zameczka tak

<sup>1)</sup> Rogiński loc. cit. mówi, że było dział 6 i dwustu kozaków. Poszliśmy tym razem za relacją *Lewandowskiego* (Zeznania, który jako główny dowódzca mógł być lepiej poinformowanym.

przeraża, że, nie czekając na ręczne starcie, pośpiesznie opuszcza pozycję, której bezwarunkowo mógł bronić długo i skutecznie. W odwrocie tym źle i bezładnie dokonanym, wrzucony na trzęsawiska wzdłuż rzeczki, traci mnóstwo ludzi i wreszcie wydostaje się na drogę do Wysokiego Litewskiego, po której maszeruje, nie pytając się zgoła, co się dzieje z towarzyszami, pozostałymi w Siemiatyczach <sup>1)</sup>. Ci znaleźli się w położeniu bardzo krytycznym, wprawdzie Rogiński atak na niego wymierzony, kontratakiem kosynierów odrzucił, ale Lewandowski po odparciu także ataku pierwszego, przy ponownem natarciu sił rosyjskich, postanawia się cofać, zwłaszcza, że ma bok przez ucieczkę Zameczka odsłonięty. Doniosłszy więc o tem Rogińskiemu za pośrednictwem karteczki, naprędce ołówkiem skreślonej, tej treści: „Cofam się, bo nas okrażają i ataku nie wytrzymałem“, rozpoczyna odwrót dość sfornie w kierunku tym samym, w którym poszedł Zameczek, to jest ku Wysokiemu Litewskiemu. Rogiński, zostawiony sam sobie, broni się jeszcze jakiś czas; jego strzelcy, klęcząc poza sztachetami pałacu, nieustannym i dobrze wymierzonym ogniem, powstrzymują wszelkie śmielsze zapędy Maniukina, ale, gdy dowiedział się od Radowskiego, że Lewandowski już wyszedł z Siemiatycz i że nieprzyjaciół zajął rynek, decyduje się na rejteradę z nader teraz niebezpiecznej pozycji. Rozkazuje więc Radowskiemu, by podążył do taboru, zostawionego za rzeką, co ten śmiały oficer kawaleryjski wykonywuje rzeško i z brawurą. Pędem przebiega rynek, gdzie już piechota rosyjska się znajdowała, dostaje się na most, rozpędza kozaków, którzy rabowali wozy i wyrusza z nimi za Zameczkiem i Lewandowskim. Rogiński tymczasem zbiera swój oddział, wysyła przodem kosynierów Goliana: „Chłopcy, woła do strzelców Szaniawskiego, cofamy się, ale krok za krokiem, strzelając, i tym sposobem zasłonimy kosynierów, którzy idą naprzód z Golianem“. Maszerują więc przez długą aleję grabową, na rynku za-

<sup>1)</sup> Patrz plan Nr. 2.



mieniają strzały z nieprzyjacielem i pod gęstym ogniem, który kilkunastu ludzi wyrwa z szeregów, wydostają się na trakt do Wysokiego, zostawiając za sobą nieszczęśliwe miasteczko objęte pożarem i kłębam dymu<sup>1)</sup>.

Taką była ta bitwa siemiatycka, która powstaniu podlaskiemu zadała cios bardzo poważny i ciężki. Już od niej nie mogło się ono nigdy podnieść do pierwotnych sił i pierwotnego blasku. Straty polskie w zabitych i rannych były znaczne, i musiały być takimi, że względu, że wystawieni byli przez cały czas dwugodzinnego przeszło boju na strzały sześciu dział, a z początku na ogień karabinowy, który musieli wytrzymywać z bronią u nogi<sup>2)</sup>. Straty rosyjskie nie są znane. Z tem wszystkim przyznać należy, że i tu walczone dzielnie i po bohatersku. Przegrana, prócz niższości broni i braku organizacji wojennej, przypisać należy wyłącznie Zameczkowi, który bez najmniejszego oporu opuścił powierzona sobie pozycję, narażając wszystkich na niechybną klęskę<sup>3)</sup>. Odwrót Lewan-

<sup>1)</sup> Lewandowski w swych „Zeznaniach“ utrzymuje, że główną przyczyną przegranej było zachowanie się Rogińskiego, który powierzono sobie stanowiska dokoła pałacu, wcale nie bronił, i pierwszy, bez strzału prawie, wycofał się z Siemiatycz. Opowiadanie nasze oparte jest na „Pamiętnikach“ Rogińskiego, które wydają nam się wiarygodniejsze. W swej relacji piśmiennej, jaką posiadamy w naszych zbiorach, słuszną robi on uwagę, że, chcąc z pałacu dostać się na drogę do Wysokiego, musiał przechodzić przez rynek, gdyby więc pierwszy się cofał, to zastałby na rynku Lewandowskiego, i ten jako zwierzchni dowódzca mógł go być zatrzymać. W relacji tej powiada: „Wycofawszy się z miasta, zastałem w karczinie na drodze do Wysokiego Litewskiego o dziesięć wiorst (od Siemiatycz) i Lewandowskiego i Zameczka z Zejfrydem. Ponieważ ich tam zastałem, więc musieli przybyć przedemną“.

<sup>2)</sup> „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 3. obliczają straty polskie na 100 ludzi; cyfra to bardzo niedokładna i ogólnikowa. Między poległymi był Gudowski, syn wysokiego urzędnika w Komisji spraw wewnętrznych, późniejszego prezesa teatrów warszawskich. Granat rozpruł mu brzuch.

<sup>3)</sup> Rogiński w cytowanej relacji rękopiśmiennej powiada: „Czy bitwa siemiatycka mogła być wygrana? na to trzeba było: *primo*,

dowskiego i Rogińskiego odbył się w porządku i postawie takiej, że Maniukin ich nie ścigał; Zameczek w swem bezładnem cofaniu się stracił mnóstwo ludzi od kul nieprzyjacielskich, a wielu bardzo rozbiegło się w zupełnem zniechęceniu<sup>1)</sup>. Jabłonowski, stojący od Siemiatycz o milę niepełną, mając rozkazy przybycia tamże, słysząc zapewne huk dział, przyszedł, ale zapóźno. Wszystko to świadczy o braku wyrobionego pojęcia wojskowego, o anarchicznych dążnościach różnych dowódców, z których każdy chciał uchodzić za wodza naczelnego i niepodlegającego innym. W tej smutnej epoce tego rodzaju faktu, ciągle niestety! powtarzać się będą.

Maniukin w zdobytych Siemiatyczach zachował się dziko i okrutnie, dając zły przykład, według którego, jak to nieraz jeszcze zobaczymy, oficerowie rosyjscy chętnie się odtąd wzorowali. Miasteczko zapalone w czasie walki od pękających granatów, stało się teatrem strasznych scen rabunku i morderstw bezbronnym mieszkańcom. Pałac spalono i zrabowano doszczętnie, choć należał do wysokiego dygnitarza rosyjskiego; w samem miasteczku, ledwie 18 domów ocalało. Kościół katolicki byłby także uległ rabunkowi i profanacji, gdyż pijane żołdactwo, nie słuchając wcale oficerów, już drzwi wyrąbywało, gdyby nie pop schyzmatycki, który stanowczo się temu oparł. Maniukin, maszerując z Siemiatycz, wszędzie po drodze rabował i pa-

by oddziały tak Zameczka jak i Lewandowskiego były lepiej zorganizowane; powtóre, byśmy wszyscy byli wcześniej zebrani w Siemiatyczach, byśmy się poznali i mogli przygotować do bitwy. W tym wypadku jedyna możebna była wygrana, gdyby Jabłonowski był uderzył z tyłu, jak to powinien był zrobić podług swego rozporządzenia. Jabłonowski w rzeczy samej przyszedł do Siemiatycz, ale już po starciu i po odwrócie wszystkich powstańców.

<sup>1)</sup> „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 3. słuszną zrobiły uwagę pod adresem Zameczka: „Odwrót w porządku dokonany nieraz zabliźnia rany przegranej, a w partyzanckiej wojnie równa się zwycięstwu. Dlatego to dowódcy starać się powinni zawsze o odwrót w porządku, a żołnierze nigdy nie powinni oddawać się popłochowi i rozsypywać się w nieładzie“.



lił niby nowy Atylla. W Dziadkowicach spustoszył kościół i zabrał schowane tam przez szlachtę okoliczną dwadzieścia kilka tysięcy rubli. W Czartajewie, gdzie po swej nowej porażce pod Siemiatyczami, gościnnie był przyjmowany przez rządcę majątku, zrabował stodoły, gumna i obory, tak że nazajutrz żołnierze woły po rublu, a owce po gr. 10 sprzedawali. We wsi Dołubiznie zabili właściciela Wincentego Śnieżkę, a dwór tak zrabowali, że nawet koszuli nie było dla trupa<sup>1)</sup>. Straszne te sceny świadczyły do jakiej niekarności doszedł żołnierz rosyjski i jaki barbarzyński charakter miała przybrać ta wojna.

Wszyscy trzej dowódcy polscy z pod Siemiatycz spotkali się w karczmie w pobliżu Wysokiego Litewskiego, i tutaj dzięki zakorzeniającej się niesforności i chęci działania na własną rękę, wymówili posłuszeństwo Lewandowskiemu. Zameczek, nie pytając o niego, ruszył ku Drohiczynowi, a stąd za Bug w Łomżyńskie, gdzie go wkrótce znajdziemy; Rogiński skierował się ku puszczy Białowiezkiej, dokąd ciągnęły go nadzieje obudzenia ruchu powstańczego na Litwie, a Lewandowski z 80 zaledwie ludźmi, między którymi było 12 kawalerzystów, wrócił na Podlasie. Nim opowiemy losy i koleje istnie Orlandowych przygód tej garści straceńców, przenieść się musimy w inne części kraju i przypatrzeć się tragicznym wypadkom, jakie się tam rozgrywały.

W województwie lubelskiem dwudziestoletni Leon Frankowski, komisarz Komitetu centralnego, obrał Kazimierz nad Wisłą za punkt zborny dla uorganizowania głównych sił zbrojnych tego województwa, a obrał prawdopodobnie dlatego, że w pobliżu o dwie niespełna mile były Puławy, a w nich instytut politechniczny. Liczył więc głównie na młodzież tamtejszą, która miała stanowić kadry przyszłych oddziałów lubelskich. Jakoż pod tym względem nie omylił się; na wezwanie jego większa część studentów w nocy z 22 na 23 stycznia podążyła do Kazimie-

<sup>1)</sup> „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 4.

rza, zabrawszy ze sobą wszelkie naczynia kuchenne skarbowe<sup>1)</sup>. Krzywicki, dyrektor Komisji oświecenia, dowiedział się o tem w Warszawie dość wcześnie, i lękając się, żeby wszystka młodzież nie podążyła z instytutu do obozów Kazimierzowskich, domagał się za pośrednictwem margrabiego Wielopolskiego, aby Chruszczow, naczelnik wojenny lubelski, postawił między Puławami a Kazimierzem oddział wojska, „dla ochronienia instytutu od stosunków z bandami w Kazimierzu“, ale Chruszczow temu zadaniu zadość nie uczynił<sup>2)</sup>, co jest jednym więcej dowodem, jaką nienawiść do Wielopolskiego i do nowego rządu polskiego żywili jenerałowie rosyjscy. Oprócz tego Krzywicki w chwalebnej trosce o byt instytutu, wysłał do Puław Stanisława Przysańskiego, wicedyrektora wydziału oświecenia w Komisji, w charakterze reprezentanta rządu, dla powstrzymania młodzieży od gremialnego udziału w powstaniu. Misy Przysańskiego wcale się nie udała, gdyż w Puławach nie zastał już ani jednego studenta, i szkoła ta, owoc zabiegów margrabiego, tak świetne dla kraju rodująca owoce, odtąd faktycznie istnieć przestała.

Główne więc jądro obozowiska Kazimierzowskiego stanowiła młodzież puławska, której Frankowski, gdy się go o broń pytał, dał ową charakterystyczną odpowiedź: „Po co wam broń? kijami zdobędziecie u Moskali karabiny, karabinami armaty, a armatami Modlin i Warszawę!“ Pierwszego dnia w obozie znalazło się wszystkiego 40 ludzi, ale już w ciągu następnych, siły polskie w Kazimierzu wzrosły do 600 ludzi<sup>3)</sup>. Oprócz Puławiaków, jak ich

<sup>1)</sup> Wiadomość podana przez Gesket-Puzyrewskiego, loc. cit. 178 i N. Berga, Zapiski II, 456, jakoby studenci otrzymali od dyrektora politechniki formalne urlopy na dwa tygodnie, jest, jak się zdaje, pozbawioną prawdy.

<sup>2)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 178.

<sup>3)</sup> Z. L. Sulima, Wspomnienia ulana I, 47. „Wyjątki z pamiętników powstańca“ („Dziennik warszawski“ Nr. 147 z r. 1865) twierdzą, że było 700 ludzi. Zyg. Napoleon Krzywdą, Wspomnienia obozowe, 191, powiada, że samych Puławiaków było 560, a prócz tego



zwano, oddział składał się z mieszczan sąsiednich miasteczek (Kurowa, Kazimierza, Końskowoli, Opola i t. d.), z włościan okolicznych (w bardzo zresztą małej liczbie), nieco żydów, kleryków z seminarium lubelskiego, nakoniec aktorów goszczącej w tamtych stronach trupy Okońskiego<sup>1)</sup>. Pieniądzy nie brakowało, gdyż Frankowski na drugi dzień po powstaniu zabrał w Kurowie pocztę wozową, idącą z Warszawy do Lublina, i skonfiskował w gotówce rs. 48.213 kop. 15<sup>1</sup>/<sub>4</sub><sup>2)</sup>. W Kazimierzu ogłoszono uroczyscie Rząd narodowy i zdarto orły rosyjskie. Frankowski oddał dowództwo niejakiemu Antoniemu Zdanowiczowi, burmistrzowi z miasta Markuszowa, niegdyś służącemu w wojsku rosyjskim, z którego wyszedł w stopniu porucznika<sup>3)</sup>. Tytułował on się „naczelnikiem sił zbrojnych województwa lubelskiego“, a oddział nosił nazwę „oddziału lubelskiego“. Był to człowiek już nie młody, bez inteligencji i znajomości sztuki wojσκowej, sterany życiem i lubiący się napijać. Organizacją oddziału nie wiele się zaj-

przeszło 100 włościan, którzy zebrali się w nocy z d. 22 na 23 stycznia dla atakowania Końskowoli i prawdopodobnie znaleźli się potem w obozie Kazimierzowskim.

<sup>1)</sup> Z. L. Sulima, loc. cit.

<sup>2)</sup> *Akta Komisji skarbu*. Frankowski na pieniądze te wystawił takie pokwitowanie: „D. 24 stycznia r. b. 1863, zatrzymany został przez armię polską furgon i pomimo oporu konduktora i pocztyliona, wzięliśmy z owego (oczywiście furgonu), pakiet z 48.213 rs. 15<sup>1</sup>/<sub>4</sub> kop., z których niniejszem kwitujemy (podpisano) komisarz: Leon Frankowski; naczelnik województwa: Michał Malukiewicz“. Sumę tę skarb Królestwa musiał zwrócić komu należy.

<sup>3)</sup> Antoni Zdanowicz, syn właściciela ziemskiego, rodem był ze wsi Krosienko w woj. Augustowskim. Wstąpił do wojska rosyjskiego w r. 1848 jako szeregowiec, brał udział w obronie Sewastopola, gdzie był kontuzjonowany i ranny w rękę. W r. 1858 wystąpił ze służby w stopniu porucznika. Wykształcenie miał bardzo niewielkie. W stanie jego służby powiedziane było, że posiada znajomość języka rosyjskiego, działania arytmetyczne i zna służbę frontową. Ożeniony ze swą kuzynką panną Julią Zdanowiczówną, córką burmistrza m. Kazimierza nad Wisłą, pozostawił dwie córki dotąd żyjące. (Z notatki rękopiśmiennej, znajdującej się w zbiorach autora).

mował; musztra odbywana codziennie na brzegu Wisły, ograniczała się na koniecznych obrotach. Uzbrojenie było nadzwyczajnie liche; w całym oddziale posiadano zaledwie 100 kos, nieco strzelb i karabinów; jazdy wcale nie miano<sup>1)</sup>. Część zebranych stała w mieście, część rozlokowała się w sąsiednich wawozach. Pozycja Kazimierza o ile z jednej strony przedstawiała dobre warunki do upartej obrony, dzięki swemu górzystemu położeniu i wawozom, to z drugiej była bardzo niebezpieczną, mając z tyłu Wisłę, w którą po sforsowaniu Kazimierza, cały oddział mógł być wrzuceny. Ale Zdanowicz o tem nie myślał; z tych żywiołów, z których składała się partya, inny energiczniejszy dowódzca, byłby stworzył wyborne kadry powstańcze, a pod Zdanowiczem obóz Kazimierzowski wyglądał raczej na bandę, jak na wojsko, mające walczyć za wolność ojczyzny<sup>2)</sup>. Cały tydzień stracono bezczynnie, tak że gorąca młodzież puławska poczęła już szemrać, zwłaszcza, że dochodziły wieści, iż od Kurowa ciągną na Kazimierz znaczne siły rosyjskie. Radzono Zdanowiczowi, by się przerzucił za Wisłę i żeby w tym celu ściągnął na brzeg prawy wszystkie, jakie znaleźć będzie można promy, ale on nie posłuchał tej rady, nie nie robił po dawnemu, tylko kasę rozdzielił, zatrzymawszy przy sobie 25.000 rubli. „Przynajmniej w razie napadu cokolwiek uratujemy, mówił, przecież wszystkich nie zabijają“<sup>3)</sup>.

Chruszczow w Lublinie dopiero po tygodniu dowiedział się o istnieniu obozowiska powstańczego w Kazimierzu, jak się zdaje z wezwania Wielopolskiego, by Puławy odgrodził od Kazimierza. Wskutek tego d. 31 stycznia wy-

<sup>1)</sup> Ludziom płacono żołdu po 2 złp. dziennie, prócz tego dawano funt mięsa, bochenek chleba, miarkę krup i kwaterkę wódki. Kobiet w sztabie było kilka, które zwano „obozówkami“; one to zarządzały kasą i wypłacały żołd. Sam Zdanowicz nie nie robił i, jak mówiono, często się upijał. (Wyjątki z pamiętników powstańca, loc. cit.).

<sup>2)</sup> Z. L. Sulima loc. cit.

<sup>3)</sup> Wyjątki z pamiętników powstańca, loc. cit.



słał kolumnę, złożoną z czterech kompanii piechoty (dwie pułku Wołogodzkiego i dwie batalionu strzeleckiego) i 40 kozaków, pod dowództwem podpułkownika Miednikowa. Gdy nakoniec do obozowiska polskiego doszły pewne wiadomości o marszu Miednikowa, wobec przeważającej siły rosyjskiej, jej uzbrojenia i organizacyi wojskowej, nie można było myśleć o przyjęciu walki. Zwołano radę wojenną, w której oprócz dowódcy wziął udział Frankowski i czterech Puławiaków. Jak zwykle w takich razach, świadczących, że dowódzca stracił głowę, różne podawano projekta. Frankowski chciał przejść Wisłę, manewrować tam jakiś czas i pod Zawichostem znów przerzucić się na brzeg prawy i ruszyć śpiesznym marszem do lasów Janowskich lub Józefowskich, osadzić się tam, uorganizować i z nich, jak z twierdzy, czynić nagle wycieczki na pojedyncze oddziały rosyjskie. Studenci domagali się upartej obrony Kazimierza, wreszcie zgromadzenia promów i w razie przegranej, przeprawienia się za Wisłę i połączenia się w Sandomierskiem z oddziałem Langiewicza. Zdanowicz odrzucił ten projekt, zresztą nie bardzo trafny, gdyż bitwy nie przyjmuje się, mając wielką rzekę w tyle i można uledeż takiemu losowi, jakiemu w 1831 r. w tymże Kazimierzu uległ Sierakowski z żołnierzem o wiele lepszym i lepiej uzbrojonym, ale odrzucił go nie dlatego, tylko z powodu, że, jak mówił, wojna obecna jest partyzantką, więc ta wyklucza obronę miast<sup>1)</sup>. W końcu przyjęto projekt Frankowskiego, w rzeczy samej najrozumniejszy, ale już na wykonanie go czasu nie było. Ledwie bowiem rada wojenna się skończyła, gdy doniesiono, że Miednikow zbliża się do Kazimierza. Wywołało to niemały popłoch w obozowisku powstańców, tak że z trudnością oficerom udało się zaprowadzić jaki taki porządek, i co prędzej wycofano się do wsi Męcimierza, gdzie wysłani wprzód ludzie zdolali zgromadzić nieco promów. Gdy tu rozpoczęto przeprawę, pokazali się kozacy, rozległy się strzały, więc w wiel-

<sup>1)</sup> Loc. cit.

kim nieładzie opuszczono wieś<sup>1)</sup>. Na szczęście noc zapadła i pod jej osłoną zdołano się dostać do lasów Polanowskich, gdzie Miednikow, znużony utrudzającym marszem, wcale Zdanowicza nie ścigał, ale zatrzymał się na nocleg w Kazimierzu. Dowódzca polski w lesie Polanowskim chciał stawić opór i w tym celu porobić zasieki, ale nie zgodzono się na to i w samej Polanówce przez chwilę odpoczęto sobie. Tu Zdanowicz wybuchnął na swe otoczenie gniewem, za to „że mu nie dano robić w lesie zasieków, że Kazimierz zmuszony był bez strzału opuścić“. Twierdził uparcie, że byłby tam Miednikowa „nauczył moresu“, że on wie dobrze, co są warci Rosyanie, że ich zna „bo był ich oficerem“. Zapytany przez Frankowskiego, co zamierza dalej czynić, jaki ma plan działania, ofuknął go z gniewem: „Idźcie gdzie chcecie! nie znam tchórzów! co mi tam kupa z kijami, dajcie mi karabiny i żołnierzy, a zobaczcie, co umiem“<sup>2)</sup>. Te próżne i bezcelowe rekryminacye, te domagania się żołnierzy i karabinów, gdy ich nikt w całej Polsce nie miał, nie mogły się przyczynić do uspokojenia powstańców, do podniesienia w nich ducha. W obozie zapanowało ogólne zniechęcenie. Frankowski nalegał, by co prędzej przeprawiono się na lewy brzeg Wisły i tym sposobem odgrodzono się wielką rzeką od nieprzyjaciela. Ponieważ przypuszczano, że we wsi Kamieniu, łatwiej będzie można znaleźć promy, więc wyruszono tam zaraz i po całonocnym, niezmiernie nużącym i uciążliwym marszu, dobito się tej wsi o świcie. Tu na szczęście znaleziono parę promów i na nich tak pod Kamieniem, jak i Piotrowinem zdołano się w zupełności przeprawić przez Wisłę, przyczem Zdanowicz jeden z najpierwszych znalazł się na

<sup>1)</sup> Miednikow wezwał burmistrza m. Kazimierza, także Zdanowicza (teścia dowódcy polskiego) oraz rejenta Styczynskiego i aptekarza Kalickiego, umieścił ich przed frontem swego wojska i kazał prowadzić do Męcimierza. Zbliżywszy się tu zabrano z pikietę studenta instytutu puławskiego, Paszkowskiego, i zabito bezbronnego i pijanego powstańca.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

lewym brzegu. Około godz. 8-ej rano, rozłożono się obozowiskiem na błoni koło Solca w usposobieniu przygnębionem, do czego przyczyniało się znużenie, zimno i głód. Zdanowicz, chcąc podnieść nieco ducha w powstańcach, kazał im wypłacić żołd dwudniowy. Po krótkim, parogodzinnym spoczynku, wkroczone do Solca z rozwiniętymi sztandarami. Pocziwe mieszczaństwo z nadzwyczajną radością i entuzjazmem przyjęło oddział; mężczyźni, kobiety, dzieci zносили co mieli i co mogli, by „naszych“ nakarmić i napoić, i z oburzeniem odrzucali ofiarowane im wynagrodzenie. W mieście znajdowało się trochę szlachty okolicznej, która tutaj, jak i wszędzie, niechętna powstaniu i uważająca je za nieszczęście dla kraju, wysłała deputację do Zdanowicza z propozycją, żeby oddział rozpuścił, albo też żeby pomaszerował jak najprędzej dla połączenia się z Langiewiczem w Sandomierskiem. Zdanowicz ubrany ciągle w swój burmistrzowski mundur z czerwonym kołnierzem, skrzyczał ostatnimi słowy deputatów, i tupiąc nogami jak szalony, kazał im się „wynosić do dyabła!“

Wieczorem samym tegoż dnia pomaszerowano do pobliskiego miasteczka Lipska. Przedewszystkiem zdarto z domów urzędowych orły rosyjskie i uroczyście odczytano na rynku manifest Komitetu centralnego o powstaniu, poczem wesoło się bawiono całą noc, a sztab tańczył z „obozówkami“ i damami miasteczka. Nazajutrz zajęto się reorganizacją oddziału, do którego wskutek uciążliwych marszów wkradł się nieład wielki. Utworzono więc jedną kompanię strzelców z 70 ludzi złożoną, gdyż tyle było sztuk broni palnej; dwie kompanie kosynierów i dwie pikinierów. Kawaleryi było 12 koni. Ogółem okazało się, że w oddziale jest 560 ludzi<sup>1)</sup>. Tak uorganizowana partya powstańcza wieczorem opuściła Lipsk, udając się do wsi Krępa, skąd, jak wieść niesła w obozie, Zdanowicz zamierzał maszerować do Ożarowa. Zdaje się jednak, że nie miał żadnego zdecydowanego planu i poprostu nie wiedział co robić, dla

<sup>1)</sup> Loc. cit.

tego odbywał takie krótkie, wahające się marsze. Wszystko to wywołało w oddziale, a zwłaszcza wśród młodzieży puławskiej głośnie szemranie, tak że wysłała ona do dowódcy deputację, domagającą się albo jakiegoś stanowczego działania, albo połączenia się natychmiast z Langiewiczem, o którym wiadano, że stoi w Wąchocku. Zdanowicz, na widok deputacyi, wpadł w zwykłe swe uniesienie, skrzyczał deputatów i zwymyślał ich rosyjskimi duserami. Ale jakkolwiek takie skarcenie deputacyi, było ze stanowiska wojskowego zupełnie słuszne, wszelako obraziło ono nadzwyczajnie Puławiaków, którzy w obozie formalny rokosz podnieśli, i pociągając za sobą wielu, chcieli zaraz maszerować do Langiewicza. Zdanowicz na wiadomość o tem, zwołał do siebie setników, przeprosił ich, płakał nawet przed nimi, i wreszcie przyrzekł, że pomaszeruje do Wąchocka<sup>1)</sup>. Wśród tych sporów i rozterek, świadczących o zupełnym rozstroju oddziału i niezdadności jego wodza, nagle nadeszła wieść, że Langiewicz wyparty z Wąchocka, udał się gdzieś w głąb kraju<sup>2)</sup>, oraz że Rosyanie przeszli Wisłę i maszerują wprost na powstańców.

W tem położeniu nie było już co myśleć o dalszym marszu na zachód i trzeba było wobec zbliżającego się nieprzyjaciela coś szybko postanowić i wykonać. Ponieważ wiadano, że w Sandomierzu znajduje się oddział polski, sformowany przez obywatela ziemskiego z tamtych stron, barona Rayskiego (właściciela Szańca<sup>3)</sup>), więc zadecydowano szybko przerzucić się na południe i połączyć się z tym ostatnim. W tym celu zwrócono się do Lipska, gdzie wiadomości o przeprawie Miednikowa wprowadziły, ale w niczem to nie wpłynęło na usposobienie ogólne oddziału. Te marsze i kontramarsze wydawały się większości bezcelowymi, więc zniechęcenie, a z niem rozprężenie rosło. Wielu poczęło opuszczać szeregi, tak że

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> Raport Miednikowa (Russkij Inwalid).

<sup>3)</sup> Raport Miednikowa loc. cit.



Zdanowicz, schwytanych na ucieczce trzech mieszczan z Kazimierza chciał rozstrzelać, ale uproszony darował im życie. Nazajutrz wyruszone w kierunku Sandomierza bardzo wolno, na Tarłów, Ożarów, Zawichost; wprawdzie maszerowano gościńcem bitym, ale nakładano zbyt ciężkie drogi i marnowano na próżno czas zawsze cenny, a na wojnie najcenniejszy. Zniechęcenie, złe przeczucia w oddziale wzmagaly się; zauważono, że konie ciągle uszami strzygły, że wrony nieustannie towarzyszyły powstańcom, co jeszcze stary Liwiusz za zły znak uważał. Jakoż zanosilo się na krwawą klęskę. Miednikow bowiem w rzeczy samej zbliżał się i deptał Zdanowiczowi już po piętach.

Cóż przez ten czas bezcelowych marszów i kontrmarszów, tej nużącej włóczęgi polskiego dowódcy, co robił pułkownik Miednikow? Zatrzymawszy się w Kazimierzu, zwyczajem wszystkich wodzów rosyjskich tej doby, nazajutrz nic nie wiedział, gdzie mu się podział Zdanowicz i co się z nim stało<sup>1)</sup>. Ruszył do Józefowa i stąd, macając, wysłał jedną kompanię do Rachowa w tym niby celu, żeby zająć przeprawy na Wiśle i nie dopuścić do nich Zdanowicza, o którego zamiarze przejścia rzeki, coś bardzo niejasnego doszło do uszów Miednikowa. Na dobitkę, otrzymał on wiadomość, że Zdanowicz jest w Kraśniku, więc i tam wysłał jedną kompanię, a gdy do tego dodamy, że w Opolu, w charakterze rezerwy zostawił także jedną kompanię, będziemy mieli obraz zupełnego rozdrobnienia sił rosyjskich. Starannie przytem zniszczył wszystkie promy od Puław aż do Rachowa, ciągle w tej nadziei, że Zdanowicz ma zamiar przepłynąć się przez Wisłę, kiedy ten ostatni oddawna już był na lewym jej brzegu. Ale nakoniec i Miednikow musiał się dowiedzieć o stanie rzeczy; mocno zagniewany postanowił przejść także Wisłę, a choć nie wiedział, gdzie się Zdanowicz obraca, liczył jednak na to, że napotka jaki oddział powstańczy i swego despektu

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij loc. cit. 179.

na nim się pomści<sup>1)</sup>. W rzeczy samej zebrawszy wszystkie swe siły w Rachowie, przepłynął się tu wśród nieustannego deszczu przez Wisłę, i zostawiwszy na straży promów 60 ludzi, stanął d. 8 lutego, koło godz. 10-ej rano na lewym jej brzegu.

Zdanowicz w tymże samym dniu, po długim, okólnym i nadzwyczaj nużącym marszu, doszedł do Zawichostu, skąd po krótkim wypoczynku, wiedząc już o przeprawie Miednikowa, wyruszył bitym gościńcem do Sandomierza dla połączenia się z Rayskim, który w okolicach Pińczowa sformował niewielką partję i gdy Rosyanie opuścili Sandomierz, zajął go i ogłosił tamże Rząd narodowy<sup>2)</sup>. Marsz ten Zdanowicza był opłakany; deszcz w połączeniu ze śniegiem padał od rana, słynna pszenna glina sandomierska rozmokła tak, że utworzyła grząskie błoto, w którym ludzie, konie i wozy wierzgły. Wskutek tego oddział rozwlókł się na znacznej przestrzeni, i w stanie zupełnego rozstroju dobito się do wsi Słupczy, leżącej prawie na połowie drogi od Zawichostu do Sandomierza. W Słupczy dla zaprowadzenia jakiego takiego ładu, oraz dla odgotowania obiadu, postanowiono się zatrzymać, przypuszczając, że Miednikow znajduje się jeszcze dość daleko. Tymczasem w godzinę może, na wzgórzach wieś otaczających, pojawiło się nagle i niespodziewanie siedmiu kozaków, którzy wprawdzie zaraz zniknęli, ale wśród niesfornej, wyścieńczonej fizycznie i zdemoralizowanej duchowo rzeszy powstańczej, prawdziwą panikę wywołali. Pozycja do przyjęcia bitwy była bardzo dobrą. Dwór, około którego obozował Zdanowicz, wznosił się na wzgórzu, obok którego dołem od czoła biegła droga do Sandomierza; na prawo ciągnęły się pola, na lewo wąwozy i błotniste strumienie. Dopóki więc dwór był w rękach polskich, dopóty nieprzyjacieli na krok naprzód posunąć się nie mógł, a obrona zaś

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> Miednikow w swym raporcie utrzymuje, że Rayski miał 500 ludzi, co wydaje nam się przesadzonym.

samego dworu, ze względu na jego położenie górujące i osłonę od prawego skrzydła, była bardzo łatwa. Ale z tą rozstrojoną gromadą i z takim, jak Zdanowicz dowódzcą, o obronie myśleć nie można było. Na wieść o pojawieniu się kozaków, „naczelnik“, jak zwano burmistrza markuszewskiego w obozie powstańczym, wypadł ze dworu z kawalkiem szynki w rękę, dopadł konia i w orszaku sześciu sztabowców drapnął heroicznie do Sandomierza<sup>1)</sup>. Jeden tylko Frankowski pozostał i chciał stawić opór, ale Miednikow nadciągnął i rozsypawszy jedną kompanię w tyralieri, rzuciwszy kozaków na prawe i lewe skrzydło powstańców dla niepokojenia ich z tej strony, z reszty swych sił sformował szturmową kolumnę i przy huku bębnow ruszył do ataku. Napróżno Frankowski zachęcał do boju, napróżno porwawszy za kosę, chciał z kosynierami powstrzymać zapęd nieprzyjaciela, przeszyty na wylot kulą, padł śmiertelnie ranny. Powstańcy po krótkiej strzelaninie, w bezładnej ucieczce ku Sandomierzowi szukali ratunku, unosząc jednak ze sobą rannego Frankowskiego<sup>2)</sup>.

W Sandomierzu tymczasem baron Rayski, tęgi mężczyzna w konfederatce na głowie i z trójkolorową przepaską na ręce, zwany pułkownikiem, przygotowywał się do upartej obrony. Miasto leży na górze i posiadało jeszcze w owe czasy części starych obronnych murów i baszt, których zdobycie byłoby bardzo trudnem, a nadewszystko bardzo krwawem. Tak też zdawał się rzecz pojmować Rayski. Gdy rozbity oddział Zdanowicza wpadał bezładnie

<sup>1)</sup> „Wyjątki z pamiętników powstańca“ loc. cit. Z. L. Sulima, Wspomnienia ulana loc. cit.

<sup>2)</sup> *Gesket-Puzyreckij* loc. cit. 48 utrzymuje, że powstańcy w tej potyczce stracili stu ludzi, a Rosyanie tylko trzech!! Według relacji rękopiśmiennej, będącej w zbiorach autora niniejszego opowiadania, powstańcy stracili około 75 ludzi, a w tej liczbie (brzmi relacja) kilkunastu więźniów, poszlakowanych o szpiegostwo, resztę zaś powstańców nieuzbrojonych i nie broniących się wcale. N. Berg, loc. cit. II, 456, dodaje, że wszyscy polegli byli Puławiaczy; że Miednikow zdobył dwa wozy z naczyniami kuchennymi instytutu.

gromadami do miasta, Rayski rozstawiał swych strzelców na punktach najważniejszych i wylot gościńca od Słupczy kazał barykadować. Dowiedziawszy się, że ciężko ranny Frankowski wleczony jest przez towarzyszy, wysłał po niego furmankę i potem umieścił w szpitalu sandomirskim. W mieście wrzało jak w ulu i lada chwila spodziewano się ataku Miednikowa. Ale ten był także mocno zmęczony, a ulewny deszcz, nie przestający padać, zwiększał to znużenie i przygnębiająco działał na ludzi. Tegoż dnia w pościgu za powstańcami, dotarł do wsi Gerlachowa, odległej o pół mili niespełna od Sandomierza i postanowił tu zatrzymać się, zwłaszcza, że nie był pewny ataku nocnego na miasto bądź co bądź ufortyfikowane, nie posiadając artylerii<sup>1)</sup>.

Tutaj, z wyżyny sandomierskiej, z zapadającym mrokiem wieczornym widać było jarzące ogniska rosyjskie w Gerlachowie, a wiatr przynosił odgłos ich śpiewów i okrzyków. Wśród powstańców, biwakujących na ulicach pod gołym niebem, na deszczu, straszliwy nieład ciągle panował. Puławiaczy oburzeni do najwyższego stopnia na Zdanowicza, wymogli na Rayskim, że go kazał aresztować i osadzić w więzieniu kryminalnem, zamierzając oddać pod sąd wojenny. Zdanowicz nie opierał się i partyę zdał Uładowskiemu, wraz z 30.100 rubli, pozostałymi z zaboru poczty kurowskiej<sup>2)</sup>. Sam Rayski zdawał się być jak najlepszej myśli i głośno oświadczał, że bronić się będzie do upadłego. Ale wieczorem zgłosiło się do niego kilku najwybitniejszych obywateli miejskich, a między nimi biskup sandomierski, ks. Juszyński, zaklinając go na wszystko, by nie narażał miasta na straszną klęskę. Prośba ta oddziaływała na Rayskiego tak, że o północy kazał uderzyć w bębny i zebrany powstańcom oświadczył, że „miasta nie chce wydać na pożar i rzeź“, i dlatego je opuszcza. Odwrót pomimo nocy ciemnej i dżdżystej odbył się w porządku.

<sup>1)</sup> Miednikow, Raport.

<sup>2)</sup> „Wyjątki z pamiętników powstańca“ loc. cit.



O godz. 2-iej po północy drogą do Koprzywnicy wyruszyły najprzód wozy z amunicją i sukrem, zabranem z magazynu straży granicznej, pod osłoną kawalerii, potem wozy z żywnością, a wreszcie wszystka piechota. Cały oddział ten pociągnął do Langiewicza i połączył się z nim szczęśliwie w Słupi pod Św. Krzyżem.

Zdanowicz, pozostawiony w Sandomierzu w więzieniu, zdołał zbiedz z niego i w kilka dni potem zjawił się w Lublinie i poddał się tamtejszemu naczelnikowi wojennemu, generałowi Chruszczowowi<sup>1)</sup>. Wybór takiego indywiduum, który z najtęższego żywiołu, jakim była niewątpliwie młodzież puławska, nie umiał nic stworzyć, zawdzięczać należy lekkomyślności Frankowskiego, który też ciężko sam za to miał odpokutować. Rayski, opuszczając Sandomierz, nie mógł zabrać rannego młodzieńca, bez oczywistego narażenia go na śmierć niechybną, zostawił go więc w szpitalu miejskim na poręce jednego z mieszkańców, który obowiązywał się przenieść chorego do Galicji. Wprawdzie obywatel ów obietnicy nie dotrzymał i nie pokazał się więcej, mimo to byłby Frankowski może ocalał, gdyby nie okoliczność następująca<sup>2)</sup>: Gdy Miednikow o świcie d. 9 lutego wkroczył do opuszczonego Sandomierza, przyjmowany przez żydów chlebem i solą, którzy z gołemi głowami wyrażali swą radość, że od „buntowników“ zostali

<sup>1)</sup> Oto co o tem pisze, cytowana przez nas notatka rękopiśmienna: „Zdanowicz zupełnie zwątpił w jakiekolwiek powodzenie, a mając rodzinę w kraju sądził, że dobrowolnem oddaniem się wyjedna sobie łaskę. Wyrokiem sądu wojennego w Lublinie skazany na karę śmierci, którą to karę wskutek podanej prośby do cesarza, zamieniono na dożywotnie ciężkie roboty, w których przebył lat 5. Zwolniony wskutek jakiegoś manifestu i zesłany do guberni Irkuckiej, zmarł na suchoty w r. 1875 we wsi Gorochowie, gminie Urikorskiej; pochowany na cmentarzu w Bykowie w gub. Irkuckiej“

<sup>2)</sup> Według innych podań, Frankowski ranny w *genitalia*, podług lekarza sandomierskiego Szpechta, uznany został za człowieka, który stanowczo żyć nie może. Zaniechano więc myśli przewiezienia go do Galicji.

uwolnieni<sup>1)</sup>, między innymi jeńcami rosyjskimi, pozostawionymi tutaj przez Rayskiego, znalazł się także niejaki Andrzej Kaszyryn, żandarm, złapany przez Frankowskiego w Kazimierzu<sup>2)</sup>. Niegodny ten człowiek, włóczył się teraz po szpitalu, przypatrywał się ranym i poznawszy Frankowskiego doniósł o nim Mielnikowi<sup>3)</sup>, który go aresztował i zabrał ze sobą do Lublina, gdzie d. 16 czerwca nieszczęśliwy ten młodzieniec został powieszony<sup>4)</sup>. Szkoda było zaiste! tego życia młodego, tego entuzjazmu wszystko pożerającego, tej nadzwyczajnej energii, jaką Frankowski okazywał, a które to przymioty, mogące istotny przynieść pożytek krajowi, padły ofiarą Molocha rewolucji! A ileż to takich ofiar pochłoniął ów straszny, ów krwawy rok najlekkomyślniej poczętej i najmiedolężniej prowadzonej wojny!

Do rzędu takich ofiar, takich krwawych całopaleni za grzechy cudze, policzyć należy rzeź, jakiej uległo miasto Tomaszów Ordynacki. W okolicach tego miasteczka, leżącego w pobliżu suchej granicy galicyjskiej, utworzył się niewielki oddział powstańczy, pod wodzą niejakiego Gramowskiego, leśniczego w ordynacyi Zamoyskich. Przepłó-

<sup>1)</sup> N. Berg, loc. cit. II. 456.

<sup>2)</sup> Pułkownik *Struś*, Ludzie i wypadki z 1861—65 r. I, 122, twierdzi, że Kaszyryn „znany był z donosów“ (sic), że Frankowski „unieiony szczęściem chwili, szlachetny a zatem wierzący i czysty, dał się uwieść prośbom wziętego w niewolę i uwolnił go“. Jest to fałsz, Kaszyryn wcale nie był uwolniony i jako jeńiec dostał się do Sandomierza.

<sup>3)</sup> Frankowski ofiarował podobno Kaszyrynowi 2.000 rubli, byle milczał, ale jak zapewnia źródło urzędowe, żandarm propozycję tę odrzucił. Później namiestnik Berg wynagrodził go za ten stoicyzm 200 rublami („Dziennik Warszawski“ Nr. 3 z 1865 r.).

<sup>4)</sup> Matka Frankowskiego, jak utrzymuje *Z. Kolumna*, Pamiątka I, 51, udała się do W. ks. Konstantowej z prośbą o życie syna, i w rzeczy samej W. księżna jej to przyrzekła, a mimo to nazajutrz nieszczęśliwego powieszono. „Spokojnie i poważnie, z tym samym ironicznym uśmiechem, który mu całe życie towarzyszył, wszedł na rusztowanie. Wyrzekłszy do oprawcy: „śpiesz się prędko i skończ“, *Struś*, loc. cit. twierdzi, że „ze zwykłym barbarzyństwem po dwa razy mu zakładano sznurek“.



szyl on kozaków i straż graniczną w Józefowie i gdy Tomaszów został opuszczony przez tamtejszą załogę, wskutek rozkazu o koncentracji, natychmiast zajął to miasto i ogłosił Rząd narodowy <sup>1)</sup>. Powstańców witano radośnie, panny wynosiły w miednicach wodę dla koni i poily je, żywności dostarczyli mieszkańcy, a na żydów nałożono kontrybucję w wysokości 2.000 rs. <sup>2)</sup>. Przygotowywano kosy, ćwiczone się w robieniu bronią, ściągano ochotników; liczebność jednak oddziału nie jest nam znana; według relacji urzędowych nie przechodziła 250 ludzi <sup>3)</sup>, uzbrojonych wcale nieźle w strzelby myśliwskie i karabiny zdobyte u straży pogranicznej. Wiadomość o pobycie i rozgospodarowaniu się powstańców w Tomaszowie, dość późno doszła do uszów komendanta twierdzy Zamościa, za pośrednictwem

<sup>1)</sup> „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 2, donoszą, że Gramowski właściwie zmusił nieprzyjaciela do opuszczenia Tomaszowa. Oto jak o tem opowiadają: „Załoga moskiewska, złożona ze straży granicznej, półtorej setki kozaków, miała się na ostrożności. Ze wszystkich punktów posprowadzano celników do Tomaszowa. Kasę komory wywieziono do Zamościa, a załoga zamknęła się w koszarach. Oddział naszych z 40 ludzi złożony, przez Gramowskiego prowadzony, posprzątał przednie straże kozackie i podsunął się pod koszary; ze wszystkich okien, drzwi i poddasza posypał się grad kul, nasi odpowiedzieli kilkunastu strzałami; a że była już noc, siły nieprzyjacielskie nie były naszym znane, więc dalszą kanonadę wstrzymano i rozłożono się pod miastem. W nocy Moskale cichaczem i różnemi dziurami wynieśli się z miasta i nie oparli się aż we wsi Zdanowie, trzy mile od Zamościa. W tej krótkiej rozprawie kilkunastu zostało zabitych kozaków i kilku rannych; z naszej zaś strony poniesiono wielką stratę, bo od kilku ciężkich ran, zakończył tam życie waleczny dowódzca oddziału Gramowski i dwóch innych padło na miejscu, pomiędzy nimi Koziejewski. Na drugi dzień wszedł oddział nasz do miasta, ogłosił Rząd narodowy i zaprowadził jego władze“. Relacja ta jednak nie znajduje w żadnym innym źródle potwierdzenia i zdaje się, że jest fałszywą. Śmierć Gramowskiego, według tego co o nim pisze *Z. Kolumna*, *Pamiętka II*, 83. nastąpiła znacznie później.

<sup>2)</sup> *Gesket-Fuzyrewskij*, loc. cit. 180.

<sup>3)</sup> „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 2 twierdzą, że było tylko 100 ludzi.

niejakiego Gołdaka, żyda, felczera z Tomaszowa, i pełniącego zarazem obowiązki szpiega rosyjskiego. Komendant rzeczony, ze względu na bliskość miasteczka granicy galicyjskiej, a stąd możliwości czerpania stamtąd posiłków i amunicji, postanowił bądź co bądź Tomaszów odzyskać. W tym celu w d. 5 lutego, w południe wysłał z Zamościa pułkownika artylerji kozackiej Emanowa na czele dwóch kompanii Archangięlogorodzkiego pułku piechoty, dwóch setek kozaków i jednej armaty. Emanow maszerował na Zwierzyniec. gdzie według pogłosek mieli się także znajdować powstańcy, ale o których nikt tu nie słyszał. Mimo to dziki i okrutny kozak Emanow zachował się tutaj, jak gdyby miasteczko było szturmem wzięte. Rozpuszczone, niekarne, niesłuchające swych oficerów żołdactwo zrabowało mieszkańców, spaliło archiwum ordynacyi Zamoyskich i z kasy tejże ordynacyi zabrało 20.000 złp. <sup>1)</sup>. Palącego się miasteczka kozacy bronić nie pozwalali. Po takim postąpieniu, niczem niewytłomaczonem i niczem nieusprawiedliwionem, Emanow, wioząc na podwodach piechotę, wyruszył do Tomaszowa, pod którym nazajutrz przed samym świtem stanął i począł strzelać z działa granatami, poczem kazał kozakom z prawej i lewej strony otoczyć miasteczko. Powstańcy w dość wielkim nieładzie co prędzej wycofali się i po zamianie kilku strzałów, pociągnęli pośpiesznie do lasów wsi Pasieki. Tymczasem w mieście od granatów ukazał się ogień i teraz Emanow na czele piechoty wpadł na rynek i rozpoczęła się formalna rzeź spokojnych, nie nikomu niewinnych mieszkańców. W Tomaszowie pod owe czasy mieszkało wielu emerytów, którzy tu dla spokoju, taniości i dość znacznego życia towarzyskiego chętnie szukali schronienia na stare lata. Oni też przeważnie padli ofiarą pijanego i rozpuszczonego żołdactwa, które, podzieliwszy się na partye i biegnąc od domu do domu wołało: „wychodźcie buntownicy!“ a gdy kto wyszedł mordowało

<sup>1)</sup> Loc. cit. o fakcie tym donosi także konsul angielski w Warszawie, pułkownik Stanton („La Pologne et la diplomatie“, 101).



go na miejscu <sup>1)</sup>. Otaczano domy, strzelano do okien i drzwi, niekiedy wdzierano się do wnętrza i wśród strasznych krzyków mordowano wszystkich i rabowano, co się dało. Głównie w tem krwawem rozpasaniu przewodniczyli kozacy. Zabito przeszło 27 osób, wiele bardzo poraniono i pokaleczono ciężko <sup>2)</sup>. Straszne sceny gwałtów i bezprawia działy się w cichem i spokojnem dotąd miasteczku. Sam Emanow przez czas tej rzezi zasiadł do śniadania i spożywał je smacznie z największą obojętnością na krzyki rozpacz i krew niewinną, obficie przelewana.

Wieść o rzezi tomaszowskiej, o rabunku i spaleniu Zwierzyńca, piorunem rzec można obleciała kraj cały i wywołała ogólny okrzyk zgrozy i oburzenia. W Lubelskiem, gdzie mniej więcej w tymże czasie, bo zaledwie w dwa dni po morderstwach tomaszowskich, w Puławach dopuszczono się także zabójstw i gwałtów, choć powstańców od-

<sup>1)</sup> Relacye piśmienne świadków naocznych. *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. 181, nie zaprzeczając rzezi, powiada, że powodem jej było to, że w chwili gdy wojsko wkroczyło na rynek, dano ognia z okien domu, w którym mieścił się poprzednio sztab powstańcy. Relacya ta jednak, wymyślona zapewne przez samego Emanowa dla obrony własnej, nie znajduje potwierdzenia w żadnem znanem nam źródle.

<sup>2)</sup> Cyfra 27 zabitych jest niekompletna i dotyczy tylko wybitniejszych w miasteczku osób. Żyd Goldak naprowadzał kozaków głównie na lekarzy, którzy mu zabraniali praktyki lekarskiej. Tak padł ofiarą lekarz Żelkowski, którego zamordowano, a dom spalono, tak że z trupa jedna tylko noga pozostała; tak zginął Dąbrowski, lekarz wojskowy z Zamościa, który przyjechał do Tomaszowa wezwany do chorego i znany był doskonale wojsku. Ale nic nie broniło; ani mundur, ani wiek, ani kalectwo. Zamordowano niejakiego Mechernę, oficera rosyjskiego, który jadąc zagranicę wstąpił do siostry, będącej za mężem Dobrowskim kasyerem komory; zabito i jego służącego (deńszczyka). Przeważnie mordowano urzędników i inteligencyę miasteczka. Zabito więc księdza wikaryusza Ryłskiego, reagenta Wądołowskiego, podśędka Jasińskiego, pisarza sądu Ereta, pocztalтера Mastelskiego, aptekarza Piotrowskiego i kilku urzędników komory. Zabito Brzoskę, naczelnika komory, któremu zrabowano 200.000 złp. w listach zastawnych. Niejakiego Chmieleńskiego zgrzybiałego starca zamordowano w domu, oraz Jarochońskiego ociepniałego zupełnie włóczono po ulicy i tak zamordowano.

dawna tam nie było <sup>1)</sup>, wywarło to wszystko tak silne wrażenie, że wiele osób na gwałt uciekało zagranicę, bo w takich warunkach byt i mienie na wsiach lub w miasteczkach było narażone i samo życie stawało się prawie niemożliwem i zależało od pierwszego lepszego pijanego żołdaka. To też gubernator cywilny lubelski Boduszyński wystąpił może z nieco gwałtowną, ale usprawiedliwioną skargą do dyrektora komisji spraw wewnętrznych, na „okrucieństwa i grabieże wojska“ w Tomaszowie. W. ks. Konstanty, do którego skarga ta doszła, wezwał Ramsaya, aby przeprowadził śledztwo w tej sprawie, ale przeciw temu jak najenergiczniej zaprotestował Chruszczow, naczelnik wojenny lubelski, skrycie popierany przez Ramsaya. Chruszczow w obronie Emanowa powoływał się na rozkaz sztabu głównego warszawskiego z d. 27 stycznia Nr. 95, w którym polecano komendantom wojska „działanie stanowcze, nie wstrzymując się nawet od ognia armatniego, skierowanego na punkta zaludnione, w celu stłumienia bądź co bądź buntu“. Wobec tego oczywiście Emanow wyszedł cało i mógł dalej prowadzić wojnę w sposób okrutny i barbarzyński.

Wśród takich to strasznych warunków powstanie dalej trwać miało i rozwijać się nawet. Owszem, teraz z chaotycznego zamętu różnych dowódców i naczelników powstańczych, wypływa na wielką widownię historyczną postać, która przez ciąg kilku tygodni skupia na sobie uwagę nie tylko Polski i Rosyi, ale Europy i świata całego. Mówimy tu o Marynie Langiewicz, który po chybionej wyprawie nocnej na Szydłowiec, założył obozowisko powstańcze w górskiej okolicy w Wąchocku, gdzie wielkie zakłady i kuźnie suchedniowskie dostarczyć mu miały nie tylko dzielnego żywiołu wojskowego, ale i materiału wojennego. Wąchock, słynny niegdyś z odwiecznego klasztoru Cyster-

<sup>1)</sup> Wymordowano tu między innemi rodzinę Gebhardów, poraniono Oknińskiego, dyrektora instytutu politechnicznego i w. i. Strzelano nawet do uciekających łodziami przez Wisłę.



sów, był miejscowością bardzo dobrze wybraną dla organizacji oddziału. Położony na północnym stoku łańcucha Łysogórskiego, nad rzeką Kamienną, w kotlinie dokoła otoczonej wzgórzami, oddalony był od Suchedniowa o półtorej mili polskiej, i tym sposobem Langiewicz przez silne placówki mógł strzedz i mieć oko na drogę bitą, łączącą Kielce z Radomiem, pomiędzy którymi, nieco w bok na wschód, sam się ze swym obozem znajdował. Takie placówki w rzeczy samej wystawił w pierwszych dniach lutego w Suchedniowie i w Bodzentynie, na trasie prowadzącym z Kielc do Wąchocka.

W samym Wąchocku zaroilo się od napływających zewsząd ochotników; formowano kawalerię, strzelców i kosynierów. Ogółem, już ku końcowi stycznia mógł mieć we wszystkich trzech obozowiskach przeszło tysiąc ludzi<sup>1)</sup>. Piechota składała się z trzech batalionów, a w wyżej oznaczonym czasie przystąpiono, dzięki napływającym ochotnikom, do formacji czwartego batalionu. Każdy batalion liczył po 310 ludzi, wliczając już w to oficerów, i składał się z czterech kompanii po dwa plutony każda (pluton miał 32 szeregowców, 4 podoficerów i 2 oficerów: porucznika i podporucznika). Kompania liczyła zatem 64 szeregowców, 8 podoficerów, 4 oficerów oraz kapitana, razem więc 77 ludzi; i tym sposobem batalion, jakśmy rzekli, zawierał ogółem 310 ludzi<sup>2)</sup>. W każdym batalionie pierwsza kompania była strzelecką, jako uzbrojona w broń palną, przeważnie strzelby myśliwskie i nieco karabinów, zdobytych pierwszej nocy w Bodzentynie lub Szydłowcu, w większej części jednak skałkowych<sup>3)</sup>. Widziano nawet strzelby,

<sup>1)</sup> *Pawliszczew, Siedmicy II, 22. Z. L. Sulima, Wspomnienia ułana I, 29, oznaczają siły Langiewicza w Wąchocku na „trzy do czterech tysięcy“.* Cyfra ta jest bezwarunkowo za wielką. *Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 37, mówi o 3000.* Przytoczony w tekście wykaz szczegółowy sił Langiewicza, zbija to twierdzenie.

<sup>2)</sup> „Przyczynki do wypadków 1863 r.“ Rękopism, znajdujący się w zbiorach autora.

<sup>3)</sup> *Loc. cit.*

które dla mocy pookręcano sznurkami. Wskutek różnego kalibru broni, przygotowywanie ładunków i lanie kul było niesłychanie żmudne i połączone z wielu trudnościami, gdyż do każdej nieomal lufy trzeba było osobno je przypasowywać. Reszta batalionu, t. j. trzy kompanie uzbrojone były w kosy, ale i tych brakowało, choć dokoła w zakładach górniczych i kuźniach wiejskich gorączkowo je przyspasabiano. Kawaleria, której pierwotnie miało być dwa szwadrony, koni miała podostatkiem, ściągniętych czy to drogą rekwizycji, czy też dostawionych dobrowolnie do obozu, ale brakowało siodła, lanc, szabli i pistoletów<sup>1)</sup>. Wogóle nie było więcej jak stu jeźdźców uzbrojonych od biedy. Bardzo często, gdy który z nich posiadał strzelbę, to mu ją odbierano i dawano piechurowi<sup>2)</sup>. Posiadano przytem trzy armaty drewniane, obręczami żelaznymi spojone i dwie żelazne śmigownice, przygotowane, jak się zdaje, w zakładach suchedniowskich.

Formujący się czwarty batalion nie miał jeszcze broni, ale w miarę przybywania ludzi, sztyftowano z nich plutony i kompanie i ćwiczone w obrotach. Kto był dowódcą pierwszego batalionu, nie wiemy; drugi oddano Dawidowiczowi, przełożonemu nad kuźnicami suchedniowskimi, który, jak wiemy, brał czynny udział w organizacji powstańczej, a nadewszystko w ataku na Bodzentyn. Był to człowiek dobry, cichy, łagodny, ale niezdatny na dowódcę powstańczego. Trzecim batalionem dowodził Dyonizy Czachowski, osobistość, która w powstaniu miała zasłynąć rozgłosem niepospolitej energii i surowości, a nawet okrucieństwa, niegdyś żołnierz z 1831 r., następnie ziemianin, chodzący dzierżawami w Sandomierskiem, starzec sześćdziesięcioletni, mimo to krzepki i zdrowy. Zawołany myśliwy, większą część życia przepędził w wielkich jeszcze pod owe

<sup>1)</sup> *Z. L. Sulima, loc. cit.* twierdzi, zbyt może pesymistycznie, że „z onych dwóch szwadronów nie wybrałoby się więcej nad 20 jeźdźców, którzy jako tako mogli uchodzić za kawalerzystów“.

<sup>2)</sup> *Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 37.*



czasu lasach radomskich i kieleckich, stąd znał w nich każdy nieomal przesmyk i każdą ścieżkę i drożynę. Podwładni pomimo jego surowości i gwałtownego charakteru, bardzo go lubili. Nakoniec czwartym, dopiero formującym się batalionem, dowodził niejaki Dąbrowski, ziemianin z okolic Wąchocka. Kawaleryę miał pod swą komendą Jan Prędowski, także ziemianin z Radomskiego. Szefostwo sztabu pełnił tymczasem Czachowski, a placikomendantem był Kozicki <sup>1)</sup>.

Zrobiono więc co można było i Langiewicz okazywał dużą zdolność organizacyjną, zaprowadziwszy dość szybko jakiś taki ład i porządek w obozowisku wąchockiem. Brakowało tylko żywności, gdyż większość mieszkańców wyniosła się z miasteczka, a jedyny handel i jadalnia niejakiemu Wilkoszewskiemu bajeczne ceny sobie za kawałek pieczeni płacić kazała. Ciągły napływ ochotników, konieczny zamęt pierwszej chwili, musiał sprowadzić to następstwo, że kiedy jedni dostawali żywności w bród, inni głód cierpieli. Ale w niczem to nie szkodziło entuzjazmowi powszechnemu i wesołości, jaka panowała w tem wielkiem zbiegowisku młodzieży polskiej. Naoczni świadkowie skreślają nam pełen życia obraz obżuw wąchockiego, nad którym zdawał się unosić duch szlachetnych poświęceń i różowych nadziei <sup>2)</sup>. Utworzono kancelaryę przyboczną szta-

<sup>1)</sup> „Przyczynki do wypadków 1863 r.“ Autor tego rękopismu, podaje niektóre szczegóły o tem, w jaki sposób odróżniali się oficerowie od żołnierzy, ponieważ mundurów nie było, i każdy nosił to, w czem przyszedł. A więc „oficerowie mieli oznaki z szarf i to poczynając dopiero od kapitana. Ten nosił na lewym rękawie opaskę białą-niebieską; major miał przewieszoną przez ramię szarfę białą-niebieską, pułkownik białą-amarantową. W kilka dni później, gdy przyznano Langiewiczowi stopień generała, zamienił swą szarfę amarantowo-białą na trójkolorową: była to więc oznaka jeneralska“.

<sup>2)</sup> „Ephémérides polonaises“ I, 46, tak opisują Wąchock: „Zbudowany na skale bogatej w żelazo, na prawo od szosy z Kielc do Radomia, małeńkie to miasteczko dawnego województwa sandomierskiego, oddawna słynęło ze swych fabryk żelaza. Panują nad niem wysokie i ponure mury klasztoru, nieco dalej stoi wielki

bową, urządzono lazaret wojskowy pod zarządem dra Bukowieckiego, Poznańczyka <sup>1)</sup>, znalazła się nawet drukarnia, w której Langiewicz kazał odbić pierwszą swą odezwę do „mieszkańców województwa krakowskiego“, datowaną z „główniej kwatery w Wąchocku“ d. 26 stycznia. W odezwie tej donosi, że oprócz naczelnictwa w woj. sandomierskiem, otrzymał także mocą instrukcyi ustnej Wydziału wojny, dowództwo nad siłami zbrojnymi w woj. krakowskiem; uskarża się, że pomimo łatwej możności sprowadzania do tego ostatniego broni, pomimo że znaczna ilość tejże w tem województwie się znajduje, jeszcze w niem dotąd „nie zagrzmiął okrzyk: niech żyje Polska!“ W skutek więc tego Langiewicz „jako powstaniec Polak“ wzywa braci Krakowian do wzięcia udziału w powstaniu, do podtrzymania sławy walecznych przodków; poleca, by napadali na wojsko rosyjskie, tworzyli oddziały a z nich armię

gmach szkoły, niegdyś kwitnącej, ale w której zabrakło i nauczycieli i uczniów od chwili, jak zapanowali w kraju Rosyanie. Tu Langiewicz utworzył centrum czasowe swej działalności i obecność małej jego armii nadała miastu wygląd niezwykły, „... miasteczko zwykle ciche, dzisiaj, jakby czarodziejską dotkniętą różdżką, nowym odżyło gwarem. O posępne mury klasztoru odbijały się wesołe narodowe pieśni, po uliczkach uwijała się wiara: ten w kożuchu, ów w wyszarzanej katanie, ten w mundurze ulańskim, tamten w myśliwskiej kapocie. To mnich milczkiem się przesuwiał w białym habicie z paciorkami w ręku, to kosynier z kosą na ramieniu szedł ku kwaterze, to szablą brząkał młody niedorostek, to grzmiały kopyta galopującego ordynansa. Z rozlicznych kuźni rozlegał się stukot młotów, kujących piki i kosy, sypały się iskry, buchala para, skrzypiały warsztaty stolarskie, szewcy na gwałt szyli buty, krawcy mundury, zdala dochodziły dźwięki mazura Dąbrowskiego, którego wygrywała świeżo co utworzona kapela“. Inny świadek naoczny, autor cytowanych już rękopiśmiennych „Przyczynków do wypadków 1863 r.“ tak maluje życie obozowe w Wąchocku: „Było tu gwaro. Po mieście snuły się masy ludzi, powstańców i ciekawskich z miasteczka i okolicy. Muzyka obchodziła ulice, grając nieustannie marsze rewolucyjne, gdzie marsz Mierosławskiego: „do broni ludu, powstańmy wraz“, wiązał się z „fora d'Italia“ i t. p.

<sup>1)</sup> T. Żychliński, Wspomnienia z r. 1863, 19.



regularną, żeby naśladowali Sandomierzan, „przed którymi Moskwa drży“, i żegna ich słowami: „do widzenia, bo czas jest drogi“.

Odezwa ta piorunująca, rzec można, wywarła wrażenie. Wielu czytając ją płakało; starzy wojskowi z 1831 r. w wyrazach „kwatery główne“, zdawali się spostrzegać nową armię polską z jej niespożytą tradycją chwały i walczności. To też do Wąchocka biegli ze wszech stron ochotnicy, napływała żywność, pieniądze, rekwizyta, doniesienia. Rozgłos obozowisk Langiewiczowskich brzmiał szeroko; Wąchock uważano za drugie po Węgrowie wielkie skupienie się sił powstańczych<sup>1)</sup>, i po dziennikach zagranicznych poczęto już o tem pisać. Zdawało się więc wszystkim, co do pewnego stopnia było słusznem, że całe powstanie południowych województw Królestwa zgromadziło się w Wąchocku, i że z upadkiem, rozbięciem lub rozejściem się tych obozowisk, samo powstanie upadnie. Tak przynajmniej sądziła szlachta sandomierska, która za przykładem swych braci w Warszawie i w ogóle w całym kraju była jak najbardziej przeciwną ruchowi zbrojnemu i uważała go za największe nieszczęście, jakie mogło spaść na Polskę. Jak wiemy, objawy tego przekonania okazywały się już w zjeździe szlachty do Warszawy, w naradach Dyrekcyi Białej, w pośrednim nacisku na W. księcia, by energicznie stłumił powstanie; okazały się na zjeździe szlachty

<sup>2)</sup> „La Pologne et la diplomatie“ 46. Konsul angielski w Warszawie, Stanton, donosi już pod d. 4 lutego swemu rządowi o obozie wąchockim, który uważa za najważniejszy i którego siły oblicza bardzo przesadnie na 8000 ludzi. „Okolica, pisze Stanton, zajęta przez ten oddział, górzysta i pogarbiona więcej jak inne miejscowości Królestwa, pokryta jest gęstymi lasami. Oddział został znacznie wzmocniony przez ludność górniczą miejscową, a kuźnie, które rząd tam posiada, spożytkowane są przez powstańców do fabrykacji kos, noży i innej broni tego rodzaju, podczas gdy sąsiedztwo granicy galicyjskiej państwa austriackiego ułatwia wprowadzanie prochu i innej broni palnej i obiecuje im bezpieczne schronienie w razie klęski“.

podlaskiej w Białej, gdzie Rogiński myślał już o aresztowaniu kilku, którzy głośno oświadczaali, że „szlachta z powstaniem nie ma nic wspólnego“; na takimże zjeździe szlachty lubelskiej w Rowach, gdzie mówiono Lewandowskiemu, by „sam pił piwo, którego nawarzył“; wreszcie Padlewski w Płocku, publicznie w drukowanym słowie uskarżał się na obojętność i niechęć szlachty tamtejszej do powstania<sup>1)</sup>. Pod tym względem ziemiaństwo sandomierskie w niczem się nie różniło od ziemian z innych dzielnic, ale jeżeli tam krzywiono się na ruch zbrojny, głośny tu i owdzie opór słowny stawiano, a w rezultacie ulegano wobec groźby i nacisku, i nic nie robiono, to tutaj w Sandomierskiem chwyceno się bardzo radykalnego i bardzo zarazem osobliwszego środka, by powstanie stłumić i nieszczęście, grożące krajowi, zażegnać. Na zjeździe w Mierzanowicach (pod Opatowem) u barona Horocha, zjeździe odbytym w ostatnich dniach stycznia, szlachta postanowiła wysłać delegatów do Wąchocka, do Langiewicza, z propozycją, by oddział rozpuścił i sam zagranicę wyjechał, i tym sposobem koniec powstaniu położył. Do wykonania tej misyi ofiarował się z całą świadomością grożącego mu niebezpieczeństwa, p. Stanisław Karski z Włostowa<sup>2)</sup>, młody

<sup>1)</sup> Takie zjazdy szlacheckie odbywały się prawie wszędzie w kraju. W Sieradzkim w początkach lutego szlachta zebrała się we wsi Kobierzycu pod Sieradzem, u p. Wincentego Prądyńskiego, bratanka generała, i oświadczyła się przeciw powstaniu. Z ks. Poznańskiego, jako delegat, był na tym zjeździe p. Ludwik Szczaniecki z Boguszyna, a ze strony władz powstańczych zjawiał się znany nam Szachowski, zwany w kołach rewolucyjnych Maratem, który jakąś funkcję, bliżej nam nie znaną, pełnił w tych stronach z ramienia Komitetu centralnego, oraz Bronisław Rudzki, b. oficer wojsk rosyjskich, właściciel Żelazowej Woli i naczelnik organizacji powstańczej w woj. kaliskiem. (Czytaj o nim: Z. Kolumna, Pamiętka dla rodzin polskich, dodatek, 54).

<sup>2)</sup> Tak twierdzi bardzo autentyczna relacja, jaką o całym tym fakcie mieliśmy; posiadamy jednak inne piśmienne opowiadanie, które utrzymuje, że pp. Karski i Cichowski „uczynili ten krok z własnego natchnienia“.



człowiek, niedawno ożeniony, należący do wybitniejszych rodzin sandomierskich i odznaczający się wyższą inteligencją, oraz właściwą temu pokoleniu ofiarnością bez granic gdy szło o dobro ojczyzny. Do pomocy dodano mu bardzo poważanego w okolicy ziemianina, p. Romana Cichowskiego z Linowa, cieszącego się znacznym rozgłosem z powodu swych wynalazków w dziedzinie maszyn rolniczych. Karski przewidując i słusznie, że do takiej misji potrzeba mieć pieniądze przy sobie, gdyż łatwiej będzie poradzić Langiewiczowi wyjazd zagranicę, gdy mu się od razu da fundusz a nie obietnice, nie mając sam odpowiedniej kwoty, pożyczył od b. pułkownika wojsk polskich Pomorskiego znaczną sumę w tej nadziei, że mu ją później współobywatele wrócą i wraz z Cichowskim puścił się do Wąchocka, dokąd przybyli o świcie. Rozmowa z Langiewiczem trwała zaledwie 20 minut, i obecnym był przy niej ks. Kotkowski, znany nam już wojewódzki sandomierski. Langiewicz z oburzeniem i szorstko odrzucił przedstawioną mu propozycję, a gdy ks. Kotkowski coś mu szepnął do ucha, rzekł: „Puszczam panów wolno, jedźcie!“ Misja więc stanowczo się nie udała i Karski ze swym towarzyszem siadł co prędzej na bryczkę i odjechał. Ale w obozie znajdowało się wiele okolicznej młodzieży szlacheckiej, czerwono usposobionej, która znała i zauważyła przyjazd Karskiego i domyślała się, że przyjazd ten ma na celu jakieś nieprzyjazne dla powstania zamysły, powstało oburzenie, że został on wolno puszczony. Czy wskutek tego oburzenia, czy też namowy ks. Kotkowskiego, Langiewicz rozmyślił się i wysłał Prędowskiego w pogoń za Karskim z rozkazem schwytania go i powieszenia. Do odjeżdżających ułanów mówił: „tylko Cichowskiemu nic nie róbcie; stary już jest!“ Na szczęście dla Karskiego, jadącego do siebie, do Włostowa, Cichowskiemu w drodze tak się jeść zachciało, że skręcili w bok i wstąpili do Mirogów pod Opatowem na śniadanie, gdzie dłużej niż zamierzali, zabawili. To ich ocaliło; pogoń dopadła do Włostowa, a nie zastawszy tam dziedzica, wróciła do obozu z niczem. Karski w parę dni po-

tem, zdawszy szlachcie sprawę ze swej misji, słusznie obawiając się o swe życie, wyjechał za kartką ośmiodniową (t. z. półpasek) do Galicyi i tam do końca powstania przesiedział <sup>1)</sup>. *Wianaj pnie Zapadewski w pam. Stanisław*

Wśród takich to warunków Langiewicz przepędził spokojnie i nieatakowany wcale przez wojska rosyjskie, blisko dwa tygodnie w Wąchocku. Przez ten czas, jak wiemy, wskutek dwukrotnych rozkazów Ramsaya dokonana była koncentracja tego wojska, które w całej gubernii radomskiej zająć miało tylko cztery miasta, mianowicie: Miechów, Kielce, Końskie i Radom. Około 27 stycznia komunikacja telegraficzna popsuta została w całej gubernii, jak również pojedyncze partje powstańcze przejmowały pocztę i kurjerów, tak że rozkazy naczelnika wojennego radomskiego, generała Uszakowa, nie wszędzie doszły, a tam gdzie doszły wywołały oczywiście wielki niepokój i nadzwyczajną ruchliwość komendantów rosyjskich, którzy przebiegali z miasta do miasta, wracali się, by za parę dni znowu wyruszyć <sup>2)</sup>. Langiewicz temu wszystkiemu przy-

<sup>1)</sup> Taką jest autentyczna relacya o misji Karskiego. Całe opowiadanie *N. Berga*, *Zapiski* II, 50, jest błędnem. Utrzymuje on, że Karski nie z Cichowskim, ale ze Stanisławem Jasińskim, zwanym dla swego dobrego z ludem obchodzenia się „królem chłopów“, jeździł do Langiewicza; że obaj należąc do stronnictwa Targowiczan, jak nazywa partję Białych, samowolnie i z własnej inicjatywy podjęli się tej misji. Z Wąchocka Karski miał pojechać wprost do Radomia, gdzie natychmiast udał się do generała Uszakowa i wręczył mu egzemplarz odezwy Langiewicza do mieszkańców województwa krakowskiego. „Działo się to wieczorem, opowiada *Berg*; Uszakov grał w karty. W liczbie gości, między innymi znajdował się adjutant namiestnika hr. Komarowski, przysłany po to, żeby „rozbudzić bezczynność oddziału radomskiego“. Wszystko to, jakkolwiek bardzo dramatycznie opowiedziane, jest najzupełniejszym fałszem. Niemniej fałszywym jest podanie *O. Aweydy*, *Zeznania* III, 37, jakoby Karski parokrotnie tego rodzaju propozycje robił Langiewiczowi. Relacya nasza oparta jest na źródłach autentycznych, które sprawdziliśmy u osób dotąd żyjących, a które brały udział w zjeździe mierzanowickim.

<sup>2)</sup> Tak np. pułk noworosyjski strzelców konnych (dragonów),



patrywał się spokojnie z obozowiska wąchockiego i słusznie mógł twierdzić, że wojsko rosyjskie jest przed nim w strachu.

Ale już miało się to skończyć. Uszakow, stary jenerał pokroju mikołajskiego, człowiek dobry lecz dość słabej głowy, krzykała i burczymucha, zapalony karciarz, na razie nie pojmował ani znaczenia, ani doniosłości powstania i nie wiedział jak się wobec niego zachować. Otrzymawszy rozkazy koncentracji, czekał aż ona nastąpi i pocieszał się, że wtedy za jednym zamachem zgniecie „ruchawkę”. Tymczasem Langiewicz, mając dwa blisko tygodnie czasu, organizował się spokojnie, rósł w siłę, wydawał rozkazy<sup>1)</sup> i rozgłos jego się wzmagał, mówiono o nim w Warszawie, w kraju całym, za granicą. Wszystko to spowodowało, że W. książę wysłał do Radomia adjutanta swego, hr. Komarowskiego, ażeby „rozruszał” Uszakowa. Ponieważ właśnie w tej chwili rozsyłano nowe rozkazy co do koncentracji, więc powzięto plan skorzystania z ruchu wojska i uderzenia na Wąchock z trzech stron, t. j. z Radomia, Kielc i od Opatowa. Plan ten, powzięty w nocy d. 30 stycznia, był następujący:

stojący w Stopnicy, Korczynie i Pińczowie, miał według rozkazu Uszakowa skoncentrować się w Kielcach i Radomiu, ale dowódzca, pułkownik Szydłowski, zebrał wprawdzie cały pułk w Stopnicy, ale nie myślał o maszerowaniu do Kielc, tylko na własną rękę wysłał silny rekonesans w kierunku Pińczowa na skutek tego, że zarządzający margrabstwem pińczowskiem prosił Szydłowskiego, ażeby starał się ochronić majątek Wielopolskiego od napaści powstańców. Na powtórny rozkaz Uszakowa z dnia 28 stycznia wysłał do Kielc jedną tylko dywizję, wreszcie koło 30 t. m. z całym pułkiem pociągnął do tego miasta. Podobnie kręciła się piechota, zwłaszcza pułk Halicki, stojący dotąd w Sandomierzu i Staszowie, który na Stopnicę pomaszerował do Kielc. (Patrz *N. Berg*, loc. cit. II, 505 i następne, oraz *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. 39 i 40).

<sup>1)</sup> *N. Berg* loc. cit. II, 503 opowiada, że gdy Uszakow w czasie gry w karty otrzymał odezwę do mieszkańców wojew. krakowskiego, rzucił karty na stół i zawołał z gniewem: „To przechodzi wszelką cierpliwość! drukowane odezwy w obozie powstańców i gdzie? u mnie, pod nosem, w Wąchocku! muzyka, mustry, ćwiczenia! no! już ja inn sprawię muzykę!”

Pułkownik Zwierew ma wyruszyć z Opatowa na czele dwóch batalionów pułku Halickiego piechoty i uderzyć od strony południowej na Wąchock; pułkownik Czengiery z takąż siłą pułku Smoleńskiego piechoty ma wystąpić z Kielc i atakować od strony zachodniej; наконец jenerał major Mark z batalionem pułku Mohilewskiego i jedną kompanią saperów, oraz dwoma działami gwintowanymi, ma pomaszerować z Radomia i napaść na Wąchock od strony północnej. W Szydłowiec miały się prócz tego z oddziałem tym połączyć dwa szwadrony strzelców konnych noworosyjskich, które, Uszakow przypuszczał, że zgodnie z pierwotnymi rozkazami maszerowały już z Kielc do Radomia. Plan ten jednak, dość skomplikowany, całkowicie się nie udał. Rozkazy wysłane do Opatowa, do pułkownika Zwierewa, nie zastały go już ani tam, ani w Staszowie, aż dopiero w Stopnicy, dokąd wyruszył na pomoc strzelcom konnym. Osnowa planu była zachowana w tajemnicy i o ostatecznym celu wyprawy wiedział tylko Czengiery i Mark. Langiewicz o wystąpieniu tego ostatniego z Radomia, już d. 2 lutego otrzymał wiadomość od organizacyi radomskiej, za pośrednictwem trzech młodych uczniów gimnazjum radomskiego, którzy wybrali się do obozu wąchockiego<sup>1)</sup>.

Jenerał Mark wyruszył z Radomia d. 1 lutego o godz. 6½ rano szosą na Szydłowiec, dokąd przybył około godziny 1-ej w południe, i zatrzymawszy się tutaj, oczekiwał na przybycie dwóch szwadronów noworosyjskich strzelców konnych, którzy powinni już byli znajdować się na miejscu. Wśród tego oczekiwania dowiedział się od przejeżdżającego żyda, że ten widział owych, jak ich zwano, dragonów, o półtoiej mili za Suchedniowem, niedaleko Bzina. Wskutek tego Mark wysłał swego adjutanta, porucznika Łuskino w towarzystwie dwóch strzelców sztafetą ku Bzinowi z rozkazem, ażeby dragoni nazajutrz o godzinie 8½ znajdowali się we wsi Milicy, leżącej przy drodze bitej

<sup>1)</sup> W liczbie tych trzech młodzieńców, znajdował się także autor niniejszej historyi.

*Walerij Puzyrewski*



kielecko-radomskiej, między Szydłowcem a Bzinem. Łuskino, zgodnie z rozkazem, dopadł do Bzina, ale dragonów tu nie zastał i zastać ich nie mógł, gdyż oni w tej porze wyruszyli dopiero z Kielc. Łuskino przypuszczając, że dalej napotka tak usilnie poszukiwaną jazdę, popędził do Suchedniowa, ale już w pobliżu tej miejscowości został obskoczony przez ośmiu konnych Krakusów, do których dwaj strzelcy dali ognia, i choć nie trafili nikogo, wyswobodzili się jednak i pojechali dalej. W Suchedniowie ledwie oficer rosyjski zatrzymał się przed stacją pocztową, został przez powstańców otoczony, wzięty do niewoli i zaprowadzony przed dowódcę batalionu Dyonizego Czachowskiego, który wraz z Dawidowiczem zajmował Suchedniów <sup>1)</sup>. Stąd odesłany do kwatery głównej do Wąchocka, musiał zapewne oddać Langiewiczowi rozkaz generała Marka do dragonów i tym sposobem nagły napad na obozowisko polskie stał się niemożliwym <sup>2)</sup>.

Tymczasem generał Mark, stojący ciągle w Szydłowcu, dowiedział się o losie, jaki spotkał jego adjutanta; kazał więc wyszukać w mieście żyda, któryby za dobre wynagrodzenie podjął się przewieźć dragonom odpowiednie rozkazy. Żydek taki oczywiście się znalazł i puścił się na swą niebezpieczną wyprawę o godz. 11-ej w nocy. Z dragonami, będącymi pod dowództwem majora Krasińskiego, rzecz się tak miała. Wyruszyli oni z Kielc dnia 1 lutego i wieczorem tegoż dnia dotarli do rzeczki Łosienicy, tuż pod samym Suchedniowem, na której zastali most zniesiony z rozkazu Czachowskiego, a na przeciwnym brzegu w gęstwinie leśnej widać było powstańców, którzy powitali nieprzyjaciela gęstą palbą. Krasiński wobec tego cofnął się nieco wstecz i uwiadomił o wszystkim Czengierygo w Kiel-

cach, od którego zażądał posiłków. Jakoż nazajutrz o świcie Czengiery wysłał pod dowództwem majora Bentkowskiego, Polaka, trzy kompanie pułku Smoleńskiego piechoty i 60 kozaków. Bentkowski naprawił most na Łosienicy i pomaszerował do Suchedniowa, który zastano opuszczonym przez powstańców. Tutaj dragoni, otrzymawszy od żyda rozkaz generała Marka, pomaszerowali dalej do Bzina, a Bentkowski z piechotą i kozakami został w Suchedniowie, gdzie dopuszczono się scen podobnych, jakich widownią były Siemiatycze, Puławy i Tomaszów Ordynacki. Rozstawiwszy na szosie przez całą długość osady, gromadki żołnierzy, zaopatrzonych w maźnice ze smołą, kazano im najprzód strzelać do domów, a potem rzucić się na nie. Tu, zrąbowawszy co się dało, układano z pościeli i słomy wielkie stosy, kropiono je smołą i zapalano. Do uciekających przez pola mieszkańców żołdactwo strzelało, i jeżeli wierzyć można niektórym doniesieniom, zabito w ten sposób 14 osób a 37 raniono, z których wszyscy prawie pomarli z braku opatrunku, pomocy lekarskiej i zimna w lasach, do których się nieszczęśliwi chronili. W wielkiej oberży, stojącej przy szosie, zamordowano oberżystę, jego żonę, dwoje dzieci i służącą, których trupy, obdarte do naga, przez parę dni na śniegu obok spalonej oberży leżały <sup>1)</sup>. Prócz tego zabrano na spędzone furmanki 40.000

<sup>1)</sup> *January Styczeń*. Postępowanie Moskali podczas powstania polskiego 1863 r. („Gazeta Narodowa“ z r. 1865). „Przejeżdżając z konieczności w trzy dni po opisanym wypadku około tej oberży, opowiada autor, widziałem sam na własne oczy trupy jej mieszkańców zupełnie nagie, z niezliczonemi po całym ciele ranami, a piersi oberżystki przez trzode chlewną objęzione“. Inny naoczny świadek *Z. L. Sulima*, w swych „Wspomnieniach ułana“, I, 34, taki daje obraz Suchedniowa: „Wszystkie sprzęty, meble, ściany, okna, piece, podłogi były popsute, porabane; pierze z pościeli białym kobiercem pokrywało ulice, podwórza i pokoje; kartki z książek wały się wszędzie porozrywane na części; psy, koty, kury porabane i pokalczone jęczały po kątach“. „...na drodze wąchockiej ten sam obraz co w Suchedniowie. Cała droga literalnie zasłana była szczątkami mebli, sukni, książek i pierza“.

<sup>1)</sup> *N. Berg*, loc. cit. II, 510. Ponieważ, jak się zdaje Łuskino był Polakiem (może się zwał Łuskina), więc posądzano go później, że umyślnie bez rozkazu pojechał do Suchedniowa, by Langiewiczza uprzedzić o gotującej się nań wyprawie.

<sup>2)</sup> *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. 40.



pułdów żelaza i stali z magazynów skarbowych. Żelazo to sprzedawał potem Czengierey żydowi z Chęcina, Eizenbergowi po rublu za pud<sup>1)</sup>.

Cóż przez ten czas robił Czachowski, który jak wiemy, stał dotąd w Suchedniowie i spełnił wybornie swe zadanie opóźnienia pochodu dragonów, nad rzeczką Łosienicą? Wiedząc, że dragoni mają maszerować ku Szydłowcowi dla połączenia się z oddziałem generała Marka, opuścił o świcie d. 2 lutego Suchedniów i postanowił, w odległości pół mili, urządzić na nich zasadzkę pod wsią Milicą. Poyzycya była dobrze wybrana. Droga bita w tem miejscu wchodziła w gęsty las, tworząc długą, pół mili blisko ciągnącą się szyję (defilé), gdzie nieprzyjaciel nie mógł się ani rozwinąć, ani działać całą swą siłą. W zasadzce tej miało być 300 ludzi<sup>2)</sup>, oczywiście cały batalion Czachowskiego, uzbrojony w broń palną. Powstańcy przepuściwszy szpicę, dali ognia do czwartego szwadronu kapitana Czuti,

<sup>1)</sup> *J. Styczeń* loc. cit. Opowiada on, że w kilka miesięcy później, Dyrektor główny Komisji skarbu, dyrygujący górnictwem krajowym, odważył się wystąpić do Namiestnika z żądaniem pociągnięcia do odpowiedzialności Czengierego za zniknięcie wyrobów żelaznych w Suchedniowie i spalenie domów skarbowych podczas najeźdu jego na tę osadę. W odpowiedzi na to Czengierey uwięził wszystkich urzędników górniczych, jakich mógł w opustoszałym Suchedniowie wynaleść i groził im karą śmierci, czyniąc ich sprawcami kradzieży żelaza i spalania domów. Oburzony takim postąpieniem i obawiając się seryo, że Czengierey gotów dla własnego zasłonięcia się i zatarcia ostatniego śladu grabieży, pogroźki swe wykonać, zwierzchnik jego generał dywizji Uszakow, kazał sobie do Radomia uwięzionych urzędników odstawić, skąd po kilku tygodniach na wolność ich wypuścił. Nie obyło się wszakże i przytem bez ofiary. Pecq, naczelnik warsztatów ręczno-kowalskich, pod którego zawiadywaniem zostawały magazyny, Niemiec, męczony i straszony nieustannie przez Czengierego szubienicą, nie mogąc przenieść ciągłej niepewności, w jakiej pozostawał, powiesił się w więzieniu. Pozostała wdowa wraz z dziewięciorgiem dzieci, otrzymała przynależną po mężu emeryturę, co jasno dowodzi, jak się sam rząd na mniemaną winę Pecq zapatrywał.

<sup>2)</sup> *Gesket-Puzyreuskij*, loc. cit. 41.

poczem rzucili się na niego. Wśród jazdy tej zrobiło się zamieszanie, ale wsparci przez drugi szwadron spieszyli się i rozpoczęła się uparta strzelanina, przyczem kilkakrotnie przychodziło do ręcznego starcia. Na huk strzałów nadbiegli z Suchedniowa na pomoc dragonom najprzód kozacy, a potem Bentkowski z całą piechotą, co zmusiło Czachowskiego do szybkiego odwrotu bocznymi drogami ku głównemu obozowi w Wąchocku<sup>1)</sup> przez Parszów, gdzie na odnodze rzeki Kamiennej, zniszczył za sobą most.

<sup>1)</sup> Loc. cit. 42. Autorowie ci opowiadają, niewiadomo na jakiej podstawie, że Czachowski wyprawiając się pod Milicę, ukrył część swego oddziału w Suchedniowie, w domach i kościele, i że kiedy Bentkowski na huk strzałów wyruszył pod Milicę, to zostawił tabor swój pod osłoną półplutonu i oficera, w Suchedniowie. „Ledwie dwie kompanie odeszły, czytamy u tych autorów, gdy powstańcy ukryci w miasteczku, rzucili się na tabor ze wszech stron. Oficer (porucznik Kurowski) dowodzący półplutonom, postanowił wyjść z miasteczka i zajmąwszy na skraju lasu murowaną kuźnię, począł się odstrzeliwać. Nieco przedtem przybiegł do niego trębacz pułku Smoleńskiego, Moczałow, z rozkazem majora Bentkowskiego, ażeby ruszono do kompanii do Bzina, które już połączyły się z oddziałem generała Marka. Ale w tym czasie półpluton był już zupełnie odcięty od oddziału. Wówczas Moczałow począł prosić porucznika Krupskiego, ażeby mu dał konia i dozwolił przebiec się przez tłum powstańców; dali mu konia, rzucił się naprzód, ale został otoczony i wzięty do niewoli i zaraz dodano mu straż Moczałow upatrzawszy odpowiednią chwilę, powalił wartownika i skoczywszy na konia wśród gradu kul ukrył się w lesie i szczęśliwie dał znać Bentkowskiemu o krytycznem położeniu taboru obozowego. Major Bentkowski na czele dwóch kompanii rzucił się do Suchedniowa; powstańcy szybko uciekli i tabor szczęśliwie przyłączył się do oddziału w Milicy“. Cała ta relacya wydaje się mocno podejrzaną. Według *Z. L. Sulimy*, Wspomnienia 33, któremu, jako naoczniemu świadkowi nie mamy powodu nie wierzyć, część oddziału Langiewicza na wieść o ataku Suchedniowa, wyruszyła z Wąchocka nad wieczorem d. 2 lutego. „Przybył (oddział ten) do swego celu (t. j. do Suchedniowa) nocą, i ujrzał zdala wśród ciemności, zimna i drobnego deszczyku, plonący jak okiem zasięgnął Suchedniów“. „Langiewicz przepędził tu noc w ocalałej chatce wieśniaczej“ a jego oddział pod gołym niebem, nie paląc nawet ognisk. O świcie, głodny i zziębnięty ruszył do Suchedniowa i rozłożył się na kwaterach w niewielkiej ilości do-



Wszystkie te wypadki powstrzymywały zamierzony pochód generała Marka na Wąchock, do godziny 2-iej po południu. Nie chcąc atakować obozowisk polskich w nocy, postanowił on zatrzymać się w Milicy i dopiero nazajutrz wyruszył dla spełnienia zadania, którego wykonanie mu polecono. Wieczorem siły jego znacznie wzrosły przez przybycie z Kiele dwóch kompanii piechoty pułku Halickiego <sup>1)</sup>. Dnia 3 lutego, o świcie, Mark pozostawiwszy dwie świeżo przybyłe kompanie pułku Halickiego w Milicy dla pilnowania taboru obozowego, z resztą sił (sześć kompanii piechoty, 2 szwadrony strzelców konnych, 100 kozaków

mów, mających jeszcze dachy nad sobą. Tę relację potwierdza jeszcze inne źródło, cytowany już przez nas rękopiśmienny „Przyczynek do wypadków 1863 r.“ Czytamy tam: „D. 2 lutego, około południa doszła nas (w Wąchocku) wieść, że w Suchedniowie wre bitwa. Powiedziano nam, że i my tam idziemy, a kosy będą zaraz“. Wreszcie zmierzchem już idziemy w stronę Suchedniowa. Przybyszymy w nocy. Na ciemnym tle nieba widzimy tu i owdzie płomienie palących się pojedynczych budowli. Na wzgórzu poza miastem, w poprzek szosy stoimy, czekając na rozkazy wodzów“. W d. 2 lutego rano nie mogła zatem nastąpić owa napaść na tabor rosyjski, i jeżeli się to stało, to musiało się gdzieś indziej, a nie w Suchedniowie stać. Z samego opowiadania *Gesketu-Puzyrewskiego* taki wniosek da się wyprowadzić. Jeżeli bowiem Krupski został zaatakowany zaraz po wyjściu Bentkowskiego („zaledwie kompanie odeszły na dostateczną odległość“ piszą autorowie) i Krupski zaraz potem wycofał się do Kuźni, to nie mógł tak prędko otrzymać przez Moczałowa wieści, że Bentkowski stoi w Bzinie, który odległy jest od Suchedniowa najmniej na dobrą milę polską. Wszak wprzód musiał Bentkowski dojść do szyi, w której byli zaatakowani dragoni, musiał tu stoczyć walkę z Czachowskim, musiał pomaszerować do Bzina i stąd dopiero dać rozkaz Krupskiemu do połączenia się. Wszystko to wymagało najmniej dwóch godzin czasu. Godząc te wszystkie sprzeczności, przypuścić należy, że atak taboru jeżeli istotnie się odbył, to odbył się gdzieś indziej, nie w Suchedniowie. Niepodobna zresztą przypuścić możliwości takiego ukrycia się powstańców w Suchedniowie, który Bentkowski zrabował i spalił, by o nich ten ostatni nie wiedział. Wogóle, dodać tu trzeba, że tak w relacjach polskich jak i rosyjskich nadzwyczaj niejasno i mętnie przedstawiona jest cała ta wyprawa na Wąchock.

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 43.

i 2 dział) wyruszył do Wąchocka, do którego miał około dwóch mil polskich. Ale na połowie drogi, pod Parszowem, został najprzód powstrzymany przez zerwany wczoraj most, a potem przez oddziały powstańców, ustawione w szyku bojowym na wzgórzach przeciwnego brzegu. Pozycja w samej rzeczy była dobrze wybrana. Gościńiec przebiegłszy miasto, zagłębiał się nagle w ciasny wąwóz, utworzony przez wysokie i spadziste góry, porośłe gęstym lasem. Ta długa szyja (defilé) ciągnęła się blisko jedną milę polską i rozszerzała się dopiero przy samym Wąchocku. Langiewicz, który się tu znalazł, z niewątpliwie więc trafnym rzutem oka zrozumiał, ile korzyści mu ta pozycja przynieść może i stoki gór, po obu stronach gościńca osadził strzelcami, z których lewe skrzydło było pod dowództwem znanego nam już Czachowskiego, a prawe pod naczelnictwem majora Moreau, dymisyonowanego oficera wojsk rosyjskich. Zadaniem tych oddziałów, mogących liczyć pięćset do sześciuset ludzi, było utrudnianie wszelkimi siłami pochodu nieprzyjaciela i cofanie się przed nim wolne, aż do wylotu Wąchockiego, przy którym z głównym rdzeniem swych sił stał sam Langiewicz i miał znużonych, wyczerpanych trudnym, krwawym i uciążliwym pochodem Rosyan przyjąć na czele nowych i niezużytych sił i nie dopuścić do wydostania się z ciasnego wąwozu <sup>1)</sup>.

Jakoż zanosilo się na to. Generał Mark naprawiwszy zerwany most, co dość szybko skutecznili, dzięki obecności w oddziale saperów <sup>2)</sup>, przeszedł rzekę i trzema kompaniami piechoty począł atakować wzgórze parszewskie. Zagrzmiąca gęsta palba; lewe skrzydło polskie pod Czachowskim nie ustępowało ani na krok i dobrze ukryte za drzewami uparcie się broniło blisko przez dwie godziny; prawe zato, pod kierunkiem Moreau, zagrożone jak się zdaje oskrzydleniem, cofnęło się dość prędko ku Wąchockowi i cofnęło w takich warunkach, że postępek ten do-

<sup>1)</sup> *J. Styczeń*. Postępowanie Moskali, loc. cit.

<sup>2)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 43.



wódzcy uważano za prostą zdradę i po przybyciu do Wąchocka, niezwłocznie z rozkazu Langiewicza go aresztowano. Mark mając jeden bok swobodny, maskuje się tyralierami od Czachowskiego i rusza wprost do Wąchocka z główną siłą. Czachowski uprzedzony przez rozkazy o położeniu rzeczy szybko połączył się z Langiewiczem i razem już, pośpiesznie opuścili Wąchock, maszerując na Starachowice do Bodzentyna<sup>1)</sup>.

Jenerał Mark o dwa kilometry od Wąchocka zatrzymał się na chwilę i nie wiedząc wcale o tem, że Langiewicz już opuścił to miasteczko, począł się formować w szereg bojowy. W pierwszej więc linii stanęły trzy kompanie piechoty i dwa działą, w drugiej dwie kompanie, a w rezerwie dwie kompanie i dwa szwadrony strzelców konnych. W takim szyku, posuwając się naprzód z wielką ostrożnością, Mark dostał się na ostatnie wzgórza, skąd widział miasteczko, jak na dłoni. Ciche ono było i puste; powstań-

<sup>1)</sup> *Gesket-Luzyrewskij*, loc. cit. 43, nic nie wie o tem starciu pod Parszowem. Opowiada on, że po naprawie mostu „oddział rosyjski maszerował dalej prawie bez przeszkód do samego Wąchocka; dwa razy tylko ukazały się partye konne po 50 ludzi. Pierwsza z tych partyi pojawiła się, nie dochodząc Parszowa. Kozacy, maszerujący w przedniej straży, rzucili się na nią, natknęli się na rozebrany most i, przeprawiając się pojedynczo, ścigali dalej nieprzyjaciela“. W relacji jenerała Marka jest wspomniane, że „zaraz za uciekającymi buntownikami zostały wysunięte 3 kompanie oddziału“ t. j. prawdopodobnie rozwinięto je w szereg bojowy. Kompanie te oczywiście nie dogoniły uciekającej partyi konnej, ale dzięki jej ukazaniu się i zniszczeniu mostowi, trzeba było przy wyjściu z Parszowa zatrzymać się i skoncentrować oddział. Druga partya o dwie wiorsty od Wąchocka rzuciła się na konwój kozacki jenerała Marka i dzięki męstwu oficerów (esaulu Emelianowa i chorążego Antonowa) została z wielką stratą odparta. Emelianow osobiście rzucił się naprzód, wrąbał się w środek partyi, a za nim pogalopowali zachwiani już kozacy“. Cała ta opowieść, choć może w drugorzędnych szczegółach prawdziwa (o przeprawie kozaków wpraw przez rzekę, o potyczce z jazdą Emelianowa), w ogólności jest niejasna i mętna, a nade wszystko pod tym względem mylna, że nic nie mówi o dwu. a jak niektóre źródła utrzymują, trzy-godzinnej potyczce w wąwozach i górach parszowskich.

ców nigdzie dojrzeć nie można było, tylko tłumy przeważnie kobiet i dzieci, mieszkańców Wąchocka, przerażonych zapewne wieścią o wczorajszym losie Suchedniowa, uciekały przez pola ku najbliższym lasom. Bohaterski Mark kazał działą odprzodkować i sygnawszy kartaczami za uciekającymi, rozpoczął następnie bombardować miasto granatami. Gdy mu nikt na to ani jednym nawet strzałem nie odpowiedział, zwycięski wódz, przy zachowaniu wszelkich ostrożności, wkroczył nakoniec do nieszczęśliwego i opustoszałego Wąchocka, gdzie powitała go na klęczkach garść żydów. Jenerał ze sztabem zaraz poszedł do handlu Wilkoszewskiego, gdzie kazał sobie obiad gotować, a żołnierstwo rozbiegło się po ulicach i poczęło rabować. Podobno za radą adjutanta w. księcia, hr. Komarowskiego, Mark kazał podpalić nieszczęsne miasteczko<sup>1)</sup>, poczem zabrał się i powrócił z całym oddziałem do Milicy, nie wiedząc zupełnie gdzie mu się Langiewicz podział i co się z nim stało. W tych wszystkich utarczkach, według raportów rosyjskich<sup>2)</sup>, powstańcy mieli stracić 60 poległych, 50 wziętych do niewoli i „wielką liczbę ranionych“; Rosyanie zaś jednego klasycznego żołnierza zabitego i 2-ch ranionych. Relacje polskie utrzymują, że powstańcy stracili 3-ch zabitych i 11 ranionych, a w Wąchocku miano w czasie grabieży zamordować 17 żydów<sup>3)</sup>; inne podają stratę na 8 ludzi<sup>4)</sup>. Tak się skończyła ta wyprawa, zapowiadana głośno i z mnóstwem przygotowań, które zupełnie się nie powiodły, pełna nadziei, które zawiodły, czego przyczyną było to, że samą akcyę nadzwyczaj niedołężnie ze strony rosyjskiej prowadzono. Langiewicz po dwudniowym powstrzymywaniu przez tylne straże oddziałów rosyjskich, wycofał się z pozycji prawie bez boju i zniknął zupełnie z oczów nieprzyjaciela. Zaszczyt zręcznego i umiejętnego oporu,

<sup>1)</sup> *N. Berg*, loc. cit. II, 514.

<sup>2)</sup> *Żurnal wojen. dziejstw* Nr. 6.

<sup>3)</sup> *J. Styczeń*, loc. cit.

<sup>4)</sup> *Wiadomości z pola bitwy* Nr. 2.



polskiemu wodzowi przyznać należy<sup>1)</sup>. Ze strony generała Marka widać już teraz, tę tak szeroko później praktykowaną taktykę wodzów rosyjskich, polegającą na tem, by postrzelać się trochę z powstańcami, nie starać się o ich rozbicie i nie ścigać ich wcale, by za parę tygodni to samo znowu rozpocząć, do nieskończoności. Że takie postępowanie nadzwyczaj zgubne dla kraju, było wynikiem

<sup>1)</sup> Z. L. Sulima, loc. cit. 34, opowiada, że oddział wysłany w dniu 2 lutego do zrabowanego Suchedniowa, d. 3 lutego powrócił do Wąchocka i stoczył tu małą utarczkę z Rosyanami. Oto jego słowa: „Koło południa oddział stanął pod Wąchockiem i obszedłszy go lasem wysunął się na pole. W dole poza górką gorzało całe miasteczko: kłęby dymu i języki czerwonego płomienia mieszały swój blask z blaskiem pięknego zimowego dnia, jaki nastąpił po przykłej nocy. Na lewo na drodze postępowała wolno kolumna wojsk moskiewskich, złożona z piechoty i jazdy, dragonami zwanej. Na ten widok przodowa kolumna powstańców, złożona z kosynierów, wydaje okrzyk hura! i rzuca się biegiem do ataku. Moskale wstrzymują się w pochodzie, zwracają frontem ku powstańcom, a jazdę rozsypują w tyralierkę i rozpoczynają ciągły, spokojny, dobrze utrzymany ogień. Kosynierzy dobiegłszy dość blisko do nieprzyjaciela, wstrzymują się pod ogniem, wahają i w końcu pierzchają na wszystkie strony. Za ich przykładem poszła reszta oddziału. Moskale nie ścigając go wcale udali się w swoją drogę“. Był to oczywiście 4-ty batalion, którego część z jeńcami wróciła wcześniej do Wąchocka i z całym oddziałem Langiewicza brała udział w utarcze. Autor „Przyczynków do wypadków 1863“ opowiada przytem bardzo charakterystyczną scenę: „W czasie, kiedy staliśmy na szosie pod kolumnami nieprzyjacielskimi, wpadł ku nam konno placomendant Kozicki, wołając: „Który tu jest Zawisza?“ „Ja jestem, odpowiada jeden z szeregu, około 40-letni człowiek. „Wyjdź z szeregu!“ woła Kozicki. Zawisza wychodzi. „Pal mu w łeb!“ rozkazuje Kozicki; zwracając się do jednego z naszej gromady, który ze strzelbą pomiędzy kosynierów się zaplątał. Rozkaz nie skutkuje. „Pal mu w łeb, bo ja mu palę!“ woła jeszcze Kozicki i znów bez skutku. Wydobywa więc z za pasa pistolet i dwoma wystrzałami kładzie Zawiszę na miejscu. Zawisza upadł na przymę kamieni, brocząc krwią ustami. Mówiono, że Zawisza ów wskazywał władzom rosyjskim domy w Suchedniowie, z których górnicy wyszli do powstania; że domy te spalono i zato Zawisza otrzymał przynależną karę. Czy tak było rzeczywiście, powiedzieć nie umiem, ale egzekucya ta bez sądu, bez wysłuchania winnego, przynębiające sprawiła wrażenie“.

*namusko Zawisza znowu e... w... g... rosb*  
*... w... w... w...*

pewnej polityki stronnictwa wojskowego, wątpić nie można; polityki tem chętniej uprawianej przez różnych drugorzędnych dowódców, że przysparzała im ona nagród i zdobyczy... Generał Mark d. 4 lutego z Milicy pociągnął do Radomia, gdzie syt chwały i rabunku stanął nazajutrz<sup>1)</sup>.

Kiedy takie wypadki zachodziły w górzystej krainie sandomierskiej, w województwie krakowskim, w południowym jego kącie, niemniej czynnie rozwinęło się powstanie. Komitet centralny wezwał tu na naczelnika sił zbrojnych województwa pułkownika Czapskiego<sup>2)</sup>, ale gdy ten nie przybywał, dowództwo pozostało przy Kurowskim, znanym nam już ziemianinie, którego zamach w nocy styczniowej na Kielce nie powiódł się zupełnie. Założył on obóz powstańczy w Ojcowie, gdzie ochotnicy tłumnie się zbiegali, nie tylko z Królestwa, ale i z Galicyi. Miejscowość niekonięcznie była dobrze wybrana, gdyż Ojciec tworzy wąską dolinę, otoczoną wysokimi górami, i tylko wzgląd ukrycia przed nieprzyjacielem początkowej formacji oddziału, może usprawiedliwić tego rodzaju wybór. Kurowski główne kierownictwo organizacji obozowiska powstańczego powierzył niejakiemu Andrzejowi Łopackiemu, oficerowi z wojska austriackiego<sup>3)</sup>. Uzbrojenie oddziału początkowo, jak wszędzie, było bardzo liche; przeważnie w kosy i strzelby myśliwskie. Ale nakazana z Warszawy koncentracya wojska rosyjskiego, opuszczenie przez nie wszystkich nieomal miasteczek, oddało całą południową część województwa w ręce Kurowskiego. Wszelako wśród chaosu, panującego w naczelnich władzach wojskowych w Warszawie, zapomniano zupełnie o straży celnej, t. z. objeszczykach, rozrzuconej wzdłuż granicy, którzy też zostali na swych stanowiskach, z czego oczywiście Kurowski nie omieszkiał skorzystać i postanowił całą granicę Królestwa w tej stronie oczyścić i tym sposobem ułatwić sobie komunikacyę z Krakowem i Ga-

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 44.

<sup>2)</sup> Ks. Serafin Szulc, Pamiętniki (Polska w walce, II, 73).

<sup>3)</sup> Loc. cit.



licy. W tym celu w d. 4 lutego <sup>1)</sup>, wysłał 40 ludzi do Michałowic <sup>2)</sup>, którzy powitani strzałami, mimo to zdobyli koszary, objeszczyków rozbili i zabrali 6000 rubli w gotówce. Niemniej szczęśliwie powiódł się atak na komorę celną w Szycach, atak prowadzony przez podporucznika Franciszka Gaszyńskiego, który z tej wyprawy przywiózł do obozu ojcowskiego 27 koni, 47 karabinów, 17 pałaszy, 77 pistoletów. Kurowski po tych pomyślnych wyprawach zamierzał uderzyć na komorę w Maczkach, gdzie według wieści miało się skoncentrować około trzystu objeszczyków. W d. 5 lutego wyruszył więc z obozu ojcowskiego z całą, jaką posiadał siłą, zostawiwszy tylko pewną ilość źle uzbrojonych lub chorych, ku Olkuszowi <sup>3)</sup>. W marszu swym przez Olkusz zatrzymał się tam, „zrzucił, jak sam powiada, wszystkich urzędników moskiewskich“, ogłosił rząd narodowy, utworzył gwardyę narodową i polecił opublikować w ciągu trzech dni w całym powiecie dekret o uwłaszczeniu włościan <sup>4)</sup>. Nazajutrz d. 6 lutego, przy entuzjastycznych okrzykach mieszkańców Olkusza, pomaszerowano do Sławkowa, gdzie dowiedziano się, że straży pogranicznej w Maczkach już nie ma, gdyż skoncentrowała się w liczbie 300 koni w Sosnowcu pod wodzą majora Lubieñcowa, na skutek nadeszłych nakoniec rozkazów z Warszawy, ażeby dwie najważniejsze komory w Granicy i Sosnowcu bądź co bądź utrzymać. Wskutek tej wiadomości Kurowski postanowił uderzyć na Sosnowiec. Na rozkaz komisarza wojewódzkiego Wojciecha Biechońskiego, zatrzy-

<sup>1)</sup> Raport Kurowskiego do tymczasowego rządu nar. (Wiadom. z pola bitwy Nr. 3). *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 45, mylnie utrzymuje, że napad na Michałowice odbył się d. 21 stycznia (2 lutego).

<sup>2)</sup> Raport, loc. cit. *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. twierdzi, że na Michałowice napadła „znaczna banda“ (znacitelna banda).

<sup>3)</sup> Kurowski w cytowanym raporcie twierdzi, że wyruszył na Maczki w 100 ludzi piechoty i 50 koni, co jest oczywiście kłamstwem.

<sup>4)</sup> Loc. cit. Z kasy powiatowej zabrano przytem rs. 908. Kwitował naczelnik woj. krak. Kurowski i skarbnik woj. krak. Zdzisław Mayzel, za pieczęcią „organizacyi narodowej woj. krak.“ (Akta komisji skarbu).

mano w Strzemieszycach wszystkie pociągi kolei warszawsko-wiedeńskiej i cały oddział Kurowskiego pojechał do Sosnowca, dokąd przybyto o godz. 1-ej w nocy. Kurowski w odległości kilometra od stacyi pociąg zatrzymał, powstańcy wysiedli i uformowali się w szyk wojenny. Środek linii tworzyli kosynierzy pod wodzą Teodora Cieszkowskiego, prawe i lewe skrzydło stanowili strzelcy pod dowództwem niejakiego Nikiforowa, oficera wojsk rosyjskich, zbiegłego do powstania i Edwarda Staweckiego. Kawaleria, pod komendą Mięty, oficera z wojska austriackiego, miała zadanie odcięcia nieprzyjaciela od granicy pruskiej. W takim szyku, wśród nieustannego i drobnego deszczu, pomaszerowano do Sosnowca, dokąd nad świtaniem d. 7 lutego przybyto. Nieprzyjaciół, zdaje się, uwiadomiony był dość wcześniej o ataku, gdyż zamknął się w dwóch budynkach, t. j. na komorze i na stacyi kolejowej. Gdy strzelcy Kurowskiego, rozsypani w tyraliery, zbliżyli się do nieprzyjaciela, ten z okien i drzwi powitał ich morderczym ogniem. Strzelanina ta, trwająca dość długo i bez żadnego rezultatu, spowodowała Cieszkowskiego, że ruszył na czele kosynierów do ataku; ale pod gradem kul kosynierzy się zachwiali, a gdy pod ich dowódcą padł koń i sam został ranny w prawą rękę, w popłochu zawrócili się i poszli w rozsypkę. Z trudem wielkim zdołano ich znowu zebrać, natchnąć odwagą i jeszcze raz poprowadzić do ataku. Sam Cieszkowski, mimo rany, wiódł ich wśród gradu kul, dopadł do budynków, obsadzonych przez nieprzyjaciela, drzwi wyrąbał i zdobył nakoniec tak uparcie bronione stanowiska. Część straży poległa, część zbiegła do Prus, przyczem kawaleria Mięty nie spełniła swego zadania należycie <sup>1)</sup>.

Zwycięstwo było zupełne i zawdzięczać je należy wyłącznie Cieszkowskiemu, który mimo rany i wpływu krwi, po bohatersku powiódł kosynierów do ataku. Gdy już szala zwycięstwa przeważała się na stronę polską, usiadł on na pół omdlały i głosem stłumionym zawołał: „Opatrzcie mi

<sup>1)</sup> *Ks. S. Szulc* loc. cit. II, 75.



rękę, bom ranny“<sup>1)</sup>. Łupy zdobywców sosnowickich były bardzo znaczne. Wzięto do niewoli około 30 jeńców, a pomiędzy nimi kapitana żandarmów i oficera, których Kurowski na słowo honoru, że nigdy już przeciw Polakom walczyć nie będą i zaraz zagranicę wyjadą, na wolność wypuścił<sup>2)</sup>. Żołnierzom zaś, zgodnie z panującą w tej dobie sentymentalną nadzieją, że przez dobre obchodzenie zyska się ich dla sprawy wolności, kazał wypłacić po 2 złp. i bez żadnych z ich strony zobowiązań, „najserdeczniej z nimi rozstawszy się“, uwolnił. Kilku z nich przystało zaraz do powstańców<sup>3)</sup>. W kasie komory zabrał Kurowski około 90 tysięcy rubli<sup>4)</sup>. Część tych pieniędzy, ile, nie wiemy, wysłano zaraz zagranicę na kupno broni, część użyto na potrzeby oddziału. Zdobyto przytem 40 koni, 40 karabinów, 100 centnarów ołowiu i t. d. Wrażenie tego zwycięstwa było tak wielkie, że Prusacy z Bytomia i miejscowości pogranicznych wywieźli kasy swoje do Wrocławia<sup>5)</sup>; ale co w tej chwili było dla powstania najważniejszem, to że cała granica od Czeladzi aż do Barana była zupełnie wolną i wskutek tego zwiększyć się musiał napływ ochotników z Galicyi, Śląska i Poznańskiego, oraz broń można było bezpiecznie przewozić. Wtedy to dostała się do kraju część karabinów, zakupionych w grudniu z. r. przez paryską komisję broni<sup>6)</sup>. Kurowski nie mając nigdzie

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> Raport Kurowskiego, loc. cit.

<sup>3)</sup> Ks. S. Szulc, loc. cit.

<sup>4)</sup> Właściwie według akt b. komisji skarbu zabrano rs. 60.935 kop. 46½, ale inne podania nie zgadzają się z tą cyfrą. Sam Kurowski w swym raporcie do rządu narodowego mówi, że wziął 600.000 złp. t. j. 90.000 rubli. Ks. S. Szulc w swych „Pamiętnikach“ powiada o 80.000 rubli, a Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 46 o 65.000 rs. W „Dzienniku Warszawskim“ Nr. 7 z r. 1867 w artykule o dostawie broni dla powstania jest mowa o 70.000 rs. Przyjmujemy cyfrę podaną przez Kurowskiego, jako najautentyczniejszą, gdyż nie mógł jej zwiększyć ze względu, że bądź co bądź musiał się z niej wyrachować.

<sup>5)</sup> Ks. S. Szulc, loc. cit. II, 75.

<sup>6)</sup> „Dziennik Warszawski“ Nr 7 z r. 1867.

w pobliżu nieprzyjaciela, rozporządzał się teraz jako samowładny pan tego południowo-zachodniego kąta kraju. Wszędzie kazał ogłaszać Rząd narodowy, zaprowadzał swoje władze, na paszportach polecił przykładać pieczęć polską, wybierać cła na rzecz polską. Wyruszywszy z Sosnowca do Dąbrowy, mianował tu komendantem Cieszkowskiego, w nagrodę jego heroicznego ataku sosnowieckiego; przyjmowany uroczystie zakupił nieco kozuchów i butów w Bendzinie, przyczem żydzi tamtejsi ofiarowali dowódcy w gotówce 10.000 złp. Z Dąbrowy Kurowski na Sławków, Olkusz, wszędzie wśród uroczystych przyjęć, upojony tryumfem, pewny siebie, wrócił do dawnego obozowiska ojcowskiego, syt teraz sławy, którą w kilka dni później tak marnie utopił miał w krwi miechowskiej.

W okolicach Warszawy zaszły także niemniej rozgłośne i krwawe wypadki. Naczelnikiem wojennym powiatu rawskiego mianowany został przez Komitet centralny, Antoni Jeziorański. Był to człowiek z pewnem doświadczeniem wojennem, którego nabył w czasie kampanii węgierskiej, należący bezwątpienia do najzdolniejszych dowódców powstania, ale trawiony niezdrową ambycją i niewiarą w sprawę, za którą walczyć mu przyszło. Wskutek tej niewiary nie zrobił tego, co mógł zrobić, ani nie odegrał roli, jaka mu się ze względu na jego zdolności i szczęście wojenne należała. Wyjechał on z Warszawy koleją żelazną wiedeńską d. 18 stycznia, i założył obóz w lasach radziwiłłowskich, niedaleko wsi Jeruzala, w miejscu, obfitującym w wodę<sup>1)</sup>, i już nazajutrz zebrało się około stu ludzi i odtąd ciągle napływali. Uzbrojeni byli, jak wszędzie, w kosy i strzelby myśliwskie. Wkrótce przybył także do obozowiska znany nam członek Komitetu centralnego, Franciszek Godlewski, niedawno wypuszczony z więzienia francuskiego, przybył smutny i zrozpaczony. „Widzisz mnie tu, mówił do Jeziorańskiego, inni są tam, gdzie im grozi równe niebezpieczeństwo. Tem przekonamy świat, żeśmy

<sup>1)</sup> A. Jeziorański, Pamiętniki I, 151.



uczciwi ludzie, że w walce przeciw gwałtom najeźdźców razem z tą młodzieżą ginąć potrafimy<sup>1)</sup>. Jakoż miał wkrótce krwią własną przypieczętować lekkomyślne porwanie się do broni; niestety: ani on, ani inni, którzy równie bohatersko umrzeć potrafili, winy śmiercią swą nie zmazali. Nie śmierć bowiem heroiczna, ale rozumna politycznie stanowi o wyroku historii. Dla Godlewskiego i innych, którzy wywołali powstanie, wyrok ten ujemnie wypaść musi.

Jeziorański d. 21 stycznia podzielił swój oddział na strzelców, kosynierów i konnicę; ćwiczył ciągle żołnierzy, wymagał od nich ścisłego wykonywania rozkazów, jadł z nimi razem z kotła, spał pod gołym niebem. Ustanowił przytem płacenie regularne żołdu; żołnierz brał dziennie 1 złp., podoficer 2, a oficer 5 złp. Fundusze na to pochodziły najprzód z 1000 złp., które przywiózł z Warszawy jego szef sztabu Tomasz Winnicki, członek czynny organizacji warszawskiej, oraz z zabranych sum z kas leśnych księstwa Łowickiego. Naciskany przez Tymczasowy Rząd narodowy, by rozpoczął „większą akcyę wojenną“, odrzekł, że nie ma do tego jeszcze sił odpowiednich. Dnia 1 lutego dowiedział się, że miejsce jego obozowiska znanem już jest władzom rosyjskim, postanowił więc zmienić pozycyę i stanął we wsi Ossowice, o milę od Rawy<sup>2)</sup>. Tutaj to powziął zamiar napadu na Rawę, gdzie spodziewał się zdobyć nieco broni i amunicyi, a przytem chciał łatwem zwycięstwem zachęcić i dodać otuchy młodym i niedoświadczonym powstańcom. W tym celu zażądał przedewszystkiem od organizacji rawskiej planu miasta i ścisłych danych o sile załogi rosyjskiej, konsystującej tamże. Gdy przybyło doń kilku obywateli z Rawy, zapytał ich, z której strony najdogodniej uderzyć na miasto. Ci, jako nie wojskowi, nie umieli mu odpowiedzieć, więc skrzyczał ich mocno<sup>3)</sup>; ale

<sup>1)</sup> Loc. cit. I, 152.

<sup>2)</sup> Loc. cit. I, 157.

<sup>3)</sup> „Dziennik warszawski“ Nr. 78 z r. 1865.

bądź co bądź powziął pewne wiadomości o sile załogi rosyjskiej w mieście. Okazało się, że w Rawie wszystkiego jest sześćdziesięciu kilku ludzi inwalidów, i kilku żandarmów<sup>1)</sup>. Ponieważ Jeziorański liczył 374 ludzi (154 strzelców, 160 kosynierów i 60 koni jazdy), więc zwycięstwo było prawie pewnem. A przytem siły jego zwiększyły się przez połączenie się z oddziałkiem niejakiego Śmiechowskiego, żołnierza b. wojsk polskich, który chętnie poddał się pod władzę Jeziorańskiego i otrzymał dowództwo nad kosynierami; strzelców miał pod swą komendą Sokołowski, a Winnicki kawaleryę. Cała siła Jeziorańskiego wynosiła teraz około 600 ludzi<sup>2)</sup>.

W takim porządku Jeziorański d. 4 lutego, o godzinie 10-ej wieczorem wyruszył z samą piechotą na Rawę; Winnickiemu zaś kazał w pół godziny później opuścić obóz i stanąć pod miastem, w pobliżu koszar żandarmów<sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 271. *Jeziorański* w swych Pamiątkach I, 158, z przesadą, zapewne dla podniesienia wielkości swego tryumfu, twierdzi, że w Rawie było 628 ludzi piechoty, 60 kozaków i 18 żandarmów, razem 706 ludzi. Jest to najoczywistsze kłamstwo; z 374 ludźmi, źle uzbrojonymi, jakich miał wódz polski, nie zdobywa się miasta, bronionego przez 700 ludzi, zaopatrzonych we wszystko i wyćwiczonych wojskowo. Przytem w Rawie, przed koncentracją, stała tylko jedna kompania pułku Ładoskiego piechoty; skądżeby się więc po koncentracji znalazło tam aż 628 ludzi piechoty? „Wiadomości z pola bitwy“ skromniejsze są pod tym względem od Jeziorańskiego, bo twierdzą, że w Rawie było 160 Rosyan; wprawdzie dodają, że „oddział naszych nie był liczniejszy“.

<sup>2)</sup> Winnicki w swoich notatkach, na podstawie których w jednym z pism lwowskich, (autor niestety! nie wynotował sobie tytułu tego pisma) wydrukowano artykuł p. t. „Wzięcie Rawy“, powiada, że połączone oddziały Jeziorańskiego i Śmiechowskiego wynosiły zaledwie 457 ludzi. Oblicza on oddział Jeziorańskiego na 49 strzelców, 188 kosynierów i 36 kawalerzystów. Śmiechowski miał mieć 28 strzelców, 93 kosynierów i 63 kawalerzystów pod dowództwem Bayera. Razem więc było 457 ludzi, co się nie zgadza z podaniami Jeziorańskiego.

<sup>3)</sup> Winnicki w cytowanych notatkach zaprzecza temu i twierdzi, że kawalerya pod wodzą Bayera i Sokołowskiego, miała oskrzy-



Oddział powstańców znalazł się pod Rawą przed samą północą; noc była widna, księżycowa. Koszary zajęte przez Rosyan były oświetlone i ruch w nich zapanował, co świadczyło, że byli uprzedzeni o napadzie <sup>1)</sup>. Jeziorański rozsyłał w tyraliery jedną kompanię strzelców i rozkazał jej podejść pod koszary, gdzie powitana została strzałami z okien, drzwi i dziur, umyślnie na ten cel wybitych. Rozpoczęła się więc obustronna strzelanina, trwająca blisko godzinę bez żadnego skutku. Wówczas Jeziorański zwrócił się do kosynierów: „Dzieci! zawołał, trzeba z nimi raz skończyć, ta pukanina nie na wiele się przyda“. Kazał więc z pobliskich stert naznosić słomy, z miasta przynieść łuczywa i wiór, i z tem rzucano się na drewniane koszary, obłożono je słomą, poodrywano okiennice, a Jeziorański wołał do inwalidów: „poddajcie się, bo każę was podpalić!“ Godlewski jakby szukając śmierci, stanął w jednym z okien i zaczął także wzywać nieprzyjaciela do poddania się. W odpowiedzi dwie kule mu pierś przeszły; padł wołając: „Niech żyje Polska!“; druga po Frankowskim ofiara z pomiędzy tych, którzy najgoręcej domagali się powstania. To rozpaczliwe wystawienie swych piersi na kule wroga świadczy, że szukał umyślnie śmierci, w której może chciał znaleźć pokutę za lekkomyślne wezwanie narodu do walki nierównej.

Gdy Rosyanie na słowa Jeziorańskiego nic nie odpo-

dlić miasto, czyli zająć trakty do Łowicza i Skierniewic. Utrzymuje dalej, że drugi Sokołowski dowodził kosynierami a Śmiechowski strzelcami. Dodać tu wypada, że Pamiętniki Jeziorańskiego są w ogóle bardzo bałamutne i z wielką ostrożnością należy z nich korzystać. Nie wie on np. którego dnia dokonał napadu na Rawę, zapewnia, że d. 3 lutego otrzymał od Rządu narodowego pochwałę za ten atak i pochwałę tę z datą cytuje. Jest to oczywiste kłamstwo, bo nie mógł otrzymać d. 3 pochwały za napad, dokonany dopiero nazajutrz. Tego rodzaju fałszów i błędów jest mnóstwo w pamiętnikach.

<sup>1)</sup> A. Jeziorański, loc. cit. I, 161. *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 271 pisze, że „komenda inwalidów napadniętą była zniechęca“.

wiedzieli, więc podpalono koszary, które wkrótce buchnęły płomieniem. Nieprzyjaciół poczęły wybiegać i wyskakiwać przez okna, wreszcie wypadłszy zbitą masą przerznął się na rynek, skąd o godz. 5-ej rano pomaszerował do Skierniewic, nie ścigany wcale przez Jeziorańskiego. W żwawej tej utarczce oprócz Godlewskiego, poległo 6 powstańców, a 11 było rannych. Straty rosyjskie nie są dokładnie znane <sup>1)</sup>.

Jeziorański zdobywszy kilkadziesiąt sztuk broni, śpiesznie wyruszył z Rawy w kierunku Pilicy, opuszczając zupełnie Rawskie i w ogóle tę część kraju, gdzie teraz znajdował się jeden tylko oddział Władysława hr. Strojnowskiego. Dowódca ten, niegdyś oficer wojsk rosyjskich, właściciel wsi Głuchówka w Rawskim, gdzie, jak wiemy, przed samym wybuchem odbył się zjazd komisarzy wojewódzkich, sformował oddział własnym kosztem, przeważnie z młodzieży szkolnej warszawskiej <sup>2)</sup>. Już w d. 22 stycznia

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 272, powiada, że Rosyanie mieli 2 zabitych, 4 rannych i 6 „przepadłych bez wieści“. Jest to specyficznie rosyjska formuła urzędowa. „Dziennik warszawski“ Nr. 78 z 1865 r. utrzymuje, że Jeziorański stracił w Rawie 40 ludzi.

<sup>2)</sup> *Jeziorański*, Pamiętniki I, 168, pisze, że nazajutrz po ataku na Rawę natknął się na oddział Strojnowskiego, ale zdaje się, że musiało to być znacznie wcześniej, wtedy mianowicie, gdy się formował pod Radziwiłłowem, Strojnowski bowiem obozował w lasach Bolimowskich. Jeziorański więc maszerując z Rawy ku Pilicy w żaden sposób nie mógł się z nim spotkać. Samochwalczy Jeziorański opowiada przytem, jak wypadkiem, dzięki podjazdowi i przenikliwości kozaka, który służył w jego oddziale, dowiedział się o istnieniu partyi Strojnowskiego, jak samotrzeć do niego pojechał, jak go zastał w gęstym lesie przy ognisku, jak wiedząc, że w dwie godziny po wyjściu Jeziorańskiego z Rawy, przyszło tam wojsko rosyjskie, ostrzegał Strojnowskiego o grożącym oddziałowi jego niebezpieczeństwie, i jak dumnie miał na to odpowiedzieć Strojnowski: „Pozycya, którą zajmuje, jest naturalną twierdzą, nawet kusić się Moskałe nie będą, aby ją zdobyć“. Jeziorański uwiadomił go, że teje nocy opuszcza te strony, co w rzeczy samej uczynił, zostawiając Strojnowskiego jego losowi. W tej opowieści Jeziorańskiego jest wiele fałszu. Rosyanie w dwie godziny po jego wyjściu wcale



odbił on pod wsią Strzybogą, kilku rekrutów, prowadzonych z Rawy do Skierniewic, poczem założył obozowisko w pobliżu kolei warszawsko-wiedeńskiej, w gęstych i w owe czasy dość znacznych lasach Bolimowskich, w odległości sześciu kilometrów od Bolimowa, w pobliżu wsi Grabie, za rzeką Rawką, przecinającą tę miejscowość lesistą z południa na północ i dzielącą lasy Nieborowskie od Bolimowskich. Na rzeczce tej, mającej brzegi grząskie i błotniste, jeden był tylko most pod wsią Grabie. Pozycya była dobrze wybrana, z natury bardzo obronna, to też Strojnowski był przekonany, że nieprzyjaciół nawet nie pokusi się o zaatakowanie go tutaj, co tem było prawdopodobniejszem, że w ogóle w tej okolicy kraju siły rosyjskie były nader słabe, w Skierniewicach bowiem stało półtorej kompanii strzelców, w Łowiczu zaś 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> kompanii tegoż czwartego batalionu strzeleckiego i setka kozaków, rozdzielona na oba te miasteczka<sup>1)</sup>. Jakie siły miał Strojnowski, trudno dojść; według jednych wynosiły one kilkuset ludzi, według innych zaledwie stu pięćdziesięciu, z których 40 tylko uzbrojonych było w strzelby myśliwskie<sup>2)</sup>. Bądź co bądź rozporządzał się on tutaj samowładnie. Z kasy księstwa Łowickiego w Łyskowiec zabrał 6000 rs.; spalił most kolejowy na Rawce i miał baczny dozór na ruch pociągów na tejże kolei, z której sam kilkakrotnie korzystał dla przejazdu mniejszych przestrzeni. Raz nawet udało mu się w pobliżu Skierniewic zatrzymać pociąg i schwycić czterech oficerów rosyjskich, których zaprowadzono do leśnego obozu z zawiązanymi oczami i osadzono pod strażą w osobnym szałasie<sup>3)</sup>. W Bolimowie ogłosił Strojnowski

nie przyszli do Rawy, ale w tydzień potem. Komendę inwalidów znów zostawiono tam załogą i ta mszcząc się za udział kilkunastu szkańców w napadzie na nich, kilka domów ze szczerem ograbiła. (*Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 212).

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 273.

<sup>2)</sup> „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 2.

<sup>3)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 274.

Rząd narodowy i na rynku publicznie ze swym oddziałem odbywał ćwiczenia. Wieść przytem wiodła, że posiada około 6000 ludzi i zamierza uderzyć na Łowicz.

Tam panował wśród załogi rosyjskiej wielki przestach, zwłaszcza że w Łowiczu mieścił się magazyn wojskowy, którego strzedz należało. Wobec tego komendant Łowicza, pułkownik Hagemeister, domagał się ze wszech stron posiłków, których mu nikt dać nie mógł; aż wreszcie to ciągle zatrzymywanie pociągów, chwywanie korespondencyi prawie pod nosem naczelnych władz warszawskich, zmusiło te ostatnie do zarządzenia wielkiej wyprawy na obozowisko powstańcze pod Grabiami. W tym celu z Wiskitek miał wyruszyć szwadron huzarów, szwadron strzelców konnych i pluton kozaków pod dowództwem pułkownika *Felkerzamba*, pochodzącego ze szlachty polsko-inflanckiej, wślawionego w tej wojnie krwawymi represaliami. Jazda ta w sile 300 do 400 koni miała wystąpić d. 7 lutego o godz. 7-ej rano i kierując się ku Bolimowu, mieć baczne oko na wschodnie wyloty lasów tamtejszych. Z Warszawy otrzymały rozkaz wyruszenia dwie kompanie strzeleckie pułku litewskiego gwardyi<sup>1)</sup>, pod wodzą porucznika von Wittorfa, dojechać koleją do Skierniewic, a stąd pomaszerować na Wiskitki do Bolimowa i atakować las od strony południowej, po obu brzegach rzeki Rawki. Na dworcu, gdzie przygotowano dla odjeżdżającej gwardyi pociąg nadzwyczajny, generał Korf dał jeszcze ustne instrukcje Wittorfowi, zalecając mu, by przeszedł na wskrós lasy Bolimowskie i dotarł aż do Miedniewic<sup>2)</sup>. Z Łowicza miał wyruszyć tegoż d. 7 lutego o godz. 3-ej rano, na czele półtrzeciej kompanii piechoty i 80 kozaków,

<sup>1)</sup> Loc. cit. mówi raz o trzech, drugi raz o dwóch tylko kompaniach pułku litewskiego gwardyi. *A. Markgrafskij*, *Istoria lejbgwardyi litowskiego polka*, 418, utrzymuje, że tylko jedna kompania, mianowicie 2-ga strzelecka tegoż pułku brała udział w wyprawie. „Wiadomości z pola bitwy“ mówią o 600 ludziach gwardyi, a zatem o trzech kompaniach.

<sup>2)</sup> *A. Markgrafskij*, loc. cit.



drżący dotąd o swą skórę pułkownik Hagemeister i maszerować wprost na Bolimów, atakować lasy od strony zachodniej; na koniec ze Skierniewiec półtorej kompanii piechoty miało zamykać od strony północnej ten łańcuch bagnarów i szabel.

Wszyscy ci dowódcy rosyjscy nie mieli dokładnych wiadomości o miejscu obozowiska powstańczego. Wprawdzie kolonista niemiecki ze wsi Franciszkowa, przebrany za kozaka, zdołał wysledzić powstańców<sup>1)</sup>, ale zdaje się, że relacjom jego nie bardzo wierzono. Strojnowski ze swej strony nie wiedział nic o gotującej się nań burzy, a może zaufany w swą, jak sądził, niezdobytą pozycję, lekceważył sobie przeciwnika. Temu to zapewne przypisać należy, że wyprawa rosyjska jak najnieudolniej, jak najniesforniej prowadzona, zakończyła się jednak zwycięstwem, gdy przy zdolniejszym dowódcy powstańczym mogła się była i powinna nawet zakończyć porażką.

Hagemeister bowiem wyruszywszy z Łowicza o naznaczonej godzinie, maszerując przez Nieborów, stanął o godz. 7-ej rano (d. 7 lutego) w Bolimowie, który kazał wprzód otoczyć dokoła kozakom. Stanąwszy na rynku, rozpoczął od aresztowań i bicia batami mieszkańców dla zasiągnięcia od nich języka, poczem wysłał rozjazdy do Woli Szydłowskiej i Miedniewic, dla skomunikowania się z innymi oddziałami wyprawy. Wreszcie polecił majorowi Krokowi, ażeby na czele jednej kompanii piechoty i 15 kozaków, ruszył do wsi Grabie, sam zaś z pozostałą siłą, w charakterze „rezerwy ogólnej“, zatrzymał się w Bolimowie<sup>2)</sup>. Rozporządzenia te, niezem niensprawiedliwione, przeciwnie rozkazom, świadczyły o rozpowszechnionej w tej dobie dążności dowódców rosyjskich działania samoistnie, nie oglądając się na innych. Major Krok bowiem przybywszy do wsi Grabie, przeszedł jedyny most na Rawce, który nie był zniesiony, jak powinien to być zrobić Stroj-

<sup>1)</sup> „Wiad. z pola bitwy“ Nr. 2.

<sup>2)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 275.

nowski, i dowiedziawszy się tutaj dokładnie o miejscu obozowiska powstańczego, ruszył naprzód, zerwawszy przez porzucenie drogi skierniewickiej wszelkie czucie z innymi oddziałami. Tyle tylko zrobił, że o wszystkim uwiadomił przez kozaka, pułkownika Hagemeistera w Bolimowie.

Major Krok wszedłszy do lasu, rozsypał całą pierwszą kompanię w tyralierę, a pluton za nią prowadził w ściśniętej kolumnie. Zaraz prawie na skraju lasu rozpoczęła się strzelanina z powstańcami, którzy niewielkimi gromadkami tyralierów, ukazujących się z różnych stron, starali się powstrzymać pochód nieprzyjaciela. Gromadki owe działały na własną rękę, gdyż w obozie Strojnowskiego nagle i niespodziewane pojawienie się Rosyan, spowodowało nieład i popłoch. Udało się na koniec Strojnowskiemu sformować kolumnę kosynierów, z którą począł obchodzić lewe skrzydło Kroka. Ten manewr powstrzymał zapęd nieprzyjaciela. Tyralierzy jego poczęli się cofać i zbijać w szeregi, które ustępując gęstym ogniem starały się pohamować nacisk powstańców. Ale na nieszczęście tych ostatnich, nadbiegł z Bolimowa na czele 30 kozaków, kapitan Tarasenkow znany ze swego zeszłorocznego zachowania się w kościele OO. Bernardynów w Warszawie, w pamiętnej nocy z 15 na 16 października; za nim przemaszerował sam Hagemeister z resztą sił i żandarmami, wreszcie nadciągnął oddział skierniewicki z plutonem strzelców i kompanią pułku litewskiego gwardyi. Siły po stronie rosyjskiej były przeważające i Strojnowski nie zdoławszy skorzystać z pierwotnego odosobnienia majora Kroka, teraz nie mógł już myśleć nawet o oporze. Hagemeister objawwszy naczelne dowództwo ruszył wprost na obóz powstańczy, który po upartym ręcznym boju, przyczem padł z ręki Szymanowskiego, obywatela ziemskiego, porucznik rosyjski Klingberg, został zdobyty. Powstańcy w nieładzie rozpieczęli się po lesie, straciwszy według raportów rosyjskich około 50 ludzi, według relacji polskich 15. Do niewoli miało się dostać 16. Wszystkich rannych żołnierze rosyjscy swoim zwyczajem dobili i obdarli do naga.



W potyczce tej druga kompania gwardyi, ani też liczna jazda Felkerzamba, udziału wcale nie brała <sup>1)</sup>), dzięki czemu Strojnowski, który miał być doszczętnie zniszczony, wycofał się z osaczenia, i w dwa dni potem znalazł się w Rawie, gdzie ogłosił Rząd narodowy i z kasy powiatowej zabrał rs. 4996 <sup>2)</sup>). W jakiś czas później oddział swój porzucił i zniknął z widowni powstania zupełnie <sup>3)</sup>.

Takimi były w swych głównych, wytycznych, że tak powiemy faktach, pierwsze tygodnie powstania, pierwsze chrzty krwawe tej walki dziwnej, szalonej, walki bez chwały i bez nadziei zwycięstwa. W tej dobie młodzieńczości swojej powstanie dawało już dowody niepospolitego heroizmu i niepospolitej wytrwałości. Atak kosynierów na działa pod Węgrowem, pozostanie na zawsze w historii

<sup>1)</sup> *A. Markgrafskij*, loc. cit. 418 utrzymuje, że kompania gwardyi biła się z powstańcami pod wodzą porucznika von Wittorfa. „Wszedłszy do lasu, mówi autor, porucznik Wittorf wysłał przodem łańcuch strzelców i patrole skrzydłowe po obu stronach. W lesie kompania spotkała kilku kozaków, którzy donieśli o utarczce, stoczonej między buntownikami i dwoma kompaniami 4-go batalionu strzeleckiego, wysłanego z Łowicza i prosili o pośpieszenie z pomocą. Około 7 wiorst przebiegła 2-ga rota strzelecka krokiem gimnastycznym w gęstwinie leśnej i znużona tym ruchem dopadła polany, na której widać było obóz powstańców, ale już w tym czasie oddział łowicki prawie skończył sprawę; powstańcy opuścili obóz i zostawili na placu kilkadziesiąt trupów, osadzili się w gęszczu leśnym. Von Wittorf rozsypawszy w tyraliery pół plutonu, wszedł w tę gęstwinę; powstańcy dali ognia, a następnie rzucili się naprzód z kosami w rękach, ale powitani celnym ogniem strzelców, puścili się uciekać, zostawili na poboju jeszcze około 20 trupów. W obozie znaleziono nieco żywności, kilka sztuk bydła, wiele sukna, płótna i mundurów“.

<sup>2)</sup> Akta b. Komisji Rządowej Skarbu. Na kwicie podpisał się Strojnowski jako „wódz naczelny“. W raporcie do Rządu Narodowego (Wiad. z pola bitwy Nr. 2) donosi, że wziął 33.000 złp. właściwie zaś tylko 32.640 gr. 20.

<sup>3)</sup> „Dziennik warszawski“ z r. 1863. W roku 1863 ukazała się w Genewie broszura, napisana przez Strojnowskiego p. t. „Précis historique sur la Pologne“, w której mianuje siebie założycielem Komitetu centralnego i mnóstwo błędnych podaje wiadomości.

jako czyn bohaterstwa, i ocala dobrą sławę wojenną powstania. Lecz nie tylko pod Węgrowem, bo wszędzie, we wszystkich tych utarczkach, których dzieje opisaliśmy, powstaniec świeżo od pługa i od warsztatu porwany, bezbronny, niewyćwiczony, nieumiejący częstokroć nabić nawet strzelby lub karabina, w większości wypadków nieudolnie prowadzony, bije się z wielką odwagą i z większym jeszcze entuzjazmem i pogardą śmierci. W Sosnowcu dwukroć odparty, po raz trzeci rzuca się na koszary i kosą je bierze. Są to czyny, które nie zawsze i nie wszystkie powstania znaleźć u siebie mogą. Walka ta bez nadziei, która Frankowskiemu, Padlewskiemu, Godlewskiemu, tym bezpośrednim inicjatorom wybuchu, każe w rozpaczliwym usposobieniu ducha szukać śmierci od kul rosyjskich, walka ta toczy się w zimie, acz łagodnej niezwykle, ale zawsze dla źle odzianych i nieprzywykłych do trudów wojny młodzieńców, ciężkiej i okrutnej. Toczy się ona gdzieś w głębi bardzo jeszcze lesistego podówczas kraju, a jej szczegóły skażone przez kłamstwo urzędowe, giną bez echa, bez sławy i bez oklasków świata, który nic o tem nie wie, a jeśli wie to źle i niedokładnie i obojętnym zdaje się być widzem tego boju, tej tragedii, rozgrywającej się na śniegu, gdzieś tam w puszczech mazurskich i podlaskich, w górach i lasach świętokrzyskich. Wprawdzie bój węgrowski, rzeź siemiatycka i tomaszowska, wielkie wachockie obozowiska i huk zdobywania koszar sosnowieckich, szeroko rozbrzmiewa po dziennikarstwie europejskiem, tu i owdzie budzi podziw dla tych młodzieńców, co z kijami, pod gradem kartaczy i granatów idą heroicznie na wroga, ale wszystko to ma raczej charakter sensacyjnej plotki dziennikarskiej, jak faktu wielkiego historycznego znaczenia. Powstanie polskie uważane jest przez pierwsze parę tygodni, jako jakaś zawierucha, gdzieś tam w kącie szalejąca, bez znaczenia i bez konsekwencji dla losów wielkiego świata europejskiego, jako krótki, krwawy zapewne ale bez doniosłości epizod, którego efemeryczny blask lada chwila przygasać miał zupełnie. Z chwilą gdy cesarz Napoleon III



niechętnie odniósł się do powstania przez samą swą postawę milezącą i obojętną, gdy dzienniki, znane z tego, że z dworu otrzymywały natchnienia, mówiły o walce w Polsce, jako o chwilowym porywie, który skona bezpłodnie i prędko, nikt w Europie nie zajmował się na seryo powstaniem polskim i nikt nie przypuszczał, by ono trwać mogło długo i by Polska przez nie miała wypłynąć na burzliwe morze wielkich zagadnień międzynarodowych, by wojna nad Wisłą miała się stać kwestyą powszechnego znaczenia, kwestyą europejską.

Ale właśnie w tej mniej więcej chwili, gdy Padlewski w smutnem obezwładnieniu duszy i ciała, chciał zakończyć tę krwawą i bezpłodną, jak mniemał, walkę, gdy garść straceńców kładła się pokotem u wylotów dział na polach węgrowskich i siemiatyckich, gdy dzieci i starcy płacili w Tomaszowie życiem i krwią własną nierozsądek wybuchu, gdy Frankowski padał na sandomierskiej ziemi prześzyty kulą, gdy Langiewicz śnił w odwiecznym pocysterskim klasztorze o zerwaniu się Polski całej jak jeden człowiek, gdy nakoniec Godlewski z rozpaczą w duszy konał w starej Ziemowitowej Rawie — w tej chwili tak ponurej, tak chmurnej, tak pozbawionej choćby najślabszego blasku nadziei, nagle sprawa polska miała wyłonić się z szarego mroku lasów ojczystych na wielką widownię świata europejskiego i stać się na długo osią główną wszystkich jego obrotów i działań jego wszystkich.

Ten najdziwniejszy może, najmniej oczekiwany ustęp z tych, w ogóle dziwnych dziejów, opowiemy teraz po szczególe.

### ROZDZIAŁ III.

#### Konwencya pruska.

Mowa ministra Bilault w senacie francuskim. Wrażenie tej mowy. Instrukcyja ks. Wł. Czartoryskiego. Jej odwołanie. Minister pruski v. Bismarck i jego zamiary. Proklamacyja prezydenta Horna. Wysłanie Alvenslebena i Raucha. Skoncentrowanie 4-ch korpusów. List Tęgoborskiego. Alvensleben w Petersburgu. Wrażenie na wieść o zawarciu konwencji. Postawa Austrii względem powstania. Oskarżenia rosyjskie. Odezwy policyi w Krakowie i Lwowie. Zachowanie się władz. Odroczenie sejmiku galicyjskiego. Austria nie chce przystąpić do konwencji. Postawa Anglii względem powstania. Treść konwencji. Dwie rozmowy Buchanana z Bismarckiem. Rozmowa Napiera z Gorczakowem. Trzecia rozmowa Buchanana z Bismarckiem. Zmiana postawy rządu francuskiego. Rozmowa Drouyn de Lhuys z Goltzem. Noty do Anglii i Prus. Narada ministeryalna. Projekt noty identycznej. Austria i Anglia odrzuca ten projekt. Okólnik p. Drouyn de Lhuys. Intryga Gorczakowa. Rozmowa Bismarcka z Behrendem. Interpelacyja Kantaka i Chłapowskiego. Odpowiedź Bismarcka. Interpelacyja Schulzego i Carlowitza. Mowa Bismarcka. Rezolucyja izby. Sesa z d. 26 lutego. Mowy Sybla, Roepla i Eulenburga. Mowa Bismarcka. Wypadki przekraczania granicy. Rezolucyja izby. Memoryał kupców szczecińskich. Odezwa generała Korfa. Rozkaz naczelnika miasta. Rzeź wojsławska. Rozkazy W. księcia. Dobijanie rannych. Prawo odwetu. Postawa chłopów. Wypadek w Sannikach. Prowokacyje rosyjskie. Rozkaz generalissimusa. Zabór kas i poczty. Rozporządzenia rządowe. Naczelnicy wojenni. Wypadek na ulicy Pańskiej. Zamach na Wielopolskiego. Oznaki współczucia. W. księżna. Wiadomości z Petersburga. Korf i jego pytania. Panna Błudów. W. księżna Helena Pawłówna, pani Kalerdzi i hrabina Keller. Du-

chowieństwo. List otwarty ks. H. Kajsiewicza. Synod dyecezalny. Rada stanu. Wnioski arcybiskupa. Nota angielska z d. 2 marca. Projekt dymisji Rady stanu. Narada. Misya Popiela. Druga narada. Rozmowa ks. Felińskiego z margrabią i W. księciem. Podanie się do dymisji. Rozmowa Stawiskiego i arcybiskupa z W. księciem. Arcybiskup podaje się do dymisji. List jego do Cesarza. Ostatnia rozmowa z W. księciem. Zakończenie.

**W**spomnieliśmy już, że wypadki polskie bardzo nie-miłe dotknęły cesarza Napoleona III, gdyż narażały z jednej strony jego dobre stosunki z Rosyą, z drugiej był pewny, jak wszyscy ludzie rozumni i przewidujący, że nie mogą one przynieść Polsce żadnej korzyści. Tem się tylko pocieszał, za przykładem wielu innych, że powstanie zbrojne niema charakteru narodowego, jest raczej jedynie protestem krwawym zagrożonych branką, jest nowym rodzajem manifestacji, i jako takie, lada chwila skona. Gdy jednak trwało ono ciągle i dzięki osobliwszym zarządzeniom sztabu warszawskiego wzrastało w siłę, gdy odgłos bohaterskich walk pod Węgrowem, Siemiatyczami, Wąchockiem, Sosnowcem i Rawą, rozlegał się szeroko po Europie i budził podziw nad heroizmem Polaków, rzecz stawała się poważniejszą i bardziej niepokojącą. Ta wojna tak krwawa, tak nierówna, mająca niekiedy charakter wytopienia i barbarzyństwa, wywoływała wśród oświeconej publiczności europejskiej coraz żywszy interes, a we Francji poruszała opinię zawsze na korzyść Polski. Rząd wobec tego stawiał sobie pytanie, czy zdoła długo zachować postawę obojętną i czy w końcu pod naciskiem opinii nie będzie zmuszony do okazania głośno i publicznie swego współczucia dla Polski?

Mimo to cesarz Napoleon III, zrazu uparcie trzymał się swego pierwotnego programu i poczucia istotnych interesów Francji, które z natury rzeczy musiał mieć na pierwszym względzie. Pomieściwszy w urzędowym „Monitorze“ korespondencyę konsula francuskiego w Warszawie, p. Valbézana, potępiającą powstanie, rząd francuski skorzystał z drugiej sposobności, by głośno odmówić wszelkiej za-

chęty walczącym w głębi lasów powstańcom polskim. Gdy mianowicie doszło do rządu, że niejaki p. Guyard Delalain zamierza wraz z p. Juliuszem Favre zainterpelować rząd na posiedzeniu Ciała prawodawczego w kwestyi polskiej, to prezes tego Ciała p. Morny, niechętny Polsce, ożeniony z Rosyanką i stronnik gorący związku z Rosyą, starał się odwieść od tego zamiaru obu interpelantów, mówiąc im, że „milczenie o Polsce dogodziłoby życzeniom samego cesarza“<sup>1)</sup>.

Jednakże, dzięki zapewne zabiegom emigracji polskiej, interpelacja przysłała do skutku d. 5 lutego. W odpowiedzi na nią, minister bez teki p. Billault, zaznaczył, że „rząd nie uważa za stosowne wchodzić w dyskusyę“ w tej sprawie, że „Francya wprawdzie nie utraciła dawnej sympatyi dla Polski, ale sądzi i rząd także jest tego zdania, że autonomia tego kraju więcej może się spodziewać od wspańiałomyślnych i liberalnych uczuć obecnego cesarza Rosyi, jak od ruchu powstańczego, którego usiłowania mogą tylko nowe sprowadzić klęski na ten kraj nieszczęśliwy“; twierdził, że rząd cesarski zbyt jest roztropny „aby płonnemi słowy dawać zwodniczą podnieętą namiętnościom rewolucyjnym“. Mowa ta, za którą obecna na posiedzeniu księżna Morny, uściśnęła rękę p. Billault, bardzo przykre i przygnębiające wywarła na kraj wrażenie. Określenie powstania jako objawu namiętności rewolucyjnych, nikomu, nawet najskrajniejszym jego przeciwnikom podobać się nie mogło, gdyż zbrojny ruch polski, jeżeli tu i owdzie mógł mieć pewien ferment rewolucyjny, to w całości swojej był wyłącznie aktem patryotyzmu, dążnością wywalczenia niepodległości dla kraju. Temu to oburzeniu na słowa p. Billaulta, zdradzające zresztą pewną irytacyę i pewne niezadowolnienie ze siebie w rządzie francuskim, przypisać należy, że gdy stronnictwo szlachecko-umiarkowane w Krakowie wysłało do Warszawy wkrótce po mowie ministra francuskiego, do tamtejszych Białych posła, p. Włodzimie-

<sup>1)</sup> S. Koźmian, Rzecz o r. 1863, I, 18.



rza Cieleckiego, dla powzięcia od nich decyzji, co robić i jak postępować, to otrzymało odpowiedź pozornie dziwną, ale wobec postawy rządu francuskiego zupełnie zrozumiałą: „nie łączyć się z powstaniem, ale uznać je za narodowe“<sup>1)</sup>. Znaczyło to, że powstanie jest nieszczęściem, że trzeba, by się jak najprędzej skończyło, ale niemniej przeto nie jest ono objawem namiętności rewolucyjnych, jak utrzymuje p. Billault, tylko gorącym, niewątpliwie nieopatrznym, lecz bądź co bądź czystym wybuchem patriotyzmu.

Co do konieczności jak najspieszniejszego zaniechania powstania stronnictwo Białych, jak wiemy, oddawna było jak najmocniej przekonane; słowa p. Billault utwierdziły je w tym względzie; wreszcie, odwołując się o ostateczne objaśnienia do księcia Władysława Czartoryskiego w Paryżu, który blizki dworu napoleońskiego, posiadał doskonałe informacye, otrzymało w d. 9 lutego za pośrednictwem umyślnego kuryera (pana G. F.<sup>2)</sup> najkategoryczniejsze potępienie zbrojnego ruchu. Książę przedstawiał powstanie jako czyn nierozumny i opłakany, który nietylko nie mógł liczyć na pomoc ze strony cesarza Napoleona III, ale przeciwnie krzyżował jego politykę i zamiary względem Polski; że ta ostatnia nigdy w obecnych warunkach interwenyji zbrojnej francuskiej spodziewać się nie może; że cesarz przez zbliżenie się do Rosyi, przez wpływ na gabinet petersburski spodziewał się zyskać znaczne ustępstwa dla Polski, ale powstanie zaszkodziło, a bodaj czy nie zniweczyło zupełnie tego planu; że jedynie natychmiastowe przerwanie powstania może uratować sprawę polską<sup>3)</sup>. Kiedy z tą ze wszech miar rozsądną radą zamierzano z Krakowa wysłać wiadomość do Warszawy i Lwowa, nagle d. 16 lutego przyszła telegraficzna depesza od ks. Czartoryskiego tej treści: „Wszystko zmienione; instrukcyje

<sup>1)</sup> Loc. cit. I, 19.

<sup>2)</sup> Loc. cit. I, 22.

<sup>3)</sup> Loc. cit.

G. F. uważajcie za niebyłe. Trzeba jak najdłużej przetrzymać walkę“<sup>1)</sup>.

Cóż się więc stało? co wpłynęło na ks. Czartoryskiego, niewątpliwie rozumnego człowieka i dobrego Polaka, że pierwotne instrukcyje swe odwołał i zalecał to właśnie czynić, czego wprzód zakazywał? Powodem tej nadzwyczajnej, nagłej zmiany, która miała z jednej strony do dna wstrząsnąć Europą, wywołać dla niej na długie lata szereg najopłakawszych następstw, a w Polsce wytoczyć potoki krwi i łez i długiej niedoli, było wystąpienie na posępną scenę powstania polskiego, człowieka zwanego później „księciem żelaznym“ p. von Bismarcka. Już w roku zeszłym, jako poseł pełnomocny pruski w Petersburgu, odznaczał się on wyraźną nieprzyjaźnią do Polaków i do Wielopolskiego i nie przestawał, gdzie tylko mógł i jak mógł, zachęcać rząd rosyjski do zaniechania polityki ustępstw dla Polski, a natomiast chwycenia się „zbawiennej surowości“<sup>2)</sup>. Teraz oczywiście, gdy został prezesem ministerium pruskiego, tem chętniej sam na tę drogę wejść zamierzał, że popychały go w tym kierunku jeszcze inne względy, a powstanie polskie wydało mu się sposobnością najodpowiedniejszą do urzeczywistnienia rozlicznych zamiarów, jakie w tej niewątpliwie fantastycznej, a współcześnie niezwykle praktycznej i bezwzględnej głowie się roily. We własnej ojczyźnie w tej porze nie ceniono go wcale i uważano wogóle za dość lichy indywiduum, za „arystokratycznego i feudalnego lamparta, za służalczego junkra, za hulakę rozmiłowanego w polowaniach, aktorkach i grze lekkomyślnej“<sup>3)</sup>. Tymczasem pod tymi przymiotami hulaki i utracyusza, krył się umysł tęgi, jakeśmy rzekli fantastyczny, ale przez swą bezwzględność w działaniu zdolny do wcielenia najniemożliwszych pozornie zamiarów. Stanąwszy u steru władzy, uważał za pierwsze swe zada-

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> J. Klaczko, Etudes de la diplomatie contemporaine, 54.

<sup>3)</sup> Dr. H. Halban, Polen und das Jahr 1863, p. 33.

nie zerwać „serdeczne porozumienie“, jakie istniało między Napoleonem III i Rosją. Cesarza Francuzów Bismarck uważał zawsze za ukoronowanego naczelnika rewolucyi i nie krył się z tem wcale, że chce Niemcy i świat od „skoku tygrysięgo“ ocalić. Nie wątpił przytem, może nie bez słuszności, że jedyną dążnością polityki Napoleońskiej jest odzyskanie granic Renu. Z drugiej strony wiemy już, że nienawidził Polski, a osobliwsza sytuacja W. ks. Konstantego w Warszawie, jego marzenia o stworzeniu nad Wisłą sekundogenitury domu cesarskiego rosyjskiego, wydawały mu się bardzo niebezpiecznymi, choćby z tego powodu, że taki nowy tron w Warszawie byłby słońcem dla świata słowiańskiego, któreby pociągało ku sobie wszystkie gwiazdy i wszystkie planety tego świata. Wiedział on dobrze, iż ks. Gorczakow, wice-kanclerz rosyjski, w Petersburgu, a w Warszawie W. ks. Konstanty i Wielopolski, wierzą i głoszą o rychłym stłumieniu powstania polskiego, co hr. Bismarckowi wcaleby nie było na rękę. Konsul pruski w Warszawie, baron Theremin, pisząc o tej ewentualności, dodawał bardzo znaczące słowa: „a wtedy Wielopolski będzie wszechmocny i Polskę na swój ład przerobi“<sup>1)</sup>. Z Warszawy donoszono Bismarckowi o ambitnych planach W. księcia, o tem, że, jeżeli stronnictwo Czerwonych zostanie pokonane, to utworzenie się sekundogenitury rosyjskiej na niezależnym tronie polskim, będzie nieuniknionem, że tron ten będzie dość potężnym, by Poznańskie i Galicyę, Krocacyę i Serbię, a nawet wszystkich Słowian austriackich ku sobie przyciągnąć. Rosya zaś tyle na tem skorzysta, że otworzy sobie szeroką i bezpieczną drogę do Konstantynopola<sup>2)</sup>, a Napoleon załatwi ostatecznie kwestyę włoską i zostanie panem morza Śródziemnego. Powzięcie takich planów przypisywano ks. Gorczakowowi, którym kierowała stara i nieprzełagana nienawiść do Austrii, dla-

<sup>1)</sup> H. v. Sybel, Die Begründung des deutschen Reiches durch Wilhelm I. II, 485.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

tego też w Wiedniu z pewną radością patrzano na wybuch polski, który te plany pokrzyżował.

W Londynie niemniej cieszą się z tego, bo widziano w tym wypadku możność pokłócenia Francyi z Rosją; o Berlinie jużśmy mówili. Ta była tylko różnica w poglądach na położenie tych trzech gabinetów, że kiedy dwa pierwsze czekały na sposobność, by ostentacyjnie ująć się za nieszczęśliwą jakoby Polską, bez zamiaru jednak doprowadzenia rzeczy do ostateczności, a przez to zniweczenia planów W. ks. Konstantego i Napoleona, w Berlinie postanowiono dążyć do tegoż celu inną drogą. Tutaj dla zniszczenia związku braterskiego Rosyi i Polski i sojuszu z Francją, nie chciano adwokatować za Polską, czemu by zresztą nikt nie uwierzył, ale postarać się o odżywienie starej przyjaźni Rosyi z Prusami<sup>1)</sup>.

Obok tych względów ogólniejszej natury, były jeszcze inne, wewnętrzne pruskie, które zmuszały Bismarcka do skorzystania z nierozsądnego powstania polskiego dla ugruntowania potęgi pruskiej i utworzenia nowej konstelacyi państw na firmamencie europejskim. Należał on z przekonania i interesu do stronnictwa feudalnego pruskiego, które pragnęło zawarcia ścisłego związku z Rosją w tej nadziei, że trójprzymierze północne, owe „przymierze święte“, rozbite przez wojnę krymską, tym sposobem będzie mogło być przywrócone<sup>2)</sup>. Przy tej sposobności marzył on może o tem, że dadzą się uregulować „niewygodne granice“ Prus od wschodu, na które jeszcze w roku zeszłym narzekał. Bądź co bądź, czy takie, czy oprócz nich inne także miał zamiary, dość, że powstanie polskie wydawało mu się sposobnością jedyną do ich urzeczywistnienia i dlatego chwycił tę sposobność nagląco i skwapliwie, nie oglądając się na nic i przed niczem się nie cofając. Dla Prus zresztą, jak się parokrotnie wyraził hr. Bismarck, niebezpieczniejszą

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> „La Pologne et la diplomatie“, 83 (depesza posła angielskiego w Berlinie, Buchanana).



byłaby Polska W. ks. Konstantego i Gorczakowa, jak Polska czerwona Mierosławskiego.

O tem, że powstanie polskie w niczem, przynajmniej w tej chwili, nie zagrażało spokojności i całości państwa pruskiego, wszyscy, a z nimi i Bismarek doskonale wiedzieli<sup>1)</sup>; mianó zresztą w tym względzie bezpośrednie i jak najlepsze wiadomości z samej stolicy polskiej. Konsul pruski w Warszawie, wspomniany baron Theremin, udał się wkrótce po wybuchu powstania do Berlina, dla zdania sprawy osobiście o stanie rzeczy, na które patrzył bardzo bystrem okiem. Z konsulem tym miała bliskie stosunki partya wojskowa warszawska, niechętna Wielopolskiemu i W. księciu, którego Ramsay wprost o zdradę interesów państwowych oskarżał<sup>2)</sup>. Za pośrednictwem generała Berga, który utraciwszy swe stanowisko generał-gubernatora finlandzkiego, siedział w Petersburgu, jako członek Rady państwa, Ramsay podejrzenia swe przesyłał aż do osoby cesarskiej, a współcześnie o wszystkim co się w Warszawie dzieje, dawał znać do Berlina i Wiednia<sup>3)</sup>. Niewątpliwą jest rzeczą, że wyjeżdżającego Theremina zaopatrzono we wszelkie informacje potrzebne; wiódł on też zapewnienie, że powstanie nie rozszerzy się na zabory: pruski i austriacki. Na skutek tych zapewnień wstrzymano się w Berlinie od bardzo niebezpiecznego kroku, uruchomienia czterech korpusów armii, które było już postanowione i rozkaz leżał gotowy do podpisu w gabinecie królewskim<sup>4)</sup>. Mimo jednak tej pewności, ni stąd ni zowąd, w d. 1 lutego, pre-

<sup>1)</sup> Cytowany już przez nas poseł angielski w Berlinie, p. Buchanan, pisał do swego rządu d. 12 lutego (*La Pologne et la diplomatie*, 64), że „żaden ruch ważniejszy nie objawił się dotąd w ks. Poznańskim i jest przekonanie, że naczelnicy ruchu nie chcą, by powstanie wybuchło w tej prowincyi i w Galicyi, dopóki znaczniejsze powodzenie nie zostanie osiągnięte w Królestwie“.

<sup>2)</sup> *Verstorbene Diplomat*, *Die polnische Revolution* (*Deutsche Revue* z r. 1892, 351).

<sup>3)</sup> *Loc. cit.*

<sup>4)</sup> *Loc. cit.*

zydent poznański Horn, oraz hr. Waldersee, dowodzący piątym korpusem poznańskim, ogłosić kazał w całym Księstwie odezwę do „mieszkańców prowincyi poznańskiej“, pełną niespodziewanych i jak dotąd niczem niezasłużonych gróźb. Proklamacya, donosząc o wybuchu powstania w Królestwie Polskiem, ze zdumiewajacem kłamstwem oskarża to powstanie o barbarzyństwo i dzikość. „Okrucieństwa, popełniane przez powstańców, powiada odezwa, wzbudzają najżywsze oburzenie i dają pewność, że to zbrodnicze przedsięwzięcie przyczyni się do zgubienia tych, którzy z fanatycznym zaślepiem wezmą w niem udział“. W dalszym ciągu odezwa grozi tym wszystkim, którzyby w jakikolwiek sposób, pośredni czy bezpośredni, choćby tylko przez manifestacyę publiczną lub pomoc podaną, stali się współnikami powstania, karą, przepisaną za zdradę stanu.

Proklamacya ta, wywierając z jednej strony przygnębiające wrażenie na ludność polską Księstwa, wywołując w niej oburzenie na kłamliwe oskarżenia walczących za wolność ojczyzny powstańców, z drugiej była wyraźnym dowodem jakichś skrytych zamiarów rządowych, gdyż w Poznańskim oprócz naturalnego współczucia dla leżących krew braci, oprócz przygotowań do niesienia im pomocy, przeciw samemu rządowi pruskiemu nikt nie myślał i nie zamierzał działać. Ale nie na tem się miało skończyć. W tymże samym dniu 1-go lutego, w którym proklamacya powyższa ukażała się na wszystkich rogach ulic poznańskich, udał się z polecenia Bismarcka, generał Gustaw von Alvensleben do Petersburga, a do Warszawy major von Rauch, adjutant królewski, pod pozorem jakoby „powzięcia dokładnych informacyi o zaburzeniach w Polsce i zobaczenia, czy nie byłoby możliwem zawarcie jakiego układu z rządem rosyjskim, mocą którego powstańcy polscy nie mogliby przekraczać granic pruskich, gdzie ich bytność wywołałaby zaburzenia i zagrażałaby własności“<sup>1)</sup>. Takie

<sup>1)</sup> Depesza W. Lowthera z Berlina, z d. 6 lutego (*La Pologne et la diplomatie*, 31).



miano pierwotnie wiadomości o misyi tych dwóch panów; w rzeczy zaś samej generał Alvensleben wioził do Petersburga własnoręczny list króla pruskiego do cesarza Aleksandra, w którym to liście było wezwanie do wspólnego porozumienia się dla zgniecenia niebezpiecznego powstania polskiego<sup>1)</sup>. Hr. Bismarck ze swej strony, w instrukcyi danej generałowi Alvenslebenowi pisał, że „król jest tego przekonania, iż ruch orężny polski interesom obu państw jednakowo zagraża, i że każde wyzwolenie żywiołu polskiego z pod władzy Cesarza (rosyjskiego), wpływu swego nie ograniczy na Królestwie, ale także bezpieczeństwu sąsiednich prowincyi królewskich (pruskich), jak również gubernii zachodnich cesarstwa zagrazi. Według naszego zdania, stanowisko obu dworów wobec rewolucyi polskiej jest faktycznie takim samym, jak położenie dwóch sprzymierzeńców, którym zagraża wspólny nieprzyjaciół”<sup>2)</sup>.

Major v. Rauch, znany osobiście W. ks. Konstantemu, był w takiejże misyi wysłany do Warszawy, zapewne dla zyskania Namiestnika dla tej myśli, a najprawdopodobniej dla wybadania gruntu i przekonania się o ile marzenia wielkorządcy Polski mają grunt realny pód sobą i jak daleko sięgają. Król pruski pierwotnie chciał ograniczyć się na poselstwie do Warszawy tylko i wyłącznie wojskowem, w trzy dni jednak pod wpływem Bismarcka zmienił zdanie i planem swoim objął znacznie szersze zamiary.

Podczas kiedy ci panowie odbywali swą podróż, niosąc w faldach swych płaszczy mnóstwo wojen w przyszłości i zmian, jakie niebawem zajść miały w położeniu świata, hr. Bismarck dalej rozwijał swe zamiary z tą gorączkową, energiczną czynnością, jaką wszystkie jego kroki znamiowała. Zamierzoną pierwotnie mobilizacyę czterech korpusów armii, udaremnioną wskutek interwencji p. v. Thiermina, zmieniono na tyle, że korpusy te ściągnięto i rozstawiono wzdłuż granicy Królestwa, od Instербurga aż do

<sup>1)</sup> H. v. Sybel; loc. cit. II, 489.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

Opola. Korpusy te mając główne stanowiska w miasteczkach, pobliskich granicy, obowiązane były nieustanne wysyłać patrole, które dzień i noc pilnie strzegły kordonu, a podjazdy kawaleryjskie ciągle przebiegały wzdłuż granicy, bacząc, by nikt i nic nie mogło się przez nią przełknąć. To rozwinięcie ze strony Prus tak poważnych sił nadzwyczajnie się nie podobało w Warszawie W. księciu i jego najbliższemu otoczeniu; to też gdy przyszła wiadomość o zamierzonym przybyciu wysłańców pruskich w tajnej jakiejś misyi, przyjęto ją bardzo niechętnie i kwaśno. Pan Tęgoborski, szef kancelaryi dyplomatycznej namiestnika, donosząc pod d. 4 lutego ambasadorowi rosyjskiemu w Berlinie, panu d'Oubril, że wszystko jest przygotowane na przyjęcie posłów pruskich, dodawał: „Uznając kurtoazyę misyi tych panów, nie możemy sobie zdać sprawy należytej z tego, co ją spowodowało. Niema *periculo* (tak!) *in mora* i nie potrzebujemy wcale pomocy wojsk obcych. Na teraz wystarczy, aby Prusy strzegły swych granic o ile można, ażeby powstańcy nie znajdowali tam schronienia. Zdaje mi się więc, że wysłanie aż trzech oficerów nadaje zbyt wiele znaczenia sprawie, co do której możnaby się doskonale z jednym porozumieć. Jeżeli dobrze jestem powiadomiony, to powodem tego jest pan Thiermin<sup>1)</sup>, który powziął nieszczęśliwą myśl udania się do Berlina, czem zaniepokoił rząd pruski i namalował dyabła czarniejszym, niż jest w istocie”<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> W tekście oryginalnym, który oprócz gazet współczesnych, znajduje się u Kłaczki, Etudes, 58, wydrukowane jest „pan Tettan”; u Berga, Zapiski IV, 133, pan Hatten. Zdaje się, że są to pomyłki i mowa jest o p. Thierminie. Dodać tu wypada, że jeden z tych listów, w przekładzie, jeżeli się nie mylimy, z Berga, pomieszczony został w „Wydawnictwie materyałów do historii powstania” V, 176, ale pod datą 4 kwietnia, co świadczy o niedbalstwie wydawcy Dra Jana Stelli Sawickiego.

<sup>2)</sup> Powyższy list Tęgoborskiego, wraz z innymi, został przejęty przez organizacyę powstańczą, według jednych na stacyi Kowale drogi żel. warszawsko-bydgoskiej, według innych w Aleksandrowie (A. Giller, Historia II, 67). Listy te przewoziła niejaka pani Rosé, która z mężem wracała do Paryża, a która była zarekomen-



Mimo to, wysłańcy pruscy przybyli do Warszawy, tem więcej, że przedstawienia Tęgoborskiego były spóź-

dowana kancelaryi dyplomatycznej w Warszawie, przez posła rosyjskiego Budberga. Państwo Rosé przyjechali do Warszawy pod pozorem wyjednania sobie dostawy butów dla wojska rosyjskiego; a najprawdopodobniej była to zwykła para szpiegowska. Czy ich nie potrzebowano, czy z innych powodów, dość że teraz wracali do Paryża i korzystając z ich odjazdu, powierzono im w Zamku siedm listów, a mianowicie: dwa listy Tęgoborskiego do barona Budberga w Paryżu, jeden tegoż Tęgoborskiego do Oubрила w Berlinie; dwa listy W. księżnej Konstantowej, jeden do żony księcia Hesskiego Alicji (matki późniejszej Cesarzowej rosyjskiej, małżonki Cesarza Mikołaja II), drugi do hr. Aquila: nakoniec dwa hr. Chreptowicza marszałka dworu W. księcia i jego żony, z domu hrabianki Nesselrode, do jej siostry, baronowej Seebach, mieszkającej wtedy w Paryżu. Listy te pani Rosé zaszyła w krynolinę i byłoby wszystko dobrze, gdyby nie to, że niedawno mianowany naczelnikiem policyi narodowej, niejaki Jan Karłowicz, znany w organizacji pod nazwą „Janka Białego“, człowiek do pewnego stopnia genialny w swem rzemiośle policyjnym, dowiedział się o wszystkich (*Berg* loc. cit. II 466, opowiada, że Rosé mąż chwalił się głośno w jakimś publicznem miejscu przed przyjacielem o swych stosunkach w Zamku i o tem że wiezie ważne depesze do Paryża). Karłowicz uwiadomił kogo należy w organizacji o tem, a ponieważ nie wiadano nazwiska Roségo, opisano więc jego postawę i ubiór, a zwłaszcza oryginalną czapkę futrzaną, którą Francuz stale nosił, z powodu reumatyzmu w głowie. Kazano więc na kolei zrewidować „pana w futrzanej czapce“, co też uskutecznił. Panią Rosé rewidowała jakaś dziewczyna i listy, ukryte w krynolinie, znalazła. Listy Tęgoborskiego przesłano zaraz do „Czasu“, który je opublikował, a za nim „Times“ angielski i francuska „Independence Belge“. Inne listy oczywiście przeczytano i gniewano się bardzo na W. księżnę, że oddziały powstańcze nazywała „bandami rozbójniczymi“, które „żołnierze prędko wyłapią“. W liście Chreptowicza był godny zaznaczenia frazes, który mu później mocno zaszkodził, a mianowicie pisał on, że „W. książę i W. księżna bawią się w króla i królową“. Wszystkie te pisma po zapieczętowaniu pieczęcią Tymczasowego Rządu narodowego, Stefan Bobrowski odesłał do Zamku z dopiskiem, że „wojna zmusiła władze narodowe do popelnienia tej wielkiej niedyskrecyi“, t. j. otworenia i przeczytania listów, za co W. księżnę przeprasza. Dodać tu należy, że fakt przejęcia tych pism wielkie wrażenie wywarł w Europie i zdawał się w oczach wielu świadczyć o potędze i znaczeniu władz powstańczych.

znione, a przytem przejęte przez organizację powstańczą, nigdy nie dostały się do rąk Oubрила. Major Rauch został bardzo chłodno przyjęty w Zamku warszawskim, i jak wieść niesie<sup>1)</sup>, miał proponować W. księciu zawarcie z Prusami konwencji wojennej, dotyczącej powstania polskiego. Ale W. książę odmówił pod pozorem, że on nie jest upoważniony do tego rodzaju aktu, że należy zatem, by posłannik pruski udał się do Petersburga. Za to Alvensleben został nad Nową radośnie przyjęty przez cesarza Aleksandra, który widział to wyraźnie, że Rosya w obecnej chwili niema nigdzie nietylko sprzymierzeńców, ale nawet przyjaciół, że jedyny możebny związek z Francją wskutek powstania polskiego wcześniej czy później rozerwać się musi, że zatem ofiarę pośredniej czy bezpośredniej pomocy pruskiej przyjąć koniecznie należy. Przytem niewątpliwie wiedział (tylż bo miał źródło dowiedzenia się!) o zamiarach W. ks. Konstantego, o planach Górczakowa, Wielopolskiego i cesarza Napoleona, i jeżeli wyraźnie im się nie sprzeciwiał, to dlatego, że najprzód w samem otoczeniu dworskiem było dość silne stronnictwo, które te plany popierało, które głośno mówiło, że Rosya niema żadnego interesu w utrzymaniu Polski pod zależnością domu Góttorpów<sup>2)</sup>, że może uśmiechała mu się myśl, tak uparcie przez Rosyę w ciągu paru ostatnich stuleci przeprowadzenia, przeniesienia stolicy do Carogrodu, nad lazurowe wody Bosforu. W głębi jednak duszy, w gruncie rzeczy uważał to za marzenie, trudne w tej chwili do urzeczywistnienia, a za które trzeba było zaraz zapłacić ustąpieniem z Polski. Był więc temu przeciwny i gdy zdarzyła się sposobność stanowczego zerwania z tego rodzaju polityką awanturniczą, chętnie sposobności tej się chwycił. Wreszcie rozdrażniony był mocno napasciami na siebie i na Rosyę gazet zagranicznych z powodu Polski<sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> *N. Berg*, *Zapiski* II, 467.

<sup>2)</sup> *H. v. Sylbel*, loc. cit. II, 491.

<sup>3)</sup> Loc. cit.



Za to wicekanclerz, ks. Gorczakow, zdecydowany stronnik przymierza z Francją, podejrzany o wspomniane wyżej plany, na przybycie posła pruskiego spoglądał z wyraźną niechęcią, popierany w tym względzie przez zwolenników swych i W. księcia planów, przez całą wreszcie partję Zapadników, którzy w sojuszu z Prusami widzieli odnowienie dawnego reakcyjnego przymierza świętego, i uderzali na to, że konwencya, jaką proponował Alvensleben nie ma żadnego znaczenia praktycznego, boć przecie Rosya jest w stanie sama pokonać powstanie polskie; że taka konwencya jest do pewnego stopnia ubliżeniem dla Rosyi, bo będzie niejako dowodem jej bezsilności i obawy przed garścią rokoszanów polskich; że wreszcie propozycya pruska zdradza jakieś daleko sięgające zamysły, może ochęć zagrabienia Polski, urzeczywistnienia dawnej myśli Knesebekowskiej o „wygodniejszych granicach wschodnich“<sup>1)</sup>. Przytem Alvensleben przekonał się, że bądź co bądź Wielopolski jest jeszcze w wielkich łaskach u Cesarza, który z powodu zaszłego w tych czasach nowego zamachu na margrabiego przy pomocy otrucia, wyraził się przed posłem pruskim z wielkiem współczuciem o polskim Naczelniku rządu cywilnego, a z oburzeniem o Czerwieńcach<sup>2)</sup>. Widział prócz tego Alvensleben, że na dworze jest silne stronnictwo, popierające zamysły margrabiego i W. księcia; że ogół rosyjski w ogromnej swej większości obojętnie patrzył na sprawy polskie, że wreszcie sam Cesarz pragnął tylko jak najszybszego stłumienia powstania, by móżdż dalej prowadzić w Polsce politykę kompromisu<sup>3)</sup>.

Pomimo jednak tych wszystkich względów i uwag, Cesarz Aleksander wyraźnie nakazał wicekanclerzowi Gor-

<sup>1)</sup> Raport A. Maleta z Hamburga do hr. Russel, z dnia 20 lutego (La Pologne et la diplomatie, 79): „Oskarżają p. Bismarka, że dał rządowi rosyjskiemu poparcie, którego tam nie domagano się, i które było źle przyjęte“.

<sup>2)</sup> H. v. Sybel, loc. cit. II, 491.

<sup>3)</sup> Loc. cit.

czakowowi konwencyę zawrzeć i spisać. Alvensleben co do spisania konwencyi nie miał pełnomocnictwa i instrukcyi mu udzielona nic o tem nie mówiła, wszelako zdawało mu się, że nie ma żadnego powodu do odmowy życzeniu rosyjskiemu. Jakoż spisano umowę, której minutę poseł pruski wysłał niezwłocznie d. 6 lutego do Berlina. Według tej umowy, na żądanie wodza rosyjskiego lub pruskiego, albo też władz pogranicznych obu państw, komendanci wojskowi tak rosyjscy jak i pruscy obowiązani są nieść sobie pomoc wzajemną, w razie nawet potrzeby, w pościgu za powstańcami przechodzić granicę. Zastrzeżono sobie, że do obu kwater głównych, a nawet do sztabów generałów korpusnych wysłani będą przez obie strony oficerowie, dla komunikowania swym władzom wiadomości o wszelkich ruchach i operacjach wojennych. W końcu mieścił się jeszcze jeden artykuł, który na żądanie Gorczakowa miał pozostać tajnym, t. j. że władze rosyjskie naczelnemu komendantowi pruskiemu donosić będą o wszelkich wiadomościach politycznych, dotyczących W. ks. Poznańskiego. Król pruski zgadzał się ten ostatni artykuł, ale pod warunkiem, że władze pruskie tak samo będą się zachowywały względem władz rosyjskich<sup>1)</sup>. Umowa ostatecznie podpisana została przez Alvenslebena i Gorczakowa dnia 8 lutego. Przy podpisaniu wicekanclerz rosyjski, chcąc zapewne osłabić znaczenie tej konwencyi, dodał taką klauzulę: „Układ ten (arrangement) dopóty mieć będzie moc obowiązującą, dopóki stan rzeczy tego wymagać będzie i oba dwory uznają to za potrzebne“<sup>2)</sup>. Klauzula ta właściwie odbierała konwencyi wszelkie praktyczne znaczenie. Jeżeli bowiem przy zawieraniu umowy, jedna ze stron kontraktujących może się każdej chwili wycofać, to właściwie umowa nie istnieje. Dodać tu trzeba, że ratyfikacya konwencyi przez panujących miała później nastąpić, ale w rzeczy samej nigdy nie przyszła do skutku<sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> Loc. cit. II, 492.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

<sup>3)</sup> Loc. cit.



Nazajutrz, d. 9 lutego generał Alvensleben był już z powrotem w Warszawie, gdzie przyjęto go w Zamku dość chłodno choć grzecznie, dano mu poznać, że uważają konwencyę za zupełnie niepotrzebną, gdyż wojsko rosyjskie samo da sobie radę z powstańcami. To też generał pruski wywiózł z Warszawy nie bardzo pochlebne mniemanie o ówczesnych władzach wojskowych Królestwa. Zauważył wśród nich niepewność w działaniu i w operacjach wojennych, brak planu, nieład i rozstrój, wzajemną podejrzliwość i oskarżenia wzajemne. Każdy dowódzca oddziału operował na własną rękę, nie pytając się sztabu warszawskiego o instrukcye. Nie ulega wątpliwości, że widział się z Ramsayem, który mu zapewne dużo mówił o tajnych zamiarach W. księcia; widział się i z innymi generałami, którzy wyrażali się o Wielopolskim z nienawiścią i wprost nazywali go zdrajcą stanu <sup>1)</sup>. Dowiedział się, że W. książę, uwiadamiając różnych naczelników wojskowych o zawartej konwencji z Prusami, zalecał im jak najsurowiej, ażeby tylko w ostateczności przechodzili granicę pruską <sup>2)</sup>. Namiestnik, okazując uprzejmość generałowi Alvensleben, nie mógł się powstrzymać od oznak wyraźnej niechęci wobec barona Thieracka, który także zjawił się w Warszawie, a którego uważał za głównego sprawcę tej nagłej i osobliwszej interwencji pruskiej <sup>3)</sup>. Nikt się temu na dworze warszawskim nie dziwił, bo wszyscy wiedzieli o zachowaniu się Thieracka, ale musiano się zdumieć nadzwyczajnie, gdy tenże, w kilka dni po swym powrocie do stolicy polskiej, otrzymał od Tymczasowego Rządu narodowego pismo, w którym zagrażano mu „surową odpowiedzialnością“, za jego relacje berlińskie <sup>4)</sup>.

Tymczasem w Petersburgu pierwszy otrzymał wiado-

<sup>1)</sup> Loc. cit. II, 493.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

<sup>3)</sup> *Verstorbene Diplomaten*, loc. cit. 123.

<sup>4)</sup> Loc. cit. Autor dodaje: „Wiadomo dobrze z jakiego źródła wszystkie te wiadomości dostały się do Warszawy. Ale tego, co mówiono o tem wówczas, nie chcę powierzać papierowi“.

mość o konwencji, ambasador francuski, ks. Montebello, z ust samego ks. Gorczakowa, który nazajutrz, dnia 9 lutego, osobiście treść jej dyplomacie francuskiemu zakomunikował, co zapewne spowodowane było niechęcią wicekanclerza, z jaką przystąpił do zawarcia umowy <sup>1)</sup>. Stąd w Europie dowiedziano się zaraz, że między Rosją i Prusami podpisana została jakaś tajna konwencya, której treści nie znano, a jeśli znano to nader niedostatecznie i ogólnikowo, zwłaszcza, że w szczerość wyznał ks. Gorczakow, tym razem zupełnie niesłusznie, nie bardzo wierzono; stąd, jak zwykle bywa, przypuszczano o wiele więcej, niż w rzeczy samej było, a przynajmniej udawano to ostentacyjnie. Lord Napier, ambasador angielski w Petersburgu, na razie, pod d. 10 lutego donosił swemu rządowi, że z mocy zawartej konwencji, wojska rosyjskie mogą ścigać powstańców polskich nawet za granicę pruską, co również dozwolone jest wojskom pruskim <sup>2)</sup>. Jakkolwiek było to bardzo mało, co dowiedziano się o konwencji, wszelako świadczyło aż nadto dostatecznie o stosunku niezwyklej serdeczności między Rosją i Prusami. Wszystko to zrobiło ogromne wrażenie w Europie; zdawało się, że stare, tak ciężko ludom pamiętne, święte trójprzymierze znowu z grobu powstaje i grozi wolności i postępowi świata. Nabierało to tem większego prawdopodobieństwa, że dowiedziano się o propozycjach, czynionych przez rząd pruski w Wiedniu w tychże samych zamiarach, jakie tak szczęśliwie przeprowadził hr. Bismarck w Petersburgu.

Tymczasem w rzeczy samej, Austria dziwnie zachowywała się wobec powstania. Jakkolwiek wybuch d. 23 stycznia wywołał zrazu w rządzie austriackim wielki niepokój <sup>3)</sup>, a przynajmniej udawano taki niepokój, wszelako zajęto wobec ruchu w Królestwie postawę do pewnego

<sup>1)</sup> H. v. Sybel, loc. cit.

<sup>2)</sup> La Pologne et la diplomatie, 77.

<sup>3)</sup> Loc. cit. 28, depecha lorda Bloomfielda z Wiednia z d. 29 stycznia.

stopnia przyjazną i wyczekującą. Rząd austriacki wiedział doskonale, że o Galicyę może być spokojny, ruch zaś w Królestwie sprzyjał jego zamiarom, bo obalał, jakżeśmy to już powiedzieli, przedewszystkiem Wielopolskiego i politykę Gorczakowa, Napoleona III i W. ks. Konstantego. W Wiedniu doskonale pamiętano list margrabiego do ks. Metternicha z r. 1846, i nie życzo no sobie wcale, by Królestwo odrodzone, stało się przyszłym Piemontem polskim. „Czy pan sądzisz, mówił do znanego pisarza polskiego Juliana Klaczki pewien wysoki urzędnik ministerjum austriackiego spraw zagranicznych, czy pan sądzisz, że ustalenie się systemu Wielopolskiego w Polsce rosyjskiej, odpowiada interesom Austrii?“<sup>1)</sup> Lękano się Polski niepodległej nie tyle ze względu na Galicyę, ile na wpływ jakiby taka Polska wywierała na ludy słowiańskie Austrii. To też jeżeli na wieść o wybuchu zrazu w Wiedniu zaniepokojono się trochę, w tej obawie, że ruch może się na Galicyę rozszerzyć, gdy się przekonano, że niebezpieczeństwa niema, patrzano na powstanie z pewnem wewnętrznem zadowoleniem, bo wiadano dobrze, że ono Polski niepodległej nie wywalczy, ale Wielopolskiego i W. ks. Konstantego z siódła wysadzi, ich system zniweczy i niezagojoną ranę w Polsce zostawi, co z czasem może się przydać. Dlatego też władze austriackie w Galicyi otrzymały rozkazy, ażeby na wszystko, co się będzie robiło na korzyść powstania w Królestwie patrzyły przez palce. Hr. Rechberg, austriacki minister spraw zagranicznych, już d. 29 stycznia, a więc w tydzień po wybuchu, zapewniał ambasadora angielskiego, lorda Bloomfielda, że „śró d ludności polskiej w Austrii nie widać wcale wzburzenia i niema żadnych śladów, ażeby między ludnością a powstaniem w Królestwie istniał jakikolwiek związek“<sup>2)</sup>. Takie zapewnienie dziwnie zaiste wygląda wobec nadzwyczajnego ruchu umysłów, jaki na wieść o powstaniu w Królestwie objawił się w Galicyi, wobec

<sup>1)</sup> *H. v. Halban*, *Polen im Jahre 1863*, 49.

<sup>2)</sup> „*La Pologne et la diplomatie*“, 28.

tego, że Kraków cały wrzał i tłumnie młodzież swoją wysyłał do obozowisk Ojcowskich Kurowskiego, gdy tworzyły się komitety powstańcze, różne „ławy“ i nie ławy, o których istnieniu policja austriacka doskonale wiedziała. W Krakowie nieomal na oczach wszystkich wychodziła młodzież, odbywano narady, uzbrajano się, zakupywano proch, broń, olów, żywność i wszelkiego rodzaju zapasy całymi szeregami fur w dzień biały wysyłano do Ojcowa, a na komorze w Michałowicach straż austriackie zdawały się być dotknięte nagłą ślepotą i od czasu do czasu w przyjacielskie wdawały się pogawędki z powstańcami placówkami. Na dobitkę ukazały się w Krakowie ogłoszenia władzy wojskowej, grożące karą 15 guldenów żołnierzowi, który zgubi swój karabin<sup>1)</sup>, i komitet krakowski korzystał na wielką skalę z tego ogłoszenia, by nieomal jawnie kupować broń, której podobno, jeżeli można wierzyć niektórym doniesieniom, znaczną ilość nabyto w arsenałach rządowych krakowskim i lwowskim, i broń tę przesłano Langiewiczowi<sup>2)</sup>. Namiestnik Galicyi, hr. Mensdorff-Pouilly, otrzymywał listy od hr. Rechberga, „ażeby względem powstania polskiego zachowywał postawę wyczekującą i ostrożną i nie posuwał się za daleko, gdyż niewiadomo jeszcze, jakie stanowisko Austria względem wypadków polskich zajmie“<sup>3)</sup>. Gdy tenże namiestnik galicyjski w d. 2 lutego donosił do Wiednia telegraficznie, że znaczna liczba młodzieży galicyjskiej udała się do powstania, i że patrole kawaleryjskie austriackie wielu z nich zatrzymały, i pytał: „co ma robić?“, minister policji odpowiedział mu, że „nie należy zbytecznie przeszkadzać wyprawom ochotników; że powstanie będzie zapewne wkrótce stłumione, a tym sposobem rząd (austriacki) pozbędzie się żywiołów burzli-

<sup>1)</sup> *J. Klaczko*, *Études*, 88.

<sup>2)</sup> „*Dziennik powszechny*“ Nr. 9 z r. 1867.

<sup>3)</sup> *H. v. Halban*, loc. cit. 51.



wych; należy wszelako aresztować i zatrzymywać wszelkie przesyłki broni i amunicji<sup>1)</sup>.

Na to zachowanie się Austrii patrzano w Warszawie ze zdziwieniem i niepokojem. Znany nam już szef kancelaryi dyplomatycznej namiestnika, Tęgoborski, jawnie uskarżał się przed Budbergiem, posłem rosyjskim w Paryżu<sup>2)</sup>, że powstańcy w gubernii radomskiej otrzymują różne ułatwienia od władz austriackich, „które nawet pozwalają na to, by ludzie uzbrojeni szli z Krakowa i Galicji do band u nas“, i wreszcie w tonie pewnego, łatwo wytlómaczonego rozdrażnienia dodaje: „To współnictwo (connivence) Austrii, jest jedną z najgodniejszych uwagi rzeczy, w historii powstania“. O tem „współnictwie“ wreszcie, gabinet warszawski doniósł do Petersburga i do Wiednia, a wicekanclerz rosyjski ks. Gorczakow osobiście skarżył się przed ambasadorem austriackim w Petersburgu, hr. Thunem, że dostarczano z Krakowa i Galicji broni powstańcom i to z wiedzą władz cesarskich<sup>3)</sup>. Hr. Rechberg, zdawał się być bardzo oburzony takim podejrzeniem (seemed very indignant), i natychmiast telegrafował do hr. Thuna, że „rząd cesarski będzie bardzo wdzięczny za wszelkie wiadomości, któreby mu dozwoliły wykryć osoby wciągnięte do podobnego spisku w państwie austriackim“<sup>4)</sup>. Oczywiście takich wiadomości nikt dać nie mógł, bo „osoby wciągnięte do spisku“, to cała ludność Galicji.

Mimo to, trzeba było coś zrobić dla oka ludzkiego, dla zamknięcia z jednej strony ust Warszawie i Petersburgowi, z drugiej dla powstrzymania ludności galicyjskiej, pozwalającej sobie zbyt wiele. We Lwowie, d. 2 lutego,

<sup>1)</sup> „De la politique de l'Autriche dans la question polonaise, et de l'état de siège en Galicie“, p. 10.

<sup>2)</sup> W jednym z listów, schwytanych przez organizację powstańczą.

<sup>3)</sup> „La Pologne et la diplomatie“ 29 (raport lorda Bloomfielda z d. 29 stycznia).

<sup>4)</sup> Loc. cit.

„cesarsko-królewska dyrekcya policji“ wydała obwieszczenie, w którem zaznaczała, że „od kilku dni werbują się w tutejszej stolicy ludzie, w celu przekroczenia granic Królestwa Polskiego i połączenia się z tamtejszymi powstańcami“; że „znaczna ilość, nawet uzbrojonej młodzieży opuściła nasze miasto“; policya za to wszystko groziła odnośnymi paragrafami kodeksu karnego. W dwa dni potem na rogach ulic krakowskich ukazało się daleko obszerniejsze ogłoszenie tejże policji, w którem „władza widzi się zniewoloną“ zwrócić uwagę mieszkańców, że „wszelkie czynności, zmierzające do zdrady głównej lub zamieszania publicznej spokojności, chociażby takowe przedsięwziętami zostały przeciw innemu obcemu państwu, z którem szczególnymi umowami w cesarstwie austriackim prawnie obowiązującymi, wzajemność jest zawarowana, stanowią zbrodnię zamieszania spokojności publicznej“, i ulegają karze więzienia od roku do lat pięciu a nawet wśród okoliczności obciążających od lat 5-ciu do 10-ciu. „Ostrzega się przeto mieszkańców miasta Krakowa, ażeby wstrzymali się od wszelkiego udziału w powstaniu, wybuchłem w Królestwie Polskiem“<sup>1)</sup> I jakby dla potwierdzenia tych groźb, z wielkim trzaskiem i hałasem odbywano rewizye u osób, u których wiadano dobrze, iż nie znaleźć nie można było, jak np. u aktorki teatralnej panny German, lub t. p. a współcześnie całym gromadom młodzieży pozwalano wyjeżdżać do obozów powstańczych, a dziennikom polskim pisać rozpalające artykuły o powstaniu. Gdy poseł rosyjski w Wiedniu, pan Bałabin nie przestawał reklamować, aby wydawano chroniących się w Austrii zbiegów i powstańców, hr. Rechberg odmówił wprost i przytoczył powyżej wymienione rozporządzenia i środki, a współcześnie gazeta wiedeńska „Presse“ twierdziła, że umowa w Münchengraetz zawarta, co do wspólnego postępowania trzech mocarstw rozbiorowych względem Polski, jest przestarzałą i Austrii obowiązującą

<sup>1)</sup> Obie te odezwy czytać można w całości u Koźmiana, Rzecz I, 33.

nie będzie <sup>1)</sup>). W Krakowie, w rozporządzeniu policyjnym, obostrzającym niby meldunki, zapewniano, że rząd austriacki da chętnie schronienie osobom, szukającym w jego krajach przytułku, byle ściśle stosowały się do przepisów <sup>2)</sup>). Opowiadano, że gdy ktoś z Polaków skarżył się przed austriackim ministrem wojny. hr. Degenfeld, że powstańcy nie mają artylerii, pan minister miał odrzec od niechcenia: „a cóż? można zabrać którąkolwiek bądź baterię naszą, stojącą na granicy. Opierać się temu nikt nie będzie“ <sup>3)</sup>). Współcześnie z tem wszystkim, sejm galicyjski, mający się zebrać we Lwowie d. 7 lutego, został odroczony reskryptem cesarskim do d. 2 marca. Tłumaczono się tem, że mimo spokojnego zachowania się większej części ludności galicyjskiej, prowincya ta posiadała jednak dość znaczną ilość „głów gorących“, które gotowe były do wygłaszania na sejmie mów namiętnych i rewolucyjnych <sup>4)</sup>). Wiedzano przytem, że ks. Adam Sapieha zamierzał wnieść na sejm interpelację w sprawie, zarządzonych przez władze, środków policyjnych, oraz że inny poseł miał zaproponować petycję do tronu w sprawie polskiej <sup>5)</sup>). Dziennik ministerjalny „Donau Ztg“ wyraźnie zresztą oświadczył, że rząd odraczając sejm miał na względzie wypadki w sąsiedztwie. To też, gdy te wypadki ciągle jeszcze nie przybierały zdecydowanej postawy, w d. 25 lutego sejm odroczone do d. 15 marca, a później przez cały r. 1863 wcale go już nie zwoływano.

Takie było położenie Austrii, taka jej postawa odnośnie do powstania w Królestwie Polskim, gdy rozeszła

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

<sup>3)</sup> N. Berg, Zapiski II, 473.

<sup>4)</sup> „La Pologne et la diplomatie“ 59 (depesza Bloomfielda z d. 12 lutego).

<sup>5)</sup> S. Koźmian, Rzecz I, 35. Według innych, bardzo poważnych relacji ks. Sapieha nie zamierzał wcale żadnej interpelacji, mówiono tylko o zarządzeniach policyjnych w kole sejmowym polskim pod przewodnictwem Dietla.

się wieść, że ze strony rosyjskiej robiono propozycje rządowi austriackiemu o przystąpienie do konwencji prusko-rosyjskiej. Hr. Rechberg zapytany o to w d. 12 lutego przez lorda Bloomfielda, ambasadora angielskiego w Wiedniu, odrzekł, że „wcale tego rodzaju propozycja nie była mu robiona“, że „na wiadomość o konwencji zatelegrafował do hr. Thun do Petersburga z rozkazem, ażeby zapobiegł wszelkim propozycjom, jakieby chciano pod tym względem czynić dworowi wiedeńskiemu; że Galicya jest zupełnie spokojną i byle tylko powstanie polskie nie przybrało szerszych rozmiarów, rząd austriacki uważa, że istniejące dobre stosunki między dwoma gabinetami cesarskimi, są wystarczające dla celu, jaki miano obecnie na względzie“ <sup>1)</sup>).

Bądź co bądź nabyto pewności, że Austria nie przystąpiła i w przyszłości nie zamierza przystąpić do konwencji 8 lutego, że zatem obawa przed odrodzeniem się osławionego „świętego przymierza“ jest płonną i nieuzasadnioną. Jednakże wiadomość o zawarciu jakiejś tajnej umowy między Prusami a Rosyą, bardzo zaniepokoiła Europę, a zwłaszcza Anglię, która ten swój niepokój zbyt manifestacyjnie okazywała, by można go uważać za prawdziwy. Ta ostatnia poczęła odgrywać dziwną rolę wobec powstania, rolę może jedną z najciekawszych w tym posępnym dramacie polskim. Konsul angielski w Warszawie, pułkownik Stanton, zrazu bardzo nieprzyjazny powstaniu, czerpiący swe wiadomości o niem ze źródeł rosyjskich i pruskich, powoli jednak donosić zaczynał z wyraźnem oburzeniem o okrucieństwach i niesubordynacji wojsk rosyjskich, a nawet w raporcie z d. 11 lutego <sup>2)</sup>), pisząc o tem, że Warszawa jest spokojną, ale że jest obawa, by w rocznicę bitwy Grochowskiej nie przyszło do jakich zaburzeń, które „mogłyby mianem na rzeź wystawić“, dodaje te słowa charakterystyczne: „chociaż niepodobna się spodziewać jakiegokolwiek

<sup>1)</sup> „La Pologne et la diplomatie“ 59.

<sup>2)</sup> Loc. cit. 57.



korzyści z tego rodzaju usiłowań, lękać się wszelako należy, że są tutaj indywidua dość nierozsądne, które postarają się o danie sposobności do rzezi, by pokazać Europie surowość i okrucieństwo, do którego wojsko rosyjskie jest zdolne. Szczerze mówiąc milordzie, pewna liczba osób sądzi, że rząd zrobił wszystko, co mógł, by wytworzyć położenie obecne, w celu ułatwienia sobie unicestwienia uczuć narodowych przez rzeź ogólną swych przeciwników". Niemniej surowo odzywał się lord Napier, ambasador angielski w Petersburgu. Pisząc w d. 26 stycznia o wybuchu powstania i brance, potępiał ją w sposób jak najostrzejszy, choć wiadano powszechnie i on sam tego nie ukrywał, że jest wielkim przyjacielem Rosyi. „W istocie, pisał o brance, miano zamiar dokonania zupełnej „razzja" młodzieży rewolucyjnej w Polsce, zduszenia umysłów najenergiczniejszych i najmniejbezpieczniejszych w ucisku służby wojskowej rosyjskiej. Był to poprostu plan pozbycia się opozycji, deportując ją na Syberyę lub Kaukaz. Projekt ten tak przeciwny pojęciom o ludzkości, świeżo zainaugurowany w Polsce, wywołał wielkie zdziwienie w osobach, dobrze usposobionych dla rządu rosyjskiego" <sup>1)</sup>. W kilka dni potem, lord Napier, z powodu artykułu ogłoszonego przez rząd w „Journal de St. Petersbourg", broniącego polityki rosyjskiej w Polsce, jeszcze surowiej o brance się wyraził; nazwał ją „środkiem anormalnym", nie mogącym się pogodzić z legalnością. „Ani z punktu moralności, ani z punktu materalnego, ten sposób rekrutacji arbitralnej nie był dobrze obmyślany w interesie rządu rosyjskiego; i cokolwiekby dziś powiedziano, wiem, że osoby najbardziej wpływowe w administracyi i na dworze, wypierają się swego udziału w tej sprawie i zrzucają odpowiedzialność, oraz przypisują wszystkie błędy i klęski zarozumiałej pewności margrabiego Wielopolskiego" <sup>2)</sup>. W odpowiedzi na te uwagi lord Russel, ówczesny pierwszy minister angielski, pisał

<sup>1)</sup> Loc. cit. 10.

<sup>2)</sup> Loc. cit. 38.

krótko ale wymownie: „żadne rozumowanie nie daje prawa do zmiany konskrypcyi na proskrypcyę i skazywania ludzi do służby wojskowej, dlatego, że są podejrzani o zamiary rewolucyjne. Bezpieczeństwo niewinności tym sposobem odrazu jest zachwianem" <sup>1)</sup>. Odtąd ta zręczna gra słów, wynaleziona zresztą nie przez lorda Russela, ale przez margrabiego Wielopolskiego, była często powtarzana i przytaczana nawet w parlamentach.

W ten sposób Anglia zachowywała się wobec powstania, gdy nadeszła wiadomość o konwencyi 8 lutego. Na skutek tego rząd angielski począł się bardzo energicznie starać o to, żeby dowiedzieć się o treści konwencyi, która, jak udawał, zaniepokoiła go mocno. Zrazu miano bardzo niedokładne dane o treści konwencyi. Poseł angielski przy dworze berlińskim, donosił d. 14 lutego w formie nader ogólnikowej, że gabinet petersburski ułożył się z pruskim, iż generałowie naczelni obu rządów będą się nawzajem uwiadamić o ruchach wojsk, znajdujących się pod ich rozkazami; że, jeżeli wojska któregośkolwiek z obu państw będą zmuszone cofnąć się przed powstańcami na terytoryum drugiego, to nie zostaną rozbrojone i będą mogły powrócić napowrót do siebie; oraz że wojska obu państw mogą ścigać powstańców aż na terytoryum sąsiada; że koleje żelazne pruskie mają być oddane do dyspozycyi władz wojskowych rosyjskich, które będą mogły przez terytoryum pruskie przewozić swe wojska z jednego na drugi punkt Królestwa Polskiego; że nakoniec Prusy w razie potrzeby zobowiązały się dać pomoc zbrojną Rosyi dla stłumienia powstania polskiego <sup>2)</sup>. Wszystkie te wiadomości otrzymał p. Buchanan po części od samego hr. Bismarcka, z którym w d. 11 lutego miał bardzo charakterystyczną rozmowę. Minister pruski, mówiąc o konwencyi, oświadczył w końcu, że Prusy nigdy nie ścierpią Polski niepodległej. „A jeżeli, zauważył p. Buchanan, zdarzy się tak, że Ro-

<sup>1)</sup> Loc. cit. 46.

<sup>2)</sup> Loc. cit. 63 (depesza Buchanana z d. 14 lutego).

syanie zostaną z Polski wygnani, to co wtedy zrobi rząd pruski? — „Wtedy, odrzekł Bismarck, będziemy zmuszeni okupować Polskę, żeby przeszkodzić narodzinom nieprzyjaznej nam potęgi“. — „Na to Europa nigdy, nigdy nie zezwoli!“ zawołał poseł angielski i to „nigdy“ kilkakrotnie powtórzył. Wówczas Bismarck z cechującą go zawsze ironią zapytał: „Co to jest Europa?“ — „Różne wielkie narody“, odparł Anglik. — „Czy pan istotnie jesteś takiego mniemania?“ jeszcze raz zadał pytanie minister pruski. Buchanan nie odpowiedział na to i twierdził, że Francya nie może się zgodzić na nowe ujarzmienie Polski, na co zauważył Bismarck, że „dla Prus stłumienie powstania jest kwestyą życia lub śmierci“ i zakończył, że niema co mówić o sprawach, które się nigdy nie urzeczywistnią<sup>1)</sup>.

Takie miano informacye o konwencji z d. 8 lutego, gdy nagle dowiedziano się, że w wykonaniu tych tajnych stypulacyi, w d. 16 t. m. pułkownik pruski Treskow udał się do Warszawy w celu komunikowania się stałego z władzami wojskowemi rosyjskimi, a w zamian pułkownik rosyjski Reuter znalazł się w Berlinie. Wiadomość ta, świadcząca, że układ z d. 8 lutego wchodzi w wykonanie, poruszyła nakoniec mocno ministeryum angielskie. W d. 18 lutego lord Russel polecił p. Buchananowi, ażeby „użył wszelkich środków dla uzyskania i zakomunikowania rządowi Jej Królewskiej Mości kopii rzeczonej konwencji“<sup>2)</sup>. Jakoż p. Buchanan udał się w tym celu do p. Bismarcka, który z tą zręcznością dyplomatyczno-aktorską, jaką okazywał w ciągu całej swej kariery, odegrał przed chłodnym dyplomata angielskim scenę, którejby się najznakomitsi komedyopisarze nie powstydzili pomieścić w swych utworach. Minister pruski więc oświadczył p. Buchananowi, że natychmiast tekst konwencji wręczy ambasadorowi, jak tylko otrzyma zgodzenie się Rosyi na to, by umowę tę opublikować. Na to ambasador mu odrzekł, że „w interesie

<sup>1)</sup> *H. v. Sybel*, loc. cit. II, 194.

<sup>2)</sup> „*La Pologne et la diplomatie*“ 73.

Prus leży, ażeby nie zwlekano z publikacją tego dokumentu, jeżeli on zawiera w istocie tylko stypulacye, o jakich mu mówiono; gdyż powszechnem jest mniemanie, że Prusy zawarły umowę z Rosyą dla wzajemnego pomagania sobie w stłumieniu ruchu ludowego w ich państwach i że to podejrzenie wywołało bardzo niekorzystne usposobienie względem Prus w Europie zachodniej<sup>1)</sup>. Na uwagi te Bismarck odpowiedział, że „prasa angielska i francuska, nieprzyjazna Prusom, oraz całe dziennikarstwo duńskie i austriackie skorzystało z konwencji, by rzucać oszczerstwa na Prusy. Ale ktokolwiek spojrzy na rzeczy bezstronnie i bez namietności, ten łatwo się przekona, że rząd pruski zrobił to tylko co było koniecznem dla utrzymania spokojności i ochrony ludności, mieszkającej nad granicą, mającą 1500 mil długości“. Pan Buchanan bronił prasy angielskiej od zarzutu nieprzyjaźni dla Prus, jeżeli zaś, mówił, „w ostatnich czasach jej język nie wyrażał sympatyi i pochwał, to przyczyna tego leży gdzieindziej, nie zaś w uczuciach nieprzyjaznych Anglii względem narodu pruskiego“. P. Bismarck, porzucając nakoniec pole tych bezcelowych rekryminacyi, oświadczył, że „powstanie w Polsce rosyjskiej wywołane zostało głównie przez drobną szlachtę i oficyalistów dworskich“, że „jak tylko utworzy się banda zbrojna, to zmusza ona chłopów do połączenia się ze sobą“, że „dla zapobieżenia, by tego rodzaju działalność nie rozszerzyła na polskie Prus prowincye“, konwencya została zawarta; że tym sposobem ma nadzieję, iż handel pruski z Polską będzie zabezpieczony od łupiestwa powstańców, włóczących się nad granicą. „Rząd, mówił dalej, zawarł konwencyę przede wszystkim jako środek konieczny obrony; ale widzi w niej także obronę interesów kupców pruskich, którzy handlują z Polską“. Pan Buchanan zauważył, że jest to argument zwykły, jakiego używają rządy, chcące usprawiedliwić swe wdanie się w sprawy innego państwa, że na tej zasadzie rząd angielski mógłby się wnieść w wojnę

<sup>1)</sup> Loc. cit. 50.



domową Ameryki, że „trudno będzie jednak dowieść Jego ekscelencyi, że to co nie jest potrzebnem w Galicyi, nieuniknionem jest w Prusach“. Na to minister pruski odpowiedział, że wyrznięcie tysiąca głów szlacheckich w Galicyi przez chłopów w r. 1846 znacznie zmniejszyło możliwość ruchu powstańczego w tej prowincyi, gdyż warstwa niebezpieczna ludności została prawie wytępioną, i że tam ani szlachta wyższa, ani chłop nie chce narażać się, ani też poświęcać dla odbudowania Polski. Twierdził dalej, że liczba wojsk pruskich, skoncentrowanych na granicy, została znacznie przesadzona, jakkolwiek bowiem powołano część rezerw, to przecież żaden korpus nieznajduje się na stopie wojennej, tak co do ludzi jak i dział i koni; że wojsko, będące pod rozkazami generała Werdera, po wydzieleniu załóg dla miast i fortec, wyniesie zaledwie 12 tysięcy ludzi nad granicą północną, a 8000 na Śląsku. Dodał, że oficerowie otrzymali rozkaz nie zbliżania się do terytorium rosyjskiego, jak tylko na odległość jednego dnia marszu od granicy; że wojsko rosyjskie może wtedy jedynie przekroczyć granicę pruską, gdy znajdzie się w czynnem starciu z powstańcami. Utrzymywał, że główną korzyścią, jaką osiągają Prusy z tej konwencyi jest to, że bandy powstańcze nie mogą zgromadzać się nad granicą pruską i wkraczać na terytorium pruskie, a w razie gdyby na temże terytorium były rozbite, nie mogą się zbierać znowu i ściągać posiłków z Królestwa dla ponowienia ataku na wojska rosyjskie. Na zapytanie Buchanana, jak rząd pruski będzie postępował z rokoszanami polskimi, schwytanymi w Prusach, Bismarck odrzekł, że będą wydawani władzom rosyjskim zgodnie z kartelem z r. 1857<sup>1)</sup>. Rozmowa ta zrobiła na Buchananie wrażenie takie, że minister pruski Niemile był dotknięty powszechną nieufnością, jaką wywołała konwencya. Jakkolwiek bowiem Bismarck przedtem kilkakrotnie dał się słyszeć, że prawdopodobnie wojska rosyjskie nie dadzą sobie rady z powstańcami. te-

<sup>1)</sup> Loc. cit. 82.

raz widocznie, wobec tej niechęci ogólnej, starał się przekonać ambasadora, że powstanie polskie jest bardzo słabe, że nie jest ono w stanie długo opierać się armii regularnej, że mogą przez jakiś czas powstawać bandy rozbójnicze, takie jak w Neapolitańskim, ale to wszystko nie ma żadnej przyszłości politycznej. Oczywiście rzeczą było, że Bismarck przez takie lekceważenie powstania starał się wpoić w dyplomację angielskiego to przekonanie, że wobec takiego położenia rzeczy, konwencya z d. 8 lutego nie może mieć żadnego znaczenia i sama przez się upada. Ale poseł angielski był zanadto przenikliwym, by tym, dość naiwnym, wywodom mógł uwierzyć. Chcąc osiąść jakieś pozytywniejsze dane, których mu bardzo ogólnikowa rozmowa z ministrem pruskim udzielić nie mogła, udał się o informacje do p. von Thiele, podsekretarza stanu. Ten odrzekł mu, że „konwencya dotyczy wyłącznie działań wojskowych na granicy“, a gdy Buchanan zauważył, że hr. Bismarck przypuszcza możliwość czynnego wystąpienia Prus dla stłumienia powstania, p. Thiele odpowiedział, że „nie może powiedzieć, jakie są zamiary p. Bismarcka i czy on myśli o zawarciu drugiej konwencyi z Rosyą, ale on, pan Thiele, może zapewnić, że konwencya świeżo podpisana nie zawiera żadnych stypulacyi, dotyczących takiej ewentualności“<sup>1)</sup>.

Tak więc, pomimo bardzo gorliwych, przyznać to trzeba, usiłowań p. Buchanana, rząd angielski właściwie nie się nie dowiedział o treści konwencyi. Zdarzyło się, przez szczególny a może i nieszczególny zbieg okoliczności, że tego samego dnia, w którym p. Buchanan pragnął się czegoś dowiedzieć o konwencyi, w Petersburgu wicekanclerz rosyjski, ks. Gorcejakow, sam osobiście rozpoczął w tym przedmiocie rozmowę z lordem Napierem. Twierdził więc, że zanadto przesadzono znaczenie tej umowy. Unikając starannie wyrazu „konwencya“, utrzymywał, że porozumienie to nie ma wcale charakteru politycznego, że jest to

<sup>1)</sup> Loc. cit., 83.

prosty układ dla utrzymania spokojności na granicy dwóch krajów. Powstańcy, mówił, mają zwyczaj napadania na komory celne i na miejscowości, w których się znajdują fundusze skarbowe; koniecznem więc było, ażeby urzędnicy mogli się w razie napadu, chronić z tymi funduszami do miejsc bezpiecznych, a w razie potrzeby nawet na terytorium obce. Otóż umowa 8 lutego zapewniła im tę możliwość, a w razie gdyby byli ścigani przez „buntowników“, tych nawzajem ścigać będzie wojsko rosyjskie aż do granicy, gdzie powita ich siła zbrojna pruska<sup>1)</sup>. Na pytanie lorda Napiera, czy umowa pozwala obu stronom w ciągu operacji wojennej przekraczać granicę sąsiada, ks. Gorczakow odrzekł dość niejasno, że będzie to zależało od zamiarów powstańczych względem komor celnych. Samej konwencji nie przedstawił ambasadorowi angielskiemu, ale usiłował go zapewnić, że cesarz Aleksander pragnie, aby była ona ogłoszona, i jeżeli to dotąd nie zostało spełnionem, to tylko z powodu opozycji strony drugiej. Oświadczył w końcu, że należy się spodziewać, iż umowa ta nigdy nie wejdzie w wykonanie, gdyż siły „buntowników“, jak się wyrażał, oddalają się stopniowo od granic pruskich ku granicy austriackiej<sup>2)</sup>.

Niewątpliwą było rzeczą, że minister rosyjski okazał o wiele większą zręczność w zamaskowaniu istotnej treści konwencji, od szczycącego się później taką sławą genialności dyplomatycznej, Bismarcka. Podczas gdy ten ostatni rozpylił się w mglistych, tem większe przez to budzących podejrzenie, frazesach, o zabezpieczeniu spokojności mieszkańców nadgranicznych, o potrzebie obrony handlu pruskiego, podczas gdy odchodził co chwila od rzeczy, Gorczakow z zadziwiającą prostotą zapewniał, że tu idzie jedynie o ocalenie funduszy skarbowych, znajdujących się na komorach celnych. Co jest jeszcze godnem uwagi, że obaj z wartą lepszej sprawy otwartością oznajmiali, że

<sup>1)</sup> Loc. cit. 95.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

dawno już byłaby treść konwencji opublikowaną, gdyby, według Bismarcka, nie sprzeciwiała się temu Rosya, a według Gorczakowa, Prusy. Jakiż to przedmiot dla chłoszczącej satyry Juvenala!

Ale te sceny, wysoce charakterystyczne miały zgnać wobec końcowej tak jaskrawej w swym przebiegu, tak komicznej w swej formie i z taką naiwnością dyplomatyczną odegranej, że najznakomitsi aktorzy mogliby z niej brać wzory, a najlepsi pisarze kreślić postacie hipokryzji nieco prostackiej, niemniej przeto, a może właśnie dlatego, dopinającej zamierzonego celu. Posel angielski w Berlinie, znany nam już p. Buchanan, na skutek wiadomego polecenia swego rządu, nie przestawał nalegać na p. Bismarcka, ażeby mu treści konwencji z d. 8 lutego udzielił. Nakoniec po dość długich jak się zdaje i bezowocnych usiłowaniach, w d. 26 lutego wieczorem, Bismarck przyrzekł ambasadorowi angielskiemu, że mu nazajutrz rano zakomunikuje niektóre szczegóły o konwencji, a zarazem porozumie się z posłem rosyjskim, czy ten nie będzie miał nic przeciw udzieleniu Buchananowi osławionej owej umowy. Pokazało się jednak, że takie porozumienie nazajutrz jeszcze nie przyszło do skutku, gdyż na pytanie Buchanana, czy zobaczy nakoniec ową konwencję, Bismarck odrzekł, że „nie może tego uczynić bez zgody p. Oubila, ale że posłowi angielskiemu odczyta artykuły umowy, wyjaśniawszy wprzód okoliczności, które spowodowały jej zawarcie“. „Gdy powstanie wybuchło, mówił tedy Bismarck, rząd pruski miał pewne podstawy do sądzenia, że wojsko rosyjskie w Polsce nie przechodzi liczby 60 tysięcy ludzi, jakkolwiek wydaje się, że liczy około stu tysięcy. Uznano więc za rzecz rozsądną wysłać do Warszawy oficera dla dowiedzenia się, czy tamtejsze władze wojskowe posiadają środki stłumienia powstania i dla zawarcia z nimi takiego układu, ażeby spokojność była zachowana w obwodzie granic pruskich, gdzie żywy niepokój istniał przed przybyciem wojska, które później tam posłano“. Opowiedziawszy następnie wysyłkę pana Raucha do Warszawy, a jene-



rała Alvenslebena do Petersburga, zaznaczył, że po przybyciu tego ostatniego „rząd rosyjski proponował, aby oba rządy zawarły umowę, która została przez Alvenslebena i ks. Gorczakowa podpisana, ale która wobec tego, że ratyfikacja jeszcze nie nastąpiła, musi być uważana tylko jako projekt do konwencji i jako taka nie może być zakomunikowana żadnemu ministrowi zagranicznemu“. Bismarck wygłosiwszy to wszystko, odczytał Buchananowi tekst niemiecki konwencji, który tłumaczył na język francuski i który przedstawił mu jako treść umowy. Dodał, że nie została ona ujęta w formę odpowiednią, że nawet nie jest podzieloną na artykuły. Osnowa tego osobliwszego odczytu była w rzeczy samej zgodna z prawdą; hr. Bismarck nie zapomniał nawet uwiadomić zbyt ciekawego posła angielskiego o klauzuli, dodanej przez ks. Gorczakowa, t. j. że każda ze stron kontraktujących ma prawo w razie potrzeby uznać tę umowę za niebyłą. Słusznie też w raporcie swoim konkluduje p. Buchanan: „a zatem konwencja nie tylko jest nie kompletna, gdyż ratyfikacja jej nie nastąpiła, ale i dlatego, że jej istnienie zależnem jest od woli jednej ze stron kontraktujących, co nie może być uważane za umowę obowiązującą“<sup>1)</sup>. Na tem skończyły się natarczywe, może za zbyt natarczywe usiłowania angielskie, by się dowiedzieć o treści konwencji i jak na teraz Anglia nic więcej nie przedsiębrała. Gabinet jej wiedział doskonale, że powstanie polskie się rozrasta, że nie prędko będzie pokonane, że zatem zamysły W. ks. Konstantego i Gorczakowa są na zawsze pogrzebane; że Prusy, jakkolwiek inną drogą, ale do tego samego celu dążą, więc nienależy im przeszkadzać; że wreszcie wystąpienie teraz Francji i jej zamiary ujęcia się za Polską, nieodwołalnie rozerwą tak długo i tak mozolnie nawiązywane „porozumienie serdeczne“ tego państwa z Rosją, o co głównie gabinetowi brytańskiemu chodziło.

Jakoż w rzeczy samej tak było. Francya, która, jak

<sup>1)</sup> Loc. cit. 112.

wiemy, że inne co do Polski miała plany, że nawet, jeżeli wierzyć można niektórym relacyom, brała udział w intrydze Gorczakowa, Wielopolskiego i W. ks. Konstantego utworzenia pod berłem tego ostatniego niepodległej Polski, i dlatego nadzwyczaj niechętnie patrząca na nierozsądne powstanie polskie, teraz nagle zmieniła postawę. Składały się na to różne przyczyny. Powstanie, wzrastające ciągle, toczące krwawe walki, nie tylko nie zostało pokonane w ciągu paru tygodni, jak zapowiadano, ale wzmacniało się z każdą nieomal chwilą, co przekonywało, że teraz o rozwijaniu dalszem pierwotnego planu nie mogło być mowy. Zawarcie przez Rosję konwencji z Prusami świadczyło, że cesarz Aleksander odwraca się od Francji i szuka sprzymierzeńca gdzieindziej. Przytem nie wiedziano na razie co ta konwencja zawiera; i umysł tak przenikliwy, jakim się odznaczał Napoleon III nie mógł zrozumieć i uwierzyć temu, by dwa, bądź co bądź potężne państwa zawierały sojusz dla pokonania garści źle uzbrojonej młodzieży polskiej, kryjącej się po lasach ojczystych. Pogłoska powszechna twierdziła, że oprócz tekstu, jaki ks. Gorczakow d. 9 lutego udzielił ks. Montebello, ambasadorowi francuskiemu w Petersburgu, konwencja zawiera artykuły tajne. Cóż to mogły być za artykuły tajne? niewątpliwie jakieś daleko sięgające zamiary, odtworzenie „świętego przymierza“, tak wstrętnego Bonapartym. Skoro więc pierwotne, w wielkim stylu zakreślone plany, rozwiały się jak mgła, jak miraż w pustyni, skoro zawiązywany sojusz francusko-rosyjski rozpadł się jak pajęczyna, skoro zanosi się na przymierze reakcyjne, nic nie pozostaje jak rzucić się na inną, wręcz przeciwną drogę i poprzeć nieszczęsne powstanie polskie. Do tego bardzo logicznego postanowienia skłaniało Napoleona III i serce także, które bolało nad losem Polski; nacisk opinii publicznej, coraz wyraźniej zaznaczający swe sympatyje dla Polski; głosy dzienników, wreszcie postawa stronnictwa klerykalno-arystokratycznego w samej Francji, które najgłośniej przemawiało za Polską a z którym przy

bliskich wyborach rząd liczyć się musiał<sup>1)</sup>. Zdecydowano się więc tą drogą, kiedy inna zawiodła, „coś zrobić dla Polski“.

Ale z tem wszystkiem należało taki sposób wynaleźć, by bezpośrednio nie obrażać Rosyi, w której Napoleon widział jedyne go sprzymierzeńca Francyi. Ten sposób, ten punkt wyjścia dała konwencya prusko rosyjska. Prusy się wmisczały w sprawę polską, trzeba więc na Prusy uderzyć; one za wszystko zapłacą i za wszystko odpokutują; zaczepiając je, zaczepi się samą kwestyę polską. Jakoż, już d. 15 lutego, a więc w kilka dni po zawarciu konwencyi, począł mówić o niej p. Drouyn de l'Huys, francuski minister spraw zagranicznych, z hr. Goltzem, posłem pruskim w Paryżu. Dyplomata francuski zauważył, że wogóle konwencya ta była krokiem błędnym. „Rozumiemy to, mówił, że każde z państw rozbiorowych pragnie zatrzymać swe posiadłości polskie, ale sądzimy, że Prusy są dość silne, by obronić ks. Poznańskie. Niech Rosya sama sobie daje radę i należało ją sobie samej zostawić, bo wtedy tylko jedna trzecia kwestyi polskiej byłaby podniesioną, a wy moglibyście spokojnie się temu przypatrywać. Inna rzecz jest jednak, gdy kwestya polska w swej całości występuje na stół; wówczas położenie zmienia się z gruntu“. Przez konwencyę 8 lutego właśnie tak się stało. „Obawiam się, kończył minister francuski, żeście kwestyę tę zawcześnie podnieśli. Czyż nie lękacie się tego, by wasza solidarność z Rosyą, przy uczuciach, ożywiających naród angielski i francuski, nie stworzyła innej solidarności?“<sup>2)</sup>. Wszystko to wszelako wypowiedziane było tonem bardzo uprzejmym, ale pełnym troski wobec zachmurzającego się coraz więcej horyzontu europejskiego. W tym też mniej więcej duchu, p. Drouyn de l'Huys, w parę dni po tej rozmowie, d. 17 lutego, wysłał depeszę do hr. Talleyranda, posła francuskiego w Berlinie, w której, określiwszy pierwotne stano-

<sup>1)</sup> H. c. Sybel, Die Begründung II, 494.

<sup>2)</sup> Loc. cit. 495.

wisko Francyi względem walki toczonej nad Wisłą, powiada, że rząd francuski „dalekim był od myśli, ażeby gabinet berliński wmisczał się w sprawę, w której zdawało się, nic go interesować nie może“. Wszakże inaczej się stało, a stało się to przez zawarcie konwencyi 8 lutego, którą należy uważać za porozumienie się polityczne, gdyż możność przechodzenia granicy przez wojsko obu państw „oznacza istotne współdziałanie wojskowe Prus“. Istnienie takiej umowy jest „wypadkiem niewątpliwej ważności“. Dalej minister francuski kładzie nacisk na to, że potrzeby takiej umowy nic nie wywołało; w W. ks. Poznańskim panuje spokojność. „Interesem Prus było zachowanie postawy obserwatora, dopóki naglące okoliczności nie zmusiłyby ich do przybrania innej“; że umowa ta zaniepokoi tylko umysły, obudzi trwogę przed niebezpieczeństwem urojonem. „Ale w naszych oczach najważniejszą niedogodnością decyzji, powziętej przez Prusy, jest to, że wywołały one do pewnego stopnia samą kwestyę polską. Dotąd ruch tamtejszy nie był popierany przez wybitniejsze osobistości w kraju i na wychodźstwie; miał on charakter oporu przeciw rekrutacyi, nakazanej przez rząd rosyjski; powstanie było wyłącznie miejscowe i ograniczało się na Królestwie Polskiem. Gabinet berliński miesząc się mniej więcej bezpośrednio do walki, nietylko bierze na siebie odpowiedzialność za środki represyi, stosowane przez Rosyę, ale obudza poczucie jedności interesów w różnych narodowościach dawnej Polski, wzywa niejako rozdzielone części tego narodu, by stawiały opór związkowi rządów, by jednym słowem zrobiły powstanie prawdziwe narodowe“. Rząd pruski tym sposobem stworzył źródło niepokojów, „które stać się może powodem najrozmaitszych komplikacyi dla gabinetów“<sup>1)</sup>.

Nazajutrz, d. 18 lutego, minister francuski wysłał depeszę do Petersburga, do ks. Montebello, w której zaznacza najprzód przyjazne stanowisko gabinetu francuskiego,

<sup>1)</sup> „La Pologne et la diplomatie“, 167.



jakie od lat kilku zajmował względem Rosyi, że nie dając żadnej nadziei ruchowi polskiemu, starał się go uspokoić. „Ale kwestya polska ma przywilej, jakiego żadna inna sprawa nie posiada we Francyi, budzenia żywego współczucia we wszystkich stronnictwach“, z czem rząd liczyć się musi. „Reprezentanci Europy, zebrani na kongresie wiedeńskim, ulegali naciskowi tej opinii i uznawali ją do pewnego stopnia, gdyż starali się wynagrodzić krzywdy Polski, która była jednym z głównych przedmiotów ich troski“, i że „umieścili na czele aktu ogólnego, mającego być podstawą nowego systemu politycznego, stypulacye dotyczące losu Polski“. Minister francuski zapewniając, że Francya nie zmieni swego postępowania względem Rosyi, zaznaczał jednak, że „wypadki mogą się stać coraz bardziej niepokojącymi, że nacisk opinii publicznej będzie coraz silniejszy“, i że pragnie „aby środki, do których Rosya się ucieknie, nie utrudniły w niczem położenia Francyi w stosunku do gabinetu petersburskiego, do siebie samej i do Europy“<sup>1)</sup>. Pan Drouyn de l'Huys zakomunikował również obie te noty gabinetowi angielskiemu z zapytaniem, czy taki sam pogląd ma na sprawę polską, na co lord Russel odpowiedział potwierdzająco. Względem posła pruskiego, hr. Goltza, minister francuski przybierał coraz niechętniejszą postawę i oświadczył mu nawet, że jedynie dymisya hr. Bismarcka może przywrócić dawne dobre stosunki między obu państwami<sup>2)</sup>. Sam cesarz Napoleon o wiele łagodniej wprawdzie, niemniej przeto stanowczo przemawiał. Dnia 20 lutego rzekł do Goltza: „Wiecie, że zawsze pragnąłem ścisłego związku z Prusami. Gdyby Austrya popełniła tego rodzaju błąd, jakim jest konwencya, byłoby mi to obojętne, ale że to zrobiły Prusy, jestem bardzo zmartwiony“<sup>3)</sup>.

Tegoż samego dnia 18 lutego, w którym Drouyn de

<sup>1)</sup> Loc. cit. 169.

<sup>2)</sup> H. Sybel, loc. cit. II, 496.

<sup>3)</sup> Loc. cit.

l'Huys wysłał swą notę do Petersburga, odbyła się u cesarza wielka narada ministeryalna w sprawie polskiej, i w kwestyi konwencji prusko-rosyjskiej. Pomimo opozycji niektórych, pomimo twierdzeń, że interes Francyi leży w sojuszu z Rosyą, a nie w awanturniczej i Bóg wie dokąd zaprowadzić mogącej akcji o przywrócenie niepodległości polskiej, pod wpływem przeważnej i wszechmocnej jeszcze w tej porze woli samego cesarza, postanowiono rzucić się na niepewne i burzliwe fale takiej akcji. Nie chciano jej jednak rozpocząć wprzód, dopóki by nie nabyto przeświadczenia, że opinia ogólna francuska gotowa jest za nią się oświadczyć. W tym celu zapytano wszystkich prefektów, czy wdanie się w sprawę polską dobrze będzie przyjęte przez naród francuski. Prefekci, bez żadnego wyjątku, prawie jednogłośnie donieśli, że los nieśczęśliwej Polski niezmiernie żywo interesuje ludność francuską, że sprawa ta budzi powszechny entuzjazm i współczucie. Cesarz Napoleon, który zawsze przywiązywał wielkie, może nawet za wielkie znaczenie do głosów opinii, uczuł się przez to wzmocnionym i niejako upoważnionym do wystąpienia w kwestyi polskiej. Zadecydowano więc na owej radzie tajnej, ażeby zaproponować gabinetowi angielskiemu i austriackiemu wspólne z Francją wystąpienie do Berlina, w nocy identycznej co do treści, w sprawie konwencji 8 lutego. Jakoż p. Drouyn de l'Huys wygotował projekt takiej noty i w dniu 21 lutego posłał go do Londynu i Wiednia. W piśmie tem użala się w formie bardzo grzecznej nad podstawą, jaką Prusy zajęły wobec powstania w Królestwie Polskiem, przez zawarcie z Rosyą konwencji d. 8 lutego. „Tego rodzaju umowa, pisał minister francuski, nie tylko rozszerza teatr wojny, ale wytwarza nowe położenie i zmienia kwestyę polską na sprawę europejską“. Projekt kończył się temi słowy: „Rząd Jego C. Mości cesarza Francuzów uważa ze swej strony za obowiązek względem siebie i względem Europy, uwiadomić dwór berliński o niepokoju, jaki wywołała umowa z gabinetem petersburskim, i przekonany jest, że te uwagi, na-

technione szczerem pragnieniem usunięcia wszelkich powodów do nieporozumień, będą przyjęte z tem uczuciem ufności, jakie je podyktowało<sup>1)</sup>. Gabinet francuski był pewny, że projekt ten będzie przez Anglię i Austryę przyjęty i tym sposobem wystąpienie trzech pierwszorzędnych mocarstw europejskich przeciw Prusom nabierze niemałego znaczenia i powagi. Pan Drouyn de l'Huys nadzieje te swoje na tem opierał, że w Wiedniu dwaj główni i najbardziej wpływowi doradcy austriackiego ministra spraw zagranicznych, Rechberga, pp. Biegeleben i Meysenburg, byli gorącymi przyjaciółmi Polski; że w Anglii opinia ogólna była za Polską, a prezes gabinetu lord Russel, przez swe natarczywe domaganie się od Prus zakomunikowania mu treści konwencji lutowej, wyraźnie dawał dowody żywego zajęcia się sprawą polską. Przytem w d. 20 lutego w parlamencie, tenże lord publicznie potępił brankę warszawską, nazwał ją „krokiem źle obmyślanym i nielegalnym“, oraz że Prusy przez zawarcie konwencji przyjęły na siebie odpowiedzialność za wszystko, co się w Polsce dzieje<sup>2)</sup>.

Tymczasem oba te rządy nie miały wcale zamiaru zajęcia się szczerego sprawą polską. Austrii, jak wiemy szło głównie o to, by nie dopuścić do kompromisu między Polską i Rosyą, by obalić system reprezentowany przez W. ks. Konstantego i margrabiego. Powstanie, lekkomyślnie poczęte, było najlepszym narzędziem do spełnienia tych zamiarów; w interesie więc Austrii, tak jak ten interes przedstawiano sobie w Wiedniu, leżało, ażeby powstanie dalej trwało, żeby wywołało rozdrażnienie w Rosyi i tym sposobem, żeby rękami samych Polaków i Rosyan, kompromis między tymi dwoma narodami, jeżeli nie na zawsze, to przynajmniej na bardzo długo był pogrzebany. Anglia znowu miała na celu zerwanie zawiązującego się sojuszu

<sup>1)</sup> Projekt ten czytać można w całości w dziele „La Pologne et la diplomatie“, 127.

<sup>2)</sup> II. Sybel, loc. cit. II, 497.

między Francją i Rosyą, osłabienie wreszcie tej ostatniej przez krwawiącą się ranę polską. Stąd polityka angielska polegała na tem, by popychać Francję do akcyi, akcyi zaś samej przeszkodzić. To też, gdy do Wiednia nadszedł projekt identycznej noty do Prus, hr. Rechberg, d. 27 lutego wysłał odpowiedź na ręce ks. Metternicha, ambadora austriackiego w Paryżu, stanowczo odmowną. „Uznając w zupełności słowa i uczucia noty francuskiej“, oświadczał p. Rechberg, jednak nie może przyłączyć się do tego wystąpienia, „z powodu wyjątkowego stanowiska Austrii tak co do zasad ogólnych, jak i specjalnych interesów swoich w kwestyi polskiej“. Wyrażał wprawdzie żal z powodu zawarcia przez Prusy konwencji „zgola niepotrzebnej“, ale ze względu na zasadę nieinterwencji, nie może z tej przyczyny robić uwag w Berlinie; dodawał, że jakkolwiek Austria nie ma zamiaru uciekania się do nadzwyczajnych zarządzeń dopóty, dopóki powstanie zamyka się w granicach Polski rosyjskiej, „wszelako nie może zapomnieć o istnieniu żywiołów rewolucyjnych, które czekają tylko na sposobność przyjazną, by rozszerzyć swe działanie na Galicyę. Pomimo bowiem spokoju i rozsądku, jaki okazują poddani polscy cesarza, co rząd austriacki szczęśliwy jest, że może zaznaczyć, wszelako nie chce, nawet pośrednio, zachęcać aspiracyi narodowych, nie dających się pogodzić z całością państwa austriackiego“; utrzymywał, że Anglia i Francya znajdują się w innem położeniu i mogą śmiało wypowiadać swe sympatye, Austria zaś nie. „Nie trzeba, wołał p. Rechberg, podniecać nadziei, które nie mogą się urzeczywistnić, ani pragnień, które trzeba będzie potem tłumić; a byłoby szczytem nierozwagi podsycać te pragnienia w Galicyi, ukazując Polakom widoki, pozbawione podstaw“. Obawiał się, by przedstawienie, które rząd francuski zamierza uczynić w Berlinie, nie miało poważniejszych, niż się tego spodziewano, następstw, i by „nie wywołało ono zaburzeń, które rząd austriacki zmuszony byłby poskramiać“. „Wreszcie rząd austriacki nie może teraz po-



tępiąc konwencyi, odmówiwszy poprzednio wzięcia w niej udziału<sup>1)</sup>.

Anglia także odrzuciła projekt francuski. Utrzymywała ona, że znaczenie konwencyi z d. 8 lutego zostało zbyt przesadzone, że nie ma ona żadnego praktycznego znaczenia, że wreszcie powstanie polskie oddala się od granic pruskich w kierunku południowym. Wobec tego lord Russel uważał, że identyczna nota wzbudziłaby w rządzie pruskim uczucie obrażonej godności i wywoła tym sposobem nowe przeszkody. Wreszcie, jeżeli już państwa zachodnie mają występować, to czemu nie wystąpią przeciw „głównemu winowajcy“, przeciw Rosji? Proponował więc, aby wszystkie mocarstwa, które podpisały traktat wiedeński, wezwały Rosję o wykonanie stypulacji tego kongresu względem Polski<sup>2)</sup>.

Tym więc sposobem pierwsza akcja francuska w sprawie nieszczęśliwej Polski doznała stanowczego niepowodzenia. To też p. Drouyn de l'Huys w cyrkularzu z d. 1 marca do agentów zagranicznych francuskich, donosząc o tem niepowodzeniu nie mógł ukryć pewnego uczucia upokorzenia i żalu. „Zdawało nam się, mówił, że pewne porozumienie było koniecznem przed krokiem urzędowym co do rządu pruskiego. Przekonani byliśmy, że uwagi poczynione przez trzy gabinety więcej korzyści przyniosą, jeżeli będą zrobione wspólnie i w słowach jednobrzmiących, że taki krok będzie miał więcej powagi“. Wobec jednak odmowy obu gabinetów, rząd cesarski całą akcję zawiesić musi. Pocieszał się tylko tem p. Drouyn de l'Huys, że zamierzona acz nie skuteczniona akcja wywrze wrażenie na Petersburgu. „Co się nas tyczy, kończył, będziemy śledzili wypadki z najżywszym interesem. Nasz obowiązek pod tym względem jest taki sam jak innych wielkich mocarstw, zajmujących to samo co my stanowisko. Usiłowa-

<sup>1)</sup> „La Pologne et la diplomatie“, 185 (depesza hr. Russel do hr. Napiera z d. 21 marca).

<sup>2)</sup> Loc. cit. 132.

nia przez nas przedsięwzięte, ażeby każdy krok gabinetów był poddany wprzód ogólnej umowie, świadczą o uczuciach, jakie mamy dla sprawy, która nie zmusza nas ani do prowadzenia polityki wyłącznej, ani do akcji odosobnionej<sup>1)</sup>. Bądź co bądź pierwszy ten krok Francji, acz uwieńczony niepowodzeniem, wyraźnie zarysował jej stanowisko względem sprawy polskiej. Porażka dyplomatyczna, jakiej doznał cesarz Napoleon, z konieczności rzeczy musiała go podrażnić, gdyż przyćmiewała niejako urok jego wszechpotęgi, jakim się w oczach całej Europy otoczył, i przez to samo zmuszała do dalszych kroków, których inicjatywa zresztą, jak to zobaczymy, zupełnie się z rąk jego wysunęła. Odtąd w tej nieszczęsnej sprawie polskiej miał on ponosić same tylko klęski, które podkopały tron jego niestety! i szczęście Francji, co mniejsza, ale także przyszłość Polski i losy całej Europy zmieniły fatalnie. Krew, która tak obficie płynęła nad Wisłą, lała się nie dla pożytku ojczyzny polskiej, ale dla potęgi i znaczenia największego jej wroga, bo króla pruskiego. Przykładu takiej ponurej, bezwzględnej ironii, zaiste, dzieje nie przedstawiają!

Ale jeżeli nie powiodła się pierwsza akcja dyplomatyczna francuska, i minister pruski mógł się z tego cieszyć niewątpliwie, to jednak sprawa polska, a raczej sprawa owej niefortunnej konwencyi, stworzyła mu kilka chwil bardzo ciężkich. Nigdy tego nie zapomniał i w dwadzieścia pięć lat potem wspominał<sup>2)</sup>, jak do niego pewnego poranku zjawił się pan Andrew Buchanan, poseł angielski, i p. Talleyrand, poseł francuski, i „piekło mu zrobili“, że użyjemy własnego jego wyrażenia, z powodu konwencyi i w ogóle postawy Prus względem Rosji. Tem przykrzejszem było to zapewne dla niego i tem większym przejmowało go niepokojem, że sama Rosya dziwnie się wobec rzeczzonej konwencyi zachowała. W d. 22 lutego, t. j. w tej

<sup>1)</sup> Loc. cit. 174.

<sup>2)</sup> W mowie na sejmie d. 6 lutego 1888 r.

samej chwili, w której gabinet francuski rozpoczął swą akcję dyplomatyczną przeciw Prusom, stawiał się u Bismarcka ambasador rosyjski p. Oubril i oświadczył z polecenia swego rządu, iż wobec położenia europejskiego jest rzeczą nagłą, aby artykuł konwencji, pozwalający dowódcom wojskowym obu państw przechodzić granicę, uznać za niebyły <sup>1)</sup>. Usunięcie tego artykułu równoznacznem było z zawieszeniem konwencji, gdyż ostatecznie on stanowił jej zasadniczą oś. Bismarck oczywiście nie miał nic innego do zrobienia jak zgodzić się na to żądanie i zaraz odpowiednie rozkazy wysłać do komendantów wojskowych nadgranicznych, o czym uwiadomiono Oubрила. W kilka dni potem na jeszcze większe zdziwienie Bismarcka, który nie mógł pojąć tego postępowania Rosyi, nadszedł od konsula pruskiego telegram z Warszawy, w którym donosił, że W. ks. Konstanty otrzymał od wicekanclerza Gorczakowa zawiadomienie, jakoby Prusy wskutek wiadomości z Paryża, wyraziły życzenie usunięcia z tekstu konwencji artykułu o przejściu granicy, więc żeby W. książę przesłał odpowiednie rozkazy komendantom rosyjskim, aby pod żadnym warunkiem nie ważyli się przekraczać granicy pruskiej. Łatwo wyobrazić sobie zdumienie Bismarcka, któremu przypisywano rozwiązanie umowy lutowej. W każdym razie, wobec tego wszystkiego, konwencja straciła wszelkie znaczenie, i Bismarck, jak wiemy, uwiadomił o tem posła angielskiego wobec Oubрила. Tymczasem zaraz potem okazało się, że była to intryga ks. Gorczakowa, osnuta przez tegoż poza plecami cesarza Aleksandra, w tym chwalebny niewątpliwie cel, ażeby zerwać nienawistny sojusz z Prusami, zamknąć przez to usta mocarstwu zachodnim i dać możność spełnienia się podniosłym zamiarom W. ks. Konstantego i margrabiego Wielopolskiego. Ale niestety! intryga ta, jak wszystkie intrygi oparte na nikłych podstawach, powieść się nie mogła i nie powiodła się też wcale. Cesarz Aleksander, gdy się dowiedział z ust

<sup>1)</sup> H. Sybel, loc. cit. II. 499.

ks. Gorczakowa, że Prusy pragną rozwiązania konwencji, bardzo żywo się tem poruszył. Gdy w d. 25 lutego przyjmował pana von Loen, ajenta wojskowego pruskiego, mówił o tem z żalem i goryczą. „Wiesz pan co się stało? gdy wojskowi ze sobą traktują, wszystko idzie jak najlepiej, ale gdy się dyplomaci w to wmieszają, zawsze robi się głupstwo. Na życzenie króla zawarcia konwencji z radością się zgodziłem; teraz słyszę, że Prusy ze względu na swą politykę zewnętrzną i wewnętrzną, pragną rozwiązania umowy. Zgadza się i na to, jakkolwiek nie pojmuję, co może Francję obchodzić konwencja? A może w Berlinie sądzono, że Rosya chce się wycofać z tego zobowiązania? Właściwie przy obecnem polepszeniu się położenia w Polsce, nie potrzebujemy niczyjego współdziałania, ale o rozwiązaniu umowy nie myślałem wcale, jeżeli jednak tym sposobem oszczędzę Prusom kłopotów, gotów jestem i to zrobić. Jeżeli Oubril co innego powiedział, to mu zaprzeczę“. Oczywiście von Loen doniósł o tem natychmiast swemu rządowi i domagał się instrukcyi drogą telegraficzną. Jakoż w d. 28 lutego otrzymał odpowiedź, że „zawieszenie konwencji wydaje się gabinetowi pruskiemu bezcelowem; lepiej będzie oświadczyć rządowi zachodnim, że konwencja dotąd nie weszła w wykonanie z powodu, że nie było to wcale potrzebnem“. Nazajutrz gdy v. Loen stawiał się przed cesarzem Aleksandrem, ten od razu go zapytał: „Więc Prusy pragną uznania konwencji za niebyłą?“, ale nie mógł powstrzymać radośnego zdziwienia, gdy mu v. Loen odczytał depeszę Bismarcka. Teraz cesarz widocznie zadowolony mówił, że to było jakieś nieporozumienie, które należy wyjaśnić; rozwodził się o potrzebie silnego popierania się obu państw wobec potęgi, jaką mocarstwa zachodnie przybierają. Tym sposobem intryga ks. Gorczakowa w najlepszych bezwątpienia zamiarach osnuta, całkowicie się nie powiodła <sup>1)</sup>.

Wśród takich to walk, sporów i intryg, hr. Bismarck

<sup>1)</sup> Loc. cit.



nie przestawał dalej rozwijać swych planów, a fantastyczny jego umysł, wobec wojny toczącej się w sąsiedztwie, roił najdziwniejsze projekta, których podstawą zawsze było zdeptanie Polski i wyciągnięcie z powstania możliwych dla Prus korzyści. Zdarzyło się, że w połowie lutego, na jednym z balów dworskich<sup>1)</sup>, wydawanych z powodu odbywających się ówczesnie posiedzeń sejmowych, Bismarck spotkał się z wiceprezydentem izby von Behrendem i rozpoczął z nim rozmowę o kwestyi polskiej, zajmującej wtedy wszystkie umysły i będącej, jak to zaraz zobaczymy, przedmiotem gorących rozpraw w sejmie pruskim. Minister uważszy się nieco na „nierozumną“ opozycję izby w kwestyi polskiej, rzekł ze zwykłą sobie swobodą i pozornem niełiczeniem się ze słowami: „Kwestya polska może być w dwojaki sposób rozstrzygnięta; albo trzeba na wspólną z Rosyą stłumić szybko powstanie i zjawić się wobec państw zachodnich z faktem spełnionym, albo też zezwolić na rozwinięcie się i zaostrenie sytuacji, poczekać aż Rosyanie będą wypędzeni z Królestwa, albo zmuszeni do prośbienia o pomoc. Wówczas należy postąpić śmiało i zająć Królestwo na rzecz Prus. W ciągu trzech lat wszystko tam będzie zniemczone....“ Behrend zdumiony tem zawołał: „Ależ to pogadanka balowa!“ — „Nie, odrzekł Bismarck, o rzeczach poważnych, mówię poważnie. Rosyanom obrzydło Królestwo; sam cesarz Aleksander mówił mi to w Petersburgu. Zresztą możnaby zadowolić nawet samych Polaków, przez utworzenie np. unii personalnej. Wtedy deputowani poznańscy nie zasiadaliby w Berlinie, ale w Warszawie...“

Na tem zakończyły się te osobliwsze zwierzenia, świadczące jak fantastyczne, nie pozbawione przecież pewnej realności w swej osnowie, zamiary snuły się po junierskiej głowie Bismarcka. Wieść o tej rozmowie, której

<sup>1)</sup> N. Berg, Zapiski, II, 468. mówi, że było to na balu u Oubryla, w czem się myli. Zobacz „Koelnische Ztg.“ z d. 22 lutego 1863 r.

Behrend nie trzymał pod korcem, rozbiegła się zaraz po Berlinie, dostała się do dzienników i wszędzie wywołać musiała zdumienie i mnóstwo komentarzy. Któryś z dyplomatów pół żartem, pół seryo zapytał prezesa ministrów pruskich, czy w rzeczy samej myśli o zbrojnym najeździe na Polskę i o nowym jej podziale? Bismarck wszelako, z charakteryzującym go zawsze, ilekroć kłamał, spokojem, odrzekł, że wszystko to są bajki, że Prusy ciągle są podejrzywane o jakieś zamiary zaborcze, że straszą niemi Europę jak wężem morskim, którego nikt nie widział i nie zobaczy nigdy<sup>1)</sup>.

Ale z tem wszystkiem, jakkolwiek Behrend enuncyacye Bismarcka nazwał „pogadanką balową“, prezes ministrów nie przestawał na ten temat snuć nowych pomysłów. Był w Królestwie polskiem szlachcic pruski, pan von Treskow, posiadający dość znaczny majątek Chodów i Strzelce pod Kłodawą, a który żył w ścisłych sąsiedzkich stosunkach z okolicznem ziemiaństwem polskiem. W tej porze właśnie, gdy się wyżej opowiedziana akcyja toczyła około krwią ciekącej Polski, Treskow bawił w Berlinie, i tu dowiedział się, że władze powstańcze nałożyły na niego 3000 rubli podatku narodowego. Jako Niemiec zawsze dbały o swą kieszeń, niezbyt zresztą świetnie stojący pod względem majątkowym, przeraził się tak poważną sumą i udał się z prośbą listowną do jednego z sąsiadów swoich polskich, pana K., a którego podejrzewał o stosunki z Rządem narodowym, i któremu kiedyś, w r. 1848 wyrządził znaczną przysługę, aby postarał się koniecznie o zmniejszenie wysokości owego podatku. Jakoż ów szlachcic polski, którego nazwiska tutaj wymienić nie jesteśmy upoważnieni, w rzeczy samej zrobił tyle, że podatek nałożony na Treskowską, zniżono o  $\frac{1}{3}$ . To w umyśle Treskowskiego zrodziło przekonanie, że ów szlachcic jest bardzo ważną figurą w rządzie powstańczym, a może nawet samym rządem, i właśnie w tej porze, w początkach marca napisał do

<sup>1)</sup> N. Berg, Zapiski II, 469.

Kłodzka

niego list, by przybył koniecznie do Berlina, gdyż tutaj ważne co do Polski agituja się projekta. Ponieważ rze-  
czony szlachcic polski miał i tak jechać do Paryża na Ber-  
lin, więc zatrzymał się w stolicy pruskiej, do Treskowa się  
zgłosił, który go zaprowadził do jednego z wyższych urzę-  
dników ministerjum spraw zagranicznych, jak się zdaje,  
do znanego nam już podsekretarza stanu, p. von Thiele.  
Ten od razu zapytał się szlachcica polskiego: „Czy Polacy  
chcą mieć państwo niepodległe i króla polskiego?“ Na od-  
powiedź szlachcica, że on wprawdzie nie ma od nikogo  
żadnego pełnomocnictwa, i że odpowiada w tej chwili jako  
osoba prywatna, wszelako sądzi, że nie ma takiego Po-  
laka, któryby nie pragnął tych dwóch rzeczy, p. v. Thiele  
rzekł: że państwo polskie mogłoby mieć granice dzisiej-  
szego Królestwa, prócz pewnych skrawków od północy,  
potrzebnych dla sprostowania granic pruskich; że królem  
polskim nie może być ani żaden członek dynastji rosyj-  
skiej, ani też austriackiej, że gdyby do tego przyjsć miało,  
to Prusy „ostatniego pruskiego żołnierza poświęcą“, a na  
to nigdy nie zezwolą. Po cóż wreszcie szukać bogów cu-  
dzych? Wprawdzie Polacy nie mają swej dynastji, ale  
mają stare rody u siebie, spokrewnione z domami królew-  
skimi. Czemużby na tronie polskim nie miał zasiąść książę  
Bogusław Radziwiłł? wszak Radziwiłłowie byli z Jagiello-  
nami spokrewnieni. W końcu p. v. Thiele dodał, że to, co  
mówi w tej chwili ma charakter zupełnie poważny i nie  
mówi on tego od siebie; że jeżeli polski jego interlokutor  
pragnie, to on, p. v. Thiele, wyjedna mu audyencyę u króla  
pruskiego, a ten mu słowem monarszem zaręczy, że Prusy  
w tym kierunku akcyę rozpoczną i rzecz do skutku dopro-  
wadzą. Na to ziemianin nasz odrzekł, że „wprawdzie jest  
Polakiem i szlachcicem polskim, ale polityki na swą rękę  
prowadzić nie chce; że on nie jest nieczym pełnomocni-  
kiem, ani też żadnym dygnitarzem w rządzie powstańczym,  
nie więc decydować nie może. Wszelako jedzie natych-  
miast do Paryża i o wszystkim uwiadomi swych przyja-  
ciół politycznych, a zwłaszcza ks. Czartoryskiego“. Jakoż

szlachcic nasz niezwłocznie udał się do stolicy Francji  
i tam zakomunikował propozycje berlińskie licznym Pola-  
kom, grupującym się koło pałacu Lambert, ale tu w oczy  
mu się śmiano, mówiono z prawdziwie szlachecko-polską  
fanaberyą: „Co tam twój głupi Bismarck!“, wskazywano  
na wielkie zamiary cesarza Francuzów i nie chciano nawet  
słyszeć o Prusakach. Na tem cała rzecz się w tej chwili  
urwała; nie skończyła się ona jednak zupełnie i w rok po-  
tem wypłynęła znów na wierzch w formie odmiennej nieco,  
ale mającej bądź co bądź za podstawę nowy podział Pol-  
ski na rzecz Prus. To bowiem było gruntem projektów  
i pomysłów tak pozornie dziwacznych Bismarcka <sup>1)</sup>.

Tymczasem wśród tych wszystkich zamiarów i burz,  
jakie wywołał hr. Bismarck przez swe wmieszanie się  
w sprawę polską, bodaj czy nie największą wytrzymać  
musiał w sejmie pruskim. Sejm ten w ogromnej swej więk-  
szości zaraz z początku zajął opozycyjne stanowisko wzglę-  
dem nowego prezesa ministrów, którego posadzał o reak-  
cyjne dążności i postanowił wszystko zrobić, by mu się  
dotkliwie dać we znaki, a nawet go obalić. Już na skutek  
proklamacyi generała Waldersee z d. 1 lutego, posłowie  
polscy Kantak, Chłapowski i inni, poparci przez stronni-  
ctwo postępowe niemieckie, wnieśli w d. 7 lutego interpe-  
lacyę do sejmu: „Czy księstwo Poznańskie zostało pod-  
dane i od jakiego czasu prawom wyjątkowym? i czy rząd  
przyjmuje na siebie odpowiedzialność za formę i treść pro-  
klamacyi z d. 1 lutego?“ W d. 16 lutego nastąpiła ze  
strony rządu krótka i stanowcza odpowiedź na tę interpe-  
lacyę, a mianowicie, na pierwsze pytanie: „nie“, a na dru-  
gie „tak“. Przytem hr. Bismarck skorzystał ze sposobności,  
by, jak się wyraził, „zaznaczyć stanowisko rządu, jakie za-

<sup>1)</sup> Całe powyższe opowiadanie opieramy na autentycznej rela-  
cyi owego szlachcica kaliskiego, którego nazwiska, powtarzamy, nie  
jesteśmy upoważnieni tutaj wymienić. Rzecz jednak jest ściśle praw-  
dziwa, a piśmienne dokumenta o niej znajdują się w bibliotece pol-  
skiej w Paryżu.



mierza zająć względem powstania wybuchłego w Polsce". Mówił więc, że powstanie to przybrało rozmiary, sięgające poza granice Królestwa Polskiego; że celem ruchu jest przywrócenie państwa polskiego w granicach dawnej Polski. Gdyby nawet cel ten nie obejmował części terytorium pruskiego, to i tak rząd miałby nie tylko prawo, ale obowiązek zbadać, o ile próby wywrócenia ustalonego przez traktaty stanu rzeczy w państwie sąsiednim, mogą oddziaływać na interesy pruskie i jakiej drogi chwycić się należy, by interesy te ustrzedz od szkody. A ponieważ nie ulega wątpliwości, że urzeczywistnienie celu, do którego powstanie dąży, zagraża jeżeli nie całości terytorium pruskiego, to co najmniej bezpieczeństwu tego państwa, więc obowiązkiem rządu jest przeciwdziałać ruchowi wprzód, nim on przybierze szersze rozmiary. Rząd winien mieć na oku, że powstanie polskie, jakkolwiek wymierzone przeciw władzy państwa sąsiedniego, przez czas swego trwania może zaszkodzić interesom pruskim. Rząd ma w ręku dowody, że robią się przygotowania do powstania na terytorium pruskim i że ruch zbrojny wybuchnie przy pierwszej lepszej przyjaznej okoliczności, co, jak wiemy, było najwierutniejszym kłamstwem. Wprawdzie minister, słodząc pigułkę, dodał, że rząd liczy na wierność i poczucie porządku w ogromnej większości swych polskich poddanych, ale i w Królestwie polskim bardzo mała liczba mieszczan i chłopów wzięła udział w ruchu. Twierdził, że powstanie wywołała szlachta i duchowieństwo; wiemy dobrze, że to nie było prawdą. Oskarżał powstańców o nieład i rabunki, co także należało do najoczywistszych zmyśleń i zakończył, że jakkolwiek taki stan i w takich rozmiarach jest niemożliwy w państwie pruskim, wszelako obowiązkiem władzy jest ustrzedz swych poddanych od niebezpieczeństw i klęsk, jakie im zagrażają w razie, gdyby ulegli namowom; i rząd zdecydowany jest na wypadek zakłócenia spokoju, użyć wszelkich środków, jakie posiada, dla przywrócenia porządku.

Ale stronnictwo liberalne sejmu nie mogło poprzestać

na tej odpowiedzi. Już w dwa dni potem, d. 18 lutego, posłowie Schulze i v. Carlowitz wniosli nową interpelację: czy konwencja została zawarta między rządem królewskim a gabinetem cesarskim rosyjskim w celu stłumienia powstania polskiego? i jeżeli tak jest, to jaka jest osnowa tej konwencji? Minister v. Bismarck uznał pytanie to za nietaktowne i odmówił wszelkiej odpowiedzi. To wywołało burzę w izbie i na wniosek posła Parrisiusa postanowiono rozpocząć rozprawy nad tą kwestyą, gdyż „jest ona tak ważną, że opinia izby co do niej winna być znaną i ściśle określoną". Izba zgodziła się na to i posel Unruh, jeden z przewodników stronnictwa liberalnego, wystąpił z mową, w której zaznaczył, że Prusy w tej chwili mobilizują połowę swych sił wojennych, że taki krok niczem nie jest usprawiedliwiony, że Rosya jest wrogiem Prus, że nigdy nie chciała zezwolić na rozrost ich potęgi; że największym błędem statystów pruskich było to, że interesy własnego państwa czynili zależnymi od interesów Rosyi; że takie stanowisko Prus w obecnej chwili może wywołać nieporozumienia z Francją i Anglią, że rząd w zamiarze przywrócenia absolutyzmu stara się o wywołanie konfliktu zagranicznego dla pozbycia się kłopotów wewnętrznych. Mówca zakończył swą mowę słowami, że „jeżeli taka polityka zaczepna leży w planach rządu, to izba nie da na to ani jednego talara". Pan Bismarck miał pierwotnie widoczny zamiar nie odpowiadać na zaczepki izby. Ale mowa Unruha dotknęła do żywego tę krewką naturę, tego zapalonego myśliwca po lasach pomorskich i typowego bursza niemieckiego. Z właściwą sobie dokuczliwą ironią rozpoczął od tego, że zachwycony byłby, gdyby mógł brać lekcje polityki pruskiej od p. Unruha, ale prosi go, by one odbywały się na osobności, a przynajmniej nie w tak publicznem jak izba sejmowa miejscu. Zaprzeczył, by jakkolwiek część armii była uruchomiona, że ani jednego konia nie dano kawalerji i artylerji, że ograniczono się tylko na powołaniu rezerw piechoty; wszelako trudno przewidzieć, jakie rozmiary przybierze powstanie polskie, że, we-

dług niego, lepiej wydać kilkakset tysięcy talarów, niż czekać, ażeby setki lub tysiące obywateli pruskich znalazło się w tem położeniu, w jakim znajduje się dziś większa część poddanych rosyjskich. W końcu oświadczył, że idzie tu głównie tylko o obronę owych obywateli pruskich, a nie o Rosyę; że Rosya słusznie prowadzi swoją, rosyjską politykę, ale czy niepodległa Polska, jeżeli jej się uda na miejsce Rosyi ustalić w Warszawie, będzie prowadziła pruską politykę? czy zostanie wiernym sprzymierzeńcem Prus przeciw obcym mocarstwom? czy postara się o utrzymanie w rękach pruskich Poznania i Gdańska? Zaznaczył, że żadne z państw nie groziło, ani też nie dawało rad Prusom w kwestyi ich postawy względem powstania polskiego<sup>1)</sup>, co jak wiemy, nie było prawdą. Bądź co bądź Carlowitz przedstawił izbie projekt do rezolucyi tej treści: „Interes Prus wymaga, żeby rząd królewski wobec wybuchłego w Królestwie Polskiem powstania, ani rządowi rosyjskiemu, ani powstańcom żadnej pomocy lub poparcia nie udzielał, a zatem żeby nie pozwalał żadnej ze stron walczących przekraczać granicy pruskiej bez uprzedniego rozbrojenia“.

Rezolucya ta była najwyraźniwszem i najbardziej stanowczem potępieniem konwencji z d. 8 lutego, to też obie strony, tak sejm jak i rząd gotował się do upartej o to walki. Walkę tę stoczono na sesyi d. 26 lutego, walkę, która właściwie nie miała już celu, gdyż o tej porze konwencyę uważać należy za nieistniejącą i niebyłą. za „literę martwą“ (jak się sam Bismarck wyraził) wobec niechęci Gorczakowa i W. ks. Konstantego i niepokoju, jaki ona wywołała w Europie zachodniej. Izbie atoli nie szło teraz o konwencyę, ale o obalenie nienawistnego ministra, a Polska i jej sprawa miała być polem starcia obojętnych nam zresztą stronnictw. Umotywowanie rzeczonyj rezolucyi wziął na siebie Henryk von Sybel, późniejszy dyrektor archiwum państwowego pruskiego i głośny historyk-pane-

<sup>1)</sup> *Filip Stein, Fürst Bismarck's Reden II. 73.*

giryta założenia państwa niemieckiego. Twierdził on, że interwencya Prus w sprawie zupełnie im obcej, niczem nie jest usprawiedliwiona, że „zawarto konwencyę, jak gdyby nie istniało żadne mocarstwo na świecie, jak gdyby oprócz naszego (pruskiego) i rosyjskiego ministerium nikt inny nie żył na kuli ziemskiej, ktoby się o tak ważną kwestyę europejską troszczył“; a wszystko to zrobiono w tem przewidywaniu, że „kiedyś, w bliższej lub dalszej przyszłości, w każdym razie przy zbiegu całego szeregu dotąd nieprawdopodobnych okoliczności, ma powstać nowe państwo polskie, groźne dla nas“; przytoczył zdanie statysty angielskiego Edmunda Burke, że „niema nic niebezpieczniejszego, gdy wyższa polityka naśladuje postępowanie mleczarki z bajki“. „Z onych band powstańczych, mówił Sybel, które w lasach sandomierskich się włóczą, może się utworzyć armia zwycięska, ta może wywalczyć znaczne korzyści, może całą Polskę i Wołyń i Litwę zagarnąć i stary tron Jagiellonów przywrócić, może nakoniec z jednej strony zagrozić Kijowu, z drugiej Gdańskowi i przy wszystkich tych fantazyach rząd pruski jak owa mleczarka, podskakuje z rozpaczy i wpada w bagno, które jest głębsze niż wszystkie błota Polski“<sup>1)</sup>. Jednem słowem, potępiał zupełnie postępowanie ministerium, postępowanie, które cały ciężar odpowiedzialności może zwalić z karku rosyjskiego na pruski, może Prusy pokłócić z Austryą i rzucić ją w objęcia mocarstw zachodnich, bez żadnej korzyści dla Prus.

Niemniej ostro, z uczoną podkładką historyczną, z powołaniem się na niektóre ustępy słynnego listu Wielopolskiego do ks. Metternicha, potępił konwencyę i wogóle postawę Prus względem powstania, głośny dziejopis Polski piastowskiej, Dr. Roeppel. Utrzymywał on, że jedynym prawdziwym interesem Prus odnośnie do ruchu polskiego,

<sup>1)</sup> „Stenographische Berichte des preussischen Abgeordneten-hauses betreffend den in Koenigreich Polen aufgebrochenen Auf-stand“ p. 11.



jest zachowanie ścisłej neutralności; zbijał twierdzenie jakoby powstanie myślało o odzyskaniu zaboru pruskiego. „Możliwem jest, mówił, że pewne szalone głowy, jakbym je nazwał, takie zamiary mają, ale w ogólności plan taki nie istnieje. Byłoby to zaudto głupiem, żeby Polacy chcieli sobie odrazu zwać na kark Austryę i Prusy“; zapewniał, że niezależna Polska mniej jest niebezpieczną dla Prus, jak silna Rosya, że taki naród jak Polski nie umiera; że prawie od stu lat odebrano mu egzystencyę polityczną, a on nie umarł. „Któż z nas, wołał, z ręką na sercu zaprzeczyć może temu, że on umrzeć nie chce, że dopóki jedno tchnienie samowiedzy narodowej w nim istnieje, będzie walczył i dążył do odzyskania swej niepodległości, która, przynajmniej to wszyscy, jest jedynem polem, na którem rzeczywiście zdrowy rozwój narodowy może się rozrastać“; bronił nakoniec Polaków od oskarżenia, jakoby nie byli zdolni do utrzymania bytu państwowego, a bronił fundamentalnie na przykładach historycznych<sup>1)</sup>.

Na te i inne mowy odpowiedział najprzód hr. Eulenburg, minister spraw wewnętrznych i bronił rząd od zarzutu, że treści konwencji izbie nie przedstawił, bo „nie uważał tego za potrzebne“; następnie mówił o podniesionej przez jednego z mówców sprawie, wydania w ręce rosyjskie w Toruniu, czterech Polaków, poddanych rosyjskich. „Okazało się, mówił, że czterech Polaków, nie posiadających paszportów, zostało na dworcu kolejowym w Toruniu zatrzymanych. Ponieważ nie mieli oni żadnych innych dokumentów jak stare, wyekspirowane paszporta rosyjskie i ponieważ nie było powodu więzić ich dłużej, więc na mocy kartelu zostali za granicę rosyjską wydalen“<sup>2)</sup>. Wreszcie wystąpił z mową sam Bismarck, mową nadzwyczaj gwałtowną i drażniącą, zaprawioną właściwą mu zjadliwością i szyderstwem. Rozpoczął od tego, że wcale się nie dziwi, że deputowani polscy skorzystali ze sposobności,

<sup>1)</sup> Loc. cit. 27—34.

<sup>2)</sup> Loc. cit. 35.

ażebym dać wyraz swym antipruskim dążnościom, ale dziwnem jest, że interpelacyę frakcyi polskiej podpisali deputowani niemieccy. „Skłonność entuzjazmowania się dla obcych aspiracyi narodowych, wołał, nawet wtedy, gdy te mogą być urzeczywistnione kosztem własnej ojczyzny, jest chorobą polityczną, której rozciągłość geograficzna ogranicza się, niestety, na Niemcach!“ Zaznaczył w dalszym ciągu, że przez interpelacyę Kantaka i Chłapowskiego, popartą przez posłów niemieckich, domagano się od rządu, ażebym „toczące się pertraktacye w kwestyi europejskiej trudnej i palącej, wydał na pastwę publiczności europejskiej“. Rząd więc królewski zmuszony jest, ze względu na interes państwa, interpelacyę odrzucić. Rozbierał następnie słowa niektórych mówców. „Deputowany von Unruh oświadczył wśród waszych oklasków, bardzo żywych oklasków, że jeżeli z powodu zarządzeń, jakie władza ze względu na zabezpieczenie naszych granic i naszych interesów przedsięwzięła, powstaną zakłócenia zewnętrzne, to on odmówi królowi środków do obrony kraju. To znaczy wołać do cudzoziemców: „Chodźcie, chwila jest przyjazna, Prusy...“ Nie skończył, gdyż w izbie rozległy się okrzyki oburzenia, które Bismarck powitał zjadliwemi i palącemi słowami: „Cieszę się, że jeszcze możecie się oburzać“. Ale na te słowa powstała wrzawa, wołano: „do porządku!“ wskutek czego wywiązała się żywa dyskusya między wiceprezydentem Izby Behrendem a Bismarckiem, który twierdził, że nie ulega dyscyplinarnej władzy prezydującego w izbie, ten zaś zagroził zamknięciem sesyi, jeżeli pan minister będzie używał słów drażniących. Bismarck, ciągnąc dalej swą mowę, zauważył, że dążności, słowa i nazwiska z r. 1848 znowu na scenę występują. „Rewolucya europejska jest solidarną we wszystkich krajach i jest rzeczą naturalną, że ruch w Polsce, przygotowany przy pomocy Mazziniego, a wykonany przy współudziale Mierosławskiego, że taki ruch znajduje poparcie wszystkich żywiołów rewolucyjnych Europy“; że w takich warunkach przyjęcie przez izbę proponowanej rezolucyi będzie dowodem jej sympatyi

dla powstania polskiego. Nieprawdą jest jakoby interes Prus tego wymagał, gdyż „dla Prus pożądanym jest sąsiedztwo cesarza Aleksandra jak Mierosławskiego i propagandy polskiej“, że „sympatye humanitarne mogą się mieć, gdzie im się żywnie podoba, ale interesów pruskich zgodnie z koniecznością polityczną, zgodnie z rozwojem historycznym Prus, nie można szukać w obozie powstańczym“. Przechodząc następnie do głównego przedmiotu, do konwencji zawartej z Rosyą, tego „węza morskiego prasy europejskiej“, zaznaczył, że „przy pomocy sztucznych dowodów prawnych, opartych na kłamstwach dziennikarskich i telegramach o rozprawach w parlamentach zagranicznych“ twierdzą, jakoby „szlak, obejmujący 500 mil kwadratowych, wydany został na pastwę okropności rosyjskiego sposobu prowadzenia wojny“. Ale cała ta „idea szlaku“ jest fantazją, jest próżnym wymysłem. „Umowa, którąśmy zawarli dla ochrony naszych interesów sąsiedzkich, zabezpiecza Prusy zupełnie od niebezpieczeństwa takiej wojny pogranicznej. Według tej umowy, wszelkie przekroczenie granicy, tak przez wojska rosyjskie, jak i pruskie, zależnem jest zupełnie od nas samych. Dotąd takie przejście granicy się nie przytrafiło i prawdopodobnie się nie przytrafi, gdyż powstanie nie rozwija się tak szczególnie, jak tego z wielu stron się spodziewano, a z wielu innych obawiano. Tymczasem umowa ta i inne nasze zarządzenia miały ten szczęśliwy skutek, że życie i własność naszego pogranicza została osłonią, oraz to także, że powstanie polskie swe pierwotne obozowiska, założone tuż przy granicy pruskiej, przeniosło w głąb kraju“. Jeżeli konwencya wywarła ujemne wrażenie za granicą, to temu winna trybuna sejmowa pruska i dziennikarstwo pruskie, które źle i przewrotnie podało treść konwencji. Gdyby ona w rzeczy samej była taka, jak ją przedstawia prasa i mowy deputowanych, to oburzenie mocarstw cudzoziemskich na Prusy byłoby słusznem. Ta „walka z wiatrakami“, jaką rządowi wytoczyła izba, nie będzie miała żadnego skutku i jeżeli jej celem było wprawienie rządu w kłopot,

to cel ten został zupełnie chybiony. „Mamy to silne przekonanie, zakończył Bismarck swą mowę, że spełniliśmy nasz obowiązek włożony na nas przez interes kraju i przekonanie to nie zostanie zachwiane, jeżeli przyjmiecie rezolucyę i zmusicie nas do uwiadomienia kraju, że wzięliście stronę powstania polskiego“<sup>1)</sup>.

Rozprawy w kwestyi konwencji toczyły się jeszcze przez dwa dni, 27 i 28 lutego. Deputowany brodnicki (Strasburg) pan von Hennig, przytoczył parę wypadków ze swych okolic przekroczenia granicy przez wojska pruskie, mianowicie, że w nocy z 18 na 19 lutego, dowodzący wojskiem rosyjskiem w Dobrzyniu nad Drwęcą, major Deneker, na wiadomość, że powstańcy się tam zbliżają, wezwał na pomoc kompanię 8-go pułku piechoty pruskiej, pod dowództwem kapitana Tydewitza, który wkroczył do Dobrzynia i stanął przed tamtejszą komorą. Nazajutrz przybyło do Dobrzynia jeszcze 20 ułanów pruskich i w połączeniu z plutonem piechoty odbyło rekonesans aż do młyna Zaremby, o pół mili od miasteczka odległego. W d. 21 lutego znowu, pewna liczba kozaków bez żadnego powodu wkroczyła do Prus pod wsią Luisenfelde, w okręgu Inowrocławskim, zwiedziła kilka wsi i powróciła do Polski. Wiadomości te wielkie wrażenie wywarły na izbę, rozprawy były coraz gorętsze, tak że w końcu sejm ogromną większością 246 głosów przeciw 57 przyjął rezolucyę, zaproponowaną przez deputowanego Bockun-Doltisa, tej treści: „Izba deputowanych oświadcza, że interes Prus wymaga, ażeby rząd królewski wobec powstania, wybuchłego w Królestwie Polskiem, żadnej ze stron walczących nie udzielał ani pomocy, ani ułatwień, oraz aby nie pozwalał zbrojnym przekraczać granicy pruskiej bez natychmiastowego rozbrojenia“<sup>2)</sup>.

Było to więc stanowcze potępienie konwencji, której zniesienia domagał się nie tylko sejm pruski, ale nawet kor-

<sup>1)</sup> Loc. cit. 45—51.

<sup>2)</sup> Loc. cit. 230.



porady handlowe, zagrożone w swych interesach przez wystąpienie Bismarcka przeciw Polsce. W d. 20 lutego korporacja handlarzy budulcem w Szczecinie wystąpiła do ministra handlu z gorącym protestem przeciw konwencji. Utrzymywała ona, że kupcy drzewa i zboża zaangażowali znaczne sumy, miliony talarów wynoszące, w Polsce, których strata byłaby wielką klęską dla poddanych pruskich. Niemniej znaczna ilość właścicieli t. z. „berlinek“ znajduje się ze swymi statkami na Wiśle w granicach Królestwa Polskiego i że zatem zagraża im poważne niebezpieczeństwo. „Uważając ekscelencyę, kończą swój memoriał kupcy szczecińscy, za naszego obrońcę naturalnego, staraliśmy się przedstawić mu niebezpieczeństwo, na jakie jest narażone życie i własność poddanych pruskich w granicach Królestwa Polskiego i zwrócić uwagę pańską, że kwestya ta ma znaczenie równie wielkie, a z punktu widzenia pieniężnego doniosłość o wiele większą, niż interesa pograniczne“<sup>1)</sup>. Dzięki tym wszystkim wystąpieniom, tej ogólnej reprobacyi tak zewnętrznej jak i wewnętrznej, konwencya pruska stała się w rzeczy samej martwą literą, choć skutki jej boleśnie odbić się miały na losach Polski, która w tej grze najróżnorodniejszych interesów, ścierających się na wielkiej szachownicy europejskiej, miała się, jak zwykle, stać ofiarą i koszta sporów cudzych zapłacić krwią najlepszą swych dzieci i niedolą kilku następnych pokoleń.

Takie było ogólne położenie w Europie, zapowiadające, według wszelkich ludzkich przewidywań, bardzo ważne wypadki, gdy w Polsce rzeczy szły dalej koleją, na którą raz wstąpiły. Sama Warszawa pozornie w niczem nie zmieniła swej zewnętrznej fizyognomii; oprócz niektórych obostrzeń policyjnych, wszystko tu po dawnemu pozostało. Wprawdzie obiegały co chwila pogłoski, zwłaszcza w początkach lutego, że powstanie wybuchnie w Warszawie, naznaczano je nawet na dzień 27 lutego, jako w rocznicę

<sup>1)</sup> Memoriał ten czytać można w całości w dziele „La Pologne et la diplomatie“ 94.

bitwy Grochowskiej<sup>1)</sup>. Obawiano się powszechnie, że wśród ludności warszawskiej, a zwłaszcza wśród organizacyi powstańczej, może się znaleźć pewna grupa szaleńców, którzy gotowi są wywołać rozruchy, spowodować przez to rozlew krwi na ulicach Warszawy, w tym jedynie celu, by mieć powód do skarg przed Europą na barbarzyństwo i okrucieństwo rządu rosyjskiego. Inni znowu, zgorzkniali w swej nienawiści do tego rządu, głośno utrzymywali, że, jeżeli wybuchną w mieście jakie zaburzenia, to ich bezpośrednim powodem będzie rząd sam, który pragnie przez rzeź powszechną pozbyć się za jednym zamachem wszystkich swych przeciwników<sup>2)</sup>. Że partya wojskowa, partya Ramsayowska, mogła żywić takie pragnienia, nikt sprzeczać się nie będzie, ale dopóki W. książę Konstanty rezydował i rządził w Warszawie, były to tylko pobożne życzenia. Bądź co bądź, w obawie możliwych zaburzeń, baron Korf, dowódca gwardyi, a zarazem naczelnik wojenny warszawski, z rozkazu W. ks. namiestnika, wydał w dniu 16 lutego rozporządzenie, „dla (jak się wyraził) większego zapewnienia spokojności i bezpieczeństwa w mieście Warszawie i dla zapobieżenia zgubnym następstwom, mogącym wyniknąć z jakichbądź pokuszeń osób źle myślących, usiłujących szczególnie trwożyć mieszkańców“. Ponowiono więc jak najsurowiej zakaz posiadania broni tak palnej jak i siecznej i polecono, ażeby ci, którzy dotąd broń posiadają, bezwarunkowo w ciągu 48 godzin złożyli ją do miejscowego cyrkułu i takie osoby nie będą pociągane do odpowiedzialności; zagrożono sądem doraźnym polowym wszystkim tym, którzyby rozszerzali lub przechowywali jakie plakaty rewolucyjne lub odezwy. Na ulicę zabroniono wychodzić po godz. 10 wieczorem, a od godz. 7 wszyscy winni mieć latarki zapalone; gdyby który z domów w mieście był zajęty „przez buntowników“, lub też strzelano zeń do wojska, taki dom niezwłocznie przez artyleryę zbu-

<sup>1)</sup> Depesza Stanton („La Pologne et la diplomatie“, 57).

<sup>2)</sup> Loc. cit.

rzony zostanie. W końcu Korf w swej zawilej i nieudolnej stylizacji, wzywał wszystkich mieszkańców „aby nie uwodzili się i nie niepokoili wieściami trwożącymi, rozszerzanymi w złych zamiarach“, że „przedsięwzięto wszystkie środki dla energicznego stłumienia wszelkich pokuszeń do zaburzeń i buntu“, że „wojska, zawsze gotowe do stanowczych działań przeciw burzycielom porządku społecznego, potrafią wypełnić i drugi swój obowiązek, przez ochrania- nie życia i własności spokojnych mieszkańców“<sup>1)</sup>.

Te surowe rozkazy mocno się nie podobały tym, którzy stali wtedy na czele organizacji powstańczej w Warszawie. Jak wiemy Tymczasowego Rządu narodowego nie było w stolicy polskiej. W parę dni po wybuchu powstania wyjechał on do Kutna, oczekując tam na przybycie dyktatora Mierosławskiego, tak że w Warszawie został jeden tylko Stefan Bobrowski, jako Naczelnik miasta, i ze swym pomocnikiem Włodzimierzem Lempkem, stanowili oni w tej chwili jedyną i najwyższą władzę powstańczą. Położenie ich było nie do pozazdroszczenia. Po odjeździe Rządu w kasie znaleźli 500 złp. a tu trzeba było wszystko stwarzać, okazywać na zewnątrz siłę i sprężystość, udawać przed krajem, przed organizacją i nieprzyjacielem, że rząd istnieje, rząd potężny i energiczny. Jakoż obaj pełni jeszcze młodzieńczego zapału i nadzwyczajnej energii, podsypanej nieopatrzną, ale fanatyczną miłością kraju, nie stracili wcale odwagi, na wszystko się porywali i wszystkiego dokonywali, jak Bóg biblijny wywodząc świat powstańczy z niczego. Organizację miejską, mocno zachwianą i rozprężoną przez brankę i przez wyjście do puszczy Kampinoskiej, zdołali na nowo wzmocnić i związać tak silnie, że przetrwała wszystkie burze i wszystkie ciosy przez cały czas powstania. Pomimo braku pieniędzy, pomimo nadzwyczajnej czujności policji rządowej, zdołali oni urządzić drukarnię tajną, w której odbijali ogniste odezwy i pi-

<sup>1)</sup> Odezwę tę w całości czytać można w „Dzienniku powszechnym“ Nr. 37 z r. 1863.

semko peryodyczne p. t. „Wiadomości z pola bitwy“<sup>1)</sup>, którego redaktor Agaton Giller<sup>2)</sup>, długo i szeroko opowiadał o zwycięstwach polskich; наконец wydawali „Rozkazy Naczelnika miasta“. W jednym z numerów tych ostatnich<sup>3)</sup>, w odpowiedzi na rozporządzenie generała Korfa co do składania broni, Naczelnik powstańczy miasta, jak najsurowiej zakazuje wykonywania tego rozporządzenia; wobec jednak tego, że „wielu znajdować się może w niebezpieczeństwie dostrzeżenia posiadanej broni przez szpiegów, i w niemożności przechowania jej nadal“, poleca, ażeby ją składano na ręce osób, przez Naczelnika miasta do tego upoważnionych. Właścicielom lub rządcom domów zagrożono karą śmierci, gdyby donosili władzom rosyjskim o broni, znajdującej się w ich domach. W końcu ostrzega konsulów państw zagranicznych, że w razie „wybryków swawoli żołdackiej“, wszelkie krzywdy, jakieby stąd ponieść mogli, spadają na rząd rosyjski.

Rozkazy takie i tym podobne ciągle się powtarzały, świadcząc o wzroście nienawiści przeciw rządowi, i wojna ta powoli poczęła przybierać charakter eksterminacyjny. Żołnierze, zwłaszcza rosyjscy, przy rozluźnionej mocno kar- ności, przy braku zaufania do swych oficerów, których podejrzewali o zdradę, dopuszczali się najstraszliwszych nie- raz gwałtów, jak tego parę przykładów wyżej przytoczy- liśmy, a już rzeczą bardzo powszednią się stało dobijanie rannych powstańców na pobojuwiskach, okrutne nieraz pastwienie się nad nimi. Doszło w końcu do tego, że na- padano na siedziby spokojnych mieszkańców, jak tego roz- głosnym dowodem stał się gwałt krwawy, jakiego dopuściło się żołdactwo rosyjskie na domu jednego z najpoważniej- szych obywateli kraju, na wysokim wspólnie dygnita-

<sup>1)</sup> Pierwszy numer tego piśmka, ukazał się dnia 10 lutego 1863 r.

<sup>2)</sup> A. Giller, *Historja I*, 54.

<sup>3)</sup> Rozkaz dzienny Naczelnika miasta Nr. 5, z dnia 21 lutego 1863 r.



rze krajowym, bo członku Rady stanu, hr. Leopoldzie Poletyllu. Działo się to d. 12 lutego; w dniu tym. w pałacu w Wojsławicach, majątku Poletylli, leżącym przy drodze bitej z Krasnegostawu do Hrubieszowa, zebrało się kilku przyjaciół, z powodu imienin najstarszego synka hrabiego. Był więc tam p. Tytus Wojciechowski, właściciel Poturzyna, radca Komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego, jeden z najwybitniejszych ziemian tej epoki, wraz z synem Józefem; był Walenty Dunin, b. pułkownik grenadyerów gwardyi polskiej, z żoną; był nakoniec major gwardyi napoleońskiej Kunn. Wszyscy ci panowie po skończonym obiedzie siedzieli przy kawie, paląc cygara, gdy o godz. 3½ po południu, radca majątku Salkowski doniósł, że oddział wojsk rosyjskich, złożony z trzech kompanii piechoty, szwadronu ułanów, dwóch dział artyleryi polowej i kilkunastu kozaków, odbywszy rewizję we dworze sąsiedniej wsi Rakolupy, należącej do brata hr. Poletylli, maszeruje ku Wojsławicom i stanie tu wkrótce. Na wieść o tem Poletyllu, chcąc uniknąć zawsze nieprzyjemnego spotkania z wojskiem rosyjskiem, chciał wyjechać, ale Dunin i Kunn, dwaj starzy żołnierze, oświadczyli, że przecież jest to armia regularna, dowodzona przez oficerów ucywilizowanych, że zatem nie ma się czego obawiać, zwłaszcza, że rewizya nie wykryć nie zdoła, gdyż Poletyllu należał do stronnictwa Białych i w sposób jak najbardziej stanowczy potępiał powstanie. Zapewniali więc, że zbliżający się oddział, odbywszy rewizję, spokojnie się oddali<sup>1)</sup>. Nagle, wśród tej rozmowy usłyszano huk dwóch strzałów armatnich, które dowódzca oddziału rosyjskiego, podpułkownik Sakownin, słynny pijak i hulaka, kazał wymierzyć do miasteczka Wojsławic, oddalonego nieco od pałacu. Strzały te zabiły cztery osoby w mieście, kilka zraniły i wywołały nieopisany popłoch. Popłoch ten przeniósł się do pałacu, gdyż z okien jego ujrzano piechotę, rozsypu-

<sup>1)</sup> Raport pułkownika Stanton'a z d. 23 lutego („La Pologne et la diplomatie“, 102).

jącą się w tyraliery, którzy, posuwając się naprzód, rozpoczęli ogień. Za tyralierami maszerowała w bojowej kolumnie reszta piechoty. Zbliżywszy się na 150 kroków, dwa działa wyjechały na czoło i widać było przy nich oficerów, podczas gdy piechota wpadła na dziedziniec pałacowy i poczęła kolbami rozbijać drzwi i okna. Hr. Poletyllu dwukrotnie zamierzał wyjść przed dom, ale za każdym razem wstrzymywał go od tego kroku Wojciechowski, zwracając mu uwagę, że nie ma z kim mówić, gdyż oficerowie trzymają się z daleka, a żołdactwo widocznie jest pijane. Wśród tego wszystkiego żołnierze wyłamali drzwi i okna i poczęli przez nie strzelać do wnętrza, poczem wdarli się do sieni i tu bagnetami uderzyli na bezbronną służbę. Sam Poletyllu wobec tego, przekonany o nieuniknionej śmierci, pobiegł do swych dzieci, gdzie z panią Duninową i służbą żeńską się zamknął, a żołdactwo tymczasem hulało po swemu w pałacu. Młody Józef Wojciechowski, trafiony kulą, padł na miejscu; major Kunn i pułkownik Dunin ciężko poranieni, zostali jako jeńcy wojenni zaprowadzeni przed komendanta tej istnej bandy rozbójniczej. Gdy Kunn prosił, by go opatrzono, gdyż tracił wiele krwi, Sakownin odrzekł, że wprawdzie ma w oddziale lekarza i felczerów, ale tylko dla żołnierzy, nie zaś dla wrogów narodu rosyjskiego, i w dzikiem uniesieniu ciał nieszczęśliwego starca, który przed laty w tryumfalnym pochodzie bohatera wieku zdeptał całą Europę, szablą przez głowę. Pułkownik Dunin, człowiek siedemdziesięcioletni, ciężko poraniony, przywleczony przed Sakownina, zawołał z oburzeniem, że napad na bezbronnych hańbi honor wojskowy, na co dowódzca rosyjski odrzekł, że do wojska strzelano z pałacu, że był to tylko odwet. Dunin oświadczył, że to jest niegodne kłamstwo, że on jako pułkownik grenadyerów gwardyi, jako adjutant generała Żymirskiego, przysięga na swe siwe włosy, że nikt nie strzelał, że w całym pałacu nie ma ani jednej sztuki broni palnej, co jednak nie przekonało Sakownina, gdyż odrzekł spokojnie, że tak było, gdyż do niego samego z odległości dwudziestu kroków strzelono.

Trudne były rozprawy z tym, na pół dzikim i oszalałym żołdakiem, otoczonym tłuszcą na pół pijaną i rozdrażnioną zapachem krwi i grabieży. Pałac bowiem zrabowano zupełnie; meble, zwierciadła, porcelany potłuczono na szczątki, bieliznę podarto na szmaty. Skradziono klejnoty żony właściciela; z kieszeni pułkownika Dunina żołnierz jakiś wyrwał pugilares z 1200 złp.; jednej ze służących zabrano 3000 złp. w listach zastawnych, długoletnie jej oszczędności; oficyaliście Grochowskiemu 12.000 złp. w takichże papierach; obrazy, kosztowności, suknie pokradziono. Sam Poletyło z dziećmi i kobietami cudem prawie ocalał, gdyż do pokoju, w którym się znajdował, oczekując śmierci nieuniknionej, żaden z rabusiów nie zajrzał. W ogóle zabito 6 osób; cztery w miasteczku, dwie w pałacu (młody Wojciechowski i służący); dziewięć osób ciężko poraniono<sup>1)</sup>. Sakownin, dopełniwszy tego bohaterskiego czynu, wyruszył do Krasnostawu<sup>2)</sup>.

Wieść o tym strasznym gwałcie, o tej formalnej rzezi, niczem nieusprawiedliwionej, piorunem, rzec można, rozbiegła się po kraju, wywołując wszędzie głębokie i słuszne oburzenie. Sam hr. Poletyło pośpieszył do Warszawy, by zanieść skargę przed W. ks. Konstantego, że dom spokojnego obywatela, wysokiego dygnitarza, członka nieomal rządu krajowego, nie może być bezpieczny. W. książę nakazał śledztwo i współcześnie d. 14 lutego wydał rozkaz do wszystkich naczelników wojennych, „aby surowo przestrzegali postępowania szeregowców i utrzymywali najciślej karność“; polecał, by każdego, kto „okaże się winnym rabunkn, albo względem mieszkańców, nie biorących udziału w buncie, dopuści się czynów gwałtownych“, karano według praw polowych<sup>3)</sup>. Rozkaz ten, tak wymowny

<sup>1)</sup> Pułkownik Dunin w kilka miesięcy później zmarł z ran w Lublinie (*Z. Kolumna, Pamiątka*, II, 62).

<sup>2)</sup> Raport Stantona, loc. cit. „Wiad. z pola bitwy“ Nr. 4.

<sup>3)</sup> Rozkaz ten w całości czytać można w „Dzienniku powszechnym“ Nr. 37 z r. 1863.

w swej osnowie, był najlepszym niejako dowodem, że władza najwyższa w kraju uznawała wypadki Wojsławickie za gwałt i bezprawie. Mimo to śledztwo, dzięki skrytej opozycji stronnictwa wojskowego, które pochwalało czyn Sakownina, które w takim sposobie prowadzenia wojny widziało możność osiągnięcia swych celów, i dlatego wszelkimi siłami broniło niegodnego swego członka, nie doprowadziło do niczego. Sprawa Wojsławicka, zajmująca żywo przez parę dni umysły, wobec nowych wypadków, zachodzących nieomal co godzina, zeszła powoli na plan drugi i w końcu zupełnie zapomnianą została. A żołdactwo tymczasem hulało po dawnemu. Zdarzały się liczne wypadki, że lekarz wezwany do rannego powstańca, ksiądz udzielający ostatniej absolucyi konającemu wojownikowi polskiemu, bywał przez zdziczałych żołnierzy aresztowany, traktowany jak najgorzej, nieraz nawet życiem musiał przypłacić spełnianie swych świętych obowiązków. Wywoływało to tak wielkie i tak słuszne oburzenie powszechne, że W. książę zmuszony był ogłosić w urzędowym „Dzienniku powszechnym“, d. 1 marca<sup>1)</sup>, że „proste niesienie pomocy religijnej i lekarskiej osobom rannym, bandy powstańcze opuszczającym, będące ze strony duchownych i lekarzy spełnieniem obowiązków ich powołania, żadnej na nich odpowiedzialności względem władzy nie ściąga“. Objaśnienie to jednak pozostało objaśnieniem na papierze, w rzeczywistości zaś biada było księdzu lub lekarzowi, schwytanemu obok rannego lub umierającego powstańca. Już w parę tygodni po wydaniu tego „objaśnienia“ (tak je urzędownie nazwano), żołnierze rosyjscy zamordowali na pobojoisku pod Grochowiskami ks. Antoniego Majewskiego, Bernardyna z Karczówki pod Kielcami, słuchającego spowiedzi rannych, ubranego w komżę i stulę, a więc omyłka co do jego powołania była niemożliwą<sup>2)</sup>. A ileż to było takich faktów, o których wieść na zawsze zaginęła! Dobijanie

<sup>1)</sup> Nr. 18 z r. 1863 (dodatek nadzwyczajny).

<sup>2)</sup> „Wiadom. z pola bitwy“ Nr. 8. *Z. Kolumna, Pamiątka* II, 165.



rannych na placu boju w sposób najokrutniejszy, barbarzyńskie nad nimi pastwienie się przez żołnierza rosyjskiego, obdzieranie ich do naga i porzucanie w takim stanie na śniegu, deszczu i mrozie, było rzeczą zwyczajną. Trzeba też było ze strony powstańców polskich nie lada heroizmu, nie lada poświęcenia i entuzjazmu, by w takich warunkach stawać do walki, bić się nieraz dobrze i uparcie bez nadziei zwycięstwa i z tem przekonaniem, że najłżejsza rana to śmierć niechybna i męczeńska. Wszystko to nadawało tej wojnie charakter dziki i okrutny. Cechę wyćpienia bez miłosierdzia i bez przebaczenia.

To też oddawna w kołach powstańczych domagano się zmiany dotychczasowego postępowania względem jeńców, i w ogóle względem wszystkich wojskowych rosyjskich, walczących z powstaniem. Dotąd, zgodnie z marzyielskim przekonaniem, że armię rosyjską uda się pozyskać dla idei wolności, jaką reprezentowało powstanie polskie, obchodzono się z jeńcami i rannymi rosyjskimi, którzy wpadli w ręce polskie, w sposób jak najbardziej ludzki, najłagodniejszy, a nawet nieco sentymentalny. Zwykle po patetycznej przemowie albo naczelnika oddziału, albo kogoś umiającego po rosyjsku, przemowie pełnej frazesów o wolności, swobodzie, braterstwie ludów i ucisku despotyzmu, jeńców takich wypuszczano na wolność, obdarzano ich pieniędzmi i kazano tylko uroczyście przyrzekać, że więcej przeciw Polakom walczyć nie będą. Tak postąpił sobie Kurowski po Sosnowickim zwycięstwie, tak postępował Langiewicz, tak postępowali i inni. Oczywiście jeńcy rosyjscy wysłuchali przemowy, której nie a nie nie rozumieli, pieniądze wzięli, przyrzeczenie żądane dali, pokłonili się pięknie, a, wróciwszy do swych szeregów, po dawnemu rabowali i na pobojuwiskach dobijali rannych powstańców. I byłoby zapewne takie sentymentalne postępowanie powstańców polskich względem zażartego i rozuzdanego wroga długo jeszcze trwało, gdyby nie wypadki Tomaszowskie i Wojsławickie. Oburzenie i słuszna zgroza, jaką one wywołały, zmusiły nakoniec Rząd tymczasowy do wstąpienia

na tę samą drogę, po jakiej dowódcy i żołnierze rosyjscy od początku wybuchu postępowali. Ogłosił więc w dniu 18 lutego t. z. „prawo odwetu“, jakie nakazał stosować do tych wszystkich, „którzy okrucieństwami się odznaczają, którzy wyroki doraźne wydawać będą, jak i do tych, którzy w czemkolwiek okażą się szkodliwymi“<sup>1)</sup>. Tym więc sposobem wojna ta przybierała cechę walk barbarzyńskich, cechę alhunrykowego wyćpienia i zagłady, nie już dwóch narodów, ale dwóch ras. Przyznać jednak należy, że wina nadania takiego charakteru tej walce nie leży po stronie polskiej.

Że takie podrażnienie i taka zażyłość wzajemna na siebie dwóch narodów była już sama przez się wielkiem nieszczęściem, któż wątpić może? Ale przeznaczonem było Polsce, że miała ona doznać w tym strasznym roku wszystkich nieszczęść, wszystkich klęsk i wszystkich zawodów. Lud polski, na który rewolucyoniści nasi tak wiele liczyli, który mieli nadzieję porwać do boju za niepodległość darrowizną gruntów, odrazu po wybuchu przybrał względem niego nieprzyjazną postawę. Jeżeli tu i owdzie, a nawet w ogromnej większości kraju, nieprzyjaźń tę do „buntujących się panów“, zachował w myślach tylko, w odsunięciu się od udziału w ruchu, w obojętności pozornej względem rozgrywających się dokoła niego wypadków, to były jednak takie okolice, że występował przeciw powstańcom czynnie, że się odgrażał na nich i zapowiadał rzeź szlachty i „łyków“. Już w pierwszych dniach wybuchu, w okolicach Krasnostawu chłopci chwyтали powstańców i odstawiali ich do powiatu. W Częstoborowicach chłopci własnego plebana, ks. Szydoczyńskiego, chcieli zabić za to, że ich namawiał do powstania, i rzeczy tak daleko zaszły, że ziemianin miejscowy Darewski, potajemnie zmuszony był księdza wywieść do siebie. Gdy się jednak chłopci o tem dowiedzieli, tłumnie dwór napadli i powiązawszy księdza, pisarza prowentowego, gorzelanego, młynarza, gu-

<sup>1)</sup> Dekret ten znajduje się w „Wiadom. z pola bitwy“ Nr. 2.

wenera i kilku oficyalistów, zawieźli ich wszystkich do Lublina i oddali w ręce władz rosyjskich<sup>1)</sup>. W Orchowcu pod Lublinem schwytyli właściciela wsi, Pniewskiego, wraz z dwoma synami i kilku oficyalistami, i odstawili związanych do Chruszczowa<sup>2)</sup>. We wsi Kosaczewie, w temże Lubelskiem, chłopci zbili straszliwie wójta Urbańskiego za to, że miał stosunki z powstańcami i odwieźli go do Lublina, zapowiadając, że dopóty nie przyjmą nowego wójta, dopóki nie otrzymają na to rozkazu od Chruszczowa<sup>3)</sup>. W Sannikach w Kutnowskim, zaszedł inny, ze wszech miar opłakany wypadek, świadczący o skrytej nienawiści ludu do propagatorów ruchu. W dniu wybuchu powstania zjawił się tam kwestarz zakonu Reformatów w Szczawinie, Stefan (podobno nazwiskiem Solecki), i zebrawszy robotników fabrycznych, którzy zresztą chętnie porwali się do bronii, poszedł z nimi do wsi Sanniki, by chłopów także wezwać do powstania. Nie zastawszy w pierwszej chacie gospodarza w domu, pytał żony, gdzie on się znajduje, a gdy ta nie chciała tego powiedzieć, zakonnik zabił ją nożem a chałupę kazał podpalić. Na widok pożaru chłopci zbiegli się z całej wsi, i postawa ich była tak groźna, że okrutny Reformat wołał się wycofać. Ale nazajutrz zjawiwszy się w Krubinie, został schwytyany przez chłopów i zabity na miejscu. Odtąd chłopci tamtejsi byli jak najgorzej usposobieni dla powstania, a wypadek w Sannikach nadzwyczaj przykre na wszystkich w kraju wywarł wrażenie.

W Opoczyńskim nienawiść do szlachty i do powstańców niemniej silnie się objawiała. W Radzicach chłopci napadli na dwór i głośno się odgrążali, że wyrzną szlachtę i księży; w Studziance, nauczyciela wiejskiego Trepkę, za to, że czynnie się zajmował robotami powstańcami zbili straszliwie i odwieźli do Końskich do naczelnika wojen-

<sup>1)</sup> Pawliszczew, Siedmicy II, 23.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

<sup>3)</sup> Loc. cit. II, 50.

nego. W gminie Białaczewskiej chwytyli powstańców i powiązanych, pokaleczonych i pokrwawionych oddawali w ręce tegoż naczelnika. Tym sposobem około stu nie-szczęśliwych powstańców dostało się do niewoli rosyjskiej<sup>1)</sup>. W ogóle, w Opoczyńskim ten niebezpieczny ruch chłopski ogarnął aż 56 wsi<sup>2)</sup>; we wsi Klucko pod Końskimi, jeżeli wierzyć można doniesieniom urzędowym, zgromadziło się nawet około 3000 chłopów, z zamiarem łapania powstańców. [W Sandomierskiem po potyczce, stoczzonej między pułkownikiem rosyjskim Czengierem a Langiewiczem na św. Krzyżu, chłopci gdy powstańcy opuścili swą pozycję, rzucili się na klasztor i zrabowali go zupełnie, przez „nienawiść do buntowników i głównych ich dowódców“, jak się wyraża sprawozdanie urzędowe<sup>3)</sup>. W Krakowskiem, zwłaszcza w południowych powiatach: miechowskim, proszowskim, szkalmierskim, jednym słowem w pasie nadgranicznym, gdzie żyła jeszcze tradycja rzezi galicyjskiej, gdzie wielu na nią patrzyło i przypominało sobie jej szczegóły, wzburzenie umysłów chłopskich przybrało tak wielkie rozmiary, że najwyraźniej zanosilo się na straszny cios dla ruchu zbrojnego, na porwanie się chłopów przeciw powstaniu. Gromada wsi Smarzewic w Miechowskiem, po wyjściu obozu Kurowskiego z Ojcowa, rzuciła się na tę miejscowość, zrabowała wszystkich mieszkańców, podobiała pozostawionych tam rannych i łapała pojedynczych powstańców, wydając ich w ręce rosyjskie<sup>4)</sup>. Szlachta w tamtych okolicach była tak zatrwożona, że z jednej strony, domagając się opieki rządowej, z drugiej, nie licząc na nią wcale, rzucała dom i dobytek i chroniła się do Krakowa. Tem słuszniej nie liczyła ona na pomoc i opiekę rządową, że wielu ówczesnych naczelników wojennych ro-

<sup>1)</sup> Loc. cit. II, 43.

<sup>2)</sup> Loc. cit. II, 51.

<sup>3)</sup> Raport Czengierego.

<sup>4)</sup> „Wspomnienia kapitana wojsk polskich“ (Wiśniewskiego), Lipsk 1866 r. p. 38.



syjskich, samowładnych satrapów w swym powiecie, napojonych ideami wywrotu na sposób specyficznie rosyjski, skrycie i otwarcie podburzało chłopów. Maniukin w Białostockiem głośno po wsiach rozповідаł, że „imperator lasy powyćpieć i szlachtę powyrzynać“ kazał: pozwalał chłopom rewidować dwory i płacił nagrodę tym, którzy łapali powstańców i dostawiali do jego obozu<sup>1)</sup>. Głośny był w swoim czasie naczelnik wojenny powiatu Skierniewickiego, który chłopom zapowiadał, ażeby mieli dwory na oku, i jeżeliby „pan cokolwiek mówił przeciw cesarzowi, albo buntował ludzi“, żeby go natychmiast wiazali, i żywego lub umarłego dostawiali do Skierniewic, za co obiecywał im sowitą nagrodę. Każdy zresztą z tych prokonsulów tak samo postępował, każdy z radością widział wzrastającą przepaść między chatą i dworem, między chłopem polskim a powstaniem. Sam rząd zapowiedział w swym organie oficjalnym<sup>2)</sup> jeszcze w styczniu, że „władze wojskowe dokładają wszelkich starań, aby, utrzymując ludność wiejską na stale przez nią przedsięwziętej drodze wierności rządowi, utrzymać ją zarazem w granicach porządku i poszanowania dla bezpieczeństwa osób i własności wszystkich mieszkańców kraju“. A że władze wojskowe, jak wiemy, przejęte były najzgubniejszymi dążnościami względem Polski, a pojedynczy komendanci żywili najsłabsze teorie wywrotu społecznego, łatwo więc zrozumieć, jaki wpływ oni wywierali na ciemne umysły chłopskie. We wspomnianym już przez nas powiecie miechowskim, postawa chłopów była tak groźna, widmo rzezi tak blizkie, że, jeżeli do niej nie przyszło, to tylko dzięki energii miejscowego naczelnika cywilnego powiatu Januszkiewicza. Zdolał on wymócić na komendancie pomoc zbrojną, z kilkunastu kozaków złożoną, i jeżdżąc od wsi do wsi tłumić batogami zarzewie krwawych represalii chłopskich<sup>3)</sup>. W Świ-

<sup>1)</sup> „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 4.

<sup>2)</sup> „Dziennik powszechny“ Nr. 22 z r. 1863.

<sup>3)</sup> Z. L. Sulima, Wspomnienia ulana I, 39.

niarach pod Staszowem, Langiewicz zmuszony był kilku chłopów powiesić<sup>1)</sup>, za wydanie w ręce rosyjskie powstańców, a już od samego początku swej kampanii krwawych dokonywał egzekucji nad chłopami w Świętokrzyskiem i Kieleckiem. W odezwie swej, wydanej z obozu na Św. Krzyżu d. 9 lutego do szlachty sandomierskiej, zapowiadał, że chłopci każdej chwili gotowi są wyrzucić szlachtę, ale że on, o ile to będzie w jego mocy, do nowej „gali-cyady nie dopuści“. W ogólności w Sandomierskiem, wszędzie prawie chłopci chwytały uzbrojonych powstańców, szlachtę i ich oficyalistów, i odstawiali do naczelnika wojennego. Ten trochę uczciwszy od innych, gdy rzecz ta przybrała zbyt wielkie rozmiary, zmuszony był rozesłać po całym powiecie urzędników, którzy w towarzystwie żandar-mów jeździli od wsi do wsi, i zapowiadali chłopom, by spokojnych ludzi nie napastowali<sup>2)</sup>.

Były to wszystko fakta bardzo smutne i bardzo ponure światło rzucające na wypadki. Wielopolski doskonale to widział, i sam, szlachcie z przekonania, od dwóch lat trwożący się widmem rzezi chłopskiej, drzeć teraz musiał na widok tego, co się dzieje i wobec myśli, że za jego rządów rozegrać się może powtórzenie najstraszniejszej, najboleśniejszej dla serca polskiego i dla dumy narodowej, tragedii. Widział on potrzebę uregulowania, ujęcia w jakieś karby tej pomocy chłopskiej do stłumienia powstania, jakiej wielu naczelników wojennych się domagało i wywoływało ją umyślnie, w celach oczywiście przeciwnych najistotniejszym interesom narodowym. Zdaje się jednak, że sprawą regulacji tej pomocy zajęły się wyłącznie władze wojskowe poza plecami rządu cywilnego i w d. 6 marca wyszło rozporządzenie odpowiednie do wszystkich naczelników wojennych<sup>3)</sup>. Nakazywano więc, że ponieważ „wło-

<sup>1)</sup> Pauliszczew, Siedmicy, II, 43.

<sup>2)</sup> Loc. cit. II, 48.

<sup>3)</sup> Rozporządzenie to w całości czytać można w „Dzienniku powszechnym“ Nr. 53 z r. 1863.



ścianie, wierni swojemu monarsze i wykonanej przysiędze, sprzyjając wszędzie wojsku, starają się pomagać do przywrócenia spokojności i powagi prawa<sup>4</sup>, więc polecano władzom gminnym czuwanie nad wszelkimi osobami, czasowo lub w przejeździe w gminie przebywającymi, „używając do tego pomocy stójek i stróżów gromadzkich“. Nakazywano wójtom, sołtysom, a nawet radnym gminy, ażeby każdego powstańca aresztowali i do najbliższej władzy wojskowej odstawiali. Stronnictwo wojskowe, oddawszy w ręce chłopskie czuwanie niejako nad spokojnością w kraju, podburzając włościan do pewnego stopnia przeciw wszystkim innym klasom społecznym, które przez to samo, że były odsunięte od współudziału „w przywróceniu porządku“ (jak się to urzędownie mówiło), uważane były za nieprzyjazne władzy, spodziewało się daleko większych, niż w istocie otrzymało, rezultatów. Chłopi w ogromnej swej większości dość niechętnie brali się do wypełnienia tego rozkazu, dlatego, że się po prostu bali i nie chcieli się mieszać do spraw, za które można było skórą i głową nadłożyć. Później, gdy ze strony dowódców powstańczych nastąpiły surowe represalia przeciw chłopom, wypełniającym ten rozkaz, powoli stał on się martwą literą i nigdzie wykonywanym nie był. Ale są to już rzeczy późniejsze; w tej chwili wieś przedstawia obraz bardzo niepewny, bardzo groźny i ponury horyzont polski, czyni jeszcze smutniejszym i chmurniejszym.

Rząd przez ten krok, cokolwiekby powiedziano, abdykował z części swej władzy, a co gorsza dawał głośne świadectwo swojej bezsilności, skoro uciekać się musiał do pomocy mas ciemnych, których poziome, zaborcze instynkta, różni naczelnicy wojenni umyślnie podsycali. W ogólności zapanowywał powoli chaos we wszystkich gałęziach administracji krajowej, który się przedewszystkiem najciężej odbił na skarbie Królestwa. Liczne, ciągle i stale powtarzające się zabory kas rządowych przez powstańców, do chodzące nieraz do bardzo poważnych sum, groziły nieomal

ruiną budżetowi polskiemu <sup>1)</sup>. Pomijamy już zabór rs. 60.935 kop. 46<sup>1</sup>/<sub>2</sub>, wziętych przez Kurowskiego z komory sosnowieckiej <sup>2)</sup>, prawie nie było dnia, żeby Komisya skarbu

<sup>1)</sup> Przytoczymy tu z akt urzędowych, niektóre z takich zaborów. W Ostrowcu, w gub. radomskiej, d. 23 stycznia powstańcy z kasy rządowej, zabrali rs. 2516 kop. 65<sup>1</sup>/<sub>2</sub>; w Suchedniowie, jakżeśmy to już we właściwym miejscu wspomnieli, zabrano z kasy zakładów górniczych w gotówce, listach zastawnych i obligach skarbowych rs. 9705. W Rawie d. 9 lutego dowódzca Strojnowski z kasy wziął rs. 4996. W Olkuszu dnia 6 lutego Kurowski zabrał rs. 908; tamże d. 12 lutego wzięto rs. 425 kop. 35. W Rawie po raz drugi d. 17 marca rs. 7645, a d. 3 kwietnia wziął Stamirowski rs. 5000 i opierającemu się kasyerowi rzekł, że „żadnych romansów nie przyjmuję“, a d. 13 maja i 3 czerwca zabrano rs. 3166; w Irenie, z zakładów fabrycznych Banku polskiego wzięto rs. 545; w Łoździeju rs. 425; w Opatowie d. 5 lutego rs. 1021 kop. 71<sup>3</sup>/<sub>4</sub>; w Sandomierzu d. 2 lutego rs. 6288 kop. 65; w Brzesku d. 18 marca, „z rozkazu JW. Dyktatora“ zabrano rs. 4935; w Łukowie d. 22 marca „na potrzeby wojsk polskich województwa podlaskiego“ wzięto rs. 361. Cyfry te, acz niezupełne, dostatecznie mówią o poważnych stratach, jakie skarb Królestwa ponosił.

<sup>2)</sup> W czasach późniejszej reakcyi, za namiestnictwa Berga, rząd starał się odzyskać niektóre z tych zaborów, ale po większej części w sposób krzyżaco niesprawiedliwy. Tak np. stratę owych 60.935 rubli, zabranych z komory sosnowieckiej, Berg polecił ściągnąć z okręgu kaliskiego, którego mieszkańcy pod tym względem Bogu byli duszę winni. To też Komisya rządowa skarbu oparła się temu z zasady, że: Kaliszanie nic nie są winni i jeżeli już kto ma zapłacić, to chyba całe Królestwo z kontrybucyi na nie nałożonej. (Odezwa Komisyi skarbu do sekretarza stanu przy radzie administracyjnej z września 1865 r.). Stratę rs. 6288 kop. 65, zabranych z kasy powiatu sandomierskiego, Berg kazał odzyskać od niejakiego Maksymiliana Skotnickiego właściciela dóbr Bogorya. Stratę rs. 21.227 kop. 36, zabranych w różnych czasach z kasy miasta Rawy, Berg polecił wycisnąć z mieszkańców miasta i powiatu, z wyjątkiem chłopów, na tej zasadzie, że „napady na miasto Rawę powtarzały się jedne po drugich, w niewielkich przerwach czasu i właśnie wówczas, kiedy bandy powstańcze nie przybywały jeszcze z zagranicy, a zatem i zabór z kasy powiatowej tamtejszej nie mógłby się wydarzyć, gdyby ludność miejscowa powstaniu nie sprzyjała“. Komisya skarbu jednak zaprotestowała przeciw temu, twierdząc, że zaborów dokonywano dlatego, że wojska w Rawie nie było; gdy to przyszło



nie otrzymywała raportu o zaborze takiej a takiej sumy, czy to z kasy powiatowej, miejskiej, lub też z magazynów solnych<sup>1)</sup>. Straty swoje skarb Królestwa z tych dwóch źródeł, we wrześniu 1863 r. obliczał ogółem na rs. 248.034 kop. 9 $\frac{1}{2}$ . Suma bardzo poważna, choć niewątpliwie niedokładna<sup>2)</sup>. Ale nie na tem miały się ograniczyć straty skarbowe. Mówiliśmy już, że Frankowski, komisarz województwa lubelskiego w d. 24 stycznia zabrał w Kurowie pocztę wozową, idącą z Warszawy do Lublina, a w niej w gotówce rs. 48.213 kop. 15 $\frac{1}{4}$ . Dnia 2 lutego podobny wypadek przytrafił się w Hrubieszowskim; na pocztę, wiozącą z kasy hrubieszowskiej do lubelskiej sumę rs. 4343, na drodze pod Raciborowicami napadli „ludzie, z armii polskiej tytułujący się“, jak opiewa raport urzędowy, i pieniądze powyższe zabrali. Pierwszą z tych sum, jako należącą przeważnie do osób prywatnych, którym poczta gwa-

zabory same przez się ustaly. Uznano słuszność tych wniosków i w końcu sumę z kontrol skarbowych wykreślić nakazano. (Archiwum Komisji skarbu).

<sup>1)</sup> Z magazynów tych zabrano: w Przewozie Nurskim d. 16 kwietnia 1863 r. rs. 1492 kop. 98. Zabrał „dowódca siły zbrojnej wydziału I obozu Łosickiego, Czerwiński“. W Kamieniu pod Sochaczewem rs. 4573 kop. 16; W Krzeszowie w Lubelskim d. 19 marca rs. 1503; w Białopolu w Lubelskim (okrąg hrubieszowski) dnia 13 kwietnia zabrano rs. 2094. W Ciechocinku z zakładu warzelni soli, w nocy z d. 22 na 23 kwietnia zabrano rs. 7000, kwitował „Seweryn Józef“. W Dobrzykowie, w gub. warszawskiej d. 28 kwietnia wzięto rs. 143; kwitował Malinowski; we Włodawie d. 4 maja rs. 1300, kwitował „intendent województwa podlaskiego“. W Kamieniu w Lubelskim niejaki Kiciński Atanazy zabrał rs. 1531, w Krzeszowie zaś Leniecki wziął rs. 930; we Włodawie powtórnie rs. 762 kop. 75. Wszystkie trzy ostatnie zabory dokonane w maju 1863 r. W Kamieniu, w powiecie Łowickim zabrano rs. 1792, w Wyszkwowie d. 7 kwietnia rs. 801 kop. 51, w Szczekocinach rs. 2603 kop. 78 i t. d.

<sup>2)</sup> Komisja rządowa skarbu, poleciła składać sobie kwity powstańców na zabrane przez nich z kas pieniądze. nie dlatego by przez to zabór rzeczony uprawniała, owszem zastrzegala sobie przeprowadzenie śledztwa, ale że te kwity miały z czasem służyć do ułożenia wykazu strat poniesionych przez skarb Królestwa.

rantowała bezpieczne przeniesienie pieniędzy, skarb Królestwa w całości zwrócić musiał<sup>1)</sup>. Wobec tego zarząd pocztowy Królestwa wydał zaraz po zaborze Frankowskiego rozporządzenie pod datą 28 stycznia, ażeby poczty nigdzie nie przyjmowały przesyłek pieniężnych. Odrazu więc ustał wszelki ruch pod tym względem i łatwo pojąć, jak krępująco on oddziałał na całe społeczeństwo i na interesy handlowe.

Chcąc zapobiedz tym nieustannym zaborom pieniędzy, pierwszy rząd gubernialny radomski wpadł na nieśczęśliwy pomysł, ażeby wojsko w razie opuszczenia jakiego miasta zabierało ze sobą kasę. Pomysł ten, zamieniony został w uchwałę na posiedzeniu kolegiatnem rządu gubernialnego w d. 1 lutego, a zaraz potem, za tym przykładem ukazało się rozporządzenie namiestnika Królestwa W. ks. Konstantego do wszystkich naczelników i komendantów wojskowych, aby opuszczając jakie miasto zabierali ze sobą pieniądze i składali je w kasach gubernialnych lub powiatowych, niezagrożonych nagłym napadem powstańców<sup>2)</sup>. Była to istotnie woda na młyn carzyków wojennych i skarb Królestwa, rzec można śmiało, wpadł z deszczu pod rynnę. Rozpasani do najwyższego stopnia, samowładni baszowie w swych okręgach, dążący do zniszczenia i wywrócenia wszystkiego w Polsce, rozporządzać się poczęli sumami skarbowymi, jak gdyby to były ich własne pieniądze, kradli je pod rozmaitymi pozorami i niekiedy, wioząc kasę z miasteczka, nie składali jej ani w powiecie, ani w gubernii. Był to rabunek na wielką skalę, dokonywany z zadziwiającym cynizmem w dzień biały. W Suwałkach tamtejszy naczelnik wojenny baron Raden, kazał skarbiec gubernialny przenieść na odwach, choć wojsko z miasta nie wychodziło i żaden napad powstańczy nie zagrażał.

<sup>1)</sup> Akta Komisji skarbu. Z większych sum zabranych pocztom należy zaznaczyć zabór rs. 30.949, dokonany między Rokicinami a Łodzią.

<sup>2)</sup> Rozporządzenie z d. 15 lutego 1863 za Nr. 337, powtórzone ponownie d. 20 lutego przez Radę administracyjną Królestwa.



Przenosin tych dokonano tak nagle, że kasyer nie miał czasu przeliczyć pieniędzy, których w przybliżeniu było przeszło 70 tysięcy rubli. W Olkuszu major Stolzenwald, przez odezwę z d. 31 stycznia kazał sobie wszystkie pieniądze z kasy wypłacić, a gdy mu się opierano, przybył z kozakami i zabrał przeszło rs. 13.000. W Piotrkowie naczelnik wojenny kazał kasie powiatowej wypłacić sobie rs. 3000, jakoby na kupno wódki dla wojska. Zaraz z początku powstania, wobec przerwanych komunikacji i niebezpieczeństwa przesyłania pocztą pieniędzy, władze warszawskie poleciły kasom rządowym, ażeby wszystkim naczelnikom wojennym gubernialnym wypłaciły na potrzeby wojska po 20.000 rubli. Prócz tego dozwolono im na te potrzeby czerpać z kas, ile chcieli, a sumy takie intendentura obowiązała się zwracać później Komisji skarbu. W Częstochowie miejscowy prokonsul wybrał z kasy rządowej przeszło 26.000 rs.; w Koninie generał Kostanda, podpułkownik Włockoj i porucznik (bo i porucznicy brali) Morgensterna zabrali w różnych czasach 113.362 rs.; w Zamościu przeszło 22.000 rs.; w Kaliszu sztabskapitan Snaksarew wziął rs. 20.000; we Włodawku pułkownik Schildner-Schuldner przeszło 76.000 rs.; w Siedlcach generał Dreyer rs. 111.000; w Radzynie rs. 45.000; w Zamościu słynny z rabunków Emanow zabrał rs. 54.000 i t. d.<sup>1)</sup> Przytoczyliśmy tylko cyfry większe, nie wdając się w opis zaborów po kilka lub kilkanaście tysięcy rubli, których było mnóstwo, do których czuł się upoważnionym niemal każdy podchorąży i każdy porucznik. To też pieniądze płynęły do bezdennych kieszeni tych rycerzy, którzy nędznego, bezbronnego powstania przez czternaście miesięcy pokonać nie byli w stanie, ale zato z mistrzostwem umieli kraj niszczyć i rabować. Komisja skarbu obliczała w przybliżeniu, że tacy naczelnicy wojenni zabrali ogółem rs. 613.396 kop. 29<sup>1</sup>/<sub>2</sub>; a z tego intendentura do r. 1867 zwró-

<sup>1)</sup> Archiwum Komisji skarbu (Tom V, oddział X, lit. Z, liczba 4).

ciła zaledwie rs. 320.340 kop. 60; reszta przepadła u rozmaitych panów Stolzenwaldów, Radenów, Kostandów, Morgensternów i t. p.

Komisja skarbu naprawdę przerażona tym podwójnym, tak przez powstańców jak i wojska rosyjskie rabunkiem kas, grożącym ruiną skarbowi Królestwa, przez rozporządzenie z d. 5 lutego poleciła wszystkim gubernatorom cywilnym wstrzymać pobór podatków i opłat skarbowych „wszędzie tam, gdzieby zachodziła uzasadniona obawa o fundusze, wpływające do kas skarbowych, jak nawet o samo ich przesłanie lub noszenie do tychże kas”. Rozporządzenie to opierało się na tem rozumowaniu, że, jeżeli pieniądze krajowe, krwawy grosz polski ma być roztrwoniony i zmarnowany przez obie strony wojujące, to lepiej żeby go wcale nie było, zwłaszcza, że Komisja po uspokojeniu kraju, mogła zawsze liczyć na wyegzekwowanie zaległości. Ale na razie nie spostrzeżono się, jakie, tego rodzaju rozkaz, może wywołać następstwa. Gdy w lutym, w Hrubieszowskiem, Bialskiem, Łukowskiem i w wielu innych powiatach, wstrzymano tu i owdzie pobór podatków, okazało się, że kasy rządowe wypróżniają się szybko i nie ma czem płacić urzędnikom, ani też zaspakajać najgwałtowniejszych potrzeb. W gubernii radomskiej winno było w lutym do kasy wpłynąć rs. 366.206 kop. 83<sup>3</sup>/<sub>4</sub>, a wpłynęło zaledwie rs. 132.927 kop. 17, czyli omal że nie trzecia część. Tymczasem wydatki wzmagaly się z każdą chwilą. Na samą słomę i światło dla wojska trzeba było miesięcznie rs. 11.587 kop. 74<sup>1</sup>/<sub>2</sub>. W gubernii lubelskiej nie lepsze było położenie; z podatków wpłynęło tylko rs. 232.594 kp. 56, a tu trzeba było, zgodnie z rozporządzeniem Namiestnika, wypłacić Chruszczowowi rs. 20.000, lazaretowi wojskowemu rs. 7000 i t. p. Wobec niknących coraz bardziej wpływów, nieomal wszystkie rządy gubernialne wyraziły obawę, czy w lutym będą w stanie zapłacić pensye urzędnikom. Komisja skarbu ze swej strony nie mogła zasilić z kasy Głównej Królestwa kas gubernialnych, gdyż przesyłka sum znaczniejszych była wprost niemożliwą i bez-



warunkowo narażoną na zabór. W takim stanie rzeczy, rządy gubernialne uciekły się do pożyczek. W Radomiu pożyczono z kasy dyrekcyi szczegółowej Towarzystwa kredytowego ziemskiego rs. 10.750; w Lublinie wzięto z takiegoż źródła rs. 50.000; w Płocku zaciągnięto pożyczkę w wysokości rs. 20.000 od Domu zleceń rolników płockich i tym sposobem łatano biedę, jak można<sup>1)</sup>. Bądź co bądź, były to bardzo poważne straty dla skarbu Królestwa, a wojna, przedłużająca się do nieskończoności, zagrażała zupełnem podkopaniem finansów Królestwa. Ten biedny skarb wszyscy rozbijali i grabili; ten krwawy grosz polski przepadał gdzieś na marne i z sum, powyżej przytoczonych, przekonać się można, że dowódcy rosyjscy dwa razy co najmniej tyle wzięli, co powstańcy. Zaszczytu im to bynajmniej nie przynosi i doskonale maluje tych okrutnych satrapów, tych katów, pozujących na prokonsulów, a kradnących grosz polski bez sumienia i bez wstydu!

Podczas gdy kraj cały oddany był na łaskę i niełaskę wszystkim żywiołom rewolucyi jawnej i tajnej, gdy rządzili w nim samowładni dowódcy powstańczy, naczelnicy rosyjscy i chłopci, gdy zdawało się, że wszelkie wiązania społeczne ze swych podłoży wychodzą, gdy wszystko się rwało i rozpadało, w Warszawie panowała pozorna cisza i spokój i na zewnątrz fizyognomia miasta w niczem się nie zmieniła. Od czasu do czasu tylko przydarzył się gdzieś, na którejś z oddalonych ulic tragiczny jaki wypadek, świadczący, że pod tym pozornym spokojem tła zarzewia, wszystko niszczącego pożaru. O wypadkach takich zrazu rozchodziły się głuche i przesadzone wieści, aż w końcu urzędowy „Dziennik powszechny“ lub „Gazeta policyjna“ dawała o samym fakcie bliższe, acz nie zawsze prawdziwe, sprawozdanie. I tak: w d. 13 lutego policya przytrzymała w szynku pod Nr. 354 na Krakowskim Przedmieściu, przeszło 30 młodych ludzi, wybierających się do powstania; w d. 28 lutego, skutek, jak się zdaje, denuncyacyi, dowiedziano

<sup>1)</sup> Loc. cit.

się, że tegoż dnia wieczorem ma się zebrać w pewnym domu na ulicy Pańskiej znaczna liczba młodzieży, w celu przedarcia się przez okopy i połączenia się z powstańcami. Jakoż, wieczorem, policya i znaczna ilość wojska otoczyła wskazany dom, gdzie w rzeczy samej zebrało się około 100 młodych ludzi. Na wieść o pojawieniu się policyi wśród zgromadzonych zapanował straszliwy popłoch; wielu poczęło uciekać, inni odważniejsi, albo bardzo zdecydowani, powitali zbliżających się nieprzyjaciół strzałami. Większość mimo to została wziętą, jeden zabity pchnięciem bagnetu, niektórzy zdołali zbiedz szczęśliwie. Takie wypadki dość często się przytrafiały, tak że przestano na nie w końcu zwracać uwagę, zwłaszcza, że pomimo dozoru policyi, mnóstwo młodzieży, pojedynczo lub tłumnie, czasem nawet zbrojną ręką przedzierało się przez strażę, dążąc do obózów powstańczych.

Wszystko to nie zdawało się przerażać ani W. księcia, ani margrabiego. Ten ostatni, wtajemniczony w wielką intrygę Gorczakowa i Napoleona III, licząc na rychły upadek „rokoszu“, jak nazywał ruch zbrojny, później, gdy intryga ta wskutek trwałości powstania, wskutek konwencyi pruskiej, stanowczo się rozchwiała, wiedząc o nowych pomyślach W. księcia, zachowywał twarz spokojną i pewność siebie niewzruszoną. Może w głębi duszy nie wątpił, że Bóg nakoniec zlituje się nad nieszczęśliwą Polską i da jej upamiętanie. Nie wstrząsnął nim nawet straszny skądinąd, brzydki w swym przebiegu zamach, jakiego dokonała na jego życie niższa zapewne organizacya rewolucyjna bez wiedzy Tymczasowego Rządu narodowego, którego, jak wiemy, nie było w Warszawie, bez wiedzy nawet Bobrowskiego, jako Naczelnika miasta. Jeżeli tego rodzaju czyny, mające wielką doniosłość polityczną, działały się bez wiedzy i bez rozkazu wyższych władz rewolucyjnych, to w każdym razie świadczyło to o pewnej anarchii w słojach powstańczych i o zwykłym ówczesnemu pokoleniu, działaniu na własną rękę. Wprawdzie tłumaczono się później, że dekret Komitetu centralnego z d. 24 stycznia, wyjął obu

Wielopolskich ojca i syna z pod prawa i każdy ich mógł bezkarnie zabić, wszelako w rządzie sfornym żaden z podrzędnych jego czynników nie powinien samowolnie przedsiębrać i wykonywać tak ważnego w swych skutkach kroku. Rzecz tak się miała. W d. 5 lutego Warszawa na wielkie swe zdziwienie, a nawet z pewnym dreszczem grozy tajemnej, przeczytała w „Dzienniku powszechnym“ (Nr. 28) wiadomość, że przez trzy dni z rzędu „uporczywie ponawiano usiłowanie otrucia Naczelnika Rządu cywilnego“, że skutki tego otrucia dotknęły nietylko samego margrabiego, ale jego rodzinę i domowników, zwłaszcza młodszego syna i czterech służących. Wezwani lekarze uznali jednogłośnie, że potrawy zatrute zostały atropiną. Tak pisał organ urzędowy; w istocie sprawa nieco inaczej się miała. Okazało się mianowicie, że szynka zimna, którą podano na śniadanie posypana była wzmiankowaną trucizną. Sam margrabia nie jadł jej wcale i dlatego zupełnie uniknął następstw trucizny<sup>1)</sup>, ale syn Józef i wnuk, dziecko jeszcze, wreszcie znany nam adjutant W. księcia, Alf. Wrześniowski, który był w tym dniu na śniadaniu w pałacu Brühlowskim, rozchorowali się dość ciężko. Margrabia dla zapobieżenia wszelkiego rodzaju pogłoskom, a może dla pokazania Warszawie, że jest zdrow, że zamach i tym razem się nie udał, wieczorem wraz z synem Zygmuntem znajdował się na przyjęciu u W. księcia i okazywał jak zawsze twarz spokojną i chłodną sfinksa politycznego, jak go lubiano nazywać w Petersburgu. Rozpoczęto energiczne śledztwo, przyaresztowano przedewszystkiem rzeźnika, od którego szynka była wzięta, i w końcu okazało się, że atropinę domieszała do jedzenia jedna ze służących w kuchni, którą do tego namówił jej kochanek, oczywiście należący do organizacji powstańczej. Margrabia tym brzydkim faktem był żywo wzruszony i zapewne głęboko go odczuł, choć na zewnątrz, jakeśmy powiedzieli, nie pokazywał tego po sobie. Wezwał tylko kucharza i rzekł mu: „Tobie ufam,

<sup>1)</sup> H. Lisicki, Le marquis Wielopolski II, 365.

dawaj nam jeść co chcesz, byle nikt inny tego nie tykał<sup>2)</sup>, ale później z pewnem uczuciem tragicznego żalu mówił do jednego ze swych przyjaciół: „Obcięli mi nogi, obcięli mi ręce, obetną i głowę, bo i głowie dadzą radę!“<sup>3)</sup>. Na zewnątrz jednak zamach ten w wielu osobach budził podejrzenie, czy on istotnie był dokonany, zwłaszcza, że prasa powstańcza i plotka uparcie utrzymywała, że nikt nie myślał o otruciu margrabiego i że jeżeli ono istotnie nastąpiło, to wskutek tego, że rondle miedziane w kuchni nie były pobielane. To też lord Napier, ambasador angielski w Petersburgu, nazwał historią otrucia „dziwną historią“ (l'étrange histoire) i nie wprzód jej uwierzył, aż go uroczyście ks. Gorczakow, wicekanclerz rosyjski, zapewnił o jej autentyczności<sup>4)</sup>. W Warszawie całą sprawę starano się jednak zatrzeć, surowego śledztwa nie prowadzono, dlatego, jak utrzymuje biograf margrabiego, by ofiar nie przysparzać.

Zamach ten niewątpliwie był bardzo wstrętnym objawem, wkradającej się zgnilizny w krew narodu; to skryte, podziemne otrucie, przypominające Włochy średniowieczne, zbrodnia tak przeciwna naturze polskiej, świadczyła o tem najwymowniej. Nie było w Warszawie zapewne nikogo z ludzi nieoszołomionych teoryami skrajnego patryotyzmu, ktoby, choć w głębi duszy, na ten nowy, brzydki zamach się nie oburzył; na zewnątrz, na sfery rządowe rosyjskie, na Europę wogóle wywarł on przykre wrażenie. Rodzina cesarska obsypała Wielopolskiego listami, winszując mu szczęśliwego uniknięcia strasznej śmierci. Cesarzowa pisała ze zgrozą o „okropnym zamachu“ i uwielbiała „godną podziwu“ postawę margrabiego wobec tego faktu. Kończyła słowami, że „spodziewała się tego po jego wielkim charakterze“<sup>4)</sup>. Cesarz dziękował mu za jego „energiją i po-

<sup>1)</sup> Lisicki, Aleks. Wielopolski I, 416.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

<sup>3)</sup> „La Pologne et la diplomatie“, 42.

<sup>4)</sup> Lisicki, Le marquis II, 385.



święcenie, którego nie przestaje dawać dowodów nawet w obecnych okolicznościach. Nowy zamach zbrodniczy przeciw niemu i całej jego rodzinie, godnym jest stronnictwa, będącego na czele ruchu i może tylko silne oburzenie wywołać we wszystkich ludziach uczciwych<sup>1)</sup>. Słowa te bez wątpienia pochodziły z głębi duszy, gdyż wiemy już, w jakich potępiających wyrazach cesarz Aleksander mówił przed posłem pruskim Alvenslebenem, przybyłym w tym czasie do Petersburga dla zawarcia słynnej konwencji lutowej, o zamachu i Czerwieńcach warszawskich, a z jaką sympatią o Wielopolskim. Panna Antonina Błudow, córka bardzo wpływowego prezesa Rady państwa, gorąca przyjaciółka i wielbicielka margrabiego, którego w roku zeszłym poznała w Petersburgu i która była nie bez wpływu na cesarzową, z powodu rzeczonego zamachu pisała margrabiemu: „Nie mogę wyrazić głębokiego oburzenia i zgrozy wobec nowego zamachu na pańskie życie, a nawet na życie ukochanych twoich, na życie tego biednego dziecka, o którym wiemy, że jest radością jedyną twego ciężkiego i posępnego istnienia. Niema słów usprawiedliwiających podobne czyny, i nie mam nawet tej pociechy, bym uwierzyć mogła, że jest to skutek wpływu twych idei, drażniący przeciwników. Nie widzimy niestety! żadnej energicznej opozycji, żadnego stronnictwa śmiałego i spójnego, by cię podeprzeć przeciw tym spiskowcom, kierowanym przez księży“<sup>2)</sup>. W. ks. Konstantowa nakonie, z tegoż samego powodu pisała margrabiemu, „że jesteś mi drogi z wielu względów, kochany margrabio, nie jest to dla ciebie nowością. Licz więc zawsze na moją przyjaźń i zachowaj mi swoją, którą szczególnie cenię“<sup>3)</sup>.

I nie było, zaiste, nic dziwnego w tem, co ta dumna i ambitna kobieta pisała; wszystko w tych słowach jest szczerem, z pod serca płynącym. Wszak jej najśłodsze ma-

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> Loc. cit. II, 420.

<sup>3)</sup> Loc. cit. II, 385.

żenia, widmo Zygmuntońskiej korony, które na każdym kroku uderzało jej oczy na salach starego Zamku warszawskiego, zdawało się być w tej chwili, dopóki nowe wypadki nowych nie spłodziły planów, ściśle związane z potężną postacią szlachcica polskiego. Był on też jej bardzo drogim w tej godzinie tak ponurej i tak brzemiennej w wielkie zdarzenia i w wielkie klęski. Więc tych wszystkich, którzy podkopywali i uderzali w margrabiego, nienawidziła głęboko, tą bezlitośną nienawiścią dusz ambitnych i pysznych, których celom coś lub ktoś stanął na drodze. Mściła się na powstańcach polskich w swych listach do krewnych i przyjaciół, nazywała ich „bandami rozbójników, włóczących się po lasach“ i pocieszała się nadzieją, że „ich żołnierze wkrótce wyłapią“. Niekiedy w roztkliwieniu niewieściego serca, płaczącego nad ruiną marzeń ambitnych, pisywała sentymentalne powiastki niemieckie i odczytywała je w poufnym sam na sam, doktorowi Januszkiewiczowi, Polakowi, zaprzyjaźnionemu jeszcze w Petersburgu z domem wielkksiążęcym i bawiącemu teraz w Warszawie<sup>1)</sup>. Sam W. książę, chory na oczy, którego wzmiankowany Januszkiewicz leczył, pod maską pańskiej obojętności i chłodnego uśmiechu, ukrywał targające jego duszę uczucia i żale. Z wielką zapewne niechęcią ogłaszać on musiał przychodzące z Petersburga wiadomości, które w sposób drażniący oddziaływać musiały na ogół polski, a o zyskanie którego sympatii wiele mu szło niewątpliwie. Raz donosić musiał, że cesarz, odbywszy przegląd rekrutów, przybyłych z Warszawy, którzy „mili żwawe miny i wesoło odpowiadali na powitanie“, kazał wystąpić z szeregu dwom żołnierzom z Królestwa, służącym w pułkach grenadyerskich i polecił im szczegółowo przedstawić rekrutom przyszłe ich życie i nowe obowiązki. „Rekruci“, opowiada relacya urzędowa, umieli ocenić okazane im względy, a malujący się na ich twarzach wyraz prostoty, świadczył o ich gorącym pragnieniu stania się

<sup>1)</sup> „Materiały do historii powstania“ IV, 143.

tak dobrymi żołnierzami, jakimi są dawniej zaciągnięci rodacy". Innym razem musiał w rozkazie dziennym dziękować wojsku za jego „marsze suworowskie“ i donieść o słowach cesarza, przesłanych do Warszawy telegramem w d. 1 marca: „Dziennik działań wojennych (Żurnal wojennych dziejstwij), pisał cesarz, przeczytałem z prawdziwym zadowoleniem, i polecam ci podziękować wszystkim naczelnikom i sławnemu wojsku naszemu, za jego dzielną służbę. Dumny jestem z niego więcej niż kiedykolwiek<sup>1)</sup>“. Słowa takie, czytane przez publiczność polską, jeżeli nie drażniły jej głęboko, to w każdym razie oburzały na ten rząd, chwalcący dzisiaj tych samych dowódców, którzy wczoraj wyrzneli i zrabowali Siemiatycze, Tomaszów Ordynacki, Wojsławice i inne miejsca.

Samemu W. księciu tem przykrzejszem musiało być ogłaszanie tego rodzaju pochwał, że wiedział doskonale, co trzymać należy o tych „marszach suworowskich“ i o tych „sławnych wojskach i naczelnikach“, zwłaszcza że ze wszystkimi tymi naczelnikami był na skrytej, tem niebezpieczniejszej zatem, stopie wojennej. Doskonale oni wiedzieli o zamiarach, o ambitnych marzeniach W. księcia i przez nienawiść do niego, przez chęć utrzymania swych wszechwładnych stanowisk w Polsce, a może (powiedzmy to na pochwałę natury ludzkiej) przez patryotyzm rosyjski, stanowczo byli przeciwni urzeczywistnieniu tych marzeń. W. książę pojmował to dobrze, bo któżby tego nie pojął, że dla włożenia na swą głowę korony polskiej, bądź co bądź potrzebne mu będzie poparcie tej armii rosyjskiej, jaka w Królestwie się znajdowała, a nadewszystko poparcie jej naczelników i dowódców. Umiano trafić przez trzecie osoby do zestarzałego nieco, ale poczciwego i dobrodusznego dowódcy gwardyi i komendanta garnizonu warszawskiego, generała Pawła Korfa, który za młodu, przed laty trzydziestu, stał kwaterą w Warszawie, zachował słodkie wspomnienia tych czasów i słodsza jeszcze pamięć o pięk-

<sup>1)</sup> Pawliszcze, Siedmicy II, 45.

nych oczach Warszawianek, i żywił szczerą sympatyę dla Polaków. Myśl utworzenia niepodległego państwa polskiego z królem Konstantym na czele, uderzyła jego wyobraźnię i bardzo mu się podobała. Jego patryotyzm rosyjski w niczem nie był zadrażniony: wszak odstąpienie pięciu gubernii polskich nie zachwieje potęgą Rosyi, a natomiast zakończy wojnę stuletnią, która tyle krwi oba narody kosztowała i tyle szkód im przyniosła, położy tamę powstaniu, które wobec postawy Europy, wobec zachwianej wierności armii, wobec nakoniec żywiołów rewolucyjnych w samej Rosyi, podnoszących głowę, Bóg wie dokąd może zaprowadzić. Z drugiej strony, czyż nie lepiej będzie, gdy na nowoutworzonym tronie polskim zasiądzie Rosyanin, członek dynastyi rosyjskiej, niż żeby tam się miał Habsburg, Hohenzollern, a nawet Bogusław Radziwiłł? Z tych wszystkich względów, Korf żywo uchwycił się tej myśli i przyrzekł wyrozumieć naczelników wojskowych, otaczających W. księcia<sup>1)</sup>. Jednym z najstarszych generałów, przebywających wówczas w Warszawie, był Schwarzwald, naczelnik artyleryi, znany powszechnie ze swego zdecydowanego i surowego charakteru. Zyskanie takiego człowieka, posiadającego przytem na koła wojskowe wpływ niemały, było krokiem bardzo ważnym i doniosłym. „Cobyśmy zrobili jenerale, spytał go Korf pewnego dnia, gdyby niespodzianie zjawila się w Zamku deputacya obywateli polskich, niosąca W. księciu koronę królewską?“ — „Nie wiem, co pan będziesz robił, odrzekł Schwarzwald szorstko, ale co ja będę robił, wiem doskonale. Mam na dziedzińcu zamkowym dwie armaty, każę je nabić kartaczami, i gdy panowie deputowani zjawią się w bramie, przywitam ich wystrzałem“<sup>2)</sup>. Odpowiedź była bardzo stanowczą i wyraźnie mówiła, że na wojskowych naczelników nie liczyć nie można. Z kolei zapytany Ramsay, o którym wiemy, jak dalece był nieprzyjazny W. księciu, odrzekł: „Jeżeli W. książę ośmieli

<sup>1)</sup> N. Berg, Zapiski II, 492.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

Wzrost 1863 r. Tom I.



się przyjąć koronę, przyaresztuję go i odeślę pod strażą do Petersburga!“ Krzyżanowski, naczelnik sztabu, nie wypowiadając swego zdania, ciekawy był jednak dowiedzieć się, jak się sam W. książę zapatruje na tę sprawę, zwłaszcza, że po Warszawie obiegała w kołach rosyjskich pogłoska, jakoby korona już była gotową, a nawet poświęconą przez ks. arcybiskupa Felińskiego<sup>1)</sup>. Pewnego więc dnia miał się zapytać Konstantego: „Co będzie mości książę, jeżeli Polacy nagle krzykną: wiwat król polski!“ Na to książę odrzekł: „Podziękuję im w imieniu cesarza, i zaraz mu o tem doniosę“<sup>2)</sup>.

O wszystkim tem doskonale wiedziano w Petersburgu. Pomijając już innych, piszących ciągle denuncyacje na W. księcia, wódz naczelny Ramsay, który, jak wiemy, głośno się odzywał, że póty nie spocznie, póki nie obali Konstantego i Wielopolskiego, o każdym kroku, nieomal o każdej myśli W. księcia doniósł cesarzowi za pośrednictwem Berga, byłego generał-gubernatora finlandzkiego, a teraz w charakterze członka Rady państwa siedzącego w Petersburgu, starego, wytrawnego intryganta, który bacznie śledził, co się dzieje w Polsce i marząc już o namiestnictwie, gorliwie dopomagał Ramsayowi w podkopywaniu wicekróla polskiego i jego pierwszego ministra. Ale cesarz, zgodzwszy się na konwencyę pruską, która stanowczy cios zadała zamysłom Gorczakowa, Wielopolskiego, W. księcia i Napoleona III, udawał, że nie wierzy oskarżeniom warszawskim, zwłaszcza, że działały na niego inne, o wiele silniejsze wpływy, a przyjazne zamiarom Konstantego i wogóle Polsce. Pominąwszy już całe stronnictwo t. z. „Zapadników“, to jest ludzi, sprzyjających cywilizacji zachodniej i ideom liberalnym, widzących w tej cywilizacji i w tych ideach jedyne zbawienie Rosyi, przekonanych, że

<sup>1)</sup> Loc. cit. Berg opowiada, jakoby ks. Feliński, rozmawiając ze swymi najbliższymi na wygnaniu w Jarosławiu o wypadkach warszawskich, miał się wyrazić: „Jednego tylko pojąć nie mogę, na co mi kazano poświęcić koronę polską“.

<sup>2)</sup> Kriwonosow, Dziennik, cytowany u Berga, Zapiski II, 493.

zupełna swoboda, nadana Polsce, zrodzi z czasem swobodę i w potężnym caracie, stronnictwo, do którego należało wielu członków zwierzchniego rządu, jak ministrowie: Gorczakow, Wałujew, jak prezes Rady państwa Błudow, jak hr. Suworow, generał-gubernator petersburski i wielu innych, to największy jednak wpływ w kwestyach polskich wywierały jak zawsze i wszędzie, kobiety. Wprawdzie panna Antonina Błudow, dotychczasowa zapalona przyjaciółka margrabiego i Polaków, do niedawna modląca się w soborze kazańskim pod obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej o pogodzenie źle dotąd ze sobą żyjących małżonków, jak nazywała związek Polski z Rosyą, znacznie po wybuchu powstania ochłodziła. Poczęły na nią oddziaływać wpływy stronnictwa przeciwnego Polsce i liberalizmowi europejskiemu, stronnictwa t. z. „Samobytników“, którzy prawosławie, samowładztwo i mniemaną samoistną cywilizacyę rosyjską stawiali jako ideał państwowy. Stronnictwo to, niedawno pokonane, obecnie z porwaniem się Polski do bronii, podniosło głowę i poczęło na wszystkie strony knuć intrygi, omotując niemi osoby blizkie dworu i cesarza. Panna Błudow, jakkolwiek niezupełnie jeszcze ulegała niezdrowym, wstecznym upojeniom tej ponurej partyi, wszelako jej propaganda nie pozostawała na tej duszy pełnej mistycyzmu religijnego i entuzyastycznych uniesień, bez śladu. Opowiadała ona teraz swój sen, jakoby ujrzała się w Warszawie na placu Saskim, „który był tak pusty, że stawało się to niemiłem“. „Nikogo tam nie było, prócz W. księcia, margrabiego i mnie. J. ks. Mość był wzruszony i niespokojny, a margrabia, chwytając mię gwałtownie za rękę, pociągnął w tył i zawołał z gniewem: „Co pani tu robisz? czyż nie widzisz, że nie możesz tu pozostać, że powinnaś stąd zaraz odejść?“<sup>1)</sup>. Jakoż nie miał on już długo pozostać w tem szlachetnem i podniosłem kole, najlepszych mężów Polski i Rosyi. Oskarżając w liście do

<sup>1)</sup> Lisicki, Le marquis II, 419.



margrabiego z powodu zamachu, zgodnie z teoryami Samobytników, księży polskich o kierownictwo całego powstania, pisała teraz, w kilka dni po wybuchu: „Pragnę zupełnego rozvodu z Królestwem, ale nie w ten sposób można go będzie uzyskać, a mordowanie śpiących żołnierzy nie stanie się pobudką do zgody, której margrabia się spodziewał, ani rozdziału, którego ja sobie życzę. To, co się dzieje, wielkiem jest nieszczęściem, a myśl o W. księciu i o jego pięknej i szlachetnej małżonce, poświęcającej się tak mężnie na ofiarę tej niemożliwej zgody, rozdziera mi serce! Niech was tam Bóg wspomaga, a tutaj niech da cesarzowi tę cierpliwą względność, jaką dotąd okazywał!”<sup>1)</sup> Ale już w jej duszy począł się saczyć zatruty jad nieufności do Wielopolskiego, nieufności jawnej i uparcie głoszonej przez Samobytników, którzy twierdzili, że margrabia jest prostym zdrajcą, nowym Wallenrodem, dla którego najlepszym miejscem pobytu jest nie Warszawa, ale Kamczatka. „Ja i mój ojciec pisała, należymy do szczupłej liczby osób, które są przekonane, że margrabia możesz się mylić, ale jesteś zbyt dumnym i zbyt szlachetnym, by zawieść tych, którzy położyli w tobie zaufanie“<sup>2)</sup>. „Okrucieństwo mordowania naszych żołnierzy (powracała jeszcze raz do tego przedmiotu), tych żołnierzy, których od roku przeszło znieważano, gdy oni stali z bronią u nogi, rozpala w naszych żyłach krew rosyjską i nienawiść, oraz poczyna się żądza zemsty objawiać w tutejszych sferach ludowych. W sferach wyższych zaś nieufność do tego, co rząd robi w Polsce, zwiększa się z każdym dniem“<sup>3)</sup>.

Ta panna więc, której wpływ na różne a nawet najwyższe sfery dworskie, nie był bez znaczenia, stanowczo była stracona dla Polski i margrabiego. A choć jeszcze nie występowała przeciw nam, choć jeszcze wojowała uparcie z Samobytnikami o portret margrabiego, który trzymała

<sup>1)</sup> Loc. cit. II, 420.

<sup>2)</sup> Loc. cit. II, 421.

ciągle w salonie swoim na najwybitniejszym miejscu, to jednakże już poczynaly się w niej objawiać te złowieszcze prądy nienawiści do Polski, które wkrótce nad krajem tym z siłą, wszystko niszczącego żywiołu, rozlać się miały. Na szczęście, w tej chwili Polska znajdowała gorące przyjaciółki wśród innych kobiet, kobiet istotnych a nie takich, jak ta podstarzała panna, histeryczka i mistyczka, bez miłości do czegokolwiek, zato z zapasem w sercu ogromnej nienawiści do ludzi i rzeczy. Inne znajdowały pewną rozkosz w tem, że mogły stawać w obronie narodu, nie bez winy zapewne, ale nieszczęśliwego niewątpliwie; dla ich dusz niewieścich ten heroiczny poryw dla zdobycia upragnionej wolności, wydawał się czemś tak podniosłym i tak poetycznym, że wyteżały wszystkie siły swych bogatych serc kobiecych, by w umyśle cesarza zwalczać złowrogię wpływy Samobytników i wszelkich nieprzyjaciół Polski. Pierwsze miejsce w tej galerii kobiet należy się W. księżnie Helenie Pawłównie, wdowie po W. księciu Michale Pawłowiczu, damie niepospolitego umysłu, biorącej żywy udział we wszystkich wielkich aktach państwowych, jakie uświetniły panowanie Aleksandra II. Wpływała na to ta okoliczność także, iż cesarz liczył się zawsze ze zdaniem swej niezwykle rozumnej stryjenki, zwłaszcza, że umiała sobie ona wytworzyć liczne wpływy na dworze; ale były jeszcze inne powody, dla których Aleksander II żadnego nie zrobił kroku, nie poradziwszy się wprzód Heleny Pawłówny. Miał on bowiem szczególny pietyzm dla przyjaciół i doradców swego ojca. Ponieważ W. ks. Helena należała do grona osób, posiadających największe zaufanie Mikołaja I, ponieważ ten ostatni nie było dnia, żeby o pewnej godzinie nie odwiedził swej bratowej i nie rozmawiał z nią o najważniejszych sprawach państwowych, więc i Aleksander II zwyczaj ten zachował, i ani się spostrzegł, jak nad jego słabym, chwiejnym i miękkim umysłem zapanowała ta rozumna i enérgiczna kobieta. Odtąd zawsze wielkie znaczenie we wszystkich kwestiach miało



dla Aleksandra II zdanie Heleny Pawłówny<sup>1)</sup>. Ona to w roku zeszłym bardzo wiele przyczyniła się do tego, że program Wielopolskiego został przyjęty, że powierzono mu wysoką godność i wielką władzę, a W. ks. Konstantego wysłano do Warszawy; ona to nakoniec zwycięski dotąd opór stawiała gwałtownemu naciskowi wstecznego stronnictwa Samobytników. Niemka z rodu, wyrosła w tradycji cywilizacji zachodniej, czuła wstręt do tej dziwnej, barbarzyńskiej, tatarsko-wschodniej kultury rosyjskiej, którą chciano podnieść do wyżyn ideału państwowego. W kwestyi polskiej niewątpliwie Cesarz radził się nieraz W. księżnej, zwłaszcza, że mógł tutaj swobodniej mówić o swym bracie Namiestniku Królestwa, niż w gronie swych doradców, wobec których musiał zachować pewną oględność w wyrażeniach o członku rodziny cesarskiej. O ile się zdaje, W. ks. Helena nie należała wcale do intrygi/zawiazanej między wicekanclerzem państwa i margrabią, między W. ks. Konstantym i Napoleonem III, i pierwotnie przeciwną była utworzeniu niezależnego państwa polskiego z sekundogeniturą Holstein-Gottorpów. Tu prawdopodobnie brały w niej górę uczucia niemieckie, zawsze przeciwne niepodległości polskiej. Wypowiadała ona przekonanie, że najlepiej będzie, gdy w Polsce przywróci się stan, przyznany jej przez uchwałę międzynarodową na kongresie wiedeńskim<sup>2)</sup>; teraz jednak, gdy powstanie wybuchło, gdy nie zostało ono odrazu stłumionem, owszem poczynano przybierać formę niepokojącą przez wdanie się w tę sprawę mocarstw zachodnich, uważała, że najlepszym załatwieniem kwestyi będzie zostawienie Polski samej sobie, zupełne wycofanie się Rosyi z Królestwa. Na to jej zdanie, przypuszczać należy, wpływał do pewnego stopnia rząd pruski, który myśli Bismarcka utworzenia niepodległego państwa polskiego na to, by je potem zagarnąć, nie przestawał pro-

pagować najróżniejszemi, a zawsze skrytymi drogami. Zre-sztą W. ks. Helena doskonale była zawsze poinformowana o wypadkach polskich, dzięki temu, że stale otrzymywała wiadomości z Warszawy od pani Kalerdzi, bratanki kanclerza państwa, hr. Nesselrode, która przemieszkiwała w stolicy polskiej i niezwykle urok na wszystkich wywierała swą pięknoscia, talentami i niepospolitym umysłem. Wielka zwolenniczka, nieomal wielbicielka Wielopolskiego, ciesząca się zupełnem zaufaniem W. ks. Konstantego i jego małżonki, entuzjastyczna patriotka polska, ubóstwiająca sztukę naszą, sercem sądząca niedolę polską, Polka przez matkę, w swych listach do W. ks. Heleny z zapalem broniła praw Polski, opisując jej nieszczęścia z porywającym talentem, który musiał potężnie oddziaływać na jej czytelniczkę. Uważała ona, że sprawa rosyjska stanowczo jest w Polsce przegrana, że wcześniej czy później wybuchnie o Polskę wojna europejska i lepiej będzie dla Rosyi, gdy wcześniej się wycofa z Warszawy i uniknie upokorzeń. Te poglądy, powtarzamy, nie pozostawały bez wpływu na W. ks. Helenę, która w ich myśl dawała rady cesarzowi.

Rady te spotkały się z innemi, takieżże barwy napomknieniami, jakie cesarz bezpośrednio otrzymywał z Warszawy od innej kobiety, niemniej entuzjastycznie oddanej sprawie polskiej i polityce. Damą tą była pani Kellera, żona Dyrektora Komisji spraw wewnętrznych, owa złoto-włosa Egerya, Numy Pompiliusza-Wielopolskiego, jak ją zwano w Warszawie, a która już w Petersburgu z wielką zręcznością umiała się przyczepić do zwycięskiego, jak jej się zdawało, rydwanu statysty polskiego. Urodzona z Polki, Rzewuskiej z domu, o przeszłości dość burzliwej, ale niezwykle piękna, światowa, wymowna, znała osobiście cesarza Aleksandra II, z czasów gdy jej mąż był gubernatorem mińskim i gdy cesarz, przejeżdżając przez to miasto, ucałował rączki pięknej pani gubernatorowej. Uchodziła ona za dobrą, prawie męską głowę, a broszura polityczna, którą napisała w tym czasie o W. ks. Konstantym, Wielopolskim i Polsce, o której cuda zapowiadano i która nie-

<sup>1)</sup> *Verstorbene Diplomatin, Die polnische Revolution* („Deutsche Revue“ z r. 1893 p. 238).

<sup>2)</sup> Loc. cit.

bawem miała się ukazać na widok publiczny z tłoczni parryskich, zdawała się potwierdzać to. mniemanie. Na szczęście dla tej opinii o pani Kellerowej, broszura ta dość późno wyszła i swą płytkością sądów i kobiecą frazeologią, nie mogła już zaszkodzić autorce, gdyż mąż jej usunięty został z dyrektorstwa, a gwiazda Egeryi na zawsze zgasła w Warszawie. Teraz jednak pani dyrektorowa była w apogeum swego blasku, wpływu i znaczenia. Nazywała się chętnie sama „aliantką polityczną“ margrabiego, i niewątpliwie gorąco pracowała nad utrzymaniem jego systemu w Polsce. Wszyscy, jak powiadamy, uważali ją za dobrą głowę; król pruski Wilhelm głośno się z tem odzywał<sup>1)</sup>, i zdaje się, że takiego samego mniemania był o niej cesarz Aleksander II. Taki sąd dodawał pewnej wagi jej poglądom na położenie rzeczy, wypowiadany w stałej i ciągłej korespondencji z cesarzem, bezpośrednio do jego rąk oddawanej. Uwiadamiła ona cesarza o wszystkim, co się dzieje w Warszawie, a uwiadamiła zawsze prawdziwie i bez przesady, i nigdy w sądzie o rzeczach i ludziach nie rządziła się, jak pani Kalerdzi sercem, ale rozumem. Popierała więc szeregiem logicznych rozumowań potrzebę utrzymania polityki margrabiego i W. księcia<sup>2)</sup>; domagała się jak najszerszej autonomii dla Polski, przebąkiwała nawet o wicekrólestwie, jako najlepszym sposobie rozwiązania zawilej i niebezpiecznej sprawy polskiej. Żywiła ona to przekonanie i prawdopodobnie wypowiadała je w listach do cesarza, że takie wielkie, nad miarę rozrosłe państwo, jak Rosya, nie może się długo utrzymać i z natury rzeczy rozpaść się musi na części. Zapewne przykładami, których tyle daje historia świata, popierała swoje twierdzenie, i utrzymując, że ten rozkład caratu jest bliski, w logicznym wywodzie uważała, że lepiej, rozumnie będzie dobrowolnie ustąpić z Polski, niż czekać aż ona sama odpadnie.

Wszystkie te wpływy kobiet rozumnych i pięknych,

<sup>1)</sup> Loc. cit. 239.

<sup>2)</sup> Loc. cit. 240.

przy poparciu stronnictwa Zapadników, robiły to, że cesarz nie ulegał podszeptom partyi przeciwniej, intrygom Ramsaya i jego kliki, i stale zachowywał przyjazne uczucia dla Polski. Niestety! Samobytnicy poczynając już izucać na nas rozmaite oszczerstwa, nie zawsze kłamali. Rozpowszechniając teraz opinię, że powstanie polskie jest w części wyrazem dążności fanatyzmu religijnego, że jest kierowane i prowadzone przez księży, jak to panna Błudów w swych listach do margrabiego zaznaczała, kłamali szkaradnie; ale w tem oskarżeniu to było prawdą, że duchowieństwo ówczesne całkowicie usposobione było powstańczo. Do rozpowszechnienia tego mniemania w Rosyi przyczynił się bardzo wiele list otwarty ks. Hieronima Kajsiewicza, mieszkającego w Rzymie i należącego do zgromadzenia Zmartwychwstańców, zatytułowany: „do braci księży grzesznie spiskujących i do braci szlachty niemądre umiarkowanych“. List ten, ogłoszony najprzód w „Tygodniku katolickim“, czasopiśmie, wychodzącym w Grodzisku w W. ks. Poznańskim, w sam dzień powstania (d. 23 stycznia), był skwapliwie przedrukowany przez „Dziennik powszechny“<sup>1)</sup>, a stąd wzięły go pisma rosyjskie, i stał się w rękach Samobytników jedną z najpotężniejszych broni przeciw „polonizmowi i latynizmowi“. Ks. Kajsiewicz z niezwykłą wymową i szczerością przekonania, ale nieco ze stanowiska doktrynerstwa teologicznego, gromił duchownych w Królestwie, że „w szale źle zrozumianego patriotyzmu, dla spólności działania, jak mówią, dla skupienia wszystkich sił narodowych, poddają się kierunkowi Komitetu centralnego skrajnego i przysięgą do posłuszeństwa mu się obowiązują“. Twierdził więc, że takie postępowanie jest przeciwne nauce Kościoła, i powołując się na bulle papieży Benedykta XIV i Grzegorza XVI, którzy

<sup>1)</sup> Nr. 31 z r. 1863. Oprócz „Tygodnika katolickiego“ i „Dziennika powszechnego“, który ten list podał mocno obcięty, czytać go jeszcze można w dziele *Stef. Prawdzickiego*, Wspomnienie o Zyg. Szczęsnym Felińskim p. 191 i nast.



wyklęli wolnomularstwo i karbonaryzm, oraz wszelkie stowarzyszenia tajne, tłumaczył bardzo wymownie, że wszelkie powstanie zbrojne w Polsce jest krokiem nierozumnym i zgubnym, że Polacy wygrzebywać będą własnymi rękami cudze kasztany z ognia, że „Garibaldi, aby mógł odbić Wenecję, potrzebuje, aby cała Austria i Polska były w powstaniu“. Wszystko to były bezwątpienia wielkie prawdy, ale wypowiedziane trochę szorstko i wyłącznie ze stanowiska kościelnego a nie patryotycznego, podobać się nie mogły duchowieństwu polskiemu, które, jak wiemy, było powstańczo usposobione. Odpowiadało ono na list, że ks. Kajsiewicz siedzi w Rzymie i nie pojmuje ruchu polskiego, że owe wyklinające bulle papieskie dotyczą wyłącznie masonów i Polaków, walczących za wolność, w niczem nie obowiązują; że wreszcie, potępiając stowarzyszenia tajne, potępić także należy pierwszych chrześcijan katakumbowych, którzy pierwotnie niczem innem nie byli, jak stowarzyszeniem tajnem.

Tak samo mówili oni, gdy ks. arcybiskup warszawski zwołał w d. 15 stycznia synod duchowieństwa swej archidiecezyi do Warszawy. Zjechali się wszyscy kanonicy, prałaci, dziekani i wybitniejsi księża. Synod trwał dwa dni i odbywał się w jednej z sal pałacu arcybiskupiego, i miał niemałe znaczenie polityczne, gdyż był niejako przygotowaniem do wielkich synodów prowincjonalnych, oddawna zaniedbanych w Polsce, a po rozbiórce stanowczo przez rządy najezdnicze wzbronionych. Ks. Feliński uzyskał już do pewnego stopnia zezwolenie władz na zwołanie takiego synodu jeneralnego <sup>1)</sup>. Synod obecny po mszy św. rozpoczął się od mowy ks. Goliana, który podobnie jak ks. Kajsiewicz wystąpił przeciw Komitetowi centralnemu i powołał się na bulle Klemensa XII, Benedykta XIV i Piusa VI przeciw masonom i towarzystwom kosmopolitycznym. Duchowieństwo, jak powiadamy, słuchało tej mowy mrucząc: „my nie jesteśmy masonami i bulle te nas nie dotyczą“.

<sup>1)</sup> *St. Prawdzicki*, loc. cit. 155.

Potem sam arcybiskup mówił; wystawił stan kraju, porównał położenie ówczesne Polski do okrętu rozbitego, który należy szybko naprawić, by nie utonął; przypominał, że ruchy zbrojne są zabronione przez Kościół, że tylko przez pracę cichą i spokojną podnieść się możemy, że trzeba tak korzystać z instytucyi nadanych, aby nie utracić, ale owszem więcej zyskać. Wreszcie polecił, aby tym z księży i świeckich, którzy na spowiedzi zeznają, że należą do spisku, lub że przysięgę złożyli na powstanie, tłumaczyli, że przysięga ta jest nieważną i grzeszną, że wpadają w klątwę, od której tylko Stolica apostolska uwolnić może. Wszystkim też dziekanom a nawet starszym proboszczom udzielił mocy, aby tym, którzy przyrzekną, że więcej do sprzysiężenia należeć nie będą, udzielali rozgrzeszenia <sup>1)</sup>. Wszystko to nadzwyczajnie się nie podobało zebranim i w duszy przyrzekali sobie, że wcale postępować nie będą według poleceń arcybiskupa. Synod więc ten w rezultacie nie przyniósł żadnej korzyści, owszem wielu księży z prowincyi, wpadłszy w gorączkową atmosferę Warszawy, wyniosło z niej prawdziwą febrę powstańczą.

Takie było położenie i usposobienie duchowieństwa; niemniej zaraza rewolucyjna ogarnęła także tę warstwę narodu, która dotąd ulegała naciskowi idei powstańczych, ale w głębi duszy była im przeciwną. Mówimy tu o szlachcie, o stronnictwie Białych, które teraz za pośrednictwem swego organu, bo Rady stanu, dało poznać rządowi, że zrywa z nim stanowczo i przystaje do partii Czerwonych. Posiedzenia tej najwyższej magistratury krajowej w początkach 1863 r. zapowiadały być bardzo płodne w następstwa. W pierwszych dniach lutego, kiedy burza, wywołana przez powstanie, szalała w najlepsze i kiedy nie zapowiadało blizkiego jej końca, W. książę, jako prezes Rady stanu wyjednał u cesarza, ażeby odtąd protokóły posiedzeń tejże Rady były przysyłane do Petersburga

<sup>1)</sup> Relacye piśmienne

nie w dwóch językach: rosyjskim i polskim, jak to dotychczas bywało, ale tylko w języku polskim<sup>1)</sup>. Pozornie był to fakt mało znaczący; w gruncie jednak rzeczy świadczył on o zwycięstwie idei zupełnej autonomii polskiej, skoro w stosunkach z cesarzem i królem miano odtąd wyłącznie języka narodowego używać. Niemniej w kilka dni później zostały zatwierdzone przez cesarza inne, równie ważne dla tej autonomii, wnioski rzeczony Rady stanu. Ks. arcybiskup Feliński zaproponował, a Rada jednomyślnie jego wniosek poparła, aby wydane było konieczne prawo, zapewniające bezpieczeństwo osobiste wszystkich mieszkańców Królestwa, tylokrotnie dotąd gwałcone i zależne od widzimisię pierwszego lepszego generała rosyjskiego. Ks. Feliński proponował więc, aby każdy aresztowany odtąd uwiadamyany był przez pismo o powodach jego aresztowania; aby w przeciągu trzech dni był stawionym przed władzę sądową, która o dalszem jego zatrzymaniu lub uwolnieniu wyrzeczy; aby nikt nie mógł być więzionym, lub jakiembądź innem ścieśnieniem jego osobistej wolności karany, jak tylko na mocy wyroku, zapadłego we właściwym sądzie, przy drzwiach otwartych i po wysłuchaniu obrony, za obwinionym przedstawionej. Wszystkie te wnioski, wymierzone przeciw owym tajnym sądom, zaprowadzonym przez Paskiewicza, wyrokującym przy drzwiach zamkniętych, gdzieś w głębi cytadeli i bez obrony, stanowiły prawdziwe *habeas corpus* polskie, i zostały zaakceptowane przez cesarza w zasadzie. Jeden tylko wniosek, przez tegoż ks. arcybiskupa zaprojektowany i przez Radę stanu poparty, aby każdy karany, wyznaczoną mu karę tylko w granicach Królestwa odsiadywał, i skierowany przeciw owym tłumnym wywożeniom polskich przestępców i nieprzestępców w pustynię syberyjskie, cesarz odrzucił i „uznać raczył za przedwczesny“ z tej zasady, że projekt ten, „wchodząc w zakres kodeksu karnego, powinien stanowić nierozłączną z nim całość, od po-

<sup>1)</sup> „Dziennik powszechny“ Nr. 28 z r. 1863.

stanowienia bowiem lub uchylenia kary zesłania i od jej rozciągłości zależy całe stopniowanie kar, a gdy przejrzenie i zaprojektowanie zmian w obowiązującym w Królestwie prawie karnem i postępowaniu sądowem karnem, już najwyżej postanowionem zostało, przeto rozbiór tego przedmiotu ani uprzedzać, ani też przesądzać nie można<sup>1)</sup>.

Te prace Rady stann, jako też wyraźnie przeciwpowstańcze usposobienie większości jej członków, zdawały się zapewniać, że ta wysoka instytucja zachowa właściwy spokój ducha, wichrom rewolucyjnym porwać się nie pozwoli i wśród szalejącej burzy tworzyć będzie tę ostoję narodową, która ocali nawet polską od zupełnego jej rozbicia. I w rzeczy samej Rada zwycięsko odpierała wszelki nacisk na siebie stronnictwa Czerwonego; stanowczo odrzucała podsuwany jej przez to stronnictwo projekt podania się do dymisy i niewzruszoną obojętność zachowała na liczne oszczerstwa i obelgi, jakich jej nie szczędzono. Ale jeżeli z wewnętrznych ataków wychodziła dotąd zwycięsko, to oprzeć się nie mogła naciskowi zewnętrznemu, który błysnął jej nadzieją zupełnej niepodległości kraju. Sprawa bowiem polska, po bezskutecznem usiłowaniu francuskim wystąpienia przeciw Prusom, przybrała nagle inną postać i nawet w najbardziej wątpiących umysłach obudziła się nadzieja, że z tego osobliwszego zaiste konfliktu, jaki się nagle wytworzył, musi dla Polski jakieś korzystne nastąpić rozwiązanie. Anglia bowiem, oświadczywszy Francji, że nie widzi potrzeby występowania wspólnego przeciw Prusom, zwłaszcza, że konwencya 8 lutego stała się „martwą literą“, zaproponowała, jak wiemy, żeby wystąpiono przeciw „głównemu winowajcy“, to jest przeciw Rosji. Polityka angielska była pod tym względem bardzo jasną; jej, jakeśmy to już parokrotnie zaznaczyli, nie szło wcale o Polskę, tylko o zupełne i stanowcze poróżnienie Francji z Rosją. To też minister angielski hr. Russel, nie czekając na rezultat swej propozycyi, w d. 2 marca wy-

<sup>1)</sup> Loc. cit. Nr. 31.



słał notę do swego ambasadora w Petersburgu, lorda Napiera, z poleceniem odczytania jej ks. Gorczakowowi w tej nadziei, że cesarz Napoleon, popychany przez opinię publiczną, przez sympatyę zwłaszcza ku Polsce, pójdzie za tym przykładem i tym sposobem zerwanie „serdecznego porozumienia“ z Rosyą musi nastąpić. Nota rzeczona, opublikowana zaraz przez dzienniki, zrobiła wszędzie w Europie wielkie wrażenie, a w Polsce, którą oczywiście najwięcej obchodziła, prawdziwy entuzjazm. Hr. Russel zaznaczał z samego początku, że „rząd J. Kr. Mości z żywym interesem patrzy na stan rzeczy w Polsce“; że walka, jaka tam powstała, musi uleść przemocy wojskowej Rosyi, „ale ten sukces będzie otrzymany po całym szeregu bojów krwawych, po wielkim rozlewie krwi, po poświęceniu wielu ludzi i ruinach, po zubożeniu, którego zatarcie wymagać będzie długich lat“. Rząd jednak angielski nie mieszałby się do tej sprawy, gdyby nie pewne okoliczności szczególnie. „Królestwo polskie powstało i zostało przyłączone do cesarstwa rosyjskiego mocą traktatu 1815 r., w którym Wielka Brytania była jedną ze stron kontraktujących. Obecny rozpaczliwy stan rzeczy winien być przypisany temu, że Polska nie znajduje się w tych warunkach, w jakich stypulacye tego traktatu chciały ją widzieć“. Przytoczywszy następnie złamanie przez Rosyę tych warunków, wyraziwszy się z przekąsem o brance, która wywołała powstanie, nota angielska tak się kończy: „Wielka Brytania zatem, jako strona w traktacie 1815 r., i jako mocarstwo zainteresowane w sprawie spokoju europejskiego, sądzi, że ma prawo wypowiedzieć swe zdanie o wypadkach obecnych i pragnie to uczynić w sposób jak najprzyjaźniejszy dla Rosyi. Dla czegożby Jego Ces. Mość, którego dobra wola powszechnie jest znana, nie położył od razu końca tej walce krwawej, ogłaszając w łaskawości swej amnestyę natychmiastową i bez żadnych warunków swym poddanym polskim, i oświadczając jednocześnie, że Polsce będą udzielone te prawa polityczne i cywilne, jakie były jej nadane przez cesarza Aleksandra I przy wypełnianiu

stypulacyi traktatu z 1815 r.? Jeżeli będzie to zrobionem, to sejm i administracya narodowa zadowolni prawdopodobnie Polaków i opinię europejską<sup>1)</sup>. Lord Napier otrzymał przytem polecenie, aby po odczytaniu tej depeszy ks. Gorczakowowi, zostawił mu jej kopię. Depeszę tę zakomunikowano współcześnie francuskiemu ministrowi spraw zagranicznych, p. Drouyn de l'Huys, z tym dodatkiem, że „rząd Jej Kr. Mości z przyjemnością by się dowiedział, że gabinet cesarski wysłał przedstawienie w tymże duchu do ambasadora francuskiego w Petersburgu“<sup>2)</sup>. W trzy dni potem, bo d. 5 marca, hr. Russel zapewniał swego ambasadora w Paryżu, lorda Cowley, że cesarz austriacki chętnie przystąpi do akcji, na jaką zdecyduje się Anglia i Francya. „Rząd Jej Kr. Mości jest zdania, że należy niebawem wezwać główne mocarstwa, które podpisały traktat wiedeński, ażeby poradziły Rosyi powrót do zobowiązań i do polityki traktatu wiedeńskiego odnośnie do Polski“<sup>3)</sup>.

Ten gwałtowny nacisk ze strony angielskiej, słuszne wywołał zdziwienie w rządzie francuskim, który nie bez racyi, jak wiemy, podejrzewał w tym względzie dobrą wolę brytańską. Przytem odwoływanie się Anglii do stypulacyi kongresu wiedeńskiego, niemile raziło rząd Napoleona, który z natury rzeczy musiał być nieprzyjacielem owych uchwał międzynarodowych, co obaliły jego dynastye i których pogwałcenia sam cesarz Francuzów był najlepszym dowodem. Nie chciano przytem otwarcie zrywać z Rosyą, wskutek czego dość chłodno przyjęto propozycye angielskie; choć z drugiej strony nie wypadało stanowczo je odrzucać, gdyż mogły, przy jakimś zbiegu okoliczności, których tyle bywa w polityce, obrócić się na rzeczywistą korzyść Polski. Zresztą na dworze tujleryjskim krzyżowały się najrozmaitsze wpływy. Posłowie rosyjski i pruski nie przestawali uporczywie twierdzić, że powstanie zostało lub

<sup>1)</sup> „La Pologne et la diplomatie“, 120 i nast.

<sup>2)</sup> Loc. cit. 129.

<sup>3)</sup> Loc. cit. 133.

zostanie w krótkim czasie stłumione, że kraj wraca do posłuszeństwa, że ruch obecny nie ma wcale charakteru narodowego, że lud jest dlań wrogo usposobiony, że szlachta i więksi właściciele ziemscy stoją oden zdala, że jest to wybuch czysto rewolucyjny, że jest w związku z rewolucją międzynarodową i t. p.<sup>1)</sup> Te wszystkie twierdzenia nie pozbawione zresztą pewnej podstawy prawdziwej, powtarzali ministrowie francuzcy ks. Wład. Czartoryskiemu i dawali mu poznać, że może dobrzeby było, aby Polacy jakim aktem dowiedli światu, że powstanie ich jest narodowem, że wszystkie stany w niem biorą udział, i żeby tym sposobem zamknęli usta insynuacyom pruskim i rosyjskim. Dodawano przytem, że taki akt ze strony polskiej miałby pewne znaczenie wobec rozpoczynającej się akcyi dyplomatycznej mocarstw w sprawie polskiej.

Życzenia te wypowiedane ze zwykłą lekkomyślnością francuską, nadewszystko z nieznajomością istotnego położenia rzeczy i bliższego określenia natury owego aktu, gorąco zostały wzięte do serca przez tę grupę polską, która otaczała ks. Wł. Czartoryskiego, i która w dręczącej trosce o losy ojczyzny, w najlepszej niewątpliwie chęci jej służenia, uznała że takim aktem będzie podanie się członków Rady stanu do dymisyi. Oczywiście rzeczą było, że skoro najwyższa magistratura krajowa, złożona z najwybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa, przeważnie z wyższej szlachty, podaje się do dymisyi, to będzie jawnym i niezaprzeczonym dowodem, że ta szlachta, ci ojcowie narodu wyraźnie potępiają system Wielopolskiego i z rządem jego nie chcą mieć nic do czynienia. Nie dość na tem; postanowiono nadać temu krokowi daleko szersze, ogólniejsze znaczenie przez to, żeby wszystka szlachta, biorąca udział w Radach gubernialnych i powiatowych, z nich gremialnie wystąpiła<sup>2)</sup>. Nie ulega wątpliwości, że francuzcy dygnitarze, doradzający konieczność takiego kroku, nie bardzo

<sup>1)</sup> *St. Koźmian*, Rzecz o r. 1863, I, 48.

<sup>2)</sup> *Loc. cit.* I, 53.

pojmowali jego znaczenie i doniosłość dla kraju; im szło o prostą manifestację, a nie o czyn, któryby za jednym zamachem zrujnował budynek autonomii polskiej. Wina więc leży wyłącznie na tych, którzy otaczali ks. Czartoryskiego, którzy powzięli pomysł owej gremialnej dymisyi i starali się go koniecznie przeprowadzić w kraju. Walerjan Kalinka, późniejszy historyk Sejmu wielkiego, a podówczas jeden z członków biura paryskiego, jak się samo nazywało, Julian Klaczko głośny publicysta i członek także tego biura, pisywali listy do Warszawy z tem domaganiem się; Feliks Wołowski umyślnie po to jeździł do stolicy polskiej, a nawet zabiegał o to, by wywołać demonstracją uliczną przeciw tym, którzyby nie chcieli podać się do dymisyi; używano jednym słowem wszelkich sposobów, by zmusić Radę stanu do tego, co przy nacisku Czerwieńców i opinii powstańczej mieszczaństwa warszawskiego, nie mogło pozostać bez skutku. Wielu tłumaczono, że tego żąda cesarz Napoleon, że należy poprzeć akcyę dyplomatyczną przez wyraźne zerwanie z rządem, że będzie zbrodnią przeciw ojczyźnie stawianie przeszkód upominaniu się Zachodu o prawa Polski. Czyjeż serce polskie wobec tak postawionej kwestyi nie zawaha się? gdzież znajdzie się Polak, któryby nie zadrżał na myśl, że krokiem swoim może przeszkodzić zbawieniu ojczyzny?

Mimo to jednak. chłodny rozsądek, obawa czynu, będącego stanowczem zerwaniem z rządem, obawa przed krokiem, który mógł szkodę przynieść krajowi, była jeszcze tak silną w większej części Radców, że postanowili zwyczajem, wprowadzonym jeszcze przez Towarzystwo rolnicze, naradzić się, i jeżeli działać, to już działać wspólnie. Jakoż taka narada przychodzi do skutku; za podaniem się gremialnem do dymisyi najgłośniej przemawiał Aleksander Kurtz, dziedzic historycznego Otwocka, jeden z najbardziej wpływowych ludzi tej epoki, twórca zręcznych frazesów, które obiegały po kraju i stawały się nieraz hasłem dnia, sztandarem polityki szlacheckiej, jak np. owe zdanie o Wielopolskim, że „margrabia każe nam siadać do



powozu, ale nie powiada dokąd nas zawiezie<sup>1)</sup>. Popierał go Franciszek Węgłęński, który stale podkopywał Wielopolskiego, w tem przekonaniu, że on go zastąpi i naczelnictwo rządu cywilnego otrzyma po upadku margrabiego. Opierał się dymisji jak najusilniej jeden z członków Rady stanu, zdaje się p. Edmund Stawiski, głośny autor adresu lutowego w 1861 r. Inni nie wygłaszali stanowczego zdania, ale widocznem było, że przechylają się na stronę Kurta i Węgłęńskiego. W posiedzeniu tem brali udział także niektórzy członkowie Dyrekcyi Białej, i jeden z nich, powodowany zapewne trwogą wobec tak ważnego kroku, zaproponował, aby nie polegać na listach i doniesieniach osób prywatnych, ale wysłać kogoś do Paryża dla przekonania się, czy dymisya Rady stanu istotnie zgadza się z życzeniem cesarza Napoleona III. Uchwycono się tego projektu już dlatego samego, że odkładał krok stanowczy na później, że zyskiwało się na czasie, co w tej gorącej epoce miało wielokrotnie bardzo ważne znaczenie, zwłaszcza, że każdy dzień nieomal przynosił coś nowego i jutro mogło z gruntu zmienić całą sytuację. Do spełnienia tej misyi dość trudnej i nadzwyczaj odpowiedzialnej, uproszono pana Pawła Popiela z Kurozwęk, sąsiada margrabiego, człowieka obdarzonego dużą inteligencją, ale ulegającego częstokroć wrażeniom chwili<sup>1)</sup>. Umówiono się z nim, że jeżeli zatelegrafuje: *vendez actions Bromberg* (sprzedajcie akcje kolei Bydgoskiej), to znaczyć będzie, że Rada stanu ma niezwłocznie podać się do dymisyi; jeżeli zaś: *gardez actions Bromberg* (zatrzymajcie akcje kolei Bydgoskiej), to znaczyć będzie, że z dymisją ową należy się wstrzymać. Popiel w rzeczy samej pojechał i podobno nabral przekonania, że w rzeczy samej dymisya dobrzeby była w Pa-

<sup>1)</sup> Tak twierdzi Koźmian, Rzecz I, 55. Według relacyi rękopiśmiennej, jaką posiadamy o tej sprawie w naszych zbiorach, nie Popiel, ale Kurtz został wysłany do Paryża. Nie decydując się rozstrzygać w tej kwestyi, drugorzędnego zresztą znaczenia, poszliśmy za zdaniem Koźmiana, który nam się wydaje prawdopodobniejszem.

ryżu widzianą, ale że jeszcze nic nie nagli i ostateczną decyzję w tej sprawie należy zostawić rozwojowi wypadków. Wskutek tego telegrafuje do Warszawy nie tak jak się umówił, ale słowami: *attendez mon retour* (czekajcie na mój powrót<sup>1)</sup>).

Tymczasem wypadki niestety! nie dały na siebie czekać. W dniu 6 marca ukazało się słynne rozporządzenie zwierzchności wojskowej warszawskiej o oddaniu władzy policyjnej po wsiach w ręce chłopskie. Rozporządzenie to wywarło nadzwyczajne wrażenie na szlachtę i na członków Rady stanu, bez wiedzy których rząd tak ważny i doniosły w swoich następstwach krok zrobił. Powszechnie mówiono, że rząd przygotowywa nową rzeź galicyjską, i oburzenie, trwoga nawet była ogromną. Zwołano więc nowe posiedzenie członków Rady stanu, co czynić należy, wobec takiego kroku ze strony władzy; czy Rada, złożona przeważnie z żywiołów szlacheckich, może brać w dalszym ciągu udział w rządzie, który przygotowuje nową rzeź galicyjską? Postanowiono więc, nie czekając na dalsze wieści z Paryża podać się do dymisyi, tem więcej, że z otoczenia ks. Czartoryskiego nie przestawano ciągle nalegać na wybitniejszych Radców, by opuścili rząd, gdyż tym tylko sposobem będą mogli przekonać Europę, że powstanie nie jest czynem jednego stronnictwa, ale całego narodu. Najbardziej obawiano się, czy ks. arcybiskup Feliński zgodzi się na projekt gremialnego wystąpienia z Rady; miano pod tym względem poważne wątpliwości i doskonale to rozumiano, że pozostanie arcybiskupa na krześle Rady stanu, odejście dymisyi nawet wszystkich innych członków charakter uroczystego protestu przeciw działaniom i aktom urzędowym. Nie przestano więc koło ks. Felińskiego zabiegać. Zdarzyło się, że w tym czasie wracała do Warszawy z Paryża pani hr. Augustowa Potocka, dziedziczka Wilanowa. Damie tej ks. Czartoryski, czy też ktoś z jego otoczenia, wręczył list do ks. Felińskiego, list nale-

<sup>1)</sup> Loc. cit.

gający, by się nie odłączał od pozostałych członków Rady i wraz z nimi podał do dymisji. W Warszawie jakimś, nieznany nam bliżej sposobem, margrabia Wielopolski dowiedział się o przesyłce, jaką wiezie pani Potocka, i za radą syna Zygmunta, przy pomocy ówczesnego oberpolicmajstra Muchanowa, postanowiono zmusić panią Potocką zaraz po przyjeździe do oddania listu w ręce margrabiego. Misję tę, dość drażliwą, powierzono dwu oficerom pułku grodzieńskiego huzarów gwardyi. Ułożono się, że obaj ci panowie, należący przez swe nazwiska do arystokracji rosyjskiej, oczekiwać będą na dworcu kolei na przyjazd pani Potockiej, i w formie grzecznej, ale stanowczej, zażądają od niej oddania sobie listu. Chciano rzecz całą załatwić cicho i liczono, że tym sposobem przetnie się akcja, ze wszech miar szkodliwa dla kraju. Na nieszczęście dwaj oficerowie, przeznaczeni do tej misji, spóźnili się na pociąg kolei; pani Potocka przyjechała i nie nagabywana przez nikogo, listy ks. Felińskiego natychmiast wręczyła<sup>1)</sup>.

Ale książę ten już i z innej strony był naciskany. Ostatnie postanowienie członków Rady, gremialnego podania się do dymisji, zostało zakomunikowane arcybiskupowi<sup>2)</sup>, z tem, zdaje się, wyjaśnieniem, że powodem tego kroku jest rozporządzenie namiestnika z d. 6 marca, oddające w ręce włościan całą policję wiejską i władzę chwytania wszystkich ludzi podejrzanych. Ks. Feliński jednak, wprzód, nimby się zdecydował na krok tak stanowczy, którego całą doniosłość rozumiał, postanowił zażądać wyjaśnień od margrabiego. Ten ostatni, zapytany przez arcybiskupa, co znaczy ów udział chłopów w tłumieniu powstania, udział, który doprowadzić może do krwawych nadużyć, odrzekł krótko, że „nie ma żadnych wyjaśnień do udzielenia, sądzi zaś, że sama jego obecność w rządzie, jest dostateczną rękojmią, że sceny galicyjskie nie powtórzą się

<sup>1)</sup> Relacja piśmienna.

<sup>2)</sup> Ks. Z. S. Feliński, *Mój pobyt w Warszawie* („Historia 2 lat“, V, 472).

w Kongresówce“<sup>1)</sup>. Odpowiedź była wyniosła, zgodna z charakterem margrabiego, ale wcale nie uspakajająca. Władza teraz leżała nie w rękach Naczelnika rządu cywilnego, ale kilkudziesięciu drobnych baszów powiatowych, którzy nie tylko nie tłumili ruchu chłopskiego, jaki się tu i owdzie objawiał, ale, jak wiemy, chętnie go sami podsycali. Dla tego też arcybiskup niezadowolony dumną odpowiedzią magnata polskiego, udał się do samego W. księcia z takimże zapytaniem. Ten bardzo uprzejmie objaśnił go, że rozporządzenie z d. 6 marca, które tyle narobiło hałasu, ma jedynie na celu powstrzymanie włościan od samowolnego ścigania i chwytania powstańców, czego już chłopci w niektórych okolicach się dopuszczali. Jeżeli ten zakaz ma formę mniej stanowczą, niżby to może należało, to jedynie przez wzgląd na Petersburg, który domaga się kroków silnych i bezwzględnych. Odtąd chłopci tylko na wezwanie władz i przy udziale wojska ścigać mogą powstańców<sup>2)</sup>. Jednem słowem W. książę starał się owe fatalne rozporządzenie tak przedstawić, jakiem ono w istocie rzeczy było, to jest okiełznaniem ponurego ruchu ludowego, cuchnącego zdała krwią, który się już tu i owdzie objawiał. Nie dość na tem; W. książę, nie poprzestając na ustnem objaśnieniu, przysłał nazajutrz arcybiskupowi przez osobistego swego sekretarza, pana Nabokowa, sprawozdania gubernatorów i inne akta, dowodzące konieczności wdania się w tę sprawę rządu<sup>3)</sup>. Niewątpliwą było rzeczą zatem, że W. książę działał w dobrej wierze, i że rozporządzenie owe nie miało wcale tej doniosłości i znaczenia, jakie mu rewolucyoniści wszelkiego pokroju nadać się starali.

<sup>1)</sup> Loc. cit. Myli się więc *Prawdicki*, „Wspomnienie o Z. S. Felińskim“, 170, twierdząc, że Wielopolski w sprawie owego rozporządzenia, kazał (przez trzecią jakąś osobę) odpowiedzieć arcybiskupowi, „że na tem polu porozumiećby się nie mogli, zatem i spotykać się nie mają potrzeby“.

<sup>2)</sup> Ks. Z. S. Feliński, loc. cit.

<sup>3)</sup> Loc. cit.



Tymczasem powzięta przez t. z. „niezależnych“ członków Rady decyzja podania się do dymisji, została wykonaną. Dwaj bracia Lewińscy: Jakób i Michał, Aleksander Kurtz, Franciszek Węgleński, który zawsze szedł za Kurtem i który do swej dymisji dołączył obszerny memoriał o sprawie polskiej, wreszcie Leopold hr. Poletyło, mocno podrażniony tem, że sprawca rzezi wojsławickiej nie był głośno i manifestacyjnie ukarany, podali się do dymisji d. 10 marca, która została przyjęta i ogłoszona w organie urzędowym pod d. 17 marca, z wyraźnym dodatkiem: „na własne żądanie“. Podawali się i inni, ale dopóki ks. Feliński i p. Edmund Stawiski pozostawali w Radzie, wystąpienie tamtych panów nie miało jeszcze doniosłości i znaczenia politycznego. Naciskano też na nich coraz bardziej; wreszcie Stawiski zdecydował się także na ten krok<sup>1)</sup>;

<sup>1)</sup> O nim to, jeżeli się nie mylimy, *St. Koźmian*, Rzecz I, 56, opowiada taką historią, że Enoch, sekretarz stanu, dowiedziawszy się o jego zamiarze, oświadczył, że dymisji jego nie przyjmą, tylko dadzą mu paszport zagranicę. Ów Radca (tak go Koźmian nazywał), udaje się więc osobiście do W. księcia, odbywszy wprzód spowiedź i przyjąwszy komunię, co świadczy jak głęboko przejęty był krokiem, który czynił i jak wielkie do niego znaczenie przywiązywał. Audyencya odbyła się tak rano, że Konstanty wyszedł do gościa mocno zaspany i w płaszczu wojskowym. Polski radca stanu począł tłumaczyć się przed tym wielkim kniazem rosyjskim, dlaczego opuszcza swe stanowisko; dotąd bowiem on i jego koledzy byli przekonani, że służąc Monarsze, służą zarazem krajowi, ale teraz, gdy na stały rządy wojskowe, sądzą, że nie mogą spełniać swych obowiązków użytecznie dla ojczyzny. Na to W. książę słuszną zrobił uwagę, że, gdyby w rzeczy samej zapanował system wojskowy, on by pierwszy z Warszawy wyjechał. Powoli rozmowa, przybierając ton przyjacielskiej pogawędki, przeszła na tony szersze, na ogólne położenie kraju. „Czego chcecie?“ pytał W. książę tak samo jak już od ośmiu blisko miesięcy pytał i bodaj czy nie zawsze tę samą otrzymywał odpowiedź „zupełnej niezależności“. I teraz ów Radca to samo mu mówił; twierdził, że nawet najliberalniejsze reformy kraju nie zadowolnią, że ma on „poczucie bytu narodowego“. Potem, uderzając w strunę, która tajemnie drgała w duszy Konstantego Mikołajewicza, radził mu, by wziął inicjatywę w sprawie polskiej, by Rosyja ją wzięła. Taki krok zyskałby sobie sympatyą całego świata i Polski

wszelako zawsze najwięcej mającą na zewnątrz znaczenia osobistością w Radzie stanu, był ks. arcybiskup Feliński. Dopóki on w niej figurował, dopóty można było liczyć na ocalenie choć pozorów tej instytucji. Ale, naciskany ze wszech stron, z Warszawy i z Paryża, zachwiany w swych przekonaniach, prawie pewny po rozmowie z Nabokowem, że terroryzm i rządy wojskowe wkraczają do Królestwa, „uznał za właściwe, jak sam o sobie pisze, usunąć się z areny politycznej wprzód, nim zajdą wypadki, za które nie życzył sobie być odpowiedzialnym“<sup>1)</sup>. Wskutek tego zrobił to, co inni już koledzy jego w tej najwyższej magistraturze krajowej zrobili, t. j. d. 11 marca podał się do dymisji z Rady stanu. Przez nieuwagę zaadresował swe podanie do Rady administracyjnej. Sekretarz stanu Enoch, otrzymawszy tę prośbę, pobiegł oczywiście do W. księcia, a ten natychmiast wezwał do siebie arcybiskupa. I rozegrała się teraz scena dziwna, straszna nawet ze względu na swe następstwa, przypominająca z wielu względów na zawsze pamiętną w dziejach naszych scenę w Wierzbnie w r. 1830, gdy deputacya polska przyjechała do W. ks. Konstantego Pawłowicza. Jak stryj, tak i bratanek, w prze-

„któraby pozostała pod berłem dynastji rosyjskiej“. W. książę słuchał tego, zdaje się, z wielką przyjemnością, boć to odpowiadało jego pragnieniom wewnętrznym i potakująco kiwał głową. Zwrócił potem uwagę owego Radcy, że bądź co bądź położenie Królestwa jest o wiele lepsze od położenia Galicyi i Ks. Poznańskiego, na co Radca stanu odpowiedział, że prowincyi tych w żadnym razie nie można porównywać z Królestwem, gdyż to ostatnie ma prawa, zagwarantowane traktatem wiedeńskim. W. książę i temu nie zaprzeczył, zrobił tylko uwagę, że rozwiązanie sprawy polskiej jest nadzwyczaj trudnem; że walka między Polską i Rosyą nie od dziś się toczy, że, gdy pierwsza była silna, to przewodziła nad drugą; dziś rzeczy mają się odwrotnie; jest to „proces historyczny“. Ale te ogólniki do niczego nie mogły w tej chwili doprowadzić, ustał więc i wyraził żal, że ów Radca podaje się do dymisji, ale bądź co bądź zaprzeczyć nie może, iż postąpił lojalnie. To rzekłszy, ucałował Radcę, wezwał nawet żonę, ażeby się z nim, a zapewne i ze swemi słodkimi marzeniami na zawsze pożegnała.

<sup>1)</sup> Ks. Z. S. Feliński loc. cit. V, 472.

dziale trzydziestu trzech lat, zdawali się błagać Polaków, by własnymi rękami nie zakuwali ojczyzny do trumny. Niewątpliwie obaj mieli w tem cele własnej ambicji, ale cele te zbiegały się z interesami polskimi i niestety! zaślepienie tylko, bielmo jakieś, które padło na oczy nawet najlepszych synów ojczyzny, nie pozwalało im tego dojrzeć. W książę, przyjmując arcybiskupa nie miał grozy rządowej na sobie, pozbył się nawet zwykłego chłodu pańskiego i znać było, że do rozmowy tej nie przygotowywał się wcale, że mówił to, co mu serce dyktowało, co mu żal za straconymi niepowrotnie ideałami kładł na usta. I dziwna rzecz, możliwa tylko w tych czasach strasznego przewrotu, ten książę rosyjski był lepszym, uczciwszym, serdeczniejszym nawet patriotą polskim, niż ci wszyscy, którzy głośno o tem wołali i niby zbawić chcąc ojczyznę, w przepaść ją popychali. „Wiem, że kraj kochasz i pragniesz jego szczęścia, mówił do ks. Felińskiego, wierzysz temu, że sprawa, którą mi powierzono, niemniej mi jest drogą, chociaż z innych powodów. Ruina waszych nadziei, zagrzebie też w gruzach i moje upragnione ideały, i to nie osobiste tylko, ale mogące mieć nieobrachowane następstwa dla przyszłych pokoleń. Byłem i jestem gotów do najcięższych ofiar, byle stanąć u celu. Jakim sposobem jednak chcecie, bym spełnił moje posłannictwo, kiedy mię odstępują ci wszyscy, dla których w pierwszym rzędzie pracę moją poświęcam?“ Wypowiedziawszy te słowa, zdradzające najskrytsze jego myśli, wypastowane w ciszy długich zimowych nocy na starym Zamku warszawskim, zwrócił uwagę swego gościa, na szaloną reakcję, wrzającą koło cesarza, na to, że cofnięcie nadanych Królestwu instytucji, będzie koniecznem następstwem ich lekkomyślnego odtrącania przez Polaków. Pytał, dlaczego arcybiskup podaje się do dymisji w chwili tak krytycznej, kiedy rewolucya czyni nadludzkie wysiłki w kraju i za jego granicami, by rząd zdyskredytować i zyskać sobie wszystkie umysły? „Wiem, mówił, że do obozu nie pójdziesz i nikogo do lasu nie wyprawisz, a jednak postępowaniem swoim najsku-

teczniej powstanie wspierasz“. Arcybiskup wzruszony był do głębi temi słowy, nie wzniósł się jednak, nie był zdolny wznieść się na wyżyny, na jakich los go postawił. Wyraziwszy, że osobiście gotów jest do wszelkich poświęceń, zaznaczył wszelako, że w obecnem położeniu obowiązki pasterza nie dadzą się pogodzić z wymaganiami zdrowej polityki, jak gdyby była na świecie kiedykolwiek taka polityka, któraby nakazywała Polakowi przestać być Polakiem. Wychodził on mianowicie w obronie swego kroku z tego założenia, że przy najgorętszej miłości kraju mąż stanu może być nieraz zmuszonym do krwawej nawet represji, skoro dobro społeczeństwa tego wymaga, „pasterzowi zaś udział w krwi rozlewie nigdy godziwym być nie może“. Twierdził więc, że „stosunek między władzą a narodem zaostrza się coraz bardziej“, tak że przyjść może do represji, obejmującej kraj cały, bez odróżnienia winnych od niewinnych; utrzymywał, że nawet powaga brata cesarskiego nie będzie wstanie przeszkodzić temu nieszczęściu; że obowiązkiem pasterza jest podzielenie losu powierzzonego mu ludu, „choćby ten zawinił, aby go pocieszać i z upadku dźwigać“. „W żadnym zaś razie, kończył, nie wolno pasterzowi wiązać się solidarnie z władzą, która w konieczności politycznej usprawiedliwienie surowości swej znajdzie. Pozostając w Radzie stanu, wówczas zwłaszcza, kiedy niezależni jej członkowie podali się do dymisji, byłoby przyjęciem na siebie odpowiedzialności za możebne postępowanie rządu. Mogęż mniej uczynić, jak usunąć się całkiem z areny życia politycznego i zamknąć się wyłącznie w sferze obowiązków pasterskich?“ Na to W. książę zauważył, że takie wyjście ze względu na stosunek z rządem, jest wprost niemożliwe, że Węgleński i Kurtz mogą tym sposobem zakończyć swój stosunek z W. księciem, bo z chwilą, gdy wyjdą z Rady stanu i wrócą do życia prywatnego, on nie będzie miał ani sposobności, ani potrzeby spotykania się z nimi, z arcybiskupem zaś stosunek musi ciągle istnieć i jest konieczny. „Mogęż ja podać naczelnikowi duchowieństwa życzliwą rękę, pytał, zerwawszy sto-



sunek ze stałym członkiem Rady stanu?<sup>4</sup> Wreszcie dymisya, o którą ks. Feliński się podał, nie może być dana, bo zasiada on w Radzie stanu nie jako Feliński, ale jako arcybiskup warszawski, do którego godności urząd ten nieoddzielnie jest przywiązany. W. ks. Konstanty, szukając uparcie jakiegoś wyjścia z tego położenia, zaproponował ks. Felińskiemu, że jeżeli nie chce być odpowiedzialnym za decyzje Rady stanu, to niech nie przychodzi na jej posiedzenia; „ale, wołał, nie dostarczaj broni przeciwnikom rządu, manifestacyjnem usunięciem się od niego<sup>4</sup>. Lecz wszystkie te przedstawienia i prośby, którym słuszności nikt zaprzeczyć nie może, których przypomnienie dzisiaj serce kraje, nie miały żadnego skutku. Arcybiskup twierdząc, że „uczynił to, co mu sumienie nakazywało“, oświadczył w końcu, że jeżeli otrzyma odpowiedź, iż dymisya udzieloną mu być nie może, to ponownie o nią nastawać będzie<sup>1)</sup>.

Tak się skończyła ta brzemienna w najzgubniejsze następstwa rozmowa, taką miał historią ten cios, zadany własnej ojczyźnie, przez człowieka niewątpliwie kochającego ją gorąco, przez najzacniejszą, najbardziej entuzjastyczną duszę, ale oszołomioną niezdrowymi wyziewami chwili. W. książę, żegnając się z arcybiskupem, uściśkał go serdecznie, i ndając, że odniósł tryumf nad skrupułami Felińskiego, upoważnił go do udawania się do Zamku, ilekroć tylko chce będzie, bez zwykłych formalności urzędowych. Trzymając się nadal polityki ndawania, nazajutrz rano przysłał do niego Enocha, który zwrócił arcybiskupowi podaną wczoraj prośbę o dymisya i współcześnie oddał własnoręczny list namiestnika. W liście tym, skreślonym po francusku, W. książę donosił, że „zgodnie z umową zapadłą w czasie widzenia się dzisiejszego“, zwraca mu podanie o dymisya, „którego nie ma prawa przyjąć z powodów

wyjaśnionych ustnie“, że zatem całą tę sprawę uważa za niebyłą<sup>1)</sup>. Zmartwiło to bardzo arcybiskupa, tem więcej, że w kilka dni potem, zdarzyły się okoliczności, które go postawiły w nader drażliwym i niejasnem położeniu. Nadeszła bowiem z Paryża wiadomość, że księżę Napoleon, brat stryjeczny cesarza Francuzów, wygłosił w senacie francuskim gorącą mowę za Polską. W mowie tej położył wielki i znaczący nacisk na dymisya ks. Felińskiego, o której niewątpliwie donieśli mu Polacy, bawiący w Paryżu i podmówili księcia do publicznego jej ogłoszenia z wyżyn trybuny parlamentarnej całemu światu. Mówił więc ks. Napoleon, że arcybiskup warszawski „widząc jednomyślność ruchu (polskiego) i niemożność jego powstrzymania, ożywiony szlachetnem uczuciem, oburzony zachowaniem się armii rosyjskiej, podał się do dymisyi. Zrobił to, co mógł zrobić na swem wysokiem stanowisku“. Opowiedziawszy następnie w formie dość ogólnikowej rozmowę W. ks. Konstantego z ks. Felińskim, jako główny powód dymisyi, podał postępowanie okrutne wojska rosyjskiego.

Mowa ta, tak nie w porę się pojawiająca, zaostrzyść koniecznie musiała położenie, tym więcej, że w odpowiedzi niejako na nią, rozesłano po Europie z Warszawy ze źró-

<sup>1)</sup> List ten w całości czytać można w pamiętnikach ks. Felińskiego (Historja 2 lat, V, 174). Ks. Feliński powiada przytem, że „ogólnikowy i niejasny ton tego listu, zwłaszcza zaś pominiecie głównego argumentu odmowy, tej mianowicie okoliczności, że dymisya nie może być dana dygnitarzowi kościola, do godności którego (oczywiście dygnitarza), urząd członka Rady stanu nieoddzielnie jest przywiązany, niepomalu zmartwiły arcybiskupa“. Z tej uwagi ten logiczny należałoby wyciągnąć wniosek, że „gdyby W. książę o argumencie powyższym w liście swym był wspomniął, to arcybiskup nie byłby podał się do dymisyi; a zatem dalej wnioskować należy, że ks. Feliński rozmowę swoją niedokładnie podał w pamiętniku, i przypuszczać trzeba, że na skutek jej zgodził się na cofnięcie dymisyi, i w liście W. księcia chciał mieć usprawiedliwienie przed kolegami z Rady stanu. Wogóle cała ta sprawa dość niejasną jest jeszcze.

<sup>1)</sup> Loc. cit. Rozmowę tę podaje także S. Prawdzicki, Wspomnienie 171. ale jak zwykle w formie i treści zupełnie kłamliwej.

del urzędowych, zaprzeczenie wiadomości o dymisji ks. arcybiskupa. Rzuciło to wszystko dość niekorzystne światło na tego ostatniego, a w stanie podrażnienia, w jakim się znajdował, najgorsze wywołało skutki. Nikogo nie radząc się, nikomu o swym zamiarze nie mówiąc, powziął on myśl napisania listu do samego cesarza w celu, jak się wyraża<sup>1)</sup>, „jasnego określenia swego stanowiska tak w stosunku do rządu, jak i do sprawy narodowej“. List ten, zredagowany po francusku, zaczynał się od tego, że „było zawsze posłannictwem i przywilejem kościoła, podnosić głos do mocarzów w chwilach wielkich nieszczęść i klęsk publicznych“, więc on „jako pierwszy pasterz Królestwa Polskiego“, odzywa się do Monarchy, by mu przedstawić naglące potrzeby swej owczarni. Zaznaczywszy, że krew leje się strumieniami, że represya zwiększa tylko rozdrażnienie, woła w patetycznej i pięknej apostrofie do cesarza: „Błagam W. C. Mość w imię miłosierdzia chrześcijańskiego i w imię interesów obu krajów, abys położył kres owej wojnie wytępienia“. Instytucye nadane Polsce nie mogą jej zapewnić szczęścia, nie zadowolni się ona autonomią administracyjną, ona potrzebuje życia politycznego. „Najjaśn. Panie! weź silną ręką inicjatywę w sprawie polskiej, uczyn z Polski naród niepodległy, połączony jedynie z Rosyą węzłem Twojej dostojnej dynastyi“; jest to jedyny środek, mogący powstrzymać rozlew krwi i położyć podstawy ostatecznego uspokojenia. „Czas nagli, każdy dzień stracony kopie coraz większą przepaść między tronem i narodem. Nie czekaj N. Panie końca walki; więcej jest prawdziwej wielkości duszy w łaskawości, która się cofa przed rzezią, jak w zwycięstwie, wyludniającem Królestwo“. W końcu wyraził nadzieję, że „monarcha, który wyswobadzając z niewoli wśród tylu przeszkód dwadzieścia milionów swych poddanych, aby z nich uczynić wolnych obywateli, nie cofnie się przed zadaniem równie chwałebnem,

<sup>1)</sup> Ks. Z. S. Feliński, Mój pobyt w Warszawie, loc. cit. V, 474

zapewnienia szczęścia narodowi, tak okrutnie doświadczonemu“<sup>1)</sup>).

List ten bardzo silny i bardzo pięknie napisany, pełen owych tajemniczych dreszczy duszy zranionej głęboko, nie mógł oczywiście mieć skutku, choćby dlatego, że stał jako niezbędny warunek uspokojenia kraju, przywrócenie stanu z przed r. 1831; owszem, posuwał się dalej, bo nie chciał, by panował w Polsce ten sam co i w Rosyi monarcha, ale by tylko na tronie polskim siedziała dynastia rosyjska. Na to cesarze rosyjscy mogliby się zgodzić, ale nie na prośbę arcybiskupa, lecz pod naciskiem nieprzełamanych okoliczności. Ks. Feliński zresztą sam nie wierzył w dobry rezultat tego listu, lecz napisanie go uważał za konieczne, choćby z tego tylko względu, by, jak sam się wyraża, gabinety europejskie wiedziały, że „najumiarkowańsi nawet patryoci, domagają się wskrzeszenia Polski jako państwa“<sup>2)</sup>. Otaczającym go księżom, już po napisaniu tego listu, dał poznać, zgodnie z nauką Towiańskiego, że pismo to jest owocem natchnienia Bożego; *digitus Dei* est hic mówił. List sam osobiście zawiózł do W. księcia i oddał mu go do rąk, z prośbą o przesłanie cesarzowi. Ale to stanowiło jedną i drugorzędną, że tak powiemy, część akcyi politycznej, jaką arcybiskup rozpoczął. Drugą, ważniejszą w jego oczach, polegała na tem, by list mógł być opublikowany w gazetach zagranicznych, i żeby tym sposobem doszedł do wiadomości ludów i rządów europejskich. Zdarzyło się, że właśnie mniej więcej w tej porze, brat rodzony arcybiskupa, także ksiądz, udawał się na kuracyą do wód w Hyères we Francyi. Jemu więc list powierzono z poleceniem, by wstąpił do Paryża i wręczył go ks. Czartoryskiemu z prośbą o opublikowanie w czasie,

<sup>1)</sup> Tekst oryginalny tego listu czytać można w pamiętniku ks. Felińskiego (Historja 2 lat, V, 474), oraz u Lisickiego Le marquis II, 378. Przekład polski znajduje się w dziełku S. Prawdzickiego, Wspomnienie 173.

<sup>2)</sup> Ks. Z. S. Feliński, Mój pobyt w Warszawie, loc. cit. V, 475.



jaki uzna za stosowny i odpowiedni<sup>1)</sup>. Ks. Feliński, spełniwszy to zadanie, które uważał za najgłówniejsze, oczekiwał spokojnie na rezultat swego listu, wręzonego W. ks. Konstantemu. Ten po tygodniu dopiero wezwał arcybiskupa do siebie, i zachowując tym razem postawę chłodną i dumną, list mu oddał, mówiąc: „że tego listu ja posłać cesarzowi nie mogę“. Nacisk, położony na wyraz „ja“, zdradzał widoczną obawę, by tam, w Petersburgu, nie posądzano go o to, że on, dążący do tronu polskiego, o czym doskonale w stolicy rosyjskiej wiadano, namówił arcybiskupa do skreślenia tego pisma. Ks. Feliński, odbierając list, rzekł: „A więc pozostaje mi tylko list ogłosić w gazetach, albo ponowić prośbę o dymisyę“. „O opublikowaniu tego pisma mowy być nie może“, zauważył W. książę i audyencya się skończyła. Zaraz potem arcybiskup ponownie podał się do dymisyi, która mu udzieloną została i ogłoszona wraz z uwolnieniem Stawiskiego w d. 31 marca.

Tak więc padał częściowo w ruinę budynek, tak mierznie wznoszony przez Wielopolskiego i rozsypywała się w gruzy krwawe sama ojczyzna. Podanie się Rady stanu do dymisyi, mówiło głośno i manifestacyjnie przed światem, że najumiarkowańsze żywioły w Polsce, odsuwają się od margrabiego i jego rządów, że on całkiem jest osamotniony. Był to niewątpliwie najcięższy, najdotkliwszy cios, jaki zadały ręce polskie jego systemowi, co mniejsza, ale własnej ojczyźnie, co już nigdy wybaczonem być nie może. Niemniej z dynisją tą nikły, jak miraż pustylny,

<sup>1)</sup> Ks. Feliński w swych pamiętnikach daje poznać, że ogłoszenie w kwietniu w „Monitorze“ francuskim nastąpiło bez jego woli i wiedzy, gdyż „list dwóm tylko osobom poufnie został zakomunikowany“, ale osób tych nie wymienia. Nasza relacya co do wręczenia listu bratu arcybiskupa, pochodzi ze źródła jak najautentyczniejszego. Dodać tu wypada, że p. Lisicki (Le marquis II, 377) myli się powiadając, że list był ogłoszony w „Monitorze“ tego samego dnia. w którym ks. Feliński cofnął pierwsze swe podanie o dymisyę. Stało się to, jak wiemy, d. 11 marca, list nosi datę 15 marca, ukazał się zaś w „Monitorze“ w końcu kwietnia.

ambitne marzenia wielkoksiażecej pary, marzenia niestety! bardzo zbawienne dla tej nieszczęśliwej Polski, gdyby mogły być urzeczywistnionemi. Ale ręce najlepszych patryotów polskich rozrywały uparcie wszelkie nici, jakie Konstanty z uporem dusz ambitnych nawiązywał, by sobie tron, a Polsce niepodległość stworzyć, tę samą niepodległość, dla której „dzieci warszawskie“ szły w bory kampinowskie, dla której setkami ciał kładły się na polach węgrowskich, lub konały cicho i smutnie w głębi lasów świętokrzyskich. Obie strony dążyły do jednego celu, jakkolwiek obie różną rozciągłość dawały temu celowi, ale obie używały tak rozmaitych, tak wyłączających się nawzajem, tak przeciwnych i wrogich sobie środków, że niszcząc się wzajemnie, wypowiadając sobie wojnę nieubłaganą, krwią zlewały ciało ojczyzny i zakuwały ją powoli w trumnę. Ale Opatrzność, tylokrotnie zsyłająca Polsce błyski szczęścia, z których zaiste! ona nigdy skorzystać nie umiała, i tym razem, w tej ponurej nocy powszechnych klęsk i niedoli, ukazała parę światełek nadziei. Te nadzieje zgasły, jak się zdawało w stolicy polskiej, na wielkiej scenie warszawskiej, miały teraz odżyć we wrzawie sandomierskich obozowisk powstańczych, wśród lasów krakowskich, w szarem zbiorowisku improwizowanych obrońców ojczyzny. Tam więc teraz oko historyka zwrócić się winno, by przypatrzeć się obrazowi jednemu z najdziwniejszych, jakie kiedykolwiek istniały i zdarzeniom, których pierwotzory chyba w fantastycznych powieściach poetów romantycznych odnaleśby można.

## ROZDZIAŁ IV.

### Krzywosądz. Miechów. Małogoszcz.

Wyjazd delegacyi do Mierosławskiego do Paryża. Przyjęcie delegatów. Broń i rynsztunek wojenny. Plany wkroczenia. Zamiar wkroczenia przez Dobrzyń nad Drwęcą. Padlewski. Mierosławski wkrocza na Kujawy. Pozycja Krzywosądzka. Oddział Mielęckiego. Potyczka pod Cieplinami. Przejście granicy przez Mierosławskiego. Rozkaz wysłany do Mielęckiego. Budowa wozu wojennego. Marsz Mielęckiego i Schildner-Schuldnera. Starcie pod Krzywosądzem. Marsz ku Trojaczkowi. Atak rosyjski. Odwrót do Tomisławic i Słomkowa. Przybycie Sejdenwitza. Obóz w Nowej wsi. Niespodziewany napad rosyjski. Zupelna porażka. Rokosz pod Kazimierzem. Mierosławski wyjeżdża za granicę. Obustronne straty. Zachowanie się Mierosławskiego. Wrażenie jego ucieczki. Wniosek Bobrowskiego. Uchwała Rządu tymczasowego. Marsz Langiewicza do Słupi nowej. Marsz Czengierego i jego atak na św. Krzyż. Zręczny manewr Langiewicza i jego marsz do Staszowa. Intryga z Petrowem. Panna Pustowojtow. Potyczka Staszowska. Rozkaz dzienny Langiewicza. Obozowisko Ojcowskie. Skombinowana wyprawa rosyjska na Ojców. Potyczka Wanerta w Iwanowicach. Plany Kurowskiego. Jego marsz na Miechów. Pozycja Miechowa. Przygotowania Niepienina do obrony. Plan ataku i marsz Cybulskiego. Atak Rochebruna na cmentarz i miasto. Szarża jazdy Nałęcza i Radońskiego. Oddział Cybulskiego. Odwrót i straty obustronne. Pożar i rzeź Miechowa. Następstwa tej klęski. Kolejne oddziały Dobrskiego. Nikiforow. Marsz Jeziorańskiego na południe. Utarczka pod Lubochnią. Marsz do Studzian i zwiększenie się oddziału. Połączenie się z Nowakiem w Radkowie. Marsz do Ropocic. Mistrzowski marsz Langiewicza do Małogoszcza. Uwagi nad tym marszem. Spotkanie z Jeziorańskim.

Powitanie dwóch oddziałów. Dwie narady wojenne w Małogoszczu i Chęcinach. Plan rosyjski ataku Małogoszcza. Dobrowolski uprzedza innych. Pozycja polska. Początek walki. Grudziński rusza do ataku. Położenie Dobrowolskiego. Pojawienie się Gołubowa. Langiewicz opuszcza miasto. Szarża jazdy Jeziorańskiego. Czengierey przybywa na plac boju. Ogólny odwet powstańców. Marsz Langiewicza do Nagłowic i Słupi. Czengierey zabiera jego tabór w Ewinie. Tryumf rosyjski. Marsz Langiewicza do Pieskowej-Skały. Rokosz oficerów Jeziorańskiego. Przybycie Potebni. Projekt tryumwiratu. Wyprawa na Pieskową Skałę. Pozycja Langiewicza. Zdobycie, spalenie i zrabowanie zamku. Odwrót na Skałę. Stolzenwald na cmentarzu. Atak i odwrót Rosyan. Egzekucya w Smarżowicach. Obóz w Goszczy. Zakończenie.

**P**odczas, gdy się powyżej opisane wypadki rozgrywały na wielkiej scenie świata, gdy w stolicy polskiej sypał się w gruzy budynek z takim mazołem przez Wielopolskiego wzniesiony, w kraju, w cichym i sennym kącie Kujaw zaszły zdarzenia, które znaczny wpływ wywrzeć miały na dalsze koleje powstania. Wspomnieliśmy już we właściwym miejscu, że jednym z najpierwszych postanowień Komitetu centralnego, uchwalającego powstanie zbrojne było oddanie dyktatury w ręce generała Ludwika Mierosławskiego. Postanowienie to, wśród nieładu zrywającej się burzy, po upartym, dwudniowym oporze, nieomal przymocą wydarli zaciekli Mierosławczycy Komitetowi. Członkowie tego ciała, „z bólem serca i złowrogiem przeczuć, jednakże z należną pokorą”<sup>1)</sup>, ulegli naciskowi rozgorączkowanych szaleńców. Nawet Padlewski stłumił osobiste przekonania i dawniejsze zniewagi, i przyjął dyktaturę, „chcąc tryumfu prawdy rewolucyjnej”<sup>2)</sup>. Zawdzięczać to wszelako należy głównie, chwiejnemu i wiecznie wahającemu się, a właściwie zarażonemu swą pesymistyczną

<sup>1)</sup> List Bobrowskiego do Padlewskiego, (*N. Berg*, Zapiski IV, 192).

<sup>2)</sup> Loc. cit. IV, 195.



obojętnością i jakimś wschodnim fatalizmem, Aweydzie, którego Władysław Janowski na swą stronę przeciągnął<sup>1)</sup>, i rzecz, jak powiadamy, prawie gwałtem przeprowadził. Tenże sam Władysław Janowski, który chwilowo w Komitecie zastępował nieobecnego swego brata Józefa, odnośną uchwałę czemprowadził do Paryża w d. 21 stycznia. Gdy jednak przez kilka dni z rzędu żadnej nie było wiadomości od Janowskiego, gdy z Paryża nie nadchodził umówiony telegram, gdy przytem rozeszła się pogłoska (jak niektórzy utrzymują prawdziwa), że Janowski w przejeździe przez granicę, lękając się rewizji, dekret Komitetu zniszczył, wygotowano więc d. 25 stycznia nowy tego rodzaju dokument i z nim wysłano Władysława Daniłowskiego<sup>2)</sup>, zacieklego Mierosławczyka, członka rewolucyjnego ciała, które podkopywało Komitet centralny przez sześć blisko miesięcy zeszłego roku. Do tych dwóch posłów: Janowskiego i Daniłowskiego, przyłączył się zagranicą Władysław Jeska, także Mierosławczyk, mąż owej pięknej kobiety, tak namiętnie ukochanej przez Padlewskiego, a u której przechowywała się przez jakiś czas kasa Komitetu centralnego, i już razem ci trzej panowie, jako delegaci Komitetu, udali się do Paryża.

Wręczenie dekretu o dyktaturze, odbyło się z pewną uroczystością teatralną, które Mierosławski umiał, z wrodzonym sobie w tym kierunku talentem, urządzać. Przyjął on delegatów stojący, z wielką powagą na swej niewątpliwie charakterystycznej twarzy, ozdobionej długą, jasno blond, teraz już nieco siwiejącą brodą, otoczony gromadą wielbiącej go młodzieży, między którą odznaczał się jego sekretarz osobisty, Jan Kurzyna, z wielkim, jasnym wąsem i błękitnymi oczami, które znajomi jego zwali „porcelanowymi“. Mierosławski, przyjąwszy dyktaturę i wygłosiwszy przytem, zwyczajem swoim, patetyczną przemowę, gorącz-

<sup>1)</sup> A. Giller, *Historia* 1. 222.

<sup>2)</sup> Relacja Józefa Janowskiego w czasopiśmie „Ojczyzna“, z d. 26 lutego 1865 r.

kowo zajął się przygotowaniami do wyprawy do Polski. Zauważono jednak w nim pewną ociężałość, konieczny wynik wieku (liczył lat 49), i pewną gnuśność ciała, właściwą mu, jak się zdaje, zawsze<sup>1)</sup>, gdyż był to człowiek raczej myśli niż czynu, raczej pióra jak miecza. Przed wyjazdem widział on się z księciem Napoleonem (Plon-Plon), który poza plecami cesarza, nie bez uzasadnionych podejrzeń, że z jego wiedzą, kokietował rewolucję czerwoną, i otrzymał od niego na sprawę powstania polskiego 25.000 franków<sup>2)</sup>. Wyjazd przewlekał się trochę i słusznie poczęto sarkać, że, kiedy w kraju krew leje się potokami, jego wódz naczelny siedzi zdala, w bezpiecznym kącie paryskim. Nakoniec w d. 10 lutego, otoczony gromadą ślepo wielbiącej go młodzieży w liczbie dwunastu (Kurzyna, Saladyn Ramlof, Humiecki, Buski, Cielecki, Rościszewski, Seifrid, Janowski, Garczyński, Jackowski, Goślinowski i Turno), opuścił Paryż i udał się najprzód do Belgii dla ostatecznego zapłacenia zamówionej tam broni i ułożenia się co do jej dostawy do granic Królestwa. Zamówiono mianowicie w Liège u fabrykanta p. Bronne, 120 starych karabinów, odpowiednią ilość pałaszy, rewolwerów, prochu i kul, które tenże fabrykant obowiązał się wysłać do Bydgoszczy, w pakach, zawierających jakoby maszyny rolnicze<sup>3)</sup>. Broń ta jednak nigdy nie doszła do miejsca swego przeznaczenia, gdyż w Bydgoszczy została w d. 15 lutego przyaresztowana i skonfiskowana przez Prusaków<sup>4)</sup>.

<sup>1)</sup> A. Guttry, Pan Ludwik Mierosławski, 170, zauważył ten rys charakterystyczny dyktatora już w r. 1846.

<sup>2)</sup> M. P. *Ustimonie*, Zagowory i pokuszenia, 93, a za nim inni pisarze rosyjscy utrzymują, że Mierosławski dostał od ks. Napoleona „około 100.000 fr.“ Jest to fałsz. Mierosławski otrzymał tylko 25.000 fr., jak to w tekście powiedziano; wprawdzie udawał on się do Polski z sumą o wiele znaczniejszą, bo 153.000 fr. wynoszącą, ale ta w przeważnej swej części, bo 110 000 fr. powstała ze składek, napływających doń z kraju na potrzeby powstania. (Czytaj A. Guttry, loc. cit. 104 i „Dokumenty do dziejów organizacji jenerałnej“).

<sup>3)</sup> *Geskt-Puzgrewskij*, *Wojennyja diejstwa*, 245.

<sup>4)</sup> A. Guttry, loc. cit. 96.

Najwięcej jednak czasu zajęło i pochłonęło pieniędzy, przygotowywanie w Liège t. z. „rynsztunku wojennego“, wynalezionego przez dyktatora. Rynsztunek ten, według określenia samego Mierosławskiego, „stanowił nowy system obrony i ataku“. Składał się przede wszystkim z wozu na dwóch kołach, zaopatrzonego w kratę, z ośmiu po obu stronach przedziałami dla 16 strzelców, i uzbrojonego w sterzące zewnątrz kosi i fajerwerki. Szesnastu umieszczonych wewnątrz ludzi, miało pchać ten sprzęt ciężki i na polskich drogach piaszczystych lub błotnych wcale nieprzydatny. Mimo to Mierosławski wielką wagę przywiązywał do tego swego wynalazku. Nazywa on go „fortyfikacją zarazem lotną jak szarża kawalerii, a wszystko przed sobą łamiącą jak kolumny szturmowe“<sup>1)</sup>. Kiedy mu robiono uwagę, że ta „lotna fortifikacja“ ugrzęźnie na pierwszym lepszym polskim błocie, odpowiadał, że „obstalowanie wozów uważa za konieczne, i że mogą to nazwać jak chcą, mogą powiedzieć, że on (Mierosławski) ma bzika, ale on bez wozów ani kroku ruszyby się nie umiał“<sup>2)</sup>. Prócz tych nieszczęśliwych wozów, które budował ciągle, mnóstwo pieniędzy na nie wydał, ulepszał, a nigdy ostatecznie zbudować nie potrafił, wynalazł on jeszcze tornistry dla strzelców i kosynierów, które ich miały zasłonić od kul nieprzyjacielskich w czasie ataku. Tornistry te nie były także bardzo praktyczne, bo ciężkie; dla strzelców stanowiły one niby rodzaj tarczy, którą przed rozpoczęciem ognia rozkładali na ziemi, a w razie opuszczenia pozycji, znowu je zbierać musieli, co wymagało wiele czasu, a nadewszystko utrudzało mocno żołnierza<sup>3)</sup>. Tornistry zaś dla kosynierów tak opisuje jeden z przyjaciół dyktatora<sup>4)</sup>: „Jest to tornister-tarcza, który dowolnie daje się nosić bądź na plecach, bądź jak torba myśliwska na tym lub owym boku,

<sup>1)</sup> „Dokumenta do dziejów organizacji“, 127.

<sup>2)</sup> A. Guttry, loc. cit. 123.

<sup>3)</sup> Loc. cit. 82.

<sup>4)</sup> E. Petyon, Trzy rady w 1863 r. (Urywek z pamiętnika).

bądź na piersiach. W tej ostatniej pozycji tornister okrywa żołnierza od nóg po oczy i zabezpiecza go od kul karabinowych“. Wszystkie te wynalazki nie przeszły nigdy ognia praktyki, trudno więc o nich wydać sąd stanowczy; Mierosławski wszelako, jak powiedzieliśmy, wielką wagę do nich przywiązywał i w Liège zajęty był ich przygotowywaniem. Cały ten „rynsztunek wojenny“ wysłany wraz z bronią do Bydgoszczy, policja pruska skonfiskowała<sup>1)</sup>.

A czas naglił. Z Polski dochodziły grzmiące wieści, jeżeli nie o wielkich tryumfach i klęskach, to w każdym razie o walkach krwawych, toczonych na całym obszarze Królestwa i dziwnie wyglądało, że/kiedy wszyscy biją się jak mogą, wódz naczelny siedzi gdzieś zdala, za granicą. Bądź co bądź trzeba było jechać i Mierosławski zawiadomił Rząd w Warszawie, że dnia 13 lutego zamierza wkroczyć do Kongresówki. Jechał na Berlin, za pasportem francuskim kupca winnego z Szampanii, i nie chcąc być mimo to poznany, zgolił swą piękną, jasną brodę. W stolicy pruskiej, dokąd przybył d. 14 lutego, zabawił bardzo krótko; d. 15 był w Inowrocławiu, gdzie przepędził wieczór w dość licznej towarzystwie, wśród którego znajdowało się paru oficerów pruskich, wiele i pięknie mówił i często wał szczerze swych współbiesiadników winem szampańskim. Pierwotnie chciał on wkroczyć w Lipnowskie, mianowicie w okolicach Dobrzynia nad Drwęcą, kwatera główna miała się mieścić w Gdańsku, dokąd Mierosławski zamierzał się udać, a na punkcie zbórnym nad Drwęcą mieli się zgromadzić strzelcy „z całego zaboru pruskiego“<sup>2)</sup>. Z drugiej strony, władze powstańcze w Warszawie, wiadomione o tem przez Daniłowskiego, który z tą wiadomością przybył do stolicy, postanowiły wysłać w Lipnowskie Oskara Aweyde z raportem o stanie rzeczy, oraz dla powitania dyktatora, a Padlewskiemu poleciły, by starał się przedrzeć w Lipnowskie, ułatwić przejście Mierosławskiemu

<sup>1)</sup> A. Guttry, loc. cit. 99.

<sup>2)</sup> E. Petyon, Urywek z pamiętnika (Londyn 1868 r.) p. 8.



i podać mu rękę. Daniłowski zresztą jedno tylko żądanie dyktatora przywiózł do Warszawy, a mianowicie, żeby była sformowana „straż przyboczna“, albo inaczej „straż chorągwianna“, jak ją sam Mierosławski nazywał, złożona z młodzieży inteligentniejszej i ślepo oddanej temu „bogowi rewolucyj“. Zadaniem tego wyborowego hufca miało być strzeżenie osoby dyktatora i ułatwienie mu dostania się do Królestwa. Osobliwsze to żądanie zostało przez członków Tymczasowego Rządu narodowego przyjęte; natychmiast wypłacono Daniłowskiemu 35.000 złp. na formację tej straży i wręczono mu czyste blankiety Rządu dla dyktatora. Daniłowski, jeżeli wierzyć niektórym doniesieniom, najnieudolniej przeprowadził formację owej straży<sup>1)</sup>; wreszcie, zebrawszy 60 ochotników, przeważnie studentów Szkoły Głównej, udał się z nimi na Kujawy, na przyjęcie dyktatora.

Tam bowiem miał wkroczyć Mierosławski, po nieudanej próbie dostania się w Lipnowskie. Nie zastał tu bowiem żadnych przygotowań, na co się później gorzko skarżał<sup>2)</sup>, jak gdyby nie było jego obowiązkiem samemu porobić te przygotowania, ukręcić bicz z piasku, jak to wszyscy dowódcy powstania robili. Zachowywał on co do miejsca swego pobytu jak największą tajemnicę i nikt nie wiedział, że bawi w Poznańskim<sup>3)</sup>, nikt nie otrzymał żadnych rozporządzeń, nikt też przygotowań poczynić nie mógł. Aweyde, wysłany w Płockie do Padlewskiego z rozkazem, ażeby tenże posunął się w Lipnowskie dla przyjęcia dyktatora, znalazł w tym młodzieńcu, przechodzącym ciągle paroksyzmy wielkiej rozpacz i najśmielszych nadziei, wyraźny opór przeciw takiemu rozkazowi. Z trudnością udało się Aweydemu przekonać na koniec Padlewskiego, że uczynić to należy. Właśnie w tej porze w Lipnowskim, niejaki Artur Sumiński, bogaty ziemianin z tamtych oko-

<sup>1)</sup> A. Giller, *Historia* I, 223.

<sup>2)</sup> E. Petyon, *Urywek z pamiętnika*, 8.

<sup>3)</sup> A. Guttry, *Pamiętniki* II, 122.

lic, sformował własnym kosztem oddział, z którym obozował w pobliżu Dobrzynia nad Drwęcą, t. j. miejsca, w którym dyktator zamierzał przedostać się do Królestwa. Gdy na koniec Aweyde zdołał namówić Padlewskiego, postanowili więc udać się do oddziału Sumińskiego i tam oczekiwać na przybycie dyktatora. Tymczasem nim tam dojechali, na Sumińskiego napadli kozacy i rozbili go z kretesem, a gdy i Mierosławski się nie pojawił w oznaczonym czasie, i na próżno nań oba wysłańcy oczekiwali pod Piątkowem, więc wrócili, Padlewski w Płockie a Aweyde do Warszawy.

Tymczasem, jakśmy wspomnieli, Mierosławski zmienił plan pierwotny i postanowił wkroczyć na Kujawy. Wydawało mu się to z wielu względów lepszem. Najprzód były to jego strony rodzinne, pochodził bowiem z Lubrańca, znał tu nieomal każdy dom, każdą dróżkę i każdy lasek, a potem miał tu bardzo wielu krewnych. Właściciel historycznej wsi Płowiec, Włodzimierz Biesiekierski, był żonaty z rodzoną siostrą dyktatora, i te to koneksye i związki krwi mogły zapewnić dyktatorowi pomoc i poparcie. A może też ciągnęła go tęsknota ujrzenia znowu po latach trzydziestu wygnania, tych niw kujawskich, tych urodzajnych nizin, tych jezior, nad którymi upłynął przed laty tysiącem senny wiek dzieciństwa Polski. Jako miejsce na założenie obozowiska, wybrał wieś Krzywosądz, leżącą w pobliżu wzmiankowanych Płowiec, między Włocławkiem a granicą pruską. Uważał on ten punkt za „jedyny do zboru, bo z jednej strony dopierając do siedzib najpatriotyczniejszego ludu w zaborze pruskim, od Moskali dobrze był osłonięty kanałem i bagnami Bachorzy“<sup>1)</sup>. W rzeczy zaś samej pozycja dla formującego się oddziału powstańczego nie przedstawiała żadnej zasłony i żadnego punktu oparcia, wisiała, że tak powiemy, w powietrzu. Wprawdzie można było tyły oprzeć o bagna rzeczki Bachorzy i o granicę pruską, ale od czoła nie było żadnej osłony, rozkła-

<sup>1)</sup> E. Petyon, *loc. cit.* 10.

dała się obszerna, naga równina, zasiana, jak to bywa na Kujawach, licznymi wsiami, ale mająca tylko dwa laski, pod Osięcinami i Kościelną wsią. Trzy drogi przechodzą przez Krzywosądz; jedna, stanowiąca główny trakt pocztowy z Włocławka do Radziejowa, przecina pozycję od południa na północ; druga w kierunku południowo-wschodnim biegnie od Osięcin na Byczynę; trzecia przez Wolę Skarbową i Kościelną wieś, wychodzi na Bodzanów, a stąd od frontu na sławny laszek Krzywosądzki, który miał być kluczem pozycji Mierosławskiego. Nie wymieniamy tu jeszcze innych, pomniejszych dróg i drożyn, któremi pozycję tę można było obejść zupełnie. Nie przedstawiała więc ona, jednym słowem, żadnej ważności strategicznej, a drugi wzgląd, że „dopierała do siedzib najpatriotyczniejszego ludu w zaborze pruskim“, był także prostym tylko ludzeniem siebie i innych.

Generał Mierosławski bowiem, opuściwszy Prusy Zachodnie, przeniósł się do Kujaw i przy zachowaniu najściślejszego incognito co do swej osoby, w jak największej tajemnicy założył kwaterę główną we wsi Tarnówku, niedaleko Kruszwicy, z nikim się nie znośił, nikogo prawie nie widział i nic nie robił, a zatem nie mógł na razie liczyć na silniejsze wystąpienie owego „najpatriotyczniejszego ludu“, owych „chmar chłopstwa poznańskiego“. Zdaje się więc, że wyborem dyktatora kierowała chęć ujrzenia stron rodzinnych, i owa „ociężałość“ mu właściwa, a która ludziła go nadzieją słodkiego i bezpiecznego wypoczynku na łonie rodziny. Liczył on też wiele na dość znaczny oddział, który się sformował w tych stronach pod wodzą Kazimierza Mieleckiego, a który obowiązany był podać rękę wkraczającemu dyktatorowi. Tylko, że znowu pozycja Krzywosądzka nie była do tego odpowiednią, gdyż w tej chwili Mielecki daleko się od niej znajdował i na razie nie mógł szybko do niej doskoczyć. Zresztą prezorny i doświadczony dowódzca niekoniecznie powinien był rachować wiele na oddział ochotników, wprawdzie stosunkowo dość liczny, ale nieuzbrojony, niekarny, niewy-

ćwiczony i prowadzony przez człowieka niefachowego. Mielecki bowiem był ziemianinem i nigdy wojskowości się nie oddawał. Człowiek jeszcze młody, zamożny właściciel Nowej wsi pod Włocławkiem, Poznańczyk rodem, niedawno ożeniony z prześliczną i ukochaną przez siebie kobietą, ożywiony najlepszymi chęciami i gorącą, zapalną miłością ojczyzny, rzucił to wszystko na wieść o wybuchu powstania, zebrał co mógł pieniędzy i począł formować oddział w okolicach miasteczka Żychlina<sup>1)</sup>. Przez pierwsze parę tygodni szczęśliwie ukrywał się w lasach Gombińskich, zabierał magazyny wojskowe rosyjskie, pozostawiane przy koncentracji po różnych punktach, zwykle pod opieką kilku ludzi przebranych po cywilnemu<sup>2)</sup>. W d. 8 lutego Mielecki dowiedział się, że koleją warszawsko-bydgoską ma być wieziona z Włocławka do Warszawy partya rekrutów; postanowił więc na stacyi Kowal partyę tę odbić. O jego pobycie jednak w Kowalu, dowiedziano się we Włocławku i wysłano co prędzej dwie kompanie pułku Olonieckiego piechoty i 40 kozaków pod dowództwem majora Nelidowa. Na wieść o tem Mielecki, liczący od 400 do 500 ludzi<sup>3)</sup>, pomaszerował do miasteczka Chodcza, skąd wysłał 120 ludzi pod wodzą niejakiego Witolda Ulatowskiego, ziemianina z tejże okolicy<sup>4)</sup>, dla dokonania napadu na magazyn kompanii pułku Olonieckiego w Przedczu, zostawiony tam pod osłoną 10 żołnierzy wskutek rozkazu o koncentracji.

<sup>1)</sup> T. Żychliński, Wspomnienia z r. 1863, p. 34, powiada, że Mielecki „spotkawszy przypadkiem niemal, rozbity i bezradny oddział powstańców, rozrzewnił się nad nieszczęśliwymi, wziął ich w swoją opiekę i objął nad nimi dowództwo“.

<sup>2)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 243.

<sup>3)</sup> „Wiadom. z pola bitwy“ Nr. 3. Raport urzędowy w „Dzienniku powszechnym“ Nr. 36 z r. 1863, liczbę ludzi w oddziale oznacza na 500. Relacya przytoczona u A. Guttrego, Pan Ludwik Mierosławski, 137, powiada, że po potyczce Cieplickiej, Mielecki w obozie w Ossowie liczył 200 strzelców, 400 strzelców i 150 koni, wydaje nam się nieco przesadzoną.

<sup>4)</sup> Z. Kolumna, Pamiętka II. 255; nazywa wieś Ulatowskiego: „Dziardonie“, właściwie zaś nazywała się Dziardowice.



Napad ten udał się w zupełności. Zabrano owych 10 ludzi do niewoli <sup>1)</sup>, bagaże, amunicję, 40.000 ładunków gotowych i nieco broni <sup>2)</sup>, poczem Mielęcki rozłożył się obozem w gęstym lasu między Izbicą i Przedczem, pod wsią Ciepliny.

Tam to zaatakował go Nelidow, który pędził za powstańcami na podwodach i po drodze zrabował doszczętnie majątek Ulatowskiego. Około południa, d. 10 lutego zatrzymał się we wsi Żarnowo w odległości dwóch kilometrów od obozu powstańczego, piechotę zсадził z wozów, i w szyku bojowym, kolumnami kompanijnymi, z łańcuchem tyralierów na przedzie i kozakami na skrzydłach, ruszył przez nagie pola ku lasowi Cieplińskiemu. Mielęcki, według niektórych doniesień <sup>3)</sup>, nie wiedział o zbliżającym się nieprzyjacielu, mimo to szybko sformował się na wzgórzu w lesie w gęstą linię bojową i na odległość 80 kroków powitał posuwającego się nieprzyjaciela rżęsim ogniem, który z obu stron trwał jakiś czas, robiąc znaczne szcerby tak w szeregach polskich, jak i rosyjskich. Poległ tu od kuli Julian Wereszczyński, komisarz województwa mazowieckiego, jeden z głównych sprawców powstania, należący do grupy tych komisarzy, którzy z Głuchówka wysłali ultimatum do Komitetu centralnego. Podobnie jak Frankowski i Godlewski, należał on do najzapaleńszych stronników zbrojnego ruchu, i tak samo jak oni, w rozpaczliwym boju krwią własną starał się okupić ciężkie przewinienie wobec narodu. Ze strony rosyjskiej ten gęsty, na blizki dystans padający ogień, wyrwał z szeregów kapitana Jankowskiego i 12 żołnierzy <sup>4)</sup>. W czasie tej morderczej palby, jazda Mielęckiego przebiegła poza tyłem piechoty z prawego na lewe skrzydło i z pieśnią „Jeszcze Polska nie zginęła“, z wielką brawurą uderzyła

<sup>1)</sup> Raport urzędowy twierdzi, że zabrano 1 podoficera i 3 szeregowców.

<sup>2)</sup> „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 3. oceniają tę zdobycz na 2000 rubli.

<sup>3)</sup> Loc. cit. powiada, że został nagle oskoczony.

<sup>4)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 214.

na prawy flank nieprzyjaciela. Ale Nelidow ruch ten spostrzegł dość wcześniej i ściągnął wszystkich kozaków na swe prawe skrzydło, którzy po żwawej utarczce jazdę powstańczą odparli. Wtedy Mielęcki na czele kosynierów, mając obok siebie księdza w białej komży z krzyżem w jednej a kosą w drugiej ręce, rzucił się na piechotę nieprzyjacielską. Kosynierzy z grzmiącą pieśnią na ustach żwawo posunęli się naprzód, i po krótkim ale krwawym starciu, wyparli Nelidowa z lasu na pole, ale tu powstrzymani rżęsim ogniem cofnęli się napowrót. Zdaje się, że na tem starciu skończyła się żwawa potyczka; Mielęcki, nieścigany przez nieprzyjaciela <sup>1)</sup>, cofnął się przez Izbicę do Ossowa, gdzie się zatrzymał. W potyczce tej rześko i uparcie prowadzonej, obie strony poniosły znaczne straty, jakkolwiek ścisłych danych przytoczyć niepodobna <sup>2)</sup>. Nelidow wrócił do Włodawka z uczuciem pewnego przygnębienia, choć starał się swe niepowodzenie pokryć kłamliwym raportem o „zupełnem rozbiciu bandy“.

Mielęcki w Ossowie zamierzał dłużej się zatrzymać, chcąc oddział swój uorganizować i zaopatrzyć w broń, ale

<sup>1)</sup> Loc. cit. Czytamy tam, że „nadzwyczajne zmęczenie koni kozackich i znaczna liczba rannych nie dozwoliła Nelidowowi ściągnąć Mielęckiego“.

<sup>2)</sup> „Wiad. z pola bitwy“ Nr. 4, utrzymują, że Mielęcki stracił 18 zabitych i 9 rannych; nieprzyjaciół zaś 66, między nimi jednego majora, kapitana i oficera kozackiego. Raport urzędowy rosyjski powiada, że powstańcy stracili 160 ludzi, pomiędzy którymi było „dwóch przywódców band“ i 4 wziętych do niewoli. Rosyanom zaś zabito jednego oficera i 2 żołnierzy, rannych zaś 6. *Pauliszczew*, *Siedmicy II*, 36, donosi, że Nelidow miał 8 zabitych i 20 rannych. *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 214, słuszną robi uwagę, że „według innych doniesień, powstańcy o polowę mniej stracili“. Że podania Nelidowa są kłamliwe, to najlepszy dowód w tem, że z powodu „znacznej liczby rannych“ (znaczącego czisła raniennych) nie mógł ściągnąć Mielęckiego. Dodać trzeba, że potyczka ta różne nosi nazwy. *Gesket-Puzyrewskij*, zowią ją pod Żarnowem, raporta urzędowe pod Izbicą, polskie źródła pod Izbicą lub Cieplinami. Ponieważ walka toczyła się głównie w lasu Cieplińskim, więc tę nazwę przyjęliśmy.

w parę dni musiał opuścić to stanowisko, gdyż otrzymał wiadomość o zbliżającym się ku niemu z dwóch stron nieprzyjacielu <sup>1)</sup>). Postanowił więc z pod Ossowa wycofać się i przenieść w lasy Lubstowskie. Jakoż dnia 16 lutego, około godz. 4-ej popołudniu wyruszył w ten pochód i po drodze, w nocy, znajdując się w pobliżu miasteczka Koła, wysłał tam 30 kosynierów i 20 kawalerzystów, w celu zabrania kasy powiatowej. W rzeczy samej dokonano tego, herby rosyjskie porzucano, Rząd narodowy ogłoszono i most na Warcie spalono, „z zupełnem zadowoleniem ludności“, jak się wyraża urzędowa relacja polska <sup>2)</sup>). Dnia 17 wieczorem stanął po bardzo forsownym i nużącym marszu o pół godziny drogi od Lubstowa, gdzie doszła go pierwsza wiadomość o Mierosławskim.

Tegoż samego dnia o świcie Mierosławski przeszedł granicę Królestwa Polskiego. W otoczeniu kilku oddanej mu ślepo młodzieży i komisarza Rządu narodowego, który tytuł przybrał samowolnie Daniłowski, wyruszył w nocy z Tarnówka pod Kruszwicę, zatrzymał się chwilę w Konarach, gdzie zostawił cyrkularz do swych przyjaciół w Poznaniu, wzywający, aby zbrojni zbierali się pod Krzywosądz, przejechał nakoniec szczęśliwie granicę, i dostał się do Płowic do Biesiekierskich. Stąd udał się do Krzywosądz, gdzie się znajdowało obozowisko akademików warszawskich, sprowadzonych przez Daniłowskiego. Było ich ogółem 83 <sup>3)</sup>), lichy uzbrojonych w kosa i strzelby my-

<sup>1)</sup> A. Guttry, Pan Ludwik, 137.

<sup>2)</sup> „Wiad. z pola bitwy“ Nr. 4.

<sup>3)</sup> A. Guttry, Pan Ludwik, 126. Podania rosyjskie, jakoby Mierosławski pod Krzywosądzem miał od 400 do 500 ludzi (*Gesket-Puzyrewskij*, 245), oparte na relacji zwycięscy dyktatora Schildner-Schuldnera, który powiada w raporcie urzędowym („Dziennik powszechny“ Nr. 43), że Mierosławski miał 600 ludzi. są zupełnie fałszywe. Jeden tylko N. Berg, Zapiski III, 4, blizkim jest prawdy, mówiąc, że Mierosławski miał „około stu akademików“. Aweyde, Zeznania IV, 10, oblicza siły Mierosławskiego na 100 żołnierzy i 26 oficerów, ale Aweyde w obozie Krzywosądzkim nie był i podaje tę

śliwskie. Widok tej garści bardzo złe wywarł wrażenie na Mierosławskiego, począł głośno narzekać, że go oszukano i zaniedbano haniebnie. Lepiejby podobno zrobił, by zamiast bezpłodnego narzekania zabrał się energicznie do formacji oddziału, którego wyborne kadry miał w młodzieży akademickiej. Jednakże cały dzień 17 lutego i następny nic nie zrobił, prócz tego, że wysłał pułkownika Słupskiego do Księstwa dla przynaglenia posiłków stamtąd <sup>1)</sup>), o których zebraniu nikt nie myślał i nikt się tem nie zajmował, bo, jakeśmy powiedzieli, nikt w Księstwie nie wiedział o pobycie dyktatora na Kujawach. Jedyne jeszcze ratunek był w oddziale Mielęckiego, do którego też w rzeczy samej, tegoż d. 17 wysłał przez Daniłowskiego uwiadomienie, wreszcie rozkaz następujący: „Ażeby Mielęcki z lasu Głuszyńskiego przybył z całą swoją siłą zająć trakt z Radziejowa do Włocławka, sadowiąc się pod Płowcami; ażeby z Płowic wysyłał ciągle patrole po trasie na Osiecinie i Brześć pod Włocławek, celem zwrócenia na ten kierunek baczności moskiewskiej, odwodząc ją od lasu krzywosądzkiego; na każde zawołanie stawieć się u południowej krawędzi lasu krzywosądzkiego, jako prawe skrzydło jenerała“ <sup>2)</sup>). Rozkaz ten mylił się co do miejsca pobytu Mielęckiego, który nie był w dniu tym pod Głuszynem, ale znacznie dalej pod Lubstowem, i słuszniej a nade wszystko lepiejby było, gdyby Mierosławski, zamiast sprowadzać do siebie oddział Mielęckiego, znużony niedawną cieplinską potyczką i forsownymi marszami, sam do niego poszedł. Nie zrobił tego, ale upornie trzymać się postanowił Krzywosądz, który, jakeśmy to zaznaczyli, wcale nie był wybora obronną pozycją, a przytem dyktator nie poczynił tu żadnych sztucznych przeszkód dla atakującego go nieprzyjaciela. Mógł mianowicie zerwać mosty na Ba-

cyfrę z pogłoski. „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 4, mówią o stu ludziach.

<sup>1)</sup> E. Petyon, Urywek z pamiętnika, 14.

<sup>2)</sup> Loc. cit.



chorzy, popsuć groblę ujmowską, poczynić zasieki w lasku krzywosądzkim; jednakże nic z tego nie zrobił, a w dodatku jedyną siłę, na której mógł się oprzeć, oddział Mielęckiego pędził niepotrzebnie po kilku milach dróg zimowych, rozmiękłych i błotnych. Powodem tego upartego uczipienia się Krzywosądzka, była w części owa, zaznaczona już przez nas, ociążałość fizyczna, a następnie budowa wozu, zwanego przezeń „ostrokołem przenośnym“, owej „lotnej fortyfikacji“, która według niego miała zrobić rewolucyą w sztuce wojennej. Wóz ten fabrykowano dzień i noc w obozie, a Mierosławski kazał jak najsurowiej, składać sobie raporta co pół godziny z postępu robót<sup>1)</sup>. Ten to nieszczęśliwy wóz wojenny był przyczyną, że Mierosławski przez dwa dni leżał beczynn timer pod Krzywosądzem, narażając i siebie i wierną mu garstkę bohaterskiej młodzieży na klęskę nieuniknioną<sup>2)</sup>.

Wśród tego wszystkiego, Mielęcki, wysłany do siebie rozkaz otrzymał w obozie pod Lubstowem d. 17 lutego późno w nocy. Rozkaz doręczył mu, jakeśmy rzekli, Daniłowski wraz z drugim towarzyszem; już od Ossowa pędzili oni za oddziałem pocztą. Mielęcki właściwie otrzymał dwa pisma, jedno, które było kreślone ręką Daniłowskiego i opatrzone pieczęcią Komitetu centralnego, zawierające rozkaz oddający Mielęckiego pod zwierzchność dyktatora; a drugie było listem samego Mierosławskiego, zapraszającym Mielęckiego do widzenia się z jenerałem pod Krzywosądzem<sup>2)</sup>. Mielęcki więc niezwłocznie wyjechał, a tym-

<sup>1)</sup> *A. Guttry*, Pan Ludwik, 129.

<sup>2)</sup> Jeden z rosyjskich uczestników potyczki krzywosądzkiej, opowiada o tym wozie (w gazecie „*Petersburgskija Wiadomosti*“ z d. 7 marca 1863 r.) co następuje: „Zasługuje także na uwagę dziwna maszyna, znaleziona w obozie krzywosądzkim, przypominająca czasy starożytne, a która według zeznań jeńców, przeznaczona była do rozbicia naszego wojska. Maszyna ta składa się z ramy drewnianej kwadratowej, dwa sążnie długości mającej; rama stoi na dwóch kołach i do niej przyczepiony jest dyszel; w każdym boku ramy znajdują się gęsto ostre kosy“.

<sup>3)</sup> *A. Guttry*, Pan Ludwik, 129.

czasem Daniłowski i jego towarzysze poczęli cuda opowiadać o oddziale krzywosądzkim. Liczbę jego podawali na 800 ludzi; że mają nadejść wkrótce z Warszawy i Poznania znaczne posiłki; unosili się nad doskonałem uzbrojeniem ludzi i porządkiem w obozie, jednem słowem, na wzór swego bohatera, kłamali najbezczelniej. Wśród tego nadbiegł drugi goniec z rozkazem od Mierosławskiego, aby oddział Mielęckiego maszerował natychmiast do Krzywosądzka, „gdyż Moskwa z dwóch stron na takowy się wybiera“<sup>1)</sup>. Ponieważ ludzie, poprzednimi marszami byli nadzwyczajnie znużeni, więc ściągnięto z okolicy podwody i o godz. 9 rano, d. 18 lutego wyruszono w kierunku Krzywosądzka. Wieczorem tego dnia spotkano się z Mielęckim, zwracającym od dyktatora, a zarazem z rozkazem jego piśmiennym, ażeby nie śpieszył się z marszem, „gdyż wiadomości o ciągnącej Moskwie okazały się fałszywymi“. Wskutek tego Mielęcki maszerował wolno i dopiero d. 19 lutego o godz. 9-ej rano stanął w Płowcach, gdzie pokazano mu list Mierosławskiego, pisany tegoż dnia do pani Biesiekierskiej, zapewniający, że mu „żadne na ten dzień nie zagraża niebezpieczeństwo od Moskali“. Mielęcki uspokojony tem, podwody odesłał do domów i rozłożył się z oddziałem w Płowcach, zamierzając tu parę godzin odpocząć, ludzi nakarmić wycieńczonych marszami i bezsenności nocami<sup>2)</sup>. Spoczynek ten jednak nie miał być długi, gdyż właśnie w tej chwili pod Krzywosądzem rozegrał się jeden z najprzykrzejszych dramatów powstania ostatniego.

Tego samego dnia, 17 lutego, w którym Mierosławski stanął w obozowisku krzywosądzkiem, doszła do Włocławka, do tamtejszego komendanta rosyjskiego, jenerała Masłowa, niezbyt dokładna wiadomość, że w okolicach Służewa i Nieśzawy, ukazał się znaczny oddział powstańczy. Zaraz też

<sup>1)</sup> Loc. cit. 137.

<sup>2)</sup> Loc. cit. Podanie *N. Berga*, Zapiski III. 4, jakoby „Mielęcki, nie wiedząc o dyktaturze Mierosławskiego i nie uważając się za podległego mu, odmówił pomocy“, jest pozbawione prawdy.

nazajutrz o świcie wysłał on pułkownika Schildner-Schuldnera, niegdyś nauczyciela strategii cesarza Aleksandra II-go, na czele 3½ kompanii pułku Ołonieckiego piechoty i 50 koni straży pogranicznej, mniej więcej 700 do 800 ludzi<sup>1)</sup>, co stanowiło olbrzymią przewagę wobec niespełna 100 ludzi Mierosławskiego, a nawet wobec 400 zbrojnych Mielęckiego, gdyby ten wziął udział w boju. Schildner-Schuldner pomaszerował w kierunku Nieszawy, w pobliżu której w lesie natknął się na jakieś opuszczone obozowisko powstańcze<sup>2)</sup> i dowiedział się, że oddział Mierosławskiego stoi w Krzywosądku. Zwrócił się więc w tym kierunku, przepędził noc w Łubkowicach i d. 19 o godzinie 7-ej rano ku Krzywosądkowi. Przeszedłszy spokojnie most i groblę na bagnistym kanale Bachorzy pod Ujmem, zatrzymał się na chwilę we wsi Bilno, nie napotkawszy dotąd żadnego oporu, i tu dowiedział się, że w Bodzanowie stoi posterunek powstańczy, z którym spotkał się podjazd rosyjski i że główne siły Mierosławskiego zajmują lasy Krzywosądzkie<sup>3)</sup>.

Cóż przez ten czas robił Mierosławski? Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie wiedział on wcale o marszu nieprzyjaciela od strony Konecka, skoro tegoż samego d. 19 rano pisał do siostry Biesiekierskiej do Płowiec, że „w tym dniu nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo“. Nadzwyczajnie też był zdziwiony gdy mu doniesiono, że nieprzyjaciel na podwodach debuszuje przez groblę ujmowską i że posterunek powstańczy w Bodzanowie został zaatakowany. W takim położeniu rzeczy, gdy dozwolono Rosyjanom przejść bez strzału niebezpieczne bagna Bachorzy i rozwinąć się na płaszczyźnie za nią, nie nie pozostawało jak szybko cofnąć się na Płowce do Mielęckiego, albo też tego ostatniego niezwłocznie powołać, by w chwili gdy Mierosławski stawia Schildner-Schuldnerowi opór od

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 246. „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 4, powiadają, że Schildner-Schuldner miał 1000 ludzi, co jest przesadą.

<sup>2)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 246.

<sup>3)</sup> Loc. cit.

czoła w lasu Krzywosądzkim, atakował go od lewego skrzydła. Nic z tego nie uczyniono<sup>1)</sup> i w niemem osłupieniu, rzecz można, oczekiwano ataku nieprzyjaciela, który wyparł słaby posterunek w Bodzanowie i w szyku bojowym, mając piechotę w kolumnach, z łańcuchem tyralierów na przedzie i z objeszczykami na skrzydłach, posuwał się wolno i ostrożnie ku laskowi krzywosądzkiemu. Zbliżywszy się do niego, został powitany gęstym ogniem, ale oczywiście wobec ogromnej przemocy, powstańcy wytrzymać nie mogli i cofać się poczęli. W lesie jednak uparcie bronili nieomal każdego kroku, każdej piędzi ziemi i widząc niemożność oporu, poczęli wołać na Mierosławskiego, aby „uciekał przez Krzywosądk za granicę“. Mierosławski ustawił garstkę niedobitków, około 20 strzelców i tyłuż kosynierów na wylocie lasu, oddał ich pod dowództwo Celińskiego, niegdyś oficera wojsk polskich, a sam na czele kilku konnych ruszył przez Dobre ku Płowcom. Celiński, zostawiony sam sobie, bronił się uparcie, zamknął wreszcie w murewanej karczynie, którą nieprzyjaciel wziął szturmem i wymordował wszystkich, wraz z bohaterskim ich wodzem.

Takiem było to heroiczne starcie, taką obronę kilkunastu niewyćwiczonych, źle uzbrojonych ludzi przeciw 700 karnym, wyrobionym i zaopatrzonym w broń daleko-nośną żołnierzom. Opór ten, trudny prawie do uwierzenia,

<sup>1)</sup> *E. Petyon*, Urywek, 16, twierdzi, że d. 18 „jenerał spodziewał się nazajutrz jak świt ataku, poczynił wszystkie rozporządzenia, ażeby wciągnąwszy Moskwę w las, siłą Mielęckiego wpaść z nienacka na jej tył przez Bodzanowo“, a dalej: „Na tę wiadomość (że Schildner maszeruje od Konecka) jenerał posłał natychmiast Mielęckiemu rozkaz do Płonic, ażeby jak świt (d. 19 lutego) zbliżył się ku południowej krawędzi lasu krzywosądzkiego“. Wszystko to jest nieprawdą; relacja ta później została skomponowana przez samego Mierosławskiego dla zasłonięcia się przed słusznymi zarzutami. O marszu Schildnera nie wiedział i ataku się jego nie spodziewał, jak to świadczy list pisany do Biesiekierskiej d. 19 lutego rano; Mielęcki też ani d. 18, ani d. 19 rozkazu, by szedł na tyły Schildnera wcale nie odebrał.



trwał przeszło dwie godziny <sup>1)</sup>. Straty powstańców stosunkowo do ich sił, były znaczne. Według doniesień polskich zginąć miało 43, rannych było 13 <sup>2)</sup>. W liczbie poległych był waleczny Celiński, oraz kapitan Feliks Buski, niegdyś oficer kozaków sultańskich; zginął on, prowadząc w lesie kosynierów do ataku; wszyscy zabici zresztą należeli do najinteligentniejszej młodzieży polskiej, do jej kwiatu i bili się z wielkim entuzjazmem i bohaterstwem. Raporty rosyjskie powiadają, że powstańców zginęło na polu 82, „ilu zaś padło w lesie, dotąd sprawdzić nie można było“ <sup>3)</sup>, co jest najoczywistszym kłamstwem, ze względu że cały oddział Mierosławskiego nie wiele więcej liczył. Bądź co bądź, te krwawe hekatombie krzywosądzkie wyłącznie przypisać należy nieopatrzności Mierosławskiego, który powinien był starcia uniknąć, bo prostym nierozumem było przyjmowanie walki w warunkach tak niedogodnych i z tak przeważnym co do siły i uzbrojenia nieprzyjacielem. Na samym początku starcia zliwiony on był śmiałością ataku rosyjskiego, przyzwyczajony do Prusaków, którzy w r. 1846 nie śmieli nigdy zbliżyć się do lasu; liczył na to „że nieprzyjaciół wcale słabości sił naszych nie podejrzewał“, że Mielęcki przyjdzie, który, jak wiemy, przyjść nie mógł. W końcu smutnym objawem dbałości o własną skórę, było opuszczenie tych walecznych wśród boju. To też ciężko już ranny Celiński, wprzód nim druga wraza kula kres jego życiu położyła, wołał do odjeżdżającego dyktatora: „Ty, jenerale Ludwiku, ratuj swoją osobę, ale pamiętaj, żeśmy sobie przysięgli w Paryżu wzajemnie, nie uprowadzać ani jednego żołnierza zbrojnego zagranicę!“ Jakież to ciężki

<sup>1)</sup> A. Guttry, Pan Ludwik, 135. Schildner-Schuldner w swym raporcie powiada, że bito się cztery godziny, co jeżeli jest prawdą, zaiste, nie przynosi zaszczytu wodzowi rosyjskiemu.

<sup>2)</sup> List Bobrowskiego do Padlewskiego (N. Berg, Zapiski IV, 191) według „Wiad. z pola bitwy“ Nr. 4, zabitych było 28.

<sup>3)</sup> Raport Schildner-Schuldnera „Dziennik powszechny“ Nr. 43 z r. 1863.

był wyrzut na pobojuwisku, na którym strumieniami lała się krew najwaleczniejszej młodzieży polskiej!

Co się tyczy Schildner-Schuldnera, to z postępowania jego wnioskować należy, że zapewne w ostatniej chwili dobrze wiedział, z jaką siłą ma do czynienia, atakował więc śmiało, choć zaszczytu mu nie przynosi, że przez dwie przeszło godziny tej garści pokonać nie mógł, i chlubiąc się później ze swego tryumfu, kłamał o licznych zabitych, o 600 ludziach oddziału i o tem, że „Mierosławski w chwili rozpoczęcia walki, umknął na koniu ku granicy“. Brzydki to zwyczaj szkalować nieprzyjaciela, pokonawszy go tylko dzięki przewadze liczebnej, wyćwiczeniu wojskowemu i uzbrojeniu <sup>1)</sup>. Raport tego bohatera, który za mniemane zwycięstwo krzywosądzkie otrzymał podziękowanie cesarskie i złotą szablę z napisem „za waleczność“ (za chra-brost'), utrzymuje, że w starciu tem miał tylko dwóch rannych szeregowców <sup>2)</sup>, co historycy rosyjscy z zupełną wiarą w prawdę tego podania powtarzają, a co jest godnem uzupełnieniem tych kłamstw, jakimi Schildner-Schuldner starał się okraszyć swą wyprawę krzywosądzką. Cały sprzęt obozowy, między którym znajdował się ów niefortunny „ostrokół przenośny“, dla którego Mierosławski pozostawał tak długo w niebezpiecznej pozycji Krzywosądza, znaczna ilość koni, broni i wozów, a nadewszystko papiery dykta-

<sup>1)</sup> To też przeciw temu zaprotestowały powstańcze „Wiadom. z pola bitwy“ Nr. 3, w wyrazach następujących: „Doniesienie w „Dzienniku powszechnym“ o rozbiciu pod Krzywosądzą (tak!) d. 19 lutego oddziału z 600 ludzi i ucieczce na koniu jenerała Mierosławskiego jest fałszem obrachowanym na zdemoralizowanie narodu i osłabienie w nim ducha“. Zachowanie się bowiem Mierosławskiego w czasie bitwy, jak wszystkie świadectwa twierdzą, było bez zarzutu. Nawet Bobrowski, osobisty nieprzyjaciół dyktatora i surowo sądzący jego postępowanie w Krzywosądzu, mówi (w liście do Padlewskiego N. Berg IV, 191: „W końcu trzeba powiedzieć prawdę; on sam (Mierosławski) rzucił się na pierwszy ogień, ale od wodza wymaga się czegoś więcej niż osobistego męstwa“. Wobec tego szkalowania Schildner-Schuldnera jakże wstrętne wyglądają!

<sup>2)</sup> Gesket-Puzgrewskij, loc. cit. 247.

tora, zostawione w owej karczmie, w której bronił się Ce-  
liński, dostały się do rąk zwycięscy. Z tych papierów do-  
piero dowiedział się on, że miał do czynienia z Mierosław-  
skim, co tem większą napęliło go dumą i pewnością na-  
grody<sup>1)</sup>.

Gdy się to wszystko działo, Mielęcki, odpocząwszy  
sobie w Płowcach, około godz. 11-ej rano wyruszył drogą  
do Byczyny, gdzie stanął o godz. 1-ej w południe i tu do-  
wiedział się o pobiciu pod Krzywosądem dyktatora, oraz  
że ten znajduje się w Radziejowie. Tam więc Mielęcki  
pomaszerował, ale tu mu powiedziano, że Mierosławski jest  
w Płowcach. Zawrócił więc z powrotem i o godz. 4-ej sta-  
nął w tej wsi, gdzie w rzeczy samej zastał już dyktatora.  
Mierosławski wyszedł ze dworu do oddziału, przemówił do  
niego, wspominał o swych zwycięstwach pod Miłosławiem  
i Wrześnią, objął dowództwo, obejrzał kilka sztuk broni

<sup>1)</sup> Śród tych papierów znajdowała się, a jak *Giller* (Historja I,  
221) utrzymuje, „zabraną przez Moskali wraz z kucharką je-  
nerała Mierosławskiego pod Krzywosądzą, odezwa dyktatorska do  
narodu, datowana 16 lutego „na polskiej ziemi“. Odezwa ta we wła-  
ściwy sposób nigdy nie ogłoszona, nie mająca stąd żadnego znacze-  
nia historycznego, wydrukowaną została w broszurze Mierosław-  
skiego „Dokumentu urzędowe do dziejów organizacji jeneralnej po-  
wstania narodowego w latach 1863 i 1864“ na str. 2. Napisana ona  
jest w zwykłym Mierosławskiemu patetycznym stylu; jakkolwiek  
tutaj, chcąc być zapewne zrozumiałym, uniknął szczęśliwie właściwej  
sobie kwiecistości i rzecz wyszła jasno, a nadewszystko nie jest po-  
zbawiona siły i pewnej piękności. „Wiem, mówi, że dyktatura po-  
wstańcza nie jest dostojeństwem, ale czynem, i czynem dokonany  
się kończy; czy żywego przeto, czy trupem, ujrzenie mnie rozbro-  
jonym przed majestatem wyzwolonego narodu“. „A nie lękaj się  
tylko milionowy narodzić, ażeby ci zabrakło oręża, byle każdy ka-  
wał polskiego żelaza znalazł dłoń, co go poniesie przeciw garstkom  
bagnetów, ginącym w powodzi wezbranego powstania. Potemu dość  
będzie, braciom silniejszym mieniem i rozumem, schylić się poza  
nieprzebrane chmary wiejskiego ludu, co od wieków, zdawało się,  
leżały biernymi świadkami potęgi narodowej i narodowej śmierci,  
a przecież na polach Raclawic, na stosie Książa, w płomieniach Mi-  
łosławia i Wrześni, zmartwychwstały ze zwycięską kosą w ręku na  
świadeństwo zmartwychwstaniu knieiej ojczyzny“ i t. d.

u strzelców i kazał zmęczonym tyłu próżnymi marszami  
żołnierzom, rozłożyć się obozem<sup>1)</sup>. Nie ulegało wątpliwości,  
że nieprzyjaciół pokonawszy powstańców, ścigać ich będzie  
dalej; nie było więc rzeczą rozsądną zatrzymywać się z żoł-  
nierzem, zdemoralizowanym klęską, nieomal pod nosem  
przeważnego liczebnie i dobrze uzbrojonego wroga. A przy-  
tem dochodziły głuche wieści o wyruszeniu nowych sił ro-  
syjskich z różnych punktów, tak że tworzyły one formalną  
oblawę. W rzeczy samej do pewnego stopnia tak było.  
W tym samym dniu 19 lutego, w którym Mierosławski sto-  
czył tak krwawą i tak całkowicie niepotrzebną walkę pod  
Krzywosądem, z Kalisza wyruszył podpułkownik Oranow-  
ski na czele trzech kompanii piechoty, szwadronu jazdy  
i dział czterech w kierunku Konina, gdzie tegoż dnia sta-  
nął wieczorem<sup>2)</sup> i dowiedział się w formie dość niejasnej  
o bytności jakoby powstańców w lasach kazimirowskich,  
około jeziora Lubstowskiego, dokąd w d. 21 lutego wyru-  
szyl. Prócz Oranowskiego wyruszyły także oddziały rosyj-  
skie z Włocławka i Łęczycy, a Schildner-Schuldner został  
o tem wszystkim uwiadomiony, przyczem polecono mu  
mieć czucie z tymi oddziałami. Tym więc sposobem Mie-  
rosławskiemu groziło formalne otoczenie i konieczne przy-  
parcie do granicy pruskiej.

Wódz polski doskonale zrozumiał zamiary nieprzyja-  
ciela, acz dokładnych wiadomości ani o jego sile, ani o kie-  
runku marszu tych różnorodnych kolumn, nie miał. Powziął  
on plan, jedyny, jaki w tych warunkach można było wy-  
konać, to jest „iść nierozłączonemi siłami dalej ku połu-  
dniowi, póki nie wyjdzie z oblawy moskiewskiej“<sup>3)</sup>. Wy-  
konanie jednak tego planu zależało od rychłych i rześkich  
ruchów, od kilku forsownych marszów z jak najprostszą  
wytyczną na południe. Zrazu dyktator dość energicznie  
wziął się do rzeczy. Pozwoliwszy oddziałowi przez resztę

<sup>1)</sup> *A. Gulty*, Pan Ludwik. 140.

<sup>2)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 248.

<sup>3)</sup> *E. Petyon*, Urywek, 33.



dnia 19 lutego odpocząć w Płowcach, wyruszył stamtąd o godz. 2-iej po północy z dyrektywą ku południowi do Głuszyna, gdzie odpocząwszy trochę, wzdłuż jeziora Głuszyńskiego posuwał się ku wsi Trojaczkowi. Pod tą wsią jest wzgórze odosobnione, wznoszące się w kształcie ostrokręgu, wśród okiem nieprzejrzaney, czysto kujawski mającej charakter płaszczyny, i całe lasem zarośnięte. Od wschodu i południa bronią doń przystępu: jezioro głuszyńskie i bagna, przez które dostać się na wzgórze można tylko dróżyną wąską i trudną do przebycia. Zato od północy i zachodu przystęp jest łatwy, gdyż rozciągają się tu pola orne i pagórkowate nieco równiny. Wzgórze to widzialne jest z kilkumilowej odległości. Tutaj Mierosławski się zatrzymał i rozłożył obozem; zapalono mnóstwo ognisk, z których łuna wśród ciemnej nocy zimowej na kilka mil dokoła była widzialną. Okoliczni chłopci, ściągający się po kilku i kilkunastu do obozu, ostrzegali dyktatora, że niebezpiecznie jest na górze rozpalać ognie, bo je widać z daleka i tym sposobem daje się poznać nieprzyjacielowi miejsce swego pobytu; zdanie to poparł rotmistrz kawalerii Topór, ale dyktator skrzyczał tego ostatniego, mówiąc: „nie na to lat trzydzieści czekałem, abym rad waszych przyszedł słuchać, ale aby wam rozkazywać“<sup>1)</sup>. Oświadczył przytem, że pozycja jest wyborną, że dwa tygodnie trzymać się tu będzie, w czem podobno popierał go Mielęcki, radzący tu przyjąć bitwę<sup>2)</sup>. I w rzeczy samej trzeba było albo myśleć o stawieniu czoła, albo nie zwlekając ani chwili, zawsze na wojnie drogiego czasu, cofać się ku południowi, gdyż ze wszystkich stron nadchodziły o zbliżaniu się nieprzyjaciela wieści, wprawdzie przesadzane nieco, niemniej przeto bardzo groźne. Mówiono więc, że Schildner Schuldner maszeruje na czele 4-ch kompanii piechoty liniowej, 2-ch kompanii strzelców, szwadronu huzarów gwardyi i setki kozaków, że za nim szedł w rezerwie

<sup>1)</sup> A. Guttry, loc. cit. 145.

<sup>2)</sup> A. Giller, Historia I, 223.

pułkownik Nelidow z batalionem piechoty, że z Włocławka i Lubrańca postępowały znaczne siły, że od granicy posuwało się 500 koni objeszczyków, że z Konina maszeruje Kostanda z batalionem piechoty, półbaterią lekkokonną i oddziałem huzarów gwardyi, a za nim z Kalisza także silny szedł oddział rosyjski<sup>1)</sup>. Mierosławski wprawdzie targował się z donoszącą mu o tem szlachtą o liczbę nieprzyjaciela, ale w rezultacie sam obliczał jego siły na 4000 ludzi i dział sześć<sup>2)</sup> i był pewny, że będzie atakowany; mimo to pozostał na owem uiluminowaniem przez siebie wzgórzu, jak gdyby wyzywał burzę, by przyszła i zwałała mu się na głowę. Powodem tego marnowania czasu, kiedy ratunek oddziału zawisł od szybkości ruchów, było znowu budowanie nieszczęsnego „ostrokołu przenośnego“, który kazał na gwałt przygotowywać<sup>3)</sup>. Ta nieszczęsna mania zatrzymała go na całą noc pod Trojaczkiem, mimo wiadomości, że nieprzyjaciel idzie na niego oblawa.

W istocie zaś, siły rosyjskie nie były tak znaczne i na razie powstańcy mogli mieć do czynienia z Schildner-Schuldnerem, który deptał im po piętach. Po starciu krzywosądzkiem, wrócił on do Bodzanowa, przenocował tam, i wzmocniony stu końmi objeszczyków, wyruszył z zamiarem dotarcia do Babiaka, gdzie według rozkazów jenerała Masłowa, otrzymanych tegoż dnia rano, miał się zetknąć

<sup>1)</sup> A. Guttry, loc. cit.

<sup>2)</sup> E. Petyon, Urywek, 30.

<sup>3)</sup> Loc. cit. Czytamy tam, że Mierosławski taki dał Petyonowi rozkaz: „Co tylko jest was techników, podzielcie między siebie wyrób uzbrojenia“. Potwierdza to relacya, przytoczona przez A. Guttrego, Pan Ludwik, 154. Czytamy tam: „Byłem z rozkazu specyalnego zajęty z Petyonem, Kosteckim i Krzywińskim budową nowego ostrokołu przenośnego; przyznam się, że nie z wielką chęcią wykonywałem po kilku nocach bezsennych tę nieprzydatną pracę. Ścinałszy świeże chojaki i zawierbowanymi cieśłami, nami i innymi rzemieślnikami, umiemy robić siekierą, budowaliśmy tę idealną maszynę wojenną. Nad ranem zbudowaliśmy jakieś cudactwo koszlawe na dwóch kołach i zostawiliśmy w lesie, jako na nic nieprzydatne narzędzie.“

z Oranowskim. O Mierosławskim zresztą nic nie wiedział, co się z nim stało i gdzie się znajduje. Maszerował bardzo wolno, gdyż dnia tego (20 lutego) doszedł zaledwie do wsi Witowa<sup>1)</sup>, to jest zrobił w przybliżeniu jakieś 10 kilometrów. Zatrzymawszy się tu na nocleg, dowiedział się o obozowisku powstańców na górze pod Trojaczkiem i postanowił nazajutrz na nich uderzyć. Jakoż d. 21 lutego, o godz. 7-ej rano wystąpił z Witowa i posunął się ku Trojaczkowi, dokąd przybył koło godz. 10-ej rano<sup>2)</sup>.

Mierosławski, jak się zdaje, wiedział o zbliżaniu się Schildner-Schuldnera, gdyż rano wyprawił furgony i część ludzi, nie posiadających żadnej broni na Kozy, Tomisławice, do Nowej wsi, leżącej w pobliżu jeziora Gopła. Wyśyłka ta świadczyła, że zmienił pierwotny swój plan wygnięcia się z oblawy rosyjskiej przez proste odskoczenie na południe, a zmienił oczywiście na gorsze, gdyż, zwracając się na zachód, robił to, czego nieprzyjaciół pragnął, to jest mógł być przyparty do granicy pruskiej. Czemu tę zmianę przypisać należy? trudno odgadnąć. Może liczył na posiłki z Poznańskiego, może zaciemnił się jego umysł intrygami, jakie go otaczały w obozie, intrygami niewątpliwie podsycanymi przez Mielęckiego, który niechętnie widział kogo innego na czele partyi, przez siebie zebranej, który przesiąknięty był tą niesfornością, jaką odznaczali się wszyscy nieomal dowódcy ostatniego powstania<sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 249.

<sup>2)</sup> „Wiadom. z pola bitwy“ Nr. 4. Myli się więc cytowany u Guttręgo (Pan Ludwik, 145) pamiętnikarz, jakoby nieprzyjaciół ukazał się „skoro dzień się rozwinął“. E. Petyon, Urywek 155 mówi także, iż o godz. 10-tej rozległy się pierwsze strzały.

<sup>3)</sup> E. Petyon loc. cit. wprost oskarża Mielęckiego o „buntowanie żołnierzy“, że „ze swoim sztabem ciągle podmawiał żołnierzy przeciwko jenerałowi i krzyżował jego plany“. Wprawdzie A. Guttry w swym pamflecie „Pan Ludwik Mierosławski“ jak najenergiczniej broni Mielęckiego przeciw temu oskarżeniu, w czem popiera go pośrednio Giller (Historia I, 223), ale rzecz, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Aweyde, Janczewski i Danilowski w zeznaniach swych przed komisją śledczą, wyraźnie to potwierdzają.

Dzięki też tym sporom i intrygom, miała się rozegrać w obliczu nieprzyjaciół prawdziwie Szekspirowska scena, malująca wybornie polskiego Falstaffa, jak słusznie niektórzy nazywają Mierosławskiego.

Wśród tego wszystkiego Schildner-Schuldner zię zbliżał i wkrótce wysunięte widety powstańców, dały znać o tem strzałami; a ze wzgórze, na którem stał obóz, widać było kozaków, rozbiegających się po wsi Trojaczku, a w dali, na drodze od Piotrkowa Żydowskiego ciągnące się długim szeregiem podwozy z piechotą nieprzyjacielską. Wódz rosyjski, zbliżywszy się na odległość 1500 kroków do wsi, zсадził piechotę z wozów i sporządził zwyczajny szyk wojenny rosyjski, t. j. tyralierzy na przedzie, ściśnione kolumny piechoty za nimi, a całą jazdę swoją umieścił na prawem skrzydle dlatego, że lewe było zabezpieczone w zupełności jeziorem Głuszyńskim. Tymczasem Mierosławski, zdecydowany na odwrót, usiadł na konia i rozpoznawszy ruchy nieprzyjaciół, kazał dwustu strzelcom rozsypać się w tyralierzy na brzegu błotnistej i krzakami zarosłej strugi, oddzielającej powstańców od nieprzyjaciół i bronić tej pozycji dopóty, dopóki nie odbiorą rozkazu. Rozpoczęła się żwawa z obu stron palba, w czasie której dyktator sformował z kosynierów dwa karabataliony, za nimi kilkudziesięciu pozostałych strzelców, z kawaleryą w tylnej straży i rozpoczął odwrót w kierunku południowo-zachodnim ku lasowi. Doszedłszy do lasu, oddział zatrzymał i posłał strzelcom rozkaz: cofnąć się biegiem bez wystrzału, co też oni dokonali pod rześnistym ogniem nieprzyjaciół i z wielkiem niebezpieczeństwem, bo Schildner-Schuldner, zachodząc prawem ramieniem naprzód, o mało nie odciał ich oddziału<sup>1)</sup>. Wśród tego wszystkiego, Mierosławski zamiast

<sup>1)</sup> A. Guttry loc. cit. 146. Myli się więc Gesket-Puzyrewskij loc. cit. 249 twierdząc, że „powstańcy nie wytrzymali ognia rosyjskiego i opuścili brzeg lasu“. Powstańcy nie na skutek ognia się cofnęli, ale na wyraźny rozkaz swego wodza.



cofać się jak najspieszniej, zatrzymawszy pod lasem karabataliony kosynierskie, miał do nich mowę długą i ognistą, którą zakończył temi charakterystycznymi słowy: „Wiem, że mam tutaj wielu nieprzyjaciół, którzy buntują przeciw mnie żołnierzy. Ale, jak ci kto będzie gadał na Mierosławskiego, to mu kosą łeb zetniesz i odniesiesz Mielęckiemu“; zwróciwszy się zaś do tegoż i całując go przez ramię w głowę, dodał: „bo to kochany Mielęcki, on nasz jest, on jest waszym wodzem, a ja tylko do czasu z wami być mogę. Mnie wkrótce gdzieindziej udać się wypadnie, on zaś pozostanie z wami“<sup>1)</sup>. Po tej prawdziwie szekspirowskiej przemowie, marnując ciągle czas drogi, kazał oddziałowi złożyć przysięgę na wierność chorągwi i sobie. Niewątpliwie miały nim obawy, że może być lada chwila przez oddział opuszczony, dzięki intrygom pobudzającym ludzi, ale właśnie najlepszym środkiem na stłumienie nurtującego niezadowolenia i rokoszu, nie była przysięga, ale rzeźkie i dobrze obmyślane działanie. Teraz nie była chwila na mówki i przysięgi, gdyż nieprzyjaciół siedział literalnie na karku, szczęściem że mógł ścigać cofających się tylko samą piechotą, gdyż dzięki właściwościom terenu kawaleria użyta być nie mogła. Wreszcie Mierosławski siadł na konia i zostawiwszy strzelców w lesie, dla powstrzymania nacisku rosyjskiego, ruszył z oddziałem ku Tomisławicom, zawsze w fatalnym kierunku południowo-zachodnim, prowadzącym wprost do granicy pruskiej. Strzelcy rozrzućli się wśród lasu nad brzegiem błotnistej łąki, ale nieprzyjaciół zatrzymał się, nie doszedłszy do lasu, poczem cofnął się, siadł na furmanki i zwrócił się na wielki trakt, prowadzący z Piotrkowa Żydowskiego do Tomisławic, widocznie w zamiarze obejścia lasu i popchnięcia powstańców na wschód, żeby ich oddać w ręce Oranowskiego<sup>2)</sup>. Strzelcy blisko

<sup>1)</sup> A. Guttry, loc. cit. 146.

<sup>2)</sup> Jeszcze raz myli się *Gesket-Fuzyrewskij* utrzymując, że znowu „banda nie wytrzymała oprócz strzelców“. W lesie Tomisławickim Schildner-Schuldner ani jednego nie dał strzału.

godzinę pozostawali na pozycji, nie otrzymując żadnych rozkazów, wreszcie lękając się oskrzydlenia posłali do Tomisławic do dyktatora z doniesieniem o ruchach nieprzyjaciela i wtedy dopiero otrzymali wezwanie pomaszerowania do Tomisławic, dokąd jednocześnie z Schildner-Schuldnerem przybyli<sup>1)</sup>.

Tutaj w Tomisławicach Mierosławski znowu dużo czasu stracił niepotrzebnie. Rozdano wprawdzie kosynierom po kawałku chleba i kieliszku wódki, co było dobrem, ale o wiele lepszym by było, korzystając z powolnego i ostrożnego pościgu Schildner-Schuldnera, z jego niefortunnego manewru oskrzydlenia strzelców w lesie tomisławickim (których oskrzydlić było trudno, bo zawsze mieli dość czasu dopadnięcia po prostej linii do Tomisławic), rzucić się forsownym marszem na południe i tym sposobem wyjść z „obławy moskiewskiej“. Mierosławski tego nie zrobił, do czekał się nadejścia nieprzyjaciela i pod rześistym jego ogniem opuścił wieś. Szedł, przyznać mu to trzeba, we wzorowym porządku i w postawie, nakazującej uszanowanie. Najprzód maszerowały dwa karabataliony kosynierskie w odległości stu kroków jeden od drugiego, za nimi dwie linie strzelców w takichże odstępach, w końcu jazda pod wodzą Topora, która też flankierowała oba skrzydła tej długiej nieco, ale ściśle regulaminowej kolumny. Posuwano się szczerem polem, zawsze w kierunku południowo-zachodnim, mając po swej prawej las, a po lewej drogę z Tomisławic do Witkowic. Nieprzyjaciół, postępując wolno, sypał gęstym, ale nieszkodliwym ogniem; wreszcie Schildner-Schuldner zamiast atakować śmiało, mając przewagę liczebną ludzi i broni, znowu rozpoczął swe niemądre manewry; lewem swem zajął Sosnowiec, groząc niby oskrzydleniem, Bóg wie w jakim celu, kiedy Mierosławski każdej chwili prostym zwrotem na prawo, oskrzydlenia tego mógł uniknąć. Wśród takiego ognia nieustannego, oddział polski doszedł do Słomkowa, ciągle zachowując wzorowy porzą-

<sup>1)</sup> A. Guttry, loc. cit. 146.

dek i męską krew zimną, z czego Mierosławski był bardzo zadowolony i mógł się przekonać, że z tą ruchawką jednak można było wiele dokonać, byle ją dobrze i umiejętnie prowadzić.

Mierosławski, doszedłszy do Słomkowa, zwrócił się nagle na prawo na drogę, prowadzącą do Nowej wsi, dokąd już poprzednio wysłał był furgony i tabór i gdzie chciał zająć pozycję wieczorną. Ruchem tym więc stanowczo porzucił dyrektywę na południe, jedynie dla zbawienia. Tutaj to, w lesie Słomkowskim, stracił z oczu Schildner-Schuldnera, który się zatrzymał, jak się zdaje, w Słomkowie. Za to Mierosławski otrzymał nowe posiłki w liczbie 80 ludzi, uzbrojonych w doskonałe karabiny, których przyprowadził z ks. Poznańskiego młody Niemiec, nazwiskiem Seidewitz <sup>1)</sup>. Przeszedł on szczęśliwie granicę pod Rudzkiem i natrafiwszy na oddział Mierosławskiego, rad był bardzo, że się mógł z nim połączyć. Niemniej uradowany był sam dyktator. Zatrzymał znowu cały oddział, powitał nowo przybyłych kwiecistą mową, pełną wspomnień i „jęku Miłostawia i Wrześni“, zapominając, że nieprzyjaciół depcze mu po piętach. Po mowie obejrzał broń nowoprzybyłych, uścił Topora za to, że dzielnie na czele swej jazdy odwrót zasłaniał, i wreszcie kazał maszerować drogą przez las do Nowej wsi. Tutaj to miała się rozegrać ostatnia scena tego dramatu. Pozycja była jak najfatalniej wybrana. Nowa wieś leży w pobliżu lasu, przez który szedł Mierosławski, z jednej, a jeziorem Gopłem z drugiej strony, przez którą ma lichą przeprawę w miejscowości zwanej Mały przewóz. Na lewo i w tyle granica pruska jest w odległości kilku kilometrów zaledwie. Była to więc prawdziwa matnia, z której przy energicznym ataku nieprzyjaciela, wyjścia poprostu nie było. Nie wiemy, jakie pobudki kierowały Mierosławskim w wyborze tej pozycji i odgadnąć je trudno; to pewna, że nie go usprawiedliwić nie może.

Oddział, wyszedłszy na pola z lasu, ustawił się przy

<sup>1)</sup> A. Guttry, loc. cit. 147.

jego brzegu. Rozrzucone tu były liczne sążnie drzew zrąbanych, tak że strzelcy mogli mieć z nich osłonę. Za strzelcami rozłożyli się kosynierzy, a kawaleria Topora na prawem skrzydle, w poprzek drogi, z Nowej wsi do Racięcina prowadzącej. Mierosławski z Mielęckim i całym sztabem po rozstawieniu oddziału, opuścili go i udali się do dworu o wiorstę może oddalonego. Żywność miała być dla ludzi nadesłana, tak że, oczekując na nią, złożyli broń w kozły. Patrolów nie wysłano żadnych. Mierosławski, przybywszy do dworu zabrał się do jedzenia <sup>1)</sup>, gdy nagle kilka strzałów, grzmiących od strony obozu, zmusiło go do porzucenia obiadu. Siadł więc na koń i ruszył cwałem do oddziału, gdzie dowiedział się, że strzelano do trzech kozaków, którzy ukazali się z lasu na drodze od Słomkowa. Jednego z nich ubito, ale dwaj pozostali umknęli. Dowodziło to, że Schildner-Schuldner jest na tropie i że pojawienia się jego należy każdej chwili się spodziewać. Mimo to Mierosławski nie wydał żadnych rozporządzeń i wrócił do dworu na obiad, mówiąc ze szlacheckim humorem, że „jak się najemy, to Moskałom skórę wytatarujemy“. Słońce chyliło się do zachodu, a żołnierz, nie dostając przyobiecanej żywności, wycieńczony marszem i całodziennym odwrotem pod ogniem nieprzyjacielskim, nurtowany oddawna przez intrygi i podszepty, począł głośno narzekać, a wielu nawet opuszczało szeregi <sup>2)</sup>. Wśród tego wszystkiego Schildner-

<sup>1)</sup> Tak opowiada pamiętnik, cytowany u A. Guttrego, Pan Ludwik, 148. E. Petyon, Urywek, 31, opowiada to nieco inaczej: „Jenerał, jadąc do wytkniętego obozu przez Raczkowskiego, wstąpił z nami na minutę do folwarku, gdzie przy stole zastał już sztab Mielęckiego. Dzierżawca Niemiec nalegał, aby jenerał zasiadł z innymi do stołu. Jenerał, podejrzywając niemieckie zaprosiny, zawałał się, kazał sobie odkroić kawałek wieprzowiny i z nią w kieszeni miał się oddalić, gdy w tem wniesiono barszcz, czy jakąś inną zupę, na którą, na powtórne naleganie Niemca, dał się namówić. Nie skończył jej jednak, strzały zmusiły go udać się natychmiast do obozu piechoty, rozłożonego 200 do 300 kroków od dworu“.

<sup>2)</sup> E. Petyon, loc. cit. 36.



Schuldner ukazał się na brzegu lasu, rozsypał tyralierów wzdłuż całej jego szerokości, i rozpoczął z odległości jakich czterdziestu kroków rżęsiły ogień, na który strzelcy nasi, ukryci poza sążniami odpowiadali. Położenie było nierówne. Poza liczebną przewagą nieprzyjaciela, poza wyższością jego broni, był on dobrze ukryty w lesie, kiedy nasi prócz sążni, dość rzadko rozrzuconych, a kosynierzy, stojący w drugiej linii, nie mieli i tej zasłony nawet. Mierosławski na odgłos strzałów pędem dopadł do placu boju, objechał całą linię i udał się na prawe skrzydło, gdzie powinien był stać Topór z kawalerią. Ale zamiast Topora zastał tu kozaków, którzy go powitali strzałami. Sytuacja była rozpaczliwa; oskrzydleni od prawego, zagrożeni w tyle, parci od frontu przeważnymi siłami, powstańcy lada chwila mogli być wyrzuceni z poza sążni i wepchnięci w Gopło. Dowódzca kosynierów Mikulicz, niegdyś oficer rosyjski i Genuńczyk, widząc to wszystko, postanowił bez rozkazu i na własną rękę, starym Raclawickim obyczajem, uderzyć kosynierką na czoło nieprzyjaciela, zrabować go i tym sposobem dać nieco powietrza oddziałowi. Na nieszczęście nie obliczył tego, że go zbyt wielka odległość od Rosyan dzieli, że zatem kosynierzy zaledwie długo wystawieni będą na morderczy ogień nieprzyjaciela. Mimo to siermiężna kosynierka kujawska na głos swego wodza, zwartą kolumną ruszyła pędem naprzód. Witana salwami, po dwakroć na rozkaz Mikulicza padała na ziemię i po dwakroć zrywała się do biegu, kiedy w odległości może 30 kroków od linii nieprzyjacielskiej, Mikulicz padał przeszyty kulą, a jego dzielna wiara chwieje się i rozsypuje w końcu zupełnie, szukając ocalenia w ucieczce<sup>1)</sup>.

Heroiczny ten atak spełził więc na niczem, a rozsypka kosynierów porwała za sobą i strzelców. Powstał straszliwy nieład; napróżno Mierosławski zabiegał im drogę, lajał, chciał sobie życie odebrać, i głośno zwał całą winę na Mieleckiego. Część uciekających zdołała się przeprawić

<sup>1)</sup> *Gesket-Fuzyrewskij*, loc. cit. 219.

przez Gopło u Małego przewozu, choć Schildner-Schuldner dla odcięcia odwrotu wysłał był objeszczyków, którzy okrążyli jezioro. Schwytili oni tylko 13 powstańców i cztery wozy<sup>1)</sup>. Część druga wzięła się na prawo ku Slesinowi i szła całą noc, eskortowana przez kozaków, którzy jednak z powodu ciemności atakować nie śmieli. W drodze powoli rozbitki się ściągali, i gdy przybyto do Kazimierza, oddział znowu liczył 500 ludzi<sup>2)</sup>. Ale zniechęcenie było nadwyzajne, oburzenie i nieufność do Mierosławskiego rosła z każdą chwilą, a jeden z członków organizacji miejscowej cywilnej począł gwałtownie podburzać żołnierzy. Przyszło do tego, że dyktator mógł paść ofiarą wzburzenia, albo też, że cały oddział go porzuci. Wobec tego nie nie pozostawało, jak obóz opuścić. Jakoż d. 23 lutego wieczorem, w kompanii sześciu wiernych sobie towarzyszy, wyjechał za granicę pruską<sup>3)</sup>.

Jakie straty ponieśli powstańcy w tym całodziennym odwrocie, trudno powiedzieć. Polskie źródła<sup>4)</sup> powiadają, że w dniu tym poległo 37, a rannych i jeńców było 30. Jakkolwiek cyfra ta nie może być dokładną, wszelako jest bardzo prawdopodobną; wszak pomimo rozproszenia pod Nową wsią, w Slesinie znowu zebralo się około 500 ludzi, a przedtem cały oddział najwyżej 700 wynosił, od czego odtrącić należy dwieście koni jazdy zbiegłej z Toporem z pod Nowej wsi. Schildner-Schuldner w swym kłamliwym i chępliwym raporcie powiada, że powstańców poległo stu, a 32 wzięto do niewoli, on sam zaś miał tylko trzech

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> *A. Guttry*, loc. cit. 150.

<sup>3)</sup> Podanie, cytowane przez *Berga*, *Zapiski* IV, 6, jakoby Mierosławski w dzień potyczki pod Nową Wsią opuścił oddział, jest pozbawione prawdy. Niemniej fałszywą jest relacja, jakoby po rozbiciu oddziału „Mierosławski wyprzedził piechotę, wskoczył na prom z kilku najbliższymi i w gniewie i strachu odciął pałaszem linę“.

<sup>4)</sup> „Wiadom. z pola bitwy“ Nr. 4.

ranych!'). Widocznie zapomniał ten bohater, że i kłamstwo winno mieć swą granicę. Powiada on, że oddział Mierosławskiego liczył 1000 ludzi, gdy tymczasem Mielęcki do Płonic przyprowadził tylko 400 ludzi; z pod Krzywosądzą z dyktatorem przyszło czterdziestu kilku; w marszu do Trojaczka i Nowej wsi przybywali wprawdzie nowi ochotnicy, jak Seidewitz z 80 ludźmi, tak że razem mogło być około 700, to jest siły, wyrównyujące nieprzyjacielskim. Do tysiąca wszelako jest jeszcze daleko. Schildner-Schuldner dla podniesienia swej zasługi, w raporcie swym nie odmawia pewnych stron dodatnich Mierosławskiemu i jego oddziałowi. Utrzymuje on, że Mierosławski „zamierzał ustanowić w Nieszawie centrum swej działalności i stamtąd atakować Włocławek“; pisał, że „buntownicy starali się stawiać opór“, że daje się spostrzegać wśród nich pewna organizacja, że „zasłaniał się łańcuchem tyralierów, ataków dokonywali kolumnami ze strzelcami na skrzydłach; przeciw atakom kawaleryjskim formowali kupki i dawali ognia, przyczem pierwszy szereg klękał“. Na nie-szczęście, w całej tej kilkudniowej kampanii nie przyszło do tego, by kawaleria rosyjska atakowała polską piechotę. Jest to więc kłamstwo, jak kłamliwym jest zakończenie raportu, że przy powrocie Schildner-Schuldnera do Włocławka, w drodze „wszyscy mieszkańcy wychodzili na powitanie i byli bardzo zadowoleni, że ich uwolniono od buntowników“<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> W pierwotnym raporcie, ogłoszonym w urzędowej gazecie „Russkij Inwalid“, donosił nawet, że miał tylko jednego rannego. Później widocznie się rozmyślił, że to trochę za mało i dodał jeszcze dwóch.

<sup>2)</sup> W gazecie „Petersburgskija Wiedomosti“ (z dnia 7 marca 1863 r.) jeden z oficerów rosyjskich, będących, jak sam mówi, w sztabie Schildner-Schuldnera, a jak się zdaje, sam Schildner-Schuldner, dla większego rozpowszechnienia swej sławy, pisze co następuje o oddziale dyktatora: „w bandach Mierosławskiego dawała się spostrzegać pewna znajomość służby frontowej. Formowały się one dość prawidłowo i wysyłały tyralierów. W czasie pościgu, przy

Bądź co bądź Mierosławski smutnie zakończył swą dyktatorską kampanię. Że sam wiele błędów popełnił, jest rzeczą niewątpliwą, ale że do tych błędów przyczyniły się znacznie intrygi Mielęckiego i szlachty kujawskiej, która drżała, słysząc imię Mierosławskiego, i gdy się pojawił w kraju, przekonana była, że pasy z niej drzeć będzie, to także jest pewnem. Jest podanie<sup>1)</sup>, że w Kazimierzu prosił Mielęckiego o 60 koni, nie dlatego by one eskortowały go zagranicę, ale dlatego, by na ich czele mógł się przedrzeć w głąb kraju, i że Mielęcki mu tej eskorty odmówił; podanie to wszelako jest bardzo wątpliwem. Nie miał on takiego zamiaru; chory był, przeziębiony, sformował mu się wrzód w gardle<sup>2)</sup>, i z pewnością pragnął jak najprędzej opuścić kraj, gdzie witany był nieżyczliwie, gdzie poniósł porażkę za porażką i gdzie urok dyktatury zszarzał w ucieczce przed nieprzyjacielem. Przejechał on późną nocą szczęśliwie kordon pruski w towarzystwie Raczkowskiego, swego szefa sztabu, Jana Kurzyny, sekretarza<sup>3)</sup>,

ataku kozaków, potrafili utworzyć niewielkie trzechszeregowe *caré*. Jednakże, pomimo przyjaznego terenu, nietylko nie byli w stanie stawić czoła żadnego naciskowi, ale w ogólności nie zdolali nigdzie silnie się opierać. Powodem tego nie był brak męstwa lub energii, gdyż pomimo naszego ognia karabinowego, tłumy buntowników zbliżały się niekiedy do wojska na 30 kroków, ale przedewszystkiem brak broni. Większa część obu band buntowniczych uzbrojona była w kosy; strzelby mieli tylko tyralierzy; broń mają przeważnie dwururką, z których jedna lufa gwintowana, druga gładka. Umundurowania bandy te nie miały; po większej części wszyscy buntownicy ubrani są nędznie, w te same suknie, w których opuścili domy swoje“.

<sup>1)</sup> O. Aweyde, Zeznania III, 44.

<sup>2)</sup> E. Petyon, Trzy zdrady. B. Limanowski Historia ruchu II, 35 powiada, że Mierosławski otrzymał kontuzję pod Nową wsią i z tego powodu był chory.

<sup>3)</sup> W ówczesnych gazetach zagranicznych rozeszła się pogłoska, że Kurzyna ciężko ranił pod Nową wsią, dostał się do niewoli rosyjskiej. Gazety powiadały, że na pytanie dowódcy rosyjskiego, dlaczego przyjechał tu z Paryża, Kurzyna oddając ostatnie technienie, miał odrzec: „Na to by spotkać kulę rosyjską“. Oczywiście



Dra Saladyna Ramlowa, Zygmunta Rościszewskiego adjutanta, Pawła Rusieckiego i Petyona. Dostawszy się do wsi Jeziora, spoczął tu kilka godzin, i zawsze w charakterze dyktatora polecił Kurzynie i Ramlowowi udać się do Krakowa<sup>1)</sup>, „w celu zbadania gruntu“; Raczkowski miał pozostać w Poznańskim. Rościszewski towarzyszyć Mierosławskiemu do Paryża. Rusiecki miał ruszyć z misją jakąś do Warszawy, Petyonowi zaś wyliczono 50.000 fr. i kazano mu jechać do Liège dla zakontraktowania 1000 karabinów dla piechoty, 250 sznéców dla jazdy, rewolwerów i koni, oraz sporządzenia uzbrojenia, wynalazku Mierosławskiego, dla 200 kosynierów, bez czego, jak tenże oświadczył, „ani myśli ruszyć się do powstania“<sup>2)</sup>. Wydawszy takie rozporządzenia, pojechał do Paryża, w tem przekonaniu, że dyktatura jego istnieje, i że nikt nie myśli mu jej odbierać.

Tymczasem rzeczy zupełnie inaczej się miały. Jak wiemy, członek Tymczasowego Rządu narodowego, Oskar Aweyde umyślnie jeździł w Płockie na powitanie dyktatora, gdy ten zamierzał pierwotnie kampanię swą w Lipnowskim rozpocząć. Gdy się to nie udało, i gdy Mierosławski ostatecznie wkroczył do Kujaw, Aweyde, Majkowski, ks. Mikoszewski i Józef Janowski, udali się tamże, w zamiarze ogłoszenia jawnego rządu w obozie. Ale nie dojechali dalej jak do Kutna, gdy się dowiedzieli o kata-

ście wszystko to było bajką. Jakkolwiek Kurzyna podobno bardzo bohatersko stawał w boju. W liście Bobrowskiego do Padlewskiego (*N. Berg*, *Zapiski* IV, 191), znajdujemy taką o tym rewolucyoniście wzmiankę: „Kurzyna w czasie bitwy był takim, jakim bywa zawsze i wszędzie, człowiekiem wyższego charakteru, który potrafi znaleźć się odpowiednio w każdej chwili i w każdym położeniu; siadł na konia i stał pod gradem kul, z tą nigdy nie zmieniającą się fizyognomią, jaką znasz i jaka cię tak drażniła“.

<sup>1)</sup> *Z. Kolumna*, Pamiątka, dodatek. 29, utrzymuje, że Kurzyna pojechał najprzód do Warszawy i zabawiwszy tu parę dni. potem dopiero udał się do Krakowa.

<sup>2)</sup> *E. Petyon*, Trzy zdrady.

strofie Nowomiejskiej, i o tem, że dyktator kraj opuścił<sup>1)</sup>. Gdzieby on się znajdował, coby zamierzał czynić, nie wiadano, gdyż nie dawał o sobie żadnej wiadomości<sup>2)</sup>. Wyślany przezeń do Warszawy Rusiecki nie pokazywał się wcale, tak że Rząd tymczasowy był mocno zakłopotany, zwłaszcza wobec raportów Schildner-Schuldnera, drukowanych w piśmie urzędowym, głoszących o pokonaniu i ucieczce dyktatora. Dla dowiedzenia się o jego losie, rozesłano kilku kurierów, aż nakoniec zjawił się Rusiecki i doniósł, że Mierosławski znajduje się w Paryżu. Wiadomość ta wywarła przynębiające wrażenie na członków Rządu, a nadewszystko była w najwyższym stopniu upokarzającą dla powstania. Ten wódz, który tyle o sobie głosił, ten ideał młodzieży polskiej, wezwany do dzierżenia najwyższej władzy nad narodem, walczącym o niepodległość, po kilkudniowej włóczędce nad granicą, dwukrotnie pobity i uciekający do bezpiecznego kąta paryskiego, poprostu rumienił wstydem czoła wszystkich, którzy umieli cenić godność narodową. Podniosła się więc wielka burza w łonie Rządu; postanowiono wprawdzie ukrywać ucieczkę dyktatora, ale ukrywanie takie trwać długo nie mogło, zwłaszcza, że w interesie rządu rosyjskiego leżało jak najszersze rozgłoszenie tego faktu. Niektórzy liczyli na to, że Mierosławski rychło powróci<sup>3)</sup>, ale Stefan Bobrowski niechętny tej dyktaturze od samego początku, postanowił raz temu wszystkiemu koniec położyć. Przedstawił on swym współkolegom w Rządzie, że nie można rzucać losów kraju na ofiarę pierwszego lepszego przypadku; że nikt nie ma prawa oddawać w dzierżawę komukolwiek Polski; że generał Mie-

<sup>1)</sup> List do Padlewskiego, przytoczony przez *N. Berga*, *Zapiski*, IV, 188, i napisany jak *Berg* powiada, przez „jednego z członków Rządu“, jest prawdopodobnie pióra Aweydy. Wskazuje to następujący ustęp: „Po powrocie moim (oczywiście z Płockiego) udaliśmy się szukać dyktatora pod Nową wsią, aleśmy go tam nie zastali“.

<sup>2)</sup> *A. Giller*, *Historya* I, 224.

<sup>3)</sup> *Loc. cit.*

rosławski nie może przynieść pożytku sprawie samym urokiem swego imienia, gdyż urok ten stracił na polach Krzywosądza i Nowej wsi, należy więc uwiadomić go, że, jeżeli nie wróci do kraju i nie obejmie władzy, to straci do niej wszelkie prawo<sup>1)</sup>. Radę tę uznano za słuszną i uchwalono, że: „Jeżeli generał Mierosławski do d. 8 marca nie będzie się znajdował na placu boju na czele oddziału, to wszelkie zobowiązania, wypływające z aktu 25 stycznia ustają i generał Mierosławski przestaje być dyktatorem“<sup>2)</sup>. Ponieważ Rząd nie otrzymał do oznaczonego terminu żadnej wiadomości od Mierosławskiego i ponieważ nie zjawił on się w granicach kraju, więc faktycznie dyktatura jego upadła, upadła obryzgana krwią krzywosądzką i błotem kazi-mierskim.

Podczas gdy się tak smutne i tak upokarzające dla powstania wypadki rozgrywały nad piastowskim Gopłem, gdy dyktatura konała bez chwały, a jedna ze sław rewolucyjnych polskich resztki swego uroku traciła, gdzieindziej, na południu kraju, z potoków krwi najlepszej wypływało inne imię, inna efemeryczna sława podnosiła się na chmurnem niebie polskiem, i przez chwilę, zdawało się, że może pchnąć losy ojczyzny na lepsze, jaśniejsze koleje. Zostawiliśmy Langiewicza jak wyparty z Suchedniowa i Wąchocka, w części rozbity, z garstką ludzi cofnął się do Bodzentyna, gdzie z drugim batalionem powstańczym obozował Dawidowicz. Przybyto do cichego miasteczka, w którym niedawno tak krwawe rozgrywały się sceny, nocą, mieszczono się jak można było po domach i chatach, żywiono się własnym przemysłem, gdyż o regularnem rozdawaniu żywności nie mogło być mowy. W ciągu nocy i następnego dnia 4 lutego, powoli poczęły się ściągać rozbitki, choć wielu nie powróciło już wcale i wytworzył się na oznaczenie tego rodzaju ludzi nowy, nieznany do-

<sup>1)</sup> List Bobrowskiego do Padlewskiego (*N. Berg*, loc. cit. IV, 192).

<sup>2)</sup> *A. Giller*, *Historja I*, 224.

tańd w polszczyźnie wyraz: „uciekiniar“. Langiewicz odpocząwszy nieco, zaprowadziwszy jaki taki ład, wyruszył bocznymi drogami ku górcom Świętokrzyskim, gdzie kraj górski, lesisty, zapewniał mu bezpieczne schronienie i możliwość łatwej obrony. Zajęto miasteczko Słupię nową, leżącą pod górą, oraz sam klasztor, wzniesiony na szczycie góry, odwieczna niegdyś siedziba Benedyktynów, czasy Chrobrego pomnająca. Rozpoczęto tutaj wśród względnej ciszy i spokoju, gdyż o nieprzyjacieliu nie było słychać, reorganizacją mocno rozprężonego oddziału. Ponieważ liczebnie znacznie on się zmniejszył<sup>1)</sup>, więc nie było materiału na pierwotnie zakreślone kadry czterech batalionów. Uformowano więc na nowo tylko dwa<sup>2)</sup>, które stały w części pod górą, na skraju lasu, pod szalasami z gałęzi, w części w samym klasztorze, w którym mieściła się kwatery główna, sztab i drukarnia. Klasztor był opustoszały, gdyż siedzących tu za różne przestępstwa księży, z wiedzą czy bez wiedzy Langiewicza, wypuszczono na wolność. Artylerya oddziału składała się z czterech armatek, według jednych<sup>3)</sup> drewnianych, obciążonych żelaznymi obręczami, które zresztą małą wartość przedstawiały, gdyż po paru strzałach pęknąć musiały; według innych<sup>4)</sup> spiżowych, odlanych jeszcze w r. 1831 z dzwonów kościelnych. Był to rodzaj długich śmigownic sześciofuntowych, zjedzonych mocno przez rdzę, gdyż przez trzydzieści przeszło lat leżały gdzieś zakopane pod ziemią; nie miały one nawet, ale proste drągi na kołach.

Langiewicz, jeżeli wierzyć niektórym doniesieniom, po wzmocnieniu i zreorganizowaniu się na św. Krzyżu, za-

<sup>1)</sup> *Geskt-Iuzyrewskij*, loc. cit. 53, twierdzi, że w Słupię siły Langiewicza przenosiły 1500 ludzi; ależ on w Wąchocku tylu ich nie miał. W Słupię liczył zaledwie kilkuset ludzi.

<sup>2)</sup> „Przyczynek do wypadków 1863 r.“ (rkpsm.). *Potto*, *Pochodnia* zapiski (Wojen. Sbornik 1867 r.).

<sup>3)</sup> *Potto*, loc. cit.

<sup>4)</sup> „Dziennik warszawski“ z r. 1865, oraz „Przyczynek do wypadków“.



mierzał przy pierwszym wydaleniu się Czengierego z Kielc, co wcześniej lub później musiało nastąpić, napaść na to miasto i zdobyć je; gdyby mu się to nie powiodło, zamierzał pomaszerować w województwo krakowskie dla połączenia się z Kurowskim, z którym nieustannie się znosił. Tymczasem, oczekując na sposobność, siedział spokojnie w odwiecznym klasztorze, na szczycie mgłami otulonej góry, niby orle, czyhające na zdobycz. Czas był dżdżysty, wilgotny i zimny. W tej porze i na tych wysokościach, chłód był dokuczliwy. Kiedy w dolinach było względnie ciepło i odwilż, tutaj mróz i śnieg spadający płatami, zmieniały się ustawicznie<sup>1)</sup>. Codzień mustrowano się na polance w lesie, zajmowano się gorliwie zbieraniem podatków w okolicy, co odbywało się z takim spokojem i bezpieczeństwem, jak gdyby panował pokój zupełny, a nieprzyjaciół był oddalony o setki mil<sup>2)</sup>. Jakoż w rzeczy samej, w Kielcach i Radomiu miano bardzo głucho i bardzo niejasne wiadomości o tem, co się stało z Langiewiczem po starciu wąchockiem. Jenerał Uszakow w raporcie do szefa sztabu<sup>3)</sup> zapewniał, że „nic poważnego niema“, że „mó-

<sup>1)</sup> „Przyczynek do wspomnień“ (rkpsm.), tak maluje to życie obozowe: „Rozpalono ogniska, dla każdego kilku lub kilkunastu ludzi, ogrzewały nieźle, ale trzeba było dla ogrzania się odwracać się do płomieni to jedną, to drugą stroną. W nocy, zasnąwszy, leżąc na jednym boku, jedna połowa rozgrzewała się zbyt mocno, podczas kiedy druga marzła; co czas jakiś uczucie chłodu niepokoiło śpiącego i budziło. Żołnierz nie miał potrzebnego wywczasu i wypoczynku“.

<sup>2)</sup> Loc. cit. „Wszędzie, opowiada autor, witano nas z zapalem, goszczono jak można najlepiej. Po całodziennym zwykłym marszu, stawaliśmy na noc kwaterą w większej budowli jakiejś dla przenocowania. Ze zdziwieniem wspominam o tych chwilach, gdyż dowódca nasz zaniedbał najprostszymi środkami ostrożności; sypialiśmy bez warty, bez pikiet; zaledwie przy drzwiach samej budowli, czuwał ktoś nawpół śpiący. Tylko Boska ręka ustrzegła nas wtedy od niewoli lub wymordowania“.

<sup>3)</sup> Raport ten w wyciągu czytać można u *Gesket-Puzyrewskiego* loc. cit. 50.

wią o oddziale pod miasteczkiem Słupia nowa pod wodzą Langiewicza, ale wieści o nim są bardzo przesadzone, jakieśmy się o tem już przekonali pod Wąchockiem; sądząc, że w partyi tej niema więcej nad 1000 ludzi, którzy rozbiegą się przy pierwszym wspólnym ataku kolumn, maszerujących z Kielc i Radomia<sup>4)</sup>. Kolumny owe, o których mówi Uszakow, w istocie koło 9 lutego wyruszyły w składzie i z dyrektywą następującą: z Radomia wysłano pięć kompanii pułku Halickiego piechoty z 60 kozakami i 40 saperami, pod wodzą majora Gołubowa, po szosie do Suchedniowa, a stąd miał maszerować na Wąchock, Wierzbnik, Kunów, Ostrowiec do Opatowa, w celu przejrzenia tych lesistych i górskich okolic, wytępienia do reszty powstańców, ocalałych po starciu wąchockiem, przywrócenia „porządku“, jak się to mówi w języku urzędowym, w Opatowie i Sandomierzu, i w końcu ściągnięcia straży pogranicznej. Oddział ten, włączając się przez kilka dni, nie natrafił na ślad powstańców, i w ataku na Langiewicza, z którego to ataku Uszakow taki sobie skutek obiecywał, udziału wcale nie brał<sup>1)</sup>. Gdy pod św. Krzyżem toczyła się walka, Gołubow maszerował z Wąchocka do Wierzbnika, czyli znajdował się od placu boju w odległości kilku mil polskich.

Drugi oddział wyruszył z Kielc pod wodzą Czengierego i składał się z pięciu kompanii Smoleńskiego pułku piechoty, pół szwadronu dragonów, 50 kozaków i jednego dział<sup>2)</sup>; miał on wprost pomaszerować na św. Krzyż i tam szukać Langiewicza, o którym Uszakow donosił Czengieremu, że ciągle w siły rośnie. Naczelnik garnizonu kieleckiego wystąpił d. 11 lutego o godz. 9 ej wieczorem<sup>3)</sup>. Marsz wśród nocy, po drogach bocznych i błotnistych, wy-

<sup>1)</sup> Loc. cit. 49.

<sup>2)</sup> Loc. cit. 54. Raport Czengierego nie wspomina nic o dragonach, a kozaków liczy 50. „Wiad. z pola bitwy“ Nr. 3, przesadnie obliczają siły rosyjskie na 2000 piechoty, 100 kozaków i 4 dział.

<sup>3)</sup> „Wiadom. z pola bitwy“ Nr. 3, mylą się podając datę starcia pod św. Krzyżem, 11 lutego. W rzeczy samej potyczka odbyła się d. 12 lutego.

noszący około 40 kilometrów, był nadzwyczaj dla żołnierzy uciążliwy. Armaty musieli nieraz ludzie ciągnąć, gdyż konie nie mogły dać rady wśród wąwozów górskich i błotnych szyi leśnych. Około godz. 9-ej rano zbliżono się na koniec do Słupi nowej, a przewodniczył temu całemu pochodowi sołtys ze wsi Krajna, ten sam, który przed kilkunastu laty wydał ks. Ściegiennego <sup>1)</sup>. Czengiery szedł na Bartoszeki i Trzciankę, i miał po swej lewej górę, pokrytą lasem, z klasztorem na szczycie, po prawej miasteczko Słupię. Langiewicz, uprzedzony dość wcześniej o marszu Rosyan, w niczem nie zmienił swej pozycji pierwotnej. Na skraju lasu pozostała jak dawniej większa część oddziału wraz z baterią armat; w klasztorze, który obwiedziony murem, został przygotowany jako tako do obrony, mniejsza część ze sztabem i z samym dowódcą. W Słupi, z której na widok zbliżających się Rosyan, wszyscy nieomal mieszkańcy uciekli <sup>2)</sup>, przez zapomnienie pozostawiono w miejscowym areszcie siedmiu więźniów, oskarżonych o szpiegostwo i inne przestępstwa, wraz z sztyldwachem, którym był prosty kosynier i który heroicznie dotrzymał na miejscu do końca <sup>3)</sup>.

Czengiery, rozpatrzywszy się w położeniu rzeczy, podzielił swe wojsko na dwie części, i postanowił współcześnie atakować klasztor i linię powstańczą na skraju lasu. Na klasztor, na czele dwóch kompanii piechoty wyruszył podpułkownik Sorniew, na pozycję w lesie z trzema kompaniami, kozakami i armatą sam Czengiery. Ten ostatni uszykowawszy się w ten sposób, że miał kozaków na przodzie, a za nimi piechotę, postępował ostrożnie i lekliwie.

<sup>1)</sup> „Wiad. z pola bitwy“ Nr. 3, mylnie dodają, że „Moskale skorzystali teraz z jego zasług i wynagrodzili go za to jak zasłużył, zakluciem bagnietami“, co nie jest prawdą.

<sup>2)</sup> *J. Styczeń*, Postępowanie Moskali podczas powstania („Gazeta narodowa“ lwowska).

<sup>3)</sup> Myli się *Gesket-Puzyrewskij*, 55, twierdząc, że Słupia była zajęta przez powstańców. Oprócz owego jednego kosyniera, więcej powstańców tam nie było.

Powstańcy, którymi tutaj Czachowski dowodził, na swem lewem skrzydle od strony Słupi, umieścili całą swą jazdę, która strzegła drewnianej baterii armatek; dalej stali strzelcy ukryci za drzewami, w głębi zaś lasu w gęstej kolumnie, w kształcie rezerwy, kosynierzy. Czengiery atak swój rozpoczął od tego, że, zbliżywszy się na odpowiednią odległość (350 sążni rosyjskich), odprzodkował działo i począł strzelać granatami, głównie w jazdę powstańczą, jako najmniej zasłoniętą. Kawalerya ta, słabo wyćwiczona, mając po większej części konie nieostrzelane, kanonady tej nie wytrzymała i zbiła się w nieforemną gromadę, z czego korzystając kozacy rzucili się naprzód, ale powitani kartażami z baterii armatek polskich (jedna z nich przytem pękła), ze stratą junkra i kilku szeregowców w nieładzie się cofnęli. Rozpoczęła się zwykła w tej wojnie, uparta, bezcelowa, nużąca strzelanina, wskutek której zapalił się obóz powstańczy, szałasy i namioty, z czego Czengiery skorzystał i rzucił kozaków i piechotę do ataku. Koło baterii polskich działek zawiązała się żwawa acz krótka walka ręczna, która skończyła się zwycięstwem rosyjskiem. Cała linia polska cofnęła się w nieładzie ku klasztorowi.

Tutaj atak Sorniewa został odparty stanowczo, zwłaszcza, że był prowadzony bardzo słabo i lekliwie <sup>1)</sup>. Czengiery miał nadzieję, że nadejdzie oddział z Radomia i wtedy przy pomocy dział gwintowanych klasztor zdobędzie. Oczekując na to, wstrzymał swoje ataki, skierował się ku Słupi

<sup>1)</sup> Autor rękopiśmiennych „Przyczynków do wypadków 1863 r.“ opowiada następujący epizod; „Gdyśmy się zgromadzili w murach klasztoru, kapitan Pióro z jednym plutonem strzelców, wysłany na rekonesans, podszedł pod osłoną gałęzi i gęsto padających płatów śniegu, dość blisko do linii rosyjskiej. Dostrzegłszy siły, którym jego plutonik nie mógłby stawić oporu, wydał cicho rozkaz swoim, aby się cofali, głośno zaś krzyknął: „Zajść im ty! zajść im ty!“ Nieprzyjaciel, nie mogąc dojrzeć liczby powstańców, ani pomiarkować się w położeniu, odstąpił niebawem od klasztoru i rozlokował się w niedalekiem sąsiedztwie, w zamiarze ponowienia ataku na jutro, lub odcięcia nieco od świata i głodzenia“.



i kazał strzelać do niej granatami. Gdy domy się zapaliły i nikt na strzały nie odpowiadał, żołnierze rosyjscy wpadli do miasteczka i wymordowali owych siedem osób, będących tam w areszcie, wraz z szyldwachem, który stanowiska swego do końca nie opuścił<sup>1)</sup>. Zabrano przytem, pozostawiony tamże przez proste niedbalstwo furgon Langiewicza, w którym się mieściły papiery, mapy niedawno przysłane z Warszawy, spisy czterech batalionów powstańczych, a nadewszystko kasa oddziału, wynosząca 36.000 rubli w papierach<sup>2)</sup>. Z nastaniem zmroku, Czengiery cofnął

<sup>1)</sup> Między tymi więźniami (4 żydów i 2 kobiety, żony pisarzy rosyjskich z Opatowa, wszyscy sześcioro oskarżeni o szpiegostwo), znajdował się także kapitan Moreau, obwiniony, trochę lekomyślnie o to, jakoby zdradził pod Wąchockiem, bo się zbyt wcześnie cofnął. Mnóstwo plotek o nim w obozie rozpuszczano i dziwić się należy, że starszyzna ich słuchała. Aresztował go kapitan Pióro, gdy już Langiewicz był na św. Krzyżu, w jednym z dworców szlacheckich i przywiódł do obozu. Tutaj pomieszczony w areszcie, gdy kozacy i piechota wdarli się do Słupi, padł zakłuty bagnetami. Resztę więźniów i szyldwacha, także zamordowali bohaterscy wojownicy Czengierego. „Daremnie Moskiewki (opowiada *J. Styczeń*, loc. cit.) krzyczały, że one są swoje, daremnie Moreau żądał stawienia siebie przed jenerała, nic nie pomogło; rozwścieczona dzicz moskiewska... wyklula wszystkich bagnetami“. „Moreau natychmiast ducha wyzionął, resztę bagnetowanych znaleźli mieszkańcy po powrocie do miasteczka jeszcze żywych, choć już w okropnych cierpieniach konających, tak że ostatnia z nich ofiara swych własnych zbrodni, jedna z Moskiewek skoła dopiero po trzech dniach od wyjścia Moskali z Nowej Słupi“. Czengiery w swym raporcie tak opowiada: „Atak nasz ocalił między innemi, życie dwóch włościan, skazanych przez buntowników na rozstrzelanie; trzeci zaś z tych nieszczęśliwych został rozstrzelany przed samym atakiem. W liczbie jeńców oswobodzonych przez oddział, była także wdowa po zmarłym naczelniku komendy inwalidów w Opatowie. sztabkapitanie Afanasiewie, trzymana pod strażą za wierność rządowi“. *N. Berg*, (Zapiski II, 517) utrzymuje, że dama ta była Polką. żoną oficera z Kielc i że ocalała.

<sup>2)</sup> *N. Berg*, Zapiski II. 517, oraz *J. Styczeń*, Postępowanie Moskali. Opowiada on co do owego furgonu następujące szczegóły, za których jednak autentyczność ręczyć trudno. „W powrocie do Kielc wojsko moskiewskie stanęło na nocleg przy karczmie, w po-

się do Trzeianki i tu rozłożył się obozem, nic nie wiedząc co się dzieje z Langiewiczem i co on zamierza uczynić.

Starcie to, ze strony rosyjskiej prowadzone ospale i lęklawie, trwało cztery godziny, choć oba wojska przez cały dzień miały się na baczności i znajdowały się blisko siebie: Langiewicz w klasztorze, a Czengiery pod górą. Na usprawiedliwienie wodza rosyjskiego to można tylko powiedzieć, że pozycja Langiewicza była wyborna i zakryta lasem, przytem padał śnieg wielkimi płatami i utrudniał wszelkie ruchy. Oprócz krótkiej i żwawej walki ręcznej przy polskiej baterii drewnianych armatek, z których dwie Czengiery zdobył, bitwa polegała na obustronnej, bezcelowej strzelaninie. Wódz rosyjski, wzięwszy obóz polski,

łowię drogi między Nową Słupią a Bodzentynem, w czystym polu położonej. Czengiery nie znalazłszy żywej duszy, a wojsko jego ani kieliszka wódki w karczmie, rozłożył się w niej sam z jednym tylko adjutantem, reszcie oficerów poleciwszy nocować w gołym polu przy wojsku. „Gdy noc zapadła. Czengiery wraz z swym adjutantem udał się do stajni karczemnej, gdzie stał zabrany furgon Langiewicza“. „Rozpoczęła się rewizja furgonu, w którym cbok papierów, kompromitujących kilka osób czynnych w powstaniu, jak komisarzy wojennych, naczelników powiatowych, znaleziono co było głównym celem poszukiwań, 36.000 rubli w banknotach. Zabrawszy wszystkie papiery i pieniądze, Czengiery... sam zajął się odczytaniem zdradzających część organizacji zamkowej papierów i rozumie się, liczeniem znalezionych pieniędzy. Nakoniec i ta praca czcigodnego wodza ukończoną została, papiery odniesiono do furgonu, poczem ciemność zaległa wewnątrz karczmy. Po godzinie atoli czasu zaczęło się silne dobijanie do drzwi karczemnych, połączone z krzykiem „proszę wstać pana jenerała, gdyż karczma się pali“. Zerwał się Czengiery, zerwał i adjutant, wyskoczyli z karczmy zabrawszy swe manatki, a żołdactwo pobudzone wpadło na ratunek palącej się karczmy. Ogień buchał ze stajni, gdzie furgon do szczytu się już dopalał, a dach dopiero co zaczynał, nie było więc czego ratować i karczma zupełnie się spaliła“. „Najkomiczniejszym z tego wszystkiego było niejednokrotne odzywianie się później Czengierego do swych podwładnych oficerów, iż żałuje mocno, że zaniedbał zrobić rewizji zabranego Langiewiczowi furgonu“. Dotąd *Styczeń*. O ile to wszystko jest prawdą, nie wiemy. to pewna, że w raportach urzędowych Czengierego niema wcale wzmianki o zabranych pieniądzech.

powinien był uderzyć całą siłą na klasztor, czego nie uczynił i wolał palić bezbronne i opuszczone miasteczko, mordować więźniów i rabować tabór polski. Tłómaczył się tem, że zajęcie Słupi było koniecznem, ze względu na możność połączenia się z oddziałem radomskim Gołubowa, którego cały dzień szukał przy pomocy rozjazdów kozackich i oczywiście znaleźć go nie mógł, bo ten wtedy, jakśmy to rzekli, maszerował z Wąchocka do Wierzbnika<sup>1)</sup>. Powstańcy, według relacji rosyjskich, bili się dobrze i o wiele lepiej byli uorganizowani niż w Wąchocku. „Po raz pierwszy u powstańców, pisze historyk rosyjski<sup>2)</sup>, ukazały się armaty; ognia ich oczywiście nie można porównać z naszym, ale mimo to przyszło do ręcznego boju na pozycyi; był to pierwszy chrzest ognia dla powstańców i dowodził pewnego podniesienia ducha i zdecydowania się na świadomą walkę z bronią w rękę“. Co się tyczy strat obustronnych, te jak zwykle, trudne są do oznaczenia. Czengiery w swym raporcie powiada, że w lesie przy baterii poległo 70 powstańców, a w tej liczbie czterech księży z bronią w rękę. On sam, oprócz „uryadnika“ Papiercowa, który poległ od kartacza, miał tylko jednego szeregowca rannym. Polskie źródła<sup>3)</sup> utrzymują, że powstańcy wraz z zamordowanymi na odwachu, stracili 16 ludzi i 5 rannych, z których dwóch nazajutrz umarło. Czengiery miał zdobyć znaczne zapasy żywności, które natychmiast rozdał żołnierzom „zmęczonym marszami po górach, wąwozach i lasach“.

✕ Langiewicz, zamknięty w murach klasztornych, obstawiony pikietami zewnątrz, za nadejściem nocy postanowił opuścić to miejsce, z wielu względów niemożliwe do utrzymania. Najprzód brakowało żywności, a nadziei na jej dostanie nie było żadnej; te wiktuały, jakie miano, zjedzono doszczętnie, a mimo to większość ludzi była głodną; następnie należało się spodziewać, że wcześniej czy później

<sup>1)</sup> Gesket-Fuzyrewskij, loc. cit. 56.

<sup>2)</sup> Loc. cit. 57.

<sup>3)</sup> Wiadomości z pola bitwy Nr. 3.

Czengiery ściągnie do siebie Gołubowa i wtedy przeważną siłą paru tysięcy ludzi, uderzą na klasztor i wezmą go szturmem. Langiewicz w raporcie swoim do Rządu narodowego<sup>1)</sup> wyluszcza te powody, mówiąc: „Na św. Krzyżu nie można było pozostać, bo byśmy byli ogłodzili nasze wojsko, a co najważniejsza, nie było w tamtych stronach materiału na zasilenie naszych szeregów“. Wobec tego należało skorzystać z ciemności nocnych i wymknąć się z tej prawdziwej pułapki. Zapowiedziano więc oddziałowi, aby broń opatrzył, ale nakazano jak największą cichość. Oficerowie mówili do żołnierzy: „Kto się głośno odezwie lub wystrzeli, kula w łeb!“<sup>2)</sup>. Wódz polski przytem powziął plan bardzo śmiały, bardzo dzielnie pomyślany, jakkolwiek bardzo ryzykowny. Ale na wojnie, tak jak w życiu prywatnem, śmiałość jest jednym z najlepszych sposobów zyskania sobie powodzenia. Langiewicz, pragnąc oswobodzić się od koniecznego pościgu Czengierego, oraz zapobiedz jego połączeniu się z Gołubowem, postanowił zrobić krótki marsz na zachód, po drodze do Kielc na Bieliny, udając jakoby miał zamiar atakować to miasto, a potem nagle zawrócić i rzucić się na południe ku Łagowu. Czengiery z konieczności, obawiając się o Kielce śpieszyć tam będzie na gwałt i tym sposobem oddział polski uwolni się od jego pościgu i rozdzieli go z Gołubowem. Ale plan ten niewątpliwie dobrze pomyślany, był z tego względu niebezpieczny, że Czengiery, wprzód nim Langiewicz zdołałby się zwrócić na południe, mógł mu zaskoczyć drogę i wziętego między siebie i Kielce zgnieść ostatecznie. Wszystko zależało od szybkości i rzeźkości ruchów.

Na szczęście niebezpieczny ten manewr powiódł się w zupełności. Wśród największej ciszy, powstańcy opuścili o północy stare mury benedyktyńskie i wązkimi drożynami leśnemi, idąc omackiem, starannie zachowując czucie ze sobą, by wśród ciemnej i zimnej nocy nie stracić się

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> „Przyczynek do wypadków 1863 r.“ (Rkpsm).



z oczu nawzajem, dostali się nad ranem do wsi Huta Stara, leżącej przy drodze ze Słupi do Kielc, czyli wciśnięto się między Czengierego i to ostatnie miasto. Tutaj Langiewicz odpoczął nieco, ostentacyjnie ukazywał swój oddział, głośno zapowiadał marsz na Bieliny, a zatem na Kielce, wysyłał tam nawet podjazdy, poczem nagle zerwał się i forsownym marszem rzucił się na południe do Łagowa. Wszystko to osiągnęło cel, jakiego pragnął. Czengieri o świcie d. 13 lutego dowiedział się o opuszczeniu klasztoru przez powstańców, a zaraz też doniesiono mu o pojawieniu się ich na drodze do Bielin i o marszu na Kielce. To go tak przestraszyło, że coprędzej powołał wojsko pod broń i pomaszerował, jak mógł najszybciej do Kielc; wielkiej też doznał radości, gdy dotarł, nie spotkawszy nigdzie powstańców, do Bielin i gdy się dowiedział, że drogę do Kielc opuścili <sup>1)</sup>, ale stracił ich zupełnie z oczów i Langiewiczowi zostawił całkowitą swobodę ruchów. Po odejściu tak powstańców jak Rosyan z pod św. Krzyża, tłumy okolicznych włościan rzuciły się na klasztor i zrabowały go doszczętnie <sup>2)</sup>. Czengieri wrócił do Kielc ostatecznie nie nie wskórawszy i nadzieje generała Uszarkowa na zupełne rozbicie Langiewicza, nie urzeczywistniły się wcale.

Langiewicz na Łagów, drogami bocznymi i w tej porze roku nadzwyczaj uciążliwymi, dotarł nad wieczorem do historycznego Rakowa, owych niegdyś „Aten polskich“, dziś nędznego miasteczka, zaludnionego przeważnie przez

<sup>1)</sup> Mylnie zatem twierdzi *Geskt-Puzyrewskij* loc. cit. 57, że „Czengieremu udało się uprzedzić Langiewicza w Bielinach“; nie uprzedził go wcale, bo Langiewicz nie myślał tam maszerować i gdyby był chciał, byłby znacznie wcześniej stanął przed Czengierem w tej wsi. Niemniej źle wnioskuje autorzy rosyjscy utrzymując, że „gdyby Czengieri zatrzymał się był w Bielinach i śledził Langiewicza, to rezultat całej wyprawy byłby dla nas korzystniejszym, wobec zupełnego bezpieczeństwa Kielc“. Teraz bowiem Langiewicz raz dostawszy się do Łagowa, odsadził się znacznie od nieprzyjaciela i trudno go było doścignąć.

<sup>2)</sup> Raport Czengierego.

żydów i z poczuciem zupełnego bezpieczeństwa, z pewnym tryumfem w duszy, że tak szczęśliwie i mądrze wymknął się Czengieremu, rozłożył się na noc <sup>1)</sup>. Tutaj przyłączyła się do oddziału garść Puławiaków, ciągnąca z pod Słupczy od Zdanowicza, oburzona jego niedołęstwem i przekonana, że w Langiewiczu znajdzie wodza, który ich poprowadzi do zwycięstw i chwały. Nazajutrz wyruszono dalej, ciągle wylotem na południe i wieczorem dobito się do Staszowa, również przez żydów zamieszkałego miasteczka. Jakie wódz polski miał powody, które mu kazały opuścić górką i leśną okolicę świętokrzyską, a rzucić się w Sandomierskie płaskie i pozbawione lasów, trudno dziś odgadnąć. To pewna, że jednym z nich, była chęć znalezienia pomocy w ludziach i pieniądzach w tem województwie bogatym i żyznym. W odezwie swej, wydanej „z obozu na św. Krzyżu“, d. 9 lutego do szlachty sandomierskiej, wzywał ją do kupienia się pod jego sztandary, i zaznaczał, że chłopci gotowi są każdej chwili rozpocząć nową rzeź galicyjską. Liczył więc na to, że przez swój marsz w Sandomierskie wzmocni się znacznie. Bliskość przytem granicy

<sup>1)</sup> Tutaj w Rakowie rozegrała się zabawna scena, charakterująca powstanie. Oto jak ją opowiada autor „Przyczynków do wypadków 1863 r.“: „Przenocowawszy w Rakowie, mamy iść dalej. Bębny, które już posiadamy, biją do apelu na rynku. Wyglądamy z mieszkania, niema nikogo jeszcze. My sami, acz wypoczęci noclegiem, ale zgłodniałymi surowym postem, czekamy na krupy, które dogotować się nie chcą. Wreszcie pod wrażeniem odgłosu bębna, wydobywamy z ognia, co jest i jakie jest, na wpół ugotowaną kaszę parzymy usta i język, gdy wpada między nas stary Czachowski z batem, z którym się nie rozstawał nigdy i słowami: „To wy taki przykład dajecie“, wypędził nas na plac. Stoimy kwadrans, drugi i trzeci, godzinę wreszcie, nikogo prócz nas na placu niema. Zjawia się wreszcie major Dawidowicz, sam, bez ludzi. Stary Czachowski, nie odstępując komendy swojej, stoi na placu na koniu. Zoczywszy Dawidowicza, podjeżdża doń z wymówką: „A gdzie twój batalion? czemu go dotąd niema!“ Dawidowicz się usprawiedliwia (Czachowski był jednocześnie szefem sztabu). Czachowski nań: „Tobie, durniu, świnie paść, nie majorem być“, przed frontem. Zjadł to biedny Dawidowicz nie stworzony do dawania ludziom rozkazów“.

austriackiej zapewniała mu także możność czerpania zasobów z tej prowincyi; on sam mógł przekradającym się niewielkim partyom galicyjskim podawać rękę<sup>1)</sup>. Nie bez znaczenia też zapewne była chęć ściągnięcia w zupełności do siebie rozbitków Zdanowicza i oddziału Rajskiego. Rozbitki te w rzeczy samej połączyły się z nim, ale w szlachcie sandomierskiej nie znalazł tego poparcia i tej pomocy, na jaką liczył i jakiej się spodziewał. I nie mogło być inaczej. Szlachta ta, była tak samo usposobiona, jak wszyscy jej bracia w Polsce, a wysyłka Karskiego do Wąchocka, świadczyła może najlepiej o jej zdecydowanych, przeciwpowstańczych przekonaniach. Ale jakkolwiek Langiewicz nie znalazł w Staszowie tego, czego szukał i poco tu przyszedł, to zato zadzierzgnął tu pierwsze ogniwa jednej z najciekawszych i najdziwaczniejszych intryg, jakie w tych, wogóle dziwacznych wypadkach, powstawały. W pobliżu Staszowa, znajdował się majorat Osiek, подарowany niegdyś przez Mikołaja I, Pogodinowi, intendentowi armii pa-skiewiczowskiej. Zdarzyło się, że właśnie w tej porze, w pierwszych dniach lutego, Pogodin umarł, i do Osieka z tego powodu przyjechał z Warszawy zięć jego Aleksander Petrow, słynny szachista, b. podsekretarz stanu przy Radzie administracyjnej Królestwa, stale zamieszkały w stolicy polskiej, człowiek bardzo dobry, zupełnie prawie spolonizowany, lubiący Polaków i towarzystwo polskie, stąd zażyły ze sferami towarzyskimi Warszawy. Żona jego, Pogodinówna z domu, łożyła nawet znaczne sumy na wy-

<sup>1)</sup> J. Styczeń, „Postępowanie Moskali“. Autor był u Langiewicza w Staszowie i z ust jego słyszał powyższe powody. Myśl tę powziął, będąc jeszcze na św. Krzyżu. Posiadamy w naszych zbiorach krótki pamiętniczek jednego z wybitniejszych ówczesnych ziemian w Sandomierskiem, w którym to pamiętniczku, znajdujemy taki ustęp: „Gdy byłem u niego (Langiewicza) w Słupi, powiedział mi, że dąży ku granicy galicyjskiej, i że z pod Krakowa przysła mi broń. Przypuszczam, że liczył na ofiarność Galicyi, bo wiem, że funduszków żadnych na ten cel nie posiadał“. Marsz więc na południe województwa sandomierskiego, tak mistrzowsko wykonany. był z góry obmyślany.

dawnictwo ludowego pisemka polskiego p. t. „Czytelnia niedzielna“, które redagował czerwony patryota polski, członek Komitetu centralnego i późniejszego Rządu narodowego, Agaton Giller. O ile się zdaje, myśl skorzystania z tego pobytu w Osieku Petrowa i zawiązania przez niego jakichś pertraktacyi z W. ks. Konstantym, powstała najprzód w głowie barona Rajskiego, który, jak wiemy, w okolicach Pińczowa sformował oddział, zajął Sandomierz i po rozbiciu Zdanowicza, podążył do obozu Langiewiczowskiego. Dość, że w pierwszych dniach lutego, zjawił on się w Osieku na czele siedmiu ułanów, zabrał wszystką broń, jaka była we dworze i podczas obiadu wniósł „zdrowie powstańców i króla Konstantego!“<sup>1)</sup>. Już wtedy zapewne Rajski coś musiał mówić z Petrowem na ten temat, gdyż rozstali się bardzo przyjaźnie.

Gdy Langiewicz przybył do Staszowa w parę dni potem, wysłał d. 17 lutego, zapewne po porozumieniu się z Rajskim, do Osieka 40 ułanów, z rozkazem dostawy do obozu staszowskiego znacznej ilości żywności i zapasów<sup>2)</sup>, oraz przywiezienia samego Petrowa. Zastał on Langiewicza przy obiedzie i był zaproszony do stołu. W czasie tej bardzo skromnej uczty, niejaki Krzesimowski, należący do sztabu, stary, siwy jak gołębek, ułan z 1831 r., formujący oddział kozaków polskich, ciągle wznosił zdrowie „króla Konstantego i wolności Polski!“<sup>3)</sup>. Sam Langiewicz był jak zwykle poważny, zamyślony i milczący, ale przeciw tym toastom nic nie miał, owszem pił je manifestacyjnie. Odtąd Petrow bawił przez kilka dni w obozie polskim, wyruszył z nim ze Staszowa i w Sobkowie, po przyrze-

<sup>1)</sup> N. Berg, Zapiski II, 518. Opowiada on przytem, że „Rajski zabrał tylko część broni, będącej we dworze i dowiedziawszy się podczas rewizyi, że w domu leży nieboszczyk, poszedł odmówić modlitwę przy jego zwłokach i przyjął przytem błogosławieństwo prawosławnego popa, który był przy trumnie“.

<sup>2)</sup> Loc. cit. 15 koni, 10 wołów, 20 baranów, 100 korcy owsa, 100 kwart wódki słodkiej i 100 bochenków chleba.

<sup>3)</sup> Loc. cit. II, 250.

Dzieje 1863 r. Tom I.



czeniu, że zapłaci na rzecz powstania 10.000 złp. otrzymał paszport, własną ręką Langiewicza napisany. Przed wyjazdem Langiewicz wręczył mu list do W. ks. Konstantego, który Petrow zawiózł do Warszawy i oddał podług adresu. Co było w tym liście, niewiadomo i zapewne na zawsze pozostanie dla historii tajemnicą, ale stosunek ten między wodzem powstańców polskich, a członkiem rodziny cesarskiej rosyjskiej, raz zawiązany, nie pozostał bez konsekwencji. Zobaczmy wkrótce do jak dziwnych doprowadził on rezultatów...<sup>1)</sup>

Tutaj, do obozowiska staszowskiego przybyła jeszcze jedna osobistość, która niemal wrzawy narobiła w ówczesnym świecie polskim i europejskim i powszechną na siebie zwracała uwagę. Mówimy tu o pannie Henryce Pustowojtow, córce generała rosyjskiego, której postępowanie w Lublinie, w peryodzie manifestacyjnym, opowiedzieliśmy gdzieindziej obszernie<sup>2)</sup>. Wywieziona do Żytomierza, została stamtąd zbiedz i do chwili wybuchu powstania przebywała na Wołoszczyźnie w Bukareszcie, skąd przyjechała teraz do Staszowa. Ubrana po męsku w ciemną czamarkę, obszytą barankami, wysokie buty, czerwoną koszulę i białą konfederatkę, ze swymi krótko ostrzyżonymi włosami, ro-

<sup>1)</sup> Loc. cit. Petrow przybywszy do Warszawy, niemalą zrobił sensacją wśród sfer rosyjskich opowiadaniem o swych przygodach. Opowiadał tedy, że powstańcy przeważnie ubrani byli w kożuszki, tak w piechocie, jak i kawalerii. Jedni kosynierzy tylko ubrani byli najrozmaiciej. Wszyscy zato mieli rogatywki czerwone z białym lub czarnym barankiem. Siły Langiewicza w Staszowie oceniał na 3600 ludzi, co bezwarunkowo jest za wiele. Artyleria składała się z 4-ch śpiżowych wiwatówek (właściwie 3-ch), umieszczonych na wozach. Była także muzyka, złożona z wędrownego orkiestry Czechów czy Tyrolczyków. Chłopów w oddziale było zaledwie 30. Petrow przywiózł ze sobą do Warszawy fotografią Langiewicza, pierwszą, jaką tam zobaczono, gdyż dotychczas za wojewodę sandomierskiego sprzedawano podobiznę brata prof. Wagi. Opowiadaniom swoim Petrow, jak Berg zapewnia, nadawał odcień, że powstańcy to zupełnie wojsko, wyćwiczeni i uzbrojeni należycie, czem bardzo niepokoił generałów rosyjskich.

<sup>2)</sup> „Historia 2-ch lat“ Tom III-ci.

biła wrażenie młodego chłopca. Nieładna, jedynie podbijająca wdziękiem ruchów i przeslicznymi czarnymi oczami, zachowywała się wśród tej gromady mężczyzn najrozmaitszego wychowania i obyczajów, z wielkim taktem i godnością, choć nieuniknęła dość rubasznego przezwiska, jakie jej nadano i które nawet w śpiewce na jej cześć skomponowanej figurowało. Niektórzy zwali ją „Michałkiem“<sup>1)</sup>, zwykle jednak przekręcając jej nazwisko „pustym Wojtkiem“. (Dla przyzwoitości i dla względów, należnych młodej kobiecie, przeznaczono ją na adjutanta majora Czachowskiego, starca sześćdziesięcioletniego<sup>2)</sup>). Niedługo jednak przy nim była i przeniosła się wkrótce do sztabu Lan-

<sup>1)</sup> Pułkownik Struś. Ludzie i wypadki I, 115. Myli się tylko Struś, twierdząc, że panna Pustowojtow przybyła do Langiewicza do Szydłowca.

<sup>2)</sup> „Przyczynek do wypadków“. Autor opowiada, że panna Pustowojtow „nie uniknęła jednak batoga starego majora“. Oto jak się rzecz miała: „Kwatera majora była w jednym domu z naszą. My, szeregowcy, zajmowaliśmy jedną stancję na dole, na piętrze zaś mieszcili się oficerowie. Jedni i drudzy spali obok siebie pokotem na słomie, rozłożonej wzdłuż izb. Kwatery wyznaczano pojedynczym komendom, stosownie do liczby ludzi; ale poza komendami skontrolowanymi było немало ochotników niekontrolowanych, nie wcielonych do żadnej komendy, włóczących się za oddziałem powstańczym, żeby się mieli kiedyś czemś chlubić, ale unikających obowiązków służby. Ci wolontaryusze byli plagą oddziałów. Kiedy bataliony i kompanie stały jeszcze pod bronią na placu, czekając na komendę i rozporządzenie po kwaterach, ci wolontaryusze, nie ulegający żadnemu regulaminowi, nie uznający żadnej komendy, już się rozpierzchli po mieście i zabierali sobie, co lepsze. Nierzadko wpraszała się bez ceremonii do kwater, wyznaczonych dla naszych oficerów, jako wygodniejszych. Tak było i tutaj. (Kwatera Czachowskiego i kilku jego podkomendnych oficerów zaroila się owymi wolnymi obywatelami. Względność koleżeńska nie pozwalała zapytywać każdego przybyłego o legitymację; mieszcili się więc wszyscy, jak mogli. Pewnej nocy, około 12-ej, wraca Czachowski do siebie z narady z Langiewiczem, wchodzi do kwatery, nie znajduje miejsca dla siebie; zamiast kilku leży kilkunastu ludzi gęsto obok siebie. Widzi, że ma tu do czynienia z intruzami, ale jak ich rozpoznać we śnie, w półmroku. Wyciąga przeto batóg i liczy nim wszystkich po kolei.

giewicza samego, w którym już znajdowało się parę kobiet<sup>1)</sup>.

Oddział Langiewicza po tylu marszach i bojach, w porze tak surowej, jaka była wówczas, odpoczął sobie wygodnie w Staszowie przez kilka dni, w zupełnym spokoju i bezpieczeństwie. Żołnierzy rozkwaterowano po domach. Sam wódz tej garści straceńców, zajął kwaterę na pierwszym piętrze domu propinatora Lewandowskiego w rynku. Pikiety piesze i konne były starannie rozstawione na wszystkich drogach, prowadzących do miasta, a ciągłe rekonesanse jazdy zabezpieczały od nagłego napadu. Codzień odbywano mustry na rynku i oddział rósł liczebnie, jakkolwiek trudno określić ściśle, ile mógł mieć ludzi. Przypuszczalnie cyfra ta nie przechodziła dwóch tysięcy<sup>2)</sup>. Nieprzyjacieli, nie wiedząc dokładnie, gdzie się wła-

Dostało się z rządu i pannie Pustowojtow. Zbudzona batogiem, zrywa się na równe nogi, otwiera oczy, a widząc Czachowskiego, woła: „Panie majorze, co to jest?” Rzecz się później wyjaśniła.

<sup>1)</sup> Wobec tego, że w Staszowie Pustowojtow była adjutantem Czachowskiego, następujące opowiadanie *Berga*, jakoby zaczerpnięte z opowieści Petrowa, wydaje się kłamliwym. Oto co miał mówić Petrow: „Nagle (podczas obiadu) wszedł do pokoju młody, piękny ulan, w zupełnym mundurze, przy szabli i pistolecie, a nawet kindzale i salutując podał Petrowowi list i rzekł: „Panie jenerale masz list z Warszawy“. Petrow spojrzał na oddawcę listu i poznał w nim znaną mu wychowanicę instytutu puławskiego, gdzie przez jakiś czas był członkiem rady gospodarczej i bywał na egzaminach publicznych i słyszał jak ten ulan (wtedy wstydliva i nieśmiała panna) dość źle odpowiadała. Petrowy zdziwiony widokiem przemiany byleż wychowanicy instytutu puławskiego na ulana powstańczego, zwykle w obejściu prosty i bezceremonialny, zawołał po rosyjsku: „Aniuta! a ty skąd tutaj?” Ulan uśmiechnął się i nie odpowiedział nic, wyszedł“. Całe to opowiadanie, ze względu na strój, którego panna Pustowojtow nigdy nie nosiła, oraz że w Staszowie była adjutantem Czachowskiego, wydaje nam się nieprawdziwym.

<sup>2)</sup> Twierdzenie *Gesket-Puzyrowskiego* loc. cit. 69, jakoby Langiewicz miał 3000 kosynierów (3 bataliony) 300 strzelców i 300 koni jazdy, oparte na relacji *Berga*, który znów opiera się na gawędach Petrowa, nie wytrzymuje najlżejszej nawet krytyki. Autor „Przyczynków do wypadków“ oblicza siły polskie w Staszowie na 1500 ludzi, co wydaje nam się jednak nieco za mało.

ściwie Langiewicz znajduje, miał jednak o jego sile bardzo przesadzone wiadomości, gdyż obliczał go na cztery tysiące ludzi niespełna. Pochodziło to stąd, że Langiewicz w czasie swego marszu z góry Świętokrzyskiej do Łagowa, wysłał wprzód do tego miasteczka kwatermistrzów, ażeby głosili i przygotowali żywność i kwatery dla 5000 ludzi<sup>1)</sup>. To postępowanie z jego strony miało ten skutek, że Rosyanie, odrzucając tysiąc na konieczną w takich razach przesadę, byli jednak najmocniej przekonani, że wojewoda sandomierski ma najmniej 4000 ludzi, w czym utwierdzały ich wszelkie ustne relacye, jakich, zwłaszcza od chłopów, zasięgali. Chłopi, widząc idącą niezmiernie długą kolumnę (piechota i konnica u Langiewicza maszerowały zawsze trójkami), głosili niestworzone rzeczy o jej liczebności. Obiegało zresztą mnóstwo pogłosek. Do uszów różnych naczelników wojennych dochodziły jakieś niejasne wieści, przybierające przez to samo olbrzymie rozmiary, o Mierosławskim, który właśnie w tej porze usiłował przedrzeć się w Płockie i ostatecznie ukazał się w Kujawach. Co jednak najważniejsza, to że o miejscu pobytu Langiewicza nie miano żadnych wiadomości. Do Kielc, do Czengiiego dochodziły tylko głuche wieści o pojawianiu się drobnych partyi powstańczych w różnych miasteczkach województwa sandomierskiego, jak w Chmielniku, Stopnicy, Szydłowie i t. p. które wszędzie ogłaszały Rząd narodowy, zrywały herby rosyjskie, czytały manifesty. Czengiery dla „przywrócenia porządku“, jak się to mówi w stylu urzędowym rosyjskim, w tych miejscowościach, oraz dla wysledzenia Langiewicza, wysłał d. 16 lutego z Kielc oddział, złożony z dwóch kompanii pułku smoleńskiego piechoty i szwadronu dragonów noworosyjskich, pod wodzą majora Zagriażskiego, polecając mu, by zbadał okolicę między Wisłą, Chmielnikiem, Szkalmierzem i Osiekiem, oraz żeby w swym marszu starał się skomunikować z Gołubowem, który ciągle jeszcze włóczył się po Sandomierskiem, nie mogąc nic zna-

<sup>1)</sup> „Przyczynek do wypadków“.



leść. Zagriażskij tegoż dnia wieczorem przybył do Stopnicy, i tu, dowiedziawszy się o pobycie Langiewicza w Staszowie, nazajutrz d. 17 lutego wyruszył tamże na czele silnego podjazdu, do którego należeli wszyscy, jakich miał, dragoni i jedna kompania piechoty. Maszerując na Niziny, Sielec, stanął pod Staszowem wcześniej, bo koło godz. 8-ej rano <sup>1)</sup>. W obozie polskim nie spodziewano się tego nagłego pojawienia się nieprzyjaciela; żołnierze w części spali na kwaterach, w części mustrowali się na rynku, gdy nagle wpada na plac ułan polski z krzykiem: „Moskale!“ <sup>2)</sup>. Batalion Czachowskiego, trzymany żelazną ręką tego energicznego starca, pierwszy stanął pod bronią i ruszył ulicą na dół ku rzece Czarnej i mostowi na niej, na którym widniały już czerwone lampasy czapek pułku smoleńskiego piechoty. Nieprzyjaciel pod wodzą kapitana Kerawnowa zajął przedmieście za rzeką i umieściwszy się po domach i stodolach, rozpoczął ogień silny i rżęsiasty. Czachowski batalion swój rozrzucił także po budynkach i taka wzajemna strzelanina trwała przez parę godzin, nie przynosząc obu stronom wielkich szkód. Ogień ze strony powstańców nie był zbyt silny, ale zato celny. Po wystrzeleniu bowiem ładunków, jakie każdy żołnierz miał przy sobie, roznoszono im w czap-

<sup>1)</sup> Raport Langiewicza (Wiad. z pola bitwy Nr. 3). Dodać tu wypada, że raport ten albo podejrzaney jest autentyczności, albo też jest dowodem niesłychanego niedbalstwa sztabu wojewodzińskiego. Raport twierdzi, że oddział przybył do Staszowa d. 17 lutego, kiedy znajdował się tam od czterech dni; że tegoż d. 17 „przyszło pod miasto Staszów pół setki kozaków, szwadron dragonów, rota (sic) strzelców i rota piechoty“. Wszystko to są kłamstwa, jak przekonują nasza relacya w tekście.

<sup>2)</sup> „Przyczynki“. Autor opowiada, że powodem tak niespodziewanego podejścia nieprzyjaciela pod miasto, była okoliczność następująca: „Dragoni, jadący na szpicy w awangardzie oddziału rosyjskiego, wzięli na głowy czerwone czapki krakowskie. Pikietą naszą, biorąc ich zdaleka za swoich, nie alarmowała obozu: poznała się na podstępnie dopiero wtedy niemal, kiedy się z nią zrównali i razem z nimi wpadła do miasta. Za szpicą tą wpadło więcej dragonów, ale cofnęli się na przedmieście, żeby nie być odciętymi“.

kach proch i kule najrozmaitszego kalibru, które trzeba było dopasowywać do luf różnorodnej broni, jaką posiadano. Zabierało to wiele czasu, ale kazalo dbać o skuteczność strzału. W czasie tej strzelaniny zapaliło się przedmieście, które zajmował nieprzyjaciel, i to prawdopodobnie zmusiło go do odwrotu, zwłaszcza, że jak sam w swym raporcie powiada, miał już 7 rannych <sup>1)</sup>. Zagriażskij cofnął się więc do Stopnicy. Gdy nieprzyjaciel zniknął z gorejącego przedmieścia, w którym spaliło się kilkadziesiąt domów, Langiewicz wysłał prawie całą kawaleryą dla przeświadczenia się, w którym kierunku ruszyli Rosyanie, ale ta swą wycieczkę zakończyła na tem, że przedelfowała poza miastem i ostrzelała plac boju. Słusznie też wódz polski skarżył się w swym raporcie, że „brak dobrej kawaleryi uniemożliwił całkowite rozbiście Moskwy. Wprawdzie o rozbiściu nie mogło tu być mowy, ale jazda powinna była przekonać się o kierunku odwrotu Zagriażskiego. Obie strony, tym sposobem zetknawszy się na chwilę, nie jak przedtem nie wiedziały o sobie. Straty, z natury tej potyczki, toczonyj w miejscach dobrze ukrytych, nie mogły być wielkie. Zagriażskij przyznaje się do siedmiu rannych; raporty polskie przesadnie utrzymują, że stracił 120 ludzi i wiele koni; Langiewicz miał 4 poległych i 7 rannych <sup>2)</sup>. Powstańcy bili się dobrze, dzięki temu zapewne, że byli zakryci, co żołnierzowi niewyrobianemu dodaje zawsze ducha i odwagi. Między szeregami uwijała się raźnie i odważnie panna Pustowojtowa, zachowując krew zimną wśród świstu kul <sup>3)</sup>. „Karność, odwaga, wesolość i spokojność naszych żołnierzy, wzbudzały podczas boju moje podziwienie“, pisze Langiewicz w raporcie swoim. Potyczka staszowska, jakkolwiek bez żadnych realnych rezultatów, podniosła jednak znacznie ducha w oddziale powstańczym. Było to pierwsze starcie, w którym nieprzyjaciel zmuszony został do od-

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij loc. cit. 69.

<sup>2)</sup> Raport Langiewicza.

<sup>3)</sup> „Przyczynki do wypadków“.

wrotu. To też z uczuciem pewnej dumy i tryumfu woła Langiewicz w rozkazie dziennym do wojska (datowany w Staszowie d. 18 lutego): „Towarzysze broni! wasza dzielność ocaliła miasto i zmusiła wroga do haniebnej ucieczki. Jesteście kilkanaście dni pod bronią, a odwaga wasza, spokojność wasza, karność wasza, wesolość wasza i trwoga Moskali, nakazują mi sądzić, że jesteście osiwiłymi w boju żołnierzami. Jedlnia, Szydłowiec, Bodzentyn, Sudziedniów, Baranowa Góra, Wąchock, Św. Krzyż i Staszów, w ciągu dwudziestu siedmiu dni okrył sławą was obdartych, ogłodzonych, zziębniętych i strudzonych marszami i biwakami. Kraj, który ma takich żołnierzy, musi być wolnym i potężnym. Towarzysze broni! ojczyzna i historia was nie zapomną<sup>1)</sup>. Oczywiście tak Langiewicz sam, jak i Tymczasowy Rząd narodowy, starali się jak najbardziej rozpowszechnić wiadomość o tem mniemanem „zwycięstwie staszowskim“, a w Warszawie z inicjatywy Aweydego, powstała nawet myśl uczczenia „niezwyciężonego jenerała, bohatera Wąchocka, Św. Krzyża i Staszowa“, szpada honorowa, na którą zbierano po mieście składki<sup>2)</sup>.

Langiewicz nazajutrz po potyczce staszowskiej d. 18 lutego, obawiając się, by większe siły rosyjskie nie zwały się tutaj na niego, zwłaszcza, że jeden z jego podjazdów przejął raport Zagriażskiego do Czengierego, opisujący obozowisko staszowskie i domagający się pomocy, postanowił pozycją swą opuścić. Wiedział on przytem o marszu Jeziorańskiego na południe kraju, o jego zamiarach atakowania Kielc, zamierzył więc z nim się połączyć i wspólnymi siłami uderzyć na to miasto. Był jak najlepszych nadziei i wiary w siebie, gdy właśnie na wychodnem ze Staszowa, przyszła głucha, niepewna, hiobowa wieść o straszej klęsce Kurowskiego w Miechowie, pokrywającej kraj

<sup>1)</sup> Odezwe tę w całości czytać można w czasopiśmie „Ruch“ Nr. 13, oraz w dziele A. Gillera, Polska w walce I, 96.

<sup>2)</sup> Rozkaz dzienny Naczelnika miasta, Nr. 6.

żałobą, właśnie w tym samym dniu 17 lutego, w którym Langiewicz święcił swój tryumf staszowski.

Zostawiliśmy Kurowskiego, jak, oczyściwszy cały południowy pas pograniczny Królestwa, od Michałowic aż do Sosnowca, z nieprzyjaciela, stał się samowładnym panem jednego powiatu, obfitującego w bogactwa kopalnicze i fabryki żelazne. Powiat ten przytykał do granicy austriackiej i pruskiej, a obozowisko główne w Ojcowie, oddalone było zaledwie o parę mil od Krakowa, skąd czerpać można było zasoby w ludziach, broni i wszelkiego rodzaju sprzęcie wojennym. W rzeczy samej z Krakowa ciągnęły do Kurowskiego tłumy ochotników, złożone przeważnie z młodzieży inteligentnej, i cały nieomal uniwersytet Jagielloński, znalazł się wkrótce w szeregach powstańczych. A był to element nieoceniony pod względem wojskowym, dzięki entuzjazmowi, jaki go ożywiał. Wielu z nich, wyjeżdżając z Krakowa, dało sobie słowo: „że żaden nie da się wziąć żywcem Moskałom“<sup>1)</sup>. Władze austriackie nie stawiały prawie żadnych przeszkód tłumnie wyjeżdżającym ochotnikom<sup>2)</sup>, zgodnie z machiawelskim poglądem Rechberga,

<sup>1)</sup> Jerzy Moszyński, Obrachunek z „rzeczą“ p. St. Koźmiana „o roku 1863“, pag. 73. Młodzież krakowską do obozu Ojcowskiego poprowadził niejaki Lipczyński, b. wojskowy. człowiek dość ograniczony. Ale Komitet miejscowy nie mógł znaleźć nikogo, coby się tego podjął, musiał więc przyjąć usługi Lipczyńskiego, choć wiedział o jego słabej głowie. Kazał on sobie przedewszystkiem porobić pieczęcie z napisem: „Naczelnik sił zbrojnych“, które mu Kurowski już w Ojcowie poodbierał.

<sup>2)</sup> Wiśniewski, Wspomnienia kapitana wojsk polskich z r. 1863 (Lipsk 1866) tak opowiada (p. 8) swój wyjazd z Krakowa: „Naten czas szumno się wyjeżdżało do powstania. Otwarty powóz zajechał do hotelu, siadłem z Ferdynandem w ubiorach obozowych, dubeltówki leżały koło nas, a przed nami obozowe efekta, t. j. mantelzaki, kartusze, manierki i t. d. Z wszystkich numerów znajomi i nieznajomi powybiegali, a każdy z uściskiem w rękach, z błogosławieństwem na ustach! Gdyśmy przez ulice przejeżdżali, znajomi i nieznajomi żegnali nas, a z okieu, pod któreśmy przejeżdżali, nasze Polki powiewały chustkami i błogosławiły nas. Na rogatce zaplaci-



że tym sposobem rząd pozbędzie się z Galicyi górętszych i rewolucyjnie usposobionych żywiołów. Dozwalano więc każdemu, kto tylko chciał, udawać się do Ojcowa i patrzano na to przez palce. Dzięki temu oddział Kurowskiego rósł w siłę. Żywność nawet dostawiano mu z Krakowa<sup>1)</sup>, skąd dzień i noc ciągnęły wozy, przepełnione wszelkiego rodzaju potrzebami. Z Galicyi przybył także głośny później Franciszek Rochebrun, Francuz, rodem z Delfinatu, gdzie ojciec jego był właścicielem zajazdu. Sam Rochebrun był żołnierzem z fachu, służył 3 lata w siódmym pułku lekkim piechoty, a potem w 62 liniowym. W r. 1862 porzucił Francję i był jakiś czas nauczycielem prywatnym, potem założył w Krakowie szkołę fechtunkową. Z wybuchem powstania zjawiał się w Ojcowie, i sformował tu batalion „żuawów śmierci“, prawie wyłącznie złożony z młodzieży krakowskiej. Niewątpliwie odważny i waleczny, był przytem doskonałym organizatorem i bardzo dbałym o swego żołnierza. Jego żuawi w oddziale Kurowskiego byli najlepiej wyćwiczeni i uzbrojeni, co zawdzięczać należy wyłącznie staraniom Rochebruna. Reszta bowiem partyi miała kosy, lub nędzne dubeltówki. Kurowski ze swojej szczęśliwej pozycji, jakiej nie miał ani przedtem, ani potem, żaden z dowódców powstańczych, nie potrafił skorzystać należycie. Posiadając znaczne fundusze i dwie granice zupełnie wolne, nie postarał się o broń, choć kupcy z pruskiego Bytomia, obowiązywali mu się w niewiele dni dostawić 10.000 karabinów. Kurowski jednak umowy z nimi do skutku nie doprowadził, dla powodów niewiadomych<sup>2)</sup>. Na jego usprawiedliwienie to wszelako powiedzieć należy, że nie wiele miał czasu na to wszystko. Nie czuł on się zdolnym do stanowiska, na którym się znajdował, domagał się od Tymczasowego Rządu Narodowego, by przysłało

lem myto i nikt o więcej nie pytał. Komorę austriacką o kilkadziesiąt kroków objechaliśmy, a moskiewska nie istniała“.

<sup>1)</sup> Ks. S. Szulc, Pamiętnik (Polska w walce I, 85).

<sup>2)</sup> Loc. cit.

do Ojcowa na dowódcę człowieka fachowego<sup>1)</sup>. Jak wiemy dowództwo to przeznaczone było oddawna dla pułkownika Czapskiego, ale ten siedział we Wrocławiu, i zdawał się wyczekiwać, jaki obrót rzeczy wezmą<sup>2)</sup>. Po za tem Kurowski starał się zaprowadzić w obozie możliwie dobrą administrację i porządek, co mu się w części udało, a co olbrzymią przedstawiało trudność, ze względu na tę zbieralinę najróżnorodniejszych, nie mających pojęcia o służbie i karności wojskowej, ludzi. Sam on we wszystko wglądał, oficerom kazał z żołnierzami jadać z kotła; sztab miał nie-liczny, w czem się różnił od Langiewicza, około którego kręciło się mnóstwo próżniaków i darmozjadów. Starał się również o zyskanie dla powstania ludu, który, jak wiemy, w tych stronach nie odznaczał się przychylnością. W tym celu wysyłał w okolice księży, których miał kilku w obozie, by kazaniem starali się wytłómaczyć chłopu cel tej dziwnej walki, jaką toczono. Liczne też podjazdy i placówki polskie, lokując się po wsiach, miały rozkaz zyskiwania sobie przychylności chłopskiej.

Jakie siły miał Kurowski, trudno dziś dociec. Raporty rosyjskie obliczały go na 3000 ludzi<sup>3)</sup>, co jednak wydaje się być mocno przesadzonem. Według naszego obrachunku, mógł on liczyć około 2000<sup>4)</sup>. Bądź co bądź takie przesza-

<sup>1)</sup> Loc. cit. 94 (dopisek Gillera).

<sup>2)</sup> Loc. cit.

<sup>3)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 59, oznaczając tę cyfrę, powołują się ze złą wiarą na źródło polskie t. j. na Pamiętnik ks. Szulca, w którym jakoby na str. 89 miała być ta wiadomość. Tymczasem znajduje się tam tylko przypisek wydawcy tych pamiętników A. Gillera tej treści: „Moskale... liczbę powstańców przesadzili, utrzymując, że walczyło pod Miechowem 3000“. W ogóle pp. Gesket i Puzyrewskij mają o prawdzie historycznej bardzo luźne pojęcia.

<sup>4)</sup> Przypuszczenie nasze opieramy na danych następujących: w relacji „Czasu“ o bitwie Miechowskiej powiedziane jest, że Kurowski atakował Miechów na czele 1500 ludzi. Ponieważ Cybulski w Wolbromiu, jak to sam powiada (Polska w walce I, 90) miał 250 ludzi, w Ojcowie zaś zostało około 300 (Wiśniewski, Wspomnienia kapitana, 19), razem więc wszystkie siły Kurowskiego mogły liczyć 2050 ludzi, i rachunek ten jest najprawdopodobniejszym.

dziane wieści o sile Kurowskiego obiegały wówczas po sztabach rosyjskich; najróżnorodniejsze plotki sprawiały, że sytuacja w Krakowskim wydawała się władzom rosyjskim bardzo groźną. Jenerał Uszakow donosił do Warszawy, że gdzieś na południu gubernii radomskiej, w okolicach Olkusa ukrywa się kilka oddziałów pod dowództwem Mierosławskiego, w ogólnej liczbie 17.000 ludzi, wśród których znajduje się 8000 samych Węgrów<sup>1)</sup>. Wszystkie te raporty i pogłoski, w połączeniu z wiadomością o oczyszczeniu przez Kurowskiego granicy z objeszczyków na znacznej przestrzeni, o jego zwycięstwie sosnowieckim, o jego marszach tryumfalnych, rozkazach i bezwzględnej rozporządzaniu się w całym powiecie Olkuskim, musiały nakonec zwrócić uwagę władz warszawskich i zrodzić w nich postanowienie położenia temu końca. Sam W. książę sprawę się tą zajął i z jego inicjatywy uorganizowano wielką wyprawę na obozowisko ojcowskie. Jak zawsze u ówczesnych strategów rosyjskich, zasadniczą osnową tej wyprawy miało być otoczenie powstańców i wyłapanie ich do nogi. W tym celu z Częstochowy miał wyruszyć pułkownik Ostrowski na czele 8 kompanii piechoty, stu kozaków i sześciu dział<sup>2)</sup>, i atakować obóz ojcowski od strony północnej; z Miechowa rozkazano współcześnie wystąpić księciu Bagrationowi z batalionem strzeleckim (pięć kompanii), oraz jedną kompanią pułku Smoleńskiego, którą ściągnięto z Kielc, pół szwadronem dragonów noworosyjskich, setką kozaków i dwoma działami<sup>3)</sup>, i maszerować na Michałowice wzdłuż

<sup>1)</sup> N. Berg, Zapiski II. 531.

<sup>2)</sup> Wynosiło to ogółem około 1700 ludzi. Piechotę składały: 5 kompanii pułku Witebskiego, który stał w Częstochowie, 1 kompanii pułku Biełozierskiego z Radomska, i 2 kompanii pułku Połockiego z Piotrkowa. Kurowski w swym raporcie dobrze ocenia siły rosyjskie, różni się tylko z *Gesket-Puzyrewskim*. loc. cit. 57, co do ilości kozaków, których podaje na 250 koni.

<sup>3)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 58. Berg, loc. cit. II, 531 utrzymuje, że kozaków było 50, a za to dodaje 50 koni straży pogranicznej. Kurowski w swym raporcie piechotę Bagrationa oblicza nieco

granicy austriackiej, dla atakowania Ojcowa od południa i odcięcia powstańców od Krakowa. Siły obu tych kolumn, wynoszące w przybliżeniu przeszło 3000 bagnatów i szabel, nie wydawały się w Warszawie dostatecznymi dla zgniecenia obozowiska Ojcowskiego. Wysłano więc jeszcze z Warszawy cztery kompanie gwardyi (jedną kompanię pułku kegsholmskiego grenadyerów i trzy petersburskiego) i cztery działa pod wodzą pułkownika Korfa.

Wszystkim tym kolumnom wydano szczegółowe instrukcje, zredagowane przez jenerała Uszakowa i zatwierdzone w sztabie jeneralnym w Warszawie<sup>1)</sup>. Ostrowski miał więc maszerować na Żarki, stanąć tam d. 17 lutego, połączyć się z kolumną gwardyacką Korfa i dnia następnego być w Pilicy; stąd ruszyć na Wolbrom. Bagration miał wystąpić z Miechowa d. 16 lutego i tegoż dnia dotrzeć do Michałowic i następnie posuwać się wzdłuż granicy. Tym sposobem, gdyby Kurowski o niczem nie wiedział i nieruchomie tkwił w Ojcowie, mógł być najpóźniej d. 18 lutego zaatakowany z dwóch stron przez siły przeważne i oczywiście doszczętnie zgnieciony. Na szczęście wódz polski dość wcześnie uwiadomiony był jak najszczegółowiej o grożącym mu niebezpieczeństwie. Zdaje się, że pierwszą wiadomość o ruchach rosyjskich otrzymał d. 14 lutego wskutek ataku, jaki był wymierzony na jego placówkę pod Słomnikami.

Po przybyciu bowiem z wyprawy sosnowieckiej do Ojcowa i po jakimś takim uorganizowaniu się, wysłał on w charakterze grangardy 200 ludzi, pod dowództwem Wincentego Wanerta, majora z wojsk rosyjskich, Kaukazyjczyka i komendanta strzelców w oddziale, z rozkazem, ażeby zajął pozycję w pobliżu miasteczka Słomnik i miał baczną oko na drogę bitą z Miechowa do Krakowa. Wanert, spełniając ten rozkaz, umieścił się we wsi Iwanowice, odległej

za wysoko na 1600 bagnatów, zresztą zgadza się z podaniem *Gesket-Puzyrewskiego*.

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 65.



o parę kilometrów od Słomnik. Druga taka grangarda w sile 500 ludzi (jedna kompania kosynierów, jedna strzelców i szwadron jazdy), stała garnizonem w Skale pod komendą Cybulskiego, wychowanka szkoły wojskowej w Cuneo<sup>1)</sup>. Otóż, o ile sądzić można z nader mętnych podań o całej tej akcji, te dwie wysunięte placówki pierwsze spostrzegły, jak to zresztą było ich obowiązkiem, jakieś ruchy nieprzyjaciela, mocno podejrzaney natury, a Wanert nawet stoczył lekką utarczkę z rekonesansem ks. Bagrationa. Ten bowiem, jakkolwiek oddalony był od obozowiska Ojcowskiego o parę mil zaledwie, miał o nim bardzo niejasne wiadomości; chociaż ludność wiejska była źle usposobiona przeciw powstańcom, jednakże przez cały ciąg tej wojny, brzmiały nieustanne skargi dowódców rosyjskich na nadzwyczajną trudność w zasięganiu dokładnych danych o sile i stanowiskach powstańców. W takim położeniu był i Bagration; dlatego też w d. 14 lutego wysłał on silny rekonesans, złożony z dwóch kompanii piechoty i 50 objeszczyków, pod komendą majora Jabłońskiego<sup>2)</sup>, w kierunku Słomnik, skąd dochodziły głuche wieści o pojawieniu się powstańców, z rozkazem dotarcia do Skali i dostania koniecznie języka. Jabłoński, doszedłszy do Iwanowic w nocy, powitany został strzałami, cofnął się więc do Słomnik, skąd o świcie został wyparty w popłochu przez Wanerta i wrócił z niczem do Miechowa<sup>3)</sup>. Współcześnie

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 59, idąc za mętne podaniem ks. Szulca, (Polska w walce I, 86) utrzymują, że Cybulski wysłany był do Dąbrowy. Gdyby byli o parę kartek dalej przeczytali relację samego Cybulskiego, byłiby się przekonali, że o Dąbrowie, w której stał ze stosunkowo znaczną siłą Cieszkowski, nikt nawet nie myślał.

<sup>2)</sup> *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. 58.

<sup>3)</sup> Zdaje się, że tak się rzecz miała. *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 58, opowiadają, że Jabłoński, „doszedłszy w nocy do Iwanowic, powitany został ogniem karabinowym. O świcie kompanie zajęły miasteczko (jakie? z treści opowiadania wynika, że Skalę, a zatem Iwanowice musiał Jabłoński ominąć i zostawiwszy nieprzyjaciela na

tegoż d. 14 lutego, w obozie Ojcowskim otrzymano wiadomość, że w Wolbromiu ukazał się nieprzyjaciół (szwadron dragonów). Kurowski rozkazał więc Cybulskiemu, stojącemu w Skale, ażeby z połową swego oddziału wyruszył spiesznym marszem do Wolbromia. Jakoż Cybulski udał się tam, ale nieprzyjaciela nie zastał i miał już wracać na dawne swe stanowisko, gdy nagle został zatrzymany na miejscu depeszą Kurowskiego, aż do dalszego jego rozkazu<sup>1)</sup>.

Jakiż był powód takiego rozkazu? Oto Kurowski otrzymał jak najdokładniejsze wiadomości o zamierzonym napadzie rosyjskim na Ojców. W takim położeniu, gdy o przyjęciu bitwy czy to w Ojcowie, czy na innej wybranej pozycji, nie mogło być mowy, mając od czoła Ostrowskiego, a od tyłu Bagrationa, przedstawiały się dwa tylko plany działania: albo ze wszystkimi siłami forsownym marszem wy dostać się z rejonu oblavy rosyjskiej z dyrektywą północno-wschodnią, i odskoczywszy od obu oddziałów nieprzyjacielskich, starać się o połączenie z Langiewiczem<sup>2)</sup>; albo też uderzyć na Rosyan w takim punkcie, w którym oni są najsłabsi i tym sposobem oblavy przełamać. Pierwszy plan,

swych tyłach, ruszył mimo to do Skali), ale ukazanie się nagle gęstych tłumów konnicy powstańców wywołało popłoch; rozpoczęła się strzelanina na ulicach i oddział się cofnął. Opowiadanie to jest bardzo niejasne i w gruncie rzeczy błędne. W Skale w dniu tym nie było już Cybulskiego, gdyż jak to zaraz zobaczymy, otrzymał w d. 14 lutego rozkaz maszerowania do Wolbromia i skąd wreszcie mogły się wziąć owe „gęste tłumy jazdy“, kiedy on miał wszystkiego jeden szwadron kawalerii. Zdaje się zatem, że owa potyczka nastąpiła nie w Skale, lecz w Słomnikach, co do czego znajdujemy niejaki acz także niejasne potwierdzenie w relacji ks. Szulca. Pisze on (Polska w walce I, 86), że „tam (w Słomnikach) pokazała się Moskwa dwa razy silniejsza, ale nasz major (Wanert) zręcznym manewrem zastraszył ją i skłonił do rejterady w popłochu. Jaki był ten manewr ks. Szulca nie powiada, ale z opowiadania jego wynika, że działo się to w Słomnikach.

<sup>1)</sup> Relacja Cybulskiego (Polska w walce I, 90).

<sup>2)</sup> Raport Kurowskiego.

jakkolwiek bardzo niebezpieczny i możliwy do wykonania tylko przy nadzwyczaj sprężystym działaniu i przy pomocy forsownych wysiłków, był naszym zdaniem, najlepszy, ze względu na złe i niedostateczne uzbrojenie powstańców. Kurowski jednak, zachęcony dotychczasowem powodzeniem, swem sosnowieckiem zwycięstwem, postanowił chwycić się planu drugiego. Ponieważ garnizon miechowski wyruszył z Bagrationem na wyprawę, sądził więc wódz powstańczy, że w miasteczku tem zostały bardzo niewielkie siły, że zatem łatwo je przyjdzie pokonać i dlatego zdecydował się uderzyć na Miechów, zdobyć go i tym sposobem wysunąć się poza oblławę rosyjską i mieć wolną drogę przed sobą, ku zamierzonemu połączeniu się z Langiewiczem. Zdaje się jednak, że nie dość jasno przedstawił sobie swe zamiary, gdyż, wyruszając z Ojcowa d. 16 lutego, zostawił tam większą część swego taboru i około 300 ludzi nieuzbrojonych wcale, chorych i rannych<sup>1)</sup>, pod dowództwem niejakiego Ignacego Dobrskiego, przedtem nadleśnego dóbr Złoty Potok, któremu polecił, ażeby po wyjściu głównego oddziału, natychmiast wyruszył z Ojcowa w kierunku Olkusza, aby „po bitwie miechowskiej złączyć się z głównymi siłami”. Okazuje się z tego, że Kurowski nie myślał na seryo o połączeniu się z Langiewiczem i w ogóle nie miał zdecydowanego postanowienia, co ma robić po pokonaniu załogi miechowskiej. Dyrektywa na Olkusz oddalała go bowiem stanowczo od Langiewicza, a natomiast narażała na spotkanie z Ostrowskim i Korfem.

Tymczasem, gdy Kurowski obmyślał swój plan, zaszyły wypadki, które zupełnie zmieniły położenie rzeczy. Wódz polski przekonany był, że z chwilą wyjścia Bagrationa z Miechowa, załoga tego miasta będzie tak słabą, że z łatwością ją pokona i Miechów zdobędzie. Okoliczność tę jednak przewidziano w sztabie rosyjskim, i nie chcąc ogałacać tak ważnego stanowiska jak Miechów, polecono Czengieremu, ażeby do miasta tego na załogę wysłał trzy

<sup>1)</sup> Wiśniewski, Wspomnienia kapitana. 10.

kompanie piechoty pułku Smoleńskiego z dwoma działami, pod wodzą majora Bentkowskiego, Polaka, i pół szwadronu dragonów noworosyjskich. Posiłki te przybyły d. 16 lutego i Bagration wyruszając tegoż dnia na swą wyprawę, zabrał jedną kompanię, dragonów i artylerję, a w Miechowie pozostawił dwie kompanie Smoleńszczan, półtorej kompanii straży pogranicznej i komendę inwalidów, żandarmów i nieco kozaków, jednym słowem siły wynoszące 550 ludzi, aż nadto dostateczne do obrony miasta<sup>1)</sup>. Dowództwo nad tą załogą oddane zostało majorowi Niepieninowi, komendantowi straży pogranicznej. Kurowski o tem wszystkiem nie wiedział i wiedzieć nie mógł, bo, przypuszczając nawet, że miał związki z miastem i otrzymywał stamtąd szczegółowe o wszystkim wiadomości, to jednakże owe dwie kompanie przybyły do Miechowa d. 16 lutego późnym wieczorem, od razu weszły do koszar i po nużącym marszu położyły się spać, tak że z pewnością ogromna większość mieszkańców nie wiedziała wcale o ich przybyciu. Dość, że Kurowski, pełen najlepszych nadziei, opuścił d. 16 lutego o godz. 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> po południu obozowisko Ojcowskie, by przystąpić do wykonania swego planu.

Zachowano o celu tej wyprawy zupełną tajemnicę i nikt z podkomendnych nie wiedział o zamiarach wodza. Dopiero w Skale, kapelan oddziału, ks. Serafin Szulc, który pozostawił po sobie interesujące pamiątki, w przemowie publicznej uwiadomił powstańców o wyprawie na Miechów.

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij loc. cit. 60. Relacya piśmienna w „Czasie” oblicza siły rosyjskie w Miechowie na 800 ludzi. Podobnie niezgodna jest z podaniem Gesket-Puzyrewskiego relacya urzędowa, która twierdzi, że w mieście były trzy kompanie piechoty i 200 objeszczyków, co wynosiłoby, tak jak „Czas” twierdzi, około 800 ludzi. Tenże raport utrzymuje, że Kurowski pod Miechovem liczył 3000 ludzi, co wiemy, że jest fałszem, a czemu pp. Gesket i Puzyrewskij uwierzyli, zmniejszając całe, wbrew urzędowemu raportowi siły rosyjskie. Panowie ci twierdzą np. że objeszczyków było tylko 120, a raport mówi o 200. Trudno dziś na podstawie tych źródeł, jakie posiadamy, odgadnąć kto mówi prawdę, a kto ją tendencyjnie ukrywa.



Oświadczył, że w mieście tem owego dnia rozpoczęto czterdziestogodzinne nabożeństwo, że trzeba je jutro zakonkludować w starym Bożogrobców kościele, tryumfalnem *Te Deum*<sup>1)</sup>. Duch w oddziale był jak najlepszy; „takiego zapалу i ochoty w żołnierzu, jak wówczas, opowiada świadek naoczny<sup>2)</sup>, nigdzie już później widzieć mi się nie zdarzyło“. Kurowski pierwotnie zamierzał maszerować na Miechów zwykłą drogą na Iwanowice do Słomnik, a stąd już gościńcem bitym, gdy w Skale dowiedział się, że Bagration doszedłszy do Słomnik, rozdzielił swe siły: z jedną częścią sam pomaszerował do Michałowic, a drugą wysłał na Iwanowice do Skały<sup>3)</sup>. Wódz polski nie chcąc spotykać się z Rosyanami, co odciągnęłoby go od celu głównego, zmienił plan pierwotny, skrzył na lewo i ruszył bocznymi drogami na Minogę i Czaple Wielkie. Ze Skały wysłano rozkaz do Cybulskiego, stojącego w Wolbromiu, ażeby pomaszerował, trzymając się biegu rzeczki Szreniawy, do wsi Biskupice, leżącej w odległości paru kilometrów od Miechowa; ażeby tam stanął d. 17 lutego o godz. 5-ej rano i czekał dalszych rozkazów<sup>4)</sup>.

Marsz ze Skały do Czapli był bardzo uciążliwy. Zimno dokuczało mocno, wielki śnieg upadł i w tym kraju, pofałdowanym licznymi wzgórzami i wąwozami, posuwano się wolno, a mimo to ludzie męczyli się i wyczerpywali. Noc szybko zapadła, co zwiększało trudności tego pochodu;

<sup>1)</sup> Ks. Szulc, Pamiętnik (Polska w walce I, 88). *Gesket-Puzirewskij*, loc. cit. 89, opowiadają, że nie ks. Szulc, ale Kurowski w Skale miał mowę, w której niby powiedział, że „w Miechowie znajduje się starożytna świętość“. Jaka to zaś jest świętość, autorowie od siebie w odnośniku objaśniają: „obraz św. Barbary“. Otóż zapewnić ich możemy, że Kurowski mowy nie miał i że w Miechowie niema żadnego obrazu starożytnego św. Barbary. Jest tylko kapliczka na cmentarzu pod wezwaniem tej świętej.

<sup>2)</sup> Ks. Szulc, loc. cit.

<sup>3)</sup> Raport Kurowskiego („Wiadom. z pola bitwy“ Nr. 4).

<sup>4)</sup> Tak opowiada sam Cybulski (Polska w walce I, 90). Ks. Szulc zaś utrzymuje, że rozkaz do Cybulskiego wysłano z Czapli i że w rozkazie tym wyraźnie powiedziano o napadzie na Miechów.

do Czapli, dużej i bogatej wsi, należącej do Popielów, dobito się o północy i odpoczęto sobie nieco. Tutaj przyłączył się mały oddziałek pod wodzą Grekowicza<sup>1)</sup>, który od chybionego ataku na Radomsk w noc styczniową, błąkał się po Piotrkowskiem, aż, dążąc do Ojcowa, natknął się na Kurowskiego w Czaplach. Po parogodzinnym spoczynku, po uczęstowaniu żołnierzy wódką, około godz. 5-ej rano wyruszono w dalszą drogę. W odległości sześciu wiorst od Miechowa, oddział wszedł na szosę krakowską i po niej już maszerował dalej.

Miechów leży w kotlinie, utworzonej przez dopływ Szreniawy, i otoczony jest dokoła wzgórzami, które dominują po nad miastem, tworząc, mianowicie od strony południowo-zachodniej i wschodniej dość głębokie wąwozy, łatwe niewątpliwie do obrony, ale też uprzystępniające znacznie w czasie nocy atak. Z tej strony, z której szedł Kurowski, od szosy krakowskiej, po jej lewej, na wzgórzu, znajdował się cmentarz, otoczony do koła murem, z kaplicą murowaną św. Barbary. Był to klucz pozycyi, jeżeli ona miała być atakowana od południa. Łatwiejszy o wiele przystęp był ze wschodu, po drodze od Działoszyc, jak również od zachodu, drogą od Wolbromia. I dlatego, atakując Miechów, należało z tych stron uderzyć, unikając przez to trudnego szturm do cmentarza; ale ponieważ Kurowski szedł od południa, więc też od południa atakował, nie troszcząc się, a może nie zdając sobie sprawy, że znalazłby się lepszy i łatwiejszy punkt napadu.

Świt się już robił, szary, chłodny świt zimowego poranku, gdy się zbliżono do miasta. Zdawała się tam panować martwa, niczem nie zakłócona cisza. Niepienin bowiem z razu nie wiedział o gotującej się nań burzy. Dopiero o świcie samym, niewątpliwie wskutek prostej zdrady, zapewne jakiegoś chłopca lub żyda, zdrady wyszłej, o ile się zdaje, z Czapli Wielkich, dowiedział się o zbliżaniu się do miasta powstańców. Nie tracąc ani chwili czasu, z przyto-

<sup>1)</sup> Ks. Szulc, Pamiętnik loc. cit. I, 88.

mnością umysłu, rzadko przytrafiającą się u dowódców rosyjskich tej doby, powołał w największej cichości kompanie pod broń, a mieszkańcom zakazał pod karą śmierci pokazywać się na ulicach, drzwi i okna starannie pozamykać<sup>1)</sup>. Ponieważ wiadomość o powstańcach, ze zwykłą przesadą twierdziła o znacznej ich liczbie, o trzech tysiącach, więc Niepienin wezwał do walki ludzi pozaszeregowych, nawet ordynansów i takich chorych, którzy mogli utrzymać się na nogach<sup>2)</sup>. Z uwagi, że ulice miasteczka wyłotami swymi wychodziły na rynek, a w pobliżu tegoż, po lewej stronie szosy kieleckiej wznosił się klasztor i kościół Bożogrobców, gmach wielki i mocny, otoczony murem, więc Niepienin główne swoje siły tu skoncentrował, klasztor zajął komendą inwalidów i pozaszeregowcami, wiele domów w rynku do stanu obronnego przyprowadził<sup>3)</sup>. Na szosę krakowską, skąd powstańcy się zbliżali, wysłał całą piątą kompanię pułku Smoleńskiego, która umieściła się na cmentarzu i na sąsiednich wzgórzach; objeszczyków i kozaków rozesłał na widety; kompania dwunasta Smoleńszczan i kompania straży pogranicznej rozsiała się w rynku, z wysuniętymi placówkami na szosie kieleckiej t. j. od północy, i na drodze od Działoszyc t. j. od zachodu<sup>4)</sup>. W takiej pozycji oczekiwał zbliżenia się powstańców.

Kurowski w odległości trzech niespełna kilometrów od miasta, zatrzymał się i wydał ostateczne rozporządzenia. Rochebrun tedy miał na czele żuawów zaatakować miasto od strony południowo-wschodniej, mając po swej prawej silny oddział jazdy pod wspomnianym już Lipczyńskim, któremu polecono sięgnąć aż na drogę do Bukow-

<sup>1)</sup> Z. L. Sulima, Wspomnienia ulana (raport naczelnika powiatu Miechowskiego) I, 41.

<sup>2)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 61.

<sup>3)</sup> Loc. cit.

<sup>4)</sup> Loc. cit. 61. Autorzy ci, dość niejasno przedstawiają przygotowania do obrony rosyjskie. Posiłkowaliśmy się w tym względzie relacjami świadków naocznych bitwy miechowskiej.

skiej Woli, i przy sprzyjających okolicznościach atakować stąd miasto, a w razie zwycięstwa przerzucić się na szosę kielecką i odciąć odwrót nieprzyjacielowi<sup>1)</sup>. Strzelcy pod wodzą Wanerta, maszerując szosą, mieli uderzyć od południa; od zachodu wreszcie Cybulski, który według rozkazu winien był znajdować się już w Biskupicach. Ale Cybulski maszerował z wielką trudnością. Nie znając okolicy, zapytawszy się miejscowych mieszkańców, jak daleko z Wolbromia do Biskupic, na odpowiedź, że jest tylko sześć godzin marszu, wyruszył dopiero o godzinie 9-ej, pewny, że o 5-ej rano stanie w miejscu swego przeznaczenia. O przewodnika było trudno, tak, że w końcu jakaś baba, karczmarka, po dziesięciu godzinach nużącego niesłychanie marszu, między godz. 7 a 8 rano, doprowadziła oddział do Biskupic. Tu czekał już posłaniec Kurowskiego z rozkazem, ażeby Cybulski natychmiast przed naczelnikiem się stawił. Zdawszy więc komendę Rozemu, dowódcy jazdy, udał się za swym przewodnikiem i po długim szukaniu odnaleziono nakoniec Kurowskiego, który po to tylko wezwał Cybulskiego, ażeby osobiście nakazać mu atak Miechowa od strony Wolbromia<sup>2)</sup>. Dzięki temu wszystkiemu, temu niepojętemu nierozgarnięciu i marnowaniu czasu, oddział Cybulskiego najlepiej uzbrojony, jakkolwiek posiadający bardzo niewielki zapas amunicji<sup>3)</sup>, nie wziął wcale udziału w ataku.

Kurowski, tak się rozporządziwszy, ruszył naprzód. Wanert i Rochebrun zajęli przeznaczone im pozycje, mając na froncie szwadron jazdy Radońskiego, przeważnie z młodzieży uniwersyteckiej krakowskiej złożony, w tyle

<sup>1)</sup> „Wiadomości z pola bitwy“ Nr. 4. Raport Kurowskiego. Już samo to rozporządzenie nakazujące kawalerji atakować miasto, świadczy o osobliwszem pojmowaniu wojskowości przez tego dowódcę.

<sup>2)</sup> A. Giller, Polska w walce I, 91.

<sup>3)</sup> Amunicja (opowiada sam Cybulski, loc. cit.) „ograniczała się do prochu myśliwskiego w małej ilości, i w większej części granulek na wilki“.



zaś w ściśniętej kolumnie kosynierów pod Korotyńskim, stanowiących wraz ze świeżo przybyłym oddziałkiem piotrowskim Grekowicza, rezerwę. Mogła być godzina 6 rano i już dniało, gdy jazda, spędziwszy widety objeszczyków, powitana została gęstą palbą piechoty rosyjskiej, ukrytej na cmentarzu. Dzielna ta młodzież, pomimo straty kilku ludzi i koni, ogień ten wytrzymała. a Kurowski, nadbiegłszy do Rochebruna, który według pierwotnego planu miał atakować miasto od strony południowo-zachodniej, a nie po szosie krakowskiej, nakazał mu ruszyć naprzód i cmentarz zdobyć. Właściwie należało to do Wanerta. słusznie więc Rochebrun zwrócił na to uwagę Kurowskiego, mówiąc, że musi się do tego przygotować i front swój zmienić. Kurowski, którego huk strzałów zdawał się rozdrażniać, tonem gniewnego uniesienia powtarza swe słowa i rozkazuje natychmiast je wykonać, jeżeli Rochebrun „nie chce być miany za tchórza“. Usłyszawszy to, waleczny ten niezaprzeczenie Francuz, rzuca w poczucie dotkliwej obrazy pałasz swój na ziemię, i z kijem w ręku, krzycząc: *en avant Polonais!* (naprzód Polacy!) porywa swych żuawów i pomimo rześkiego ognia, który straszne czyni luki w szeregach tej mężnej młodzieży, dobiega do cmentarza, bierze go szturmem, część nieprzyjaciela w ręcznym boju kładzie trupem, a część zmusza do płochliwej ucieczki do miasta. Rochebrun, uniesiony zapalem i krwawym swym tryumfem, na karkach nieprzyjaciela wpada do Miechowa, dokonuje cudów waleczności, wyrывa żołnierzom rosyjskim z rąk karabiny i rzuca je za siebie<sup>1)</sup>; ale tu położenie się zmienia. Na ulicy krakowskiej, do której najprzód dotarł, wita go straszliwy ogień z domów, z poza parkanów, z okien i drzwi, ogień morderczy, bo na blizki dystans wymierzony; mimo to waleczny ten zastęp młodzieży biegnie naprzód z nieustraszonem męstwem i dostaje się na rynek, gdzie obsypany zostaje gradem kul ze wszystkich stron. Czas już był wielki poprzeć żuawów, którzy, w nierównym boju

<sup>1)</sup> J. Moszyński, Obrachunek z rzeczą p. S. Koźmiana, 73.

tracąc wielu ludzi, mogli być pokonani. Wyrusza więc do ataku Wanert ze strzelcami, dostaje się na rynek i tu się rozpoczyna krwawy, uparty, ręczny bój, zdobywanie pojedynczych domów, walka męzna ale bezskuteczna z dobrze uzbrojonym, wyćwiczonym i ukrytym nieprzyjacielem. Zdołano dotrzeć aż do klasztoru, ale ten, otoczony murem, broniony uparcie, był nie do zdobycia. Kurowski chce rzucić do miasta swą rezerwę, z kosynierów złożoną, ale ci wobec straszliwego ognia karabinów rosyjskich poruszyć się nie dadzą. Wódz polski na razie nie wie, co robić, gdy nagle z wiedzą jego czy bez wiedzy, rozgrywa się epizod, który zgoła w inną stronę zwraca jego uwagę i budzi w nim jeden z najnierozumniejszych i najrozpaczliwszych pomysłów.

Główna część jazdy polskiej pod Lipczyńskim, jak wiemy, wysłana była na stronę zachodnią Miechowa, na drogę od Bukowskiej woli, z rozkazem atakowania od tej strony miasta i zaskoczenia linii odwrotu nieprzyjaciela od szosy kieleckiej. Otóż, jeden szwadron tej jazdy, pod wodzą Nałęcza, b. oficera pruskiego, wykonywując nierozumne polecenie wodza, w chwili gdy najzażartsza walka toczyła się w rynku, gdy tam wszystko rwało się i wrzało, a kule szerzyły spustoszenie, cwałem wpadł przez ulicę Bukowską na rynek. Ale tu rycerska ta młodzież, powitana gradem ołowiu, miewa się, traci wielu ludzi, i cofa się w nieładzie tą samą drogą, którą przyszła, unosząc rannego swego rotmistrza<sup>1)</sup>. Otóż ten atak niemądry, bo nikt przecież miast jazdą nie zdobywa, rodzi w głowie Kurowskiego pomysł, ażeby szwadron jazdy Radońskiego, jaki miał przy sobie na szosie krakowskiej, rzucić do ziejącego śmiertcią Miechowa. Radoński, na rozkaz wodza, formuje się czwórkami, bo na taki front pozwala szerokość ulicy, rusza śmiało naprzód i pędem wpada na rynek. Rażony ze wszech stron ogniem, rwie naprzód. napotyka na drodze straż pograniczną, trątuje ją, rani ciężko jej wodza, majora Mały-

<sup>1)</sup> Ks. S. Szulc, Pamiętnik (loc. cit. I, 89).

szewa<sup>1)</sup> i w szalonym cwale przerzyna na wskrós całe miasto i wydostaje się na szosę kielecką<sup>2)</sup>. Ale już tu dzielna ta jazda, tak heroicznie się poświęcająca, szarżę swą przypominająca najświetniejsze czyny lancy polskiej, zdziesiątkowana, krwią zlaną, bez swego wodza Radońskiego, który poległ<sup>3)</sup>, niezdolną jest do niczego; złamało się jej męstwo o niepokonane zapory i w rozsypce szuka ocalenia przed ścigającymi ją kulami wroga.

Kurowski wobec tego pchnął do miasta ostatnią swą rezerwę Grekowicza, ale ta garść, źle uzbrojonych i znużonych ludzi, nie była w stanie przeważyć szali. Poprawić sprawę mogło jeszcze pojawienie się oddziału Cybulskiego, mającego przybyć po drodze Wolbromskiej; ale ten nie przybywa i przybyć zresztą nie mógł. Powróciwszy bowiem po rozmowie z Kurowskim do Biskupic, nie zastał tam już oddziału, który pomaszerował pod Miechów. Wódz polski bowiem zapomniał powiedzieć Cybulskiemu, że posłał przewodnika z poleceniem poprowadzenia oddziału pod to miasto. Mimo to oddział ten przyszedł zapóźno; było już po bitwie i powstańcy w zupełnym odwrocie. Owszem, Roze, dążąc za innymi, wtłoczył się ze swą kawaleryą pomiędzy rozbitków i większe tylko zamieszanie spowodował<sup>4)</sup>.

Cofano się bowiem w nieładzie i popłochu. Gdy męstwo i waleczność niezaprzeczona, gdy wszelkie najhe-

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 62.

<sup>2)</sup> Zamknięty szlaban na rogatce otworzyła im mała dziewczyna. Właściwie na drugą stronę miasta wypadło tylko dziewięciu; reszta się rozpierzchła. Między tymi dziewięcioma był: Lipczyński, Franciszek Gaszyński, Hubicki, Wilhelm Zahert i inni. Jeden z tych bohaterskich młodzieńców, który znalazł się po szalonej szarży na szosie kieleckiej, miał za całą broń parasol. („Rok 1863“, pamiętnik rękopiśmienny anonima, w zbiorach autora).

<sup>3)</sup> Z. Kolumna, Pamiętka, II, 228, nazywa go Radomskim i powiada, że „ciężko ranny, widząc pastwienie się Moskali nad rannymi, których dobijali, nie chcąc się podobnego losu doczekać, sam sobie życie odebrał, wystrzałem“.

<sup>4)</sup> A. Giller, Polska w walce I, 91.

roczniejsze wysiłki okazały się płonnymi, ogarnęło wszystkich zwątpienie i ta, przed chwilą tak odważna, tak dzielna młodzież, szukała ratunku w szybkiej jedynie ucieczce. Część cofnęła się na drogę do Bukowskiej Woli, część pobiegła na drogę wolbromską, główna jednak masa parła na szosę krakowską. Na nieszczęście za uciekającymi nieprzyjaciół wysunął piechotę, która zdążyła znów zawładnąć cmentarzem i stamtąd skrzydłowym ogniem strychowała spłoszone tłumy na szosy. Jeden tylko Wanert nie stracił przytomności, i widząc po obu stronach gościńca głębokie rowy, nimi kazał się posuwać i tym sposobem wielu życie ocalił. Kurowski zrozpaczony usiłował powstrzymać uciekających i jeszcze raz uderzyć na Miechów, ale wytłomaczono mu, że jest to niemożliwe, że wreszcie obawiać się należy, by Bagration na wieść o bitwie, nie zawrócił i tyłów powstańcom nie zabrał<sup>1)</sup>. Kurowski, zgromadziwszy nieco rozbitków, cofnął się do leśnictwa Sosnowki, leżącego na zachód od szosy krakowskiej, wśród boru, a później do Szkalmierza, ale tu, gdy się wszystko, zniechęcone nadzwyczajnie, rozlaźić zaczęło, opuszczony i zgryziony wyjechał do Krakowa. Obóz Ojcowski istnieć tym sposobem przestał.

Kłęska miechowska ciężki zadała cios powstaniu w tych stronach, nie tyle może pod względem materialnym, ile moralnym. Straty polskie niewątpliwie były wielkie, gdyż wystawieni byli przez trzy godziny na straszliwy i blizki ogień dobrze ukrytego nieprzyjaciela, a nierozumne, dwukrotne szarże jazdy liczbę ofiar pomnożyły. Jaką jest jednak ta liczba, trudno dziś powiedzieć. Obie strony, zmniejszając cyfrę swych poległych, do przesady podnosiły ją u nieprzyjaciela. Kurowski w swym raporcie<sup>2)</sup>, przyznaje się do 30 zabitych i 100 rannych<sup>3)</sup>; Niepienin zaś, według

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> „Wiadom. z pola bitwy“ Nr. 4.

<sup>3)</sup> W liczbie zabitych Kurowski wymienia: Tomkowicza, oficera żuawów, hr. Emanuela Moszyńskiego (według Z. Kolumny, Pa-



nieg o, miał miećogółem 80 poległych i ranionych. Źródła rosyjskie podają zupełnie odwrotny stosunek; twierdzą, że liczba zabitych powstańców miała wynosić 200, a oprócz tego mieli oni mnóstwo rannych, do niewoli zaś wzięto 75 ludzi. Rosyan poległo 8; rannych było 20, w ich liczbie dwóch oficerów i kwatermistrz <sup>1)</sup>. Że te cyfry nie są autentyczne, dowodzi podanie zaczerpnięte z akt urzędowych <sup>2)</sup>, według których Rosyanie mieli 7 poległych i 32 rannych, a między nimi 4 oficerów; powstańców zaś poległo 300 <sup>3)</sup>, a do niewoli dostało się 67, między którymi było 15 ranionych; z tej liczby jeńców, chłopci okoliczni schwytali 21 i odstawili do Miechowa. Znaczne zapasy broni prócz tego dostały się w ręce rosyjskie, bo 57 strzelb, 40 pistoletów, 25 szabli i około 700 kos.

Ale te ciężkie straty, same przez się bolesne, stały się jeszcze boleśnieszemi i jęklawie ozwały się w sercu całego kraju przez to, że samo miasto najkrwawiej odpokutowało za nierozumny napad Kurowskiego. Po odparciu powstańców, w pół godziny <sup>4)</sup> po uciszeniu się straszliwej przed chwilą burzy, rozpoczęła się zwykła w tej dobie

miątka II, 53, ranny kulą w nogę, zakłuty został później hagnetami) i Horocha, wszystkich trzech, pochodzących z wybitniejszych rodzin krakowskich; dalej poległ porucznik kosynierów Jan Wsół (*Z. Kolumna*, loc. cit. II, 300, zwie go Wsola); porucznicy jazdy: Stanisław Geisler (szczegóły o nim u *Kolumny*, loc. cit. II, 76), Radoński, podoficer Henryk Makowiecki, Michał Dohrzański (u *Kolumny*, loc. cit. II, 56. *J. Moszyński*, *Ohrachunek*, 73, opowiada, że „M. Dohrzański wyjechał na rynek gdy już wszystko było skończonem i strzelał z konia do okien z rewolweru, dopóki nie został sam śmiertelnie ugodzonym“), *Kazimierz Straszewski* (u *Kolumny*, loc. cit. 262, jest wzmianka, że był wnukiem założyciela plantacyi krakowskich).

<sup>1)</sup> Raport urzędowy.

<sup>2)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 63.

<sup>3)</sup> Loc. cit. Cyfrę tę podali jeńcy; na placu hoju miało być 200 trupów.

<sup>4)</sup> Raport naczelnika powiatu, Januszkiewicza (*Sulina*, *Wspomnienie ulana* I, 41). Wszystkie zresztą polskie źródła twierdzą jednogłośnie, że rzeź zaczęła się po skończonej walce i po zupełnym odwróceniu powstańców.

w szeregach rosyjskich pijatyka i rabunek. Początek do niego dały kompanie pułku Smoleńskiego, zaprawione na rzezi Suchedniowa, Wąchocka i Słupi; oszalałi od boju i krwi przelanej, na pół zdziczałi żołnierze odbili szynki i składy z wódką, wytaczali na rynek beczki i pić poczęli <sup>1)</sup>; inni znosili snopy słomy, które zapalali i rzucali na dachy domów <sup>2)</sup>. W jednej chwili wszczął się pożar w kilku naraz miejscach miasta. Współcześnie poczęli strzelać do okien, wdzierać się do domów pod pozorem szukania tam powstańców, albo też utrzymując, że z tego a tego domu do nich strzelano. Rozpoczęły się straszne sceny rozpasania. Wpadając do domów, kazali sobie oddawać pieniądze, porywali właścicieli, bili ich, grabiąc wszelkie przedmioty, rąbiąc meble. Powoli od rabunku przeszli do rzezi. Burmistrz Miechowa, *Piotr Orzechowski*, „znany ze swej gorliwości obywatelskiej“, gdy zdziczałe żołdactwo, zmieniłone pod wpływem krwi i gorzałki na hordę rozbójniczą, napadło na jego dom, ubrał się w mundur urzędowy i order, i wyszedł na ulicę przekonany, że widok tych oznak powstrzyma żołdaków. Ale niestety! nic ich nie powstrzymało. Rzucili się na niego, kolbami i bagnetami ohydnie

<sup>1)</sup> Jeżeli wierzyć można niektórym doniesieniom (*J. Styczeń*, *Postępowanie Moskali*, loc. cit.) żołnierze rosyjscy gdy zahrakło wódki, napadli na aptekę, i wzięli się do preparatów aptecznych spirytusowych, a nakoniec i do nafty (?).

<sup>2)</sup> Relacya rękopiśmienna naocznego świadka, mieszkańca Miechowa, znajdująca się w zbiorach autora. Ohydne też jest oskarżenie, rzucone przez raport urzędowy, wydrukowany w „*Dzienniku powszechnym*“ (Nr. 41 z r. 1863), jakoby „pierwszem staraniem powstańców przy uderzeniu na Miechów, było podpalić kilka domów“. Sprzeciwiają się temu wszystkie relacye polskie, a raport wspomnianego naczelnika powiatu Januszkiewicza, wyraźnie powiada: „W tym stanie (po pijanemu) żołnierze, nie słuchając nawet oficerów, chcących ich powstrzymać, popelnili wszelkie ostateczności, podkładając ogień na wielu punktach miasta“. Nawet *Gesket-Puzyrewskiemu* wydała się relacya urzędowa pod tym względem podejrzaną, bo powiada (p. 63): „Kto jest winnym podpalenia, niewiadomo; według doniesień rosyjskich powstańcy, a według źródeł polskich, Rosyanie“.

zamordowali, obdarli z ubrania, i nagiego, krwawego trupa rzucili do rynsztoka. Przez pół godziny tak leżał, deptany i kluty przez przebiegających żołdaków, aż nieszczęśliwa żona ubłagała kogoś, że okrutnie znieważone zwłoki przeniósł do domu, gdzie wkrótce stały się pastwą pożaru. Zamordowano także Antoniego Kułagowskiego, urzędnika pocztowego, stolarza Kilińskiego, szewca Michała Gurbiela, inżyniera Wysockiego, wreszcie jakąś kobietę wiejską, idącą do miasta z nabiałem. Do naczelnika powiatu Januskiewiczza wpadli także do mieszkania, ale dzięki żołnierzom z komendy inwalidów ocalał, zapłaciwszy wprzód znaczną sumę. Prerażony tem, natychmiast bokami uciekł z miasta do wsi Uniejowa, skąd wysłał do naczelnika wojennego radomskiego, generała Uszakowa, raport o tem co się działo w Miechowie. Raport ten obiegł wszystkie dzienniki zagraniczne i słuszną grozę wywołał<sup>1)</sup>.

Tymczasem w mieście, wystawionem na wszelkie okropności pożaru, rzezi i rabunku, powstał popłoch nieopisany. Kto mógł uciekał; kobiety w koszulach, na pół nagie, dzieci, mężczyźni, boso, nie zważając na mroźną porę, wymykali się do lasów okolicznych. Wielu schroniło się do t. z. zamku, gdzie było biuro naczelnika powiatu i odwach, i tam, dzięki temu, że otoczeni zostali komendą inwalidów, która, jako stale kwaterująca w Miechowie, znała prawie wszystkich mieszkańców, ocaleli. Żołnierze tak dalece nie słuchali oficerów, że kapitan strzelców Bugaszewski, widząc, że schronieni na odwachu, mimo wszystko mogą być wymordowani, ułatwił im ucieczkę tyłami, za co o mało, że przez własnych podkomendnych nie został wzięty na bagnety. To też oficerowie pokryli się, zostawiając zdziaczalej hordzie swobodę działania. Wśród tego wszystkiego miasto gorzało i ogień coraz szersze obejmował przestrzeń. Spaliły się zupełnie trzy połacie rynku

<sup>1)</sup> Januskiewicz, nie czekając na następstwa, zaraz po napisaniu tego raportu, wyjechał do Krakowa; sekretarz powiatu Kaniewski, za to, że podpisał ów raport, został później wysłany na Syberję.

i kilka ulic. Pożar ugaszono dopiero nazajutrz o godz. 10 ej rano. Kto mógł uciekał z miasta, zamożniejsi mieszkańcy chronili się do Krakowa, bo po wsiach bali się zostawać gdyż obiegały pogłoski o rzezi chłopskiej; prócz tego objeszczyki i kozacy przebiegali całą okolicę, przyczem kilka wsi spalili i zrabowali<sup>1)</sup>.

Wieść o tem wszystkim, o tych strasznych, czasy Atylli przypominających scenach, obiegła nietylko Polskę, ale całą Europę i wywołała powszechny okrzyk oburzenia. Dzienniki zagraniczne silnemi słowy piętnowały dzikość i barbarzyństwo żołnierza rosyjskiego. To też, jak gdyby dla usprawiedliwienia się przed tą oburzoną opinią uczuć ludzkich, raport urzędowy niegodnie skłamał, że „wielu mieszkańców występowało po stronie buntowników, a między nimi burmistrz, który wystrzałem z domu swego ranił żołnierza pułku Smoleńskiego“. I to kłamstwo najoczywistsze, przeszło wprawdzie do pseudo poważnych historii rosyjskich tych czasów<sup>2)</sup>, ale nie zdołało zatrzeć prawdy w oczach współczesnych. Nikt nie strzelał, nikt nie miał broni w mieście, a okna i drzwi, jakeśmy już powiedzieli, były szczelnie zamknięte we wszystkich domach. Poza słusznem też oburzeniem, żal serce ściszał na tyle ofiar i tyle krwi bezpłodnie przelanej. Kraków, który główny kontyngens swej najlepszej młodzieży dostawił do obozu ojcowskiego, na wieść o katastrofie miechowskiej okrył się żałobą. Już tego samego wieczora i dnia następnego cią-

<sup>1)</sup> „Wiad. z pola bitwy“ Nr. 3. Do Krakowa schronili się także urzędnicy miejscowego sądu pokoju. W. książę chciał im dać zato dymisy, ale ocalił ich Wosiński, dyrektor Komisji Sprawiedliwości. Przysłano im paszporta i kazano wrócić.

<sup>2)</sup> Powtarzają je pp. *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 63 i starają się usprawiedliwić rzeź i rabunek. „Nie trzeba zapominać, piszą, że cała ta wojna w oczach żołnierza rosyjskiego słusznie uważana była, za rokosz, bunt, i dlatego tutaj, prędzej niż w wojnie zwyczajnej, takie fakta, jak strzelanie z okien do wojska, w czem brały udział także osoby urzędowe (burmistrz) nie mogły pozostać bez kary i nic w tem niema dziwnego, że domy te były wzięte szturmem, zrabowane, lub oddane na pastwę pożaru“. Tak się pisze historją!



gnęły do miasta długim, ponurym korowodem bryczki z rannymi. Tych, którzy nie mieli ani krewnych, ani przyjaciół, pomieszczano w klinice uniwersyteckiej. Naprzeciw wlokących się fur wychodziły z miasta całe tłumy płaczących kobiet, matki szukały synów, siostry braci, żony mężów. Pełz rozdzierających scen rozegrało się wtedy, gdy się dowiedziano, że ten i ów poległ. Dnia 18 było już w mieście 48 rannych, a nie przestawali przybywać nowi. Rogi ulic pokryły się żałobnymi plakatami. wszędzie skargi na Kurowskiego rozbrzmiewały. Oburzenie nań było tak wielkie, że, gdy przybył do Krakowa, nie śmiał się pokazywać na ulicach; nazywano go zdrajcą, gubicielem młodzieży, sprzedawczykiem, który za pieniądze rosyjskie umyślnie na rzeź swój oddział wydał<sup>1)</sup>. Nie ulega wątpliwości, że Kurowski ciężko zawinił, że przedsięwziął swą wyprawę lekkomyślnie, że nie wiedział o siłach nieprzyjaciela, że atak sam najnierozumniej poprowadził. że nakoniec zmarnował powstanie krakowskie, ale zdrady tu nie było, było tylko niedołęstwo niestychane i karygodne. Zato żołnierz powstańczy, młodzież krakowska dzielnie spełniła swój obowiązek i heroicznie kładła się pokotem ciał własnych, by spełnić niemądre rozkazy wodza. W większej części dotrzymała sobie słowa danego w Krakowie, żaden z nich żywcem wziąć się nie dał Moskałom. Atak Rochebruna, szalona i bohaterska szarża Radońskiego, należec będą zawsze do najpiękniejszych czynów wojennych polskiego oręża.

Ale nie na tem miały się skończyć oplakane następstwa starcia miechowskiego. Jak wiemy, Kurowski, wyruszając na swą nieszczęśliwą wyprawę, zostawił około 300 ludzi w Ojcowie, źle lub wcale nieuzbrojonych, pod do-

<sup>1)</sup> Gdy Stefan Bobrowski przyjechał do Krakowa, Kurowski prosił go, aby wystarał się u Rządu o zasłonięcie go przed niesprawiedliwymi jakoby pociskami opinii. Wskutek tego nastąpiło w tajnym piśmie „Ruch“ ogłoszenie, iż „Kurowski pomimo klęski, dobrze się krajowi zasłużył“. Ogłoszenie to zmniejszyło nieco rozjątrzenie przeciw wodzowi miechowskiemu. (A. Giller, Polska w walce I, 94).

wództwem Dobrskiego, z rozkazem, ażeby natychmiast po wymaszerowaniu głównego oddziału, skierował się do Olkusza, by „po bitwie miechowskiej złączyć się z głównymi siłami“. Rozporządzenie było bardzo niemądre, gdyż niejako rzucało tę garść bezbronnej młodzieży w sam środek kolumn rosyjskich /z Częstochowy i Warszawy maszerujących na Miechów, o czym Kurowski doskonale wiedział. Kolumny te, liczące około paru tysięcy bagnietów, właśnie skoncentrowały się d. 17 lutego w Żarkach. Tutaj dowódzca kompanii gwardyackiej, pulkownik Korf, cierpiąc na melancholię, wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie<sup>1)</sup>. Dowództwo naczelne więc nad temiż dwoma kolumnami objął generał Czernicki, kwatermistrz wojsk rosyjskich w Królestwie i d. 18 pomaszerował na Kromolów i Wolbrom, gdzie dowiedział się o bitwie i klęsce miechowskiej<sup>2)</sup>. Wyprawa więc dalsza była niepotrzebna i zawrócono z powrotem, ale właśnie te marsze i kontramarsze kolumn rosyjskich w tych stronach, groziły oddziałowi Dobrskiego strasznem niebezpieczeństwem. Dowódzca jednak polski, nie o tem nie wiedząc, maszerował sobie spokojnie i wolno, na Wielką wieś i przed północą d. 18 lutego stanął w Olkuszu, przyjmowany przez mieszkańców owacyjnie. Całe miasto się uiluminowało, „okna pootwierano, z których kobiety w bieli witały nas głośnem błogosławieństwem“, opowiada świadek naoczny<sup>3)</sup>. Ale już nazajutrz doszły głuche zrazu, potem coraz wyraźniejsze wieści o klęsce miechowskiej, które niebawem potwierdzili ciągle przybywający do Olkusza rozbitkowie z pod Miechowa. Dzięki im oddział Dobrskiego wzrósł do 500 ludzi, ale o zamierzonym połączeniu z Kurowskim nie było co myśleć, a wieść o marszach i kontramarszach Czernickiego, czyniła położenie na-

<sup>1)</sup> Tak twierdzą źródła rosyjskie. Prasa polska ówczesna, oraz Z. Kolumna, Pamiątka II, 124 utrzymuje, że Korf nie chcąc prowadzić wojska na mordy i rabunek, sam się zastrzelił przed frontem<sup>4)</sup>. Miało się to stać nie w Żarkach, ale w Ogrodzieńcu.

<sup>2)</sup> Gesket-Pazyrewskij loc. cit. 65.

<sup>3)</sup> Wiśniewski Wspomnienia kapitana, 13.

der niebezpiecznem. Dobrski postanowił ruszyć w głąb kraju, wylotem na północ, prawdopodobnie w nadziei spotkania się z jakim oddziałem. Maszerowano na Wolbrom, który wczoraj zaledwie opuścił był Czernicki, na Porembę, skąd już posuwano się bocznemi drogami i lasami dla uniknięcia nieprzyjaciela. W dodatku Dobrski nagle i potajemnie opuścił oddział haniebnie, zostawiając go własnemu losowi. Położenie tej gromady ludzi było bardzo rozpaczliwe, gdy o świcie zjawił się nowy dowódzca, ubrany czerwono-niebiesko-biało, harcujący na dzielnym koniu, nazwiskiem Nikiforow. Był to oficer zbiegły z szeregów rosyjskich, dowódzca strzelców Kurowskiego pod Sosnowcem, a późniejsze tragiczne jego koleje, uczyniły go postacią historyczną. Według podań rosyjskich, miał on przejść do powstańców po napadzie Kurowskiego na Sosnowiec<sup>1)</sup>; według relacji polskich zaś, bardzo wiarogodnych, należał on poprzednio do mniemanego spisku oficerskiego rosyjskiego i w początkach powstania zjawił się we Lwowie, skąd komitet ks. Adama Sapiehy wysłał go do Królestwa; przybył więc do Ojcowa, dostał dowództwo strzelców i bił się pod Sosnowcem. Teraz zjawił się przed opuszczonym przez Dobrskiego oddziałkiem i objął nad nim dowództwo. Figura to była mocno podejrzana i zdaje się, że obecnie podjął się szpiegowania na rzecz rządu rosyjskiego; prowadził on oddział dalej, ale w coraz gorszą matnię go wciągał. „Głodni i spragnieni, opowiada świadek naoczny<sup>2)</sup>, bo każdy raz cośmy (tak) zasiadali do gotowania, pędziło nas dalej doniesienie, że Moskale o dwie wiorsty od nas; maszerowaliśmy dubeltowym marszem wyżej i głębiej po wertepach, parowach i skałach, a nocą przechodziliśmy cichaczem przez wsie, obsadzone Moskalami, z największem niebezpieczeństwem życia całego oddziałku“.

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. 68. *A. Giller*, *Historja* I. 290 powiada, że Nikiforow odznaczył się przed Sosnowcem, ale o przejściu tutaj do powstańców nie mówi.

<sup>2)</sup> *Wiśniewski*, *Wspomnienia kapitana*, 15.

Już samo to forsowne pędzenie ludzi, gdy oni oddawna wysunęli się z obręczy oblawy rosyjskiej, gdy Czernicki wrócił do Warszawy a Ostrowski do Częstochowy, jest dowodem złych zamiarów Nikiforowa; wreszcie i on znikł pewnej nocy, niewiadomo gdzie i jak. Nareszcie objął dowództwo jeden z oficerów oddziału, nazwiskiem Nowak. Znajdowano się wówczas w lasach żarnowieckich, w nadzwyczaj przygnębiem usposobieniu. Zimno, głód, brak broni, ciągle zmiany dowódców, haniebnie opuszczających oddział, nieustanne pogłoski o nieprzyjacielu, którego nigdzie blisko naprawdę nie było, wpłynęły zgubnie na ten stan ducha oddziału i powszechne wszystkich ogarnęło zniechęcenie<sup>1)</sup>. Na szczęście dowiedziano się, że niedaleko, w Radkowie, o kilka mil zaledwie, obozuje Jeziorański ze znaną i dobrze uzbrojoną partyą.

W rzeczy samej tak było. Jeziorański po zwycięskim napadzie na Rawę, za który został mianowany przez Tymczasowy Rząd narodowy pułkownikiem, rzucił się szybkimi i forsownymi marszami w kierunku południowym. Dlaczego on to czynił? trudno dziś odgadnąć; obowiązkiem jego było pozostać w Rawskim, gdzie teraz po rozbiciu Strojnowskiego, prawie nie było ani jednego oddziału. Ale Jeziorański nie wierzył w tryumf powstania, w czem miał słuszość, tylko w takim razie nie należało obejmować dowództwa; i teraz, dążąc gwałtownie na południe, może już myślał o szybkim wyniesieniu się zagranicę. Dowódzca ten wogóle, jak się przekonamy w ciągu tej historii, niezbyt zaszczytną odegrał rolę w ostatnim powstaniu. Bądź co bądź, po napadzie rawskim ruszył na południe „w stronę, gdzie spodziewał się żołnierza przydziać“, jak usprawiedliwiał swój marsz w raporcie do Rządu narodowego<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Loc. cit.

<sup>2)</sup> *A. Jeziorańskiemu* w *Pamiętnikach* I, 171 nie dopisała pamięć, poplątał mu się czas i miejsce, co dowodzi, jak niedbale kreślił swą książkę i jak ostrożnie trzeba z niej korzystać. Opowiada on tedy, że przed przybyciem do Lubochni, d. 4 lutego stanął w Przedboczu, w celu przydziania obdartego swego oddziału; że zwołał ka-



Żołnierz był obdarty, bez butów, mimo to zdrowy i humor miał wyborny. Szedł na Lubochnię, gdzie się zatrzymał. Pozycja była dobrą; wieś leżała na wzgórzu wśród ogromnych lasów; i, wiedząc, że z Piotrkowa wysłano oddział wojska rosyjskiego dla pomszczenia się nad nim za Rawę, obrał sobie tu pozycję i w ostateczności postanowił przyjąć walkę. Zabudowania bowiem folwarczne tej wsi, ogrodzone wysokim murem, tworzyły pewien rodzaj dawnego zamku warownego. Tu się zatrzymał d. 6 lutego<sup>1)</sup> i po-

hał żydowski i zażądał od niego 200 kozuchów. 130 par butów, znacznej ilości hielizny, obiecując za wszystko zapłacić: że żydzi zadane przedmioty dostarczyli mu nazajutrz. a gdy zapytał o cenę, odrzekli: „Pieniądzy nie przyjmujemy, dajemy towar w darze od Izraelitów Przedborza“. Jeziorański chciał im dać kwit, by nim zapłacili podatek narodowy i na to się nie zgodzili, prosili tylko, by pan naczelnik doniósł o wszystkim Rządowi narodowemu i dodawali: niech on trzyma z nami, jeżeli sprawa, da Bóg dobrze się skończy, niech prawa, jakie nam obiecali dotrzymane będą: że hawil tu do d. 7 lutego, gdy się dowiedział, że do Przedborza zbliża się nieprzyjaciół; że nie chcąc narażać miasta na pożar i rzeź, wyruszył dalej, i w Lubochni stanął nazajutrz t. j. dopiero d. 8 lutego. Że całe to opowiadanie, cały ów pobyt w Przedborzu jest prawdziwy, to nie ulega wątpliwości, tylko nie działo się to między 4 a 7 lutego i nie przed utarczką lubocheńską ale później. Lubochnia bowiem leży po lewej stronie Pilicy i oddaloną jest od Rawy o kilka mil zaledwie, gdy tymczasem Przedbórz jest na prawym brzegu Pilicy i znacznie dalej, tak że chcąc być wprzód w tem miasteczku, a później w Lubochni, musiałby robić kontramarsz ku północy, dwa razy przechodzić Pilicę, zupełnie bez celu, by znów potem zawrócić gwałtownie na południowy-wschód i jeszcze raz, przeprawiwszy się przez tę rzekę, dostać się do Studzianny. To też *Gesket-Puzyrewskiemu* wydawało się to wszystko tak nieprawdopodobnem, że owe opowiadanie Jeziorańskiego o Przedborzu przenosi do Tomaszowa Rawskiego (Wojendziejstwa. 72) najzupełniej niepotrzebnie. Jeziorański był w Przedborzu, ale już po Lubochni i Studziannie. W „Wiad. z pola bitwy“ Nr. 1, najwyraźniej jest powiedziane: „Oddział powstańców, który opuścił Rawę, zbliżając się do Pilicy w okolicach Lubochni“ i t. d. O Przedborzu i Tomaszowie niema mowy nawet i być nie mogło. Jeziorański maszerował z Rawy do Pilicy najkrótszą i najprostszą drogą, a taka jest droga na Lubochnię.

<sup>1)</sup> „Wiad. z pola bitwy“ Nr. 2, tę datę oznaczają, nie zaś d. 8. jak utrzymuje Jeziorański w swych pamiętnikach.

czął gotować jedzenie i karmić konie. W rzeczy samej z Piotrkowa tegoż d. 6 lutego, a więc w dwa dni po napadzie rawskim, wysłano oddział wojska rosyjskiego, pod komendą majora Szakalskiego, złożony z dwóch niecałych kompanii pułku Połockiego piechoty i setki kozaków, ogółem około 300 ludzi<sup>1)</sup>. Szakalski szedł bardzo ostrożnie i z widoczną obawą, na Tomaszów Rawski, nie wiedząc dobrze, gdzie się Jeziorański znajduje, dopiero z Lubochni otrzymał wiadomość od miejscowego rządcy, Niemca, że powstańcy tam obozują<sup>2)</sup>. Dowódzca polski o marszu nieprzyjaciela dość wcześnie się dowiedział i wysłał swą jazdę na rekonesans, która na skraju lasu spotkała się z kozakami. Jeziorański postanowił tu urządzić zasadzkę na nieprzyjaciela. W tym celu rozkazał mur, otaczający folwark, obstawić dokoła z wewnątrz wozami, drabinami i innymi sprzętami, wejść na nie strzelcom, ale tak żeby z zewnątrz nie mogli być dostrzeżeni. Bramy kazał pootwierać, ogniska zasilić drzewem, „wszystkiemu nadać pozór zaniedbania, jakby nie wiedział, że Moskale nadciągają“. Zasadzka się udała; kozacy w pogoni za uciekającym rekonesansem polskim, gdy się zbliżyli do folwarku, powitani zostali strzałami, które 17 kozaków podobno straciły z koni<sup>3)</sup> i zmusiły ich do szybkiego odwrotu, ścigani przez jazdę polską. Wtedy Jeziorański wyszedł drugą bramą z folwarku, rozwinął flankierów i tyralierów i zwolna rejterował na pozycję, znajdującą się nieco w bok o pół mili od folwarku. Ale Szakalski nie myślał go ścigać, owszem sam cofnął się zaraz do Tomaszowa. Powodem tego, według źródeł rosyjskich, było przesadne obliczanie sił Jeziorańskiego, o którym powszechnie mówiono, że ma 3000 dobrze uzbrojonych ludzi<sup>4)</sup>; według zaś opowiadania samego Jeziorań-

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. 272. *Jeziorański*, Pamiętniki II, 174 ocenia siły rosyjskie na 4 kompanie piechoty, dwa działa, setkę kozaków, szwadron dragonów, razem przeszło 1000 ludzi.

<sup>2)</sup> *Jeziorański* loc. cit. II, 173.

<sup>3)</sup> „Wiadom. z pola bitwy“ Nr. 2.

<sup>4)</sup> *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. 273.

skiego, dlatego, że Szakalski został zaatakowany z tyłu przez strzelców z okolicznych lasów rządowych, „którzy zdążając do mego oddziału, natrafiwszy na chwilę bitwy, zaatakowali z tyłu Moskali“<sup>1)</sup>. Odwrót ten rosyjski tak szybki i nagły po zamianie zaledwie kilku strzałów, wyglądający raczej na ucieczkę, zwrócił na siebie uwagę W. księcia w Warszawie, który kazał przeprowadzić śledztwo, dla czego Szakalski tak tchórzliwie unikał boju<sup>2)</sup> i zdaje się, że Szakalski został z wojska usunięty, gdyż więcej z nazwiskiem tem w ciągu całego powstania spotkać nam się nie przyjdzie. Ze strony polskiej zginął tylko jeden kawalerzysta.

Po tej krótkiej utarczce Jeziorański stanął obozem w lesie, o dwie mile od Lubochni. Choć wiatr chłodny dokuczał i śnieg padał, w obozie tym było wesoło i gwarno. Wyruszone nakoniec do Studzianny, miejscowości słynnej klasztorem ks. Filipinów i cudownym obrazem Rodziny św.; dokąd przybyto d. 10 lutego. Siły Jeziorańskiego wynosiły 466 strzelców, 212 kosynierów, 197 koni jazdy, razem 875 ludzi<sup>3)</sup>. Była to siła dość poważna, jak na powstanie, zwłaszcza, że żołnierze wielką mieli ufność do swego wodza i wierzyli w jego szczęście. Obóz pomieścił się w gmachu klasztornym, otoczonym wysokim murem, w pozycji bardzo mocnej i powoli stał się centrem, do którego ściągać się poczęły rozbitki różnych partyi. Najprzód przybył Józef Lewiecki z resztkami oddziału Strojnowskiego, rozbitego pod Grabiami. Jeziorański oddał Lewieckiemu kompanię strzelców. Później przyciągnął oddziałek niejakiego Łakińskiego, który od chwili wybuchu kręcił się w Opoczyńskim. On to Aweydego i ks. Mikołajewskiego, jadących po opuszczeniu kraju przez Mierosławskiego, do obozu Langiewicza pod św. Krzyż, zatrzy-

<sup>1)</sup> A. Jeziorański, Pamiętniki II. 176.

<sup>2)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 273.

<sup>3)</sup> A. Jeziorański, loc. cit. II, 180.

mał jako ludzi podejrzanych<sup>1)</sup>; z trudem z rąk jego dostać się mogli i wrócili do Warszawy z niczem. Przerażony podobno porażką węgrowską oddział swój rozpuścił<sup>2)</sup>, za co miał być pod sąd oddany. Większość tego oddziału połączyła się koło d. 11 lutego z Jeziorańskim. Temu ostatniemu dostawiono także dwie armaty i jedną śmigownicę żelazną, odlaną w fabryce Ewansa w Drzewicy<sup>3)</sup>. Armatki te nie na wiele przydać się mogły, „jednakże straszyć było można niemi Moskali, a młodemu żołnierzowi dodać otuchy“. Jeziorański nad tą artylerią dowództwo oddał Wiercińskiemu, kapitanowi, już gdzieś w tej broni służącemu. Przy takim zwiększeniu sił, należało je uorganizować odpowiednio i dlatego Jeziorański dłużej się zatrzymał w Studzianny. Dopomagał mu w tem gorliwie jeden z Filipinów, ks. Janczarski, oraz White, późniejszy konsul angielski w Warszawie, który stąd niedaleko mieszkał we wsi Ceteń, wydzierżawionej od Filipinów. Jeziorański powziął tutaj i wykonał bardzo rozumną myśl, t. j. podzielił swą partyą na mniejsze, odosobnione oddziały, które w razie potrzeby mogły działać samoistnie<sup>4)</sup>.

<sup>1)</sup> A. Güller, Historia I, 37.

<sup>2)</sup> „Wiadom. z pola bitwy“ Nr. 1.

<sup>3)</sup> Jeziorański, loc. cit. II, 180 wprost pisze: „D. 11 lutego z fabryk olkuskich (? w Olkuskim fabryk tego rodzaju wtedy nie było; autor chciał zapewne powiedzieć: Opoczyńskich) dostawiono mi 2 armaty i 1 śmigownicę“, ale kto dostawił, nie mówi. Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 72 powiada, że armatki te przyprowadził Łakiński. W dziele Z. Kolumny, Pamiętka II, 97 znajduje się co do tych armat taka relacja, że Zaszwowski, który według Jeziorańskiego miał zginąć pod Lubochnią, otrzymał rozkaz (jeszcze przed potyczką lubocheńską), aby wydobył dwie armaty „które zatopione zostały przez Łakińskiego i armaty te były jeszcze w powstaniu 1831 r. ulane z dzwońów kościelnych“. Relacja ta, o ile się zdaje, jest prawdziwa. Bardzo być może, że Łakiński rozpuszczając swój oddział, armaty owe zatopił.

<sup>4)</sup> Taki wniosek wyprowadzamy z dość niejasnych słów samego Jeziorańskiego loc. cit. II, 180. „Musiałem go (oddział) rozdzielić na mniejsze oddziały, do czego zniewala w wojnie partyzanckiej trudność bez magazynów żywienia żołnierza.“



Wśród tego wszystkiego, pobyt Jeziorańskiego w Studzianny nie mógł zbyt długo być ukrytym dla dowódców rosyjskich. W Końskich stał wówczas z 4 kompaniami (pułki Mohilewski i Halicki) major Chmielnickij, który już szukał Łakińskiego i ten przed nim zapewne wskoczył do Jeziorańskiego. W d. 11 lutego przyszła mu pomoc z Radomia, pod wodzą pułkownika Zwierewa, złożona z 4-ch kompanii tychże samych pułków i dwóch dział<sup>1)</sup>; wyruszone natychmiast na Studziannę. Ale Jeziorański miał się na ostrożności; gdy się dowiedział o pochodzie nieprzyjaciela, po lekkiej utarczce z kozakami, którzy na podjazd tu przybyli, opuścił coprędzej Studziannę i pomaszerował dalej na południe<sup>2)</sup>. Nosił on się z myślą uderzenia na Kielce i w tym celu zatrzymał się d. 19 lutego we wsi Radkowie, leżącej w pobliżu miasteczka Secemina, w Kieleckiem<sup>3)</sup>. Włościanie tej wsi wyszli gromadnie na powitanie oddziału polskiego i przyjęli go okrzykiem: „niech żyje Polska!“ Gdy im Jeziorański chciał odczytać manifest Rządu narodowego o uwłaszczeniu, wójt oświadczył, że go

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. 72 dość zawile i niejasno przedstawia ten epizod, tak że trudno naprawdę dojść, jakie mieli siły Chmielnickij i Zwierew.

<sup>2)</sup> *Jeziorański*, *Pamiętniki* II, 181 powiada, że opuścił Studziannę d. 18 lutego; stał więc tam około 8 dni. Ale i tym razem pamięć mu nie dopisała. Zwierew już w d. 17 lutego telegrafował do Warszawy z wielkim tryumfem, że „zajął Studziannę, a buntownicy pierzchnęli do lasów“. (W gazecie „*Ruskij Inwalid*“ wydrukowano nawet, że Zwierew w Studzianny wziął armatę żelazną laną. W innych telegramach tegoż Zwierewa ze Studzianny, kłamiwy ten widocznie szczególnie opuszczono). Jeziorański więc najpóźniej tego dnia, a najprawdopodobniej d. 16 lutego, opuścił tę miejscowość.

<sup>3)</sup> W czasie tego marszu ze Studzianny do Radkowa (którego, powiedzmy nawiasem, nie mógł w ciągu jednego dnia odbyć), spotkała Jeziorańskiego przyjemna owacya. Oto jak o tem opowiada (II, 181): „Gdym był w marszu, spotkał nas obywatel K./śpieszący do oddziału mego z darem od pań województwa radomskiego. Był to sztandar dla kawalerii pięknie robiony; dla mnie czapka z szafirowego aksamitu, obszyta siwym barankiem i szarfa trójkolorowa, Czapkę zdobił orzełek misternie szyty srebrem na polu czerwonym“.

już znają. Tutaj to nakoniec, w Radkowie, połączył się z nim oddział Nowaka, którego koleje poprzednio już opowiedzieliśmy, a który zostawiliśmy w rozpaczliwym położeniu w lasach żarnowieckich. Wieść o pobycie Jeziorańskiego w Radkowie, była dla tych nieszczęśliwych, prawie nadzieją zbawienia; trudność cała polegała na tem, by się dostać do Radkowa, od którego przedzierał ich Żarnowiec, zajęty przez jakiś, zapewne niewielki oddziałek nieprzyjaciela. Nowak wysłał kuryera za kuryerem, aby dać znać Jeziorańskiemu o swej obecności, ale kuryerzy przepadali gdzieś i żaden z nich nie wrócił<sup>1)</sup>. Wtedy podjął się tej misji młody Krakowiak, Miłosz Starzyński, sam jeden konno i w rzeczy samej d. 20 lutego dotarł do Radkowa i Jeziorańskiego o wszystkim uwiadomił. Ten natychmiast wysłał Śmiechowskiego z 400 ludźmi piechoty i 20 kawalerzystami z rozkazem dotarcia do Żarnowca i zaatakowania tam nieprzyjaciela; Bajera zaś z 60 końmi jazdy, pod przewodnictwem Starzyńskiego, wysłał do obozu Nowaka. Śmiechowski w rzeczy samej spotkał pod Żarnowcem pikietę rosyjską, ale też zaraz nieprzyjaciela opuścił to miasteczko i Nowak mógł bezpiecznie maszerować. Idąc na Żarnowiec, Słupię, przybył on do Radkowa, gdzie uroczyscie został powitany przez Jeziorańskiego<sup>2)</sup>. Oddział No-

<sup>1)</sup> *Wiśniewski*, *Wspomnienia kapitana*, 15.

<sup>2)</sup> *Wiśniewski* loc. cit. 16 przyjęcie to poetycznie maluje: „Na parę wiorst przed Radkowem przybył na nasze spotkanie Jeziorański ze swoim sztabem w kilkadziesiąt koni. Dzielnie wyglądał w swej baraniej czapce, piaskowym kożuszku, na którym odbijała się trójkolorowa szarfa. Przemówił do nas parę słów jedrnych, zachęcających i nadających otuchę w świętość sprawy naszej. Odpowiedzieliśmy mu szczerem „hura!“ i pod jego dowództwem w chwil kilka przybyliśmy do Radkowa z pieśnią „Boże coś Polskę“ na ustach. Tam zastaliśmy na wielkiej bloni cały obóz jego, oczekujący nas pod bronią. Tysiące wiwatów z jednej i drugiej strony wznosiło się aż ku niebiosom. Obraz był uroczy. Błonia była z jednej strony opasana grupami drzew szpilkowych, z pomiędzy których wznosiły się jasne ogniska, a przy nich warzyło się jadlo w kotłach dla nas przygotowane. Na samej bloni tysiąc kilkaset żołnierza w porządku



waka, wynoszący 200 ludzi, złożył przysięgę na wierność ojczyźnie i znacznie zwiększył siły Jeziorańskiego. Wódz ten, mając pod sobą około 1500 ludzi<sup>1)</sup>, coraz więcej począł rozmyślać o ataku na Kielce. Starał się o plan sytuacyjny miasta, oraz o wiadomości co do sił rosyjskich przy pomocy organizacyi, oraz szpiegów, których wysyłał. Z Radkowa tegoż d. 20 lutego, w którym Nowak przybył do obozu, Jeziorański wyruszył do Ropocic, wsi odległej o niecałą milę od Małgoszcza, gdzie wiedział, że stał ze swym obozem generał Langiewicz i z którym zamierzał się połączyć<sup>2)</sup>. Nie przypuszczał jednak, by mógł się stać jego podkomendnym i obrażona tem ambicya tego zdolnego, ale próżnego człowieka, przyczyniła się wiele do późniejszych niepowodzeń Langiewicza.

wojskowym z lśniąca bronią, z pomiędzy których powiewały chorągwie narodowe“. i t. d.

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. 73 powiadają, że miał „prawie 2000 ludzi i powołują się w tym względzie na pamiętniki Jeziorańskiego. Otóż w pamiętnikach tych nigdzie niema o tem mowy. Łatwo zresztą obliczyć w przybliżeniu siły Jeziorańskiego. W Studzianny miał 875 (nie 985, jak źle sumują na str. 72 pp. *Gesket* i *Puzyrewskij*), tu przyłączył się doń *Leniewski* „z kilku ludźmi“, oddziałek *Łakińskiego* i inne rozbitki, co, przypuścmy, mogło wynosić 300 ludzi. Nowak dostarczył 200 ludzi i... na tem koniec. Obrachunek więc nasz na 1500 ludzi jest przypuszczalnie większy od istotnego stanu rzeczy. W rozmowie swej z Langiewiczem (*Pamiętniki* II, 196) Jeziorański obliczał swój oddział na „z górą tysiąc ludzi“. Skądże więc urosły te 2000 pp. *Gesketa* i *Puzyrewskiego*?

<sup>2)</sup> Jeziorański w swych *Pamiętnikach* nie mówi o tem, że do Ropocic pomaszerował dla połączenia się z Langiewiczem. Wspomina tylko, że Ropocice były własnością jego siostrzeńca *Józefa Nowakowskiego*, że do przeniesienia się tam „skłoniły go obszerne lasy ropockie, pozycja dobra i zbliżenie się do Kielc“. Wszystko to nie jest prawdą. *Wiśniewski* *Wspomnienia* kapitana, 17, wyraźnie opowiada, że w parę godzin po przybyciu Nowaka do Radkowa „uszykowano nas w szeregi. Jeziorański objeżdżał takowe stępo i każdemu szeregowi powiedział to coś ochoczego, to coś dziarskiego... nakoniec oświadczył, że o parę mil od nas, pod Małogoszczem stoi obóz generała Langiewicza, dobrze uzbrojony, z artylerją polską i że prowadzi nas, ażeby się razem złączyć i razem uderzyć na Moskwę“.

Ale czas wielki, byśmy historię przygód tego wodza, na którego poczyną już cała Polska i Europa zwracać uwagę, z kolei opowiedzieli.

Wojewoda sandomierski, jakkolwiek słusznie mógł tryumfować z odparcia Zagriańskiego od Staszowa i tę nutę tryumfu czuć w jego raporcie o rzeczonyj potyczce, wszelako położenie miał bardzo niebezpieczne. Zagriański, cofnąwszy się do Stopnicy wzywał stąd pomocy od Czengierego, jak się o tem Langiewicz mógł przekonać z przejętego raportu. Gołubow po swej bezowocnej dotąd włóczędce w Sandomierskiem, przycisnął się nakoniec w Opatowie, tak że tym sposobem oba skrzydła wodza polskiego były zagrożone. Prócz tego otrzymał on wiadomość, że gdy generał *Uszakow* dowiedział się w Radomiu o starciach pod Słupią i Staszowem, co prędzej d. 18 lutego, wysłał pod wodzą podpułkownika *Dobrowolskiego*<sup>1)</sup> szefa

Z tego bezpretensjonalnego, szczerą prawdą nacechowanego opowiadania widać, że Jeziorański wiedział o Langiewiczzu i że miał zamiar się z nim połączyć. Jeżeli zaś przemilcza o tem i udaje w dal szem swem opowiadaniu, że był do tego zmuszony, to dlatego zapewne, że początkowo zdawało mu się, że Langiewicz, tak jak *Leniewski*, *Łakiński* i *Nowak*, podda się pod jego komendę“.

<sup>1)</sup> *Włodzimierz Dobrowolski*, Polak rodem, jest jedną z najbrzydszych postaci, jakie się rysują na tle ostatniego powstania. Należał on do spisku oficerskiego, który wytworzył się w roku 1862 w armii rosyjskiej w Królestwie, był w związku z *Sierakowskim*, *Padlewskim* i innymi. Wskutek tego, że przejęto jakiś jego list do *Sierakowskiego* (*Berg*, *Zapiski* II, 502) wpadł on w podejrzenie u władz, na niego zwalano nieczynność załogi radomskiej w początkach powstania. Wezwany do Warszawy do W. księcia, przyznał się otwarcie, że był w stosunkach ze spiskowcami polskimi i niepolskimi, że namawiali go oni do zdrady, ale „ja nie uległem“. Wskutek tych podejrzeń oddany był pod surowy dozór żandarmski, a nawet przez jakiś (4 miesiące) siedział w jego mieszkaniu pułkownik żandarmski *Hacfeld* i wszystkie listy *Dobrowolskiego* czytał. *Uszakow* miał rozkaz, by pilnie baczył na swego szefa sztabu i przy najlżejszem podejrzeniu, żeby go „wygnał bez miłosierdzia“. Tak opowiada *N. Berg*, choć nie określa czasu, kiedy się to wszystko działo. Mówi, że *Dobrowolski* do W. księcia wezwany był „na dwa,



swego sztabu, trzy kompanie piechoty pułku Mohilewskiego, szwadron dragonów noworosyjskich i dwa działa gwintowane, wylotem na Opatów. Sytuacja więc nie była bezpieczną. Z drugiej strony, Langiewicz postanowił połączyć się z Jeziorańskim<sup>1)</sup>. by wspólnie uderzyć na Kielce, to jedyne marzenie obu tych dowódców. Ponieważ Jeziorański znajdował się już w okolicy Małogoszcza, trzeba było więc do niego się dostać. Ale marsz taki ze wszech miar był bardzo ryzykowny, zwłaszcza w tej chwili gdy Zagriażskij, Gołubow, Dobrowolski i oczywiście Czengiery w Kielcach, mieli baczne oko zwrócone na oddział powstańczy. Trzeba więc było przemknąć się między Zagriażskim i Czengierem, narażając swe boki i mając współcześnie na tyłach Gołubowa i Dobrowolskiego. Langiewicz, dzięki szybkim i stanowczym zwrotom swoim, dobrze obmyślanym ruchom z jednej strony, z drugiej dzięki kary-

trzy tygodnie przed odezwą wachocką Langiewicza<sup>4</sup>. Gdyby więc Dobr. był tak mocno podejrzany, że aż żandarm siedział w jego mieszkaniu, to nie oddawanoby mu wyprawy na Langiewicza. Że Dobr. nie cieszył się w warszawskich kołach wojskowych dobrą opinią, to nie ulega wątpliwości, że miano na niego oko, to także prawda, ale owa historia z Hacfeldem wygląda na plotkę. Te podejrzania sprawiły, że Dobr. usiłował być bardzo gorliwym i przez to dopuścił się mnóstwa niegodziwych czynów, które robią zeń bardzo wstrętną postać. Przychodziły mu niekiedy do głowy fantazyje prawdziwego satrapy lub carzyka tatarskiego. Wracając z wyprawy małogoskiej przez Szydłowiec, ujrzał na szczycie wieży ratuszowej orła polskiego, osadzonego tam jeszcze za czasów St. Augusta, i zagroził burmistrzowi szubienicą. jeżeli tego niewinnego, od starości poczerzniętego znaku, natychmiast nie usunie. Nieszcześnie burmistrz daremnie błagał o to mieszkańców; nikt nie chciał, aż jakiś mularczyk za 150 rubli orła owego zdjął (*J. Styczeń, Postępowanie Moskali*). Miał on się żenić z Polką, panną W. co później uwięził ją wraz z ojcem, a ożenił się z córką czy kuzynką Uszakowa. W postępowaniu z jeńcami był dziki i okrutny. Zginął w czasie ostatniej wojny turecko-rosyjskiej.

<sup>1)</sup> Wyraźnie o tem mówi w swym raporcie z d. 26 lutego ze wsi Słupi („Wiad. z pola bitwy“ Nr. 4) „poszedłem do Małogoszcza, celem połączenia ze sobą sił Jeziorańskiego“.

godnej nieporadności dowódców rosyjskich, marsz ten świetnie wykonał, co w każdym razie świadczy bardzo dodatnio o jego zdolnościach militarnych.

Wyruszył on ze Staszowa d. 18 lutego, nazajutrz po utarczce z Zagriażskim, na Raków i dnia tego nocował we wsi Korzennie (między Rakowem a Daleszycami) u miejscowego leśniczego Stojanowskiego. Wódz polski był mocno zaniepokojony, bo, jakkolwiek nie potrzebował się już lękać Zagriażskiego, od którego znacznie się odsadził i który po nauczce staszowskiej, sam jeden nie ośmieliłby się go atakować, to dowiedział się, że tegoż samego dnia rano, z Opatowa wymaszerował Gołubow w kierunku Łagowa, i jeżeli w rzeczy samej dotarł do tego miasteczka, to znajdował się od obozowiska polskiego o parę zaledwie mil, i wisiał na skrzydle polskiem. To też Langiewicz zwykle zamknięty w sobie i milczący, tym razem był jeszcze bardziej małomównym, całą noc nie spał, a rozstrój żołądka, na który cierpiał, czynił go chmurnym i niespokojnym. Na szczęście Gołubow ze swemi pięciu kompaniami piechoty, mogący rozbić zupełnie Langiewicza, postępował tak leniwie i niezaradnie, że pozwolił dowódcy polskiemu wymknąć się zupełnie, do czego przyczyniły się wiele rozkazy Dobrowolskiego.

Ten bowiem wyruszył z Radomia tegoż samego dnia 18 lutego, na Skaryszew i Hżę, w której nocował. Tu dowiedział się, że Gołubow opuścił Opatów wylotem na Łagów. Dobrowolski zamiast także skierować swój marsz na to miasteczko, by połączyć się z Gołubowem, niewiadomo dla czego, z jakich pobudek, nazajutrz d. 19 lutego puścił się do Opatowa tak forsownym marszem, jak gdyby od ruchu tego, Bóg wie jak ważne sprawy zależały i te czterdzieści parę kilometrów przebiegł w ciągu jednego dnia<sup>1)</sup>. Tutaj dowiaduje się, że Gołubow, także nie wiadomo dla czego, opuścił Łagów. i że nazajutrz d. 20 lutego stanie w Opatowie. Teraz dopiero dowódcy rosyjscy spostrzegli,

<sup>1)</sup> *Gesket-Pazyrewskij*, loc. cit. 73.



że popełnili kapitalne błędy; Dobrowolski przez swój zgola niepotrzebny marsz na Opatów, Gołubow przez jeszcze niepotrzebniejsze opuszczenie Łagowa, gdzie zasłaniał Kielce i idąc po równoległej z Langiewiczem, mógł go łąda chwila zaatakować od skrzydła i odrzucić na południe. Chcąc naprawić te błędy, Dobrowolski wyrusza d. 20 do Łagowa, Gołubowowi zaś nakazuje, ażeby d. 21 pomaszerował do Rakowa, w celu „zabieżenia drogi Langiewiczowi do Kielc, albo przyparcia go do tego miasta“<sup>1)</sup>. O zabieżeniu drogi nie mogło już być mowy, gdyż Langiewicz znacznie wysunął się naprzód, a przytem jakim sposobem można było zagrozić tę drogę marszem na Raków, kiedy wódz polski znajdował się między tem miasteczkiem a Kielcami? Rozkaz ten dowodzi albo nader słabego wyobrażenia o położeniu geograficznem, albo niesłychanej lekkomyślności dowódców rosyjskich.

To też Langiewicz, spokojny już teraz o Gołubowa, posuwał się wolno, nie męcząc ludzi, których należało oszczędzać, gdyż administracya oddziału była w opłakanym stanie i głód stale towarzyszył tej gromadzie młodzieży, wystawionej na wszystkie cierpienia ostrej i niezdrowej pory roku. Dostawa żywności była bardzo nieregularna, opierała się przeważnie na rek wizycy, i zwykle tak bywało, że rozdawano żołnierzom po kawałku surowego mięsa i po kwarcie także surowej kaszy lub krup, zostawiając im swobodę robienia z tem, co chcą. Większość tej młodzieży należała do sfer inteligentnych i zamożnych i otrzymawszy takie porcy, nie wiedziała, jak sobie z tem radzić. Nielad był przytem wielki; częstokroć, postawiony żołnierz na pikiecie, przespał na niej noc całą, zapomniany zupełnie. Langiewicz, maszerując teraz przez wielkie lasy Świętokrzyskie, krwawe swego przejścia zostawiał ślady. Lud tu-tejszy był bardzo niechętnie usposobiony dla powstania, chwycił pojedynczych i odstawiał do władz rosyjskich. Jakkolwiek wojewoda sandomierski był sam bardzo łągo-

<sup>1)</sup> Loc. cit.

dnego usposobienia i wstręt czuł do krwawych egzekucyi, zwłaszcza chłopów, których zyskać sobie należało, którzy zresztą nie mając poczucia ojczyzny, naprawdę nie wiele byli winni, jednakże otoczenie sztabowe, surowy i okrutny Czachowski zmuszał go do tego, że w kilku wsiach kogoś powieszono, a kilkunastu lub kilku chłopów niemiłosiernie batami karano. Te egzekucye ponury nadawały charakter marszowi oddziału polskiego, który zostawiał za sobą przekleństwa i stokroć gorszą niż przedtem nienawiść. Szedł on dość wolno. Dnia 19 nocował w Pierzchnicy i nazajutrz wyruszył do Morawicy, wsi dużej i zamożnej, leżącej na szosie z Kielc do Chmielnika, i oddalonej od tego pierwszego miasta zaledwie o dwie mile. Tutaj zatrzymał się na parę godzin demonstracyjnie, jak gdyby zamierzał maszerować na Kielce, co wielkim napełniło Czengierego niepokojem. Czuł on się bardzo słabym wobec Langiewicza, który, według uparcie obiegających pogłosek, a przez wojewodę umyślnie rozpuszczanych, miał liczyć sześć do ośmiu tysięcy żołnierzy dobrze uzbrojonych i zaopatrzonych w liczną artylerję. Czengierzy zaś miał pod ręką batalion pułku Smoleńskiego, jedną kompanię pułku Mohilewskiego, sześć dział, setkę kozaków i pół szwadronu dragonów, czyli przeszło tysiąc ludzi<sup>1)</sup>. Przewyższał więc liczebnie i jakościowo Langiewicza. Ale trwoga nie umierać i sądzić chłodno. Była ona tym większą, że dowódca rosyjski wiedział o przybyciu Jeziorańskiego pod Małogoszcz i o jego zamiarze atakowania Kielc, przyczem mówiono, że Jeziorański liczy 3000 ludzi. Pojawienie się więc Langiewicza w Morawicy, wydało się Czengieremu jakimś ruchem skombinowanym z Jeziorańskim, a wspólna ich siła 10 do 11 tysięcy bardzo groźna. To też cały dzień 20 lutego oczekiwał ataku, trzymał załogę pod bronią, działa nabite kartaczami wysunął na drogę, skąd spodziewał się szturm, wysyłał podjazdy<sup>2)</sup>. Zdecydowany był

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 76.

<sup>2)</sup> Loc. cit. Z. L. Sulima, Wspomnienia ułana I, 37.



nieruszać się z Kielc i czekać na rozwój wypadków<sup>1)</sup>. Langiewicz tymczasem opuścił Morawicę i pomaszerował do Sobkowa, gdzie przepędził noc z d. 20 na 21 lutego.

Bądź co bądź mógł mieć teraz do czynienia z samym tylko Czengierym, którego niejako wyzywał, gdyż z obrębu obsaczenia staszowskiego i pościgu Gołubowa i Dobrowolskiego całkowicie się wysunął. Ten ostatni, wyruszywszy d. 20 lutego z Opatowa, stanął wieczorem w Łagowie na to tylko, by się dowiedzieć, że Langiewicz rano przeszedł przez Pierzchnicę i że teraz musi już być bardzo daleko. Wobec tego pościg dalszy byłby próżnem tylko męceniem żołnierzy; przenocowawszy więc w Łagowie, Dobrowolski d. 21 pomaszerował do Sobkowa<sup>2)</sup>, i przybywa tutaj w dwie godziny po opuszczeniu tego miasteczka przez

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 76.

<sup>2)</sup> Według wszelkiego prawdopodobieństwa tak się rzeczy miały. *Gesket-Puzyrewskij* 74, opowiada nieco inaczej, a podług nas błędnie. Twierdzi on mianowicie, że „d. 9 (21) lutego Dobrowolski z Łagowa poszedł do Chmielnika, rozkazawszy majorowi Gołubowowi maszerować tamże z Rakowa d. 10/22. O świcie d. 10/22 Dobrowolski dowiedziawszy się, że Langiewicz wyruszył już z Sobkowa, maszerował dalej i przybył do Sobkowa o godz. 11-ej rano, w dwie godziny po wystąpieniu tylnej straży Langiewicza“. Otóż nie możemy zrozumieć po co Dobrowolski skręcał w bok, do Chmielnika i nakładał drogi. Sądzićby należało, że przerażony pogłoskami o ośmiotysięcznej armii Langiewicza i jego artylerji, chciał się połączyć z Gołubowem, a tymczasem tak nie było, gdyż zaraz w Chmielniku rozeszli się jeden do Sobkowa, drugi do Jędrzejowa. Dobrowolski był wprawdzie lichą głową i wstrętnym karyerowiczem, ale znowu nie można przypuszczać, by umyślnie miał nakładać drogi. Jest to więc jakaś pomyłka, zwłaszcza, że *Berg* nic o marszu do Chmielnika nie mówi. Nie zgadzają się przytem daty. Langiewicz nocował w Sobkowie z d. 20 na 21 lutego i tegoż d. 21 wieczorem był już w Małogoszczu, w żaden więc sposób Dobrowolski przybywając d. 22 rano do Sobkowa nie mógł naścignąć straży tylnej powstańców. Mogło się to stać tylko wtedy, gdyby Dobrowolski przybył do Sobkowa d. 21 i prawdopodobnie tak było. Noc z d. 20 na 21 przepędził on w Łagowie i, wyruszywszy przed świtem, bardzo forsownym marszem, po linii najprostszej, nie skręcając do Chmielnika, mógł stanąć koło godz. 11 w Sobkowie.

aryergardę powstańczą<sup>1)</sup>. Odtąd już Dobrowolski szedł śladem wodza polskiego aż do wsi Brzegów, gdzie się zatrzymał; Langiewicz zaś tegoż samego d. 21 lutego wieczorem przybył do Małogoszcza.

Marsz wodza polskiego ze Staszowa do Małogoszcza, był już drugim marszem, który przynosi zaszczyt jego zdolnościom militarnym. Podobnie jak po starciu świętokrzyskiem, świetnym ruchem flankowym wymknął się Czengierymu, którego cios zawisł przez to w powietrzu, tak teraz z pośrodku trzech oddziałów rosyjskich, zagrażających jego bokom i tyłom, wysunął się cały i zdrowy, rzucił popłoch na Kielce i celu zamierzonego t. j. połączenia się z Jeziorańskim w zupełności dokonał. Energią swych ruchów, ich śmiałością, umiejętnem korzystaniem z okoliczności i czasu, dał dowód, że ma dobrą głowę, czego w żadnym razie nie można powiedzieć o dowódcach rosyjskich. Gołubow, który sam jeden wystarczał na pokonanie powstańców, przez swe marsze i kontramarsze do Łagowa i z powrotem, przez działanie po omacku, najwięcej tu jest winnym; Dobrowolski niepotrzebnie poszedł do Opatowa, zmęczył żołnierzy i nie nie zrobił; Zagriański skulił się jak pies obity w Stopnicy, a Czengiery drżał w Kielcach, nie mając do tego powodu. Słusznie też historyk rosyjski<sup>2)</sup>, który w sądach o swoich jest bardzo wstrętny, surowo nagania to postępowanie wodzów rosyjskich. „Zdawało się, mówi on, że ścigamy powstańców, w rzeczy zaś samej myśmy tylko szli za nimi, nie umiejąc ich dopędzić i postawić w pozycji dla nas korzystnej. Doskonale odnajdywaliśmy ich ślady, ale przez ten czas, ani jeden oddział nie zaskoczył bandy od czoła lub skrzydła. Ruchy nasze robią wrażenie jakichś biernych, nieskutecznych marszów, pomimo, że marsze te były dzielnie wykonane, w zimie, niekiedy w nocy i podczas niepogody. Tak np. od-

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 77. Polskie źródła nic nie wiedzą o tem doścignięciu straży tylnej powstańczej.

<sup>2)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 77.

dział Dobrowolskiego od Radomia do Brzegów, przeszedł w ciągu 5 dni około 170 wiorst, bez dniówek i bez łągów. Napotykamy tu wady całego naszego systemu prowadzenia tej kampanii, t. j. że prawie nigdy inicjatywa działań od nas nie pochodziła i mimowoli pomagaliśmy przeciwnikowi<sup>1)</sup>. Sąd zupełnie słuszny i usprawiedliwiony, tylko historycy tego nie mówią, że takie działanie wodzów rosyjskich nie pochodziło z braku zdolności militarnych, bo te, niektórzy z pomiędzy nich bezwarunkowo posiadali, ale z poziomej chęci przeciągania tej wojny do nieskończoności, najprzód dla obalenia W. ks. Konstantego i Wielopolskiego oraz autonomii polskiej, a potem, i to w ogromnej większości, by chude swe kieszenie napęłnić zrabowanym groszem polskim.

Przybywający do Małogoszcza oddział Langiewicza, mieszkańcy tamtejsi przyjęli bardzo uroczyście. Z tym gorącym patryotyzmem, charakteryzującym drobne mieszczaństwo, witali oni wstępujące do nich po raz pierwszy wojsko polskie. Uderzono w dzwony i w efektownej procesyi z chorągwiami<sup>1)</sup>, wystąpiono naprzeciw wkraczających do miasta powstańców, zmęczonych długim marszem, ale wesółych i jak najlepszej myśli. Każdy ubiegał się o to, by przyjąć w swój dom powstańca; zastawiano stoły na rynku, naznoszono żywności, goszczono czem chata bogata. Langiewicz ze sztabem zajął kwaterę na plebanii, i zaraz nazajutrz po swem przybyciu do Małogoszcza, puścił się bryczką, w towarzystwie ks. Kotkowskiego, naczelnika cywilnego województwa sandomierskiego i Pustowojtówny, jako swego adjutanta (bo już ta panna przeniosła się ze sztabu Czachowskiego, do sztabu głównego), do Ropocic, do obozu Jeziorańskiego. Ze strony Langiewicza był to krok wielkiej kurtoazji, a raczej poświęcenia na ołtarzu dobra ogólnego osobistych ambicji. W tymże samym bowiem dniu, w którym puścił się samotrzeć do obozu Jeziorańskiego, otrzymał on z Warszawy nominację Tymcza-

<sup>1)</sup> „Przyczynek do wypadków 1863 r.” (rękopism).

sowego Rządu narodowego na naczelnika sił zbrojnych dwóch województw: sandomierskiego i krakowskiego. Nominacja ta była koniecznym następstwem klęski miechowskiej; Rząd, robiąc Langiewicza naczelnikiem województwa krakowskiego, miał na celu wskrzeszenie zupełnie upadłego tu powstania, a że na razie nikogo nie było, komu by można tę godność powierzyć, powierzono ją Langiewiczowi, w czem zresztą miano zupełną słuszość. Bądź co bądź w tej chwili, z mocy tej nominacji Langiewicz mógł wprost dać rozkaz Jeziorańskiemu, żeby z oddziałem swym stawił się w Małogoszczu; nie uczynił tego, bo z taktem i rozumem, znamionującym go zawsze, wolał oszczędzać drobne i poziome ambicje przez wzgląd na dobro ogólne, ambicje, których typowym, rzec można, objawem, był Jeziorański. Wiedział on doskonale o bytności Langiewicza w Małogoszczu, żołnierzom swoim jeszcze w Radkowie zapowiadał, że idzie się z nim połączyć, mimo to przyjął bardzo chłodno i niedowierzająco swego zwierzchnika. W mężczyźnie, ubranym w krótką, szaraczkową czamarkę, podbitą barankami czarnemi, w okularach niebieskich, z pałaszem niedbale przypiętym i rewolwerem na sznurku<sup>1)</sup>, udawał, że nie poznaje wojewody sandomierskiego, a gdy mu się przedstawił, okazał widoczną nieufność. Langiewicz wyjął z kieszeni nominację Rządu narodowego na generała, legitymując się niejako i wówczas dopiero zawiązała się rozmowa. Langiewicz z wielkim taktem, nazywając ciągle Jeziorańskiego „kolegą”, zapytał, jak liczny jest jego oddział? „Mam z górą tysiąc ludzi”, odrzekł tenże, i dodał, że jest źle uzbrojony, że ma zaledwie kilkadziesiąt karabinów z bagnietami, reszta strzelców posiada broń myśliwską, że kosynierów jest znaczna liczba, że kawalerja jest

<sup>1)</sup> A. Jeziorański, Pamiętniki II, 190. Opowiada on szczegółowo swe spotkanie się z Langiewiczem i jak dotąd, o ile wiemy, jest to jedyne źródło tego faktu. Niewątpliwie opowieść jest prawdziwą, choćby dlatego tylko, że autor bezwiednie odmalował się tak wybornie i tak charakterystycznie, jakby tego największy jego nieprzyjaciół zrobić lepiej nie potrafił.



najlepszą, bo ma dobre konie i każdy jeździec posiada pałasz, rewolwer lub dubeltówkę. „Przyjechałem tu, odezwał się w końcu Langiewicz, abys oddział twój połączył z moim, bo każdy z nas z osobna nie wiele dokaże“. Jeziorański zamiast odpowiedzieć na to, zapytał, jak liczny i jak uzbrojony jest oddział stojący w Małogoszczu, na co otrzymał wiadomość, że Langiewicz nie ma więcej jak 800 ludzi<sup>1)</sup>. Usłyszawszy to Jeziorański, począł oponować przeciw połączeniu się oddziałów, narzekał na złe uzbrojenie, na brak magazynów, a stąd niepodobieństwo wyżywienia liczniejszych sił i t. p. Ale ta opozycja, może uzasadniona w innym razie a nie teraz, gdy tak Jeziorański sam, jak i Langiewicz myśleli o ataku na Kielce, rozdrażniła energiczną naturę panny Pustowojtow. Ubrana w krakuskę na głowie, z fantazyą na bakier włożoną, wmieszała się do rozmowy. „Generał Langiewicz, rzekła, ma prawo wszystkimi siłami, znajdującymi się w tem województwie, rozporządzać według swego uznania“. „Spojrzałem na nią surowo, opowiada Jeziorański o sobie, i zapewne zgromiłbym, gdyby nie była kobietą“<sup>2)</sup>. I ta niewczesna galanteria po-

<sup>1)</sup> Jakże wobec tej autentycznej wiadomości wyglądają doniesienia rosyjskie o 5 do 6 tysiącach powstańców, zgromadzonych w Małogoszczu, a które przedostały się nawet do dzieł historycznych. *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. 80, utrzymują, że w bitwie małogoskiej brało udział 5000 powstańców i tak ich oblicza: Jeziorański około 2000 (z Nowakiem), przeszło 1000 rozbitków Kurowskiego, 2000 Langiewicza. Co do Jeziorańskiego wykazaliśmy, że wraz z Nowakiem i ze ściągającymi się rozbitkami Kurowskiego mógł liczyć najwyżej 1500 ludzi; Langiewicz 800, więc razem 2300, a już dla uspokojenia sumienia rosyjskiego, dajmy 2500. Jakże daleko jeszcze do 5 tysięcy! Że Langiewicz po potyczce staszowskiej stał się słabszym, do tego są różne powody, a głównie dezercja z jego szeregów. Autor niniejszego był świadkiem, jak w czasie marszu do Małogoszcza wielu młodych ludzi, znużonych pochodami, zimnem i głodem, uciekało, czemu nie były w stanie zapobiedz surowe nawet kary. Oddział topniał widocznie i gdyby nie połączenie się z Jeziorańskim i nie bitwa małogoska, która wlała nową energię w serca powstańców, byłby może stopniał zupełnie.

<sup>2)</sup> Pamiętniki II, 191.

wstrzymała go niby, tak iż rzekł, że nie jest o tem drogą właściwą zawiadomiony. Wtedy ks. Kotkowski wydobył rozkaz Rządu narodowego tej treści: „Oddziały, wkraczające, w które bądź województwo, winny poddać się pod rozkazy naczelnika sił zbrojnych tegoż województwa“. Jeziorański teraz dopiero uległ i oddział swój oddał pod rozkazy generała, acz z widoczną niechęcią, która rozrastając się ciągle w tej duszy ambitnej i małej, stała się jedną z przyczyn klęski ostatecznej Langiewicza. Ten po rozmowie powyższej, zaraz odjechał, polecając by Jeziorański natychmiast przymaszerował do Małogoszcza<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> O tem, że Jeziorański niechętnie się zgodził na pójście pod rozkazy Langiewicza, rozbiegły się natychmiast pogłoski po obozie małogoskim. Pogłoski te oczywiście były przesadzone. Ich echem jest opowiadanie *Z. L. Sulimy*, Wspomnienia ulana I, 44. Powiada on: „Jakkolwiek połączenie obu dowódców zwiększyło pozornie ich siłę, w gruncie rzeczy, powodując rozdwojenie, stało się przyczyną krwawej przegranej, jaka w parę dni potemi nastąpiła. Jeziorański był to człowiek niepospolicie zarozumiały, butny, ufny w swoją znajomość wojennego rzemiosła i nie chciał ulegać Langiewiczowi, choć ten był starszy odeń stopniem wojskowym“, że Jeziorański „bitwy nie chciał i pragnął, rozdzieliwszy się cofnąć się szybkimi marszami, wiedząc o tem dobrze, że nieprzyjaciół nie jego, ale Langiewicza będzie ścigał, który coraz większego nabywał rozgłosu i stawał się co chwila niebezpieczniejszym“, że Langiewicz „wśród huku ognia karabinowego i dział, na klęczkach prawie ubłagał Jeziorańskiego, zabierającego się ze swym oddziałem do odwrotu, by pozostał“. Wszystko to są wiadomości, zaczerpnięte z plotek obozowych, ale malują dobrze usposobienie ówczesnych żołnierzy Langiewiczowskich. Inny takiż sam, jak Sulima żołnierz, w rękopiśmiennym „Przyczynku do wypadków 1863 r.“, opowiada: „Langiewicz zażądał, ażeby Jeziorański przeszedł pod jego komendę i Jeziorański nie chciał. Wtedy Langiewicz, jak opowiadano pomiędzy nami, miał się odezwać do Jeziorańskiego, że jakkolwiek on, Langiewicz, wyższy jest stopniem wojskowym i ma oddział liczniejszy, pójdzie przecież pod rozkazy Jeziorańskiego dla dobra kraju, bo konieczną jest jedność działania, a tem samem i dowództwa. Ujęty tem Jeziorański podał rękę Langiewiczowi i poszedł pod jego dowództwo. Zapisuję to, bo nie zawsze tak wodzowie nasi spór o władzę kończyli“.

Oddział jego z wielką radością, ochoczo i z pieśniami na ustach ruszył, on sam chmurny i niezadowolony, podburzany i do nieposłuszeństwa zachęcany przez swego szefa sztabu Tomasza Winnickiego<sup>1)</sup>. O wiorstę przed Małogoszczem, Langiewicz otoczony licznym, bo do stu osób dochodzącym sztabem, spotkał maszerujący oddział. W tym sztabie, błyszczącym od szarf trójkolorowych, od pancerzy nawet lśniących<sup>2)</sup>, najskromniej może wyglądał sam naczelnik, siedzący na rosłym, gniadym koniu w swej szarej czamarce i okularach, podobny raczej do profesora niemieckiego, jak do wodza garści straceńców, do wodza gromady upiorów, bo nie ludzi. Gdy na rozkaz Jeziorańskiego oddział stanął i sprezentował broń, generał polski przemówił kilka słów, przyjętych okrzykiem: hura! i pomaszowano dalej. W samym mieście rozegrały się również uroczyste sceny. Przybywającego Jeziorańskiego szeregi Langiewiczowskie, sformowane na rynku w czworobok, przyjęły także z honorami wojskowymi i z okrzykiem głośnym: hura! Połączenie to, ten widoczny wzrost sił, bardzo dodatnio wpłynął na ducha żołnierzy obu oddziałów, znużonych marszami, wygłodzonych, bezbronnych, wśród zimy i ciągle chmurnego nieba, które przynębiająco oddziaływało na ludzi. Partya Jeziorańskiego pomieściła się na cmentarzu, leżącym na wzgórzu w stronie zachodniej miasta. Langiewicz zapraszał nowoprzybyłego wodza, aby zajął razem z nim kwaterę na plebanii, ale ten, grając już rolę zadąsanego, odrzekł z miną słodko-kwaskowatą, że „przyzwyczajony jest mieć kwaterę obok swego żołnierza“<sup>3)</sup>, grając rolę surowego Katona i jeszcze surowszego krytyka wszystkich czynności swego zwierzchnika. Tegoż jeszcze dnia został on zaproszony na radę wojenną, zwołaną przez Langiewicza nie dlatego zapewne, by kierować się według jej opinii, bo wódz ten trzymał się w ogromnej

<sup>1)</sup> A. Jeziorański, Pamiętniki II, 193.

<sup>2)</sup> Wiśniewski, Wspomnienia kapitana, 18.

<sup>3)</sup> A. Jeziorański, loc. cit. II, 194.

większości wypadków wyłącznie własnego zdania, ale przez wzgląd na Jeziorańskiego, z którym obchodzono się jak z jajkiem, nie chciano go w niczem urazić, bo widziano jego zły humor i kwaśne miny. Na plebanii, w kwaterze Langiewicza był samowar i stół zastawiony, i cały sztab. Langiewicz wziął przybyłego pod rękę i poprowadził do przyległego pokoju, gdzie wkrótce nadeszli ks. Kotkowski, Czachowski, Ulatowski pułkownicy, i dwaj sekretarze sztabu: Trąbczyński i Laskowicz. Na żądanie Jeziorańskiego poproszono z jego oddziału starego Śmiechowskiego i Winnickiego, tego Jagona nowego powstańczego Otella. Na radzie tej Jeziorański, wobec ściągających się sił rosyjskich, domagał się jeszcze raz rozdzielenia partii „co najmniej na cztery części“, ale Langiewicz oparł się temu i mówił, że chce stworzyć armię, a „nie bawić się w lataninę partyzancką“. Wówczas Jeziorański radził, żeby nie tracąc chwili czasu uderzyć całymi siłami na jeden z odosobnionych dotąd oddziałów rosyjskich, dopóki nieprzyjaciel wszystkich nie połączy, ale Langiewicz miał to przyjąć chłodno, radę zakończył i na wieczерzę panów Jeziorańczyków zaprosił. Ci, frondując już wyraźnie, zaproszenia nie przyjęli, i udali się ostentacyjnie do swych biwaków obozowych pod gołem niebem, na cmentarzu<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Jeziorański, Pamiętniki II, 97. O radzie tej posiadamy jedynie wiadomość taką, jaką on podał w swych pamiętnikach; że jest stroną i źle oświetloną, wątpić nie należy. Utrzymuje on, że Langiewicz stanowczo zaprzeczał, jakoby nieprzyjacieli zbliżał się do Małogoszcza z trzech stron, co wydaje się trudnem do uwierzenia i co nie jest prawdą, jak to zaraz zobaczymy. Z tego co opowiada Jeziorański, widoczną jest rzeczą, że Langiewicz, zwołując radę miał jedynie na celu skłonienie swego niechętnego kolegi do ściślejszego zlania obu oddziałów i że unikał rozmowy o nieprzyjacieli. Nie wynika stąd wcale, żeby o nim nie wiedzieć, jak to twierdzi z poczuciem wyższości swej Jeziorański. J. Styczeń, (Postępowanie Moskali), który był bardzo bliskim Langiewicza, utrzymuje, że „myślą wodza polskiego, wybierając stanowisko pod Małogoszczem, tak bliskim Kielc, było sprowadzić na siebie załogę kielecką, tę pobić i ruszyć następnie na zdobycie słabo obsadzonych Kielc“. Przypuściwszy, że



Tymczasem nad polskim obozowiskiem powstańcem wisiała już burza, jedna z najkrwawszych tej krwawej w ogóle zawieruchy. Dobrowolski w swym pościgu za Langiewiczem, zatrzymał się w Chęcinach, leżących o dwie przeszło mile polskie od Małogoszcza i chwytając w swe ręce inicjatywę, w widocznej chęci odegrania roli pierwszorzędnej, poprosił d. 23 lutego do siebie Gołubowa z Jędrzejowa i z nim razem ułożył cały plan ataku na powstańców<sup>1)</sup>. Ponieważ jednak szło o zupełne ich wytepienie, a tego nie można było dokonać bez Czengierego z Kielc, więc Dobrowolski wysłał umyślnego gońca do tego ostatniego z piśmienną prośbą, by raczył przybyć do Chęcin dla porozumienia się co do ataku na Małogoszcz. Niepodobalo się to bardzo Czengieremu; przedewszystkiem on tu był, że tak powiemy gospodarzem, a potem był starszym co do stopnia i wieku, ale z uwagi, że Dobrowolski był naczelnikiem sztabu i Uszakowa ulubieńcem, że zatem mógł wpływać na przyszłą karierę kieleckiego wodza, ten schował obrażoną dumę osobistą do kieszeni i popędził do Chęcin, by wysłuchać dyspozycji Dobrowolskiego<sup>2)</sup>. Plan ataku Małogoszcza polegał na tem, żeby jednocześnie zaatakować powstańców z trzech stron, a więc: pułkownik Czengiery na czele trzech kompanii piechoty, szwadronu dragonów i dwóch dział, ma wystąpić z Kielc o godz. 3-ej w nocy z d. 23 na 24, wylotem na zachód, i maszerując na Piekoszów, zaatakować powstańców od północy. Podpułkownik Dobrowolski z trzema kompaniami piechoty, szwadronem dragonów i dwoma działami, ma opuścić Chęciny o godz. 7-ej rano d. 23 lutego, i posuwając się drogą nieco okolną na wieś Mosty, dla uniknienia trudnej i łatwo

ten zamiar z uwagi na Dobrowolskiego i Gołubowa, był niemożliwy do wykonania, to wszakże dowodzi on, że Langiewicz miał stałe postanowienie stoczenia walki w Małogoszczu, a zatem musiał mieć wiadomość o nieprzyjacielu.

<sup>1)</sup> *N. Berg*, Zapiski II, 535.

<sup>2)</sup> *Loc. cit.* II, 536.

obronnej przeprawy przez dopływ Chutkę pod Bolminem, ma atakować Małogoszcz od strony południowo-wschodniej. Major Gołubow nakoniec z trzema kompaniami piechoty ma wyruszyć z Jędrzejowa i uderzyć na powstańców od południa. Wszystkie te trzy kolumny, liczące ogółem dziewięć kompanii piechoty, dwa szwadrony jazdy i dział cztery, miały stanąć pod Małogoszczem między godz. 10-tą a 11-tą z rana i jednoczesnym atakiem zmusić powstańców albo do złożenia broni, albo wytepić ich do nogi<sup>1)</sup>.

Plan ten skreślony na piśmie, został przez Dobrowolskiego odczytany Czengieremu. Ten wysłuchał go w milczeniu i domyślając się zamiarów Dobrowolskiego, z tą przenikliwością, której się nabywa tylko pod rządem despotycznym, rzekł, że przeciw planowi nic niema, że go chętnie podpisze, że na wojnie wszystko zależy nie od tego jak jest dyspozycja napisana, ale od tego jak będzie wykonana. Dobrowolski nic na to nie odrzekł<sup>2)</sup>, bo i cóż miał odrzec on, który zdecydowany był pierwszy wykroczyć przeciw powziętym zamysłom. Sam plan nie odznaczał się ani świetnością pomysłu, ani też uczonością. Każdy z rosyjskich dowódców miał atakować z tej strony, po której się znajdował i to wszystko. Zostawiono zaś Langiewiczowi wolny odwrót na zachód w tem niejako przypuszczeniu, że przyparty do Pilicy i Częstochowy, zostanie ostatecznie zgnieciony przez tamtejsze oddziały rosyjskie. Zobaczymy zaraz, jak wszystkie te rachuby zawiódł najprzód Dobrowolski, a potem Langiewicz; jak pomimo nader drobnej różnicy sił, a przewadze broni<sup>3)</sup>, wodzowie rosyjscy nie zmusili powstańców ani do poddania się, ani też ich doszczętnie nie wytepiłi.

<sup>1)</sup> *Loc. cit. Gesket-Puzyrewskij*, *loc. cit.* 79.

<sup>2)</sup> *N. Berg*, *loc. cit.* II, 537.

<sup>3)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, *loc. cit.* 79, obliczając siły rosyjskie na 1500 ludzi, a polskie na 5000, widzą przewagę po stronie polskiej. Wykazaliśmy już wyżej, że powstańców w najlepszym razie mogło być 2300 do 2500 ludzi; za to historycy rosyjscy przesadzając zby-

Langiewicz o tych wszystkich planach rosyjskich miał niejaki, acz bardzo niedokładne wiadomości<sup>1)</sup>, choć jazda jego odbywała ciągle rekonesanse po okolicy. Bądź co bądź, wbrew radom Jeziorańskiego, postanowił nieopuszczać Małogoszcza<sup>2)</sup>; przytem nie spodziewał się, by atak tak prędko nastąpił. To też wielkie wrażenie d. 24 rano wywarła wpadająca na podwórze plebanii, gdzie sztab herbatę pił, bryczka z niejaką panną Elżbietą Stodolnicką, która wystraszona wołała, że Rosyanie ze wszystkich stron obóz polski otaczają, i że ona ledwie uciec mogła przed ścigającymi ją kozakami. Zrobił się zamęt nielada, okrzyki: „do broni! do koni!“ rozlegały się dokoła. Mieszkańcy, jakby przed burzą poczęli bramy, sklepy i okiennice z trzaskiem zamykać, kobiety i dzieci z płaczem uciekały. Jeziorański z plebanii popędził do swego oddziału na cmentarz i przedewszystkiem pchnął do miasta batalion strzelców swoich pod dowództwem majora Grudzińskiego z rozkazem, powstrzymania koniecznie nieprzyjaciela. Gdy ten batalion zjawił się na rynku małogoskim, na którym stali grupami mieszczanie modlący się głośno i błogosławiący powstańców, nagle ukazała się wysoka baba żebraczka, cała w łachmanach, z włosami rozczochranymi, z ogromną, na drągu przymocowaną miotłą, jakby żywcem wydarta z kart szekspirowskiego Makbeta, i latając po placu miotłą tą wywijała, biła nią gapiących się mężczyzn i głośno krzyczała: „A nie gapić się, jeno do szeregów, bić Moskali!“<sup>3)</sup>. Batalion patrzył na tę dziwną i rozrzewniającą zarazem scenę; ale nie było czasu nad nią rozmyślać, gdyż burza ponurej

tecnie siły polskie, zmniejszają niepotrzebnie swoje. Obliczając kompanie i szwadrony tylko po 150 ludzi, będziemy mieli 1650 żołnierzy, a z pewnością było ich więcej. Różnica więc nie jest tak wielką, że pominiemy lepszą broń i wyćwiczenie wojenne, którego powstańcom nie dostawało.

<sup>1)</sup> *N. Berg*, loc. cit. II, 537.

<sup>2)</sup> *Jeziorański*, loc. cit. II, 202.

<sup>3)</sup> *Wiśniewski*, Wspomnienia kapitana, 19.

walki zrywała się już z hukiem i trzaskiem piorunowego ryku dział.

Pierwszy pojawił się na scenie Dobrowolski. Już układając w Chęcinach plan ataku, do podpisania którego zaprosił Gołubowa i Czengierego, w myśli postanowił on sobie nie trzymać go się wcale, napasć na obozowisko polskie wcześniej, przed przybyciem tamtych dwóch i samemu chwałę i nagrodę za tryumf pozyskać. Nie wątpił on bowiem o tryumfie; wiedział zapewne doskonale o istotnej sile powstańców i śmiał się w duszy z onych 5 czy 6 tysięcy, o których mówiono; wiedział, że ma żołnierza wyćwiczonego i dobrze uzbrojonego i był pewny zwycięstwa. A takie zwycięstwo było dlań potrzebne, bo stawiało go odrazu lepiej w oczach władz rosyjskich, zacierało podejrzenia, które mu mogły bardzo w przyszłej karierze zaszkodzić<sup>1)</sup>. Dlatego też wyszedłszy z Chęcin o godz. 7-ej rano, postępował forsownym marszem naprzód i już o godz. 10-ej przed południem, stanął nad rzeczką Łośną i spędził konną widetę powstańczą, za którą pędem puścili się dragoni i kozacy, którym dano rozkaz rozpocząć ogień. Za dragonami pojechał sam Dobrowolski i ze wzgórza, na którem stanął, począł obserwować pozycję powstańców i ustawienie ich sił<sup>2)</sup>.

Małogoszcz, biedna miejscina polska, leży w kotlinie utworzonej przez Łośnę, dopływ Nidy i otoczonej dokoła wzgórzami, mającemi spadki dość strome. Wzgórza te były po większej części nagie, jedno tylko z nich od strony wschodniej podsuwało się prawie pod samo miasto i zarosłe było nietyle lasem, ile gęstymi krzakami. Droga, którą siedł Dobrowolski, biegła właśnie u stóp tego wzgórza. Od strony południowej, z której miał przyjść Gołubow, wznosiły się dwie wyżyny, panujące nad wszystkimi drogami południowymi i w części także zarosłe lasem. Sama rzeczka Łośna, płynęła w odległości dwóch do trzech kilo-

<sup>1)</sup> *N. Berg*, loc. cit. II, 537.

<sup>2)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 80.



metrów od miasta i zaraz za nią poczynają się gęste lasy. Rzeczkę można było przejść w bród w wielu miejscach, acz z trudnością, gdyż wody było po pas. Od strony wschodniej, płynąc prawie prostopadle z północy na południe, stanowiła ona niejako zasłonę lewego skrzydła polskiego, acz słabą. Taka konfiguracja terenu, sama wskazywała punkta, których bronić należało, a mianowicie tymi punktami były owe wzgórza od strony Dobrowolskiego i Gołubowa. Langiewicz, prawdopodobnie nie wiedząc nic o marszu Gołubowa, wcale nie obsadził wzgórz, broniących przystępu do miasta z tej strony, a zato główne siły wytyczył przeciw Dobrowolskiemu. Wzgórza, koło których musiał on koniecznie przechodzić, chcąc dostać się do miasta, zajął batalion strzelców Jeziorańskiego pod Grudzińskim, w części dotykając miasta, z rezerwą kosynierów w tyle; Czachowski ze swym batalionem stał dalej na wzgórzu wśród lasu; kawaleria w liczbie około 300 koni łączyła Grudzińskiego z resztą piechoty Langiewicza, która obsadziła miasto; na cmentarzu, na zachód od Małogoszcza została artyleria i jazda Jeziorańskiego. Cała linia polska, czołem zwrócona była na południe<sup>1)</sup>; widocznie wodzowie nie wiedzieli o zbliżającym się od północy na ich tyły Czengierem. Pozycja była taka, że linia polska rozciągała się od cmentarza przez miasto, aż do rzeczki Łośny i obsadziła tylko wschodnie wzgórza, podczas gdy południowe, skąd siedł Gołubow wcale były niezajęte. Wszystko to dowodzi, że Langiewicz nie miał pojęcia o tem, jak wielka siła na kark mu się zwała i był przekonany, że będzie miał do czynienia tylko z Dobrowolskim. Ta nieświadomość przeba-

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 80 i opowieści ustne. Opis *Jeziorańskiego* (loc. cit. II, 203 i nast.) jest tak bezładny, że z ogromną trudnością można z niego coś wyrozumieć. Pamięć mu przytem tak niedopisywała i tak widać wogóle miał mętne wyobrażenia o bitwie małogoskiej, że przy kreśleniu jej dziejów posilkował się *Wiśniewskiego Wspomnieniami* kapitana. (Wspomnienia te wyszły w r. 1866, a pamiętniki Jeziorańskiego w r. 1880).

czoną mu być nie może i wina krwawej przegranej małogoskiej wyłącznie na niego spada.

Dobrowolski, obejrawszy pozycję rozkazał się rozsyłać dragonom i kozakom we flankiery i rozpocząć ogień tyralierski. Wkrótce nadciągnęła piechota, pędząca biegiem, a działa bez rozkazu artylerzyści odprzodkowali i z odległości kilkuset sążni rozpoczęli palić granatami<sup>1)</sup>. Gdy piechota nadeszła<sup>2)</sup>, Dobrowolski, trzymając się zwyczajnej taktyki rosyjskiej tych czasów, część jej rozsypał w tyraliery, trzymając drugą część w ściśniętych kolumnach w rezerwie. Kozacy tworzyli skrzydło prawe, dragoni lewe. Tyralierzy rosyjscy rozpoczęli z odległości 1500 kroków ogień, na co powstańcy wcale nie odpowiadali, gdyż dubeltówki ich niosły zaledwie na sto kilkadziesiąt kroków; w milczeniu więc, z bronią u nogi, z heroiczną zaiste wytrzymałością, stali, oczekując, aż nieprzyjaciół na tyle się zbliży, by można mu skutecznie plunąć w ślepie ołowiem<sup>3)</sup>. Gdy nakoniec tyralierzy Dobrowolskiego podeszli dość blisko, zawrzała z obu stron nadzwyczaj gorączkowa i gęsta palba, to też strzelcy Grudzińskiego, nie czekając, aż będą wystrzelani, z wielką brawurą, w gęstej acz bezładnej kolumnie, z oficerami na czele, z krzykiem „wiwat!“ rzucili się naprzód do ataku<sup>4)</sup>. Powitani jednak kartaczami,

<sup>1)</sup> *N. Berg*, *Zapiski* II, 538. Dodaje on przytem „że tego rodzaju samowola przytrafiła się w tych czasach bardzo często, gdy oddziałem dowodził Polak, któremu wojsko w zupełności nie ufało“. Zaznaczyć nam tu wypada, że opowiadanie *Berga* o tem, jakoby w dzień bitwy powstańcy od godz. 4 rano byli uszykowani na rynku małogoskim, że odprawiało się nabożeństwo, że Langiewicz, otoczony wielkim sztabem, objechał szeregi i miał mowę, że potem wytoczono beczki gorzałki i pić dozwolono, jest pozbawionem prawdy.

<sup>2)</sup> *Berg* loc. cit. II, 538 opowiada „że gdy tylko piechota rosyjska, znajdująca się w odległości trzech wiorst, usłyszała strzały, rzuciła się naprzód pędem“. Wiadomość ta z innych źródeł się nie potwierdza.

<sup>3)</sup> *Wiśniewski*, *Wspomnienia kapitana* 27.

<sup>4)</sup> *N. Berg*, loc. cit. O tym ataku polskie źródła nie nie mówią. *Wiśniewski* w swych „Wspomnieniach“, służący właśnie w batalionie

cofnęli się na dawną swą pozycję. Wśród tego Czachowski, który stanowił skrajne lewe skrzydło polskie i dotykał rzeczki Łośny, zachodząc ciągle lewem ramieniem naprzód, począł oskrzydlać Rosyan i kule jego strychowały z boku kozaków i tyralierów rosyjskich. Była to chwila, w której Dobrowolski mógł ciężko odpokutować za przedwczesne rozpoczęcie walki; został on bowiem oskrzydłony z obu flanków; od lewego zachodził Czachowski, a od prawego piechota Langiewicza, zajmująca miasto posyłała mu kule. Langiewicz mógł skorzystać z tego i rdzennym, od czoła i skrzydeł dokonany atakiem, zepchnąć Dobrowolskiego z pozycji i pobić; ale niestety; z wyżyn i od cmentarza donoszono mu, że widać nowe kolumny nieprzyjacielskie, drogą od Jędrzejowa śpiesznie pod Małogoszcz się posuwające. Wobec tego nie o pobicie nieprzyjaciela, lecz o własnym ratunku myśleć należało.

Jakoż Gołubow koło godz. 11-ej rano zjawił się na pozycji i zaatakował odrazu sam Małogoszcz, gdzie natknął silny i długotrwały opór. Przedarłszy się do miasta zaraz z początku, musiał toczyć upartą, dwugodziną walkę na ulicach i rynku, nim ostatecznie powstańcy opuścili miasto<sup>1)</sup>. Okazywali oni tutaj wiele bohaterstwa, a panna

Grudzińskiego, ani słówkiem nie napomyka o czemś podobnem. Wszelako z tekstu jego opowiadania widać, że był na prawem skrzydle batalionu, już prawie w mieście; wreszcie w jednym miejscu powiada, że „udało mu się na chwilę rozpierzchnionych strzelców sprowadzić na linię bojową“, co każe się domyślać, że stało się to właśnie po owym ataku. *Berg* dodaje, że gdy kolumna Grudzińskiego staczała się z góry niby lawina, do uszów rosyjskich dobiegała wyraźnie komenda: „raz, dwa! raz dwa!“ a chorążowie kręcili sztandarami.

<sup>1)</sup> *Wiśniewski* loc. cit. 28, opowiada: „Strzelaliśmy do siebie o kilkanaście kroków po ulicach i rynku, a naszą manipulacją było dwa razy wystrzelić z dubeltówki i wpadać do podsieni dla nabijania. Myśmy się musieli tej taktyki trzymać, bo po największej części mieliśmy same dubeltówki; ale Moskale, którzy mieli sztucze z bagnetami, używali tego samego manewru. Pamiętam jakiś Moskaluszkę strzelił do mnie o jakich piętnaście kroków, chybił, a pomimo, że

Pustowojtow na kasztanowatym koniu uganiała śród kul i uciekających płazem pałasza napędzała do walki. Pożar, który ogarnął miasteczko, brak wreszcie amunicji, zmusił w końcu Langiewicza do opuszczenia Małogoszcza. Odwrot wykonano bardzo pośpiesznie i bezładnie, śród gradu pocisków, na lewo, na wzgórze, na których z Dobrowolskim ucierał się Grudziński i Czachowski. Jazdę Jeziorańskiego ściągnięto z cmentarza. W tejże chwili, gdy to wszystko w dość niesfornej masie tłoczyło się na bataliony Grudzińskiego i Czachowskiego, Dobrowolski poparł silnie swój atak i jedna kompania rosyjska wdarła się na wzgórze i naciskała zbyt blisko, ustępującego Grudzińskiego. Położenie powstańców stało się bardzo krytyczne; Langiewicz, który po opuszczeniu miasta znalazł się tutaj, rozkazał kawalerji Jeziorańskiego uderzyć na nieprzyjaciela; dla powstrzymania jego ataku<sup>1)</sup>. Jazda ta, pod wodzą Jaszowskiego, dotąd stojąca na przeciwnym od nieprzyjaciela stoku góry, na rozkaz ten ruszyła żwawo i nagle ukazując się na szczycie, z wielką fantazją i brawurą, z grzmiącym okrzykiem: hura! uderzyła na czoło posuwającej się naprzód kompanii. Atak ten niespodziewany zmieszał nieprzyjaciela, lecz artylerja jego zdążyła dwa razy dać ognia

miał bagniet nie popędził za mną do sieni, gdzie mógł mnie łatwo zakłuć, ale także wpadł do najbliższej sobie sieni dla nabijania. Na samym rynku spostrzegłem, że w ładownicy mam już tylko dwa naboje. Zobaczyłem sztab niedaleko siebie i krzyknąłem: „amunicji! amunicji! a w odpowiedzi wzruszono ramionami na znak, że takiej nie mamy“.

<sup>1)</sup> *Jeziorański*, *Pamiętniki* II, 205 opowiada przytem co następuje: „Langiewicz dał rozkaz mojej kawalerji, aby spędziła strzelców. Nie posłuchali go, zapewne dlatego, że bliżej pod ręką miał kawalerję swoją pod dowództwem Ulatowskiego, a nie użył jej. Widziałem niebezpieczeństwo, zagrażające całemu oddziałowi, gdyż Moskale mogli nas otoczyć na tem wzgórzu i nie dozwolić przejść na drugą górę, dającą nam silniejszą pozycję. Jakkolwiek nie było stosownego terenu do szarży kawalerji, gdy Śmiechowski przyjechał do mnie konno i zapytał: Co mamy robić naczelniku? Podjechałem do kawalerji i rozkazałem dobitnie, aby szli do ataku. Z okrzykiem: „hura!“ rzucili się na strzelców“.



kartaczami w pędzącą naprzód jazdę powstańczą, a kompania nie przestała strzelać. Prawie połowa walecznych tych jeźdźców, między nimi dowódca ich Jaszowski, legła na pobojowisku, ale druga połowa dopadła nieprzyjaciela i rąbać go poczęła szablami<sup>1)</sup>. Szarża ta, świetna niewątpliwie, choć drogo bardzo okupiona krwią tylu męskiej młodzieży, wstrzymała nacisk nieprzyjaciela i dozwoliła batalionowi Grudzińskiego i piechocie Langiewicza przedostać się na drugie wzgórze przez wąwóz, a stąd do rzeczki Łośny i przez nią się przeprawiać. Rozpoczął się więc ogólny odwrót powstańców, który zasłaniał ze swym batalionem Czachowski i artyleria polska pod wodzą Dąbrowskiego, oficera wojsk pruskich. Nieprzyjaciel, posuwając się po wzgórzach za ustępującymi powstańcami, obsypał pociskami te nędzne trzy działka, które mimo to nie ustępowały i były kartaczami nieustannie, jakkolwiek według relacji rosyjskich, niewielką szkodę przynosiły nieprzyjacielowi, gdyż strzały ich szły górą. Dobrowolski tymczasem wciągnął swe armaty na wzgórze i słał grad pocisków w ustępującego Langiewicza i w batalion Czachowskiego. Dzielnym starzec, z dubeltówką w ręku, zawsze był na przedzie i postawą, głosem zachęcał swe szeregi do wytrwania.

Ale dotąd walkę toczyły tylko dwa oddziały nieprzyjacielskie: Dobrowolskiego i Gołubowa; o Czengierym nie było nic słyhać. Teraz jednakże, w chwili, gdy Langiewicz z trudem przeprawiał się przez rzeczkę Łośną, Czengierzy od północy, od wsi Łopuszna maszerując, ukazał się na placu boju. Wyszedł on z Kielc nie o godz. 3-ej rano, jak się ułożono w Chęcinach, ale dopiero o 5-ej i teraz, mię-

<sup>1)</sup> W czasopiśmie „Ojczyzna“, wychodzącym w r. 1864 w Szwajcarii, w Nrze 102, znajduje się opowiadanie, że, gdy jazda ta zachwiana cofaniem się piechoty, wahała się z wykonaniem danego jej rozkazu, Jaszowski wyrwał sztandar z rąk chorążego i zawoławszy: „Bracia! w imię ojczyzny za mną, ratujcie nasz sztandar!“ rzucił się naprzód, wtedy dopiero część jazdy ruszyła do ataku. Relacja ta nie znajdująca się w żadnym nam znanym źródle, jest wątpliwa.

dzy godz. 1-ą a 2 po południu<sup>1)</sup>, zjawił się znużony długim i wyczerpującym marszem. Dochodząc do Małogoszcza, z pod którego huk armat oddawna już słyszał, spostrzegł on przeprawę Langiewicza przez Łośną. Umieścił więc swe działka nad rzeczką i, wzdłuż jej koryta prażyć, zaczął kartaczami nieszczęśliwe szeregi powstańców, oraz smagać z tyłu Czachowskiego, który nie przestawał uparcie bronić drugiego wzgórza, zasłaniającego odwrót. Ale niszczący ogień Czengierego musiał wyrzucić swój skutek, znamionował bowiem, że nowe siły przybyły na pomoc Rosyjanom i do tego od strony, od której ich się nie spodziewano wcale. Powstał tu nad rzeczką straszny zamęt; wielu poczęło z powrotem uciekać na wzgórze. Wtedy panna Pustowojtowa, nie tracąc ani na chwilę przytomności i wiedząc doskonale, że jedynie za rzeką jest ratunek, chwyciła karabin i zawoławszy: „za mną chłopcy!“ rzuciła się w wodę powyżej pasa i pociągnęła za sobą powstańców<sup>2)</sup>. Z tego chwilowego zamieszania walecznych dotąd szeregów polskich, skorzystał Dobrowolski, rzucił do ataku jedną kompanię, która wzięła bagnetem wzgórze i owe dwa działka polskie, które do ostatniej chwili nie przestały pluć kartaczami<sup>3)</sup>. Padła obok nich cała obsługa, padł i dowódca

<sup>1)</sup> N. Berg, loc. cit. II, 539. Gesket-Puzyrewskij utrzymują, że Czengierzy przybył około godz. 12-ej w południe.

<sup>2)</sup> Relacja piśmienna, ze zbiorów autora.

<sup>3)</sup> Jeziorański, loc. cit. II. 207 powiada, że armaty polskie z powodu niemożności wprowadzenia ich na stromą górę, zostały zatopione w pobliskim stawie. Coby to były za armaty, trudno odgadnąć, gdyż nie ulega wątpliwości, że pod Małogoszczem w ręce rosyjskie dostały się dwa działka, które później przewieziono do Warszawy, wszyscy oglądali na placu przed Zamkiem. Pod Ewiną d. 26 lutego Czengierzy wziął wraz z taborem śmigownicę, którą autor niniejszego oglądał własnymi oczami w parę tygodni później na rynku kieleckim. Cóż więc za działka Langiewicz zatopił w stawie małogoskim? Wiadomość tę podaje jeden tylko Jeziorański i dlatego uważać ją należy za kłamliwą. Wogóle co do tej artylerii w źródłach polskich są bardzo niedokładne i niezgodne ze sobą podania. Jeziorański (II, 208) mówi o trzech działach, to samo twierdzi autor rękopiśmien-

Dąbrowski. Całe wzgórze tak było zasiane zwłokami, że działa rosyjskie gniotły trupy ludzkie<sup>1)</sup>. Tak Langiewicz jak i Czachowski ustępowali teraz w nieładzie, na szczególne zasłonięci lasem za rzeczką, w którym zresztą pościg był krótki i bezskuteczny. Zatrzymano się we wsi Bolminie, gdzie w znużone, krwią ciekące szeregi, starano się wlać nieco otuchy i zaprowadzić jaki taki porządek.

Na pobojuwisku został tryumfujący nieprzyjaciół, upojony zwycięstwem, mordujący bez litości rannych, których obdzierano do naga i rzucono trupy straszliwie zwykle pokaleczone. Walka trwała około czterech do pięciu godzin i była jedną z najkrwawszych, jaką stoczyło powstanie i rzec można, najmniej zaszczytu przynoszących wodzom rosyjskim. Ani jednego ze swoich zamiarów i planów nie wykonali i celu zgoła nie osiągnęli. Mieli jednocześnie uderzyć na powstańców z południa, wschodu i północy, a uderzali kolejno w znacznych odstępach czasu, czemu winien Dobrowolski, chcący chwałę zwycięstwa wyłącznie dla siebie posiąść. Obiecywali sobie zmusić powstańców do złożenia broni i wziąć do niewoli wszystkich dowódców<sup>2)</sup>, a powstańcy broni nie złożyli i dowódcy ich wyszli z walki cało, prócz Langiewicza, pod którym dwa razy konia postrzelono i jego samego lekko w nogę zraniono<sup>3)</sup>. Zamierzali odrzucić powstańców w kierunku zachodnim, ku Częstochowie, by ich tam dobiły inne oddziały rosyjskie, a tymczasem Langiewicz wycofał się wylotem na wschód, za rzeczkę Łośną do Bolmina, t. j. w stronę zupełnie prze-

nego „Przyczynku do wypadków 1863 r.“. Opisuje on nawet dość szczegółowo wygląd tych działek; miały one po 1 1/2 łokcia długości, a wylot ich 1 do 1 1/2 cala średnicy. Trzecia zaś śmigownica blisko sążeń była długa o wylocie 1 1/2 cala średnicy i ta w walce małogoskiej nie brała udziału, ale została na cmentarzu z taborą, który wyruszył na początku bitwy w kierunku Włoszczowy. Skoro więc nieprzyjaciół wziął trzy działka, to cóż Jeziorański zatapia w stawie?

<sup>1)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 83.

<sup>2)</sup> *N. Berg*, loc. cit. II, 537.

<sup>3)</sup> Raport Langiewicza ze Słupi („Wiadom. z pola bitwy“ Nr. 4).

ciwną. Dowodzi to wszystko, że miał dobrą głowę, doskonale sobie zdawał sprawę z położenia i odgadł zamiary dowódców rosyjskich. Wprawdzie Jeziorański<sup>1)</sup> twierdzi, że „bitwa przeprowadzona była bez obmyślanego z góry planu, bez uprzedniej świadomości o ruchach nieprzyjaciela“, lecz Jeziorański był niechętny Langiewiczowi i sam miał bardzo niejasne wyobrażenie o sytuacji; fakta zresztą czego innego dowodzą. Wszak powstańcy zajmowali cmentarz, tam nawet swój, dość liczny tabor obozowy umieścili, co zdawało się wskazywać, że Langiewicz zamierza cofać się w tymże kierunku, t. j. na zachód, czego właśnie chcieli dowódcy rosyjscy. Tymczasem wyparty z Małogoszcza, nie idzie ku swemu taborowi, ale z wielkiem niebezpieczeństwem rzuca się na wschód, ku batalionom Grudzińskiego i Czachowskiego, poświęcając nawet dla osiągnięcia tego celu, całą prawie jazdę Jeziorańskiego. Wiedział więc co robi i dlaczego robi. Dobrowolski zato, z uporem byka zaślepionego krwią, dopomagał mu do tego ryzykownego obrotu swymi gwałtownymi atakami na jego prawe skrzydło. Sam Langiewicz dawał dowody wielkiego i chłodnego męstwa, czego mu nawet nieprzyjaciele nie zaprzeczają<sup>2)</sup>. Powstańcy walczyli dzielnie, a szarża jazdy Jeziorańskiego, uparta wytrwałość nędznych dwóch działek Dąbrowskiego, świadczy o podniosłym duchu, ożywiającym polskie szeregi i o niezaprzeczanej ich waléczności. Rosyjanie odnieśli zwycięstwo, dzięki swej organizacyi i wybornej broni. Bili się oni, zwłaszcza kompanie Dobrowolskiego z wielką zaciętością. Sama strzelecka kompania pułku Mohilewskiego wystrzelała 12 tysięcy naboju<sup>3)</sup>, podczas gdy powstańcom dość wcześnie brakło amunicyi<sup>4)</sup> i batalion Grudzińskiego zrzadka tylko odpowiadał na ogień nieprzyjaciela. Karabiny rosyjskie były celnie już na 1500 kroków i niosły spu-

<sup>1)</sup> *Pamiętniki* II, 208.

<sup>2)</sup> *Jeziorański*, loc. cit. II, 204 powiada: „kule padały koło niego, obojętny był na to“.

<sup>3)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 83.

<sup>4)</sup> *Wiśniewski*, *Wspomnienia kapitana*, 29.

*Dzieje 1863 r.* Tom I.



stoszenie w szeregi polskie, gdy te musiały z bronią u nogi czekać spokojnie, aż nieprzyjaciół zbliży się na odległość strzału z dubeltówki. Stąd nie może ulegać wątpliwości, że pod Małogoszczem straty polskie o wiele były znaczniejsze od rosyjskich, zwłaszcza, że zdziczałe żołdactwo rosyjskie wszystkich rannych dobijało bez litości na pobojowisku<sup>1)</sup>. Straty więc w poległych mogły w rzeczy samej osiągnąć 300 ludzi, jak to twierdzą raporty rosyjskie; zato liczba ranionych, sięgająca według jednych do 500<sup>2)</sup> jest mocno przesadzoną i nieprawdziwą choćby dlatego, że jakeśmy powiedzieli, żołnierze rosyjscy mordowali bez miłosierdzia napotkanych rannych. Wszystko to być mogło, ale żeby wobec tej upartej obrony polskiej, tej walki trwającej przeszło cztery godziny, szeregi rosyjskie nie miały ani jednego zabitego, a tylko sześciu ranionych, temu dziecko nie uwierzy. A jednak ta wiadomość z kłamliwych śmiesznie raportów Dobrowolskiego i Czengierygo przeszła do poważnych dzieł historycznych i podawana jest na serio<sup>3)</sup>. Miasteczko Małogoszcz w czasie boju zapalone, zgorzało prawie doszczętnie, a żołnierze z oddziału Gołubowa

<sup>1)</sup> O tem mordowaniu cytowany przez nas parokrotnie autor *J. Styczeń* (Postępowanie Moskali) powiada, że oficerowie nawet „osobiście dobijali rannych, gdy drudzy z nich objawiali swą humanitarność tylko tem, iż nie wtrącali się do tej akcji, bynajmniej nie powstrzymując swych kolegów i rozbestwionego żołdactwa”. Raport Langiewicza („Wiad. z pola bitwy” Nr. 4) powiada: „Moskwa najokrutniej mordowała rannych i jeńców”.

<sup>2)</sup> „Żurnal wojennych dzieł” Nr. 11. Skąd u pp. *Gesketa* i *Puzyrewskiego* loc. cit. 83 z cyfry 500 urosło 800, domyślić się nie możemy.

<sup>3)</sup> *N. Berg*, loc. cit. II, 538. *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. 83. Dobrowolski w pierwotnym swym raporcie, ogłoszonym przez „Dziennik powszechny” Nr. 47, ocenia swe straty, tylko na 4 rannych, ale później widząc namyślił się, że to trochę za mało i podniósł tę cyfrę do sześciu. Podania polskie co do strat rosyjskich nie są ze sobą zgodne i także kłamliwe. Langiewicz w cytowanym raporcie mówi o 250 zabitych Rosyanach, Jeziorański o 460 zabitych i ranionych, jak mu „z wiarogodnych źródeł później doniesiono”. Wszystkie te podania na niczem nie są oparte.

zrabowali je i wielu mieszkańców, którzy nie zdołali uciec, wymordowali.

Czengiery, odpocząwszy sobie przez pół godziny na pobojowisku, przyczem, spotkawszy się z Dobrowolskim, nie robił mu żadnych wyrzutów, tylko popatrzał znacząco w oczy<sup>1)</sup>, wyruszył w pogoń za Langiewiczem. Około godz. 5-ej wieczorem, gdy noc już zapadła, dotarł do Bolmina i począł strzelać z armat, gdy tam powstańców oddawna nie było. Na tem zakończyła się pogoń i Czengiery, odchodząc na noc do wsi Polichna, zupełnie nic nie wiedział, co się stało z Langiewiczem, który tym sposobem uwolnił się zupełnie od niebezpieczeństwa. Uporządkowawszy jako tako swój oddział w Bolminie, zrobił króciutki marsz ku szosie kielecko-krakowskiej do wsi Podzamcza dla zmylenia pogoni i zwiedzenia nieprzyjaciela, jakoby miał zamiar powrócenia na dawne stanowisko w Sandomierskie<sup>2)</sup>; stąd jednak nagłym zwrotem, lasami i bocznymi drożynami pamaszerował na zachód, na historyczną siedzibę Mikołaja Reja, wieś Nagłowice, skrzydłowym ruchem okrążając nieprzyjaciela, skupionego koło Małogoszcza. Szło mu też pewnie i o to, by można ściągnąć do siebie tabor, który, jak wiemy, na początku boju małogoskiego,

<sup>1)</sup> *N. Berg*, loc. cit. II, 248.

<sup>2)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 84 twierdzą, że Langiewicz poszedł do Tokarni. Obie te wsie, Tokarnia i Podzamcze leżą blisko siebie i być może, iż część oddziału zajęła Tokarnię. Kwatera główna jednak była w Podzamczu. Ciż autorowie rosyjscy utrzymują, że Langiewicz „napotkał trzy kompanie pułku Smoleńskiego piechoty, wracające z Miechowa i stąd zawrócił na zachód? Wygląda to tak, jak gdyby spotkanie z temi kompaniami zmusiło go do marszu na zachód. Tymczasem tak nie było. Owe kompanie mogły przechodzić, ale to pewna, że nie spotkały się z powstańcami i prawdopodobnie nie wiedziały o ich blizkiem sąsiedztwie. Langiewicz już w Bolminie (wiemy to z dobrego źródła) znalazł sobie przewodnika w osobie niejakiego Leopolda Gogolewskiego, właściciela wioski Łachów pod Włoszczową, który zobowiązał się oddział polski nocą i bocznymi drogami, doprowadzić do lasów wsi Stupi, leżącej na zachód od Jędrzejowa. Marsz więc do Podzamcza, był jedynie ruchem strategicznym dla zatarcia za sobą śladów.

wyruszył z cmentarza w kierunku zachodnim i utknął gdzieś koło Włoszczowy. Tabor ten składał się z 20 do 30 wozów (według źródeł rosyjskich z 60), na których znajdowały się niezbędne zapasy żywności, nieco amunicji, naczynia kuchenne, pasza dla koni, obuwie, bielizna i kilka tysięcy rubli w gotowiznie, należących do oficerów kawalerii Jeziorańskiego, i na koniec jedna śmigownica. Tabor ten eskortowało 60 do 70 koni jazdy i nieco piechoty<sup>1)</sup>, która prowadziła także żandarmów, wziętych do niewoli przez Jeziorańskiego w Rawie. Ważną więc rzeczą było dla Langiewicza, by cały ten tabor ściągnąć do siebie.

Dowódcy rosyjscy w Małogoszczu dowiedzieli się o pobycie Langiewicza w Nagłowicach, zaraz nazajutrz d. 25 lutego, oraz o tem, że stamtąd wódz polski ma zamiar skierować się ku Włoszczowie, na spotkanie ze swym taborem. Wskutek tego Dobrowolski, wzmocniony dwoma kompaniami pułku halickiego piechoty z oddziału Gołubowa, niezwłocznie wyruszył na Węgleszyn dla zaskoczenia tyłu Langiewiczowi w razie, gdyby ten pomaszerował ku Włoszczowie, a Czengiery pomaszerował na Gruszczyń do Włoszczowy, dla uderzenia na powstańców od czoła<sup>2)</sup>. Jednakże wódz polski widocznie miał doskonale informacje o zamiarach nieprzyjaciela, gdyż nie widząc możliwości ponownego z nim mierzenia się, ze znacznie uszczuplonymi siłami, porzucił myśl ratowania taboru i uskoczył na południe do wsi Słupi, gdzie stanął d. 26 lutego. Tym sposobem znowu zamiary wodzów rosyjskich spełzły na niczem; Dobrowolski zawrócił z Węgleszyna do Włoszczowy bez nowych, łatwych tryumfów; Czengiery zato zdołał napaść na ślad taboru i zabrać go całkowicie.

Nieszczęśliwy ten tabor z pod Małogoszcza pojechał do Włoszczowy i stąd, wiedząc zapewne o marszu Lan-

giewicza na Nagłowice, zamierzał ku niemu się puścić. Wynałazłszy przewodnika, w osobie jakiegoś Niemca kolonisty, w nocy z d. 25 na 26 puścił się wylotem na południe, gdy pod folwarkiem Dwina, tuż prawie pod Włoszczową, naprowadzony przez zdrajcę Niemca na bagna, ugrzązł tak nieszczęśliwie, że wydobyć się nie mógł, i świt dnia 26 lutego zastał go jeszcze na tem samym miejscu. Wtedy napadli nań dragoni i kozacy Czengierego, za którymi pośpieszyła piechota i po zamianie kilku strzałów, rozpędziła na pół bezbronną i mocno spłoszoną eskortę i wszystko zabrała<sup>1)</sup>. Z tymi łupami, z tryumfem wielkim, obaj wodzowie wrócili do Kielc, głosząc po wszystkich gazetach, że „cała banda, do 5000 ludzi wynosząca, zupełnie jest rozproszona“, że „Langiewicz ranny w nogę z Jędrzejowa ujechał za granicę“, że „wójci gmin donoszą, że z byleją jego bandy ludzie dziesiątkami tułają się po wsiach, prosząc o żywność“, że „włościanie w jak najlepszym usposobieniu radują się, że wszystko skończone“. Tryumf był tak wielki, niepokój w Warszawie z powodu przesadzonych wieści o siłach Langiewicza, tak znaczny, że gdy przyszła wiadomość o porażce małogoskiej, i z powodu niedzieli (dnia 1 marca) nie można jej było opublikować

<sup>1)</sup> Czengiery w swym raporcie („Dziennik powszechny“ Nr. 49) powiada, że „odbił trzech żandarmów i jednego kozaka, zabrał jeden falkonet, broń, znaczną ilość prochu, ładunków, przyrządów artyleryjskich i wiele ważnych papierów“. Jakim sposobem z tego dość prawdziwego sprawozdania, urosła u *Gesket-Puzyrewskiego*, 84, wiadomość, że Czengiery zabrał „160 koni i 60 furgonów, jedno działo i dwa falkonet“, pojąć nie możemy. O pieniądzach, o których mówi *Jeziorański*, oczywiście ani Czengiery, ani historycy słowa nawet nie wspominają. Dodać tu trzeba, że Czengiery głosił, że pod Ewiną rozbił samego Langiewicza, który tego dnia był już w Słupi i stamtąd pisał swój raport do Rządu narodowego. O odbitych przez Czengierego żandarmach, *Jeziorański*, loc. cit. II, 209 opowiada, że „zawezwani do Warszawy, wymienili obywateli, którzy przyjeżdżali do obozu. Wskutek tych oskarżeń zapelniała się cytadela warszawska i wielu z nich wywieziono na Sybir. Między tymi Nikodema Niemirycza, brata ciotecznej żony mojej“.

<sup>1)</sup> *Jeziorański*, loc. cit. II, 208, oraz „Przyczynek do wypadków 1863 r.“ Czengiery w swym raporcie powiada, że eskorta składała się z 300 ludzi piechoty, co jest kłamstwem.

<sup>2)</sup> *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 84.



w „Dzienniku powszechnym“, który w święta nie wychodził, wydano dodatek nadzwyczajny, który sprzedawano na ulicach i po ich rogach porozlepiano. W obwieszczeniu tem donoszono publiczności warszawskiej, że „banda Langiewicza po pobiciu pod Małogoszczem, połączywszy się z bandą pod przywództwem Jeziorańskiego, została dognaną przez wojska w d. 14/26 lutego pod Włoszczową i do szczętu rozbita“, że „Langiewicz ranny, umknął w kierunku Sandomierza“<sup>1)</sup>, że „włóścianie chwytają rozproszonych buntowników, i już takowych około 200 dostawili“.

Tymczasem gdy w Kielcach, Radomiu i Warszawie hymn tryumfu śpiewano i cieszą się, że „wszystko skończone“, Langiewicz, odpocząwszy sobie nieco w Słupi, wyruszył dalej na południe w lasy szreniawskie, gdzie w ich głębi, w prostej chacie leśnika, zatrzymał się obozem. Ponieważ ukazywali się tu i owdzie kozacy, z których nawet jednego schwytała jazda Jeziorańskiego, więc było powszechne w oddziale mniemanie, że nieprzyjaciel powstańcom po piętach następował. To wśród znużonych uciążliwymi marszami, zniechęconych niedawną, krwawą przegraną powstańców, głodnych, gdyż z powodu braku furgonów, żadnych zapasów ani też dostaw nie było i każdy żyć musiał własnym przemysłem, wywołało wielki niepokój i niezadowolenie. Niezadowolenie to podsycali liczni stronnicy Jeziorańskiego, różni Tomasz Winniccy, wreszcie on sam. Trzymał on się ostentacyjnie zdala od sztabu, chodził chmurny, szeptał półsłówka, ganił wszystko, a nawet głośno się odzywał, że „gdyby on miał komendę pod Małogoszczem, to nie ponieśliśmy tak dużych strat, a samą bitwę inaczej i lepiej poprowadzićby umiał“<sup>2)</sup>. Teraz, tutaj w szreniawskim lesie, znów wystąpił ze swą propozycją, ażeby partję podzielić na kilka mniejszych i rozejść się w różne strony, ale „Langiewicz (jak sam powiada) nie zrobił tego i sądził, że dopnie tego samego celu forsow-

<sup>1)</sup> Nazajutrz pomyłkę tę poprawiono na Jędrzejów.

<sup>2)</sup> A. Giller, Historia I, 295.

nymi marszami. Męczył nimi żołnierza, nie dając mu nawet koniecznego spoczynku, a wyżywienie pozostawiał, że tak powiem, własnemu jego przemysłowi“<sup>1)</sup>. Wśród takich to warunków, wśród rosnącego coraz bardziej niezadowolenia, Langiewicz z lasów szreniawskich pomaszerował na Tarnowę do Pieskowej Skąły, gdzie zatrzymał się d. 2 marca. Oddział znacznie stopniał w liczbie; wielu maruderów i łazęgów pozostawiało po drodze, a tajny rokosz nurtował go wewnątrz i wybuchnął nakoniec w Pieskowej Skale wyraznym buntem. Bezpośrednim powodem do tego stała się okoliczność następująca. Nazajutrz po przybyciu do Pieskowej Skąły, sekretarz Langiewicza, Tomczyński, wszystkim oficerom oddziału Jeziorańskiego wręczył nominacje z podpisem generała na stopnie, jakie już mieli. Dlaczego to Langiewicz uczynił, niewiadomo; może chciał przez to zaznaczyć swe zwierzchnie, naczelne stanowisko; może już tutaj miał niejaki wskazówki, że wkrótce objąć mu przyjdzie najwyższą władzę w narodzie. Dość, że frondująca partja w jego obozie, skorzystała z tych nominacji, by manifestacyjnie zaznaczyć swą niechęć do generała. Wszyscy oficerowie Jeziorańskiego zebrali się w jednej z sal zamkowych i złożyli swemu naczelnikowi świeżo otrzymane patenta, domagając się, by je podpisał jako wódz naczelny. Jeziorański się wzdragał, a Winnicki szeptał mu do ucha, że, sądząc z postępowania Langiewicza, tylko patrzeć jak się ogłosi dyktatorem<sup>2)</sup>. Wreszcie Jeziorański, może nie widząc możliwości ogarnięcia w tej chwili najwyższej władzy, do której dążył, a może też przez patryotyzm nie chcąc siał rozdzielenia, stanowczo się temu oparł. Nazwał to buntem, przysięgał, że zna Langiewicza z jak najlepszej strony, że wspólnymi siłami działać będą dla dobra ogólnej sprawy, że dziś każde rozdzielenie jest zbrodnią, że plan dalszego działania jest przygotowany, że z czasem

<sup>1)</sup> A. Jeziorański, loc. cit. II, 215.

<sup>2)</sup> Loc. cit. II, 217.

będą dwie armie: krakowska pod Jeziorańskim, lubelska pod Langiewiczem, z naczelnem dowództwem generała Wysockiego. Mówił długo, istny szekspirowski Antoniusz przy zwłokach Cezara, rozrzewnił się sam, rozrzewnił wszystkich i scena skończyła się na uściskach i płaczu<sup>1)</sup>.

Owe słowa Jeziorańskiego o zamiarach utworzenia tryumwiratu wojennego<sup>2)</sup>, owe napomknienia Winnickiego o przygotowującej się jakoby dyktaturze, nie były pozbawione podstaw. Wśród sztabu i zwierzchników powstańczych, w tej romantycznej Pieskowej Skale, w przepysznych salach starego zamczyska, przebiegały najrozmaitsze prądy, projekta, zamiary, budząc ogólną podejrzliwość i nieufność wzajemną, która wzrosnąć musiała z przybyciem do obozu dwóch osobliwszych posłów. Byli nimi: znany nam dobrze Jeske i Andrzej Potebnia, niegdyś oficer rosyjski, ten sam, który w roku zeszłym, w Ogródzie Saskim w Warszawie, strzelał do namiestnika Lüdersa, należącego do spisku oficerskiego, jeden z najczynniejszych agitatorów rewolucyi. Po strzale do Lüdersa zbiegł on do Londynu, do Hercena; a teraz jeździł do Warszawy, do Tymczasowego Rządu narodowego, w nieznaney nam bliżej sprawie. Ponieważ Rządu nie było w Warszawie, zresztą uważano go za mało rewolucyjny, więc w kołach ultrasów czerwonych, z którymi Potebnia się porozumiał, powstał osobliwszy projekt utworzenia tryumwiratu z Wysockiego, Mierosławskiego i Langiewicza<sup>3)</sup>. Oczywiście jest rzeczą, że panom tym chodziło wyłącznie o Mierosławskiego. Ponieważ jednak porażka jego w Kujawach i ucieczka za granicę, wiele odjęła mu uroku, i wobec powszech-

<sup>1)</sup> Wiśniewski, Wspomnienia kapitana 32. Jeziorański, loc. cit. II, 217.

<sup>2)</sup> W „Pamiętnikach” swoich nic o tem nie wspomina.

<sup>3)</sup> Według listu Langiewicza, wydrukowanego w T. Żychlińskiego, Wspomnieniach z r. 1863, p. 26, myśl tryumwiratu urodziła się w głowie Mierosławskiego i on sam przysyłał do obozu w Pieskowej Skale delegata z tą propozycją.

nego nań oburzenia, czyniła go do pewnego stopnia niemożliwym na stanowisku dyktatora; ponieważ z drugiej strony, właśnie w tej porze, zaraz po niefortunnym starciu Krzywosądzkiem, Tymczasowy Rząd narodowy mianował d. 17 lutego Wysockiego „naczelnym dowódcą sił zbrojnych na lewym brzegu Wisły“<sup>1)</sup>, i tym sposobem unicestwiał niejako dyktaturę Mierosławskiego, a dla zwolenników tego ostatniego czynił niemożliwem pominięcie Wysockiego; ponieważ nakoniec, Langiewicz stał się najwybitniejszą osobistością zbrojnego ruchu, powszechną na siebie zwracał uwagę, i właśnie w tej porze Bobrowski i Aweyde, chcąc go przeciwstawić Mierosławskiemu, agitowali w Warszawie i zbierali składki na pałasz dlań honorowy<sup>2)</sup>, i przygotowywali dlań adres od Polek<sup>3)</sup>, a zatem także nie mógł być pominiętym, więc umyślili utworzyć z tych trzech ludzi tryumwirat. Żywili oni to przekonanie, że Mierosławski opanuje ich łącznie i sam będzie panem położenia jak Bonaparte wśród dwóch konsulów Cambacera i Seyesa, którzy byli tylko satelitami jaskrawego jego słońca. Z taką misją przyjechali do Skąły, Potebnia i Jeske<sup>4)</sup>. Co im na to Langiewicz odpowiedział, niewiadomo;

<sup>1)</sup> Patrz Nr. 13 „Ruchu”. Nominacya ta brzmi: „W imieniu Narodu polskiego, Komitet centralny, jako Tymczasowy Rząd narodowy, mianuje niniejszem generała Józefa Wysockiego, naczelnym dowódcą sił zbrojnych na lewym brzegu Wisły”.

<sup>2)</sup> A. Giller, Historya I, 279.

<sup>3)</sup> Adres ten datowany „w dzień św. Kazimierza, patrona Polski, w Warszawie”, a więc tego samego dnia, w którym toczono walkę w Pieskowej Skale, kończy się tak: „Jenerale, Bóg z Tobą! wszystkie polskie niewiasty i dzieci małeńkie niewinnemi usty błagają Pana Zastępów w codziennych modlitwach swoich, aby Cię wspierał, aby Cię na polu bitwy osłaniał, aby Ci mądre i szlachetne dawał natchnienia i abyśmy Cię niedługo zwycięzcą w murach Warszawy powitać mogły. Jenerale, Bóg z Tobą! błogosławieństwo matek i dziewic polskich z Tobą!”

<sup>4)</sup> Z. Kolumna, Pamiętka, dodatek, 50.



prawdopodobnie pertraktacje się toczyły, gdy Szachowskiej i Medem napadli, i w chwili wymarszu do Skały nie były ukończone. To pewna, że wieść o misji obu rewolucjonistów doszła do Jeziorańskiego i ambicja jego na ciężką wystawioną była próbę. W niej to, w tajemnych podszeptach, których zapewne nie szczędził, trzeba szukać źródła rokoszu oficerskiego, o którym wyżej mówiliśmy; jak również wyjaśnienia słów o dwóch armiach i o Wysockim naczelnym wodzu. Nie mogąc inaczej, choć w ten sposób podstawiał swoje nazwisko na miejsce Mierosławskiego.

Wśród tego wszystkiego, przeznaczenie nowy przygotowywało cios obozowisku powstańcom. Langiewicz zatrzymując się w południowej części województwa krakowskiego, jakkolwiek uwolnił się od Czengierego, Dobrowolskiego i Gołubowa, wszelako wchodził w środek nowych sił rosyjskich. W tych stronach, Olkusz zajmował teraz major Medem z 1½ batalionem piechoty, setką kozaków i kilkudziesięciu objeszczykami; Miechów, major Stolzenwald, znany nam już ze swych rabunków kas miejskich, na czele trzech kompanii piechoty i setki kozaków; nakoniec nieco dalej, w Częstochowie, generał major ks. Szachowskiej<sup>1)</sup>. Ten ostatni, właśnie w chwili, gdy Langiewicz rozkładał się obozem w malowniczych wąwozach Pieskowej Skały, znajdował się we wsi Myszkowie, gdzie według doniesienia, mieli być powstańcy, gdy dnia 2 marca otrzymał od W. ks. Konstantego z Warszawy telegram, donoszący mu o rozbiciu Langiewicza pod Małogoszczem, i że oddział jego cofa się ku granicy austriackiej<sup>2)</sup>; polecano mu więc, by starał się zabiedz drogę powstańcom i do reszty ich pokonać. Stał on wtedy na czele dwóch kompanii pułku witebskiego piechoty i 50 kozaków. Nie namyślając się wiele, wsadził swych piechurów na podwozy i tegoż dnia wieczorem stanął w Żarnowcu, gdzie dowiedział

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 88.

<sup>2)</sup> Loc. cit.

się, że powstańcy już go minęli i poszli ku miasteczku Skale; o odcięciu więc ich od granicy nie mogło być mowy. Szachowskiej pomaszerowawszy do Wolbromia, ułożył tu zwykły plan wszystkich strategów rosyjskich tej doby, otoczenia Langiewicza dokoła i wzięcia go do niewoli. Ale jak zawsze, tak i teraz, projekta te, aż do znudzenia rażące swą jednostajnością i rutyną, nie przyniosły wcale pożądanego skutku. Plan ten polegał na tem, że major Medem ma wyruszyć d. 4 marca z Olkusza, o godz. 6-ej rano z całym swym oddziałem, wynoszącym przeszło 1000 ludzi i maszerować do Skały, by stąd zaatakować Langiewicza od zachodu. Podobny rozkaz wysłano do Miechowa, do Stolzenwalda, ale ten tłumaczył się później, że go wcale nie otrzymał. Sam książę Szachowskiej miał atakować Skałę po drodze od Wolbromia<sup>1)</sup>. Ogółem obliczał on, że będzie miał około 1700 ludzi, że z taką siłą łatwo pokona dwutysięczny, jak sądził, oddział Langiewicza. Tymczasem ten ostatni po starciu małogoskiem i po następstwach pośpiesznej rejterady bez żadnych zapasów żywności, liczył zaledwie może około tysiąca ludzi, znużonych, zgłodzonych, źle uzbrojonych i targanych wewnętrzną rozterką. Wskutek utraty furgonów pod Ewiną posiadano przecięciowo po sześć naboju na człowieka<sup>2)</sup>. Takie siły Szachowskiej mógł z łatwością pokonać. Dodać tu wypada, że ciągle myślał on i cały plan swój oparł na tem, że Langiewicz obozuje w miasteczku Skale, gdy tymczasem, jak wiemy, znajdował on się w prześlicznej miejscowości, zwanej Pieskową Skałą. Zajęto tutaj wspaniałą i ogromny zamek na górze, niegdyś przez Szafranców zbudowany, a w owe czasy będący własnością hr. Mieroszewskiego, który odnowił go i po królewsku urządził. „Wszystko kapalo od złota i srebra, opowiada świadek naoczny<sup>3)</sup>; wszędzie aksamity,

<sup>1)</sup> Loc. cit. 89.

<sup>2)</sup> O. Aweyde, Zeznania IV, 21.

<sup>3)</sup> Wiśniewski, Wspomnienia kapitana, 34.

adamaszek, lustra od posadzki aż do sklepień, wszędzie pełno arcydzieł sztuki malarskiej i rzeźbiarskiej<sup>4</sup>. Umieszczając w tych pięknych, pańskim splendorem lśniących komnatach, powstańców, nakazano im surowo poszanowanie własności. Sam gmach wewnątrz przedstawiał się jak średniowieczne, feudalne zameczysko. Dostęp do niego od Olkusza był dość trudny, wąwozami i skałami; od Wolbromia szła droga przez las.

Langiewicz, jak się zdaje, nie miał żadnej wiadomości o zbliżającym się z dwóch stron nieprzyjacielu. Dowiedział się dopiero o nim, gdy stojąca na placówce jazda powstańcza w Suleszowcy, została d. 4 rano zaatakowana przez objeszczyków Medema, który także dopiero teraz dowiedział się o bytności powstańców w Pieskowej Skale<sup>1</sup>). Tam więc postanowił pomaszerować. Szedł on po obu stronach wąwozu, utworzonego przez rzeczkę Prądnik, ku zamkowi, jazdą starając się wieść okolic. Powstańcy dość wcześnie porwali się do broni, sformowali się na dziedzińcu zamkowym i wyruszyli do lasu od strony Wolbromia, nie wiedząc nic o zbliżaniu się Szachowskiego. Około 300 zostało w samym zamku, postanawiając się w nim bronić. Na nich, po zwalczeniu znacznych trudności terenu, uderzył

<sup>1</sup>) N. Berg, Zapiski II. 541. Jeziorański, Pamiętniki II, 218, inaczej to opowiada. Utrzymuje on, że Medema podprowadził manowcami pod Pieskową Skalę, leśniczy z pobliskich lasów; że Medem podszedł niepostrzeżony, tak że kilku ulanów, którzy poszli do pływającego za wsią strumienia, aby w nim konie napić, wpadło nieprzyjacielowi w ręce. Potto, Pochodnyja Zapiski (Wojennyj Sbornik z r. 1867, Nr. 11, p. 131) jeszcze jedną podaje wersję. Opowiada on, że kozak schwytał powstańca na szczycie góry i zawiązała się między nimi uparta walka, w której kozak zwyciężył i zepchnął przeciwnika w przepaść. Właśnie w tej chwili przechodziła piechota rosyjska i dała ognia do spadającego. Te strzały miały ostrzedz Polaków o zbliżaniu się Medema, która z tych wersji jest prawdziwa trudno dziś orzec, zdaje się jednak, że najprawdopodobniejsza jest ta, którą podajemy w tekście.

najprzód Medem<sup>1</sup>). Do zbliżającej się całej kompanii (4-ej strzeleckiej) powstańcy rozpoczęli ogień, ale że oszczędzali prochu, więc naboje były bardzo słabe, tak że kule nie donosiły, a jeżeli donosiły, to tak mdle, że nawet płaszczy żołnierskich rosyjskich przebić nie mogły<sup>2</sup>). Przytem powstańcy byli głodni; tego dnia nic jeszcze w ustach nie mieli; z tych wszystkich powodów obrona była bardzo wątła. Zamek też został szturmem wzięty, załoga pomimo upartej ręcznej obrony, wymordowana, lub bocznymi drogami szukała w ucieczce ocalenia. Żołnierstwo wpadłszy do wspaniałej siedziby magnackiej, wszystko zrabowali i zniszczyli, sam zamek podpalili, tak, że wkrótce zmienił się w kupę gruzów<sup>3</sup>). Wśród tego wszystkiego Szachowskoj, maszerując od Wolbromia, we wsi Wielmoży dowiedział się o pobycie powstańców w Pieskowej Skale i usłyszał huk strzałów Medema. Zawrócił więc zaraz w tym kierunku, i w lesie, powitany został słabym bardzo ogniem. Szedł, mając przed sobą łańcuch tyralierów i ściśnięte w rezerwie kolumny. Opór stawiały mu tutaj bataliony Jeziorańskiego, który przepuściwszy łańcuch tyralierów rosyjskich, rzucił się z kosynierką na rezerwę i zmusił ją do zatrzymania się. Odtąd trwała tylko strzelanina, a z zapadającym mrokiem, Langiewicz cofnął się z całym oddziałem drogą do Skały<sup>4</sup>).

<sup>1</sup>) Wszystkie relacje o tem starciu. tak rosyjskie jak i polskie są nadzwyczaj niejasne i zagmatwane, tak że trudno wyrobić sobie o niem dokładne pojęcie.

<sup>2</sup>) Potto, loc. cit.

<sup>3</sup>) Ks. Szachowskoj w raporcie swoim usprawiedliwiając niejako Medema za zniszczenie tak pięknego zabytku przeszłości, opowiada, że powstańcy dla ułatwienia sobie obrony, podpalili sąsiednie zabudowania drewniane. O ile to jest prawdą nie wiemy; zresztą uniewinniając pożar, nie uniewinnia się rabunku. Potto, loc. cit. opowiada, że żołnierze z płomieni przy okrzykach „hura!” wynieśli portret cesarza Aleksandra II, który stał się własnością batalionu strzeleckiego.

<sup>4</sup>) Jeziorański, loc. cit. II, 218, opowiada przytem, że w czasie boju, Czachowski zniecierpliwiony bezczynnością wszedł w jakiś



Jak zwykle, tak i o tem starciu, wlokącem się leniwie przez dzień cały i mającem jeden tylko krwawy i niezaszczytny dla broni rosyjskiej epizod ze zdobyciem, zrabowaniem i zniszczeniem zamku, dowódcy nieprzyjacielscy nie omieszkali kłamliwych rozpowszechniać wieści. Ks. Szachowskiej w pierwotnych raportach swoich donosił, że miał do czynienia z 6000 powstańców; że raz stracili oni 500 ludzi, to znów około 400, i tak już w historii rosyjskiej pozostało <sup>1)</sup>. Za to Rosyanie, jak zwykle bywało, mieli poległych tylko 3 ludzi a 8 ranionych <sup>2)</sup>. Z Pieskowej Skały tak Medem jak i Szachowskiej cofnęli się do Suleszowoy i tam noc spędzili.

Langiewicz tymczasem szedł do Skały. Noc była jasna, księżycowa, mroźna nieco, niebo wygwiażdżone i czyste. Żołnierze jego byli nadzwyczajnie zmęczeni, wielu od 24 godzin nic w ustach nie miało; brakowało amunicyi, jednym słowem położenie było rozpaczliwe, a mimo to, ten skupiony w sobie, milczący wódz zdawał się nie tracić nadziei i na twarzy nie okazywał najmniejszego zaniepokojenia. Maszerowano dość wolno, gdy już niedaleko Skały Langiewicz otrzymał wiadomość, że nieprzyjaciel w sile dwóch kompanii piechoty, obozuje na cmentarzu, w pobliżu miasteczka. Był to major Stolzenwald, który, według pierwotnego planu miał także uderzyć na Pieskową Skałę

wąwóz między skałami, z którego nie było wyjścia, tak że cofać się musiał, a że większość oddziału za nim poszła, więc spowodowało to ogromny nieporządek i zamęt. Inne źródła o tym epizodzie nie mówią. Jeziorański w opowiadaniu swem daje poznać, że on bitwę prowadził, że on ocalił oddział, że Langiewicza nigdzie nie było i t. p.

<sup>1)</sup> N. Berg, loc. cit. II, 542. Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 92.

<sup>2)</sup> Jeziorański, loc. cit. II, 221, powiada, że nieprzyjaciel miał 238 ludzi zabitych i rannych, „o czem dowiedzieliśmy się (dodaje) od wziętego nazajutrz do niewoli oficera rosyjskiego“. Oficerem tym był zapewne Borozdin, wzięty w Skale; lecz ponieważ on nie brał udziału w starciu, więc skądże mógł wiedzieć o stratach rosyjskich? Polskie straty Jeziorański oblicza na 42 zabitych i 37 rannych.

od strony Miechowa; ale ten rycerz, umiejący rabować kasy, nie przybył tam wcale i tłómaczył się później, że rozkazu nie otrzymał, że ten prawdopodobnie został przejęty przez powstańców <sup>1)</sup>. Mimo to, zdaje się zaniepokojony nieco swem nieposłuszeństwem, koło godz. 12 w południe wyruszył z Miechowa na czele dwóch kompanii piechoty i stu koni jazdy (kozacy i objeszczyki), w kierunku Skały. Wymarsz swój usprawiedliwiał później tem, że jakoby w Miechowie usłyszał huk strzałów walki toczoney w Pieskowej Skale <sup>2)</sup>, oddalonej od tego miasta w prostej linii na trzy do czterech mil polskich. Włókł się powoli i do Skały przyszedł dopiero koło godz. 7-ej wieczorem; tutaj dowiedział się o boju stoczonym podczas dnia, i o tem, że w lasach okolicznych pełno jest powstańców. Zaniepokojony mocno, odważny tylko wtedy, gdy przy kasach spotykał bezbronných urzędników, lękał się stanąć w miasteczku <sup>3)</sup>, i zajął cmentarz, otoczony niskim murem, z kamieni polnych ułożonym, oddalony od Skały na pół wiorsty, i tu biwakował. Mówił później, że zamierzał tylko krótko odpocząć, i korzystając z widnej, księżycowej nocy, pomaszerować do ks. Szachowskoja, o którym sądził, że nocuje w Pieskowej Skale. Odpoczynek ten jednak zbyt

<sup>1)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 91. Kłamał on już ciągle. Opowiadał później, że wyruszywszy z Miechowa, na trzeciej wiorście natknął się na pikietę powstańczą, które zaraz ukryły się w lesie. Było to najoczywistsze łgarstwo, bo skądżeby się tam wzięły pikietę powstańczą? Stolzenwald dlatego owe pikietę wymyślił, żeby poprzeć swe kłamstwo o nieodebraniu rozkazu.

<sup>2)</sup> Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 92.

<sup>3)</sup> Kłamał później i usprawiedliwiał swe tchórzostwo, oskarżając niegodnie mieszkańców Skały. Opowiadał więc, że gdy podchodził do tego miasteczka, to wszystkie okna były jasno oświetlone, ale gdy oddział zbliżył się, światła pogasły, a mieszkańcy z „wyszukaną uprzejmością“ prosili bohaterskiego Stolzenwalda, by zajął w mieście kwatery. Ale przenikliwy ten mąż, podejrzując zdradę (jakżeby mogło być inaczej) nie dał się skusić wygodnym noclegiem, ale heroicznie na mrozie rozłożył się na cmentarzu.

długo się przeciągał; Stolzenwald nie spieszył się wcale, gdyż od godz. 7-ej wieczorem, jeszcze o 1-ej po północy gorzały jego ognie na mogiłach skalskich. O zbliżaniu się oddziału polskiego, jak się zdaje nic nie wiedział; zamierzał właśnie wyruszyć w pochód i czoło jego kolumny opuściło już cmentarz, gdy nagle wśród ciszy nocnej rozległ się strzał, prawdopodobnie przypadkowy, lub z nieumiejętnego obchodzenia się z bronią pochodzący, i ostrzegł Stolzenwalda o grożącym mu niebezpieczeństwie.

Langiewicz, dowiedziawszy się o obecności nieprzyjaciela na cmentarzu, na chwilę zapomniał o polityce, którą od paru dni wyłącznie był zajęty, i stał się znowu wodzem powstańczym. Postanowił on uderzyć na Rosyan; nakazano w oddziale największą cichość, gdyż spodziewano się podejść nieprzyjaciela z nienacka. Batalion majora Pióro miał wykonać atak z tej strony, z której maszerowano. Na czele jego ruszył sam Langiewicz. W chwili gdy się posuwano pod cmentarz, w polskich szeregach rozległ się ów strzał, który ostrzegł Stolzenwalda<sup>1)</sup>. Co prędzej ściągnął on swą kolumnę i rozpoczął z poza muru prażyć ogniem zbliżających się powstańców. Ci śmiało ruszyli do ataku, a Potebnia wdarł się nawet na mur cmentarny, gdzie ugodzony kulą w piersi, padł na miejscu, i tym sposobem wzięły koniec opowiedziane wyżej pertraktacje<sup>2)</sup>. Po krótkiej strzelaninie, Stolzenwald pospiesznie opuścił cmentarz i przez las, przytykający do niego wycofał się szczęśliwie i cało, zostawiwszy na cmentarzu kilku zabitych<sup>3)</sup>. Oddział Langiewicza spokojnie rozłożył się w mia-

<sup>1)</sup> Podania ustne.

<sup>2)</sup> *Jeziorański*, loc. cit. II, 233, powiada, że Potebnia żył jeszcze czas jakiś. Wnieiony do domku cmentarnika, tam dopiero umarł. Ostatnie jego słowa były: „Niech was Bóg wspiera w walce przeciw tyranom“.

<sup>3)</sup> Stolzenwald w raporcie swoim, którego oczywiście niewolniczo trzymają się historycy rosyjscy, opowiada, że odparł powstańców, którzy skryli się do lasu, zostawiwszy na cmentarzu 18 ciał;

steczku, gdzie schwytał kapitana straży pogranicznej Borozdina. Ponieważ pokazało się, że wzięty już raz do niewoli przez Kurowskiego w Sosnowcu, uwolniony został na słowo, że więcej przeciw Polakom walczyć nie będzie, więc powieszono go w parę dni później w lesie Niedźwieckim<sup>1)</sup>.

Po krótkim odpoczynku, z poczuciem pewnego tryumfu, przy dźwiękach pieśni „Boże coś Polskę“, wyruszono dalej na Ojców, który zastano zniszczony i w perzynę obrócony, aż do wsi Smarzewic, gdzie zatrzymano się dla dokonania krwawej na chłopach tamtejszych egzekucji. Pokazało się bowiem, że po wyjściu oddziału Kurowskiego z Ojcowa, chłopci Smarzewscy tłumnie rzucili się na Ojców, zrabowali wszystkich mieszkańców, pozabijali pozostałych i po większej części rannych powstańców, i odtąd trudnili się łowieniem pojedynczych i wydawaniem ich w ręce rosyjskie. Oczywiście należało ich ukarać surowo i dać straszny przykład dla powstrzymania innych od tego rodzaju praktyk, zwłaszcza w tych stronach, gdzie głuche wrzenie wśród ludu, coraz groźniejsze przybierało rozmiary. Gdy sztab stanął na plebanii, wydano rozkaz otoczenia wsi dookoła i zrobienia rewizji po chałupach. Wkrótce cały dziedziniec na plebanii zapelniał się rzeczami odszukanymi u chłopów. Były tam meble, obrazy, zwierciadła, porcelana, szkła, cienka pościel, suknie. U jednego chłopca znalaziono palec odcięty, na którym był złoty pierścień<sup>2)</sup>.

że stał na pozycyi do godz. 8-ej rano, a potem dopiero cofnął się do Miechowa, z powodu, że „nie wziął ze sobą ani furgonów, ani kotłów do gotowania“. Wszakże wprzód powiedział, że chciał korzystać z jasnej nocy i maszerować do Szachowskiego, choć i wtedy nie miał furgonów ani kotłów. Człowiek ten kłamał nieustannie. Powstańców nie odparł, nie stał do 8-ej rano na cmentarzu, ale uciekł pospiesznie, podczas gdy Langiewicz do rana odpoczywał spokojnie w Skale.

<sup>1)</sup> *Potto*, loc. cit. 139. *Wiśniewski*, Wspomnienia kapitana, 36.

<sup>2)</sup> *Wiśniewski*, loc. cit. 38.



Zwołano więc sąd wojenny, złożony z trzech żołnierzy, proboszcza miejscowego, kapelana oddziału ks. Konarskiego, wójta gminy tamtejszej i dwóch starszych włościan. Sąd skazał trzech na karę śmierci, sześciu na karę cielesną. Ks. Konarski miał przemowę do zebranych, poczem przystąpiono do egzekucyi. Langiewicz złagodził wyrok o tyle, że tylko jednego powieszono, urlopnika z wojska rosyjskiego, głównego herszta napadu, a pięciu cielesnie i surowo ukaranych zostało <sup>1)</sup>.

Po tej krwawej egzekucyi, rzucającej ponury cień na wypadki tego strasznego roku, niestety! nie jedynej w dziejach powstania, oddział wyruszył dalej i zatrzymał się d. 6 marca obozem w Goszczy, małej wiosce, leżącej w pobliżu miasteczka Słomnik. Tutaj miały się rozegrać wypadki pierwszorzędnego znaczenia i głuchą tę wiosczynę zrobić miejscem historycznym i nazwę jej głęboko wyłobić w pamięci narodowej. Z jękiem katowanych chłopów smarzeniickich, zdziczałych wśród ucywilizowanego społeczeństwa, kończymy pierwszy peryod tej dziwnej wojny, jakiej podobnego przykładu napróżno szukalibyśmy w rocznikach historii świata. Od siedmiu przeszło tygodni na całym obszarze Królestwa lała się krew obficie, gorzały wsie i miasteczka, rozlegał się skrzyp szubienic, niszczał dobytek tysięcy, jak gdyby wszystkie plagi, wszystkie fury mityczne wylały się na tę nieszczęsną, a lepszego zaiste losu godną krainę. I gdybyż, w ludzkim rozumieniu rzeczy, wszystkie te klęski, wszystka ta krew stać się mogła mierzwą, na której wzrośchy mogło ziarno doli lepszej! Nie, takiej nadziei nawet być nie mogło. Te nikłe, blade światelka świtu, które ukazywały się na chmurach, od krwi i pożarów purpurowem niebie polskiem, zdające się być zapowiedzią wschodu jasnego słońca wolno-

<sup>1)</sup> Jeziorański, loc. cit. II, 224. Wiśniewski, loc. cit. 38, powiada, że cała gromada została ukarana cielesnie, mężczyźni po 100, a kobiety po 50 batów.

ści, miały wkrótce zgasnąć, albo z własnej naszej winy, albo też z winy tych, którzy, zdawało się, dzierżą w tej chwili w swych rękach losy świata całego. Opowieść o tych bladych, wątłych światelkach różanej zorzy polskiej, i o ich szybkim zgaśnięciu, będzie przedmiotem następnej części tych posępnych dziejów.

Wiś Ruda, w 66-tą rocznicę wejścia Paskiewicza do Warszawy.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

924

8613

MIEJSKA  
BIBLIOTEKA PUBL. NA  
u Radomiu

## SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU I.

Rozdział I. Położenie kraju w początkach 1863 r. Przyjęcia noworoczne. Komisya broni w Paryżu. Aresztowanie jej członków. Wrażenie tego faktu. Wniosek Popiela w Dyrekcyi Białych. Misya A. Wrotnowskiego. Jego pobyt w Krakowie i we Lwowie. Komitet centralny. Zjazd komisarzy wojewódzkich w Głuchówku. Projekt w Komitecie oddania się w ręce rządu. Rząd oznacza termin branki na 15 stycznia. Zjazd komisarzy wojewódzkich do Warszawy. Włodzimierz Lempke. Wyjście spisowych z Warszawy do puszczy Kampinoskiej. Życie w obozowiskach. Decyzya zapadła na radzie u W. księcia. Branka d. 15 stycznia. Narady w Komitecie Centralnym. Komitet nakazuje powstanie. Ostateczne przygotowania. Uchwały Komitetu. Oddanie dyktatury Mierosławskiemu. Wyprawa Bremsena do puszczy Kampinoskiej. Padlewski przechodzi Wisłę pod Secyminem. Starcie pod Ciołkowem. Artykuł „Dziennika powszechnego“. Powrót Bremsena. Rogiński w Warszawie. Projekt zamachu na W. księcia. Leon Frankowski. Rozpadnięcie się Komitetu Centralnego. Plan powstania. Siły polskie. Nabycie koni kozackich. Dowódcy. Bończa-Błaszczyński. Lewandowski. Kurowski. Maryan Langiewicz, jego przeszłość i charakterystyka. Armia rosyjska, jej liczebność i wartość. Manifest Komitetu Centralnego. Dekrety o uwłaszczeniu. Napad na Płock. Niepowodzenie zupełne. Obustronne straty. Napad na Płońsk. Stan organizacyi w wojew. Augustowskiem. Utarczka pod Jeżewem. Napad na Wysokie Mazowieckie, Męzenin i Surąż. Organizacya powstańcza na Podlasiu. Siły rosyjskie. Plan powstania. Napad na Stok Lacki i Łuków. Atak Międzyrzecza nie przychodzi do skutku. Plan napadu na Białą. Zdrada Suchodolskiego i Zalewskiego. Postępek ks. Reforma-



tów. Rogiński opuszcza Białą. Napad na Radzyń. Plan ataku. Nieudany napad Pyrkosza i jego śmierć. Atak Deskura. Jenerał Kannabich ciężko ranny. Atak na Łomazy i Kodeń. Ogólne uwagi. Siły obustronne w Lubelskiem. Napad na Lubartów. Utarczka w Małej Bukowej. Utarczka pod Błędowem i Żychlinem. Plan powstania w Piotrkowskiem. Uchwała napadu na Radomsk. Zdrada Sobaczyńskiego. Sandomierskie. Napad na Jedlnię i Szydłowiec. Wojew. krakowskie i siły w niem rosyjskie. Czengiery. Zamierzony atak na Kielce nie przychodzi do skutku. Atak na Bodzentyn. Sytuacja w miasteczku. Śmierć porucznika Rappa. Żołnierz Zielenko. Kozunow cofa się z Bodzentyna. Spotkanie na drodze do Kielc. Napad na Michałowice. Ogólne uwagi. Zakończenie. Str. 1—135

Rozdział II. Wrażenie, jakie wywarła wieść o wybuchu. Przywrócenie stanu wojennego. Rozkazy koncentracji wojsk rosyjskich. Sama koncentracja. Krytyka tejże. Stronnictwo Białych. Zjazd szlachty do Warszawy. Enoch i W. książę. Rada wojenna. Uchwała stronnictwa szlacheckiego. Szkoła Główna. Wrażenie powstania w Rosyi. Mowa Cesarza do oficerów pułku izmailowskiego. Rozkaz o sądach polowych. Powolny zwrot opinii rosyjskiej co do Polski. Galicya i jej Rada naczelna. „Czas“ krakowski. Odezwa Ławy lwowskiej i odezwa: „czekać“. Zachowanie się cesarza Napoleona i dziennikarstwa francuskiego wobec powstania. Artykuł „Monitora“. Wyprowadzenie jenerała Semeki. Plany Padlewskiego. Porażka pod Uniekiem. Upadek ducha Padlewskiego. Chądzyński. Dwa rozkazy Padlewskiego. Powstanie podlaskie. Rogiński i zabójstwo Czerkasowa. Organizacja oddziału. Spotkanie z Sinielnikowem. Pobyt w Janowie. Zajęcie Białej, nabożeństwa, wybory do zarządu powiatowego. Nostitz i jego pochód. Atak Rogińskiego pod Białką. Odparty cofa się do Białej. Powstańcy w Węgrowie. Plan ataku na Węgrów. Operacje Papaafanasopuły. Utarczka nocna w Szdrutach. Bitwa Węgrowska. Odwrót Janka Sokoła. Bohaterski atak 400 kosynierów. Wrażenie tej bitwy. Marsz do Siemiatycz. Zameczek i oddział siemiatycki. Maniukin i atak Mystkowskiego na działą. Marsz Rogińskiego pod Siemiatycze. Przygody Lewandowskiego. Spotkanie się z Zameczkiem. Pozycja Siemiatycz. Rozstawienie się powstańców. Bitwa. Zameczek cofa się bezładnie z pozycji. Ogólny odwrót. Rozejście się oddziałów. Frankowski i Zdanowicz w Kazimierzu. Marsz Miednikowa. Zdanowicz przeprawia się przez Wisłę. Marsz ku Sandomierzowi. Starcie pod Słupczą. Rayski opuszcza Sandomierz. Losy Frankowskiego. Rzeź

w Tomaszowie Ordynackim i jej następstwa. Langiewicz w Wąchocku. Odezwa jego do mieszkańców województwa krakowskiego. Zjazd szlachty sandomierskiej w Mierzanowicach. Misya Karskiego i Cichowskiego. Plan ataku na Wąchock. Operacje jenerała Marka. Bentkowski rabuje Suchedniów. Zasadzka Czachowskiego. Starcie pod Parszowem. Mark pali i rabuje Wąchock. Kurowski i jego atak na Sosnowiec. Zdobycz. Powrót do Ojcowa. Jeziorański i jego atak na Rawę. Strojnowski i jego oddział. Starcie pod Grabiami. Ogólne uwagi . . . . . Str. 136—254

Rozdział III. Mowa ministra Bilault w senacie francuskim. Wrażenie tej mowy. Instrukcja ks. Wł. Czartoryskiego. Jej odwołanie. Minister pruski v. Bismarck i jego zamiary. Proklamacja prezydenta Horna. Wysłanie Alvenslebena i Raucha. Skoncentrowanie 4-ch korpusów. List Tęgoborskiego. Alvensleben w Petersburgu. Wrażenie na wieść o zawarciu konwencji. Postawa Austrii względem powstania. Oskarżenia rosyjskie. Odezwy policji w Krakowie i Lwowie. Zachowanie się władz. Odroczenie sejmu galicyjskiego. Austria nie chce przystąpić do konwencji. Postawa Anglii względem powstania. Treść konwencji. Dwie rozmowy Buchanana z Bismarckiem. Rozmowa Napiera z Gorczakowem. Trzecia rozmowa Buchanana z Bismarckiem. Zmiana postawy rządu francuskiego. Rozmowa Drouyn de L'huys z Goltzem. Noty do Anglii i Prus. Narada ministeryalna. Projekt noty identycznej. Austria i Anglia odrzuca ten projekt. Okólnik p. Drouyn de L'huys. Intryga Gorczakowa. Rozmowa Bismarcka z Behrendem. Interpelacja Kentaka i Chłapowskiego. Odpowiedź Bismarcka. Interpelacja Schulzego i Carlowitza. Mowa Bismarcka. Rezolucja izby. Sesja z d. 26 lutego. Mowy Sybla, Roepla i Eulenbura. Mowa Bismarcka. Wypadki przekraczania granicy. Rezolucja izby. Memoryał kupców szczecińskich. Odezwa jenerała Korfa. Rozkaz naczelnika miasta. Rzeź wojsławicka. Rozkazy W. księcia. Dobijanie rannych. Prawo odwetu. Postawa chłopów. Wypadek w Sannikach. Prowokacje rosyjskie. Rozkaz generalissimusa. Zabór kas i poczty. Rozporządzenia rządowe. Naczelnicy wojenni. Wypadek na ulicy Pańskiej. Zamach na Wielopolskiego. Oznaki współczucia. W. księżna. Wiadomości z Petersburga. Korf i jego pytania. Panna Błudow. W. księżna Helena Pawłówna, pani Kalerdzi i hrabina Keller. Duchowieństwo. List otwarty ks. H. Kajsiewicza. Synod dyecezyalny. Rada stanu. Wnioski arcybiskupa. Nota angielska z d. 2 marca. Projekt dymisji Rady stanu. Narada. Misya

Popiela. Druga narada. Rozmowa ks. Felińskiego z margrabią i W. księciem. Podanie się do dymisyi. Rozmowa Stawskiego i arcybiskupa z W. księciem. Arcybiskup podaje się do dymisyi. List jego do Cesarza. Ostatnia rozmowa z W. księciem. Zakończenie. . . . . Str. 255—367

Rozdział IV. Wyjazd delegacyi do Mierosławskiego do Paryża. Przyjęcie delegatów. Broń i rynsztunek wojenny. Plany wkroczenia. Zamiar wkroczenia przez Dobrzyń nad Drwęcą. Padlewski. Mierosławski wkracza na Kujawy. Pozycya Krzywosądzka. Oddział Mielęckiego. Potyczka pod Cieplinami. Przejście granicy przez Mierosławskiego. Rozkaz wysłany do Mielęckiego. Budowa wozu wojennego. Marsz Mielęckiego i Schildner-Schuldnera. Starcie pod Krzywosądzem. Marsz ku Trojaczkowi. Atak rosyjski. Odwrót do Tomisławic i Słomkowa. Przybycie Seidenwitza. Obóz w Nowej wsi. Niespodziewany napad rosyjski. Zupelna porażka. Rokosz pod Kazimierzem. Mierosławski wyjeżdża za granicę. Ohustronie straty. Zachowanie się Mierosławskiego. Wrażenie jego ucieczki. Wniosek Bobrowskiego. Uchwała Rządu tymczasowego. Marsz Langiewicza do Słupi nowej. Marsz Czengierego i jego atak na św. Krzyż. Zręczny manewr Langiewicza i jego marsz do Staszowa. Intryga z Petrowem. Panna Pustowojtow. Potyczka Staszowska. Rozkaz dzienny Langiewicza. Obozowisko Ojcowskie. Skombinowana wyprawa rosyjska na Ojców. Potyczka Wanerta w Iwanowicach. Plany Kurowskiego. Jego marsz na Miechów. Pozycya Miechowa. Przygotowania Niepienina do obrony. Plan ataku i marsz Cybulskiego. Atak Rochebruna na cmentarz i miasto. Szarża jazdy Nałęcza i Radońskiego. Oddział Cybulskiego. Odwrót i straty obu stron. Pożar i rzeż Miechowa. Następstwa tej klęski. Kolej oddziału Dobrowskiego. Nikiforow. Marsz Jeziorańskiego na południe. Utarczka pod Lubochnią. Marsz do Studzianuy i zwiększenie się oddziału. Połączenie się z Nowakiem w Radkowie. Marsz do Ropocia. Mistrzowski marsz Langiewicza do Małogoszcza. Uwagi nad tym marszem. Spotkanie z Jeziorańskim. Powitanie dwóch oddziałów. Dwie narady wojenne w Małogoszczu i Chęcinach. Plan rosyjski ataku Małogoszcza. Dobrowolski uprzedza innych. Pozycya polska. Początek walki. Grudziński rusza do ataku. Położenie Dobrowolskiego. Pojawienie się Gołubowa. Langiewicz opuszcza miasto. Szarża jazdy Jeziorańskiego. Czengierzy przybywa na plac boju. Ogólny odwet powstańców. Marsz Langiewicza do Nagłowic i Słupi. Czengierzy zabiera jego tabór w Ewinie. Tryumf rosyjski. Marsz Langiewicza do

Pieskowej Skąły. Rokosz oficerów Jeziorańskiego. Przybycie Potebni. Projekt tryumwiratu. Wyprawa na Pieskową Skąłę. Pozycya Langiewicza. Zdobyćcie, spalenie i zrabowanie zamku. Odwrót na Skąłę. Stolzenwald na cmentarzu. Atak i odwrót Rosyan. Egzekucya w Smarzewicach. Obóz w Goszczy. Zakończenie. . . . . Str. 368—499

Mapy i plany dołączone będą do tomów następnych.



4274



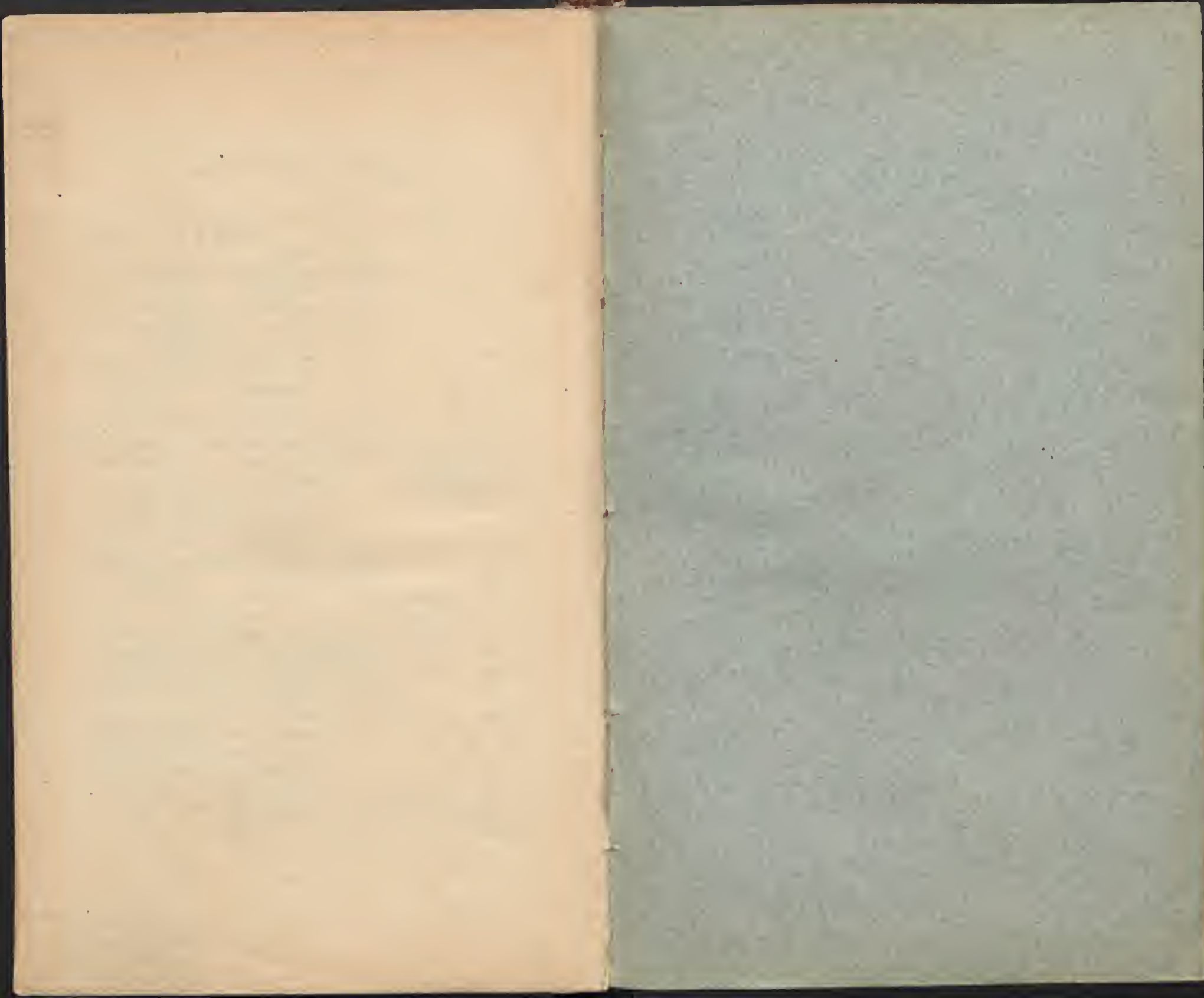
MIEJSKA  
BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
w Radomiu

86

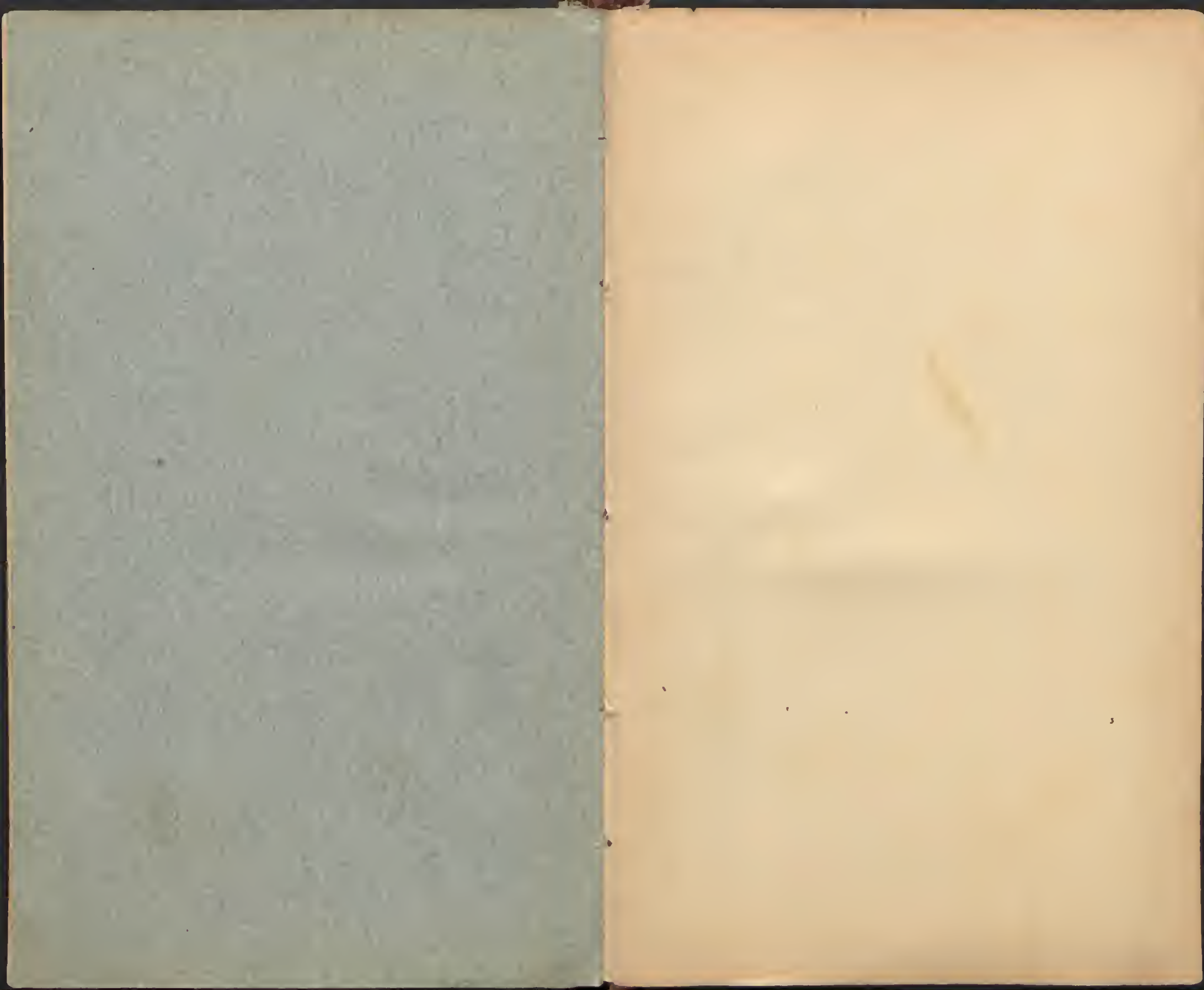


## Ważniejsze pomyłki druku.

- Na str. 2 w wierszu 14 od dołu, zamiast „nie czytaj: nie.  
 „ 3 „ 15 od góry „ widzieliśmy czytaj: *wiedzie-  
 liśmy.*
- „ 104 „ ostatnim od dołu, zamiast: *batalionami* czytaj:  
*kompaniami.*
- „ 160 „ 16 od góry zamiast: *zwolał* czytaj: *wołał.*
- „ 151 „ 16 „ po wyrazie: *warszawskiemu* opusz-  
 czono wyraz: *uspokojenie.*
- „ 165 „ 5 od dołu zamiast: *Zomar* czytaj: *Zomaz*, zaś  
 „ 3 „ „ *Janka Białego* winno być:  
*Janka Sokoła.*
- „ 182 „ 13 od góry po słowie; *wywarło* opuszczono wy-  
 raz: *urazenie.*
- „ 226 „ 4 od dołu zamiast: *Mirogowic* czytaj: *Mirogonic.*
- „ 228 w przypisku, wiersz 9, zamiast: *jedną dywizję* powinno być:  
*jeden dywizyon.*
- „ 265 „ „ 2 zamiast: *Tettan* czytaj: *Tettau.*
- „ 288 w wierszu 12 i w następnych, źle jest pisane nazwisko:  
*Drouym de l'Huys* winno być: *Drouyn  
 de Lhuys.*
- „ 291 „ 10 od dołu, zamiast: *podstawa* czytaj: *postawa.*
- „ 339 „ 3 „ „ *on* „ *ona.*
- „ 371 w przypisku wiersz 10 od dołu zamiast: *Ustimonia* czytaj:  
*Ustimowicz.*
- „ 384 w wierszu 12 po wyrazie: *rano* opuszczono: *wyruszył.*
- „ 408 „ 2 od góry zamiast: *armaty*, czytaj: *armatę*, a  
 „ 8 zamiast: *Bartoszeniny*, czytaj: *Bartoszewiny.*
- „ 424 „ 9 od góry zamiast: *Sudzedniów* czytaj: *Suche-  
 dniów.*
- „ 452 „ 5 i 7 od dołu zamiast: *Lewiecki* czytaj: *Leniecki.*
- „ 453 „ 7 od góry zamiast: *Ewansa* czytaj: *Ewansa*,  
 a w przypisku wiersz 9 zamiast:  
*Zaszowski*, czytaj: *Jaszowski.*
- „ 454 „ 5 „ zamiast: *wskoczył* czytaj: *uskoczył.*
- „ 457 w przypisku wiersz 6 od dołu po: *jakiś* brak wyrazu: *czas.*
- „ 460 w wierszu 6 od dołu zamiast: *przespał* czytaj: *przesłał.*
- „ 485 „ 4 od góry „ *Dicina* „ *Ewina.*







How, the Rationals - 15



